PRZEGLĄD

POWSZECHNY

BŁOGOSŁAWIONY LUD, KTÓREGO PANEM BÓG JEGO
Ps. 143.

ROK TRZYDZIESTY CZWARTY. — ~~TOM CXXXVII.~~

T. 135-36

LIPIEC, SIERPIEŃ—WRZESIEŃ.

1917.

KRAKÓW.
DRUK EUGENIUSZA i Dra KAZIMIERZA KOZIAŃSKICH.
1917.

Historyczność polskich praw do Księstwa Cieszyńskiego[1].

Do Cieczyńskiego legitymujemy się nie papierzanem prawem, czy też pergaminowem, lecz żywem prawem życia, bo to polska ziemia, a polska od początku aż do dni naszych, przez cały ciąg dziejów. Oto jego „historyczność".

Z tynieckiego klasztoru Benedyktynów pod Krakowem zaczynają się dzieje zaludnienia i zagospodarowania Cieszyńskiego. Można o kraju tym śmiało powiedzieć, że wchodzi do historyi jako kolonia małopolska; podobnież jak Śląsk właściwy, Średni i Dolny, stanowi kolonię wielkopolską. Już w najstarszym dyplomacie klasztoru tynieckiego, w słynnym „dyplomacie kardynała Idziego", o którym istnieje cała literatura, wymienione są wśród tynieckich posiadłości Orłowa, Bytom i Siewierz. Obojętnem jest w tym wypadku, czy uznaje się autentyczność tego dokumentu, czy też ktoś, po tylu dowodach, upiera się jeszcze przy jego nieautentyczności; gdyż to jest pewne, że śląskie posiadłości nie potrzebowały żadnych przemycań z pomocą falsyfikatów, jako nie podlegające nigdy wątpliwości, całkiem pewne i dalszymi dokumentami doskonale wykazane. Wystarczają dwa, ażeby stwierdzić autochtonizm żywiołu

[1]) Równocześnie z tą rozprawą opuszcza prasę broszura pod tytułem: „Oświęcimskie niemieckie, czy Cieszyńskie polskie". Treścią jest walka z najnowszym zakusem niemieckim, chcącym oderwać Księstwo Oświęcimskie od Galicyi. Nie tylko Oświęcimskie nie jest niemieckiem, ale i Cieszyńskie polskiem. — Przyp. Autora.

polskiego i pierwszeństwo następnego, polskiego również, osadnictwa. Papież Grzegorz IX. zatwierdził w r. 1227 klasztorowi tynieckiemu posiadanie Orłowy. W dwa lata potem tenże papież bierze pod swą opiekę zachodnie posiadłości klasztoru, wymienione dokładnie z nazwami, a pomiędzy niemi znajdujemy ośm takich, które znajdują się na obszarze dzisiejszego Śląska cieszyńskiego:

Orłowa, Dąbrowa, Kocobędz, Cierlicko, Ostrawa (Polska), Wierbica, Zabłocie, Żuków [1]).

Sama stolica kraju, miasto Cieszyn, samą nazwą swą świadczy aż nadto o polskiem pochodzeniu. Nazwa to ułożona na modłę tysiąca polskich imion geograficznych, oznacza gród C i e s z a. Znajdował się on na północ od obecnego Cieszyna, w miejscu, zwanem też Starym Cieszynem i Cieszyniskiem, w t. zw. Podoborze, gdzie istnieją dotychczas wały, zabytki grodziska obronnego. Nowa osada powstała dopiero w XIII. w., prawdopodobnie pomiędzy r. 1217 a 1236. Było to przeniesienie się ludności Starego Cieszyna na miejsce dogodniejsze, spowodowane prawdopodobnie zmianą biegu koryta rzeki Olzy. W tym czasie zaczyna się gospodarka osadnicza książęca, połączona ze sprowadzaniem osadnika, miejskiego z Niemiec. *Prawdopodobnie już od XIII. wieku byli i Niemcy w Cieszynie*, ale absolutnie nie jest prawdą, jakoby Niemcy byli założyli to miasto, lub którekolwiek inne na obszarze ziemi cieszyńskiej. „Co do Księstwa Cieszyńskiego, niema przykładu, żeby koloniści niemieccy dali początek jakiemuś całkiem nowemu miastu“ [2]).

W ostatnich latach XIII. wieku uznali książęta cieszyńscy dynastyę, panującą w Czechach, za uprawnioną do tronu polskiego; składali hołdy ostatnim Przemyślidom i ich następcom, Luksemburczykom, ale nie jako czeskim królom, lecz jako polskim. Sami tytułowali się, jak już wiemy, tylko polskimi książętami na Cieszynie.

Do jakiego stopnia cały Śląsk, nie wyjmując wrocławskiego, uważany był z początkiem XIV. wieku za kraj bezsprze-

---

[1]) Kodeks dyplomatyczny klasztoru tynieckiego, Część I., wydał Dr. Wojciech Kętrzyński, Lwów 1875, Nr. 1, 6 i 11a, na str. 1, 13 i 19.

[2]) Franciszek Popiołek: Dzieje Śląska austryackiego, Cieszyn 1913, str. 155.

cznie polski, świadczy opis wschodniej Europy, pochodzący z roku 1308, a ułożony we Francyi, przez cudzoziemca. Czytamy tam:

„Polska dzieli się na sześć księstw, których książęta są potężni, jak królowie, a nazwy księstw są: krakowskie, opolskie, wrocławskie, głogowskie, gnieźnieńskie i mazowieckie". Tak wyraża się podróżnik, który jest najzupełniej poinformowany o ówczesnych stosunkach, powinowactwach i umowach pomiędzy dynastyami sąsiedniemi co do koron czeskiej i polskiej.

Zalicza Śląsk do Polski, bo nie nastąpiła zmiana przynależności państwowej, a tylko zmiana osób panujących.

Świadomość, że Śląsk nie zaliczca się do Czech, lecz do Polski, przebija jeszcze dobitniej z ustępu, nie mającego związku z położeniem politycznem, w którym wylicza rzeki w Polsce. Wymienia obok Wisły O d r ę, N y s ę, B o b r ę[1]). Tak się przedstawiało współczesnym, a nie zainteresowanym w sprawach cudzoziemcom, to, co dzisiejsi Niemcy radziby przedstawić jako „boehmisch-schlesisch". Przynależność Śląska do Polski, wprost do państwa polskiego, nie ulega aż do r. 1339 żadnej wątpliwości. Chodziło tylko o to, że niektórzy z książąt polskich, a wśród nich także niektórzy śląscy, *mienili królem polskim kogo innego*, a nie Władysława Niezłomnego i nie Kazimierza Wielkiego.

Od roku 1339 odrywa się szereg książąt śląskich od polskiej korony, ale nie ginie przez to na Śląsku p o l s k o ś ć. Jaki był kiedy w Cieszyńskiem język urzędowy, to niema nic do rzeczy: był czeski, jest niemiecki, bo było panowanie czeskie, a jest niemieckie; do wczorajsza jeszcze o półtorej mili od Krakowa był język urzędowy rosyjski, i cóż z tego? A już specyalnie co do niemczyzny, gdzież ona nie bywała urzędową i gdzie nie chciałaby nią być?!

Zniemczyła się część Piastów śląskich — prawda, ale cóż z tego? Niegdyś obowiązywała zasada: cuius regio, illius religio, t. j. przymus wyznawania tej samej religii, jaką wyznawał panujący. Od potwornej tej zasady jedna Polska wolną była, reszta Europy nie zdołała się uwolnić od niej wśród rzezi wojny 30-letniej, i w pokoju westfalskim 1648 r. proklamowano ją z naciskiem.

[1]) Anonymi descriptio Europae orientalis anno 1308 exarata. Edidit Dr. Olgierd Górka, Cracoviae 1916, str. 55 i 57.

Jakiemż barbarzyństwem nam się to dziś wydaje! Ale cóż powiedzieć o takich, którzy postępują i myślą, jak gdyby istniała zasada: „c u i u s r e g i o, i l l i u s n a t i o“??! A więc lepiej dać spokój argumentowaniu, że książęta się zniemczyli! I my też nie dlatego uważamy Śląsk za swój, że na nim panowali polscy książęta, lecz że na nim siedziała i siedzi ludność polska.

Ze Śląska, ze śląskiej wsi Kamienia, pochodził św. Jacek, Polak niewątpliwy, a polski jego towarzysz, św. Czesław, wprowadził na Śląsk Dominikanów, w przeciwstawieniu do germanizujących już Cystersów i Premonstrantów. Pierwszym zniemczonym biskupem wrocławskim był Przecław z Pogarla, za czasów Karola IV. i naszego Kazimierza W. Udało się królowi polskiemu zapobiedz skutecznie, żeby dyecezyi wrocławskiej nie odrywano od związku metropolii gnieźnieńskiej; jakoż Karol IV. czeski zobowiązał się w r. 1365 nie czynić żadnych starań w tym kierunku [1]). Dopiero w r. 1427 zdarzyło się po raz pierwszy, że biskup wrocławski, Konrad, przeszkodził prymasowi polskiemu odbyć wizytacyę dyecezyi wrocławskiej.

Cały t. zw. Górny Śląsk był w XV. w. krainą czysto polską i ledwie miasta poczęły się odczepiać od pnia narodowego. Nawet Raciborskie było z końcem XV. w. czysto polskie, a samo miasto Raciborz miało jeszcze połowę ludności polskiej. W ciągu XV. w. odbywało się tam osadnictwo czeskie i ci to osadnicy pierwsi stali się materyałem podatnym do niemczenia.

Książęta górnośląscy poprawili się atoli w w. XV. i germanizatorami być przestali. Miewali częstą styczność z dworem polskim, a znamiennem jest to wielce, że przez cały wiek XV. żaden z książąt górnośląskich nie ożenił się z Niemką, ale często żenili się z córami pierwszorzędnych szlacheckich domów polskich.

Cały Śląsk, Dolnego nie wyjmując, miał jeszcze cech polskich sporo, a po wsiach był krajem przeważnie polskim (na południu czysto polskim). Odzyskanie Śląska dla państwa polskiego narzucało się wobec tego współczesnym, jako coś zupełnie naturalnego. Słynny historyk, Jan Długosz, kanonik krakowski, który

[1]) Dogiel: Codex diplomaticus regni Poloniae, Vilnae 1759, tom I, str. 538.

był obecnym w Toruniu podczas układów o zwrot Pomorza i o lenny stosunek Zakonu Niemieckiego do polskiej korony po wojnie 13-letniej z Krzyżakami, tak kończy opis dziejów tej wojny:

„Teraz szczęśliwym mienię siebie i swoich współczesnych, że oczy nasze oglądają połączenie krajów ojczystych w jednę całość, a szczęśliwszym byłbym jeszcze, gdybym doczekał za łaską Bożą także zjednoczenia z Polską Śląska..." Nie zapomniano w Polsce o Śląsku.

Ani też Ślązacy nie zapominali, że są Polakami. W Cieszyńskiem utwierdzał polszczyznę sam dwór książęcy, gdyż księżnami bywały tu w XIV. i XV. w. Polki (dwa razy księżniczki mazowieckie) i rozbrzmiewała na piastowskim zamku mowa polska. Bolko cieszyński i Jan raciborski posiłkują już Polskę przeciwko Krzyżakom w dalszym ciągu „wielkiej wojny" w r. 1414. Na raciborskiem księstwie zasiada księżniczka litewska, córka Zygmunta Korybuta (w r. 1407).

Obok dworu spotykamy szlachtę na wskróś polską, używającą polskich herbów: Kornicz, Wieniawa, Larysz, Śreniawa, Kietlicz, Jastrzębiec, Topór (w Cieszyńskiem są jeszcze w XVIII. w. Tęczyńscy!). Miasta wytwarzają intelligencyę, przyznającą się również do polskiej narodowości. Studyujący w Pradze Ślązacy byli wszyscy zapisani do „narodu" polskiego, a gdy następnie z powodów wyznaniowych przenieśli się do Lipska (żeby uniknąć zetknięcia z husytyzmem) i tam podobnież stanowili „nationem polonicam". Gdy zakwitnął krakowski uniwersytet Jagielloński, przyciągał młodzież śląską ze wszystkich stanów, poczynając od synów książęcych, przysyłanych do Krakowa na dokończenie edukacyi. Na podstawie metryk uniwersytetu Jagiellońskiego możemy oznaczyć z całą ścisłością, ilu uczniów dostarczyło które z miast śląskich w ciągu XV. wieku. Z Opawy było ich najwięcej, bo 85, a z Cieszyna 64; następuje Bielsko z 27 uczniami, Karniów przysłał 19, Skoczów 11, Bogumin trzech. Cyfry są stosunkowo znaczne, jak na małe miasta i miasteczka, kiedy sam Kraków, zaliczany do pierwszorzędnych miast w Europie, nie liczył ponad 40.000 ludności (za czasów Zygmuntowskich, w połowie XVI. w. doszedł jednak do olbrzymiej na owe czasy liczby 80.000).

Jeżeli trzymała się polskość, a nawet przeważała i nadawała cechę ludności w stanie szlacheckim i mieszczańskim, cóż dopiero mówić o ludności wiejskiej, o ludzie? Zacznijmy od stwierdzenia faktu, że poziom tej warstwy był wysoki, czego wskazówką wyraźną fakt, że posyłano wiejskich synów na studya wyższe. Nawet w uniwersytecie naszym Jagiellońskim znajdujemy studentów ze stanu włościańskiego księstwa Cieszyńskiego, a mianowicie zebrało się takich wsi z Cieszyńskiego 17. W r. 1440 był rektorem w Krakowie Jan z Dobry, z księstwa Cieszyńskiego, doktor medycyny.

W r. 1526, po bitwie nad Mohaczem, przechodzą korony węgierska i czeska od Jagiellonów na Habsburgów. Mało komu wiadomy jest szczegół, że wtedy zaprowadzono na Śląsku po raz pierwszy tortury w sądownictwie. Dotychczas obchodzono się bez tego na Śląsku, a stanowi to dowód przynależności Śląska do polskiego świata pojęć kulturalnych, gdyż prawo polskie tortur nie znało, pozostając w tej dziedzinie w jaskrawem przeciwieństwie do prawa niemieckiego.

Wiek XVI., wiek reformacyi protestanckiej, zapisał w kronikach śląskich drugie jeszcze świadectwo odrębności, a nie niższości wcale, polskiej kultury. Oto, gdy w Cieszyńskiem zagraża protestantom prześladowanie, znajdują pociechę w tem, że niedaleko granica polska. Gdy potem po pokoju westfalskim zapanowało prawidło, że władca kraju ma prawo zmuszać poddanych, żeby przyjęli tę wiarę, którą on wyznaje i ludności nakaże, kiedy cesarz Ferdynand III. wydał w r. 1654 surowe przeciw protestantom śląskim zakazy, doszło go przedstawienie z Cieszyna, że „ewangielicy opuszczają miasto, że nie należy dopuścić, żeby rozprószyli się w tak bliskie królestwo polskie". Kiedy w roku 1672 wyszło rozporządzenie cesarskie, zakazujące udzielania ślubów osobom akatolickim, ludność tłumnie przechodziła do Polski. Oto klasyczne świadectwo, że jeszcze w drugiej połowie XVII. wieku panowała w Polsce tolerancya wyznaniowa.

Pokost niemczyzny grubiał z biegim czasu na powierzchni życia publicznego w Cieszyńskiem, ale poza żywiołem napływowym, urzędniczym i poza zniemczoną częścią szlachty i mieszczaństwa, Niemców prawdziwych była ledwie garstka, a wszyscy Niemcy,

prawdziwi rodowici i fałszowani przyczepieni, razem stanowili drobny tylko ułamek ludności. Jakim był kraj pod względem narodowym naprawdę, czyj to był kraj, pokazało się, gdy cesarz Józef I. (1705—1711) przystępował do ustępstw w sprawie wyznaniowej. Delegacya ewangielików prosiła wówczas, żeby im wolno było założyć własną drukarnię, i to celem wydawania książek w języku polskim, „ponieważ ludzie tutaj tylko polski język znają".

Czyż można mieć dowód dosadniejszy, że ziemia cieszyńska przez całe wieki utrzymała się przy swej polskości, że nigdy nie była krajem innego pokroju, jak tylko polskim?

Podnosimy z największym naciskiem ten fakt z pierwszych lat XVIII. wieku, bo stanowi on dowód, że w wieku XIX. nie nastąpiła wcale „polonizacya kraju" (i takie wymysły zdarzają się naszym przeciwnikom), bo nie przestał nigdy być polskim, naszym. Cała historya Cieszyńskiego jest historyą części narodu polskiego — i to jest wielka, mocna, istotna „historyczność" naszych praw.

W księstwie Cieszyńskiem „ludzie" (t. j. ogół ludności) zawsze tylko polski język znali i znają. Kiedy w XVI. w. powstawały nazwiska mieszczańskie, będące zrazu przezwiskami, spotykamy u cieszyńskiego mieszczaństwa takie np. charakterystyczne: Skazichleb, Tłoczykrowa, Trzęsigłowa, Moczygęba, Pędziwiatr i t. p. W dochowanych z lat 1679—1688 spisach nauczycieli w głównych wsiach księstwa cieszyńskiego spotykamy niemal wyłącznie polskie nazwiska: Skoczycki, Zebrzydowski, Nakielski, Szymoński, Moskwa, Celiborski, Broda, Pławieński, Folwarczny, Grabowski, Szotkowski — w następujących gminach: Czechowice, Domasłowice, Frysztat, Grodziec, Hażlach, Końska, Leszna Górna, Rudzica, Skalica, Strumień. Instrukcya ewengielickiej szkoły średniej w Cieszynie nakazuje naukę języka polskiego, jako przedmiotu szkolnego [1]).

Jeżeli trzeba dowodów na to, że włościanin księstwa cieszyńskiego był Polakiem, że wszelka kolonizacya niemiecka średniowieczna od dawna zatraciła ślady, dostarcza ich sporo, i to

[1]) Popiołek, j. w. str. 306, 308—312, 314.

jak najmocniej urzędowych, zajmująca nadzwyczaj historya rozruchów chłopskich w Cieszyńskiem.

Nie mogąc się tu wdawać w sprawy społeczne, a zwłaszcza w stosunek ludu wiejskiego do właścicieli dóbr w Cieszyńskiem, zwracam tylko uwagę historyków polskich, załamujących z rozpaczą ręce nad tem, że stosunek chaty do dworu nie ze wszystkiem bywał chwalebny w państwie polskiem, że to wszystko, co wiemy o położeniu ludu wiejskiego w Polsce, blednieje wobec tego, co działo się z chłopami w Cieszyńskiem (i wogóle na całym Śląsku), pod ustawodawstwem pochodzenia i pomysłu wcale nie polskiego, pod „prawem cesarskiem". Na przełomie XVII. i XVIII. wieku zaczynają się niepokoje, które trwają niemal przez cały wiek XVIII. z niedużemi przerwami, przechodząc kilka razy w krwawe rozruchy. Na tle tych zaburzeń natrafiamy na charakterystyczne dowody polskości kraju, dostarczane przez samąż władzę.

Poprawy doli szukał chłop śląski ucieczką do granicy Polski. Już w r. 1699 i 1709 skarżą się na to Stany śląskie, że włościanie tam „masami uciekają ze wszystkiem". W r. 1714 dowiadujemy się, że „emigracya poddanych śląskich, szczególnie ze wsi, sąsiadujących z Królestwem polskiem, zaczyna być powszechna". W cztery lata zaledwie ponowne skargi i obmyślanie kar za namawianie do takiej emigracyi, aby „odstraszyć skutecznie poddanych śląskich, którzy od kilku lat w coraz większej liczbie zbiegali do Królestwa polskiego. Niedługo potem stwierdza atoli raport, wyprawiony do rządu centralnego w Wiedniu, że „emigracya do Polski wzrasta. Należy więc radzić zawczasu, jeżeli nie mają wydarzyć się nowe rozruchy".

Cesarzowa Marya Teresa wydawała raz wraz odezwy i okólniki do ludu śląskiego, przy której to sposobności rząd wiedeński wystawia niejedno świadectwo historyczne polszczyźnie. Obiecując zająć się sprawą ludu, żądał na razie bezwarunkowego posłuszeństwa i poddania się zwierzchności dworskiej. „Upominamy poddanych, aby się spokojnie zachowywali, czekali na rozpatrzenie sprawy, a tymczasem spełniali bez oporu swe powinności na rzecz panów, do Nas deputacyj nie posyłali, jeżeli nie chcą się narażać na karę cielesną lub nawet gardłową". Upomnienie to wydano także

w polskim języku, żeby nie tylko urzędnicy mogli się z niem zapoznać.

Niebawem kazała cesarzowa przetłumaczyć na polskie patent podatkowy i wogóle rząd począł okazywać włościaństwu pewną sympatyę. Było jednak za późno, a przytem sprawa prowadzona była nad wyraz niedołężnie, biurokratycznie. Chłopi wystąpili tu i ówdzie ze skargami. Zezwolono na przesłuchiwanie ich, a wtedy tłumaczono polskie zeznania chłopów na niemieckie, do urzędowego użytku. Kiedy wkrótce rozruchy wybuchły w górskiej okolicy, w Wiśle i Brennie, urząd obwodowy wydał okólnik w języku polskim. Gdy wyszło w sprawie ludu rozporządzenie z zamku cieszyńskiego, kazano je przetłumaczyć na „język macierzysty", t. j. polski[1]). Panowały więc pod względem językowym te same stosunki w w. XVIII., jak w XVII. i w XVI. i dawniej, bez względu na język urzędowy, czy nim był czeski, czy niemiecki.

W wieku XVIII. wymownym obrońcą polskości staje się bibliografia, jako źródło historyczne. Drukowano zrazu w Brzegu, lecz autorowie byli z Cieszyna. Kiedy w roku 1716 daje się we znaki morowe powietrze, pastor cieszyński, Jan Muthman, wykuwa z tego okazyę do popisania się lojalnością i drukuje w Brzegu książkę w 8-ce, o 118 stronicach, p.-t.:

„Wierność Bogu y cesarzowi czasu powietrza Morowego należąca, a pokazana przez... Sługę Ewanjeliey przi kościele Jezusowym przed Cieszynem" — co dziś posiada dla nas znaczenie dowodu, że w Cieszynie językiem zboru ewangielickiego z początkiem XVIII. w. był polski.

Od tego czasu znamy szereg już nieprzerwany druków ewangielickich polskich, zrazu drukowanych w Brzegu, lecz z Cieszynem związanych, a najczęściej z Cieszyna pochodzących, spisanych w Cieszynie. Pastorem cieszyńskim był Samuel Ludwik Zasadyusz, autor „Drogi do nieba", „Kazań Pokutnych", „Wykładu 10-ga przykazań" i „Mlecznej potrawy ssącym jagniątkom", co wszystko było drukowane w Brzegu (w latach 1725—1730).

Później trochę poczęło drukować na Śląsku duchowieństwo

---

[1]) Tamże, str. 211—218 passim, 236, 250.

katolickie i to polszczyzną trochę gorszą, ale bądź co bądź po polsku. Grubą księgę, obejmującą 608 stronic druku, wydano w Opawie w r. 1761. Autorami jej ks. Jan Judasz Hackenberg, proboszcz w Wędryni; ks. Jerzy Bojtek, proboszcz w Jabłonkowie i ks. Knoebel Franciszek, proboszcz w Goleszowie, a tytuł taki ciekawy, że trudno oprzeć się pokusie, żeby go nie przytoczyć w całości:

„Prawdźiwa Jedźina Do Nieba z Pisma Świentego dokazana droga. To jest: Nauka katolicka Obśiengujonc w sobie, co Pan Jezus objawił, Apostołowie po wszystkim świecie nauczali, a każdy do Zbawienia wierzyć powinien. ...Wydana przes Ksiendzow pod Komorom Cysarskom Ksionżenctwa Cieszyńskiego we Winnicy Pana Jezusowey pracujoncych. Za osobliwym Powoleniu Wierzchności Duchowney, y Świeckiey. W Oppawie, druk. Jan W. Szyndler 1761 (8-ka, str. 5—603)". Widocznie tłocznia opawska nie posiadała czcionek na polskie nosówki, a nie wypadało drukować w jakiej ewangelickiej drukarni.

Jeszcze w 27 lat później nie było drukarni katolickiej w Cieszyńskiem, skoro uciekano się do drukarza berneńskiego. Przytoczymy jeszcze jeden tytuł dosłownie, bo podajemy w ten sposób zarazem „krótko a węzłowato" sporo materyału do dziejów języka w Cieszyńskiem, i jak zaczęto się zapatrywać na polski język śląskiego narzecza:

„Modlitwy z włoskiego przetłumaczone na jenzyk niemiecky a z niemieckiego na ten, który jest w Xionżenstwie Tieszynskim zwyczayny. Z dozwoleniem y Approbacyom Cysarsko-kralowskiey Cenzury. W Bernie, w drukarni Jana Sylwestra Siedlera, priwilegirowanego Typografa 1788 (w 12-ce str. 124) [1]).

Widząc te męki, przez które musiała tam przechodzić polszczyzna, odnosi się wrażenie galileuszowego „E pur si muove". Księża wychodzili ze seminaryów czeskich lub niemieckich, znali języka ojczystego tyle, ile narzecza wynieśli z ojcowskiej chaty, bez gramatyki, a nawet bez nauki pisania w tym języku, a jednak, chociaż pokiereszowany, jakiż to język, ów „w Xionżenstwie Tieszynskim zwyczayny", jeżeli nie polski? I nie jest on nic a nic

[1]) Ks. J. Londzin: Bibliografia druków polskich w Księstwie Cieszyńskiem od r. 1716 do 1904. — Cieszyn 1904.

zgermanizowany (chociaż w tym wypadku zachodzi tłumaczenie z niemieckiego), tylko trochę „podczechizowany", jak świadczy „Tieszynskie" — zamiast „Cieszyńskiego". Ale „Xionżenstwo" świadkiem, że „Tieszynskie" mówi nadal po polsku.

W drugiej połowie wieku XVIII. wychodził tedy na jaw język polski w rozmaity sposób, ale wychodził. Proboszcz ks. Ludwik Heimb, pisywał w tym czasie wiersze polskie [1]). Zanosiło się na pismiennictwo dyalektyczne, podobnie jak w tylu stronach Europy, jak w kilku krajach niemieckich, jak następnie w narzeczach kaszubskiem i podhalańskiem. I byłaby według wszelkiego prawdopodobieństwa powstała literatura śląska wśród polskiej bardzo wcześnie, gdyby nie wymysły niemieckie o jakiemś „wasserpolakisch", wobec czego śląscy autorowie przechodzili umyślnie do języka literackiego, nawet wtenczas, kiedy nie liczyli na żadnego innego czytelnika, jak tylko wyłącznie na lud miejscowy. I lud ten... nie potrzebował tłumaczy!

Z argumentem o „wasserpolakisch" i wogóle o językową odrębność Śląska rozprawiać się dzisiaj, byłoby pomimo „Ślązaka" i jego koteryi, rzeczą śmieszną. To już nawet dla Niemców „ueberwundener Standpunkt"; żaden niemiecki filolog nie weźmie tego na seryo. Wydawanie „Ślązaka" za niemieckie pieniądze świadczy tylko dalej o ogromnem Niemców wstecznictwie, o przestarzałości broni, którą walczą. Uważamy atoli, że to jest... wewnętrzna sprawa niemieckich sfer ze Śląska. Jeżeli komu z nich podoba się dalej jeszcze wojować zarzutem o „wasserpolakisch", niechże sobie zada trochę trudu poznać bliżej język własny, niemiecki, a przekona się i zdumiony będzie, ile też w Niemczech jest „wasserdeutsch"!

Nie zaginęła nigdy świadomość, że mowa śląska, to polskie narzecze. Wymowny mamy do zapisania fakt z r. 1848, który stwierdzimy również w formie notatki bibliograficznej:

Ustawy Towarzystwa Cieszyńskiego dla wydoskonalenia się w języku polskim. Statuten fuer den Teschner Verein zur Ausbildung in der polnischen Sprache. W Cieszynie, 29 października 1848. Gedruckt bei Karl Prochaska", fol., str. 2.

---

[1]) Popiołek, j. w. str. 318.

Od tego czasu wyszło już przeszło tysiąc polskich druków na obszarze samegoż Księstwa Cieszyńskiego.

Sądzę, że po tym przeglądzie nikt nie będzie wątpił o doskonałej „historyczności“ naszych praw do Cieszyńskiego. Był to kraj od początku polski, który nigdy polskim być nie przestał. Polskość Cieszyńskiego nie ulega wątpliwości.

Dr. Feliks Koneczny.

Ze sztuki spółczesnej w krakowskiem Muzeum Narodowem.

I.

Malczewski. — Wyczółkowski. — Fałat.

Jedyna w swoim rodzaju no ziemiach polskich instytucya, jaką jest Muzeum Narodowe w Krakowie, podziela los wielu innych instytucyj, mających pierwszorzędne znaczenie dla naszej kultury, a mianowicie nie doznaje należytego poparcia ze strony czynników miarodajnych, względnie całego społeczeństwa. Jesteśmy dumni z tego Muzeum, zawierającego wspaniałe okazy polskiego dorobku artystycznego, lubimy chwalić się niem przed obcymi, czasem je zwiedzamy — ale na tem koniec. Prasa nie zajmuje się niem wcale, hojni dobrodzieje rzadko pamiętają o niem w swych zapisach, główny zaś opiekun i nominalny właściciel — miasto Kraków — obchodzi się z niem dość ozięble.

Skutek tego wszystkiego jest taki, że Muzeum ma do swego rozporządzenia tylko cztery tysiące koron rocznie na zakupno dzieł sztuki, oraz wszelkiego rodzaju zabytków (aż po wykopaliska przedhistoryczne), wyliczonych w §§ 3 i 4 statutu muzealnego.

Ramy niniejszego artykułu nie pozwalają na szczegółowe przedstawienie całego, wielce skomplikowanego aparatu, który musi być w ruch puszczony, gdy chodzi o nabycie dla Muzeum jakiegoś cenniejszego dzieła sztuki. Koniec końców, Muzeum posiada do swego

bezpośredniego rozporządzenia wyżej podaną, śmiesznie małą kwotę. Wprawdzie Muzeum nasze nie może mieć pretensyi do dotacyj muzeów po stolicach europejskich, ale jego dyrektor powinien rozporządzać co roku kwotą przynajmniej dziesięć razy większą na zakup motu proprio dzieł sztuki — jeżeli ma ono należycie spełniać swe zadanie.

A zadanie to jest dwojakiego rodzaju: Muzeum powinno gromadzić i rzeczy, odnoszące się do przeszłości i trzymać rękę na pulsie sztuki spółczesnej. Na całym obszarze ziem polskich posiadamy, oprócz Muzeum krakowskiego, dwie tylko podobne, ale nie identyczne instytucye: Muzeum Narodowe (dawniejsza Galerya miejska) we Lwowie i Galeryę przy warszawskiem Towarzystwie Zachęty Sztuk pięknych. Z faktycznego przecież stanu rzeczy wynika, że choć gród podwawelski stracił do pewnego stopnia swe dawne znaczenie, jako główne siedlisko sztuki polskiej, to nie przestał w niej przodować, choćby już dlatego, że mieści w swych murach Akademię sztuk pięknych, na którą jeszcze dziś pada blask geniuszu mistrza Jana. Stąd też przychodziłoby łatwiej tutejszemu Muzeum nabywanie z pierwszej ręki najznamienniejszych okazów sztuki spółczesnej, niż analogicznym instytucyom we Lwowie lub Warszawie, gdyby tylko miało potrzebne do tego fundusze. Wtedy rozwijałoby się, jak należy, bo posiadá inne, ku temu potrzebne warunki.

A więc, na jego czele stoi od szeregu lat tak wytrawny znawca sztuki, jak Dr. Feliks Kopera, odznaczający się rzadką u dyrektorów muzealnych zaletą, t. j. zrozumieniem dla wartości sztuki spółczesnej. Jestto estetа, który z równem umiłowaniem patrzy i w przeszłość i w teraźniejszość sztuki. Dalej, jak tylko nastaną normalne stosunki, znajdzie Muzeum wspaniałe a nader oryginalnie urządzone pomieszczenie — w budynku poszpitalnym na Wawelu — dla swych zbiorów historycznych, podczas gdy galerya sztuki spółczesnej i nadal będzie się mieściła w górnych salach Sukiennic.

Te kilka słów, wyjaśniających faktyczny stan rzeczy, uważałem za konieczne umieścić na wstępie, aby wyjaśnić czytelnikowi, że jeżeli Muzeum Narodowe nie jest tak zasobnem w dzieła z ostatnich trzech dziesiątków lat naszego malarstwa i naszej rzeźby, to nie wina jego zarządu, lecz wina fatalnego zbiegu okoliczności, przedewszystkiem zaś wina czynników miarodajnych, które okazują karygodną obojętność wobec gromadzenia zbiorów sztuki rodzimej.

* * *

Galerya sztuki spółczesnej Muzeum Narodowego liczy obecnie npoad pół tysiąca okazów. Jestto liczba sama dla siebie poważna, lecz pomimo tego rzeczona galerya nie daje pełnego pojęcia o sztuce polskiej, od jej narodzin, aż po czasy obecne[1]). Brakuje w niej bowiem dzieł wielu wybitnych artystów. Także i dzieła, znajdujące się w Muzeum, niezawsze dają wyczerpujący obraz działalności danego malarza lub rzeźbiarza. Np. z prac Ruszczyca, Sichulskiego, Stachiewicza, Tetmajera, Lentza i t. d. niepodobna byłoby wyrobić sobie pojęcia o ich autorach. A prac takiego Okunia, Wygrzywalskiego, Antoniego Piotrowskiego, Stabrowskiego, Wojciecha Kossaka, Tondosa i w. in. niema wcale w Muzeum. W dodatku zarząd Muzeum nie tylko nie wystawia odrazu wszystkich dzieł sztuki spółczesnej, będących w jego posiadaniu, ale nawet nie wystawia tych w całości, co są wymienione w katalogu z r. 1916[1]). Dzięki temu systemowi częściowego wystawiania swych dzieł sztuki jest Muzeum krakowskie wśród muzeów europejskich osobliwym unikatem, którego zbiory ogląda się „na raty" i w przyszłości będzie się je tak oglądało, boć z górnych sal Sukiennic usunięto już zbiory historyczne, mające znaleść pomieszczenie w budynku poszpitalnym na Wawelu.

Pomimo jednak tych braków, przedstawia się Muzeum na ogół imponująco, a szczęśliwym zbiegiem okoliczności posiada znaczną ilość dzieł artystów, których nazwiska umieściłem w nagłówku.

---

[1]) Dokładne ustalenie dat dla początku, względnie końca, rozmaitych epok w dziejach sztuki, jest niemożliwem, zbyt ściśle bowiem splatają się one ze sobą. Tak samo też trudno ustalić datę narodzin spółczesnego malarstwa polskiego. Sądzę jednak, iż bez obawy wielkiej pomyłki możnaby przyjąć w tym wypadku rok 1865-ty, w tym roku bowiem Grottger stał w pełni rozwoju swej twórczości, Matejko wykonał „Kazanie Skargi"; tę pierwszą rewelacyę swego geniuszu, Gerson zaczął malować „Opłaksne apostolstwo" a Juliusz Kossak był u szczytu popularności, jako malarz i rysownik.

[1]) Zarząd Muzeum hołduje widocznie zasadzie — zresztą chwalebnej — aby wieszać na ścianach obrazy i ustawiać rzeźby jak najrzadziej, celem uniknięcia przepełnienia. Dlatego też chowa on część zbiorów muzealnych w pakach. Biorąc jednak na uwagę względną szczupłość pomieszczenia w Sukiennicach, możnaby śmiało rozgrzeszyć zarząd, gdyby rozwieszał obrazy znacznie gęściej — bo „muzeum w pakach" jest, koniec końców, nonsensem.

Przy tej sposobności zwracam uwagę zarządu muzealnego na niewłaściwość wieszania obrazów w odwrotnem świetle, niż były malowane („Autoportret Bilińskiej", „Portret Wiktora Osławskiego" Axentowicza). Jestto, conajmniej, nieuwaga i niedelikatność i wobec dzieła sztuki i wobec artysty jego autora, a błąd kardynalny w odniesieniu do urządzenia Muzeum.

Sztuka spółczesna polska, właściwie malarstwo — ewolucya rzeźby jest odmienną — przeszła już dwa okresy rozwoju, a teraz znajduje się w trzecim. Pierwszy okres, sięgający mniej więcej po koniec lat 80-tych, możnaby zatytułować „historyczno-rodzajowym"; drugi — sięgający do pierwszych lat XX-go wieku, dałby się nazwać „pejzażowo-impresyonistycznym"; ostatni wreszcie — powinienby nosić miano „okresu symbolizmu i nastrojów". Pierwszego z nich typowymi przedstawicielami są: Grottger, Matejko, Gierymski Max, Kossak Juliusz, Brandt; drugiego — Malczewski, Podkowiński, Gierymski Aleksander, Wyczółkowski, Fałat, Stanisławski, a trzeciego — Wyspiański, Okuń, Sichulski.

Trzeba naturalnie o tem pamiętać, że powyższa klasyfikacya jest tylko w przybliżeniu dokonanym podziałem, nie mającym pretensyi do ścisłości, a następnie, że wielu artystów należy w ciągu rozwoju swej twórczości do dwóch, a niektórzy, jak Malczewski, do trzech nawet okresów, po sobie następujących.

Obecnie zamierzam dać rzut oka na charakterystykę niektórych luminarzy naszego spółczesnego malarstwa, z drugiego i pierwszego okresu, biorąc za punkt wyjścia ich dzieła, znajdujące się w Muzeum Narodowem.

* * *

Jacek Malczewski[1]), pierwszy z obecnie żyjących malarzy naszych, jest artystą, co doszedł do tego stanowiska zarówno przez swe wielkie zdolności, jak i przez swą wielką pracę, które, wzięte razem, stanowią istotę geniuszu. I choć jeszcze za blisko stoimy wobec jego twórczości, aby można było dać jej dokładną jej syntezę, ale to fakt niezaprzeczalny, że budzi ona już teraz podziw, zachwyt i głę-

[1]) Ur. 1855 r. w Radomiu ze starej rodziny szlacheckiej. Po ukończeniu w r. 1877 krakowskiej Szkoły Sztuk Piękn. pod Matejką, którego był uczniem ulubionym, wyjeżdża do Paryża, gdzie uczy się dwa lata pod prof. Lehmanem w „Ecole des beaux arts". Następnie odbywa dłuższą podróż na Wschód i do Włoch z hr. Karolem Lanckorońskim. Przepędziwszy rok w Monachium, wraca w r. 1886 do Krakowa, gdzie się żeni w roku następnym. Od r. 1895 do 1900 jest nadzwyczajnym profesorem krakows. Akademii Szt. piękn. a w r. 1910 zostaje znów jej profesorem zwyczajnym.

Malczewski jest najpłodniejszym, obok Matejki, malarzem polskim. Już w r. 1903 odbyła się we Lwowie wystawa 100 jego dzieł, które przedstawiały mniej niż $^2/_3$ jego całej produkcyi artystycznej, niesłabnącej wcale pomimo, że przekroczył sześćdziesiątkę.

bokie refleksye — obok żadnego, większego lub mniejszego obrazu Malczewskiego nie można przejść obojętnie.

O kolejnych momentach rozwoju jego twórczości dają dość jasne wyobrażenie prace, zgromadzone w Muzeum, począwszy np. od rysunku „Ostatni“ z r. 1878-go, aż do „Portretu Stanisława Tomkowicza“, malowanego w r. 1913-tym.

Co się tyczy tego portretu, to mógłby o nim powiedzieć Malczewski to, co powiedział Matejko, gdy krytykowano portret Szujskiego, przezeń namalowany: „Szujski może nie jest takim na moim portrecie, jak w naturze, ale jest takim, jakim być powinien“. Na tem właśnie gruntuje się wartość prawdziwie artystycznych portretów, że nie są niewolniczem powtórzeniem natury, że malarz rezerwuje sobie w nich wolną rękę do stworzenia nie kopii, lecz dzieła oryginalnego. Po latach kilkudziesięciu obojętnem będzie, jak rzeczywiście wyglądał jakiś jegomość, o tem będą zresztą świadczyły jego fotografie, ale jego portret, namalowany, dajmy na to przez Malczewskiego, pozostanie dziełem sztuki, nabierającem coraz większej wartości z biegiem czasu. Pewna doza podobieństwa jest jednak conditio sine qua non dla portretu, lecz podobieństwa nie fotograficznego, ale podobieństwa typu, w którego oczach, rysach twarzy, rękach i całej wreszcie postaci przebija się indywidualność portretowanego. Pamiętać jednak trzeba, że między modelami zachodzą wielkie różnice. Czasem malarz nie jest w stanie wzbudzić większego zajęcia podobizną, przez siebie malowaną, bo fizyognomia portretowanego zbyt mało była interesującą. Z takiego portretu wyjść zwycięsko, t. j. nie popaść w płaską banalność, umieją tylko tacy wirtuozi w swym kunszcie, jak Malczewski.

Rozpatrując się w portretach Malczewskiego, a także w autoportretach, których namalował kilkanaście, spostrzegamy w nich pewną szczególniejszą właściwość. Jest nią jakby rozdwojenie się jaźni artysty przy tworzeniu portretu: jeden malarz wykonuje sam portret, drugi — jego tło, które zazwyczaj bywa samoistną kompozycyą, pozostającą w luźnym związku z osobą portretowanego. Te często zagadkowe kompozycye w tle portretów są specyficzną właściwością Malczewskiego i sprawiają, że jego portrety stanowią jakby organiczną całość z zagadkowemi jego kompozycyami ostatniej doby. Podczas gdy najsłynniejsi portreciści spółcześni, że wspomnę tylko Bonnata i Lenbacha, starannie unikali

wszystkiego, co odrywałoby uwagę od głowy portretu, a więc nawet draperyi w tle — Malczewski ryzykuje coś wprost przeciwnego. Stwarza sam sobie przez to olbrzymie trudności, ale też i nadaje swym portretom odrębny urok. Wyjątkowo tylko tło, jak np. w „Portrecie Stanisława Tomkowicza“ — lekko zaznaczone stare mury Krakowa — nie przedstawia zagadki i dobrze odpowiada osobie portretowanego, znawcy i miłośnika przeszłości tego grodu.

Przy swej metodzie malowania, polegającej na dosadnej charakterystyce indywidualności portretowanego, idzie niekiedy Malczewski tak daleko, że ociera się o karykaturę. Mam tu na myśli — rzecz oczywista — nie ową degeneracyę sztuki, jaką jest karykatura malarzy bez talentu, lecz tę, którą wielcy malarze, jak Lionardo da Vinci, lub Matejko, uprawiali, gdy, na chwilę opuściwszy Olimp, schodzili w dobrym humorze pomiędzy zwykłych śmiertelników. I ta właśnie cecha, oprócz innych zalet, zapewnia niektórym jego portretom niespożytą wartość, bo w każdej, tak dosadnie na płótno przeniesionej osobistości, tkwi cząstka danej epoki, podobnie jak w portretach Velasqueza, Rembrandta, Ary Scheffera. W tym rodzaju typowym jest „Portret F. J.“ (Muz. Narod.), w którym niewiadomo, co więcej podziwiać, czy mistrzostwo techniki, czy bajeczną, psychologiczną charakterystykę.

Czasami maluje Malczewski portrety w plein air'ze; najczęściej jednak wykonuje je w zamkniętem oświetleniu pracowni. Ale i na takich podobiznach daje przeważnie za tło wolną przestrzeń — zwykle rozległy krajobraz, w którym jako stafaż umieszcza owe zagadkowe, symboliczne postacie i całe sceny, jakie tak obficie rodzi jego bujna wyobraźnia. Na coś podobnego może sobie pozwolić tylko taki jak on, majster. Tego rodzaju licencya komu innemu by nie uszła, boć głowa, portretowana na tle krajobrazu, musiałaby posiadać zupełnie inny światłocień, niż malowana w przestrzeni zamkniętej. Mistrze odrodzenia i ich poprzednicy pozwalali sobie na takie licencye, gdy scenom, malowanym w pracowni, dawali za tło pejzaż, ale ich tłómaczy nieznajomość różnicy między oświetleniem pracownianem, a oświetleniem na wolnem powietrzu. Obecnie atoli, gdy malarz tę różnicę ignoruje, to popełnia błąd świadomy, wychodząc, jak Malczewski, prawdopodobnie z założenia, że taka „nieprawda realna“ jest zbyt małej wagi wobec innych, transcedentalnych celów sztuki.

Te tła portretowe, nie mówiąc już o tłach w kompozycyach, nieraz o bardzo dalekiej przestrzeni, dają Malczewskiemu sposobność do malowania krajobrazów w sposób, nie ustępujący malowaniu ludzkiej

postaci. Zamało w ogóle zwraca się uwagi na Malczewskiego, jako na niepospolitego pejzażystę. Natomiast często słyszy się, względnie czyta, frazes, mianujący go „polskim Böcklinem", a to z racyi jego symbolistyki i nastroju. Założenie tego frazesu jest błędne, bo owa analogia symbolistyki to tylko pozór, a jeżeli istnieje jakieś pokrewieństwo duchowe między nim i Böcklinem, to opiera się na tem, że obaj są, każdy w swoim rodzaju, mistrzami krajobrazu.

Tak dramatycznych efektów, jak Böcklin swym południowym pejzażem, nie może osiągnąć Malczewski, malujący tylko pejzaż małopolski lub mazowiecki. Zato wrażenie uczuciowe pejzażu Malczewskiego nie ustępuje wrażeniu, które się odbiera z muzyki Szopena. Jakiś trudny do opisania czar swojskości, jakaś tęsknota, jakiś „żal", o którym tak cudnie pisze Przybyszewski, napływają silną falą do duszy, gdy się ogląda te proste, a tak pełne poezyi widoki....

I przy nich należy także podnieść, że artysta nie jest zwykłym naśladowcą przyrody. On tworzy krajobraz polski na podstawie jego motywów charakterystycznych. Malczewski odznacza się wprost fenomenalną pamięcią malarską, co uwalnia go od ślęczenia nad studyami pejzażowemi. Przed szeregiem lat widziany motyw nie zaciera się w jego pamięci i służy mu w danym razie do stworzenia nastrojowego krajobrazu. Drobiazgowość szczegółów czyni przytem łudzący efekt prawdy, tak, że krajobraz Malczewskiego nie wydaje się nigdy sztucznym, jak np. u Klimta. Pomimo dość znacznego zwykle wykończenia, krajobrazy, służące za tło w portretach Malczewskiego, nie wyrywają się naprzód, widz przechodzi do rozpatrzenia się w nich, obejrzawszy wprzód samą podobiznę.

Podniósłszy piękno polskiego krajobrazu, który z takiem umiłowaniem odtwarza Malczewski, należy równocześnie stwierdzić, że jestto malarz w swej produkcyi nawskróś polski. Dla techniki malarskiej podziwiają go cudzoziemcy, lecz nie rozumieją. Matejko, choć także gorący patryota polski, był przystępniejszy dla obcych, bo przemawiał do widza za pomocą pompy historycznej, ale Jacek Malczewski, którego dzieła są emanacyą spółczesnej duszy polskiej, z jej głębią i wszystkiemi subtelnemi właściwościami, pozostanie dla nich zagadką. Polskość Malczewskiego uderza z żywiołową siłą z jego licznych „Etapów", ze „Śmierci wygnanki", ze „Śmierci Elenai" (Muz. Narod.), z takiego arcydzieła sentymentu i gorącego patryotyzmu, jak „Wilia wygnańców" (Muz. Narod.), z „Polonii" i całego mnóstwa innych dzieł, których wyliczenie zajęłoby zbyt

wiele miejsca. Nawet tam, gdzie artysta schodzi z koturnów i maluje taki zabawny obrazek, jak „Umizgi fauna“ (Muz. Narod.), humor jego jest czysto swojski, ma w sobie coś z Reja, czy Wacława Potockiego. To też my, Polacy, rozumiemy go i wielbimy, a gdy kiedyś będzie mu stawiany pomnik, to nie Sława, lecz Polska będzie wieńczyła wawrzynem skroń jednego ze swych najgenialniejszych synów i najgorętszych miłośników. (C. d. n.).

Józef Trepka.

„Filar i utwierdzenie prawdy"[1].

Przyniesiona na świat dobra nowina o niebieskim Ojcu, godzącym ze sobą grzeszną ludzkość przez jedynego pośrednika między sobą a ludźmi, Jezusa Chrystusa, już w samem zaraniu wystawioną była na niebezpieczeństwo skażenia ze strony próżnej mądrości ludzkiej. Obok autentycznych głosicieli prawdy objawionej, apostołów, wystąpili na widownię zaraz w pierwszym wieku pseudo-prorocy i pseudo-doktorzy, usiłujący stopić w jeden amalgamat naukę o Jezusie Chrystusie z fantastycznemi mrzonkami różnych ówczesnych systemów filozoficznych, chełpliwie szczycących się mianem g n o z y, czyli wiedzy. Ta chełpliwa ówczesna „wiedza" usiłowała przedrzeć się w zaświaty i odkryć tajemnice wszechbytu w wieczności. Klejąc niezdarnie okruchy filozofii greckiej, zwłaszcza platońskiej, ze wschodniemi mitami i podaniami, tworzyli gnostycy całe szeregi stopni w rozwoju odwiecznego prabytu i długie rodowody fantastycznych istot, mających być emanacyami bóstwa, t. zw. eonów. Jezus Chrystus, według tych nauczycieli, miałby być jednym tylko z takich pośrednich ogniw w rozwoju bóstwa i to ogniwem nie najdoskonalszem, nie pierwszem ani ostatniem, ale czemś bardzo pośredniem, jednym w szeregu eonów. Skażeniu prawdy o Jezusie Chrystusie towarzyszyły i błędy w dziedzinie moralności, wypływające przedewszystkiem z dualistycznego na świat poglądu, według któ-

[1]) Z cyklu odczytów o Kościele, mianych w Krakowie w r. 1916—17.

rego widzialny świat i materya jest z natury swej czemś złem i potępienia godnem.

Nauki gnostyckie, obiecujące dać rozwiązanie wszystkich zagadek o wszechświecie, eksploatując przedewszystkiem bujną wyobraźnię wschodnią, znajdowały posłuch nawet wśród neochrześcijan i wielu z nich od prawdziwej wiary odwiodły. Stąd zrozumiałemi nam się stają, przewijające się już przez listy św. Pawła apostoła, troski i napomnienia, aby nie wierzono tym głupim baśniom i gadkom, nie bawiono się nieskończonem wyliczaniem rodzajów „eonów“, lecz aby trzymano się prostej i zdrowej nauki, złożonej od początku w przepowiadaniu apostołów, aby nie chwiano się, jak liść pod podmuchem wiatru, to w jedną, to w drugą stronę. (Tym .1, 4; Ef. 4, 14). Tą troską powodowany, pisze wielki Apostoł i do ucznia i zastępcy swego w Efezie, Tymoteusza, obszerny list, pouczając go, jak ma sobie poczynać z rozsiewaczami błędu i zgorszenia. Wszystkie wskazówki streszczają się w jednej zasadzie: pilnować depozytu wiary i trwać „w domu Bożym, którym jest Kościół Boga żywego, f i l a r i u t w i e r d z e n i e p r a w d y“ (I. Tym. 3, 15).

Nietykalność zwierzonego skarbu nauki objawionej, jej niezmienność i nieomylność, tkwiła zawsze w świadomości chrześcijan. Na straży tego skarbu stali biskupi, uważając się za spadkobierców apostołów, i sobie, ustami Ireneusza, biskupa Lyonu, przypisywali „charisma veritatis certum“, pewny dar prawdy wobec powodzi doktryn ludzkich. W poczuciu posiadania prawdziwego Bożego objawienia, wierząc, że z nimi, jako z pasterzami Kościoła, jest Chrystus do skończenia wieków, że im nie odmawia swego światła i kierownictwa Duch prawdy, którego Chrystus przyrzekł zesłać, aby uczył wszelkiej prawdy (Jan 16, 13), biskupi uważali zawsze za swój święty obowiązek strzedz powierzonej sobie trzody od zarazy błędu. W poczuciu tego obowiązku wystąpili też do walki z gnostycyzmem i takowy zwalczyli. Pod koniec II. wieku wystąpił montanizm, przypisujący sobie przywilej odbierania wprost od Ducha św., pomimo i wbrew hierarchii kościelnej, nowych objawień; lecz i ta pretensya upadła wobec czujności biskupów. To samo się powtórzyło z manicheizmem, to samo

z rozmaitymi illuminatami średnich wieków. To samo dzieje się i dzisiaj, choć wrogie wierze kierunki myśli ludzkiej występują już więcej pod mianem nauki ścisłej.

Normą wiary religijnej ma być t r a d y c y a; treścią raz dane i w Chrystusie zamknięte O b j a w i e n i e Boże; stróżem tej treści, regulatorem tradycyi jest h i e r a r c h i a kościelna, episkopat z papieżem na czele, jest ów Kościół uczący, „filar i utwierdzenie prawdy“, — oto zasady, któremi żyje, trwa, rozwija się i zwycięża katolicyzm.

I.

Przeciwko żadnej stronie działalności Kościoła katolickiego nie podnosi obóz niewierzących takich zarzutów, jak przeciw nauczycielstwu kościelnemu. Kościół przez swą naukę o życiu zagrobowem, o Opatrzności, kierującej losami ludzkości z góry, o znikomości rzeczy stworzonych, o grzeszności ludzkich uciech i rozkoszy, ma zabijać w jednostkach, a przez nie w społeczeństwach, ducha inicyatywy, zaufanie w rozum ludzki i jego postęp, ma paraliżować siły człowieka i opóźniać rozwój kultury, zaszczepiać apatyę do rzeczy ziemskich dla wymarzonych niebieskich. Kościół przez swoje praktyki i sakramenta, przez kult relikwii i obrazów, materyalizuje samo uczucie religijne i zwraca je do pierwotnych form, podtrzymując tym sposobem ciemnotę i zabobonność pospólstwa; a czyż taka ciemnota nie jest najgorszą zawadą w pochodzie cywilizacyjnym ludzkości?

Dalej Kościół przez swoje zaskrzepłe w starych formułach dogmaty ma hamować postęp ku prawdzie. Katolik, otrzymujący w nauce kościelnej gotowy pogląd na cały świat, na początek i przeznaczenie wszechrzeczy, gotową kosmologię i antropologię, jest niezdolny do uczestnictwa w intellektualnych zdobyczach duchów niezależnych, gdyż nie mógłby przyjąć wyników współczesnej nauki i filozofii, nie zapierając się swej wiary, której na tylu punktach też wyniki zaprzeczają. Zresztą traci interes do samodzielności umysłowej, skoro wszystko gotowem od Kościoła dostaje. Dla jednych, — przytaczam wciąż zarzuty, — nauka

kościelna jest środkiem, usypiającym ich zdolności umysłowe, dla drugich, umysłów więcej czynnych i samodzielnych, — jest tyranią nie do zniesienia. Czyż samo istnienie takiej instytucyi, jak Indeks książek zakazanych, nie świadczy o tyranii Kościoła nad umysłami ludzkimi? Czy nie wyrządza Kościół krzywdy swym wiernym, zamykając im, pod grozą kar wiecznych, dostęp do zdobyczy największych umysłów ludzkości, przytem ubocznie stwierdzając bezsilność swojej nauki wobec nauki świeckiej, która wszak nie potrzebuje indeksu ani kar, aby prawda tryumfowała?

Oto, mniej więcej, tak wyglądają zarzuty, jakimi obarczany jest katolicyzm, a w szczególności urzędowe jego nauczycielstwo, które się samo uważa za filar i umocnienie prawdy!

Jakie stanowisko ma zająć wobec tych i tym podobnych zarzutów katolik — mam oczywiście na myśli katolika inteligentnego? — jakie stanowisko wynika z założeń ducha katolicyzmu? Jak przekonać siebie i innych, że Kościół jest filarem i umocnieniem prawdy, nie zaś cytadelą fałszu i obskurantyzmu, jak chcą jego przeciwnicy i krytycy?

Jednym ze sposobów odpowiedzi byłoby raczej uchylić samo pytanie. Tak niektórzy usiłowali bronić Kościoła. Mianowicie starali się rozgraniczyć zupełnie dziedziny wiedzy i wiary, nauki i teologii. Są — mówili — pewne dziedziny bytu, dostępne dla przyrodzonego rozumu, i te stanowią teren nauki; ani wiara, ani Kościół na ten teren nie wchodzą i nic do powiedzenia nie mają. Zato są inne krainy, do których ani wzrok, ani umysł ludzki nie sięga; z tych krain przynosi nam Objawienie Boże zbiór prawd, które przyjmujemy wiarą; tu znowu nauka ludzka nie ma nic do powiedzenia. Zarzut, czyniony Kościołowi o wrogie stanowisko względem nauki upada sam przez się, wobec faktu, że dwie te dziedziny nie mają sposobności wejść w kolizyę, jak nie mogą wejść w kolizyę niebo i ziemia. A co nauce do tego, jeżeli wiara służy i zadosyć czyni jakiejś potrzebie psychiki ludzkiej, potrzebie religii, której ona, nauka, zaspokoić nie może?

Niestety, trzeba przyznać, że takie zupełne rozgraniczenie dwóch dziedzin jest niemożliwe, i apologeta, któryby z niego wy-

chodził, dawałby dowód, że obawia się zajrzeć trudności prosto w oczy. Antagoniście nie trudno byłoby z historyą w ręku dowieść, że takie rozgraniczenie nie było znanem teologii średnich wieków, że zatem jest nowe; a czyż ta nowość nie jest równoznaczna z kapitulacyą Kościoła? Chyba nikt dzisiaj nie wątpi, że astronomia należy do dziedziny nauk świeckich, jako gałąź znajomości przyrody, a wszak Kościół wydawał w tej dziedzinie swe sądy i wyroki, potępiając Galileusza, umieszczając na Indeksie dzieła Kopernika. Tych faktów przeczyć nie możemy, a jako pierwszy warunek apologetyki katolickiej winniśmy zachować lojalność względem faktów i względem naszych przeciwników.

Przeciwko zupełnemu rozgraniczeniu wiary i wiedzy świeckiej można jeszcze zaprotestować a priori. Prawda, że nauki przyrodnicze za bezpośredni swój przedmiot mają zjawiska, ich wzajemne stosunki i bliższe przyczyny. Gdyby chodziło o proste rejestrowanie i opis faktów, pewno nauka nie potrzebowałaby się obawiać spotkania z wiarą. Ale nauki nie można zacieśniać do funkcyi prostego fotografa rzeczywistości i registratora. Ona wszak musi określać rządzące zjawiskami prawa, prawa te uogólniać, dążyć do coraz wyższej syntezy, a zatem przechodzić już w filozofię. Uczony wszak dążyć będzie do utworzenia sobie poglądu na całość wiedzy i bytu, czyli zbuduje sobie jakiś „światopogląd“. Z drugiej strony wiara, głoszona przez Kościół, nie ogranicza się do określenia wewnętrznego stosunku duszy do jakiegoś niepoznawalnego, ale daje pewne określone odpowiedzi na to, czem jest Bóg, owszem także czem jest człowiek, jaki jego początek i przeznaczenie; wiara również podaje pewne prawdy, dotyczące wszechświata, natury, a to są przecież zarazem przedmioty wiedzy i opartej na niej filozofii. Uczony tedy, badający te dziedziny i pozwalający sobie na głębsze zagadnienia co do istoty i początków rzeczy, musi się spotkać oko w oko z nauką wiary.

Ba, nauka, biorąc za swój przedmiot człowieka, bierze go takim, jakim on jest, a zatem z jego pojęciami etycznemi i z jego religią; dla niej więc te wyższe przejawy duszy ludzkiej są faktami, które ona, na równi z innymi faktami, chce zbadać, zana-

lizować, wykryć ich początek i ustalić rządzące niemi prawa. Jakże się tu nie spotkać z nauką wiary, skoro ją samą bierze się pod swój skalpel?

Obok nauk przyrodniczych, obok filozofii i psychologii, występują nauki historyczne. Tu znowu pole spotkania się z głoszoną przez Kościół wiarą. Wszak samo powstanie chrystyanizmu jest faktem w dziejach ludzkości; czyż historya mogłaby skreślić ten fakt ze swych kart, dlatego tylko, że wiara uważa ten fakt za zjawisko Boskiego pochodzenia? A cała historya narodu żydowskiego czyż miałaby przestać być przedmiotem świeckiej nauki, dlatego tylko, że wiara widzi w niej szczególne objawienie się rządów Opatrzności?

Prawda, że wiara ma cały szereg tajemnic, niedostępnych dla nauki świeckiej, jak tajemnicę Trójcy, Wcielenia, Odkupienia, Eucharystyi i t. d., ale trzeba przypomnieć sobie, że te tajemnice bynajmniej nie wyczerpują całej nauki wiary, a powtóre, że nawet w nich można stawiać pewne kwestye z punktu nauk świeckich, kwestyonując np. Trójcę w imię logiki czy matematyki, a Eucharystyę w imię fizyki i chemii.

Moglibyśmy jeszcze pomnożyć liczbę punktów, w których się spotykają nauki świeckie z nauką wiary, głoszoną przez Kościół, ale i przytoczonych przykładów dosyć. Na podstawie ich trzeba lojalnie uznać, że zupełne rozgraniczenie sfery nauk świeckich od sfery nauki kościelno-religijnej jest niemniej niemożliwe, a zatem chimeryczne, jak na polu życia publicznego niemożliwym jest zupełny rozdział Kościoła od państwa [1]).

Nie, tą drogą nie rozwiążemy narzucającej się kwestyi konfliktu wiary z nauką i rozumem.

Pod koniec ubiegłego stulecia począł się krystalizować w umysłach niektórych uczonych katolickich pewien system, który obiecywał konflikt ten zadawalniająco rozstrzygnąć. Korzonki tego systemu dałyby się wyśledzić w myśli ubiegłych stuleci, — boć nic nowego pod słońcem, — bliższego źródła należy szukać w pewnych kierunkach liberalnego protestantyzmu, jak-

[1]) Aluzya do odczytu poprzedniego, zob. P. P. czerwiec.

kolwiek hołdujący temu systemowi katolicy może nie zawsze sami to widzieli, a przynajmniej przeciwko takiej filiacyi się zastrzegali. System ten został nazwany modernizmem i jako taki przez Piusa X. papieża odrzucony.

Może byłoby niesprawiedliwością oskarżać modernistów o świadomy zamiar podkopania wiary katolickiej i zaszkodzenia własnemu Kościołowi; wiele danych przemawia za czemś wręcz przeciwnem. Wielu myślących katolików bolało nad rozbratem, jaki brała nauka świecka z wiarą; szukano tedy sposobu, w jakiby dało się przerzucić most nad przepaścią, by po nim oddalony od wiary świat uczony z powrotem do Kościoła sprowadzić. Dobre intencye jednak może tłómaczą, ale nie usprawiedliwiają popełnionych błędów. Modernistyczna apologetyka wiary zaczynała od tego, że niewierzącym przyznawała zbyt wiele racyi. „Tak — bili się w piersi ze skruchą moderniści — nasz Kościół w istocie krępuje wolność myśli i rozwój nauki, ale to zjawisko przemijające. Zabierzemy się do rewizyi naszych własnych zasad. Katolicyzm zbyt literalnie pojmuje zasadę tradycyi, niezmienności dogmatów, ale to nie wypływa koniecznie z jego istoty i założeń. To się da zreformować, a wtedy te dogmaty nie będą stanowiły hamulca dla myśli ludzkiej i nauki“.

I poczęto reformować odwieczne pojęcia. O b j a w i e n i e B o ż e, to nie jakaś określona co do treści i stała wielkość, powierzona straży Kościoła; objawienie Boże, to ustawiczne działanie Boga w duszach ludzkich, to samo owo uczucie religijne, owa potrzeba religii, którą wszyscy odczuwają. Jak wszystko atoli na świecie, tak i owo uczucie religijne podlega ewolucyi, szuka coraz nowych wyrazów, w którychby się mogło wypowiedzieć. Wyrazy te atoli nigdy nie wyczerpują objektywnej prawdy, są to tylko raczej jej symbole, takie lub inne, stosownie do stopnia rozwoju, który je stworzył. D o g m a t y, to pracą myśli skrystalizowane i sankcyą społeczną Kościoła opatrzone odczucia i przeżycia religijne wybitnych i głębszych dusz. Są one prawdziwe, ale prawdą bardzo względną, zależną od czasu, w jakim powstały; nowy stopień świadomości religijnej, nowe przeżycia, nowe objawienie wymaga też nowych formuł, nowych dogmatów. Skoro oficyalne

sfery to zrozumieją, usuną ten kamień obrazy, jaki stanowią dla umysłów nowożytnych dogmaty stałe i zaskrzepłe. Wtedy z powodu swej treści nauka i wiara nie będą się potrzebowały obawiać konfliktu; każdy nowy stopień nauki wpłynie ubocznie i na dogmaty, które się do niego przystosują. W religii główna rzecz — uczucie, przeżycia religijne; bez tych ludzkość nigdy nie istniała i istnieć nie będzie, ale one w niczem nie tamują rozwoju naukowego. Są to dwie sfery, nie tylko różne co do przedmiotu, ale i dlatego, że się odnoszą do dwóch zupełnie różnych władz duszy. Rozum króluje w dziedzinie nauki; wiara nie ma nic do czynienia z rozumem: u niego nie szuka dla siebie ani poparcia, ani nie boi się zaprzeczeń z jego strony. W i a r a, to osobny zmysł duszy, przez który wchodzimy w zetknięcie z transcedentnym absolutem, do którego rozum nie ma dostępu. Wiara samą koniecznością, z jaką się w duszach rodzi, daje gwarancyę swej pewności, choćby rozum zwątpił we wszystko. I ta wiara, — prawda, że nie dająca się ująć w określone i na wszystkie czasy jednakowo prawdziwe formuły, świadcząca atoli o czemś transcedentnem, a zarazem immanentnem w człowieku, czemś Boskiem, — ta wiara jest Opatrznością dla człowieka, którego sam zimny rozum zaprowadziłby na trzęsawiska sceptycyzmu.

Taki system konstruowali moderniści.

Trzeba przyznać, że z drugiej strony podawano im rękę, kiedy w ten czy inny sposób podkopywano objektywną wartość poznania rozumowego. Wszak już Kant rzucił cień wątpliwości, jeśli nie gorzej, na wartość rzeczową metafizyki. Poznanie nasze, według niego, otrzymuje od świata jedynie zjawiska zewnętrzne; jeśli nasz umysł twierdzi coś o rzeczach, jakiemi są one w sobie samych, to jest to tylko projekcya na zewnątrz koniecznych praw naszego myślenia; nic atoli nam nie gwarantuje, że te prawa są subjektywnym równoważnikiem i odbiciem zewnętrznej rzeczywistości. W szczególności idee Boga, nieśmiertelności duszy, wolności woli i t. p. poddał Kant krytyce, starając się wykazać, że dowody rozumowe, na jakich się one wspierają, nie dają rękojmi objektywnej rzeczywistości. — Pozytywizm jeszcze bardziej zacieśnił przedmiot dociekań rozumu i nauki, sprowadzając go je-

dynie do zewnętrznych objawów bytu i stosunków między rzeczami; wszystko, co jest poza tem — jest dziedziną niepoznawalnego. — Mało tego, niektórzy myśliciele poszli dalej w ograniczaniu pewności umysłu ludzkiego, wykazując, że nawet w naukach przyrodniczych, nawet w matematyce, prawa, jakie konstruuje umysł ludzki, nie są wyrazem objektywnej rzeczywistości, że ta rzeczywistość jest niewymierzalna z tem, co umysł o niej wie, że prawa natury są względne, są raczej symbolami tymczasowymi, uproszczeniami tego, co się w rzeczach dzieje. Słowem, że umysł ludzki nawet o świecie materyi mało wie, i to, co wie, wie bardzo względnie i niedokładnie. A jednak ma tendencyę do utworzenia sobie poglądu na wszystkość, do wciągnięcia okruchów swej wiedzy w jakąś wyższą i jednolitą całość i do zdobycia pewności, którąby była człowiekowi ostoją w jego życiowej walce. I oto, — mówiono z tamtej strony, ze strony wątpiącej o samej sobie nauki, — chyba tylko wiara da nam tę całość i jednolitość światopoglądu, którego natura nasza poszukuje i tę pewność, bez której żyć niepodobna. Chyba tylko tym osobnym zmysłem, tem uczuciem religijnem zdołamy wejść w kontakt z absolutem, który rozumowi naszemu się wymyka.

Tak więc pewien liberalizm w łonie Kościoła z pewnym sceptycyzmem nauki podawały sobie ręce do zbudowania mostu ponad przepaścią, jaką wykopały nieustępliwa teologia i zarozumiały co do swych zdobyczy intellektualizm uczonych.

Na ten jednak, tak pracowicie budowany most, nie dał się wciągnąć Kościół oficyalny, Kościół, który za filar i utwierdzenie prawdy się uważa. Wystąpienia Piusa X. papieża z lat 1907 i 1908 przeciwko modernizmowi ogłosiły światu, że ta rzekomo imponująca zgoda między wiarą a rozumem jest budową iluzoryczną, jest stawianiem zamków na lodzie, czy na powietrzu. Kościół przez usta nieustępliwego papieża jeszcze raz powtórzył, jako echo minionych orzeczeń, swoje n o n p o s s u m u s! Kościół nie może się zgodzić na modernistyczne pojmowanie o b j a w i e n i a Bożego, jako czysto subjektywnych przeżyć religijnych, lecz przypisuje temu pojęciu objektywną wartość prawdziwego, a zatem wolnego od błędu, przemówienia Bożego do

ludzi. Kościół nie może się zgodzić na modernistyczne pojęcie d o g m a t u, jako formuły, w którą ujmuje umysł swoje przeżycia religijne, formuły zatem prowizorycznej, której prawda byłaby względną i zależną od czasu i przestrzeni. Nie, dogmat to prawda bezwzględna, bo to wyraz nieomylnego słowa Bożego. Kościół musi odrzucić modernistyczne pojęcie w i a r y, jako jakiegoś, co do treści nieokreślonego komunikowania się ducha ludzkiego z absolutem za pośrednictwem osobnej władzy, jakiegoś osobnego, od rozumu różniącego się, religijnego zmysłu. Nie, wiara to jest przyjęcie rozumem i zgodzenie się rozumu na prawdy przez Boga objawione dla powagi i prawdomówności objawiającego Boga.

Prawda, że życie religijne, kiedy jest w człowieku rozwiniętem, obejmuje wszystkie władze jego duszy, a zatem i uczucie, ale żeby się mogło ono tak rozwinąć, trzeba podać duchowi określoną religijną treść, a tę treść podaje się rozumowi. Moderniści, czyniąc z uczucia źródło religii, widząc w niem samo objawienie Boże, ulegali złudzeniu psychologicznemu, mieszając skutek z przyczyną; nie spostrzegli, że to uczucie, które za praźródło religii poczytywali, już jest samo skutkiem pojęć religijnych, mniej lub więcej wyraźnych, które częściowo rozum sobie wytwarza, a częściowo drogą tradycyi i wychowania z zewnątrz otrzymuje. Prawda, że przez baczną analizę i obserwacyę wewnętrzną można dojść do wniosku, że człowiekowi wrodzonem jest jakieś odczucie potrzeby religii, ale to odczucie jeszcze nie jest samą religią, ani nawet jej początkiem, jak głód nie jest pokarmem, ani pragnienie napojem. Jest to usposobienie duszy, ułatwiające przyjęcie religii, czy to wytworzonej przez rozum, czy też danej z zewnątrz przez wychowanie, ale nie sama religia.

II.

Stojąc twardo na tradycyjnem stanowisku pojmowania objawienia, dogmatu i wiary, Kościół bynajmniej nie zażądał kapitulacyi od rozumu. Owszem, co może się wydać niespodziewanem, wziął go w obronę przed tymi, którzy zbytnio zakres jego

zacieśniają lub pewność jego zdobyczy podają w wątpliwość, zarówno przed modernistami, jak i sceptykami z pośród samych uczonych. Może niema zjawiska bardziej interesującego w dziejach myśli ludzkiej, jak to branie przez Kościół w obronę rozumu, który przez wielu przecież za wroga wiary i Kościoła jest uważany. Kościół nie dąży do unicestwienia tego „wroga“ i dlatego odtrąca pomoc w tym względzie, z jaką narzucają się mu nawet liczni przedstawiciele wiedzy świeckiej. W pierwszej połowie 19. stulecia Kościół potępił i odrzucił zdania zdawało się najlepszych swoich synów, tych, co występując w imię tradycyi i broniąc objawienia, w objawieniu, tradycyi i wychowaniu widzieli źródło jedyne religijnych, etycznych i społecznych pojęć, owszem nawet całej kultury i cywilizacyi. Wbrew nauce tych tradycyonalistów, w których wielu upatrywało wykwit ducha katolicyzmu, Kościół oficyalny, filar i utwierdzenie prawdy, zaafirmował zdolność rozumu ludzkiego dojścia samodzielnie i pomimo Bożego objawienia do prawd porządku wyższego, do stworzenia sobie religii, wyprowadzenia sobie zasad moralności i życia społecznego, tem bardziej zdolność do rozwoju kultury i cywilizacyi. Koncylium Watykańskie uroczyście potwierdziło tę zasadniczą i fizyczną zdolność rozumu do zdobycia prawdy. Kościół staje w obronie rozumu, kiedy odrzuca pozytywizm, agnostycyzm i sceptycyzm; odrzucając te systemy, nie zwraca się, jak moderniści, do bankrutów umysłowych, by wydostali się z topieli zwątpienia mocą jakiejś wymarzonej władzy zmysłu religijnego: znaczyłoby to radzić topielcowi, by się sam wydostał na ląd, wyciągając się za uszy. Kościół usiłuje otworzyć im oczy, że ich topiel jest złudną zmorą, że oni pod swemi nogami mają twarde oparcie w samoafirmacyi rozumu, że ich sceptycyzm zjada sam siebie i oni wyzbyć się nie mogą zaufania do tego, że rozum stworzony jest dla prawdy.

Prawda, że te zdobycze umysłu ludzkiego są tylko okruchami całkowitej prawdy, ale i te okruchy mają objektywną wartość. Okiem nie możemy objąć stojącego przed nami przedmiotu ze wszystkich stron, nie znaczy to jednak, aby widzenie nasze jednej jego strony było fałszywe; jest ono tylko niezupełne. Mo-

żemy zmieniać punkt obserwacyjny i przedmiot rozmaicie będzie się nam przedstawiał; zawsze jednak prawdziwie, choć niezupełnie. Umysł tak właśnie ma się do objektywnej rzeczywistości: zachodzi ją z rozmaitych stron i rozmaite sądy o niej wydaje; może być, że całego bogactwa bytu nie spenetruje, ale to nie znaczy, żeby mu z tego powodu odmówić zdolności do poznania prawdy. Skromność umysłowa, która widzi tę niezupełność poznania, nie jest jednoznaczną ze zwątpieniem w wartość ludzkiego poznania wogóle.

Oto stanowisko Kościoła wobec rozumu. Owszem, Kościół przyznaje nawet pewną uboczną zależność samej wiary objawionej od rozumu. Prawda, że dziecko, czy prostaczek przyjmują prawdy wiary na słowo; ostatecznie jest to słowo Boże, ale przewodnikiem jego jest powaga matki czy kapłana; czyż w tym razie rozum tego dziecka czy prostaczka jest nieczynny? Owszem, dziecko nie tylko przyjmuje głoszone sobie prawdy, a przyjmuje je rozumem, lecz tymże rozumem tworzy sobie również sąd, choć może refleksyjnie sprawy z tego sobie nie zdaje, że w warunkach, w których nie jest w jego mocy sprawdzić objektywność podawanej mu nauki, roztropną jest rzeczą zaufać więcej wiedzącym i życzliwym przewodnikom swoim, matce, nauczycielowi, kapłanowi. I wiara tego dziecka, tego prostaczka jest rozumną, jak rozumną być może w jego położeniu.

Lecz oto mamy przed sobą umysł inteligentny, zdolny do krytycyzmu, do sprawdzenia gwarancyi, jaką powaga innych daje. Wyrwało się kiedyś z pod pióra gorącego afrykanina Tertuliana zdanie: Credo, quia absurdum! Wierzę dlatego właśnie, że to niedorzeczne. To zdanie aż do przesytu powtarzają nad naszemi uszami nieprzyjaciele wiary, wmawiając w nas, że ono jest autentycznym wykładnikiem nauki Kościoła. Kościół katolicki ma zwracać się do wszystkich z tem wezwaniem: „Wierz, chociaż wydaje ci się to niedorzecznem, wierz dlatego właśnie, że to niedorzeczność“. Otóż musimy jak najbardziej stanowczo zaprzeczyć, by takie miało być kościelne pojęcie wiary. Właśnie, przeciwnie, wiara suponuje nie niedorzeczność, ale rozumność. Credere non possemus, nisi rationales animas

habemus — oto zdanie Kościoła, powtarzane ustami Augustynów, Tomaszów z Akwinu, papieży i soborów. Wobec krytycznych umysłów katolicka nauka obiecuje wykazać swoje tytuły do rozumnej wiary i zaprasza wszystkich i każdego do ich zbadania i sprawdzenia.

Najpierw widzieliśmy, że afirmuje ona zdolność fizyczną umysłu do przekonania się o istnieniu Boga, o nieśmiertelności duszy, potrzebie religii, niezależnie od objawienia Bożego. Dość otworzyć oczy na otaczający nas wszechświat, tak ten, który mierzymy teleskopem, jak i ten, który mikroskop odkrywa, by dojść do wniosku, że istnieje ostatnia i jedyna rozumna wszystkiego przyczyna, i że tą przyczyną jest istota odmienna od świata. Nie trzeba tylko umysłowi zacieśniać pola myślenia, lecz pozwolić mu wznieść się od skutków do przyczyn, coraz dalej i dalej. Ta rozumowa religia, to jakby niższe piętro, na którem dopiero buduje się piętro wyższe — religii objawionej.

Co się tyczy tej ostatniej, to również nie wymaga się przyjęcia jej na ślepo. Kościół głosi, że objawienie Boże jest faktem, faktem, złożonym z wielu, ale faktem historycznym, i przynosi tego dowody historyczne. Uczony może te dowody zbadać, krytycznie roztrząsać, i Kościół jest pewien tego, że jeżeli do tego badania zabierze się bez uprzedzeń, to objawienie uzna, a z niem i całą treść objawionej nauki wraz z jej tajemnicami i misteryami przyjmie. Czy takie stanowisko nie jest naukowem, nie jest rozumnem? Byłoby nierozumnem przyjęcie wiarą nauki, podającej się za objawioną, tylko w dwóch wypadkach: 1° gdyby Boskie jej pochodzenie nie dało się stwierdzić; 2° gdyby w jej treści znalazło się coś, coby wręcz sprzeciwiało się rozumowi. Tymczasem ani jednego, ani drugiego nikt nie dowiódł. Przeciwko faktowi objawienia walczy nie nauka historyczna, do której dziedziny fakt jako taki należy, ale filozoficzne uprzedzenia tych, co Boga wogóle znać nie chcą, a konsekwentnie i możliwość cudu i Boskiej interwencyi w dziejach ludzkości odrzucają. Nie dowiódł nikt i tego, jakoby tajemnice wiary zawierały w sobie absurd. Powiedziałem, że można ze stanowiska matematyki zastanawiać się nad nauką o Trójcy, a ze stanowiska fizyki czy chemii nad nauką

o Eucharystyi. Czyni to sama nawet teologia katolicka; ale nie powiodło się nikomu jasno wykazać niemożliwości tego, co wiara w tych tajemnicach podaje. Jedno tylko się osiąga, mianowicie stwierdzenie, że rozum sam przez się byłby bezsilny do odkrycia tych prawd, że one zatem skalę jego zdolności przechodzą, lecz to zupełnie co innego, niż absurd Tertuliana. Tajemnice są twierdzeniami p o n a d rozumowemi, nie zaś p r z e c i w rozumowemi.

A więc, skoro mamy przyjąć na wiarę naukę katolicką, jako od Boga objawioną, czyż mamy powrócić i do starego ptolomeuszowego systemu astronomicznego, każącego słońcu chodzić naokoło ziemi, i do sześciu dni stworzenia, i sześciu tysięcy lat egzystencyi świata, jak oblicza biblia, i w historyi do uznania ciągłych Bożych cudów i ustawicznego wdawania się Boga w ludzkie sprawy? Czy mamy wyrzec się zdobyczy Kopernika, teoryi ewolucyonizmu, geologii, stwierdzającej miliony lat istnienia naszego globu, wykopalisk, które historyę ludzkości znacznie pogłębiają w porównaniu z biblią? Słowem, czy żądając tego, nie potwierdzamy sami słuszności zarzutu z przeciwka, że prawdziwie wierzący, jeśli chce być logicznym, musi wyrzec się nauki i wrócić do średniowiecznego obskurantyzmu? A gdzież podział się rzekomy szacunek Kościoła dla rozumu i opieka nad nim?

Nie, nie przesadzajmy. Ani rozum nie pozwala nam na takie całopalenie z samego siebie, ani wiara tego od nas nie żąda. Bądźmy astronomami takimi, jak Kopernik i Laplace, przyrodnikami i to ewolucyonistami, poniekąd jak Darwin, bez przeszkody żadnej, jak Wassman lub Miwart, egyptologami i assyryologami, jak Delitsch i Winckler, — to wszystko nie przeszkodzi nam być prawdziwie wierzącemi i dobremi dziećmi Kościoła. Owszem, Kościół głosem swoich pasterzy, zarówno filozofów Leonów XIII., jak i ludzi „twardej“ ręki, Piusów X., nawołuje katolików do czynnego udziału w królewskim pochodzie nauki i cywilizacyi. Nie paraliżuje i paraliżować nie potrafi u katolików interesu do nauki ani to, że tę ziemię z jej darami uważamy tylko za chwilowe mieszkanie, niebo za ojczyznę. Ośmielam się twierdzić, że wierzący uczony znajduje nie mniej pobudek do badań, jak niewierzący, — może więcej. Jeżeli naukę i kulturę uważać tylko za

środek do pomnożenia dóbr materyalnych, to niewierzący pracuje dla przyszłych pokoleń, które zarówno, jak on, mają się, według niego, pogrążyć w nicości; czy warto dla tak marnego rezultatu wkładać tyle mozołu? Wierzący pracuje dla tych, których uważa za swych braci w Bogu; przez swą pracę zacieśnia tę solidarność ludzkiego rodzaju, która się nie rozpłynie w nicości, ale zadzierzgnięta tutaj przejdzie do innego świata. Osobiście, niewierzący nic nie obiecuje sobie zatrzymać ze swej wiedzy; zgasnąć ma ona z ostatnim błyskiem jego świadomości. Wierzący, przeciwnie, w zdobyciu każdej prawdy widzi nowy stopień podobieństwa swego ducha do żywej prawdy odwiecznej, Boga, i z dorobkiem swym duchowym, zarówno jak i z moralnym, spodziewa się przejść do wieczności.

Ale wróćmy do trudności. Powiedzieliśmy, że Kościół i wiara nie wymagają od nas całopalenia z nowszych zdobyczy ducha na polu nauki. Jakto! Więc Kościół zrezygnował ze średniowiecznych dogmatów, w imię których potępiał Galileusza i Kopernika, a w nowszych czasach Darwina? A w takim razie w cóż się obraca owa niezmienność dogmatyczna, którą świeżo wobec modernistów afirmował? — Nie, Kościół nie zrezygnował ani z jednego dogmatu i nigdy nie będzie do tego zmuszony. Nauka, w imię której występowano przeciw systemowi Kopernika, lub przeciw odkryciom geologii, nigdy dogmatem nie była. Takie ustępstwa, jakie uczynił na rzecz systemu Kopernika, Kościół czynić może i czynić będzie, bez najmniejszej ujmy dla niezmiennego dogmatu.

Postarajmy się wyjaśnić tę rzecz lepiej, by nie wyglądała na wykręt. Pierwszem zadaniem Kościoła, jako instytucyi nieomylnej nauczycielskiej, jest straż objawionych prawd religijnych. Te prawdy, o ile graniczą z dziedziną nauki, w gruncie rzeczy streszczają się w przyjęciu Boga za Stwórcę i Pana wszechrzeczy, w uznaniu zależności człowieka od Niego, w poznaniu swego przeznaczenia wiecznego. Te prawdy są tak proste i tak zarazem ogólne, że ich dotąd żadna trzeźwa i nie hazardująca się nauka zaprzeczyć nie mogła. Przypomnijcie sobie Skład Apostolski, otwórzcie zbiór dogmatycznych określeń Kościoła wszystkich wie-

ków, taki Enchiridion Denzingera, a nie znajdziecie ani jednej dogmatycznej definicyi, którąby musiała się cofnąć przed postępami nauki. Ale prawdom wiary, dogmatom, towarzyszą opinie i mniemania, które je tak obrastają dokoła, że zdaje się niejednemu, jakoby tworzyły jedną z niemi całość. Rozumny człowiek nie zadowalnia się krótkiem powiedzeniem: Bóg stworzył świat i ciebie; on pragnąłby wiedzieć, jak się to stało, w jakim porządku dokonywało się to dzieło; fantazya jego domaga się obrazów. I człowiek tę krótką, ale taką chudą, rozumem czystym wydobytą lub z objawienia otrzymaną prawdę pokrywa, jak szkielet, ciałem przypuszczeń, hipotez, poetycznego opisu. Jeżeli nauka świecka czy filozofia są już rozwinięte, zapożyczy tej szaty od nich; przedtem tworzył sobie obrazy, kombinował nader zawikłane mitologie. A że jest istotą jedną, i na dwóch, według Kanta lub życzenia modernistów, na człowieka rozumu i człowieka wiary, rozszczepić się nie daje, stąd nic dziwnego, że ta zewnętrzna powłoka prawdy zrasta się w jego umyśle tak ściśle z jej jądrem, że może się zdawać, iż one nie dadzą się jedno od drugiego oddzielić.

Tak było np. z kosmologią i astronomią, która, zdawało się, była stopiona w jedno z artykułem wiary o pochodzeniu wszystkiego od Boga. Dodajmy, że w średnich wiekach nie było wcale nauki, wyzwolonej z pod wpływu Kościoła, dla tej prostej przyczyny, że nikt oprócz kleru nią się nie zajmował. Czy rzucić za to kamieniem potępienia na Kościół, że on pielęgnował nie tylko teologię, ale i filozofię i nauki przyrodnicze w ich oczywiście ówczesnym niedoskonałym stopniu rozwoju? Czy nauka zyskałaby na tem, gdyby się nią wcale Kościół nie zajmował? Otóż ta filozofia, ta nauka, pielęgnowana przez tych samych uczonych, co i teologia, musiała się niejako zlać z nią w jedno ciało, w jeden harmonijny system: filozof scholastyczny wypracowywał dowody istnienia Pana Boga, a teolog, najczęściej identyczny z poprzednim, zajmował się kwestyą krążenia ciał niebieskich. Jeżeli stawiał w tym względzie pewne twierdzenia, to były to twierdzenia, na jakie stać było ówczesną naukę.

Kiedy genialny umysł Kopernika, — a nie zapominajmy,

że to był przedstawiciel kleru katolickiego, nie zaś jakiejś ześwieczczonej nauki, — postawił hipotezę, wywołującą istną rewolucyę w świecie umysłowym, nic dziwnego, że dla wielu wydała się ona nie do przyjęcia, — tak przecież sprzeciwiała się świadectwu zmysłów naszych, że słońce krąży, nie zaś ziemia! Opierano się jej więc przedewszystkiem ze stanowiska „trzeźwego“ rozumu, lecz że, jak już powiedziałem, prawdy wiary i prawdy nauki tworzyły ścisłą jedność w umysłach ówczesnych, poczęto więc poszukiwać i w źródłach objawienia, w Piśmie św. dowodu na niedopuszczalność nowej teoryi. Znaleziono takowy w słowach Jozuego: „Słońce stań!“ Skoro słońce stanęło na ten rozkaz — tak rozumowano — więc widocznie zwykle krąży naokoło ziemi, a zawychodząc, i Kongregacya Rzymska zażądała od Galileusza porzucenia systemu Kopernika, — nieprzyjaciele Kościoła zbyt tem teorya Kopernika sprzeciwia się Pismu św. Z tego założenia przesadzają w dramatyzowaniu tej sprawy, — potem wniesiono na Indeks dzieło Kopernika, co jednak później cofniętem zostało. Że w tej sprawie nieomylność Kościoła nie została skompromitowaną, to rozumie każdy, obeznany z nauką katolicką. Dekrety przeciwko Galileuszowi, jak i Kopernikowi nie były orzeczeniami papieża, przemawiającego ex cathedra, w najuroczystszej formie do całego Kościoła, ani orzeczeniami Soborów powszechnych. Dekrety Kongregacyi Rzymskich, nawet w kwestyach doktrynalnych, nie są ostateczne i nie są uważane za niepodlegające odwołaniu; są one raczej aktami, dyktowanymi przez roztropność, niż przez poczucie nieomylności. Katolik przyjmuje je ze czcią i poddaniem się, wierząc, że wchodzą one jako detale w ogólny pochód rozwoju nauki katolickiej, dokonywującego się pod opieką Ducha św., ale wie, że możliwem jest, iż raz jeden, drugi, w tym pochodzie może być postawiony krok fałszywy przez ograniczoność ludzkich czynników, którymi i Kościół się posługuje, co jednak w swoim czasie naprawi się z postępem dalszych badań. Tak było i ze sprawą Galileusza. Że z całej historyi nauczycielstwa kościelnego nieprzyjaciele mogą ten tylko jeden poważny wypadek zbłądzenia zacytować, to raczej może natchnąć myślącego człowieka wielkiem do Kościoła zaufaniem. Czy jest instytucya druga,

któraby na równą ilość swych wyroków tylko raz się pomyliła? Czy może świecka nauka, świecka filozofia wzbudza więcej zaufania, w której hipotezy i systemy zmieniały się z szybkością obrazów w kalejdoskopie?

Ktoś powiedział, że Opatrzność dopuściła Rzymskiej Kuryi ten raz pobłądzić, żeby raz na zawsze uniemożliwić podobne błędy w przyszłości. Tak się też stało. Ten wypadek z astronomią kazał zwrócić baczniejszą uwagę na istotę prawdy słowa objawionego. Zrozumiano lepiej, co poprzednio było dostrzegalnem tylko dla uprzywilejowanych umysłów, że samo objawienie Boże, podając światu religijne prawdy, musiało przemawiać językiem współczesnych ludzi, że krótkie prawdy mogło ubierać w dłuższe opowiadania, amplifikacye dla współczesnych stosowne, i że nie ta zewnętrzna powłoka, ale zawarte w niej jądro stanowi część owego depozytu wiary, którego straż Kościołowi została zlecona. Zrozumiano, że Biblia nie myśli magistralnie podawać ani jakiegoś systemu astronomicznego, ani dokładnej historyi powstania ziemi, lub rozwoju życia na niej, że ona uczy tylko prawdy religijnej o Bogu, Stworzycielu wszechrzeczy, zapożyczając f o r m y dla swej nauki od współczesnych pojęć ludzkich, by módz łatwiej do umysłów trafić. Dlatego bez nadwerężenia jakiegokolwiek dogmatu, nauka katolicka może się wciąż przystosowywać do niewątpliwych zdobyczy naukowych, modyfikując tylko tę zewnętrzną powłokę, w jaką pewne prawdy niezmienne w umysłach wierzących się ubierają.

Co się dokonało na polu nauk przyrodniczych, toż samo m u t a t i s m u t a n d i s może zajść w historyi. Biblia posiada historyę faktów niewątpliwie religijnych i te dogmatem zostaną, ale mówi także o wielu faktach natury świeckiej, i co do tych nic nas nie zmusza do twierdzenia, że postępy nauki historycznej, naprzykład wykopaliska, nie zmienią żadnego szczegółu zawartej w biblii historyi patryarchów lub królów żydowskich. Jeżeli nam nauka coś poprawi, a poprawkę swą niewątpliwymi dowodami poprze, dojdziemy do przekonania, że i fragmenty historycznego opowiadania mogą być tylko zapożyczoną od ówczesnej, mniej

krytycznej historyi, formą, czy ramą, w której jądrem, treścią są prawdy porządku religijnego i moralnego.

Słowem, nie obawiamy się nauki, i żadnych dogmatów w celu godzenia się z nią nie będziemy mieli potrzeby wyrzekać się, ani z zasady niezmienności wiary kapitulować. Co najwięcej poprawimy tę czy inną opinię filozoficzną, teologiczną, czy historyczną, która ma tyle wspólnego z dogmatem, co bluszcz z dębem, naokoło którego się obwija.

Sądzę, że dostatecznie wyjaśniłem, na czem polega stosunek nauki do wiary. Jak w dziedzinie polityki kościelnej stosunek między Kościołem a państwem, tak i tu jest to stosunek harmonii i wzajemnych usług. Wiara potrzebuje rozumu, gdyż tylko za pomocą rozumu uzasadnia przedwstępne fakta, które umożliwiają przyjęcie treści Objawienia, mianowicie samą historyczność faktu Objawienia Bożego. Bez tego zawisłaby w powietrzu. Za to taż wiara i oparta na niej katolicka teologia bronią godności rozumu przed sceptycyzmem i agnostycyzmem, przyznają mu szerokie kompetencye w badaniu prawdy nawet ponadzmysłowej, a co najważniejsza, stojąc na straży prawd objawionych, zwłaszcza natury religijnej i moralnej, w dogmatach swoich dają rozumowi światło, by się nie zabłąkał w tych zagadnieniach.

Rozum, o ile zerwał to naturalne z wiarą przymierze, wpada z jednej ostateczności w drugą. Raz głosi zarozumiale, że nie uznaje żadnej nad sobą powagi, że Objawienia Bożego nawet przyjąć nie może, gdyż to byłoby zamachem na jego autonomię, że sam sobie pod każdym względem wystarczy, że jest miarą prawdy wszelkiej, — to znowu wyznaje pokornie, że nie umie przedrzeć się poza zasłonę zewnętrznych zjawisk, że nie zna ani ostatnich przyczyn, ani celów, ani istoty rzeczy, że owszem wątpi w objektywną wartość swego poznania, nawet w ciasno zakreślonej sobie sferze. Są to febryczne przejścia od wysokiej gorączki do kolapsu popod linię normalną. Kościół i wiara chronią rozum tak od jednej, jak i drugiej ostateczności i prowadzą królewską środkową drogą. Każą mu być skromnym i uznać możliwość Wyższego Rozumu i płynącego stamtąd w objawieniu światła, ale i czuć swą godność i zdolność do poznania prawdy.

Kościół więc nie tylko dla prawdy objawionej, ale i dla prawdy naturalnej — jest prawdziwym filarem i umocnieniem.

Na pograniczu, gdzie się wiedza i wiara spotykają, nigdy prawdziwa, niewątpliwa zdobycz nauki nie sprzeciwi się dogmatowi, ani dogmat pewnemu naukowemu odkryciu; starcia możliwe będą tylko między opiniami teologów i hipotezami uczonych, ale przy wzajemnem wyrozumieniu i kontroli sumiennej starcia te ustają i prawda coraz bardziej się wyjaśnia.

Niech więc uczeni będą tylko życzliwie usposobieni dla wiary i Kościoła, tak jak Kościół życzliwie odnosi się do nauki, a umysł ludzki w obu dziedzinach będzie coraz bardziej zbliżał się do słońca Odwiecznej i Absolutnej Prawdy.

Ks. Jan Urban.

Jeruzalem Chrystusowe.

Z Jerozolimy Jezusowej — nie pozostał „kamień na kamieniu“ (Łuk. 19, 44), któryby nie był rozwalon.

Czyż wobec tego smutnego faktu możliwym i naukowo dopuszczalnym jest wykład obecny? Wykład, mający na celu odtworzenie Jerozolimy takiej, jaką ona była właśnie za czasów Chrystusa? — Wyznając otwarcie, zaraz na początku, całą naukową trudność założenia i jego niepewność w tysiącu podrzędnych szczegółów, winienem mimo to stwierdzić, że dzięki rozległym badaniom historyczno-archeologicznym, a przedewszystkiem dzięki wykopaliskom lat ostatnich, można obecnie z naukową pewnością uchwycić, ustalić i odtworzyć główne rysy dawnego miasta. One zaś są nam wszystkim tak drogie, tak do należytego zrozumienia Ewangelii potrzebne, że warto się o nie pokusić.

* * *

Ź r ó d ł a, na których opiera się dzisiejsza wiedza historyczno-archeologiczna o Jerozolimie, są czworakie: 1) dokumenty pisane, 2) pomniki i budowle, 3) tradycya, czy to miejscowa, czy uczona, 4) sam teren dzisiejszy.

Naprzód słów kilka o każdej z nich z osobna.

Pod kategoryę d o k u m e n t ó w podciągam wszystkie teksty historyczne, które się odnoszą do danej epoki, i to przedewszystkiem teksty w s p ó ł c z e s n e; teksty bowiem późniejsze należą już raczej do tradycyi. Odnośnie do Jerozolimy mamy tu

teksty biblijne i teksty świeckie, czy to historyków żydowskich, jak np. Józefa Flawiusza, czy też fragmenty historyków grecko-rzymskich, czy wreszcie opisy późniejsze Talmudu i pierwszych pielgrzymów chrześcijańskich.

Tę samą wartość naukową posiadają p o m n i k i przeszłości, które są świadkami pierwszorzędnej wagi, tak wydarzeń, jak istnienia miasta i jego warunków bytowania wogóle. Przez pomniki wszelako nie należy rozumieć głównie i wyłącznie wspaniałych budowli, ale także najskromniejsze ruiny i szczątki, jak np. fragmenty rzeźb, ornamentacye, przedmioty domowego użytku, naczynia gliniane, napisy ryte w kamieniu, monety i t. p. — Wszystko to, należycie interpretowane, może nieraz objaśnić i uwydatnić całe szeregi tekstów, w sobie ciemnych i niezrozumiałych.

Do trzeciej kategoryi, t. j. t r a d y c y i, zwykło się zaliczać naprzód to, co m i e s z k a ń c y Jerozolimy (czy to dzisiejsi, czy dawniejsi) opowiadają o danem miejscu czy pomniku swego miasta, a także i to, co u c z e n i, na podstawie dokumentów i pomników, w swych naukowych wywodach wysnuli.[1]) Wartość tego trzeciego źródła jest oczywiście bardzo różna i musi być przyjmowana z wielkim krytycyzmem, zwłaszcza gdy chodzi o Jerozolimę, gdzie to tysiące osobistych interesów się krzyżuje i wpływa na sąd mieszkańców, a nawet pisarzy.

Ostatniem wreszcie źródłem pierwszorzędnej wartości to sam t e r e n d z i s i e j s z e g o m i a s t a, z tem, co na sobie nosi. Wprawdzie i on przez szeregi wieków ulegał niejednokrotnej zmianie; jego wzniesienia padały pod uderzeniami kilofów; jego doliny ulegały częściowemu zasypaniu. — Mimo to jednak z pomocą wykopalisk, poprzez stosy gruzów i rumowisk, zdołała nauka przedostać się aż do pierwotnej skały, na której się wznosił dawny gród kananejski, zdołała za pomocą pomiarów odtworzyć stan pierwotny terenu. Znamy go dostatecznie z pierwszego odczytu.

Kiedy już mówię o wykopaliskach, warto dla całości obrazu wspomnieć o tych szermierzach nauki, którzy swe trudy

[1]) Ważniejszą literaturę zobacz w mem dziele: C z t e r y E w a n g e l i e. Kraków 1917. Część I. Str. 15.

poświęcili odkopywaniu starego miasta. Skromne początki sięgają połowy ubiegłego wieku, a związane są z nazwiskami takiemi, jak: Pierotti (1854), Robinson (1856), Barclay (1856), Wilson (1864 n.) i Schick. Późniejsze wykopaliska podjęli: Ch. Warren (1867—1870), C. R. Conder (1872—1875), Clermont-Ganneau (1873—1874), H. Guthe (1881), Maudslay (1884), F. J. Bliss (1894—1897), Parker (1911—1912) i Weil (1913—1914).

Mimo to jednak nie można powiedzieć, aby całe stare miasto lub choćby jego połowa została tak systematycznie skopana i odsłonięta, jak np. Ateny, Pompei, lub choćby tylko Troja. Stoją temu na przeszkodzie niepokonalne trudności, leżące jużto w tem, że należałoby zburzyć całe stare miasto, obecnie gęsto zabudowane i zaludnione, a obszarem równe śródmieściu Krakowskiemu, — już w tem, że trzebaby zniszczyć cały szereg najdroższych pamiątek, wzniesionych po Chrystusie na ruinach dawnego miasta. A jest to miasto równie święte i drogie tak dla żydów i dla islamu, jak i dla chrześcijan wszystkich wyznań i obrządków, i z tego tytułu jakby nietykalne. To też wykopaliska musiały być co do rozmiarów dość ograniczone. W miarę jednak źródeł przejdziemy z osobna dzielnice, mury, wieże i ważniejsze budowle miasta za czasów Chrystusa, idąc za wezwaniem natchnionego potomka Koracha, który w Ps. 48, z okazyi cudownego uratowania swego miasta przed potęgą Sanheryba, asyryjskiego króla królów, już na ośm wieków przed Chrystusem do swych współziomków wołał:

(13) „Obejdźcie Syon, przebiegnijcie go wokoło,
policzcie jego wieżyce;
(14) Przypatrzcie się jego murom,
wstąpcie do jego pałaców,
aby módz opowiadać przyszłym pokoleniom“.

* * *

'Abdiheba, król Urusalimu, do sekretarza króla Amenhotepa IV. (w XIV. w. przed Chr.) pisze, co następuje:

„Do króla mego pana (mego słońca) mów: Tak pisze 'Abdi-

heba, twój sługa: Do stóp mego pana i króla ścielę się siedmkroć i po raz wtóry siedmkroć razy. Cóżem ja uczynił królowi, memu panu? Oczerniają mnie przed królem, moim panem, gdy mówią, że ʿAbdiheba odpadł od króla, swego pana. Ależ to nie ojciec mój, ani moja matka osadzili mnie na tym tronie, lecz potężne ramię króla Egiptu! Jakże miałbym się dopuścić takiego przestępstwa przeciw memu królowi? Jak długo król, pan mój, żyje, będę powtarzał urzędnikom królewskim: Czemu sympatyzujecie z Habiru, a nienawidzicie książąt krajowców?... Wszak niema tu żadnych załóg wojskowych (egipskich)! — Niechże król troska się o swój kraj..., bo inaczej przepadną wszystkie ziemie królewskie. Ilimilku rujnuje całą krainę królewską... Książęta krajowcy już dla króla nie pracują..., niechże król wyśle łuczników Pidati, inaczej nie będzie już więcej krainy dla króla, bo Habiru splądrowali wszystkie ziemie królewskie... Jeśli Pidati nie nadejdą, wszystko przepadnie".

Dopisek do sekretarza króla, mego pana: Tak mówi ʿAbdiheba, twój sługa: Wobec króla, mego pana, wymów z całym naciskiem te słowa: Przepadną wszystkie krainy dla króla, mego pana". [1])

Oto autentyczny tekst dyplomatycznej depeszy króla Jerozolimy, ʿAbdiheby, przed 33 wiekami, do jego suwerena egipskiego, Amenhotepa IV., pierwszej depeszy, historycznie znanej, którą nam przechowało archiwum faraonów egipskich w Tell el-ʿAmarna, jedna z najcenniejszych kolekcyi dyplomatycznych starożytnego świata. Służalstwo, intryga, insynuacya, kopanie dołków pod drugimi, a przedstawianie siebie jako jedynie wiernego sługi — to jej zasadnicze cechy.

Najeźdźcy Habiru ciągną wielką ławą z Zajordania, które już zdobyli. Ich bitne watahy pustoszą kraj palestyński, biją lenników egipskich, którzy albo na ich stronę przechodzą i zdradzają swego suzerena, albo też uchodzą do Egiptu, podczas gdy król-kacerz, najidealniejszy marzyciel na tronie egipskim, jakim był Amenhotep IV., z przydomkiem Echnaton, — zajęty wyłą-

[1]) J. A. Knudtzon, Die El-Amarna-Tafeln, Leipzig 1907 i 1908, Nr. 286.

cznie kultem bóstwa słonecznego Aton, przez siebie wprowadzonym — nie zważa na nic i nie widzi, że zagraża mu utrata wszystkich azyatyckich posiadłości, a nawet tronu egipskiego.

Do grupy tych Habiru należeli także Hebrejczycy, pod wodzą Jozuego. Oni to zajęli już niemało miast palestyńskich, a króla Jerozolimy, Adonisedeka i jego towarzyszów schwycili w Makeda i śmiercią pokarali (J o z. 10, 1—27). Faraon zamianował naszego 'Abdihebę, może syna Adonisedeka, królem Jerozolimy, a ten i jego następcy z trudem tylko zdołali się utrzymać przy posiadaniu miasta i twierdzy jerozolimskiej, bo Habiru zawładnęli całą okolicą, a nawet wymusili na mieszkańcach Jerozolimy dla siebie prawo swobodnego osiedlania się w części miasta nieobwarowanej. Dopiero w 350 lat później Dawid zdobywa fortelem samą twierdzę Jerozolimy, zwaną Syonem, czyni z niej stolicę całej Palestyny, a przyłączywszy do miasta dzielnicę górną (na tradycyjnym Syonie), całe to swoje „miasto Dawida" okala nowym murem i wprowadza do jego wnętrza arkę przymierza.

Jego syn i następca, Salomon, nadaje Jerozolimie charakter rezydencyi wschodniego władcy i religijnego serca narodu, buduje Jahwie pyszną świątynię na górze Morja, a sobie ogromny pałac, zdobny w krużganki, podwórza, sale i trybunał sądowy. To wszystko otacza nowym murem i łączy z twierdzą Millo i ze świątynią. Ten mur, okalający całe ówczesne miasto, zwany pierwszym murem, odnawiali niejednokrotnie następcy Salomona, jak n. p. 'Uzzia, Jotam i Achaz. Król Ezechiasz, przyłączywszy do stolicy nową dzielnicę (około r. 700. p. Chr.), okolił ją od północy murem, zwanym drugim. Z tego to starego miasta Dawidowego, które zburzyli ze szczętem Babilończycy (w r. 586. przed Chr.), dziś prawie że nic nie pozostało; jedynie dolne pokłady murów miasta pamiętają może tu i ówdzie czasy dynastyi Dawidowej.

Po powrocie z niewoli babilońskiej poświęcono wprawdzie r. 516 nową świątynię dla Jahwy, ale dopiero za czasów Nehemiasza r. 445 przed Chr. miasto zwolna podniosło się z gruzów. Następne wieki obfitowały w bolesne przejścia. Epifanes r. 170 wylał w stolicy potoki krwi, a w sprofanowanej świątyni wzniósł

ołtarz dla Zeusa Olimpijskiego. Machabeusze wydzierają wprawdzie z rąk syryjskich najeźdźców swe stołeczne miasto, ale tylko na czas krótki, bo rzymski orzeł już od czasów Pompejusza zagląda coraz częściej do Jerozolimy, aż wreszcie dostaje ją w swe szpony i oddaje w lenno królowi Herodowi (r. 40 przed Chrystusem).

Pod jego długiem panowaniem, znaczonem krwią i mordami, miasto podnosi się do niebywałej dotąd świetności i blasku. Świątynia Jahwy, piękniejsza, niż Salomonowa, wstaje z popiołów na pagórku Morja i budzi podziw starożytnego świata; ku jej straży wznosi Herod zamek Antonię, a dla siebie królewską rezydencyę (τὰ βασίλεια) na pagórku zachodnim. Odnowienie i wzmocnienie murów miasta, teatr z amfiteatrem, cyrk i gimnazyum dla zebrań ludowych, — to wszystko jest dziełem Heroda.

Tak więc, gdy Mesyasz zjawił się w Izraelu, stolica jego duchowego królestwa kąpała się w blasku marmurów, jaśniała bogactwem i przepychem, chociaż na pół pogańskim, bo od pogan zapożyczonym. Ale ten przepych, to piękno i dostatki skaziły do reszty ducha mieszkańców. Działalność Mesyasza w sferach inteligencyi społecznej spotyka się tylko z oporem, z niechęcią, z tajoną zawiścią, która wybucha wreszcie płomieniem i kończy bogobójstwem.

„Jeruzalem, Jeruzalem — wołał ze łzami, na kilka dni przed śmiercią, jego duchowy król i władca — Jeruzalem, które zabijasz proroki i kamienujesz tych, których do ciebie wysłano! Ileż razy chciałem zgromadzić dziatwę twą, podobnie jak kokosz gromadzi pod skrzydła pisklęta swe, a nie chciałoś! Oto dom wasz stanie się wam pustką“ (Mat. 23, 37—38). „Albowiem przyjdą na cię dni, a nieprzyjaciele twoi otoczą cię wałem i oblęgą cię i ścisną cię zewsząd, a ciebie i twe dziatki, które są w tobie, powalą o ziemię i nie pozostawią w tobie kamienia na kamieniu, ponieważ nie poznałoś czasu nawiedzenia twego“ (Łuk. 19, 43—44).

Bogobójstwo musiało zostać pomszczone; proroctwo Jezusa spełniło się. Nadciąga Tytus i otacza miasto wałem. Od północy pada naprzód mur trzeci, wybudowany po śmierci Chr. przez Agryppę, a niebawem i drugi. Miasto przymiera głodem tak stra-

sznym, że matki pożerają swe własne dzieci, ale się jeszcze nie poddaje. Już setki krzyżów na pobliskich pagórkach uginają się pod zbiegami żydowskimi. Jeśli wierzyć Józefowi Fl. (Bell. VI, 9, 3), już około milion sto tysięcy ludzi zginęło podczas oblężenia, bo takie tłumy żydów zebrały się na święta paschalne w stolicy i dały się w niej zamknąć. Wreszcie nadchodzi ostatni dzień; przez wyłom w murze wdziera się żołdak rzymski do miasta, burzy i niszczy wszystko po drodze; wbrew woli swego wodza nie oszczędza nawet samejże świątyni, która ginie w płomieniach. Reszta ludności, pozostała przy życiu, w liczbie 97.000, idzie w niewolę, bądź to do kopalń egipskich, bądź do cyrków na prowincyach, a najroślejsi i najpiękniejsi idą za Tytusem do światowładnej Romy, by być orszakiem dla tryumfatora, na którego cześć rzymski senat bić każe osobny medal.

Taki koniec miała niespełniona misya Izraela, a raczej jego stolicy. Blade jej i poranione widmo zamierzam obecnie w duszach waszych wywołać na podstawie dokumentów i wykopalisk.

a) Pagórki i dzielnice miasta.

Tacyt (Hist. V, 11) krótko, lapidarnie, ale obrazowo opisuje Jerozolimę z czasów Chrystusa.

„Miasto (Jeruzalem), niedostępne już przez samo swe położenie, wzmacniały potężne warownie, któreby wystarczyły na obronę nawet równiny. Albowiem dwa pagórki niezmiernej wysokości były zamknięte murami, co się sztucznie zakrzywiały, albo w głąb się zazębiały, aby boki zdobywających były odsłonięte na pociski. Krawędzie skalne były przepaściste, a wieżyce, gdzie im góra pomagała, miały po 60 stóp wysokości. W kotlinach zaś wznosiły się do stu i 120 stóp i były dziwnej piękności, a z daleka patrzącym wydawały się co do wysokości równe. Wewnątrz były jeszcze inne mury, co otaczały pałac królewski, a nadto zamek królewski Antonia, o szczycie zdala widniejącym“.

Wspomina zatem Tacyt o pagórkach miasta i o jego murach, a więc wylicza czynniki istotne i najważniejsze w całej

topografii Jerozolimy starożytnej; potrąca o rzecz, którą przedewszystkiem ustalić musimy. O nią bowiem wiedli zacięte spory archeologowie i historycy wskutek bardzo niejasnego tekstu Józefa Fl. (Bell. V, 4, 1—2), w którym mówi wyraźnie o dwóch a potem o czterech pagórkach miasta, a obok tego wspomina o dzielnicy "Ακρα zwanej. Jej utożsamienie jest wprost straszydłem dla topografów i przedmiotem sporów bez końca. Nie myślę was, czcigodni słuchacze, wprowadzać w te ciemne zaułki archeologiczno-topograficzne. Trzebaby na to kilku przynajmniej godzin czasu i cierpliwości waszej nielada. Ograniczę się do tego, co jest albo pewne, albo tylko prawdopodobniejsze.

Jak wiemy z I-go odczytu, leżało stare miasto we widłach dolin Cedronu i Gehenny, na wyżynie, którą dolina el-Wad (Tyropeon) dzieli na dwa główne pogórza, wschodnie i zachodnie. Mały dopływ Tyropeonu, biegnący z zachodu na wschód, przecina pogórze zachodnie na dwie nowe części. Niższą (774 m.), południową, zowie Józef Fl. pierwszym pagórkiem, miastem górnem, albo zamkiem (φρούριον), chrześcijanie zaś pierwszych wieków zwali je świętym Syonem, w znaczeniu głównie mistycznem, dla wieczernika, pierwszego kościoła, który się tamże znajdował. Część północna pagórka zachodniego, wyższa (780 m. przy Kasr Żalud), leżała za czasów Chrystusa poza obrębem murów miasta i miała kilka cyplów. Jeden z nich, łysy (760 m. wysoki), nosił nazwę Kalwaryi. W topografii Józefa Fl. pagórek północny górnego miasta nie wchodzi prawie w rachubę, ale zaliczany bywa do Bezety (IV. dzielnicy).

Wzniesienie wschodnie, dziś ed-Dehura, (dawniej II. dzielnica), drugi pagórek Józefa Fl., zwane przez niego miastem dolnem i Akrą, obejmowało dwie części: północna Morja (744 m.) dźwigała świątynię Heroda; część zaś południowa, zwana Ofel (przeciętnie 725 m.), mieściła w sobie najprawdopodobniej groby królewskie. Mówię najprawdopodobniej, bo kwestya grobów królewskich jest ściśle związana z pytaniem, gdzie leżał Syon kananejsko-żydowski i pierwsze miasto Dawida? W tym względzie dwa panowały zdania między uczonymi. Jedni bronili tak zwanej tezy tradycyonalnej, która

głosiła: twierdza jebuzejska Sijjon, zdobyta przez Dawida, a następnie i samo miasto Dawida, wraz z grobami królewskimi, mieściły się na pagórku zachodnim, czyli na Syonie tradycyjnym. Drudzy upatrywali je na pagórku 'Ofel. Aż do niedawna spór między Syonitami (których nie należy mieszać z naszymi Syonistami), a Ofelitami był tak zawzięty, że na spokojną dyskusyę mało kto się zdobył. Każda strona brała liczne teksty Pisma św. i Józefa Fl. w swe wyłączne posiadanie i tłómaczyła (a nieraz przekręcała) je w swoim duchu. A jednak, by być szczerym, na podstawie samychże tekstów historycznych, jakie mamy do dyspozycyi, kwestyi tej stanowczo rozstrzygnąć nie można. Zwracałem już na to kilkakrotnie uwagę moim zawodowym kolegom, wykazując, że chociaż teza Ofelitów jest w sobie prawdopodobniejsza, to jedynie wykopaliska mogą jej nadać cechę pewności. Wykopaliska te podjęli nareszcie na Ofelu Parker (w latach 1909—1910) i Weil (w latach 1913—1914), ale przed wojną ich nie dokończono, bo Rotszyldowie paryscy odmówili dalszego poparcia pieniężnego dla ekspedycyi pana Weila. Już to, co zbadał Parker, czyni tezę Ofelitów o wiele więcej prawdopodobną od teoryi Syonitów. Znaleziono bowiem ostatecznie i gruntownie zbadano owo zagadkowe s i n n o r, przez które Joab, wódz Dawida, wdarł się do twierdzy jebuzejskiej (2 Sam. 5, 8 nn. + 1 P a r 11, 6 n.). Był to rodzaj podziemnego szybu krytego, który dwoma otworami prowadził wprost z fortecy do jedynego źródła 'Ain Sitti Marjam, znajdującego się już poza obrębem murów twierdzy. Tym krytym tunelem (50 m. dł.) mogli oblężeni Jebuzejczycy dostać się do studni (12 m. głębokiej) i z niej, będąc jeszcze w obrębie twierdzy, czerpać wodę wprost ze źródła, zapomocą wiaderka lub czerpaka na linie. Już Warren (r. 1867 i 1868) odkrył ten tunel, ale jego charakteru dostatecznie jeszcze określić nie umiał, a nadto znaczenie wyrazu sinnor nie było filologicznie ustalone. Dziś poważniejsi hebraiści skłaniają się do twierdzenia, że sinnor oznacza wodociąg, przewód na wodę, kanał. Tego rodzaju szyby, prowadzące z twierdzy do źródła, są nam obecnie znane także i z innych miejscowości Palestyny kananejskiej, jak n. p. w Gezer, Gabaon, Tell Belame (w Samaryi), w 'Amman, by nie wspo-

minać o podobnych urządzeniach hydraulicznych w dawnej Troji, w Amidzie (Diarbekir) i w licznych starych miastach Kappadocyi, Armenii i Azyi Mniejszej.

Odkrycie sinnoru na Ofelu posiada dla topografii starożytnej Jerozolimy niezmierną doniosłość, bo za jednym zamachem wyświetla wielką ilość tekstów historycznych i nadaje im właściwe znaczenie. Dla Jerozolimy z czasów Chrystusa umożliwia nadto odkrycie grobu Dawida, którego już nie będzie trzeba szukać na pagórku zachodnim, ale jedynie na Ofelu.

Miasto dolne, którego część południową stanowi Ofel, nosi także u Józefa Fl. nazwę A k r a. Dlaczego? — Od twierdzy syryjskiej Ἄκρα zwanej, która wznosiła się za czasów machabejskich na podwyższeniu skalnem, tuż przy samej świątyni Zorobabela, a może na południe od dzisiejszych koszar tureckich. Ona to nadała całemu wschodniemu pogórzu swe imię, które mu pozostało nawet po zburzeniu samejże twierdzy przez Symona Machabejczyka i po zrównaniu z ziemią skalistego jej podłoża (Ant. XIII. 6, 6; Bell I. 2, 2). Niedługo potem tenże Symon, obok zburzonej twierdzy, wystawił sobie nową warownię na pobliskiej skale i nazwał ją Baris, którą Herod W. powiększył i na cześć Marka Antonjusza, Antonią przezwał. Cząstkę owego zamku zajmują dziś koszary tureckie.

T r z e c i m p a g ó r k i e m (III. dzielnicą, „przedmieściem“, προάστειον) nazywał Józef Fl. wzniesienie niższe od Akry (t. j. od II. pagórka), naprzeciwko niej (ku zachodowi) leżące, a oddzielone od niej parowem, który jednak już za czasów machabejskich zasypano rumowiskiem ze zburzonej twierdzy syryjskiej. Powstałe tam już za czasów starożydowskich przedmieście, włączono za rządów Ezechiasza do miasta i otoczono z północy murem (drugim).

C z w a r t y wreszcie p a g ó r e k (767 m.), IV. dzielnica Józefa Fl., zwany Bezetą, leżał na północ za murami miasta Chrystusowego; dopiero Herod Agryppa I. (po r. 42 po Chr.) włączył go do stolicy i okolił murem (trzecim). — Ile ludności liczyło Jeruzalem za czasów Chrystusa, napewno nie wiemy; najwięcej 100—150 tysięcy. Atoli na święta Paschy, za świadectwem Jó-

zefa Fl., liczba mieszkańców wraz z pielgrzymami dochodziła do półtora miliona.

b) Mury miasta.

Z historycznego wstępu wiemy, że miasto Dawida wraz z twierdzą Syon było otoczone murem, że ten mur, okalający całe miasto, ulegał nieraz zburzeniu, ale zawsze był na nowo odbudowywany. Mur ten nosi w topografii Jerozolimy nazwę muru pierwszego, by go odróżnić od następnych. Ezechiasz bowiem (722—699 przed Chr.) — że pozwolę sobie wam przypomnieć — przyłączył do stolicy przedmieście (III. dzielnicę) i od północy okolił ją drugim murem. Ten też stan rzeczy przetrwał w głównych zarysach aż do czasów Chrystusa.

Miasto więc Jeruzalem, za czasów publicznej działalności Chrystusa, okolone było zewsząd murem: pojedynczym ze wschodu, południa i zachodu, gdzie doliny i jary broniły miasta, podwójnym zaś od północy, gdzie dostęp był łatwiejszy (Bell. V. 4, 1. 2).

Mur pierwszy, zbudowany już przez Dawida (?), a odnowiony przez jego następców, rozpoczynał się za czasów Chrystusa przy wieży Hippikus (przy dzisiejszej bramie jafskiej); w linii prostej biegł ku wschodowi, przekraczał dolinę Tyropeonu i łączył się z murami, okalającymi świątynię Heroda, w miejscu, gdzie dziś jest t. zw. łuk Wilsona. Opuściwszy południowo-wschodni róg świątyni, posuwał się dalej w kierunku południowo-zachodnim, okalając wschodni stok 'Ofelu, włączał prawdopodobnie obie sadzawki Siloë w obręb miasta, przekraczał powtórnie Tyropeon, a przybrawszy kierunek najpierw zachodni, a potem północny, biegł po południowym i zachodnim skłonie „miasta górnego", aż wreszcie przy wieży Hippikus łączył się ze swym początkiem. Czy i o ile w obrębie tego pierwszego obwałowania istniały jeszcze za czasów Chrystusa oddzielne wewnętrzne mury obydwóch dzielnic (I., II.), nic pewnego w tym względzie powiedzieć nie można, chociaż rzecz jest bardzo prawdopodobna. Resztek pierwszego muru dokopali się: na 'Ofelu Warren

(1870), Guthe (1881) i Weil (1913—1914); na południowym stoku miasta: Maudsley (1875) i Bliss (1894—1895), na północy zaś Schick (po roku 1898 w różnych czasach); te zaś resztki, biorąc na uwagę samo położenie pagórków, pozwalają na rekonstrukcyę całej linii muru pierwszego.

Przyglądnijmy się przynajmniej pobieżnie temu, co z resztek pierwszego muru zdołano dziś odszukać. Zaczynał się on przy wieży Hippikus. Archeologowie zgodnie i słusznie widzą jej resztki w północno-zachodniej wieży dzisiejszego zamku el-Kal'a, w pobliżu bramy jafskiej. Jej podmurowanie i rowy obronne noszą na sobie wszystkie charaktery budowli herodyańskich, a jej rozmiary (25×25 łokci w kwadrat) odpowiadają temu, co podaje Józef Fl. Wieży Fazael, przez którą biegł dalej I-szy mur, szukają topografowie w tak zwanej dzisiaj „wieży Dawida". Jej rozmiary (40×40 łokci w kwadrat), a nadto ociosanie ogromnych głazów kwadratowych (1.25 m.×1.25×1.25), dokładnie wygładzonych i bez wapna na sobie spoczywających, są zgodne z opisem Józefa Fl. Nie jest wykluczone, że i trzecia, najmniejsza, ale najpiękniejsza wieża pałacu Herodowego, mianowicie Mariamme, tak nazwana od ukochanej żony Heroda, którą tenże z zazdrości zgładzić rozkazał, leżała na linii pierwszego muru. Dalszy bieg jego, zwłaszcza przez dolinę Tyropeon, tylko w drobnej części odnaleziono. Był to rodzaj wysokiego wiaduktu (I.), którego łuki spoczywały na silnych pilastrach. Ostatnie przęsło wiaduktu wspierało się już o mur, otaczający place świątyni, a jego to resztki zachowały się w tak zwanym dziś „łuku Wilsona". Od wieży Hippikus ku południowi biegł mur I. brzegiem pagórka, w linii prostej aż do miejsca, zwanego Betso, które stanowiło narożnik. Maudsley odkopał go cały, wraz z rowami obronnymi i fundamentami trzech wieżyc.

Od Betso zwracał się mur I. ku wschodowi i biegł brzegiem pagórka; — jego ruin, jako też resztek jego 6 wieżyc i 2 bram, dokopał się tutaj Bliss. Od ostatniej bramy Gnojnej mur I. zmieniał swój kierunek i zwracał się ku północy. Przekraczając dolinę Tyropeon na południu, mur I. stanowił zarazem potężną baryerę dla wód dolnej sadzawki Siloë którą to baryerę podpierało

z zewnątrz 7 potężnych skarp, a wzmacniały jeszcze dwie wieże. Jedna z nich za czasów Chrystusa zawaliła się, zabijając 18-tu ludzi, jak o tem wspomina św. Łukasz (13, 4). Od Siloë aż po wschodni krużganek świątyni badali ślady I. muru na pagórku 'Ofel uczeni Guthe i Warren. Guthemu wprawdzie powiodło się odkryć nieliczne zaledwie resztki muru, ale natomiast Warren był szczęśliwszy, bo odnalazł jego fundamenta na przestrzeni 244 m. i odszukał także 4 wieże. Tak więc z 60 baszt, które zdobiły I. mur miasta, zdołano dotąd odszukać zaledwie 18. Ale ich resztki stwierdzają wymownie prawdomówność opisów Tacyta i Józefa Fl.

O ile ustalenie biegu I. muru miasta, za czasów Chrystusa, nie napotyka obecnie na wielkie wątpliwości, o tyle mur II. tylko z trudnością da się w przybliżeniu wytyczyć. Za świadectwem Józefa Fl., II. mur rozpoczynał się przy bramie Gennat (Ogrodowej) I. muru i okalając III. dzielnicę (przedmieście, προάστειον) posuwał się ku Baris — Antonii (Bell V. 4, 2). Ostatnią część tego muru zdołano ustalić, mianowicie od Antonii ku zachodowi. Archeologowie bowiem prawie powszechnie dziś przyjmują, że dzisiejsza ulica, która od Antonii biegnie aż do hospicyum austryackiego, była za czasów Chrystusa fortecznym rowem, okalającym mur II. od północy i oddzielającym go od pagórka Bezety. Rów ten za czasów rzymskich przemieniono na ulicę i wyłożono kamiennemi płytami. Dalszy jednak bieg II. muru nie jest jeszcze we wszystkich szczegółach dostatecznie znany; nawet położenie bramy Gennat jest bardzo niepewne. Stąd też rozbieżność zdań archeologów jest wielka. Jedni upatrują bramę Gennat między Hippikiem i Fazaelem; inni na wschód od Fazaelu, inni wreszcie przy tak zwanym Kanatir Mar Butros (Łuk św. Piotra), w odległości 230 m. od Fazaelu. Tam bowiem odkopano ślady bardzo starej bramy. To ostatnie zdanie zdaje mi się być najprawdopodobniejsze, chociaż przez to nie wykluczam możliwości innych kombinacyi. W każdym razie na wschód od bazyliki św. Grobu znaleziono w dzisiejszem rosyjskiem hospicyum Aleksandry resztki potężnego muru i bramy, która — zdaniem najpoważniejszych uczonych — stanowiła część II. muru miasta. W tem

założeniu dzisiejsza bazylika św. Grobu leży już poza obrębem II. muru, czyli poza murami miasta wogóle za czasów Chrystusa. Ważny ten szczegół sam przez się stwierdza ubocznie naukową możliwość autentyczności św. Grobu i Kalwaryi. Gdyby bowiem II. mur biegł n. p. na zachód od bazyliki św. Grobu, jużby utożsamienie Kalwaryi w miejscu, gdzie dziś jej szukają, było tem samem niedopuszczalne, gdyż wiadomo z pism Nowego Zakonu, że Kalwarya leżała w pobliżu miasta (Jan 19, 20), za jego bramami (Mat. 27, 32; Mk. 15, 20; Jan 19, 17, por. Żyd. 13, 12. 13), obok drogi, wiodącej do miasta (Jan 19, 20). — Ale ta archeologiczna możliwość wystarcza; bo autentyczność dzisiejszej Kalwaryi i św. Grobu opiera się na innych (od archeologii niezależnych) świadectwach historycznych. Wątpliwości, jakie w tej mierze podnosił Gordon, C. W. Wilson i ich zwolennicy, nie są ani nierozwiązalne, ani tak poważne, by pozwalały nauce odrzucić autentyczność dzisiejszej Kalwaryi.

M u r u III. nie oglądały już ziemskie oczy Jezusowe. Zbudował go dopiero Herod Agryppa I. po r. 42 po Chr., dołączywszy do miasta IV. dzielnicę, Bezetę. Najprawdopodobniej posuwał się on po tej samej linii, co dzisiejszy mur północny miasta, od bramy jafskiej aż po bramę Sitti Marjam i po świątynię. Obszar, tym murem objęty, był znaczny. Za czasów Chrystusa tylko część wschodnia IV. dzielnicy, właściwa Bezeta, była gęściej zaludniona; natomiast część zachodnia, gdzie mieścił się historyczny obóz Assyryjczyków (przy baszcie Psefinus), jak i pagórek Golgota, były jeszcze w części wypełnione ogrodami; stąd i nazwa bramy, prowadzącej z I. do tej części IV. dzielnicy, była Bab Gennat, t. j. brama Ogrodowa. Tem się tłómaczy, że tuż przy Kalwaryi mógł Józef z Arymatei mieć ogród z grobem, świeżo wykutym. Żydzi bowiem między domostwami nigdy grobów nie kopali.

Za świadectwem Józefa Fl., mury Jerozolimy były wysokie i zdobne w obronne w i e ż y c e. Mur I. miał ich 60. Pięknością i ogromem budowy, na co zwraca uwagę nawet Tacyt (Hist. V., 11), zasługiwały na szczególną wzmiankę wieże, wystawione przez Heroda, jako to: Hippikus (30 łokci wys.), Fazael (50 łokci) i Mariamme (55 łokci). Mur II. miał 14 wieżyc; najważniejszą była

wieża Stratona w zamku Antonii; prawdopodobnie na miejscu dawnej wieży Mea (Neh. 3, 1), lub Hananael (Neh. 3, 1; 12, 39; Jer. 31, 38; Zach. 14, 10). III. wreszcie mur miał 90 wieżyc, które 20 łokci wystawały ponad mury miasta. Najważniejsze z nich były: Psefinus (70 łokci wys.), z której rozpościerał się widok na góry Moabu, morze Martwe i Śródziemne (Bell. V. 4, 3. 4), dwie wieże Niewiast, przy dzisiejszej bramie damasceńskiej, i wieża Narożna (dziś może Burż Laklak?) przy pomniku Gnafeos.

Prócz murów i wieżyc posiadała Jerozolima za czasów Chrystusa także obronny zamek Antonię. Leżał on na północno-zachodnim rogu placu świątyni, w miejscu dzisiejszych koszar. Jego początki sięgają może w czasy przed Nehemiaszem (2, 8; 7, 2), kiedy to w tem miejscu wznosiła się warownia Bira (z wieżycami Mea i Hananael?). W każdym razie Hyrkan Hasmonejczyk obwarował ją i nazwał Baris, a Herod W. wspaniale przebudował, rozszerzył i na cześć Marka Antoniusza Antonią przezwał. Szczegóły i rozmiary Antonii nie są całkiem pewne. Za czasów Chrystusa była ona siedzibą wojska rzymskiego, a nawet gościła czasem namiestników cesarskich. Warowne placówki przedstawiały także dziedzińce świątyni, jak niżej zobaczymy.

12 bram prowadziło za czasów Chrystusa z zewnątrz do wnętrza Jerozolimy. Pięć od północy, cztery ze wschodu, dwie z południa, jedna z zachodu. Ich dokładne rozmieszczenie jest w części dość niepewne.

c) Ważniejsze budowle.

Pierwsza dzielnica posiadała przedewszystkiem wspaniały *pałac Heroda W.*, którego zabudowania, ogrody i warownie (wraz z wieżami Hippikus, Fazael i Mariamme) zajmowały wielki obszar wzdłuż zachodniego muru miasta, na południe od dzisiejszej bramy jafskiej. Część dawnej warowni stanowi dzisiejszy zamek el-Kal'a. Za czasów rzymskich pałac Heroda (podobnie jak Antonia) służył nieraz namiestnikom cesarskim za mieszkanie (praetorium), gdy ze swej siedziby w Cezarei zjeżdżali

do Jerozolimy (Bell. II. 14, 8; 15, 5). Gdzie mieszkał Piłat, gdy w czasie świąt paschalnych zasądził Chrystusa, na pewno nie wiemy. Tradycya wskazuje raczej na Antonię lub jej najbliższą okolicę w dolinie Tyropeonu, gdzie mogło się znajdować „Lithostroton". Od utożsamienia zaś namiestnictwa czyli pretoryum Piłatowego zależy autentyczność dzisiejszej drogi krzyżowej w Jerozolimie.

W I. dzielnicy mieścił się wieczernik i *pałac Kajfasza.* W jego pobliżu odkopano schody, któremi schodziło się prosto do doliny Tyropeonu.

W południowo-wschodniej stronie tejże dzielnicy, na stoku pagórka, naprzeciwko świątyni, leżał *pałac Hasmoneuszów* (Machabeuszów). W nim to niektórzy topografowie szukają mieszkania Heroda Antypy. Od pałacu do świątyni prowadził *wiadukt ponad Tyropeonem,* którego resztki zachowały się w tak zwanym łuku Wilsona. Z górnego miasta jeszcze *drugi wiadukt,* więcej południowy, wiódł do świątyni (do krużganków Heroda). Jego resztką jest tak zwany łuk Robinsona. Na przestrzeni pomiędzy dwoma wiaduktami a zachodnim murem świątyni, w samej już dolinie Tyropeonu, mieścił się rynek miasta, *Xystus.* Tuż obok murów świątyni, w dolinie Tyropeonu, leżał *ratusz,* zwykłe miejsce posiedzeń Sanhedrynu, a obok niego (przy bramie Barklay'a) *schody,* którymi z Tyropeonu można było dostać się bezpośrednio na dziedziniec świątyni.

D r u g a d z i e l n i c a, miasto dolne, a więc Ofel i Morja, posiadała między innemi pałace królewskiej rodziny Monobaza i Heleny z Adyabeny, nadto archiwum i hippodrom (na południe tuż od krużganka Heroda). Na Ofelu należy szukać najprawdopodobniej także grobów królów żydowskich, a więc i grobu Dawida (Dz. 2, 29). Na Morji w końcu wznosiła się:

d) Świątynia Heroda wraz z dziedzińcami.

Była ona ogniskiem życia duchowego żydów, a dla nas ma tem większe znaczenie, że niejednokrotnie była widownią działalności Chrystusa. Odnowiona, rozszerzona i upiększona przez He-

roda W., była arcydziełem sztuki tak wybitnem, że u żydów przeszło w przysłowie: „Kto drugiej świątyni nie widział, nic prawdziwie pięknego nie widział". Herod bowiem, chcąc sobie zyskać mir u ludu, rozpoczął w r. 20—19 przed Chr. odbudowę świątyni jerozolimskiej i budowli przyległych. Przez lat przeszło 10 trwała przebudowa samego przybytku i jego dziedzińców. Całkowicie zaś ukończono wszystkie prace około świątyni dopiero pod następcami Heroda, roku 64 po Chr.

Dzieło Heroda było podwójne: nie tylko odbudował sam przybytek, ale także powiększył znacznie plac naokoło świątyni i w tym celu wystawił naprzód sztuczne podmurowania kamienne. Świątynia bowiem wznosiła się, jak wiemy, na pagórku Morja, otoczonym z dwóch stron dość stromemi dolinami Cedronu i Tyropeonu. Największa spadzistość za czasów Heroda była jeszcze na rogu południowo-zachodnim. Na rogu bowiem południowo-wschodnim wznosiły się już dawniej pałace Salomona, a potężne ich podmurowania, przynajmniej w swoich najniższych pokładach, zdaniem najwybitniejszych archeologów, sięgają czasów Salomona. Inni przypisują je wszakże Herodowi. Rzućmy na nie okiem, bo nie powstydziłaby się ich inżynierya dzisiejsza. O ich wielkości świadczą rozmiary: od żywej skały, na której spoczywają podwaliny, aż do dzisiejszego poziomu placu świątyni, mamy w rogu południowo-wschodnim 44 m.; w rogu południowo-zachodnim przeszło 40 m. wzniesienia. Do tej więc wysokości musiały sięgać podmurowania. Dziś są one dostępne jedynie w rogu południowo-wschodnim, w tak zwanych „stajniach Salomona". Przestrzeń o długości 83 m., a szerokości 62 m., zajęły sklepione kryptoportyki, w liczbie 13, wsparte na 88 potężnych pilastrach, w 12 rzędów rozłożonych. Ich dzisiejsza wysokość nad ziemią wynosi jeszcze 9 m., bo rumowiska i ziemia pokryły żywą skałę w wysokości od 10 do 36 m. By się dostać do samej skały, musiał archeolog Warren pokopać głębokie studnie zewnątrz murów, a potem podziemnymi tunelami docierał aż do samych fundamentów i poddawał je badaniu. Znalazł wszędzie te same, starannie obrobione bloki kamienne, podobne do tych, które obecnie jeszcze wyglądają ponad ziemię. Wymiary

niektórych monolitów, wchodzących w skład muru, wynoszą czasem 8 i pół m. długości, a półtora metra wysokości. Wyższe pokłady dzisiejszego muru ponad ziemią, tak przez swój materyał, jak i przez rozmiar i wykonanie, zdradzają aż nadto epoki, z których pochodzą, mianowicie czasy Heroda i rzymskie, Justyniana, Arabów, a w końcu Turków.

Taki więc potężny, wspaniały mur zewnętrzny odgraniczał całe to święte miejsce (τὸ ἱερόν) od reszty miasta. Jego długie i szerokie mury były zdobne w cokóły, narożniki i blanki, a obejmowały przestrzeń dzisiejszego „dostojnego ogrodzenia“ (średnio 480 m.×300 m.). Stopniowo tarasami wznosił się jeden dziedziniec ponad drugim, a na samym szczycie pagórka Morji królował przybytek świątyni (ὁ ναός).

Ze wszystkich czterech stron świata prowadziły bramy na zewnętrzny dziedziniec świątyni; głównym jednak, iście królewskim dostępem, były dwie bramy południowe, zwane bramami Huldy, przez które zapomocą krytych korytarzy i schodów wchodziło się wprost na główny dziedziniec świątyni.

Kiedy się pielgrzym znalazł wewnątrz obmurowania, na podwórzu, zwanem dziedzińcem pogan (gdyż i poganie mieli tam dostęp), wzrok jego padał naprzód na wspaniałe, otaczające go zewsząd krużganki, przyległe do murów świątyni. Krużganek wschodni, zwany krużgankiem Salomona (Jan 10, 23. Dz. 3, 11; 5, 12), jak i krużganek północny i zachodni, były dwunawowe; krużganek południowy, zwany królewskim (ἡ βασιλικὴ στοά) lub herodyańskim, składał się z trzech naw, z których środkowa miała 28 m. szerokości; pięknością swoją porywał on oczy obecnych. — W tym to „dziedzińcu pogan“ kupcy bydląt ofiarnych i bankierzy urządzili sobie bezprawnie, chociaż za zgodą kapłanów, wygodną siedzibę, z której ich Chrystus dwukrotnie wypędził (Jan 21, 21; Mk. 11, 15; Łuk. 19, 45). Pod krużgankami, na temże podwórzu, wyłożonem kamiennemi płytami, znajdowały się różne zabudowania drugorzędne, jak n. p. cele dla lewitów, szkoły rabinów (Łuk. 2, 46); tu także zbierał się lud około Chrystusa, a później i pierwsi chrześcijanie, na modlitwę (Dz. 3, 11; 5, 12).

Prawie w środku tego wielkiego dziedzińca, chociaż wysunięty więcej ku północnemu zachodowi, wznosił się drugi taras, o 6 m. wyżej nad pierwszym. Otaczała go zewsząd niska (1 i pół m.) poręcz kamienna (ἐρύφακτος λίθινος, Sorag). Tablice o napisach greckich i łacińskich, umieszczone na poręczach, z których jedną odnaleziono, przestrzegały każdego cudzoziemca (poganina, ἀλλογενῆ), aby pod karą śmierci nie ważył się przekroczyć tego ogrodzenia.

Czciciel Jahwy, przepuszczony poza poręcz, znajdował się na wolnej przestrzeni, 10 m. szerokiej, zwanej Hel, a potem po 14-tu stopniach wstępował na trzeci taras. Wysokie mury otaczały go zewsząd, a 9 bram, zdobnych w baszty, prowadziło przez te mury do wnętrza. Najpiękniejszą była brama wschodnia, zwana bramą Nikanora, albo też bramą ozdobną (speciosa, ὡραία Dz. 2, 3), bo jej podwoje były z korynckiego mosiądzu.

Przez tę wysoką i szeroką bramę, przy której siadywali ubodzy i kaleki, przechodziły tłumy ludu naprzód na pierwszy dziedziniec wewnętrzny, zwany dziedzińcem niewiast, gdyż i niewiasty mogły tam przebywać. Na tym dziedzińcu kwadratowym (135×135 łokci) znajdowały się po rogach 4 małe zabudowania, przeznaczone częścią na magazyny kościelnego wina, oliwy i drzewa, częścią zaś dla nazyrejczyków i oczyszczonych trędowatych. Na dziedzińcu niewiast gromadził się zwyczajnie podczas nabożeństw lud żydowski i niewiasty; tu Chrystus nieraz także przemawiał (Jan 7, 14; 8, 2; Mat. 26, 56), zwłaszcza w krużgankach, ciągnących się wzdłuż murów wewnętrznych tego dziedzińca.

Osobny mur, biegnący z południa ku północy, oddzielał podwórze niewiast od dziedzińca Izraela, znajdującego się na zachód od pierwszego. Prowadziły do niego półkoliste schody o 15 stopniach. Z ostatniego stopnia roztaczał się widok na ołtarz całopalenia i na leżący za nim właściwy przybytek. Sam dziedziniec Izraela (t. j. mężczyzn) był długi 135 łokci, ale wąski 11 łokci. Dopuszczano do niego tylko śpiewaków, muzy-

ków i tych z pomiędzy Izraelitów, co w danej chwili składali swe ofiary prywatne.

Niska baryera oddzielała podwórze mężczyzn od przyległego dziedzińca kapłanów, który leżał na podmurowaniu, o łokieć wyższym od poprzedniego. Cały dziedziniec wewnętrzny (mężczyzn i kapłanów) miał 187 łokci długości (ze wschodu na zachód), a 135 szerokości (z północy ku południowi). Postępując ku zachodowi, spotykało się naprzód ogromny ołtarz całopalenia (32×32 łokci u dołu, 24×24 łokci u szczytu). Kamienną, powoli wznoszącą się drogą, wstępowali kapłani z południa ku północy na szczyt tego wysokiego ołtarza, gdzie w wiecznie płonącym ogniu składali rano i wieczorem przepisane codzienne ofiary i inne dobrowolne daniny palne wiernych. Krwią zabitych zwierząt pomazywano (lub skrapiano) rogi ołtarza, a reszta krwi spływała do stóp ołtarza, skąd przez osobny podziemny kanał odchodziła do doliny Cedronu. Resztką tego ołtarza jest właśnie skała, czczona w meczecie Omara, którą znamy z poprzedniego odczytu.

Ku północy od ołtarza całopalenia zabijano ofiary zwierzęce, tam też płatano ich mięso na sztuki i obmywano wnętrzności zabitych zwierząt. Wielki narożny basen z wodą (dawniej „morze miedziane"), o 12 kurkach, służył do obmycia rąk i nóg kapłanów, którzy odbywali służbę przy ołtarzu.

Do murów dziedzińca kapłańskiego przytykały z wewnątrz liczne mniejsze zabudowania dla kapłanów, zajętych służbą ołtarza. Tu też, zdaniem niektórych, miała się mieścić marmurowa sala (hag-gazit), gdzie Sanhedryn odbywał swe nadzwyczajne posiedzenia.

Przybytek świątyni (ὁ ναός,[1] hê'kal) zajmował resztę dziedzińca kapłanów. Plan był taki sam, jak w świątyni Salomona; przybytek składał się bowiem z przedsionka i podwójnego wnętrza, otoczonego dookoła niższemi, masywnemi budowlami bocznemi. Różnica była w tem, że przybytek Heroda zbudowano z potężnych, ciosowych głazów białego marmuru, tu i ówdzie pozłacanych, które w świetle wschodzącego i południowego słońca dziwny blask w około rozsiewały.

Przedsionek (ulam), stanowiący zarazem czoło i front przybytku, przypominał może egipskie pylony swą budową i wieżycami. Wysokość obydwu wież dochodziła 120 łokci, szerokość jego zewnętrzna (północ—południe) miała 100 łokci. Dwanaście stopni prowadziło z dziedzińca kapłanów do przedsionka, a z niego przez olbrzymi portal (70 łokci wysoki, 25 łokci szeroki) wchodziło się do wnętrza samego przybytku. Podwoje portalu wewnętrznego były na noc zamykane, a przez dzień zawsze otwarte, atoli ciężka zasłona przesłaniała widok wnętrza przybytku. Ta najprawdopodobniej zasłona przedarła się na poły przy śmierci Chrystusa (Mat. 27, 51).

Wnętrze przybytku dzieliło się na dwie części, na tak zwane *miejsce Święte* (hekal) i Święte świętych (debir). Ściany jego były pozłacane, a sprzęty podobnież rozłożone, jak w świątyni Salomona; a więc po lewej stronie od wejścia świecznik siedmioramienny, na którym ciągle płonęło światło; po prawej zaś stronie stół złoty z dwunastu chlebami ofiarnymi. Między świecznikiem a stołem, tuż przed wejściem do Świętego świętych, mieścił się złoty ołtarz kadzenia, na którym kapłan codziennie ofiarował Bogu kadzenie (por. Łuk. 1, 9). Po zburzeniu Jerozolimy zdobywcy zabrali te przedmioty do Rzymu, a tryumfalny łuk Tytusa w Rzymie zachował nam przynajmniej ich podobizny. Same bowiem te przedmioty zatonęły później (w w. V.) w morzu, gdy wskutek burzy rozbił się okręt, na którym Genzeryk uwoził je z Wiecznego Miasta.

Miejsce święte od *świętego świętych* (debir), dokąd tylko raz w roku, w dzień sądny (pojednania), sam arcykapłan mógł wchodzić, by złożyć kadzenie, oddzielone było ścianką drewnianą i podwójną zasłoną. Wymiary wewnętrzne tego miejsca przedstawiały kostkę sześcienną (20×20×20 łokci). Ponieważ po powrocie z niewoli babilońskiej brakło już arki przymierza, przeto wnętrze debiru było całkowicie próżne. Nad hekalem i debirem znajdowała się próżna przestrzeń, gdyż wysokość zewnętrzna całego przybytku, wraz z podmurowaniem, wynosiła wszędzie po 100 łokci.

Boczne budowy, przytykające z północy, z zachodu i z po-

łudnia do murów przybytku, składały się z trzech piąter (38 pokoików), między sobą połączonych. Służyły one za skarbiec świątyni (2 Mach. 3, 10 nn.; 1 Mach. 1, 23, 24).

Dach przybytku (niewiadomo, czy płaski, czy pochylony) otaczała kamienna baryera (3 łokcie wysoka), a pokrywały złocone strzały, aby ptactwu uniemożliwić zanieczyszczanie gmachu.

Całość przedstawiała widok podniosły. Z góry Oliwnej — skąd można było podziwiać rozłożenie świątyni wraz z dziedzińcami i portykami, a oczy nasycać blaskiem złota i połyskiem białych marmurów — spoglądał z dumą pielgrzym żydowski na świątynię swego Boga Jahwy i na stolicę swego narodu. Bo w istocie: ze swoimi wysokimi murami, zdobnymi w baszty, narożniki i cokoły, ze swoimi pałacami, rozrzuconymi w obu dzielnicach, musiało Jeruzalem ówczesne przedstawiać się wspaniale. — Rozmaici malarze i artyści zadawali sobie trud niemały, by przedstawić dostatecznie piękność tego miasta. Jedni kierowali się jedynie wyobraźnią, bez żadnej realnej, historycznej podstawy. Inni liczyli się już więcej z rzeczywistością. Mam pod ręką jedynie szkic, sporządzony przez Leopolda Wörnharta z r. 1882. Rzecz to nie najlepsza; cechuje ją raczej dobra wola i wyobraźnia, niż znajomość archeologii, — ale w braku czego innego pozwoliłem sobie ją przedstawić. Jeśli zestawimy obok siebie w jednym obrazie ryciny Jerozolimy dawnej z dzisiejszą, z dzisiejszą mówię, która jest tylko łachmanem Jerozolimy starożytnej, to obraz minionej przeszłości uwypukli się nie mało i nabierze życia.

Zaiste, biedne to miasto! Po trzykroć biedne, bo bogobójcze! „Rzucone o ziemię, tylekroć razy palone, pustoszone, burzone, krwawiące ze wszystkich ran, — a jednak nie umarłe, nie pojednane z Bogiem! Chrześcijanie wszystkich obrządków osiedlają się w niem; na jego ruinach wznoszą świątynie i ołtarze, a jednak nie mogą go ochrzcić!“ Bo jego zatwardziałość wyciskała łzy Synowi Bożemu i ściągnęła na nie przekleństwo Najwyższego! —

Czyżby na zawsze? Czyżby jego kamieniste, spalone podłoże nie wypiło już dosyć krwi i łez ludzkich?

Łez ludzkich — tak, — dosyć!

Jest w Jerozolimie jedno miejsce, które co piątek łzami ludzkiemi krwawi. To uliczka bez wyjścia, tuż przy zachodnim murze dawnej świątyni, który tutaj na długości 50 metrów wystaje 18 metrów w górę. Dolne, widzialne jeszcze warstwy tego muru, oglądały (zdaniem archeologów) czasy Salomona. Ten obumarły zakątek miasta, zwany murem płaczu, ożywia się każdego piątku pod wieczór. Zjawiają się dziwnie ubrane postaci, o typach najróżnorodniejszych. — To żydzi ze wszystkich ziem pod słońcem. Rozlegają się jęki i westchnienia. Mężczyźni i niewiasty, dzieci i starcy wypłakują tu swoje serdeczne bóle. Jedni siadają w kucki na ziemi, wyciągają pożółkłe księgi, kiwają się i modlą. Inni znowu, wsparci głową o mur, całują namiętnie jego zimne kamienie, przyciskają do nich swe czoła lub rozpalone policzki, obejmują rękoma te stare głazy, jak gdyby chcieli w jego fugi i rysy wtłoczyć gorące westchnienie swej duszy. Potem rozpoczyna się właściwa liturgia. Głosem smutnym i przytłumionym intonuje przewodniczący jakiś rodzaj niby litanii, a lud mu odpowiada stałym refrenem: „Siedzimy tu samotnie i płaczemy“. Przewodniczący woła: „Za świątynię, która tu pustkowiem leży, — za pałace, które nam zburzono; — za mury, które obalono; — za nasz blask, który przepadł; — za naszych wielkich mężów, którzy tu padli; — za te drogie głazy, które spalono; — za kapłanów, którzy się zachwiali; — za naszych królów, którzy Nim wzgardzili; — ..... a lud na każdy wiersz odpowiada: „siedzimy tu samotnie i płaczemy“. Wkońcu wszyscy dodają: „Prosimy Cię, zmiłuj się nad Syonem, zbierz na nowo w jedno rozprószone dzieci Jeruzalemu“.

Wielką jest siła tego wymownego płaczu! Dobrze o nim powiedział Keppler: „Jest to Requiem Starego Zakonu, śpiewane przez resztki tego ludu, który tu niegdyś był panem, a któremu teraz nie wolno nawet wstąpić na plac świątyni; który jak niewolnik żyje w najnędzniejszym zakątku swej stolicy i za pienią-

dze musi sobie kupować prawo, by u stóp tego muru módz płakać! Jest to Requiem, śpiewane na grobie tego ludu, wobec trupa jego świątyni!“

Widok bolesny, wstrząsający do głębi!

Oby się spełniły gorące błagania lepszych synów Izraela!

Ks. Wład. Szczepański.

Najnowsza polska powieść historyczna.

(Dokończenie).

O wiele lepiej zna swój czas inny poczytny dzisiaj powieściopisarz historyczny, p. Wacław Gąsiorowski. Wszystkie jego powieści wydobyte z dziejów polskich okresu Napoleona I. Pan Gąsiorowski we wstępie do jednej z nich [1]) utrzymuje, jakoby powieść historyczna była tem trudniejszą, im karty dziejów bliższe, bo „materyałów moc niesłychana, pamiętników, zabarwionych stronniczością, ilość nieprzebrana". Fantazyę trzeba trzymać na wodzy, żyją bowiem tradycye rodzinne. Może powstać łacno zarzut nieprawdziwości, który osłabia wrażenie i obniża wartość powieści w oczach czytelnika. Są to oczywiście zastrzeżenia i uwagi mylne i niewczesne. Obfitość dziejowych materyałów nie krępuje nigdy talentu, raczej go nasyca i pogłębia. Wiadomo, jak rozległe i gruntowne studya czynił Szyller, zanim utworzył które ze swych arcydzieł. A „oczy czytelnika" nie stanowiły nigdy podobno hamulca dla prawdziwego artysty. Stokroć trudniej tworzyć powieść historyczną bez materyału historycznego lub na podstawie szczupłego materyału. Niewątpliwie stronnicze zabarwienie pamiętników utrudnia oryentacyę; stronniczość atoli nie jest zgoła przywilejem cza-

[1]) Kajetan Stuart. Warszawa 1905.

sów nam bliskich; w wyższej nierównie mierze barwiła ona dawne źródła historyczne: stronniczym bywał Gallus i Kadłubek, nawet Długosz. Głównem i prymitywnem zadaniem każdego badacza przeszłości jest w danem źródle wynaleźć prawdę, a o ileż trudniej wyłuskać zdrowe ziarno w dziejowej spuściźnie z odległej przeszłości, niż w pamiętniku z czasów bliskich, który skontrolować można przez wiele innych pamiętników. To zatem, że czasy napoleońskie obfitują w materyał historyczny, uważać trzeba, wbrew mniemaniu p. Gąsiorowskiego, za okoliczność, wielce mu ułatwiającą zadanie powieściopisarza. Przyznałem też z góry, że p. Gąsiorowski źródła historyczne zna, korzysta z nich obficie i umiejętnie, panuje prawie zawsze nad historycznym momentem, jaki do powieści wprowadza. Chodzi mi tu zaś osobliwie o rozpoznanie talentu autora, o jego metodę powieściopisarską i o artystyczną wartość dzieł jego.

Otóż, jako talent, jest p. Gąsiorowski pierwszorzędnym w naszej literaturze batalistą. Nie dorasta w tej mierze Sienkiewicza, ale idzie tuż za nim. Umie z rozmachem, dzielnie i pewną ręką odmalować potężniejący co chwila impet bitwy; widzi ostro rwące do ataku kolumny, słyszy świst kul, łomot pękających granatów i gruchot kartaczy; potrafi wieść do ataku oddziały wojska; nie traci z oczu zarówno zwarcia się wrogich sił, jak działań sztabu, wymierzającego posunięcia pułków na szachownicy pola bitwy.

Powtóre p. Gąsiorowski tworzy plastycznie historycznego człowieka. Posiłkują go w tem: wiedza, wyobraźnia, gorące uczucie i autorska intuicya. Ten dar talentu święci tryumf zwłaszcza w Pani Walewskiej. Postać Napoleona uzyskała tu niemal wypukłość rzeźby. Nie uroniła nic ze swej wielkości, nie skrzywiła się i nie wypaczyła karykaturalnie. A mimo tego uchronił się autor szczęśliwie od pokusy czy błędu wysunięcia Napoleona na czoło, choć błąd taki był do popełnienia łatwy, gdyż rzeczywistość i historya ku niemu parły. Główną postacią powieści pozostała szambelanowa, Marya Walewska.

Przedziwnie pojęta i nakreślona uwydatniła się na tle ujemnych postaci niewieścich: Vaubanki, Jabłonowskiej, Potockiej — i na tle tłumu pochlebców, służalców, ambitnickich, przekupniów dostojeństw, jakich pełen olśniewająco świetny dwór genialnego

pogromcy Europy. I polska i francuska arystokracya uniżenie czołga się przed nim. Każdy radby na targowisku materyalnego szczęścia największy udział dla siebie zapewnić intrygą czy dworactwem. Jedna Walewska, wiernie oddana Napoleonowi, w doli i niedoli mu towarzyszy. W niej skupił autor rysy polskiej biernej natury niewieściej, ofiarnej aż do stłumienia w sobie i zaparcia się własnej godności.

Duchowy proces, jaki się odbył w skromnej i sielankowo prostej Łączyńskiej - Walewskiej, nim się stała kochanką Napoleona, ujęty w dyskretne i psychologicznie uzasadnione rysy.

Temu wizerunkowi nie dorównują inne, w powieściach następnych szkicowane: ani Emilia Plater, ani po molierowsku słaby Kajetan Stuart, ani naiwny kobieciarz i niesłychany krótkowidz Bem, ani czarny generał Władysław Jabłonowski.

Te dwie zalety historyczynch powieści p. Gąsiorowskiego — świetne opisy bitew i szczęśliwe odgadnięcie niewielu postaci historycznych, zaciemniają się wielu wadami. Są one skutkiem metody powieściopisarskiej i skutkiem braku rozmysłu artystycznego.

W metodzie powieściopisarskiej autor nie umie ustrzedz się przed osobistemi wynurzeniami natury sentymentalno - patryotycznej. Materyał, dany przez źródła, przerabia zajmująco i umiejętnie; zmyślenia natomiast bywają banalne, a w swojem skarykaturowaniu nieraz wprost komiczne. Zabawne i niedorzeczne są postacie Zubra i Zubrowej wraz z Waśką (H u r a g a n), komiczna i błacha postać Stadnickiego (S z w o l e ż e r o w i e g w a r d y i). W każdej niemal powieści znajdzie się jakiś papierowy manekin, na dotkliwy szwank narażający powagę prawdy dziejowej. Autorowi przyświeca przytem złudzenie, jakoby sztuczki mowy przyczyniały się do charakterystyki postaci. Skoro ktoś jest Litwinem, to do każdego jego słowa trzeba dodać partykułę d e: de cóż?, de powiedz!, de zrób, braciaszku! Podobnie Stadnicki trzech słów złożyć nie może bez dodania: p s i a! W ostatnich powieściach maniera ta oszpeciła dyalogi w sposób wysoce niesmaczny i nużący. Ostatnie powieści pisał widocznie p. Gąsiorowski pospiesznie. Płodny ten talent (C z a r n y G e n e r a ł ma na końcu nie bez intencyi pomieszczoną uwagę: 29 opus a 35 i 36 tom dzieł!) dotarł w swej szybkiej pro-

dukcyi do tego kresu, części zmyślonej dzieł poświęca część ich historyczną. W Czarnym Generale historya gubi się w plotce i anegdocie. Autor traktuje rzeczy i ludzi z uprzedzeniem, dziwacznie ukutem, ślizga się ponad wielkim ruchem serc i umysłów, a każe go oglądać i odczuwać przez pryzmat dusz niedołężnych czy zacietrzewionych. Niejednokrotnie i gadulstwo sprawia swe orgie. Rozmowy toczą się jakimś cudacznym językiem, jak niebo do ziemi niepodobnym do szlachetnie potoczystych wzorów pseudoklasyków Księstwa warszawskiego. Nawet pisownia staje się gorsząco oryginalną, nastrzępia się osobliwościami odmian i słownictwa, które ze wszech miar zasługują na miano — dziwolągów.

Kompozycya zaś utworów grzeszy rażąco bezdarnem spajaniem zmyślenia i historyi. Autorowi się zdaje — zapewne pod suggestyą lichej marki. fabularzy francuskich — że Honoratka i Dziurba, profos Dziurbacki, Madejowa, Kościołowska i Antoszka (Bem), Zubr i Zubrowa (Huragan) — to drobiazgi z naszej kultury nader dowcipnie wynalezione. Byłaby to racya, gdyby powieść miała przeznaczenie umilać wolne chwile praczek, pomywaczek i kucharek, boć to lepsze, niż Holmesy i Pinkertony. Nie wiem jednak, czy do tego koła czytelników są one adresowane?

Liniom kompozycyjnym całości zazwyczaj brak harmonii, zwłaszcza od połowy utworów. Ogromnie np. osłabia kompozycyę drugiego tomu Pani Walewskiej owo błąkanie się akcyi po Prusach Książęcych, po Wiedniu, Paryżu, Fontainebleau, Walewicach i t. d. Albo też Generał Czarny. Ależ Jabłonowski w pierwszym tomie jest niemowlęciem i nie odgrywa żadnej roli; w drugim gdzieś, kiedyś został majorem i jako major in partibus infidelium licho politykuje; dopiero pod koniec drugiego tomu zostaje generałem, aby wśród arabskich awantur romansować na prawo i na lewo.

Ważąc zalety i wady historycznych powieści p. Gąsiorowskiego, przyznać mu trzeba wybitny talent i zasługę w odtworzeniu czasów napoleońskich w Księstwie; z drugiej atoli strony stwierdzić się musi nierównomierną wartość dzieł, a nawet tomów. Za najlepsze uważam pierwszy tom Pani Walewskiej i pierwszy tom Roku 1809.

Okres napoleoński miał ostatnimi laty szczęście u naszych powieściopisarzy. Prócz Gąsiorowskiego, wielkiej postaci Napoleona I. i jego czasom poświęcili utwory powieściopisarze: Halicka (Krwawe lata 1812—1814), Tetmajer i Gomulicki. Któż z nas nie zna wpływu Napoleona na dziepje Polski i uroku, jaki on wywierał na romantyków, zwłaszcza na Mickiewicza? Potężna indywidualność tego geniusza wojny może i dziś jeszcze czarować wrażliwe dusze. Ale powieściopisarz wchodzi w kontakt z człowiekiem, zagłębia skalpel w jego ludzki charakter i usiłuje go odtworzyć w prawdziwem świetle. Ralph Emerson w Przedstawicielach ludzkości wybornie ujął wizerunek ludzki Napoleona. Każda myśl — mówi Emerson — jaką Napoleon wypowiadał, każdy wiersz, jaki napisał, wart uwagi, bo dawał wyraz myślom i nastrojom całej Francyi. On nigdy nie okazał słabości, nigdy nie podległ książkowej ideologii, lecz cały był w działaniu i dokładności, podobny w tem do sił przyrody. A prócz tej potęgi czynu miał dar przenikliwego jasnowidzenia przyszłości i taki talent syntezy, że ludzie upatrywali w nim splot surowych naturalnych i duchowych mocy, jak żeby morze i ziemia weń się wcieliły. Był realistą, strasznym dla gadułów i dla tych, którzy usiłowali prawdę przysłonić. W każdej chwili i w każdem położeniu wiedział zawsze, co ma czynić. A gdy raz co postanowił, parł ku temu całą swą duszą i całą potęgą. Bez kresu była dzielność i skuteczność jego czynu. Dowiodła ona, że zdolności ludzkie prześcignąć mogą wszystko w tej mierze, cokolwiekby się wyobrazić dało. Przytem był egoistą, łgarzem bez liczby i miary, miłośnikiem teatralnych efektów...

Takiego człowieka obierają za postać główną nasi powieściopisarze. U p. Gąsiorowskiego nie staje on ani razu w pełnym rynsztunku swej duchowej zbroi, a na scenę wprowadzony, nie wiele — przyznać trzeba — traci. Pani Halicka umie sympatycznie na powieściowej arenie kierować swemi postaciami, zarówno Bemem (w 1848 r.), jak i Napoleonem. Jej Bem, staczający bohaterskie walki we Węgrzech w 1848 r., o wiele bardziej zbliża się do ideału narodowego rycerza, niż naiwny Bem Gąsiorowskiego. Natomiast „bóg wojny“ Tetmajera i Gomulickiego najzupełniej chybiony. Napoleon Tetmajera bywa chwilami gadułą i plecie trzy po

trzy, jak np. w rozmowie z Bałaszowem, niedorzeczności o Polakach i o polityce; chwilami błazeńskim dowcipnisiem, po tetmajerowsku nieprzyzwoitym i trywialnym; chwilami wpada we wściekłość i staje się nieobliczalnym nieprzytomnie; chwilami rozczula się ślamazarnie i staje się sentymentalny, jak np. gdy się roztkliwia do portretu króla Rzymu — dziecięcia. Wszędzie i zawsze niema w nim nic z przekazu historycznego.

Napoleon Gomulickiego ma te same rysy. Najzabawniej np. w rozmowie z ks. Józefem informuje się o Litwie: Ile też tam w zimie bywa stopni mrozu? Jak ludzie tamtejsi chronią się przed zimnem? Czy kruki i wrony są jadalne? Jakiego ptactwa na Litwie najwięcej? i t. d. Jak mógł Gomulicki w usta swego historycznego bohatera wkładać te dziecinne zagadnienia — wprost zdumiewające. Obaj ci historyczni powieściopisarze nie odgadują ani ducha czasu, ani ludzi dziejowych. Obaj nadto nasycają swoje historyczne powieści z epoki napoleońskiej tak dalece osobistym lirycznym pierwiastkiem, że przeszłość zatraca całkowicie tchnienie powagi, jakie się zwykle nad nią unosi.

Wszakże osłania ją całun grobowy i to samo wyklucza wszelki żart i wszelkie tanie dowcipnisiostwo. Ale p. Gomulicki, kpiarz i anegdociarz, do rozmaitych ludzi i rzeczy przypina własną etykietę, wedle humoru jowialną, jadowitą lub poważną. Talleyrand jest u niego stale „starym lisem, otoczonym serajem odalisek", ks. Józef raz wygłasza sążniste, sentymentalne tyrady do kochanki, to znów na umór dowcipkuje z dodatkiem „psiakrew", niby przeciętny warszawski literat u Stępka przy kieliszku, albo też drepce, objuczony pudłami zabawek, do dziecka swej kochanki, jak czuły „tiatia". Wśród szumnych tytułów, którymi zbroi p. Gomulicki rozdziały swego B o j u o l b r z y m ó w, jest tytuł rozdziału VI.: H i s t o r y i ź d ź b ł o i s z c z y p t a p s y c h o l o g i i. Mieści się w tym tytule mimowolna ocena całej powieści historycznej: źdźbło w niej zaledwię historyi, a już co psychologii to taka szczypta, że trzeba drobnowidza, aby jej dojrzeć.

Nie wszystkie atoli dziejowe powieści tego autora równie chybione. Kiepski B ó j o l b r z y m ó w bez olbrzymów, kiepski też i G r a n d m u s z k i e t e r, powieść historyczna z czasów Au-

gusta Mocnego, oparta na anegdotach o jakimś Litwinie Kiżgajle, o jakimś mazurze Pyzie. Jest to ramota, sklecona na prędce ku uciesze niewybrednej klienteli czytelniczej. Ale znacznie więcej wartości ma np. Siódme Amen Imci Pana Mokrzeckiego. Z niej widać, że p. Gomulicki posiada znaczną znajomość w zakresie t. zw. starożytności prywatnych epoki saskiej. Zwyczaje, anegdoty, dykteryjki, przysłowia, cała powierzchnia życia odzwierciedla się w jego tradycyjnych gawędach z tej epoki dobrze i wyraźnie, stąd dla serca, przeszłość miłującego, kryje się w nich wdzięk osobliwy. Zdobył sobie autor tę szczególną erudycyę wżyciem się w pamiętniki i silwy rerum, oswojeniem się z materyałem starannem i zupełnem, tak, że gawędy przenoszą nas w świat dawny i stawiają go nam przed oczy z podziwu godną rozmaitością drobnych rysów. Wiją się przed oczami naszemi obrazy: domu szlacheckiego, wigilijnej biesiady w klasztorze, sanny i napadu wilków, zabaw francusko-polskich w pałacu Bisowtów, pogrzebowego obrzędu, kuligu i zapust, pojedynku i zajazdu, przyjęcia u Radziwiłła — pełne okrasy żartobliwo-jowialnej.

Szkoda, że p. Gomulicki nie uważa za potrzebne obrazów tych łączyć z tłem dziejowem szerszem. Zamyka się dobrowolnie w ramach paru lub kilku ludzi i w ramach niewielu przygód. Ogranicza się do epizodów i epizodzików, nie komponując jednolitej powieściowej całości, którąby wymagała obserwacyi większej ilości zdarzeń i ludzi, zdążających ku założeniom wspólnym czy rozbieżnym. Szkoda także, że nie lubi szczegółowej geografii. Oczywiście wypadki w jego powieściach dzieją się zawsze czy w Dreźnie, czy w Warszawie, czy na Litwie, czy na Mazowszu; ale wszystko to w tak mglistych zarysach, że ani Drezna, ani Warszawy, ani Litwy, ani Mazowsza czytelnik nie widzi. Dzięki tej psychologicznej ślepocie autora, dzięki temu zacieśnieniu ramek kompozycyjnych, forma gawęd niby to dla urozmaicenia, porwana na strzępy drobnych rozdziałków dziwawcznie, czasem nawet bezładnie. I historya, i psychologia, i sztuka jęczy z niewygody w tych kleszczach. Jużci nie wytrzymuje porównania takie powieściopisarstwo historyczne z artyzmem Kaczkowskiego, Rzewuskiego, a cóż dopiero Sienkiewicza.

Bliskim p. Gomulickiemu w swej powieściopisarskiej metodzie jest p. Kazimierz Gliński, autor B o r u t y. I tu historyi „źdźbło". Nazwiska osób wprawdzie łatwo znaleźć w każdym herbarzu: Sieniawski, Kalinowski, Stempkowski; ale akcya bagatelna, a nawet obyczajowość staropolska podejrzanej autentyczności. Ot — Boruta, dyabeł łęczycki, kręci biczyk z piasku. Czemże innem jest intryżka miłosna między starościanką Terenią a Kalinowskim, między Halą Woyniłłowiczówną a starościcem Stanisławem? Przy okazyi fantastyczne obrazy: zapadania w mroki łęczyckie, zajazdu, śpiew Bomby-Bekwarka, który „rypie na gitarze" (!), wiec szatański na Łysej Górze...

O wwiele więcej liczą się z historyą trzej pozostali w tym znacznym poczecie autorowie: Teodor Jeske Choiński, Zorjan i Jan Łada. Pierwszy — niestety — tylko niekiedy potrąca o naszą przeszłość. Jego obfita twórczość zagłębia się z upodobaniem w odległe i bliższe dzieje powszechne, poszukując tam czy to ideałów i nauk moralnych, czy też widoku zwyrodnień, aby swojemu narodowi przed oczy stawić zwierciadło, w któremby zapłonął dla ideałów lub błędów się pozbył. Cel piękny; musi mu jednak odpowiadać siła geniuszu twórczego, jak to się dzieje z Q u o v a d i s.

Pan Jeske-Choiński jest tęgim publicystą i krytykiem, mniej tęgim twórczym talentem.

Np. powieść B ł y s k a w i c e — J a k o b i n i dowodzi słusznie, że odstępstwo od Kościoła i Boga — złe, że nowa moralność egoizmu — zła. Ale nauka ta wypływa nie tyle z akcyi, ile z dyalogów i rezonowania.

Po wielu znanych i cenionych powieściach z epoki schyłkowej poganizmu starożytnego przeszedł już w bieżącem stuleciu do dziejów dawnej Polski i dał obraz walki Hieronima Laskiego i Marcina Zborowskiego o mitrę hospodarską dla Jakóba Heraklidesa w XVI. wieku. W obrazowaniu uczuciowych momentów powściągliwy i prawie chłodny, ożywia się w opisach walk i pojedynków; historyę traktuje umiejętnie i zręcznie, kreśląc zajmująco sylwety ludzi, jak Decyusza, Samuela Zborowskiego lub Przecława Lanckorońskiego. Starannie i z powodzeniem archaizuje język i styl, słusznie za wzór biorąc klasyków polskich tego wieku. Idea

nieco się zaciera, nie tak, jak w tradycyjnej powieści R ó ż y c k i, osnutej na tle stosunków wielkopolskich po powstaniu styczniowem, gdzie z brawurą i siłą broni szlachetnej tezy: „prześladowanie jest jak krwawy deszcz, który użyźnia nawet popioły. Wyrośnie z niego niebawem wspaniały kwiat poświęcenia i ofiarności, który zmoże wszelką złość. Nie zginiemy“ (str. 234).

Talent p. Zorjana, autora paru powieści z XV. i XVIII. wieku, umie tworzyć sceny walk rycerskich. Z rozmachem i pomysłowo maluje np. pojedynek dwu Czajek w krakowskiej gospodzie Antałka (W a r n e ń c z y k); dzielnem piórem kreśli rycerskie popisy starych grunwaldzkich rycerzy z młodzieżą na dworcu wawelskim; z niepospolitą energią rozwija starcia zbrojne garstki wojsk chrześcijańskich z Osmanami. Z taką samą siłą maluje zapasy grunwaldzkie (G r u n w a l d z k i b ó j) lub pojedynek Odrowąża z Sotuchą.

Jednakże i u Zorjana, jak u Jeske-Choińskiego, przygody ludzi zmyślonych nie splatają się organicznie z losami dziejowych wydarzeń i ludzi; historya idzie luzem; autorowie spisują wypadki wiernie, jak w podręczniku, lecz jak w podręczniku zimno. Chociaż Zorjan umie wynaleźć zawikłanie, chociaż nie gardzi miłością i od jej impulsu czyni nieraz zależną rycerskich przewag moc u swych bohaterów, to jednak wpływowi Sienkiewicza obronić się nie może. Nawet jego postacie bohaterskie, np. Władysław, za mało są zdecydowane w czynie, pogrążone w refleksyach i nie tworzące wypadków, raczej w obronie przed ich zgubnymi skutkami dzielne. Stąd i kompozycya nie miewa sienkiewiczowskiej iście monolitowej zwartości, i psychologicznego pogłębienia częstokroć brakuje, i nawet w stylu nieco razi nadużycie zdań prostych, oraz niewłaściwe rozmieszczenie orzeczeń na końcu zdań. Zorjan prawie nie archaizuje mowy; może czyni i słusznie w mniemaniu, że gdyby pisał literacką polszczyzną XV. wieku, wydałoby się to dziwwaczne i wymagałoby objaśnień słowniczych. Barwi jeno mowę wyrazami z ludowego narzecza. Więcej pisarskiego talentu, więcej siły wyobraźni, więcej wprawy i zręczności w układzie szczegółów okazał od obu powyższych Jan Łada w dwóch powieściach: M a g i O m a n. Pierwsza wysnuta ze stosunków polsko-ormiańsko-tureckich

w XVII. w.; druga należy do poczynającego się dopiero u nas działu powieści fantastycznych i godna wyjątkowej uwagi.

Nawet i Mag zawiera w sobie dużo fantastycznego pierwiastku, pomimo, że tło i szczegóły konturów kompozycyjnych odpowiadają stosunkom wieku. Niegdyś Krasiński z powodu Ballady upominał Słowackiego: „marmur rzuć pod swe stopy"; Słowacki, napisawszy Lillę Wenedę, odpowiadał Krasińskiemu, że dał jej „nieco rzeczywistą podstawę". Otóż tak właśnie ma się rzecz z Magiem i Omanem Łady, jak z Lillą Wenedą i Balladyną. Mag ma „nieco rzeczywistą podstawę", ale mroki nocy i wysokie mury samotnych budowli osłaniają tajemnicze działania maga, o miedzę z cudownością graniczące. Oman zaś należy do kreacyi fantastycznych, jakich w naszej literaturze dotąd nie wiele posiadamy. W powszechnej rodzaj to nie nowy. Któż nie zna Tysiąca i jednej nocy, Historyi dwóch dobrych olbrzymów, Guliwera it. p.? Nowa powieść nie zadowoliła się atoli czystym wymysłem, lecz spożytkowała dlań i ściśle z nim połączyła najnowsze zdobycze i odkrycia w dziedzinie nauk przyrodniczych. Tego rodzaju dziełami uzyskał rozgłos światowy H. G. Wells, autor Wojny w przestworzu, Człowieka niewidzialnego, Pierwszych ludzi na księżycu; toż samo Le Rouge, autor Więźnia na Marsie i Niewidzialnych, podobnie Kipling, autor sławnej Księgi puszczy; tóż samo u nas Jerzy Żuławski, autor: Na srebrnym globie, Zwycięzcy i Starej ziemi, lub Sieroszewski, autor Historyi o żelaznym wilku.

Omana zaliczyć wypada do tej właśnie grupy utworów, z pewnemi zastrzeżeniami. Powieść taka jest skrajną reakcyą naturalizmu i niewątpliwie czyni zadość potrzebie dzisiejszej duszy. Życie interesu, życie egoistyczne i poziome pokrywało do niedawna duszę ludzką szarą wawrstwą popiołu. Suchy i gruby naturalizm nie zdołał jednak utrwalić swego władztwa nad duszą, „której — jak powiedział niegdyś Szarzyński — wszystko mało, gdy Ciebie, wiecznej i prawej Piękności samej nie widzi, celu swej miłości". Ale nawet i dla tych, którzy duszą do Boga się nie rwą, męką się

staje materyalne wegetowanie; i ci nawet łakną ułudy, jak to raz słusznie orzekł rosyjski poeta Puszkin:

Тьмы низкихъ истинъ намъ дороже
Насъ возвышающій обманъ [1]).

Stąd powodzenie owych dzieł, pełnych awantur niezwykłych, jak t. zw. Szerloki, Nick Cartery, Pinkertony, Kartusze, Tajemnice umeblowanych pokojów, Wydrążona iglica i t. d. Zmiarkowano rychło, ile zła, zbrodniczości i nikczemnego wyrafinowania szerzyć mogą owe płody ludzkiej fantazyi i dowcipu, gdy będą obliczone na pobudliwość instynktów drapieżnych. To też wyżsi talentem autorowie przeciwstawiają owym gorszycielom tłumu szlachetniejsze pomysły. Jedni, jak Wills lub Le Rouge, wychodzą z założeń materyalistycznych, nie uznają dzieła Bożego w budowie i ustroju świata, wyzyskują tylko zdobycze wiedzy ludzkiej — i na tej tkance snują fantazye, przesięgające poza dostępne dla człowieka sfery; drudzy — nasi — jak Żuławski i Sieroszewski, idą za wzorem Rabelais'go lub Swifta i w tworzonym przez siebie świecie fantazyi dyskretną ironią prześwietlają istniejące na ziemi stosunki, czy religijne, czy społeczne, czy kulturalne. Jan Łada zaś moralny cel ma na oku. Jego Stach w O m a n i e staje się dziedzicem Czartowskiej skały, około której naokół hulają dyabelskie moce i otaczają młodego bakałarza padewskiego wizyami pokus.

Nawała p o k u s — mówi Mickiewicz — równie jako morska burza. Dzielnych pływaków wznosi, a słabych zanurza.

Ale Stach, narażony na szereg pokus, nie jest dzielnym pływakiem. Ratunek jego ponad nim. Strzegą go modły ludzkie, łaska i miłosierdzie Boże. Gdyby nie one, uległby doszczętnie i zginął. Na jego usprawiedliwienie da się rzec, że młody. I w sile oporu swego — wątły. Jako bohater — mógłby być dzielniejszy i nie zależeć tak bardzo od ks. Deodata, trynitarza i od Agaty, starej piastunki. Podniesienie o pół tonu tej głównej postaci w energii i odporności wpłynęłoby korzystnie na prawdopodobieństwo psychologiczne i na zdrowie idei. Za to wyobraźnia autora święci

[1]) Od tysiąca prawd poziomych droższa dla nas podniosła ułuda.

w książce tryumf. Tworzy ona dziwy. Obrazy maluje się jaskrawo i silnie. W drobnych ich szczegółach przystosowanie do natury rzeczy ziemskich działa potężnie. To właśnie obok szlachetnego etycznie ideału daje powieści dużą wartość i zapewnia jej miejsce w tym rzędzie pięknych naszych książek, na czele którego idzie Sienkiewicz W p u s t y n i i p u s z c z y.

Antoni Mazanowski.

Upiór w poezyi Adama Mickiewicza.

Genezę romantyzmu w gronie wileńskich filomatów, w szczególności zaś początek balladowego ruchu związała późniejsza tradycya z Bürgerowską „Lenorą". Miał to być — wedle świadectwa Odyńca — potężny skutek, jaki wśród młodzieży wileńskiej wywarła lektura rosyjskiej przeróbki Żukowskiego, odczytanej z zapałem przez Czerniawskiego w 1818 roku[1]).

Nie można oczywiście brać tego opowiadania dosłownie w całej rozciągłości. Ale jak w każdej tradycyi, tak i w tej tkwi niewątpliwie ziarno prawdy. Wrażenie musiało być bardzo silne, choć zapewne umysły były już dla jego przyjęcia przygotowane i sam temat nie uderzał bezwzględną nowością, poprzedzony produkcyą polskich dum - ballad. Przypuszczać nawet można, że data, podana przez Odyńca, jest zbyt wczesna, że „Ludmiła" zjawiła się na zebraniu młodzieży później, może już po ogłoszeniu przeróbki Lacha — Szyrmy w 1819 roku.

Przypuszczenie to opiera się na tym fakcie, że wzmianki o Bürgerze napotykamy w korespondencyi filomatów dopiero w 1820 roku — i również z tego czasu pochodzi widoczny i realny refleks wrażenia „Ludmiły" w postaci utworu Zana. 13. maja 1820 roku odczytano na posiedzeniu naukowem II. wydziału balladę, p. t. „Nerys" — zaś 22. maja tegoż roku powtórzono ją na zebraniu Związku Przyjaciół. Jeśli uwierzymy słowom Odyńca, że „zaraz nazajutrz" po odczytaniu przez Czerniawskiego „Ludmiły" „Pan

[1]) Odyniec A. E.: Listy z podróży. I. Str. 357.

Tomasz napisał na wzór tego balladę Nerys albo Nerynę“ — będziemy musieli zgodzić się, że uroczysty ingres poematu Bürgera, o którym opowiada towarzysz Mickiewicza, przypisując mu tak doniosłe znaczenie, dokonał się za pośrednictwem rosyjskiem nie wcześniej, niż w pierwszej połowie 1820 roku [1]).

Drukiem wyszła ballada Zana bezimiennie w 1824 roku w „Dziejach dobroczynności krajowej i zagranicznej“ (Wilno, tom VI., str. 149). Tłumacz, jak stwierdzono, „idzie ślepo za Żukowskim“; jego praca „jest tylko nieudolnym przekładem Ludmiły“ [2]).

Jedyny, skromny ślad tendencyi lokalizacyjnej dochował się we wspomnieniu „tatarskiej wojny“, z której powrotu ukochanego napróżno oczekuje tytułowa bohaterka. Formie tłumaczenia nie można odmówić zgrabności: ośmiozgłoskowy wiersz parzysty płynie gładko i składnie. W stosunku do niemieckiego pierwowzoru w układzie osnowy niema żadnych zmian zasadniczych. Tylko dykcya jest różna, pozbawiona owych właściwości stylu Bürgera, które tak utrudniały zadanie tłumaczów. Przeróbka rosyjska upraszcza to zadanie. Dzięki temu, być może, doczekała się ona rychłego przekładu francuskiego: w 1817 roku ogłosił ją „Mercure de France“ (4. octobre), jako „romance“ p. t. „Ludmile, romance imitée de l'allemand“. Nie jest wykluczone, że w Wilnie, gdzie czytano pilnie francuskie czasopisma, poznano naprzód rosyjską przeróbkę „Lenory“ w tłumaczeniu francuskiem.

Praca Zana nie jest jedynym wynikiem wrażenia ballady niemieckiej w gronie filomatów. Obok niej postawić trzeba przeróbkę autora wspomnień, A. E. O d y ń c a, opartą na prototypie niemieckim, a wydrukowaną p. t. „Adela. Ballada z Bürgera“ w 1822 roku w „Dzienniku Wileńskim“ (numer czerwcowy), równocześnie z pierwszym tomikiem poezyj Mickiewicza.

W tym pamiętnym roku „Dziennik Wileński“ ogłasza całą

---

[1]) Archiwum filomatów. Cz. I. wyd. Jan Czubek, Kraków 1913, tom IV. Str. 269.

[2]) Kallenbach Józ.: Kilka słów o balladzie p. t. „Neryna“ w Rozprawach Akad. Umiej. wydz. fil., XIII., 1889, str. 297. — Wobec nowych materyałów muszą ustać wątpliwości co odo istnienia „Neryny“, oraz autorstwa tegoż wiersza, drukowanego w „Dziejach dobroczynności“, skąd wydobył go Chmielowski („Studya i szkice“, tom II.).

wiązankę wierszy Odyńca, które stoją pod znakiem „germanomanii": „Strzelec w Alpach" i „Dziewica obca" z Schillera, „Pasterka" z Goethego, „Przeszkody" z Körnera — oraz z Bürgera: „Adela", „Myśliwiec", „Sen ubogiej Zuzi", do czego dodać można balladę „Lenardo i Blandina", drukowaną z początkiem następnego roku (1823/I., str. 457).

Przeróbkę „Lenory" ukończył Odyniec, jak świadczy wydrukowana data 21. maja 1822 roku, kiedy ballady Mickiewicza jeszcze nie zostały wydane. Drukując swoją pracę w „Dzienniku Wileńskim", już mógł się był powołać w nocie wstępnej na przykład mistrza. Ten komentarz Odyńca do „Adeli" jest bardzo pouczający, przedewszystkiem jako kontynuacya wywodów Lacha-Szyrmy, a zatem jako dalsze ogniwo w ogólnym zwrocie do poezyi ludowej, nowego skarbca artystycznych pomysłów. I w tym wypadku dostarcza ballada niemiecka pobudki i przykładu.

Odyniec, objaśniwszy, że „Adela" jest tłumaczeniem „sławnej Leonory", stwierdza, podobnie jak Lach-Szyrma, istnienie pokrewnych wątków rodzimych. „Pomiędzy naszem pospólstwem" — pisze — „krąży powieść, zupełnie do „Leonory" podobna; musiała nawet być kiedyś wierszem ułożona, ale jedynie z pamięci śpiewana, przechodząc z ust do ust nieuczonych wieśniaków, w małych tylko pozostała ułomkach i dzisiaj jeszcze po wsiach powtarzanych. Między innymi są cztery następne wiersze:

Miesiąc świeci,
Martwiec leci,
Sukieneczka szach, szach,
Panieneczko, czy nie strach?

a które zupełnie prawie odpowiadają niemieckim:

Der Mond der scheint so helle,
Die Todten reiten so schnelle.
Graut Liebchen auch dir nicht?

Te wiersze podały Bürgerowi pierwszą myśl napisania swojej ballady" — opowiada Odyniec, poczem podaje znaną historyę powstania niemieckiego dzieła, któreby samo mogło autorowi „po-

dług zdania Schlegda, zapewnić nieśmiertelność"[1]). „Wieleż to i u nas podobnych powieści" — kończy przyjaciel Mickiewicza, snując te same myśli, który mu dał wyraz Lach-Schyrma pod wrażeniem niemieckiej ballady. Tylko gdy tamten mógł dopiero przeczuwać przyjście „polskiego Bürgera" — następca jego już stwierdza jego wystąpienie. „Życzyćby należało" — pisze Odyniec — „aby znakomitsze talenta baczniejsze na ten przedmiot oko zwrócić chciały. Dał nam już przykład Pan Mickiewicz, który w swoich wzorowych balladach wiele z pieśni gminnych korzysta".

Jak z objaśnienia autora wynika, „Adela" Odyńca wyszła z tego samego założenia, co „Kamilla i Leon" Szyrmy: miała wykazać na przykładzie obcym możliwość zużytkownaia ludowych wątków w artystycznej przeróbce i zachęcić przez to do stworzenia na tej drodze rodzimych dzieł sztuki. Ten wzór obcy nadawał się jako pokaz szczególnie z tej przyczyny, że podobne wpływy istniały w wielkiej liczbie w polskiej tradycyi ludowej, na co można się było powołać. Tak też czynią obaj tłumacze „Lenory", rozwijając zupełnie te same myśli i tem samem kończąc je wezwaniem.

Z tą patryotyczną tendencyą łączy się również wspólny kierunek zmian w obu przeróbkach. Ten jest o wiele dawniejszy i pozostaje w związku z ogólnym rozwojem polskiej „dumy" historycznej, która, od najdawniejszych „dum" Niemcewicza począwszy (1791), usiłuje nadać obcym pomysłom koloryt polski zapomocą czysto zewnętrznych środków, to jest przez zmianę imion, oraz przeniesienie miejsca i czasu akcyi na polski grunt historyczny. Ciągle świeże wspomnienie udziału Polski w Napoleońskich bojach sprawia, że ip Odyniec, po tylu innych polskich „rapsodach", wysyła Zbigniewa, kochanka Adeli, „z Poniatowskim na wojnę" i każe zginąć mu na polach Raszyna („Teraz wracam z pod Raszyna"). Na tem jednak kończą się zmiany Odyńca, nie dotykając wewnętrznej zawartości i toku osnowy poematu Bürgera.

Forma przeróbki Odyńca, jakkolwiek nie oddaje onomatopoji oryginału, naśladuje wzór swój ze wszystkich dotychczaso-

[1]) Por. Schlegel A. W., Charakteristiken II. Bd.: Lenore „die ihm (sc. dem Verfasser) unsterblichen Ruhm sicherte, auch wenn er sonst nichts gedichtet hätte".

wych najudatniej. Odyniec zatrzymuje oktawy, używa przekładanych rymów ośmiozgłoskowych, skracając je w dwóch ostatnich wierszach do sześciu zgłosek, rymujących parzysto — a nawet buduje refren o męskim rymie: „Parska rycerz, parska koń! Świszcze wicher, tentni błoń". Skutkiem tego dochowało się w znacznym stopniu wrażenie ruchu, spotęgowane dykcyą żywą, używającą obficie pytań, wykrzyków i powtarzań.

Tej postaci przeróbki nie zachował Odyniec, ogłaszając ją na czele pierwszego tomiku poezyi (Wilno 1825). Nie tylko przywrócił właściwy tytuł („Lenora"), ale pozmieniał wiele, nie zawsze szczęśliwie, w samej osnowie. We formie usunął rymy męskie — w treści opuścił w zupełności trzecią od końca zwrotkę, opisującą przemianę kochanka w szkielet trupi. Całą akcyę cofnął wstecz — jak to czynili tłumacze angielscy — w czasy wyprawy wiedeńskiej Jana Sobieskiego; zmienił niejeden szczegół w dyalogu matki z córką, oraz w trwożnem zachowaniu się Lenory od początku piekielnej jazdy. Wstawiwszy nadto wzmiankę o „dziedzińcu zamkowym", pozwolił się domyślać, że bohaterowie należą do wyższej sfery towarzyskiej — podobnie jak to uczynił Mickiewicz w swojej „Ucieczce".

Te zmiany późniejsze uczyniły stosunek pomiędzy tłumaczem a oryginałem o wiele luźniejszym. Wykazał to współcześnie krytyk „Biblioteki polskiej", polemizując z bardzo pochlebną opinią Podczaszyńskiego w romantycznym „Dzienniku Warszawskim"[1]). Przyznawał wprawdzie redaktor „Biblioteki", Fr. Sal. Dmochowski, że tłumaczenia Odyńca „w czytaniu brzmią przyjemnie, prócz małych niepoprawności"; że „znajdują się w nich niektóre strofy doskonale przełożone, w ogólności jednak grzeszą niewiernością". W szczegółowem zestawieniu z oryginałem wykazywał krytyk owe zmiany, usprawiedliwiając je do pewnego stopnia trudnościami formy niemieckiego wzoru. Nadto — pisał — „Bürger i dlatego

[1]) Zob. „Dziennik Warsz." 1825, I. str. 434. Recenzent, omawiając szczególnie obszernie przekład „Lenory", stwierdza, że pomimo surowej i niesprawiedliwej krytyki Schillera uczuł Odyniec całą wartość tego dzieła". Wspomnianą tu krytykę Schillera zamieściła bezimiennie „Jenajska Gazeta literacka" w 1791 roku (styczeń).

do tłumaczenia jest trudny, że z mocą łączy niezmierną prostotę". Stąd wynika najcięższy zarzut krytyka: Odyniec wypaczył tę prostotę głównie przez to, że „z prostej dziewczyny zrobił jakąś księżniczkę"[1]).

Sąd Dmochowskiego nie zaszkodził pracy Odyńca, jak nie zaszkodziła „Sonetom krymskim" późniejsza krytyka tego samego pióra. „Lenora" Odyńca uchodziła za najlepsze tłumaczenie „królowej ballad". Tak sądzili o niej poeci-romantycy, a sąd ten podzielali etnografowie. Gołębiowski skorzystał, jak się zdaje, z wstępnych objaśnień Odyńca — powtórzonych z pewną zmianą w zbiorze „Poezyj" — i opowiadając o upiorach, powtórzył dosłownie czterowiersz, zapisany przez Odyńca („Księżyc świeci...")[2]). Kolberg w podobnym ustępie odsyła do wiersza Mickiewicza („Upiór"), a nadto zaleca „czytać Bürgera a l b o piękne naśladowanie A. G. Odyńca" na dowód, że „nieboszczyk stawić się może na wezwanie któregobądź z krewnych lub przyjaciół" [3]). Dopiero w późniejszym czasie Julian K l a c z k o, pisząc porównanie „Lenory" z „Ucieczką", wydał o pracy Odyńca sąd ujemny.

* * *

Kiedy powstała „Ucieczka" Mickiewicza? Poważna część krytyków utrzymuje, że po wyjeździe z Rosyi, na krótki czas przed ogłoszeniem drukiem w poznańskiem wydaniu „Poezyi" z 1832 roku. Sam poeta dodał tutaj przypisek, w którym objaśnia: „Ta powieść znajoma jest ludom wszystkich krajów chrześcijańskich. Poeci rozmaicie ją przerabiali. Bürger ułożył z niej sławną swoją „Lenorę". Nie znając piosnki gminnej niemieckiej, nie można wiedzieć, o ile Bürger rzecz i styl odmienił. Niniejszą balladę ułożyłem podług piosnki, k t ó r ą n i e g d y ś s ł y s z a ł e m w L i t w i e, ś p i e w a n ą p o p o l s k u. Treść i układ zachowałem wiernie, ale wierszy gminnych ledwie kilka zostało mi się w pamięci i te służyły mi za wzór stylu".

[1]) Por. „Biblioteka Polska", Warszawa 1825, III., str. 267, art. p. t.: „Rozbiór I. tomu poezyi p. Odyńca".

[2]) Gołębiowski Łukasz, Lud polski..., Lwów 1884, tom II., str. 144.

[3]) Kolberg, Lud, 17/II. Lubelskie, str. 95—96.

Odyniec, którego pamięć zresztą często zawodziła, orzekł po wielu latach, że „Ucieczka“ napisana została „niewątpliwie“ w Poznańskiem [1]). Klaczko, który tej balladzie przypisuje znaczenie i myśli, jakich z pewnością nie miał poeta przy jej tworzeniu — doszukuje się ideowego związku pomiędzy tym wierszem, a dziejami z epoki drezdeńsko-paryskiej i nazywa „Ucieczkę“ „bezwiedną i tajemniczą przedgrawką“ „Ksiąg pielgrzymstwa“, „Arcymistrza“, „Rozumu i wiary“ i t. p. — „pierwszym, bezwiednym symptomem głębszego, religijnego kierunku w psychologicznym i poetycznym rozwoju naszego mistrza“[2]).

Zdanie Chmielowskiego, który zalicza „Ucieczkę“ do najwcześniejszych ballad Mickiewicza, jest odosobnione. Argumenty tego krytyka, który powołuje się na wrażenie „Lenory“ w gronie filomatów, na „Nerynę“ Zana i analogie formalne z „Liliami“ — nie trafiły do przekonania [3]).

Zdaje się, że w tej sprawie, spornej mimo wszystko, jedna rzecz nie może ulegać wątpliwości, a mianowicie: pomysł i sposób wykonania „Ucieczki“ należy bezwarunkowo w całości i szczegółach do grupy ballad wileńsko-kowieńskich. Późniejsze „Czaty“ i „Trzech budrysów“ są już w typie odmienne — tem mniej może być „Ucieczka“ uważaną za „przedgrawkę“ do „Ksiąg pielgrzymstwa“. Wszystko łączy ten wiersz z epoką wileńsko-kowieńską; nic nie wiąże go z czasem emigracyjnym, kiedy urodził się „Konrad“, a okres ballad należał do dawnych czasów sielskich, anielskich. Powstanie „Ucieczki“ po 1830 roku byłoby czemś zgoła oderwanem i niezrozumiałem, zarówno na tle indywidualnego rozwoju twórcy „Dziadów“, jak i w historyi polskiej ballady, a w szczególności w owej ważnej partyi tej historyi, która opracowuje tematy lenorowe. „Malwina“, „Alondro i Helena“, „Kamilla i Leon“, „Nerys“, „Ucieczka“, „Adela“ — to jedna, gatunkowo i history-

[1]) Mickiewicz Ad., dzieła wyd. Tow. liter., Lwów 1900, IV., str. 553.

[2]) Zob. Klaczko J., Lenora i Ucieczka — przedrukował Hösick F. w „Jul. Klaczki zapomnianych pismach polskich“, Kraków 1902. O przekładzie Odyńca mówi Klaczko, że „wszystkie niemal ważniejsze rysy (oryginału) zaciera“.

[3]) Chmielowski P., Ad. Mickiewicz, Warszawa 1898, I.

cznie związana ściśle grupa balladowa, rozmieszczona na bliskiej przestrzeni lat, w których urabia się postać polskiego romantyzmu. Nie można z tego ściśle spojonego łańcucha ewolucyjnego wyrywać jednego, najpiękniejszego ogniwa — i przerzucać je z pogwałceniem prawdy historycznej w zupełnie różne czasy.

Mickiewicz, wszedłszy w okres ballad, zaczął zużytkowywać wątki ludowe, które napotkał „niegdyś", w czasach nowogródzkich, w tradycyi ludowej — podobnie jak dawniej podpatrzony obrzęd pogrzebowy dziadów zrodził późniejszy pomysł arcydzieła. Wydając drukiem „Ucieczkę" w 1832 roku, powołał się w przypisku na dawne, litewskie czasy, wcale nie twierdząc, jakoby balladę stworzył później, po wyjeździe z Rosyi. Tekst tego objaśnienia dowodzi przeciwnie, że sam twórca umiejscawia poemat w młodzieńczym okresie pobytu na Litwie. Nie może też być inaczej, choćby nawet zgodzić się na wątpliwe świadectwo Odyńca, które oznacza co najwyżej, iż materyalna strona wykończenia od dawna gotowego pomysłu została przeprowadzona później, w chwili podjęcia wydania zbiorowego.

Dlaczego jednak poeta nie ogłosił wcześniej swojego utworu? Od tego wstrzymać go mogło istnienie kilku już przeróbek „Lenory", oprócz dum Niemcewicza niemal równoczesne pojawienie się przekładu Lacha-Szyrmy, Zana i Odyńca. Wśród „Ballad i romansów", w których polska poezya romantyczna dochodziła do samopoznania własnej swojej mocy, przeróbka, choćby najświetniejsza, pomysłu, zużytkowanego w tak głośnej i tylokrotnie u nas spolszczonej balladzie niemieckiej — nie była na miejscu. Już tego dokonali inni, najbliżsi, przedewszystkiem Zan, którego „Nerys" dwukrotnie była odczytana w gronie przyjaciół. Przyznawano temu tłumaczeniu wartość niepospolitą. Dopytywała się o nie skwapliwie „niebieska Marylka"; 29. września 1822 roku pisała do Zana z Bolcienik: „Krasiński prosił mię, abym mu przysłała Herinę i Twardowskiego Tomasza Zana, gdyż Morawski, generał-poeta i partyzant romantyczności, chce wielce poznać poezye pana Tomasza. Jeżeli nie zechcesz mię skompromitować, przyszlij mi, a ja natychmiast będę się starać odesłać do Warszawy". W kilka miesięcy później donosi Maryla w liście francuskim autorowi „Hedyny", że

zdobyła nareszcie kopię jego dzieła, jednak pełną błędów; posyła zatem autorowi rekopis, z prośbą o korektę i zwrot jak najszybszy... „*car Krasiński me tourmente pour l'avoir*". (list z 1823 roku, 20. lutego).

Być może, iż skutkiem tych wszystkich okoliczności zaniechał Mickiewicz ogłoszenia, względnie ostatecznego wykończenia „Ucieczki", nie drukując jej jeszcze i później, w wydaniu petersburskiem (1829), obok „Czatów" i „Trzech Budrysów". nie mniej jednak utrzymujemy, że „Ucieczka" jest wynikiem zajęcia się w Polsce balladą niemiecką — a w szczególności tego wrażenia, które w gronie filomackiem wywarło dzieło Bürgera.

Genezę „Ucieczki" wyobrażamy sobie jako skutek takiego samego procesu myślowego, jaki dokonał się w zadziwiająco analogiczny sposób w głowie dwóch tłumaczy „Lenory", Lacha-Szyrmy i Odyńca. Ballada niemiecka przypomniała rodzime motywy ludowe, z tego zaś siłą skojarzenia wyrosła idea wyzyskania własnych tradycyj i wezwanie pod adresem „polskiego Bürgera", oraz zlekka zaznaczone zmiany lokalizacyjne w osnowie tłumaczenia. „Polski Bürger", rozumiany dosłownie i zbyt ciasno, powinien opracować temat lenorowy, uwzględniając jak najszerzej pokrewieństwo wątków — w znaczeniu szerszem powinien stworzyć kreacyę oryginalną, równą w wykonaniu, a niezależną w pomyśle od niemieckiego arcydzieła.

Mickiewicz dokonał obu zadań: jako autor „Ucieczki" i jako twórca „Ballad". Genialne rozwiązanie tego problemu musiało się było dokonać w tym samym czasie, jako zasadnicza część składowa całokształtu pracy twórczej w epoce wileńsko-kowieńskiej.

Mickiewicz miał w ręku ten numer „Pamiętnika Naukowego" z 1819 roku, w którym Lach-Szyrma tłumaczy „Kamillę i Leona"; 30. marca tegoż roku podawał na posiedzeniu przyjaciół „wiadomość naukową" z lutowych zeszytów tego czasopisma [1]). Czytał też zapewne artykuł Szyrmy o „Lenorze", drukowany w drugiem półroczu w „Pamiętniku Naukowym". W tym czasie rozpoczął już poeta na dobre kurs „germanomanii", „w języku

[1])Zob. „Nieznane pisma Ad. Mickiewicza. Wyd. Józef Kallenbach", Kraków 1910.

niemieckim bardzo wiele... postąpił i zapomocą dikcyonarza czytał dosyć prędko" (list do Czeczota z listopada 1819 roku). „Nerys" Zana, czytana w maju 1820 roku, nie zastała poetę nieprzygotowanym, jakkolwiek niewiadomo, czy w tym czasie już poznał niemiecki oryginał.

Bürgera wspomina po raz pierwszy Malewski w liście do Mickiewicza z 24. listopada 1820 roku; projektując wydanie zbiorowego „almanaku", powołuje się literacki doradca Mickiewicza-filomaty na takież wydawnictwo niemieckie „Bürgera, Schillera", które „więcej w Niemczech robiły skutku, niż „Dziennik Wileński", „Pamiętnik Karszewski *et Compagnie.*"

W lutym następnego roku (10. lutego 1821) wyrzuca tenże przyjacielowi, że zbyt długo przetrzymuje dzieła Goethego. Jest to czas, kiedy entuzyazm Mickiewicza dla poezyi twórcy „Ideałów" nieco osłabł pod wpływem rozczytania się w dziełach Goethego. Obaj poeci niemieccy, Schiller i Goethe, zajmują bardzo silnie wyobraźnię poety, jednak nie do tego stopnia, ażeby nie upominał się o przysłanie utworów Bürgera, co mu przyobiecuje Malewski pod warunkiem zwrotu poezyi Goethego („Bürgera nie będę mógł ci inaczej dostać").

Jakoż posłał Malewski ostatecznie żądane wiersze autora „Lenory": 6. czerwca tegoż roku (1831), zachęcając Mickiewicza do napisania wiersza na obchód jubileuszu założenia uniwersytetu — pisze Malewski: „Na tę uroczystość Batorego czyż nic twego nie posłyszymy? Czytałeś w Bürgerze wiersz na Georgia Augusta; nasza *Batoria Augusta* warta takoż pamiątki".

Najsilniej oczywiście zajęła wyobraźnię poety „królowa ballad". Szkicując historyę tego rodzaju literackiego w przedmowie do pierwszego tomiku poezyj, wyznaczył Mickiewicz „Lenorze" wśród ballad niemieckich naczelne miejsce. „W drugiej dopiero połowie przeszłego wieku (1773)" — pisał — „Bürger sławną „Lenorą" i wielu innymi wzorami obudził mnogich naśladowców. Odtąd literatura niemiecka po angielskiej jest najbogatszą w ballady". Do Mickiewicza również zwraca się młody adept poetyckiego kunsztu i tłumacz Bürgera, Odyniec, z prośbą o napisanie wstęp-

nego artykułu dla własnego przekładu „Myśliwca“ („Der wilde Jäger“), zamieszczonego w 1822 roku w „Dzienniku Wileńskim“. W tej bezimiennej notatce skreślił Mickiewicz krótką biografię niemieckiego poety, wspomniał zbiorowe wydanie jego pism z 1789 roku, zacytował „głośną, choć często niesprawiedliwą recenzyę“ Schillera, godząc się w końcu na ogólny sąd Schlegla, podkreślający szczerość uczuć i „niejakąś serdeczną prostotę“, zwłaszcza w balladach i pieśniach Bürgera, moc i naturalność wyrażeń, wreszcie szczęśliwe użycie wyrażeń gminnych.

Sam Mickiewicz podkreślił od siebie znaczenie Bürgera w literaturze niemieckiej. „Nikt nie może się szczycić równą, jak on, popularnością w Niemczech. Ballady i pieśni Bürgera, powszechnie między ludem śpiewane i powtarzane, stały się śpiewami narodowymi i obudziły talenta wielu młodzieńców, jako to: Höltego, Mülnera i t. p. On nadał balladom ten charakter, jaki one dotąd u Niemców zatrzymały. Najpiękniejsza z jego poezyi „Leonora“, słusznie zwana k r ó l o w ą b a l l a d, przełożona na wszystkie prawie języki stałego lądu, znalazła i w Anglii wielu tłumaczów, a między nimi sławnego Walter-Skotta. Drugie po niej miejsce trzyma „Myśliwiec“ („Der wilde Jäger“).

Nigdy później, o ile wiemy, nie powrócił Mickiewicz do tak intenzywnego zajęcia się balladą Bürgera. „Germanomania“ naprowadziła go i na ten wzór poetycki, podobnie jak odkryła przed okiem jego duszy piękności dzieła Schillera i Goetego. W ścisłym, niemal przyczynowym związku powstaje z „germanomanią“ — „balladomania“ Mickiewicza. Tutaj „królowa ballad“ miała szczególnie wdzięczne pole działania. Najbliższym i najbardziej bezpośrednim skutkiem tego wpływu jest „Ucieczka“, której pomysł nie mógł powstać, jak sądzimy, w zupełnem oderwaniu i po zamknięciu okresu ballad wileńsko-kowieńskich — ale łącznie z niemi w latach 1820—1821.

Konstrukcya osnowy „Ucieczki“ obejmuje te same, co w „Lewrze“, trzy składowe części: rozpacz dziewczyny, oczekującej napróżno powrotu kochanka z wyprawy wojennej, rozmowę z matką i opis śmiertelnej jazdy, zakończonej tragicznie na cmentarzu. Pomiędzy drugą a trzecią partyą tego poetyckiego tryptyku

wstawił mistrz polskiej ballady część zupełnie nową, poradę kumywidmy. Skutkiem tego polskie opracowanie tematu lenorowego objęło cztery epizody w odmiennem wzajemnem ustosunkowaniu, uposażone szeregiem motywów, obcych niemieckiemu dziełu.

Czeęść pierwsza zrywa z chronologicznem umiejscowieniem akcyi, oraz z obowiązującą dotąd tendencyą przenoszenia jej na grunt polskiej historyi. Czas „dumy", poprzedniczki ballady, przeminął. Mistrz polskiego romantyzmu porzuca uboczne, obce ludowemu tonowi względy; posuwa się nawet dalej, aniżeli czynili to angielscy naśladowcy Bürgera, którzy dla uniknięcia anachronizmu cofnęli akcyę „Lenory" w czasy średniowiecza. Mickiewicz, zapatrzony, być może, w ludowe wzory angielskie („Duch Wilhelma"), porzuca wszelki historycyzm, zaznaczając odrazu najkrócej:

On wojuje — rok upłynął,
On nie wraca — może zginął.
Panno, szkoda młodych lat:
Od Książęcia jedzie swat.

Skąd ten „książę" w ludowej baśni? Nie znaleziono go dotąd w tej formie, o ile wiemy, w tradycyi ludowej [1]). Należy też przyjąć, że to przeniesienie akcyi do „pałaców, sterczących dumnie", jest literackim pomysłem. Mickiewicz w przedmowie do „Poezyi" dał następującą definicyę ballady angielskiej: „Jest to powiastka, osnowana z wypadków życia pospolitego albo z dziejów rycerskich, ożywiona zwyczajnie dziwnością ze świata romantycznego, opiewana tonem melancholicznym, w stylu poważna, w wyrażeniach prosta i naturalna".

„Ucieczka" która odpowiada w zupełności temu określeniu, kombinuje „wypadki życia pospolitego" ze światem rycerskim za pośrednictwem epizodycznej postaci księcia; ta stanowi zarazem przeżytek po dawnej „dumie" rycerskiej, utwierdzony powieścią Walter Skota. W polskim romantyzmie owa kombinacya dwóch światów utrzymuje się na stałe, pomimo to, że już przeróbce Odyńca

[1]) Wollner W., der Lenorestoff in der slavischen Volkspoezie (zob. „Archiv für slavische Philologie" VI. Berlin 1882. Autor cytuje jedyną pieśń małoruską, w której bohaterowie pochodzą ze sfery szlacheckiej. Str. 248).

zrobiono zarzut z tego powodu. Zupełnie wystarczające poetyckie uprawnienie dał jej ostatecznie — Słowacki w „Balladynie".

Rozpacz osamotnionej kochanki w „Ucieczce" powiększa groźba przymusu małżeńskiego. Ten nowy motyw wprowadził Mickiewicza do pierwszej części ballady, zgodnie — jak stwierdzono — z ludową tradycyą [1]). Naprowadzić na to mogło go podanie, zanotowane już we wspomnianym artykule Lacha-Szyrmy z 1819 roku. Nadto motyw ten odpowiadał przedziwnie subjektywnym przeżyciom poety, z których wyrosły „Dziady". Czem była dla Gustawa miłość do Maryli — wiemy dobrze. „Upiorem" zjawi się w „Dziadach", płacząc nad utraconą na zawsze możliwością szczęścia. W rozlicznych waryantach poruszy problem stałości i wierności ubogi rycerz Poraj, którego od książęcej córki oddziela różnica społecznej sytuacyi. O ileż więcej pogłębi się ten rozdział z chwilą, kiedy zjawia się współzawodnik do ręki „panny", rozporządzający majątkiem i tytułem! Jak ciężkie staje się położenie córki, jak trudno obronić się jej przed naciskiem ze strony matki:

Książe ucztuje we dworze,
A Panna płacze w komorze.
— — — — — —
Matka troszczy się i biedzi,
Książę dał na zapowiedzi.

Zupełnie niezależnie od „Lenory" toczy się akcya „Ucieczki", wprowadzona odrazu na inne tory. Z nadzwyczajną prostotą i zwięzłością, z genialnem wyzyskaniem kontrastu K(siążę — Panna — Matka) rozwija się dramat dziewczyny w pierwszej części ballady. Książę wesoły i pewny siebie, panna zapłakana i raczej umrzeć gotowa, „gdy on nie żyje" — matka niespokojna i stroskana jej oporem. Ta „matka" nie ma nic wspólnego z rodzicielką

[1]) Por. Biegeleisen H., Tło ludowe ballady Ad. Mickiewicza p. t. Ucieczka, „Świt" 1885, tom II. I. Wollner i Biegeleisen cytują podanie p. t. Ucieczka z Zamorskiego „Podań i baśni ludu na Mazowszu", w którem występuje motyw małżeńskiego przymusu — za nimi powtarza Grudziński St. w „Lenore in Polen" (Sprawozdanie gimnazyum w Bochni, 1890), dodając nową, analogiczną wersyę z okolic Bochni.

„Lenory". Ani śladu w niej protestanckiego gadulstwa. Nie wdaje się w żadne teologiczne dysputy z córką, występuje na drugim planie jako sylwetka, zaznaczona w kilku rysach, a mimo to plastyczna. Nie potrzebuje zresztą wcale ostrzegać córki przed karą Bożą. Ta bowiem nie bluźni, nie wydziera „kruczych włosów", nie wyłamuje rąk, nie krwawi piersi. Boleje w cichości, więdnie, jak kwiat jesienią i blednie, „jak księżyc w nowiu" — i powtarza tylko upornie:

Nie powiozą do ołtarza,
Powiozą mię do smętarza,
A pościelą chyba w trumnie.
Ja umrę, gdy on nie żyje,
Ciebie, matko, żal zabije!

Po krótkiej rozprawie z matką, w krytycznej chwili, kiedy już ksiądz z przedślubną spowiedzią oczekuje oblubienicy — zjawia się z radą i pomocą „kuma, widma stara", wysłannik sił nieczystych, wrogich Bogu i Kościołowi („Wypędź księdza, wypędź klechę, Bóg i wiara, sen i mara!"). Rozpocznie się działanie „m a l e f i c i m u", najzgodniejsze, wbrew dawniejszym zapatrywaniom, z baśnią ludową, z licznemi amplikacyami lenorowego tematu[1]).

Panna grzeszy — jeździec śpieszy,
Klęto ducha — klątwy słucha:
Panno, Panno, czy nie strach?

(Por. refren w „Lenorze": „Graut Liebchen auch vor Todten?").

Ostatnia część „Ucieczki" odpowiada najwięcej „Lenorze". względnie „Ludmili". W utworze Mickiewicza stanowi część ta epizod główny, obejmujący 128 wierszy wobec 37-miu wierszy wstępu. Podczas gdy poprzedzające zjawienie się upiora wypadki skupił poeta w sposób niezmiernie zwięzły, szkicując ledwo zasadnicze punkty — końcową część poematu opracował szczegółowo, tworząc oryginalną kombinacyę wątków ludowych. Z motywów,

[1]) Zob. „Dzieła" Mickiewicza, cyt. wych. IV. Uwagi wydawcy (W. Bruchnalskiego). Co do grupy słowiańskiej porównaj Wollnera i Grudzińskiego.

użytych przez Bürgera, jedne zatrzymał, inne natomiast skreślił, zastępując je nowymi.

Przyzwany czarami duch — zjawia się. Przybycia jego nie zwiastuje głośny tentent konia, jak w „Lenorze" i rżenie rumaka w „Ludmili", brzęk ostróg i skrzyp wschodów — ale, jak w balladzie angielskiej, głęboka cisza uśpionego zamku, sen straży i milczenie brytana, który „który jakby głosu nie miał, Zawył z cicha i oniemiał". Wybiła północna godzina duchów — w „Lenorze" zjawia się upiór przed 11-tą — ma zacząć się misteryum [1]). Tylko „panna słyszy dźwięk podkowy": skrzypnęły wrota, ktoś, jakby ostrożnie, stąpa „w przysionkach długich, I otwiera się drzwi troje". Wytwarza się nastrój tajemny, niepokojący, o wiele subtelniejszy, aniżeli ten, który wywołują jaskrawe efekty w dziele niemieckiem. Zamiast przerażenia — niepokój, „ton melancholiczny, styl poważny, wyrażenia proste i naturalne". Studyum ballady „brytańskiej" nie pozostało bez rezultatu. Zamiast krzykliwego kochanka Lenory, który doprasza się o wpuszczenie („Holla, Holla! Flau'auf mein Kind!") — zjawia się cicha, biała mara, pokrewna w aparycyi „cieniom" Ossyana i „Duchowi Wilhelma":

Wchodzi jeździec cały w bieli
I usiada na pościeli.

Niema w rozmowie kochanków, prowadzonej przy odgłosie szalejącej burzy, namawiań Wilhelma do nocnej wycieczki i ociągań się Lenory; — to wszystko pominął poeta polski w swojem arcydziele. W milczeniu przybywa duch ukochanego — w cichości też obojga „słodko, prędko czas ucieka". Zbliżyła się godzina powrotu:

Wtem koń zarżał, jękła sowa,
Zegar wybił... [2])

---

[1]) Czas akcyi w „Ucieczce" przesunął poeta na późniejszą porę, być może za przykładem Żukowskiego.

[2]) Por. w „Nerynie": Niestety! już wyją sowy..
— — — — —
Słyszysz, jak rżą koń srogi.

Duch musi powracać, skąd przybył. „Pannie“ zostawia do woli: pozostać, albo jechać razem. Ta nie waha się ani chwili, nie zasłania się spóźnioną porą i niepogodnym czasem. Również opuszcza poeta polski opis dosiadania konia. Przystępuje odrazu do obrazu śmiertelnej gonitwy, który tylko w ogólnym pomyśle wiąże się z odpowiednią częścią „Lenory“ — w szczegółach zaś jest zupełnie oryginalny.

Ludowe jądro tego słynnego epizodu, wspólne wszystkim niemal t. zw. lenorowym tematom, stanowi owa zwrotka, zanotowana już przez pierwszych polskich tłumaczy Bürgera, o której dobrze u nas wiedziano, że była punktem wyjścia dla kreacyi niemieckiego dzieła. Zauważono natychmiast, że takie same wiersze żyją w polskiej legendzie ludowej. Odyniec zanotował ją, jak podaliśmy, w formie następującej:

Miesiąc świeci — Martwiec leci,
Sukieneczka szach, szach,
Panieneczko, czy nie strach?

Powtórzył za nim Gołębiowski, zaczytował w odmiennym waryancie Kolberg, powołując się na Bürgera i Odyńca („Księżyc świeci, ona leci! Czy strach umarłych tobie? Wieczny im pokój w grobie“ z Lubelskiego). Grudziński dodał następujące nowe waryanty z okolic Bochni:

1. Miesiąc świeci, piękna poświata,
   Jadą ułani z tamtego świata.
2. Widzisz, Heleno, jak księżyc przyświeca,
   A zmarli gonią, kieby błyskawica
   Może się boisz tych, co leżą w grobie?

Możnaby zestawić bardzo obfity zbiór tych wierszy, które odegrały tak doniosłą rolę wobec „Lenory“. Napotyka się je ciągle na całym obszarze Polski historycznej. W Krakowskiem śpiewają:

Ciepło, piekno poświata,
Jadą ludzie z tamtego świata [1]).

[1]) Zob. „Wisła“ IX. s. 400.

W powiecie wielickim do baśni prozą wplatają dwuwiersz:

Miesiączek świeci, piekno oświata,
Umarli jado z tamtego świata [1]).

W Brzeskiem zapytuje Helinę duch Jana:

Cy widzis Helino, jak gwiazda przyświeca?
Umarli lecą, gdyby błyskawica,
Moze się bois tych, co lezą w grobie? [2])

Na Rusi litewskiej napotkał Zdziarski w mowie białoruskiej dwie zwrotki analogiczne:

1. Miesiąc świecił, jadą, jadą, a on ją pyta:
Miesiąc świeci,
Bóg z tobą leci.
Boisz się kochanko, czy nie?

2. Upiór leci, — Miesiąc świeci,
Czy strach tobie, czy nie? [3]).

Jest bardzo prawdopodobne, że Mickiewicz, komponując „Ucieczkę“ wedle pieśni ludowej, śpiewanej po polsku na Litwie — tych kilka „wierszy gminnych“ zapamiętał i te właśnie „służyły mu za wzór stylu“. Stylizacya tej zwrotki u Żukowskiego nosi cechy literackie, dochowane w „Nerynie“ Zana:

Księżyc bieli ziemię ciemną,
Do grobu tylko tej pory
Kochanki wiozą upiory.
„Czyż nie straszno tobie ze mną?“

Bliżej tonu ludowego stanął Odyniec w „Adeli“:

Patrz, tam księżyc świeci blado,
Umarli prędko jadą,
Czy strach umarłych tobie?

---

[1]) „Lud“ VIII. s. 198.

[2]) „Wisła“ V. s. 790. R. Zawiliński: „Ułamek polskiej Lenory“.

[3]) „Wisła“ XIII. 563. Zdziarski St., Cztery odmianki Lenory. Zob. nadto „Ucieczkę“ Zamorskiego. — Ta sama zwrotka powtarza się wśród innych narodów słowiańskich, oraz w baśni litewskiej. — zob. Wollner op. c. (s. 251).

Mickiewicz pozostawił brzmienie ludowe nietknięte. Z waryantu, zapisanego przez Odyńca, wypuścił tylko groteskowy wiersz: „Sukieneczka szach, szach“, który zapewne nie jest ludowego pochodzenia; nadto termin „martwiec“ zastąpił określeniem „jeździec“ — skutkiem tego cały ustęp przybrał następującą postać:

Miesiąc świeci — jeździec leci
Po zaroślach i po krzach:
Panno, Panno, czy nie strach?

Przyjąć można, że jeżeli poemat Bürgera dostarczył zachęty i pobudki do napisania p o l s k i e j „Lenory“ — to zapamiętana zwrotka stała się ideą-matką „Ucieczki“ i wypełniła wobec niej takie same zadanie, jak trójwiersz niemiecki w stosunku do genezy ballady Bürgerowskiej. Jest najzupełniej prawdopodobne, że poeta słyszał to podanie dosłownie „niegdyś“ na Litwie w czasach dzieciństwa, od jakiejś Gąsiewskiej, czy od jakiegoś Błażeja. Słyszał całą pieśń, śpiewaną „po polsku“, zatem nie doszła go wprost od ludowej warstwy, ale już z pewną, drobnoszlachecką stylizacyą, może ze światka chodaczkowej szlachty na Litwie, który później dostarczy materyału do epopei [1]).

Do tych przypuszczeń uprawniają i własne słowa twórcy i wewnętrzne cechy dzieła. W waryancie, zapisanym przez Odyńca, bohaterką jest nie Kasia ani Helina, — ale „panieneczka“. Tę samą bezimienną „pannę“ uwozi duch kochanka w „Ucieczce“. Przeniesienie całej akcyi w wyższą sferę społeczną, przy zachowaniu wszystkich znamion ludowych — mogło być wytworem stosunków nowogródzkich, wiernem echem tej pieśni, którą poeta „niegdyś“ słyszał na Litwie, śpiewaną po polsku.

Księżycową zwrotką rozpoczyna poeta opis nocnej jazdy, już jej nie powtarzając później w formie refrem, jak to czynią naśladowcy Bürgera. Charakter ucieczki jest również zupełnie od-

[1]) Gdzieindziej mówi Mickiewicz wyraźnie o pieśniach, „powtarzanych między drobną szlachtą i klasą służących, mówiących po polsku“ na Litwie; do takich należał niewątpliwie ludowy prototyp „Ucieczki“. — Zob. Pilat R.: „Nieznana rozprawka Mickiewicza o Karpińskich“. Pam. Tow. lit. im. Ad. Mickiewicza, 1890.

mienny. Jak cicho zjawił się duch kochanka — tak cicho z „panną“ umyka:

Rumak polem jak wiatr niesie,
Niesie lasem — głucho w lesie.

Nie napotykają po drodze straszliwej wizyi pogrzebowego orszaku, ani śmiertelnego tańca duchów. Twórca polski zadowala się bardzo subtelnie użyciem kilku naturalnych zjawisk, które Żukowski wprowadził częściowo do swojej przeróbki: głusza leśna, krakanie wrony na uschłej jodle, wilcze ślepia w łozach, błękitny ślad błędnego ognika, za którym spieszy jeździec nocny. Zato, nawiązując do czarów wiedźmy, przeciwniczki Kościoła, wyzyskuje Mickiewicz szczero ludowy pomysł kolejnego pozbywania się poświęcanych przedmiotów, które „panna“ zabrała ze sobą w drogę. Jest to motyw ogólno-słowiański: znaleziono go w bardzo podobnej postaci nie tylko na Białorusi i wśród Łotyszów, ale i w Czechach [1]).

Zakończenie „Lenory“ obejmuje trzy zwrotki. Pierwsza opisuje szczegółowo rozkład ciała jeźdźca i przemianę jego w wyobrażenie śmierci („Mit Stundenglas und Hippe“); druga kreśli zapadnięcie się w ziemię konia z jeźdźcem i wycie duchów nad umierającą Lenorą; ostatnia zwrotka podaje opis śmiertelnego tańca i naukę moralną („Mit Gott im Himmel hadre nicht“).

Mickiewicz miał do wyboru: albo pójść za tym wzorem, albo zmienić zakończenie w duchu polskich podań, w których dziewczyna bardzo często ratuje się od śmierci podstępem, lub ucieczką do pobliskiej trupiarni. Tej drugiej drogi poeta nie obrał. Trudno było na niej uchronić się od trywialności: „panna“, spychająca trupa kochanka do grobu i zatykająca go pierzyną lub uciekająca do trupiarni, gdzie bronić się musi przed drugim nieboszczykiem — to nie odpowiadało roli bohaterki, która ucieka nocą przed przymusem zaślubienia niemiłego „księcia“.

W zasadzie zatem obrał poeta drogę Bürgerowską, zachowując jednak i w zakończeniu dzieła znaczny stopień oryginalności.

---

[1]) Wollner op. c.

Wyrobione poczucie artystyczne ostrzegało, że zbyt bliskie naśladowanie Bürgera prowadzi na manowce „romantyki grozy", na których znalazło się tylu jego wielbicieli obcych i tylu polskich autorów „dum". Mickiewicz zawarł rzecz w paru słowach:

Jeździec pannę w poły ścisnął,
Z oczu i ust ogniem błysnął,
Rumak ludzkim śmiechem ryknął.
— — — — — — —
Zniknął koń z jeźdźcem i panną.

Są to najjaskrawsze rysy, jakich użył poeta w całej osnowie: błysk ognia z oczu i ust ducha, oraz ludzki śmiech konia; pierwszy jest u Bürgera właściwością rumaka — drugi stanowi oryginalny koncept Mickiewicza. Oba, użyte w ostatecznym momencie katastrofy, zastępują w zupełności końcowe, przeładowane okropnościami sceny Bürgera. Morał, który w balladzie Bürgera został włożony najniewłaściwiej w usta tańczących upiorów — uznał poeta polski za zbędny. Po głuchej nocy następuje cichy poranek. Ostatnie słowo ma miłosierdzie chrześcijańskie:

Ksiądz nad grobem długo stał
I mszę za dwie dusze miał.

I ten szczegół łączy — a nie oddala — „Ucieczkę" Mickiewicza z epoką wileńsko-kowieńską. Ingerencya przedstawiciela Kościoła ma swój udział w „Świtezi"; bogobojny pustelnik w „Liliach" obiecuje po dokonanej zbrodni przebaczenie („Nie masz zbrodni bez kary... Zbrodniarzów Pan Bóg słucha"). Ksiądz w „Dziadach" jest pełen wyrozumiałości na „ciężkie grzechy" Gustawa. Ta sama szczytna idea miłosierdzia zamyka ostatnim akordem arcydzieło „polskiego Bürgera".

* * *

Równie samodzielnie pomyślaną jest formalna konstrukcya „Ucieczki". „Lenora" opiera się na jednolitej, ośmiowierszowej budowie stroficznej. Tę zachował Odyniec w „Adeli", Zan nato-

miast, przerabiając Żukowskiego, zwiększył liczbę wierszy w każdej zwrotce do 12-tu. Mickiewicz, nie zarzucając formy stroficznej, postępuje jak najswobodniej, budując zwrotki o rozmaitym wymiarze. Zasadniczy trójwiersz ludowy z rymem śródwierszowym zachował poeta bez zmiany — zresztą używa najczęściej sestyny (11 razy) i dystychu (6 razy). Bürgerowska oktawa, oraz najbliższy jej formalnie czterowiersz — zostały użyte w „Ucieczce" po pięć razy; nadto dwukrotnie wprowadził poeta strofy nieparzyste: siedmio- i pięcio-wierszowe (po dwa razy). Oktawa Mickiewicza może istotnie ujść za odbicie strofiki „Lenory", jeśli zwrócimy uwagę, że i sposób rymowania w tych zwrotkach opiera się na takim samym wzorze, a mianowicie:

a b | a b | c c | d d

— i dopiero w ostatnich oktawach „Ucieczki" wprowadził tu Mickiewicz pewne zmiany [1]). Usunął nadto z tych strof zupełnie rymy męskie, oraz przyjął dla nich za podstawę jednolitą, ośmio-zgłoskową długość wiersza. Najczęściej występująca zwrotka sześciowierszowa pozostaje w najbliższym związku z działaniem „dziwności" w balladzie; poeta używa wierszy ośmio- lub siedmiozgłoskowych, które w dziele niemieckiem następują naprzemian po sobie i posługują się obficie rymem męskim, tam zwłaszcza, gdzie *„maleficium"* występuje na pierwszy plan. Tą formą posługuje się czarownica, podając przepis na czary w jednostajnym, męskim rymie. Zjawienie się upiora, początek i koniec ucieczki — ujęte są również w sestyny. Z tych jedne wzorują się na zwrotce, użytej przy zaklęciu czarownicy: z przedziwną symetryą, nawet stylistycznie upodobnione, odpowiadają sobie początkowa, środkowa i końcowa przemowa jeźdźca do rumaka („W cwał mój koniu, koniu w cwał!" — „Stój mój koniu, koniu stój!"). W ten sposób, bez porównania kunsztowniejszy, a mimo to trafiający w ludowy ton baśni, zastąpił Mickiewicz refren Odyńca w „Adeli", jedyny o męskim rymie:

Parska rycerz, parska koń,
Świszcze wicher, tentni błoń.

[1]) Wedle wzoru: a b | b a | c d | c d.

Inne zwrotki tego typu w „Ucieczce“ skracają przeważnie dwa ostatnie wiersze do siedmiu zgłosek; wszystkie nadto rymują pod koniec parzysto (na wzór sestyny).

Szczególne znaczenie ma w „Ucieczce“ forma dwuwiersza. Występuje ona nie tylko oddzielnie, ale rozpadają się na nią również dwa początkowe czterowiersze, stylistycznie do siebie upodobnione („On wojuje — rok upłynął“; „Panna grzeszy — jeździec spieszy“). W nich tkwią węzłowe punkty akcyi: ekspozycya, sytuacya „panny“ wobec „księcia“ i „matki“, czyn „panny“ i jego skutki; dwa etapy nocnej gonitwy („Koń jak gdyby zbył ciężaru“ — „Koń jak gdyby pozbył trwogi“) i końcowa idea miłosierdzia („Ksiądz nad grobem długo stał...“). Ten dystych pełni nadto funkcyę pomocniczą, zamykając formalnie i rzeczowo (w treści) zwrotki sześcio- i ośmio-wierszowe.

Zasadniczą podstawę rytmiki „Ucieczki“ stanowi czterostopowy wiersz trochaiczny, który w siedmiowierszowych formach opuszcza ostatnią, krótką zgłoskę wedle wzoru:

$$\acute{-}\,\cup\,|\,\acute{-}\,\cup\,\|\,\acute{-}\,\cup\,|\,\acute{-}\,\cup$$
$$\acute{-}\,\cup\,|\,\acute{-}\,\cup\,\|\,\acute{-}\,\cup\,|\,-$$

W „Lenorze“ zjawia się ta stopa wewnątrz wiersza, w przeróbce Odyńca przybiera kształt ten sam, co w „Ucieczce“, kombinując się jednak z amfibrachiczną tripodyą niemieckiego wzoru. Amfibrachu użył tu i ówdzie również Mickiewicz; poza tem jednak utrzymał jednolitą postać trochaicznego tetrametru, na wzór ludowej romancy hiszpańskiej (t. zw. redondille).[1])

Pomimo rozmaitości strofiki i budowy wiersza, słowa poety, że kilka wierszy gminnych, dochowanych w pamięci, służyły mu za wzór stylu — stwierdzają tylko skromnie rzeczywisty stan rzeczy. Przypomnijmy ludową zwrotkę księżycową, wprowadzoną niemal bez zmiany do poematu:

---

[1]) Zob. Wackernagel W.: Poetik, Rhetorik und Stilistik, Halle 1873, str. 99.

Miesiąc świeci — jeździec leci
Po zaroślach i po krzach.
Panno, Panno, czy nie strach?

Rytmika tego wiersza i czterostopowy trochaj z cezurą w pośrodku — stała się obowiązującą dla całego dzieła. Długość wierszy ośmio- i siedmio-zgłoskowych nie została nigdzie przekroczona. Dwuwiersz, czterowiersz, sześciowiersz i ośmiowiersz — główne postaci strofiki „Ucieczki" — wyrosły z tego ludowego trój- względnie czwórwiersza. Na plan pierwszy wysunął się dystych, będący głównym, lirycznym czynnikiem ballady: w tej samej „gminnej" formie zamyka on całe dzieło („Ksiądz nad grobem długo stał, I mszę za dwie dusze dał"). Z tegoż źródła wyszedł rym żeński i męski, zastosowany w całym poemacie, jako nowa stosunkowo zdobycz w liryce polskiej, o którą tak żywo spierano się jeszcze w 1817 roku [1]). Panująca w „Ucieczce" parzystość rymów zaznaczała szczególnie silnie prostotę formy. Prostota tych rymów, wogóle nie wyszukanych, dochodzi w jednem miejscu aż do pierwotnego powtórzenia tego samego wyrazu („Za godzinę bije dzwon, Nim uderzy ranny dzwon"). Równie „gminny" rym śródwierszowy rozszedł się po całej balladzie. W szczególności bardzo ważny moment, w którym czar zaczyna działać, uzyskał formę, odpowiadającą ściśle wierszom „gminnym":

Panna grzeszy — jeździec śpieszy,
Klęto ducha — Klątwy słucha.

W końcu i s t y l i s t y k a poematu wzoruje się na strofie księżycowej. Składnia w tej zwrotce obowiązuje cały poemat. Mickiewicz używa — jeśli można tak się wyrazić — metody poinhillizmu: szkicuje, nie opowiada. Wrażenie ruchu w „Ucieczce" jest wywołane zupełnie innymi środkami, aniżeli te, których użył autor „Lenory". Mickiewicz buduje e l l i p t y c z n i e krótkie, współrzędne zdania proste, o takim samym szyku wyrazów (na wzór: „Miesiąc świeci — jeździec leci"), zaznaczając w ten sposób ner-

[1]) Zob. „Pamiętnik Warszawski" 1817.

wowy bieg wypadków. Gdzie chodzi o podkreślenie danego momentu, tam występuje szeroko rozgałęziona anafora (On wojuje — On nie wraca; Jej źrenice — jej lica; Kuma w biedzie — Kuma stara; Wypędź księdza, wypędź klechę; Panna czuwa — Panna słyszy; Zimna rosa — Zimno wieje i t. p.), inwersya (W cwał mój koniu, koniu w cwał!; Mur przeskoczym, przejedziem progi), czasem epifora (Czy masz zamek? Tak jest, zamek) i epanalepsis („Gdzie mnie wieziesz? — Gdzie? do domu), wreszcie kontrast w różnych postaciach, oraz refrenowy charakter dwuwierszy, a nawet całych zwrotek. Wykrzyków i pytań retorycznych poeta unika, tem bardziej onomatopoji. Skutkiem tego całość przybrała zupełnie odmienny, aniżeli w „Lenorze" charakter: jest i formalnie bliższa balladzie angielskiej, utrzymana w przytłumionym półtonie, jakoby półsenna wizya dziewczyny, przypominająca zdaleka epizod w „Bardzie" Czartoryskiego. W „Ucieczce" panuje pół-ton i pół-światło: „miesiąc świeci" na niebie, pokrytem w części chmurami, „po torach wilcze źrenice migają się jako świece", prowadzi „błękitny" ognik, pod koniec „Wyszła zorza z wschodnich stron".

* * *

Opracowując temat, spopularyzowany w Europie przez „Lenorę" — stworzył „polski Bürger" dzieło w treści i formie oryginalne, które, śmiemy twierdzić, pod żadnym względem nie ustępuje balladzie niemieckiej. Z wyjątkiem zakończenia, oparł się na ludowych motywach szczeropolskich i dostosował do nich „treść, układ" i styl opracowania. Wzorem był mu nie poemat niemiecki, ale raczej Percy i Ossyan. To też w rozwoju historycznym nie należy „Ucieczki" Mickiewicza stawiać na linii „Malwiny", „Alondra i Heleny", „dum" rycersko-erotycznych, „Heryny" i „Adeli". Istnieje tu tylko materyalna wspólność lenorowego tematu. W tym kierunku stanowi „Ucieczka" szczytowy punkt, do którego doszła poezya polska w artystycznem przetworzeniu tego pomysłu. Natomiast wewnętrzne zmiany, jakie wprowadza polski twórca, oraz sposób wykonania dzieła, odpowiadają w zupełności własnej jego

definicyi „ballady brytańskiej“: — a przeto z tych ważnych względów „Ucieczka“ Mickiewicza wiąże się z ową linią polskich upiorów, której kierunek wyznaczył pierwszy ks. Adam Czartoryski pod koniec XVIII. wieku.

Tak więc staje się „Ucieczka“ harmonijną syntezą tych obu dróg, na których rozpoczyna się w Polsce wytwarzać „dziwność“ romantyczna. Rola tego dzieła w historyi polskiej ballady jest — niezależnie od daty wykończenia utworu [1]) — składową cząstką całkowitego znaczenia obu tomików poezyi Mickiewicza, które ze skromnego materyału, zebranego wysiłkiem poprzedników, zbudowały pierwszy łuk tryumfalny polskiego romantyzmu.

(Dok. nast.).

Maryan Szyjkowski.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa polskiego.

Z literatury ekonomicznej.

(Notatka bibliograficzna).

Polska współczesna żyje chlebem i mięsem w ograniczonej mierze. Żyje przedewszystkiem nadzieją lepszego jutra. Wielu sądzi, że niepodległa Polska nie będzie mogła zaistnieć i rozwijać się bez oparcia o mocarstwa centralne, które po wojnie będą złączone związkiem ściślejszym, niż dotychczasowy, obejmującym prócz politycznego przymierza także zbliżenie ekonomiczne, zwłaszcza w sprawie ceł. W Niemczech niejednokrotnie przedstawiciele poważnej publicystyki, omawiając zapowiedź niepodległości polskiej, uznali urzeczywistnienie jej za możliwe tylko pod warunkiem włączenia Polski do „związku środkowo-europejskiego". Liczyli się z trudnościami, które, kto wie, czy Niemcy nie będą miały do zwalczenia po wojnie, gdy będzie chodziło o ponowne nawiązanie dawnych stosunków handlowych. Przed lipcem 1914 roku Niemcy wywoziły dużo towarów przemysłowych na zachód, za morze, a stamtąd sprowadzały środki żywności. Po wojnie trzeba będzie volens nolens położyć większy nacisk na obrót towarowy ze Wschodem. Niemcy będą mieszkańcom Polski sprzedawać towary przemysłowe, a kupować od nich płody rolnicze. Nawiązanie tego pokroju stosunków handlowych należy poprzeć przez odpowiedni ustrój celny.

Nic dziwnego, że Polacy zabrali głos w sprawie, która ich tak blisko dotyczy. Ruchliwy Naczelny Komitet Narodowy w Krakowie

wydał trzy prace, celem bliższego wyjaśnienia splotu zagadnień, tkwiących w programie „środkowo-europejskim". O jednej z nich niedawno pisałem na łamach „Przeglądu Powszechnego" [1]). Dziś chcę wspomnieć pokrótce o dwóch innych. Dr. H. Kornreich ogłosił jako zeszyt XIX-ty wydawnictw „Instytutu Ekonomicznego N. K. N." rozprawkę: „Unia cłowa Austro-Węgier z Niemcami" (Kraków 1916, str. 43). Odrzuca ją stanowczo. Wskazuje na konieczność ochrony cłami austro-węgierskiego przemysłu wobec przemożnego współzawodnictwa lepiej rozwiniętego przemysłu niemieckiego. Gospodarstwo społeczne Austryi i Węgier obciążone jest wyższymi podatkami, powiększającymi koszta wytwarzania. Cło jest koniecznym środkiem wyrównania tej różnicy, zachodzącej na korzyść Niemiec. Z chwilą wybuchu wojny przybyła nowa trudność. Przedtem ilości marek, które można było kupić za sto koron i odwrotnie, ilości koron, które nabywca płacił za sto marek, były ilościami niemal stałemi. Dziś są wielkościami zmiennemi, skutkiem czego w Niemczech wzrasta opozycya przeciwko unii celnej.

Jej przeciwnikiem jest także bar. Roger Battaglia [2]). Autor zapowiada jeszcze dalsze dwa tomy. W polskim języku mamy bardzo mało dzieł gospodarczych, któreby dorównywały rozmiarami książce p. Battaglii. Zawiera ona ogromny materyał gospodarczy, ustawodawczy, bibliograficzny, opracowany przejrzyście i z widocznem znawstwem przedmiotu. Wiele ustępów jest pisanych pod wrażeniem bieżącej chwili. W danych warunkach trudno było od niej się oderwać. Wycisnęła silne piętno na przedmowie, napisanej w marcu 1916 roku przez wiceprezesa N. K. N., p. Jaworskiego. Jej tytuł jest dobitny: „Polska jako przyczółek mostowy w polityce i życiu gospodarczem". Polska pod berłem Habsburgów ma odegrać rolę trwałego przedmurza Europy środkowej przeciwko Rosyi. P. Jaworski nie wziął za podstawę swych rozważań postanowienia z 5-go listopada 1916 roku, zapowiadającego utworzenie niepodległej Polski, jeszcze nie ogłoszonego w chwili, gdy pisał swą przedmowę. P. Battaglia wyszedł z założenia neutralności Stanów Zjednoczonych: „Kto wie, czy po wojnie ich polityka celna nie będzie życzliwsza wobec mocarstw centralnych, niż

[1]) Wrzesień 1916, str. 335 i nast.

[2]) „Ein Zoll- und Wirtschaftsbündniss zwischen Oesterreich-Ungarn und Deutschland (Geschichte, Konstruktion, Einwendungen) mit einem Vorwort von Dr. L. v. Jaworski (Schriften des Volkswirtschaftlichen Institutes des Obersten Polnischen Nationalkomitees. Deutsche Folge. 1) Wien, Braumüller 1917, str. XXXVI. i 803.

wobec Anglii?" (str. 544). Do wojny doszło. Wypadki toczą się tak dziwnym torem, że może przewidywania p. Battaglii spełnią się mimo wojny Stanów z Niemcami. Jedno jest pewnem, że ich ziszczenie się byłoby równie pożądanem dla Austro-Węgier, jak także przez p. Battaglię przewidywane uzyskanie znaczniejszego odszkodowania w złocie na rzecz Austro-Węgier (str. 373).

P. Battaglia odrzuca unię celną, ale zaleca gorąco zbliżenie gospodarcze środkowo-europejskie przedewszystkiem na tle celnem. Może być urzeczywistnione różnymi sposobami, których najważniejsze rodzaje kolejno krytycznie omawia. Własny projekt przedstawia szczegółowo, co umożliwia zajęcie wobec niego stanowiska.

Dla nas najważniejszem jest pytanie, jakby ekonomiczna — tylko o tej myślimy — przynależność do Europy środkowej oddziałała na polskie stosunki gospodarcze? Znalezienie odpowiedzi ułatwia książka: „Bilans handlowy Królestwa Polskiego" [1]), polegający przedewszystkiem na zestawieniu statystycznem cyfr, pochodzących z urzędowego zliczenia towarowego ruchu kolejowego. Dla większości podanych w bilansie grup towarowych zbadano dwa okresy trzechletnie o odstępie dziesięcioletnim (lata 1899—1901 i 1909—1911). W niektórych ważniejszych działach został uwzględniony rok 1912. Najważniejsze wyniki pracy zestawił jej kierownik, p. Tennebaum, w artykule „Z zagadnień polskiej polityki gospodarczej", ogłoszonym w miesięczniku „Myśl Polska", który nadto zasadniczo ujmuje sprawę przyszłej polityki ekonomicznej Królestwa. Nie odrzucając bezwzględnie idei środkowo-europejskich, zaznacza jednak konieczność zapewnienia Królestwu samodzielności w stanowieniu o swoich dalszych losach polityczno-ekonomicznych.

Ruchliwy wydział statystyczny Towarzystwa Przemysłowców opracował równocześnie dział „Przemysł" i „Kredyt" w dziele, wydanem także z zapomogi hojnej kasy Mianowskiego, pod kierunkiem p. E. Strasburgera, docenta Uniwersytetu Jagiellońskiego, wykładającego obecnie w Uniwersytecie Warszawskim [1]). Poprzednie dwa roczniki redagował poseł do Dumy, p. Władysław Grabski, obecnie w Piotrogrodzie. Najnowszy różni się od poprzedników przedewszystkiem włączeniem w wyższym stopniu materyału statystycznego, doty-

[1]) Opracowany przez Wydział statystyczny Towarzystwa Przemysłowców, pod kierunkiem H. Tennebauma, a wydany z zapomogi kasy Mianowskiego". Warszawa 1916, str. XIII. i 557.

[1]) „Rocznik statystyczny Królestwa Polskiego, z uwzględnieniem innych ziem polskich" za rok 1915. Warszawa 1916, str. 336.

czących dwóch innych zaborów, skutkiem czego książka ułatwia porównanie stosunków na obszarze całej Polski.

Podczas wojny objawiła się chwalebna chęć przedmiotowego, faktycznego zdania sprawy sobie i obecnym ze stanu rzeczy w Polsce. Jej wyrazem wydawnictwa co dopiero wymienione. Przypominam, że „Przegląd Powszechny" już dawniej obszernie wspomniał o „Statystyce Polski" Krzyżanowskiego i Kumanieckiego[1]), oraz o „Atlasie statystyczno-geograficznym" Romera[2]). O pierwszym zeszycie Atlasu napisał p. Wakar sprawozdanie wyczerpujące, życzliwe a krytyczne w „Ekonomiście" warszawskim (tom III. i IV. za rok 1916(. Ukazały się jeszcze inne prace pokrewnego, opisowego pokroju. Polacy wydali w Lozannie w roku 1916 książkę zbiorową pod tytułem: „Petite Encyclopedie Polonaise" (Payot, str. 500), która nie była mi dostępną. Jest także w toku wydawnictwo większej, trzechtomowej „Encyclopedie Polonaise". Tom pierwszy ma objąć rzecz o obszarze i ludności, oraz o życiu gospodarczem. Zdaje się, że wnet będzie w całości ogłoszony. Kilka zeszytów już wyszło. W pierwszym z nich jest mowa o polskiej geografii i etnografii, w trzecim o życiu gospodarczem Królestwa. Piąty leży w tej chwili przedemną[3]). Zawiera w sobie ogrom zbiorowej, bezimiennej pracy. Mnóstwo systematycznie ugrupowanych, cyfrowych szczegółów. Zdaje mi się, że za mało wniosków ogólnych. Za mało podkreślenia, że statystyka, o której mowa, jest różnorodnej wartości, niejednokrotnie wielce ograniczonej, skutkiem czego jest czasami tylko prawdopodobieństwem, dość dowolnem mimo pozorów cyfrowej dokładności.

Autorowie tej encyklopedyi obliczyli majątek społeczeństwa galicyjskiego na 13·5 miliarda franków. Do mniejszej liczby i to wyrażonej w koronach, doszedł p. Herman Feldstein w niemieckiej rozprawie, wydanej przez Krakowski Naczelny Komitet Narodowy[4]). Wobec obecnie szybko zmieniającej się wartości pieniądza należy przestrzedz przed przecenianiem znaczenia podobnych cyfr. Cenne są uwagi p. Feldsteina o zakrajowem zadłużaniu Galicyi. P. Diamand próbował obliczyć, ile Galicya ma dochodu, a ileby mogła mieć, gdyby

[1]) Styczeń 1916, str. 10—29.

[2]) Styczeń 1916, str. 167 i nast., oraz Luty 1916, str. 303 i nast.

[3]) „Vie economique de la Galicie et de la Silesie de Cieszyn", Fribourg-Lausanne 1917, str. XVI. i 156, oraz 4 karty i liczne diagramy.

[4]) „Vermögens- und Zahlungsbilanz Galiziens", Wien, Perles 1917, str. 87.

była równie racyonalnie zagospodarowaną, jak Czechy [1]). Materyał statystyczny, zużyty w tej pracy, ogłosił p. Diamand już poprzednio [2]).

Poznanie stosunków gospodarczych w zaborze pruskim i w Królestwie ułatwiają dwie dyssertacye doktorskie, napisane przez Polaków, a ogłoszone po niemiecku przez pp. Gładysza [3]) i Rosińskiego [4]). Zbożowe premie wywozowe, wypłacane przez rząd niemiecki, wypierały żyto rosyjskie z targów Królestwa na rzecz żyta niemieckiego i to — zdaniem p. Rosińskiego — bez uszczerbku dla rolników Królestwa. Odmienne poglądy, którym w polskiej literaturze ekonomicznej dał wyraz p. Gościcki, uważa p. Rosiński za nieuzasadnione.

Dzieła i rozprawy, o których dotąd była mowa, zajmowały się przedewszystkiem zobrazowaniem przedwojennego stanu rzeczy. Trudniej zdać sobie sprawę ze zmian w polskiem życiu gospodarczem, zaszłych w czasie wojny. Na szczególną uwagę zasługują optymistycznie nastrojone uwagi prof. Rogoyskiego o stosunkach rolniczych na wiosnę 1915 roku [5]). Uwagi prof. Rogoyskiego pochodzą z czasów, poprzedzających zajęcie Warszawy przez Niemców. Jeszcze w tym czasie ogłasza p. Koszutski rozprawkę: „Wojna europejska, a życie ekonomiczne ziem polskich“ (Warszawa 1915 r., str. 24), zawierającą więcej ogólnych rozważań, mniej wyników naocznego zetknięcia się z wypadkami. Zaraz po odbiciu Lwowa przez wojska austro-węgierskie i niemieckie zamieścił p. Michalski kilka artykułów w „Kuryerze Lwowskim“ [6]), poczem zebrał i wydał je osobno. Moratoryum, pożyczki wojenne, instytucye kredytowe wojenne — oto garść ważniejszych tema-

---

[1]) „Położenie gospodarcze Galicyi przed wojną“, Lipsk 1915, str. 106.

[2]) „Tablice statystyczne gospodarstwa społecznego w Austryi, ze szczególnem uwzględnieniem Galicyi“, Kraków 1913, str. 32.

[3]) „Die Landwirtschaft im Kreise Gnesen unter Berücksichtigung der natürlichen, sozialen und wirtschaftlichen Verhältnisse“. Posen 1915, str. 289.

[4]) „Der Getreidehandel im Königreich Polen und die Getreidezölle“. Posen 1916, str. 148.

[5]) „Przyczynek do poznania obecnego stanu kraju“ I. Sprawozdanie z podróży po powiatach Limanowskim, Nowosądeckim, Grybowskim i południowej części pow. Bocheńskiego, w dniach 13, 14 i 15 lutego 1915 r. Kraków 1915, str. 29. II. „O zasiewach wobec wojny“, Kraków 1915, str. 17. III. Sprawozdanie z podróży, odbytej w dniach 19—26 marca 1915 r. w południowej części Królestwa Polskiego, Kraków 1915, str. 43.

[6]) „Aktualne sprawy gospodarcze“, Lwów 1916, str. 118.

tów, omawianych przez p. Michalskiego. Streszcza także memoryał Towarzystw rolniczych w sprawie odbudowy kraju.

Łączy się z nią szereg wydawnictw. Lwowska księgarnia Połanieckiego rozpoczęła druk dwóch seryi. Redaktorem jednej z nich: „Zadania i potrzeby gospodarcze", jest Prof. Dr. Fr. Bujak. Dotąd wyszło zeszytów trzynaście. Autorem pierwszego jest redaktor wydawnictwa [1]). Bardzo trafnie zaznacza konieczność oparcia odbudowy przedewszystkiem na samopomocy. Nie trzeba zbytnio liczyć na zasiłki państwa, są bowiem bronią obosieczną. Fundusze państwowe, przeznaczone na odbudowę, pochodzą albo z pożyczek, albo z emisyi pieniędzy papierowych. Są wzbogaceniem, ale i równocześnie zubożeniem społeczeństwa. Co przeważy, zależy głównie od działalności bezpośrednio interesowanych. Zeszyt trzynasty tej seryi, również pochodzący z pod pióra prof. Fr. Bujaka, jest krótkim, jasnym, nie przeładowanem szczegółami streszczeniem, obejmującem stosunkowo znaczny czasokres i wielką liczbę zdarzeń, z których autor starał się wydobyć nić przewodnią przebiegu wypadków [2]). Reszta zeszytów, stanowiących część wydawnictwa „Zadania i potrzeby gospodarcze", zawiera rozpatrywanie bieżących spraw rolniczych, przemysłowych i innych.

Druga serya, wychodząca nakładem lwowskiej księgarni Polskiej Połanieckiego, obejmuje „Zagadnienia techniczne odbudowy kraju". Wyszło kilkanaście zeszytów, w których jest mowa o wodociągach, rzeźniach, drogach i ulicach, materyałach budowlanych, studniach i t. d. Na uwagę zasługują wydawnictwa „Obywatelskiego Komitetu wsi i miast w Krakowie", któremu przewodniczy ks. Caputa. Pod redakcyą Wł. Ekielskiego grono architektów polskich opracowało „Odbudowę polskiej wsi", obejmującą projekty chat i zagród włościańskich. Podobne wydawnictwo pojawiło się w Warszawie. Staraniem krakowskiego Komitetu przetłumaczono z niemieckiego Fassbendera: „Zasady nowoczesnej nauki o budowie miast" (Kraków 1916, str. 152). W najbliższych tygodniach Komitet rozpoczyna wydawnictwo miesięcznika: „Odbudowa kraju". Kończę wymienieniem urzędowego „Sprawozdania c. k. Namiestnictwa, Centrali krajowej dla gospodarczej odbudowy Galicyi" za czas od czerwca 1916 do lutego 1917 (str. 309 i IV).

Wypisałem jedynie tytuły książek i rozpraw, które obecnie miałem pod ręką. Okazuje się, że mimo utrudnień wojennych praca nie ustaje.

Adam Krzyżanowski.

[1]) „Myśli o odbudowie". Lwów 1916, str. 30.

[2]) „Rozwój gospodarczy Galicyi" (1772—1914). Lwów 1917, str. 63.

Z piśmiennictw obcych.

Das selbständige Polen als Nationalitätenstaat, von Georg Gotheim M. d. R. Deutsche Verlags-Anstalt, Stuttgart u. Berlin 1917, in 8-vo, str. 87.

Broszurka powyższa ma ten wspólny błąd z wieloma podobnemi, ulotnemi pisemkami politycznemi, że omawia rozmaite sprawy w sposób taki, jak gdyby wojna światowa już się skończyła, albo też miała wkrótce skończyć ze znanym z góry wynikiem. Pominąwszy jednak ten błąd zasadniczy, zasługuje ona z rozmaitych względów na to, aby bliżej z nią się zapoznać.

Na ogół czyni ona sympatyczne wrażenie już przez to, że pisana jest i bez otwartej i bez ukrytej nienawiści do Polaków, którą spotyka się u publicystów niemieckich nawet wówczas, gdy nadają sobie pozory bezstronności wobec spraw polskich. Dalej interesującym jest projekt utworzenia państwa polskiego na zasadzie analogicznej z austro-węgierskim dualizmem, którego miejsce zająłby tryalizm. Wreszcie Gotheim w bardzo konsekwentny sposób przedstawia zasadę narodowościową, mającą przyszłemu państwu służyć za fundament.

Na wstępie zajmuje się autor niebezpieczeństwem, jakie — jego zdaniem — groziłoby zawsze państwom centralnym ze strony Rosyi, gdyby miały bezpośrednio z nią sąsiadować. W dalszym zaś ciągu przychodzi do wniosku, że, aby tego uniknąć, musi być utworzonem samodzielne, nikomu nie podległe państwo polskie (ma się rozumieć, bez Galicyi, Poznańskiego i Prus Zachodnich) z dawnej Kongresówki, Litwy i Kurlandyi. Państwo to z rozmaitych powodów, które autor wyłuszcza, nie mogłoby tworzyć integralnej części ani Rzeszy niemieckiej, ani Austro-Węgier. Także i ewentualny podział terytoryum, mającego tworzyć przyszłe państwo polsko-litewsko-kurlandzkie, między Rzeszą niemiecką, względnie Prusy i Austro-Węgry, nie jest, wedle Gotheima, wskazany, bo pociągnąłby za sobą niepomierne wzmocnienie żywiołu polskiego w tych państwach, co jest dla nich wcale niepożądanem.

Gotheim rozumuje w ten sposób: Ponieważ Kongresówka, Litwa i Kurlandya, wzięte pojedynczo, są za słabe, aby stać się samoistnemi jednostkami państwowemi, trzeba je zatem połączyć w jedno państwo, dość silne pod względem ekonomicznym i wojskowym, aby mogło tworzyć dla państw centralnych wał ochronny przeciw Rosyi.

„Nowy ten organizm państwowy — pisze autor — miałby za zadanie popierać wszystkie w jego granicach mieszkające narodowości na punkcie starania się o własne dobra kulturalne, oraz zapewnić każdej z nich możność swobodnego rozwijania swych właściwości i współpracy we wszystkich sprawach publicznych. Dalej przypadłoby mu w udziale trudne zadanie zapewnienia pokoju między pojedynczemi narodowościami i strzeżenia jednej narodowości przed uciskiem ze strony drugiej".

Omawiając zasadnicze podstawy przyszłego Polsko-litewsko-kurlandzkiego państwa, rozwodzi się autor nad sposobami zabezpieczenia praw pojedynczych narodowości, aby je ustrzedz przed majoryzowaniem ze strony Polaków, którym zresztą przypisuje, że odznaczali się zawsze wielką tolerancyą religijną i narodowościową. W tym celu proponuje on, aby konstytucyę nowego państwa oddać pod opiekę międzynarodowego Trybunału rozjemczego w Hadze. Ta troskliwość ze strony Niemca o prawa narodowościowych mniejszości w przyszłem państwie czyni wprost komiczne wrażenie, gdy się ją zestawi z troskliwością niemiecką o prawa tychże mniejszości w Rzeszy, lub Austro-Węgrzech.

Za skuteczny środek do zapewnienia owych praw mniejszości uważa autor stworzenie s p ó l n o t n a r o d o w o ś c i o w y c h, względnie założenie k a t a s t r u p o j e d y n c z y c h n a r o d o w o ś c i. Na podstawie tego katastru miałyby one prawo ściągać podatki dla swych specyalnych celów, między którymi stałoby w pierwszym rzędzie nauczanie publiczne (szkoły ludowe, szkoły średnie, szkoły fachowe), teatr i sztuki piękne, przyczem zapewnionem by było każdej narodowości nieograniczone prawo używania ojczystego języka w szkole, prasie, kościele. Przytem jednak język państwowy (polski) byłby wykładany obowiązkowo we wszystkich szkołach w państwie. Znajomość języka polskiego dlą obywateli byłaby konieczną ze względu na język wspólnej armii i wspólnych władz państwowych. Szkoły wyższe (uniwersytet, politechnika) winny mieć charakter czysto polski, ponieważ Niemcy z nowego państwa uczęszczaliby do uniwersytetów w Rzeszy niemieckiej, a Litwini, Łotysze i Białorusini są zbyt słabi liczebnie, aby utrzymać własne wszechnice. Żydzi mieliby do wyboru albo uniwersytet (politechnikę) polski, albo zagraniczne uniwersytety niemieckie. Władze jednak państwowe, tak administracyjne, jak sądy, musiałyby uwzględniać język mniejszości narodowej, zamieszkującej dany okręg w sile 6—8 procent. Przytem zaznaczyć wypada, że autor przyznaje żargonowi

żydowskiemu — Jiddisch — te same prawa, co językowi niemieckiemu, litewskiemu, łotewskiemu i białoruskiemu.

Dalej należałoby prowincye (kraje) przyszłego państwa utworzyć w ten sposób, aby obok właściwej Polski (dzisiejsza Kongresówka, 9 gubernij, 2 powiaty południowe z gubernii Suwalskiej, 2 zachodnie z gubernii Grodzieńskiej), powstała Kurlandya (w dotychczasowych granicach), Litwa (gub. Kowieńska, gub. Smoleńska bez 2 pow. południowej części gub. Wileńskiej) i Białoruś (gub. grodzieńska, bez pow. Białostockiego i Bialskiego, pow. wołkonyski, lidzki, oszmiański). Ewentualnie mogłaby powstać prowincya małoruska, złączona z częścią gubernii Lubelskiej (Siedleckiej) oraz Chełmskiej.

Ta ostatnia prowincya stanowiłaby integralną część właściwej Polski, podobnie jak Białoruś należałaby do Litwy, tak, że nowe państwo byłoby „de facto“ związkiem trzech państw samodzielnych, lecz ściśle ze sobą związanych przez wspólny okręg cłowy, wspólną armię, wspólne prawodawstwo i unię personalną pod tym samym panującym, t. j. Polski, Litwy i Kurlandyi.

Na terytoryum tego państwa mieszkałoby, wedle Gotheima, 11'93 milionów mieszkańców we właściwej Polsce, 3 miliony na Litwie, 1'05 mil. na Białej Rusi, 0'675 mil. w Kurlandyi, 0'550 mil. na Małej Rusi.

W dalszym ciągu swej broszury omawia autor kwestyę żydowską w owem państwie. Stwierdza on wprawdzie, że jest to kwestya pierwszorzędnej wagi, ale nie podaje konkretnych sposobów jej rozwiązania. Waha się mianowicie między daniem racyi t. zw. asymilatorom, dążącym do stopniowego zatarcia różnic, dzielących żydów od reszty ludności, przez podniesienie ich stopnia kultury, a przyznaniem słuszności żądaniom syonistów, którzy domagają się dla żydów osobnego katastru narodowościowego i osobnej kuryi wyborczej.

Ostatnią wreszcie część swej pracy poświęca Gotheim omówieniu spraw ekonomicznych w przyszłem Państwie polsko-litewsko-kurlandzkiem.

Za daleko zaprowadziłoby nas szczegółowe przedstawienie zapatrywań autora na te sprawy. Zaznaczamy więc jedynie, że stwierdziwszy niemożliwość ścisłego, bezpośredniego połączenia cłowo-politycznego nowego państwa tak z Rzeszą niemiecką, jak i z Austro-Węgrami, wyraża Gotheim przekonanie, że należy stworzyć taki samoistny organizm państwowy, który z własnej woli szukałby kontaktu ekonomicznego z temi mocarstwami. Przytem wypadałoby jednak, celem uła-

twienia rozwoju przemysłu w nowem państwie, zmusić Rosyę, aby przynajmniej na przeciąg lat 20-tu stosowała do towarów, importowanych w jej granice z tego nowego państwa specyalne niskie taryfy.

W końcowych wywodach przychodzi autor do wniosku, że nie trzeba wcale obawiać się, aby projektowane państwo stało się niebezpiecznem ogniskiem polskiej agitacyi, ponieważ nie będzie miało specyficznie polskiego charakteru. Niemcy, Litwini, Łotysze, Białorusini, a wreszcie żydzi będą podobnej agitacyi stawiali skuteczną tamę. Takie niebezpieczeństwo agitacyi istniałoby natomiast, gdyby np. dzisiejsze generał-gubernatorstwo warszawskie połączone zostało z Galicyą pod berłem Habsburgów.

Nie wchodząc w to, czy projektowane przez Gotheima państwo, oparte na związku tak różnorodnych żywiołów, miałoby warunki żywotności i trwałości, stwierdzić jednak wolno, że myśl, rzucona przez niego, jest co najmniej oryginalną.

Józef Trepka.

Das Land der Wirklichkeit. Französische Gesellschaftsprobleme. Vierte Auflage, von Osk. A. H. Schmitz. 1914. München, bei Georg Müller. In 8-vo, str. 321.

Szczęśliwym zbiegiem okoliczności ostatnie wydanie książki tej wyszło w świat tuż przed wybuchem obecnej wojny. Teraz, ani bezpośrednio po niej ukazaćby się nie mogła, gdyż namiętności polityczne i nienawiść rasowa zbyt są i będą przez czas dłuższy poruszone, aby jakiś publicysta niemiecki ośmielił się w sposób tak rozumny a bezstronny, jak to uczynił Oskar Schmitz, pisać.

Książkę tę warto przeczytać. Daje ona daleko więcej, niż obiecuje tytuł, bo przeprowadza bardzo zajmującą paralelę między Francuzami a Niemcami, oraz porusza mnóstwo zagadnień kultury społecznej, które obchodzą nie tylko te dwa narody. W dodatku pisana jest świetnie stylem, na jaki mógł jedynie zdobyć się utalentowany publicysta niemiecki, znający na wylot sposób pisania Francuzów, tych mistrzów w pisaniu jasno i lekko, a zarazem głęboko o najpoważniejszych zagadnieniach.

Dla charakterystyki zapatrywań autora weźmy dwa pierwsze lepsze zdania z jego książki.

I tak np. omawiając jednolitość kultury francuskiej, pisze on między innemi:

„Duch narodu francuskiego wyjaśnił się tak dalece od czasów Ludwika XIV., tak się skrystalizował i oczyścił przez silne życie wewnętrzne, że go porównać można jedynie z duchem narodowym żydów lub Greków, co do form ściśle określonych... Duch ten zachowa swą część panowania nad światem, choćby Francya spaść miała do tak małego znaczenia politycznego, jak rzymska prowincya Achaia“ (str. 85).

W innem zaś miejscu, gdzie mówi o nowożytnym duchu Francyi, wyraża się w ten sposób:

„Gdyby teraz osadził ktoś stu Francuzów i stu Niemców na dwóch bezludnych wyspach, o glebie tej samej wartości, to sądzę, że nawet sami Francuzi przyznaliby, że Niemcy w ciągu lat dziesięciu osiągną lepsze rezultaty swej pracy, dzięki energicznej sprawności. Ale gdyby na tych wyspach trzeba było naprzód opanować krajowców lub ucywilizować, to na jednej z nich zdobytoby w tym samym czasie tylu zwolenników kultury francuskiej, ile na drugiej — powstałoby ludzi, nienawidzących Niemców (Deutschenhasser)“ (str. 112).

W pięciu rozdziałach swej książki autor kolejno daje genezę kultury francuskiej i niemieckiej w ogólnym zarysie, omawia społeczeństwo francuskie i jego moralność, zajmuje się językiem francuskim i stylem, odtwarza typ kobiety francuskiej i zapatrywania Francuzów na miłość, wreszcie kończy ją rozdziałem, paświęconym „nowej Francyi“. Całość poprzedzają dwie, do poprzednich wydań napisane przedmowy, z których na szczególną uwagę zasługuje druga, nosząca tytuł: „Das unwirkliche Deutschland“.

W przedmowwie tej wykazuje Schmitz różnicę zasadniczą, jaka zachodzi między Francuzami, którzy w świecie intelektualnym są ludźmi *par excellence* praktycznymi i pozytywnymi, trzymającymi się oburącz rzeczywistości, podczas gdy Niemcy gubią się w pojęciach oderwanych i negacyi. Spotykamy tam uwagi bardzo ciekawe, np.:

„Skłonność Niemców do schodzenia z drogi przed rzeczywistością okazuje się także przez to, że w żadnym innym kraju nie kładzie się tyle nacisku na to, czem się nie jest; przystawka „anti“ gra u nas olbrzymią rolę. Jest to także sposób czysto niemiecki odmawiać przeciwnikowi racyi bytu, t. j. że jedni zaprzeczają duchowej rzeczywistości innych, a tem samem przeczą rzeczywistości wogóle...

„We Francyi wszelkie przeciwieństwa posiadają tę samą rzeczywistość. Tam jest się najpierw człowiekiem wybitnym, a potem dopiero politykiem, poetą, lekarzem, czy czem innem. Na końcu dopiero rozważa się sprawę k i e r u n k u, jakiego trzyma się ów człowiek... U nas jednak,

gdy ktoś stanął w sprzeczności z jedną grupą lub kilkoma, to zostaje zaraz na śmierć skazany, nie liczą się z nim, co najwyżej uważają go za przewrotnego łotra lub idyotę. Jak traktują się nawzajem u nas np. pojedyncze szkoły malarskie lub poetyckie, a szczególniej, jak traktują „młodzi“ „starych“!“ (str. 24).

Tout comme chez nous.

Wybornie napisany jest rozdział o języku francuskim i stylu, wiele głębiej sięgających obserwacyj zawiera rozdział o społeczeństwie francuskiem i jego moralności, drastycznym od początku do końca jest rozdział o kobietach francuskich i miłości, lecz naprawdę interesującym, bo najaktualniejszym jest rozdział, poświęcony „nowej Francyi“. Tak dobry znawca Francyi spółczesnej, jak Schmitz, z umysłu oczywiście pominął w poprzednich rozdziałach wszystko, coby rzucało światło na rolę, jaką w tym kraju przez wiek XIX-sty grał, bądź co bądź, katolicyzm. W tym jednak ostatnim rozdziale, omawiającym „odrodzenie“ Francyi w XX-tem stuleciu, nie mógł pominąć stwierdzenia faktu, że w kraju tym przejawiają się początki wielkiego zwrotu w kierunku ku r e l i g i i, idącego równorzędnie ze zwrotem ku ideałom o j c z y z n y, którymi tak niedawno temu jeszcze pomiatano, jednem słowem zwrotu ku i d e a l i z m o w i, o czem tak się wyraża:

„Chcemy tu jedynie wskazać na narodziny tego nowego francuskiego idealizmu, zawierającego w sobie siłę duchową, której chwilowo brakuje Rzeszy niemieckiej, grzęznącej coraz bardziej w materyaliźmie...

„Cóż my możemy przeciwstawić temu idealistycznemu rozwojowi Francyi? Chyba tylko materyalną przewagę liczby; ale że ona nie jest jedynie miarodajną, tego nic lepiej nie dowodzi, niż historya państwa pruskiego“ (str. 278).

Pomimo całego uznania dla książki Oskara Schmitza, dalecy jesteśmy od zamykania oczu na jej strony ujemne. Jej wadą „pierworodną“ jest to, że napisał ją Niemiec-protestant, który na wiele spraw i rzeczy francuskich patrzył pod specyalnym kątem widzenia. Dalej, jest ona miejscami frywolna. Taki np. opis balu „des quat'z'arts“ nie powinien się znajdować w książce, mającej pretensyę do tego, aby ją brano na seryo. Wreszcie muszą nieprzyjemnie razić czytelnika takie wynurzenia autora, że właściwy „świat“ zamyka się dlań kanałem La Manche, Pirenejami i Wisłą, reszta — to barbarzyństwo. Nic dziwnego tedy, że dla Amerykanów i Anglików ma tylko uszczypliwe docinki, a dla Słowiańszczyzny pewien rodzaj pogardliwego politowania.

J. Trepka.

Sprawozdanie z ruchu
religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Ksiądz Świeykowski. — Encyklika o kaznodziejstwie. — O dogmat Wniebowzięcia. — Stan Kościoła obecny we Francyi.

Ksiądz Świeykowski. Już niejednokrotnie i z niejednej strony stwierdzono, że duchowieństwo polskie złożyło podczas wojny egzamin bohaterskiej cnoty. Świeciło zwłaszcza chrześcijańską miłością bliźniego, poświęcającą się aż do zaparcia i całkowitej ofiary siebie. Ostatni miesiąc przyniósł dokumenty, które tę prawdę uprzytomniły raz jeszcze, a uprzytomniły w tak niezwykły sposób, że prawda ta, jak świetlany słup, zajaśniała już nie tylko w świadomości naszego kraju, ale i daleko poza jego granicami.

Losy wojny, jak dały wielkie imię historyczne małym Gorlicom, tak odkryły przed światem heroiczną cnotę kapłana, który w tem zapadłem miasteczku pracował. Prócz obowiązków kapłańskich, wziął ksiądz Świeykowski na swoje barki i zarząd miasta, jako burmistrz, i to w chwili krytycznej, gdy Gorlice zagarnęła inwazya rosyjska. Wypadło mu trwać i działać na stanowisku w niezwykle trudnych warunkach, bo nie tylko w czasie dwukrotnej inwazyi rosyjskiej, ale i przez 126 dni ostrzeliwania miasta, w tem podczas jednego z najstraszniejszych działań artyleryjskich w tej wojnie, które zamieniło Gorlice w kupę gruzów.

Ileż chwil nad wszelki wyraz ciężkich przejść musiał kapłan-obywatel! Wybuchły epidemie, cholera, dysenterya, tyfus; codziennie trzeba było zaopatrzyć kilkunastu chorych. Niejednokrotnie zaglądał

do miasta głód; raz trzeba było wypraszać u komendanta rosyjskiego 20 pudów chleba, kiedyindziej uzyskać zezwolenie na sprowadzanie co tydzień żywności z Jasła. A kiedy wybuchła wśród ludności nędza, organizuje ksiądz Świeykowski rozdawnictwo obiadów, po 500 porcyj dziennie. I tak szły bez przerwy te ciężkie, jak żelazne kajdany, dni. Ciągle trzeba było ucierać się z kozactwem, ciągle żebrać u władz, krzepić zrozpaczonych, karmić głodnych, opatrywać chorych, dźwigać z ulic miasta rannych. I to wszystko wśród największych niewygód, w mieszkaniu zimnem, poszczerbionem armatniemi kulami, w jednym pokoiku, w którym dzień i noc paliła się lampa, gdyż okno zabito dla ochrony przed pociskami. Pokoik ten był świadkiem i niezwykłych epizodów, jak ten naprzykład, gdy w samym środku inwazyi rosyjskiej nawiedza księdza Świeykowskiego tajny wysłannik armii austryackiej. Prawie równocześnie przychodzi do pokoju komendant rosyjski. Ksiądz Świeykowski, słysząc zbliżające się, a dobrze sobie znane kroki, chwyta za stułę, wysłannikowi każe uklęknąć. Komendant, widząc księdza, słuchającego spowiedzi, cofa się od drzwi.

Ileż potem zdziałał ksiądz Świeykowski. Założył prowizoryczny szpital, rozwinął działalność dla rozmieszczania bezdomnych, zorganizował tanią kuchnię. Trzeba było zaopatrzyć ludność w żywność, opał, we wszystkie środki do życia. Po ustąpieniu Rosyan zajął się znowu odczyszczeniem miasta i akcyą odbudowy.

Wtedy to doświadczył Bóg wiernego sługę swojego krzyżem ciężkim. Austryacki sąd polowy, a więc sąd państwa, któremu tak wiernym okazał się kapłan-obywatel, na skutek podłej denuncyacyi, wytoczył księdzu Świeykowskiemu proces o zdradę stanu. Proces nie tylko nie wykazał najmniejszej winy, stał się nadto hołdem dla niezwykłych zasług. Sprawa doszła do cesarza Karola, który udzielił kapłanowi wysokiego orderu. Od orderu jednak ksiądz Świeykowski wymówił się. Pobudką wszystkich czynów, pisze ksiądz Świeykowski do cesarza, było „moje kapłańskie powołanie, które każe mi chrześcijańską miłość bliźniego nie tylko słowy głosić, ale czynami okazywać; bez względu więc na to, czy moje usiłowania i trudy zasłużą wobec świata na odznaczenie i pochwały, pragnąłem jedynie pełnić wolę Wszechmocnego Sędziego i Jego święte przykazania... Uczyniłem wszystko w miarę moich sił i mojej wiedzy na chwałę Boga i dla dobra moich bliźnich".

Na odmowną odpowiedź księdza Świeykowskiego wysłał cesarz Karol do Gorlic osobnego kuryera ze swoim odręcznym listem, w którym w serdecznych wyrazach składa hołd cnocie kapłana.

Hołd ten złożyła już także prasa wszystkich odcieni, złożył nawet żyd-socyalista w parlamencie wiedeńskim.

Sprawie Bożej wystawił ksiądz Świeykowski, że użyjemy słów cesarza, „najpiękniejszy pomnik", który będzie drogowskazem dla wielu.

Encyklika o kaznodziejstwie.

W numerze z 15 czerwca podał „Osservatore Romano" encyklikę papieską „Humani generis". Treść następująca:

Chrystus, po dokonaniu odkupienia, nie chciał, by nauka Jego głoszona była inną drogą, jak przez usta kapłanów; stąd wysokie znaczenie kaznodziejskiego urzędu. Szczególniejszą troską papieża jest utrzymać pierwotne znaczenie tego urzędu i jego powagę. Niestety, zaznacza się w obecnym czasie wielkie zmniejszenie się wpływów kaznodziejstwa. Widzimy wprawdzie, że wielu zadaje sobie wiele trudu w wygłaszaniu nauk i że lud podąża na nie liczniej, niż kiedykolwiek. Ale mimo to obyczaje publiczne i prywatne upadają z dnia na dzień, wzrasta lekceważenie spraw nadprzyrodzonych, cnota chrześcijańska zanika, codziennie coraz większa liczba przypadków cofania się do życia pogańskiego.

Powody tego bywają rozmaite, ale nikt niestety zaprzeczyć nie może, że wobec tego zła kaznodzieje zbyt mało myślą o zaradzeniu mu. Jeżeli miecz słowa Bożego nie stosowany jest z taką siłą, jak być powinien, winę należy przypisać tym, którzy nie umieją nim władać. Nie można powiedzieć, że Apostołowie w lepszych czasach działali, aniżeli nasze, że gotowość słuchania Ewangelii była wtedy większą lub mniejszy wstręt do przykazań Bożych.

Z powagi urzędu apostolskiego, a zapatrując się na przykład obu wielkich poprzedników, Papież, wobec doniosłego znaczenia tej sprawy, uważa za konieczne głoszeniu słowa Bożego przywrócić to znaczenie, jakie wedle myśli Chrystusa i Kościoła mieć powinno.

Papież stara się zbadać przyczyny tego i znajduje ich trzy: wybór niezdolnych na kaznodziei, wygłaszanie nauk w nieodpowiedni sposób lub nie tak, jak się należy.

Ojciec św. przypomina nauki soboru trydenckiego o urzędzie kaznodziejskim, przysługującym biskupom i tylko osobom, przez nich wyznaczonym. Odstąpiono tymczasem od tej wskazówki z wygody i pozwolono nadużywać ambony; biskupi więc powinni baczyć na to, aby nikt nie kazał, kto nie ma do tego upoważnienia i ściśle nie był egzaminowanym. Wedle soboru trydenckiego biskupi mają wybierać na

kaznodziei odpowiednich mężów, to znaczy takich, którzyby urząd ten zbawiennie wykonywali. Zbawiennie więc, nie wymownie, nie dla oklasków słuchaczy, lecz na dobro dusz, a więc w celu, w jakim głosi się słowo Boże. Biskupi nie mają dozwolić wygłaszać nauk nikomu, kto nie jest wypróbowanym w obyczajach i nauce.

Kaznodzieja powinien sobie uprzytomnić, czyje miejsce zastępuje i jakie ma zadanie; ma starać się o zbawienie dusz, a tem samem starać się o chwałę Bożą.

Jeżeli tego celu nie ma na oku, uważać go trzeba jako pyszałkowatego gadułę, a nie jako kaznodzieję Ewangelii. O gdyby nie było wogóle podobnych deklamatorów! Jedni pragną zaspokoić jedynie próżność swą, drudzy nie omawiają wogóle rzeczy, które tłumom nie podobają się, bo przerażają słabość ludzką. A często zdarza się, że omawiając sprawy Boże, zwracają się do spraw politycznych, mianowicie wtedy, jeżeli jakiś wypadek żywiej zajmuje umysły słuchaczy. Staraniem ich jest przypodobanie się słuchaczom i być ich rzecznikiem, pragną być przyjemnymi dla ich uszu, jak św. Paweł powiada. Z tego powodu w miejsce poważnego ruszania rąk, owe gesty, jak na scenie lub zgromadzeniu ludowem, stąd ów głos teatralny; stąd owa masa cytatów z Pisma św. i Ojców Kościoła; stąd u większej części tych deklamatorów ów dobór słów, którym uszy łechcą i pragną wzbudzić podziw słuchaczy, ale nie dają im nic dobrego coby ze sobą do domów zanieśli.

Papież potępia takie postępowanie, które Kościołowi tylko szkodę przynosi i napomina biskupów, by pilnie nad tem czuwali, aby takich kaznodziei jak najprędzej usunęli, bo Kościołowi nie przynoszą pożytku. Takiej samej surowości wymaga Ojciec św. dla tych także, którzy na kazania niedostatecznie się gotują.

Jako przykład kaznodziei stawia Papież św. Pawła, któremu Kościół nadał tytuł „Praedicator veritatis“. Kaznodzieja ma znać wiedzę Bożą, „nieświadomość jest matką wszelkich błędów“; ma się dalej poddać całkiem woli Bożej, Bogu oddać skutek swej nauki, nie bać się trudów i pracy żadnej i nie zapominać, że kaznodzieja posiadać musi ducha modlitwy.

O czem ma mówić kaznodzieja? Na to daje nam odpowiedź św. Paweł, powiadając: O niczem, jak tylko o Jezusie Chrystusie ukrzyżowanym. Ma także mówić z odwagą św. Pawła i to tak, by z wskazań Chrystusa niczego nie opuszczał ani osłabiał. Nie można więc chwalić takich kaznodziei, którzy pewnych ustępów z nauki chrześcijańskiej nie poruszają, by nie zrazić słuchaczy. Dalej kaznodzieja nie ma ope-

rować wytworami ludzkiej mądrości, ale słowami Pisma św. i przytaczać dowody teologii św. Wreszcie kaznodzieja powinien wykonywać urząd swój w duchu św. Pawła, nie by się ludności podobać, ale Chrystusowi.

Na zakończenie napomina Papież raz jeszcze biskupów, by mieli pieczę nad kaznodziejstwem, a kończy naszkicowane te tylko myśli życzeniem, by Pasterz odwieczny, Jezus Chrystus, za przyczyną Najświętszej Panny Maryi, Matki Słowa wcielonego, a Królowej Apostołów, ducha apostolskiego pomiędzy duchowieństwem wzniecał i liczbę prawdziwych kaznodziei mnożył, i udziela apostolskiego błogosławieństwa.

O dogmat Wniebowzięcia.

Już od szeregu lat toczy się w łonie katolicyzmu żywa akcya o dogmat Wniebowzięcia. Na wielu wiecach katolickich i kongresach maryańskich w różnych krajach Europy i Ameryki uchwalane były zbiorowe wnioski, mające skłonić Stolicę Apostolską, by ogłosiła za artykuł wiary i dogmat Wniebowzięcia Najśw. Maryi Panny. Obecny papież wyraził się, że po wojnie do tej sprawy przystąpi.

Do akcyi o ten dogmat przybywa bardzo ciekawy szczegół. Rząd Kolumbii wystosował prośbę do episkopatu swojego państwa, by episkopat w łączności z biskupami Ameryki dopomógł do przyspieszenia tej sprawy w Rzymie. Ponieważ odnośny list rządu kolumbijskiego nie jest u nas znany, przytaczamy go dosłownie:

„Dostojni Arcybiskupi i Biskupi Rzeczypospolitej!

Ponieważ Ekscelencye w najbliższym czasie zbiorą się na ogólną konferencyę krajową, niżej podpisani, szczęśliwi z przynależności do Kościoła katolickiego Kolumbii, kierują następującą prośbę do Nich, jako do przedstawicieli swego Kościoła i Ojca świętego.

Przystępujemy do Was z najpokorniejszą prośbą, abyście, jeżeli uznajecie za rzecz stosowną, ujęli w swe ręce świętą sprawę Wniebowzięcia Maryi i w ten sposób spełnili najgorętsze życzenie naszego serca, które największą miłością ku swej Matce przepełnione, pragnie, by przyznaną Jej była należna cześć.

Wiecie o tem, że w tę katolicką prawdę już od najpierwszych chrześcijańskich czasów wierni Kościoła silnie wierzyli: mianowicie, że Najświętsza Dziewica i Matka Boga i nasza Matka przez swego Syna ciałem i duszą do nieba wziętą została, ażeby u Jego boku rozporządzać nieskończonymi skarbami miłosierdzia Bożego.

Ale chociaż prawda ta jest powszechną i dawną i choć cześć

Najśw. Dziewicy podnosi i wiernych miłością przejmuje, mimo to jednak niema urzędowego przez Kościół potwierdzenia tej prawdy, przez określenie jej jako dogmatu wiary.

Najświętsza Matka nasza nie potrzebuje tego określenia dla swego szczęścia lub wzrostu swej chwały w niebie, ale my, wygnańcy ziemscy, odczuwamy potrzebę złożyć Jej ten hołd dziecięcego oddania się, ku powiększeniu Jej chwały na ziemi.

Ufamy radośnie, że Ekscelencye wywołają w łonie amerykańskiego episkopatu ruch w tym kierunku i że prośba o ogłoszenie tego upragnionego dogmatu dotrzę do nieomylnej Stolicy św. Piotra, w następstwie, że Majestat Boży spełni najłaskawiej pragnienie tylu dzieci ku czci swej nieporównanej Matki. Bóg ze swej strony poruszy serce Papieża, wykonawcy swego na ziemi, że formalnie i uroczyście ogłosi dogmat ku wielkiej radości całego Kościoła na ziemi i całego niebieskiego Królestwa, którego Królową jest Marya".

Podpisy: P. A. Molina, prezydent senatu; L. M. Berti, prezydent Izby; W. A. Wendez, prezes ministrów; W. F. Suarez, minister spraw zewnętrznych; S. Franco, minister wojny; E. Ferraro, minister oświaty; A. Rolledo, minister finansów; J. Veles, minister robót publicznych.

Cały ten adres wyda się niejednemu dzisiejszemu uchu dziwny. Wyda się opóźnionem echem minionego dnia. Kto wie? Może to jest pierwszy brzask idącego dnia? W obecnych latach wojny patrzymy na wiele rzeczy dziwnych, których wczoraj nikt nie przeczuwał. W każdym razie krok rządu kolumbijskiego winien pobudzić katolickie społeczeństwa innych narodów do szlachetnej rywalizacyi. Im gorliwszem, żywszem i powszechniejszem będzie pragnienie, by ziemia złożyła nowy hołd Maryi, tem prędszą będzie oczekiwana chwila.

Stan Kościoła obecny we Francyi. Jakie stosunki wywołało we Francyi zmobilizowanie katolickiego kleru, omawia list urzędowy kardynała Dubois, Arcybiskupa Rouen, do prezydenta departamentu Sekwany, p. Bignon. Jeden z ustępów listu tego brzmi:

„Był Pan tyle uprzejmym, by zainteresować się losem parafii, z której kapłanów powołano pod broń. Przecież rozwiązanie kwestyi, które poszło w ślad za owem zainteresowaniem się, jest zapewne cennym paliatywem, ale w żadnym razie nie usuwa samego, nader ujemnego stanu. Kwestya cała ma doniosłość ogólną i musi być roztrząsaną z wyższego stanowiska. Zastosowanie nowego rozporządzenia

o zaciągnięciu do wojska całego niemal kleru katolickiego pozbawiło wielką liczbę parafii zupełnie posługi duchownej. Całe okolice nie mają wcale księży, a pozostali są albo zbyt wiekowi, albo chorzy — zatem niezdolni do zastąpienia sił młodszych. Że przytoczę dla objaśnienia jeden jedyny przykład: Dziekan z Dieppe, ks. Benoist, prócz własnej parafii ma jeszcze do obsłużenia 9 innych. W wielu miejscowościach zaniechano całkiem nabożeństw niedzielnych; katechizowanie dzieci stało się niemożliwem; dzieci umierają bez chrztu św., dorośli bez Ostatnich Sakramentów. Znane mi jest doskonale ciężkie położenie, jakie wywołało konieczność tak daleko idącego rozporządzenia, ale sądzę — że należało pozostawić księżom troskę o duszę ludności lub służbę sanitarną. Mówię tu wyłącznie w interesie wiernych. Przecież nie zmobilizowano równocześnie wszystkich piekarzy, nauczycieli, adwokatów, lekarzy, bez uprzedniego zapewnienia ich zastępstwa. Dlaczego powołano natomiast pod broń wszystkich księży pewnego wieku, bez różnicy i zaryzykowano tem samem uniemożliwienie służby Bożej w całych departamentach? Nikt z naszych wrogów — i nikt z naszych sprzymierzeńców nie postąpił podobnie; jedni i drudzy umieli pogodzić obowiązki obywatelskie z prawami sumienia i wolności wyznania. Czyżby Francya miała być państwem jedynem, które nie troszczy się o to, co jest sprawą religijną? Kiedy my, biskupi, chcemy interweniować osobiście, spotykamy się z odpowiedzią: „Nie znamy was". A kiedy prosimy, by siły kapłańskie zużyto odpowiednio do ich powołania, otrzymujemy replikę: „Armia nie zna duchownych; wszyscy są żołnierzami".

Dodajmy do tego opisu, że w niektórych departamentach stosunki są jeszcze gorsze; w jednym naprzykład departamencie na 34 parafij jest tylko jeden ksiądz. Rola księdza francuskiego w rowach strzeleckich okazała się zapewne w niejednym wypadku doniosłą, jest jednak odwrotna strona medalu.

Ks. J. Pawelski.

Ze spraw warszawskich.

W sprawie wielkiej Warszawy.

W sali Sztandarowej pałacu miejskiego, urządziła, — jak czytamy w „Gońcu Wieczornym“ — komisya do spraw wielkiej Warszawy ciekawe zebranie dla radnych i osób, interesujących się sprawą wzorowego i racyonalnego zabudowywania się wielkiej Warszawy.

Po zagajeniu zebrania przez p. Bystydzieńskiego, sprawę zabudowania wielkiej Warszawy referował obszernie architekt p. Władysław Michalski, czyniąc szereg porównań nad regulacyą i budownictwem w miastach niemieckich, oraz ilustrując swe wywody na szeregu planów regulacyjnych wielkiej Warszawy, wykonanych przez „Koło Architektów“.

Referent, mówiąc o zadaniach polityki municypalnej w dziedzinie budownictwa, podkreślił, iż charakter miasta zależny jest od stosowanej polityki budowlanej i mieszkaniowej. W wielkich miastach daje się zauważyć centralizacya handlu i decentralizacya przemysłu z przerzucaniem fabryk na przedmieścia. I u nas w tym kierunku pójdzie sprawa dalszego zabudowywania się miast.

Całą Pragę ma okrążyć kanał i przewiduje się, że tam właśnie fabryki poczną wyrastać samorzutnie. Port główny projektuje zbudować się w północnej części nowo przyłączonych do Warszawy przedmieść — po stronie praskiej, gdzie ma stanąć i rzeźnia. Dwa inne porty mają być zbudowane po stronie Warszawy — jeden w pobliżu cytadeli, drugi koło mostu Poniatowskiego.

Przewidywane jest wytworzenie dużego parku narodowego na Sickierkach, a oprócz tego kilkanaście mniejszych oaz zieleni na Kole, w pobliżu powązek, w Mokotowie, a nawet w śródmieściu, w dzielnicy północnej, mało wogóle bogatej w zieleń.

Projektuje się również przeprowadzenie kilku nowych arteryi komunikacyjnych, idących równolegle do Wisły, tych bowiem jest za mało.

Centralny dworzec ma stanąć, według dawnych planów, mniej więcej na rogu Żelaznej i Alei Jerozolimskich.

Demonstrując na planach, opracowanych przez Koło architektów, projekty co do zabudowywania się Warszawy, referent dał szczegółowy zarys prac, dokonanych przez Koło architektów.

Architekt Michalski mówił o dalszym przebiegu prac w sprawie regulacyi miasta, zaznaczając potrzebę opracowania planu szczegółowego dla poszczególnych dzielnic, uwzględnienia spisu wszystkich nieruchomości i t. p. W podmiejskich okolicach należy przeprowadzić ścisłą regestracyę domów. Referent przytoczył, że w gminie Mokotów na 1.300 właścicieli nieruchomości 600 było niezaregestrowanych i nie opłacało żadnych podatków.

Niezbędna jest następnie komasacya działów i wywłaszczanie i w tym celu opracowanie stosownego prawodawstwa.

Wywody swe prelegent streścił ostatecznie w sposób następujący:

Budownictwo naszego miasta znajduje się w okresie organizacyi i prawdopodobnie kilka okresów jeszcze przeżyje, zanim wejdzie na ostateczne tory, najbardziej odpowiadające naszym warunkom. Najbliższy podział budownictwa miejskiego, jaki w przyszłości może będzie miał miejsce, nie powinien trzymać się utartego podziału na budownictwo architektoniczne i inżynierskie. Podział taki jest przeżytkiem w miastach Europy Zachodniej.

Budownictwo miejskie powinno być skoncentrowane w 2 wydziałach: 1) w wydziale budowy i regulacyi miasta, obejmującym policyę budowlaną, projektowanie zabudowania miasta, biuro pomiarów i zarząd majątkiem miejskim, oraz 2) w wydziale budownictwa wykonawczego, obejmującego architekturę z inżynieryą i związane z nim działy. Taki podział pokaże się najekonomiczniejszym w wykonaniu wielkich zadań, jakie ma miasto do wypełnienia w zakresie budowlanym i mieszkaniowym swojej gospodarki, oraz najbardziej skoordynuje i ułatwi prywatną inicyatywę budowlaną w jej usiłowaniach, zaoszczędzając czas i pieniądze.

W dyskusyi radny Heurich podkreślił konieczność przygotowywania się już dzisiaj do planowej odbudowy kraju i stolicy. W celu racyonalnego postawienia sprawy dalszych prac nad regulacyą miasta, radny Heurich domaga się utworzenia specyalnej delegacyi regulacyi miasta, przeniesienia kredytu na utrzymanie biura projektów robót publicznych do dyspozycyi tejże delegacyi, oraz dokonania wyciągów z ksiąg hipotecznych, celem sporządzenia spisu nieruchomości na przedmieściach Warszawy, żeby nie było takich anomalii, że kilkuset właścicieli nieruchomości w przeciągu kilkunastu lat nie płaciło podatków, bo nikt o nich nie wiedział.

Budżet miasta stoł. Warszawy.

Dochody miasta.

W najbliższym już czasie Rada miejska przystąpi do rozważenia budżetu na rok 1917/18. Prace pod tym względem w komisyi finansowo-budżetowe są na ukończeniu. Nie uprzedzając zatem poglądów, które dopiero przy tym budżecie będą mogły znaleźć wyraz istotny, rozejrzymy się w grubym tomie liczb, rozłożonych przed nami, aby czytelnik mógł być przygotowany do snucia wniosków z poglądów poszczególnych radnych.

Cały budżet podzielono na 19 działów, zależnie od rodzaju gospodarki miejskiej; 20-ty dział stanowi zarząd główny, poza tem mamy sumy, dotyczące budżetu na rok 1917.

Biorąc liczby ryczałtowe, nie możemy oprzeć się zdumieniu, że budżet 12-milionowy, t. j. według nowej waluty, odpowiadający 25—26 milionom marek, wzrósł do 84,469.055 marek rocznie, czyli prawie czterokrotnie, a to tem bardziej, że nie znajdujemy żadnych pozycyi na nowe inwestycye, poza drobnemi stosunkowo sumami na roboty publiczne.

Rozpatrując się jednak bliżej, widzimy, iż wzrost ten niepomierny widać głównie w nowym dziale dobroczynności, który pochłonie 25.489.894 mk., szpitalnictwa, które wywoła wydatek 867.589 mk., budownictwa 5,454.666 mk. i t. d., czyli w nowych poniekąd wydatkach miasta, wywołanych koniecznościami wojny.

Jeżeli zwrócimy uwagę, że dochody, wliczając nowe, nie weszłe jeszcze w życie podatki, wyniosą 45,187.409 mk., powstanie brak 39,273.646 mk., które mają być pokryte z nowej pożyczki miejskiej.

W porównaniu z r. 1916 budżet ze 101,109.013 mk. zmniejszył się o 16,708.964 mk., dzięki wytężonej pracy komisyi budżetowej, ale trzeba nowych usiłowań, aby zmniejszenie to w dalszym ciągu odpowiadało sile płatniczej miasta i aby osiągnąć na działach ściśle administracyjnych jak najdalej idące oszczędności.

A to tem bardziej, że zbytniego optymizmu co do dochodu mieć nie należy wobec zubożenia miasta, braku wszelkiej wytwórczości i zupełnego izolowania stolicy podczas wojny od rynków handlowych.

Dochody miasta istotne znajdujemy przedewszystkiem w dziale finansowym.

Od własności nieruchomej wpływało dawniej około 8 milionów

rubli, był to główny dochód miasta; dziś wszystkie podatki od nieruchomości obliczono na 4,994.400 mk i to pod wielkim znakiem zapytania, czy mimo ostrożnego obliczenia podatki te wpłyną.

Wprawdzie nie przewidziano wpływu zaległości które dzięki uchwale Rady miejskiej i nowej lustracyi obywatelskiej powinny zasilić kasę miejską; pamiętać jednak należy, że zaległości te iść winny na pokrycie pożyczek z r. 1915 i 1916, gdyż do tych lat właściwie należą.

Poza tymi podatkami widzimy szereg nowych podatków, opracowanych przez magistrat pod naciskiem Rady miejskiej, ale dotychczas nie zatwierdzonych.

Mamy więc przedewszystkiem dodatek 100 proc. od podatku mieszkaniowego, który ma przynieść 403.000 mk., o połowę mniej, niż w r. 1916, z powodu spadku cen najmu lokali.

Dalej idą podatki pośrednie od widowisk w kwocie 453.000 mk., od koni 6.140 mk., od psów 30.000 mk., od rowerów i samochodów 1.520 mk., oraz nowe zupełnie podatki od biletów tramwajowych, o których pomówimy oddzielnie, w kwocie 972.000 mk., od instalacyi gazowych729.000 mk., od instalacyi elektrycznych 486.000 mk., wreszcie nowy podatek t. zw. szpitalny 3,240.000 mk. Razem z podatków pośrednich, dotąd jeszcze przez Radę miejską nie akceptowanych, ma wpłynąć 5,917.660 mk.

Dochody, również nowe, z monopoli od cukru, zboża, węgla, soli i słoniny mają dać 2,675.800 mk.

Opłaty różne (stemple, druki, weksle i t. d.) dadzą miastu 364.380 mk.

Dochody t. zw. pomocnicze w kwocie 865.560 mk. głównie składają się z pozycyi 875.000 mk., jako zwrot wydatków na milicyę od władz okupacyjnych.

Poza tem mamy w dochodzie tego działu różne sumy przejściowe i drobne, oraz zwroty sum miejskich, np. zwrot należności od banku handlowego w Łodzi razem w kwocie 1,246.140 mk.

Wydział administrowania majątkami miejskiemi obiecuje dać 2,653.687 mk. dochodów zwyczajnych i 400.000 mk. nadzwyczajnych.

Wydział koncesyi miejskich przewiduje w dochodach z tramwajów 2,412.720 mk., od zakładów gazowych 950.400 mk., od elektryczności 24.920 mk., od elektrowni w Mokotowie i na Czystem 870 mk., od dróg podjazdowych 6.980 mk. i od szaletów 600 mk., łącznie zaś z drobnymi innymi dochodami, wpłatą na fundusz renowacyjny tramwajów i t. d. 4,001.160 mk.

Poza tymi dochodami znajdujemy jeszcze poważniejszy dochód z wodociągów i kanalizacyi, który ma dać brutto 5,542.490 mk., netto zaś 2,410.900 mk., oraz wydział zaopatrywania miasta z dochodem brutto 10,155.840 mk., netto 4,457.170 marek.

Inne działy gospodarki dają wprawdzie dochód niewielki, ale tylko w obliczeniach buchalteryjnych przechodnich, w istocie zaś są raczej pozycyami wydatkowemi w budżecie; łączna suma tych dochodów wynosi 3,093.240 mk., poważniejszy dochód brutto: dają szpitalnictwo 593.670 mk., wydział zdrowia publicznego 375.280 mk., budownictwa 524.090 mk., straży ogniowej 657.030 mk., dobroczynności publicznej 567.460 mk. Rozejrzyjmy je w budżetach poszczególnych.

Jak widzimy zatem z powyższego, ogólna cyfra preliminowanych dochodów wynosi 45,187.409 mk., bez operacyi kredytowych.

Rodzi się pytanie, o ile miasto liczyć może na te dochody.

Widzieliśmy, że lwią część dochodów stanowią dochody wydziału finansowego, obejmujące wszystkie niemal podatki.

Co się tyczy podatków bezpośrednich, dawniejszy budżet był zasilany głównie z podatków od nieruchomości, dziś pozycyę tę określono na 4,994.000 mk., uwzględniając, iż wpłynie połowa podatku szacunkowego i połowa dodatkowego do podatku skarbowego. Przypuszczać jednak należy, że jest to obliczenie raczej optymistyczne.

Wprawdzie nie mamy wiadomości, czy w sumie tej figurują podatki od przyłączonych przed rokiem przedmieść, ale i z tego źródła wobec ogólnego kryzysu ekonomicznego mało się należy spodziewać. Tym więc sposobem dochody z bezpośrednich podatków są wątpliwe na razie. Bardziej liczyć się trzeba z podatkami bezpośrednimi; wśród nich podatek od widowisk wynosi około pół miliona marek, od biletów tramwajowych około miliona, od instalacyi gazowych i elektrycznych 1,200.000 mk. i nowy szpitalny 3,240.000 mk., razem około 6 milionów marek. Obliczenia wpływów są tu dowolne, tem bardziej, że dotychczas podatki te nie są zatwierdzone przez Radę miejską, a każda zmiana ich odbić się może na ich redukcyi.

Pewniejsze są dochody z monopoli, które dadzą 2·6 miliona marek, oraz pomocnicze w kwocie okrągło 900.000 mk.

Jeżeli dodamy spodziewany dochód z operacyi pożyczkowych, otrzymamy 56,422.626 mk. w dochodach i 11,472.646 mk. w rozchodach, nadwyżka zatem tego wydziału da 44,950.000 mk., w czem 39,273.646 mk. spodziewany wpływ z pożyczek.

Inne dochody miejskie, wyliczone powyżej, dają z majątków

miejskich 2 i pół miliona, z koncesyi 4 miliony, z zaopatrywania miasta 4 i pół milona marek i t. d.

Tym sposobem na ogólny dochód 43 milionów marek, podatki bezpośrednie dają 12'5 proc. dochodu, pośrednie około 14 proc., monopole 6 proc., przemysłowe 1'5 proc., opłaty różne 0'8 proc., dochody pomocnicze 2 proc., t. zw. różne około 3 proc., dochody z administracyi majątkiem miejskim i fundacyami 7'6 proc., koncesye 9'3 proc., opłata za wodę brutto 13 proc., wydział zaopatrywania miasta brutto około 22 proc., netto około 10 proc., pozostałe działy około 7 proc.

Tak się przedstawiają pozycye dochodowe miasta.

Nie oświetliłbym jednak kwestyi należycie, gdybym nie wspomniał, że ani dochodu, ani samych sum, które stanowią własność miasta i fundacyi, nie brano słusznie pod uwagę przy układaniu budżetu, gdyż były wywiezione z Warszawy.

Sumy te wynoszą łącznie 30,878.063 rubli 14 kop.

Nie uwzględniono nadto zaległości z budżetu 1916 r. i lat dawnych, które wynoszą okrągłą sumę 11,370.000 rubli. W tem podatków od nieruchomości 5,762.574 rubli, oraz opłat za wodę i kanały okrągło 3,200.000 rubli, czyli razem 8,902.000 rubli, z czego w najlepszym razie skutkiem ulg wpłynie około 4 miliony rubli. Tym sposobem zaległości mogą wpłynąć w kwocie około 6 do 7 milionów rubli, czyli około 14—15 milionów marek.

Na zakończenie tego ogólnego przeglądu dochodów podam, iż w chwili obecnej miasto jest obciążone 94,839.544 rb., na amortyzacyę 386.605 rb., czyli razem 5,226.149 rubli.

Bankructwo finansowe Rosyi.

Pod powyższym, wysoce znamiennym tytułem, zamieszcza „Nowoje Wremia“ z dnia 24 maja, w nrze 14774 na naczelnem miejscu artykuł, który treścią swoją, nieprzejaskrawioną chyba w barwach, obrazuje najwymowniej obecny stan wewnętrzny Rosyi. Artykuł ten podajemy w dosłownym przekładzie z oryginału:

Smutną jest rzeczą poruszać kwestye możliwości bankructwa finansowego Rosyi, ale niepodobna jednocześnie zamykać oczu na zbliżające się niebezpieczeństwo. Suma naszych codziennych wydatków, wojennych i zwykłych, dochodzi już do 70 milionów rubli. W stosunku

miesięcznym wyraża się to w cyfrze 2.100 milionów rubli, a cyfra ta zdradza nieustanną tendencyę zwyżkową. Nie ulega wątpliwości, że już w przyszłym miesiącu dojdziemy do 2.500 milionów rubli wydatków miesięcznych, zaś w najbliższej przyszłości nawet do 3.000 milionów rubli.

Tak szybko rosnąca skala wydatków stoi w zależności od olbrzymiego spadku kursu naszych pieniędzy papierowych, zarówno zagranicą, jak i wewnątrz Rosyi, oraz nadmiernego wzrostu wszelakich żądań, zgłaszanych ze wszystkich stron pod adresem kasy państwowej. Jakie sumy pochłoną tylko podwyższenie żołdu żołnierskiego, podwyższenie zapomóg rodzinom żołnierzy, powołanych pod broń, oraz normy płacy we wszystkich przedsiębiorstwach państwowych i prywatnych, zajętych fabrykacyą artykułów wojennych.

Skąd czerpać niezbędne środki na pokrycie tych wydatków? Na początku rewolucyi można było liczyć, że finanse nasze znajdą trwały punkt oparcia. Sprzymierzeńcy nasi powitali rewolucyę radośnie. Wielka demokratyczna republika amerykańska obiecała przyjść z pomocą Rosyi w szczególnie szerokich rozmiarach. Zdawało się, że nasi sprzymierzeńcy udzielą nam nieograniczonych kredytów na prowadzenie wojny i na dokonanie reform socyalnych. Kurs rubla poprawił się. Należało oczekiwać, że podatki będą wpływały z większą, niż dawniej, regularnością i że przy nowym porządku rzeczy łatwo będzie urzeczywistnić w tempie przyspieszonym szereg reform finansowych, pozwalających wzmocnić w sposób znamienny wzrost państwowych dochodów. Między innemi projektowane było natychmiastowe wprowadzenie szeregu monopolów fiskalnych.

Ale nadzieje tak tęczowe można było mieć tylko podczas pierwszych dni rewolucyi, wkrótce bowiem nastąpiło rozczarowanie. Ustrój republikański utrwalić się nie zdołał i kraj ogarnęła nieprzenikniona anarchia. Wpływy z podatków nie tylko się nie powiększyły w stosunku do przeszłości, ale niektóre z nich stały się całkiem iluzoryczne. I niema w tem nic dziwnego. Wraz z rewolucyą rozpoczęła się prawdziwa krucyata przeciwko własności prywatnej. A przecież nie trzeba zapominać, że wyłącznem i jedynem źródłem podatkowem jest własność prywatna. Przedewszystkiem więc przestają wpływać podatki gruntowe i opłaty gminne. Należy oczekiwać, że i do państwowych banków hipotecznych, jak: Ziemiański i Włościański, zaczną wpływać nieregularnie należne im sumy. Chłopi wszędzie przywłaszczają sobie samowolnie ziemię, wiele gospodarstw rolnych uległo zupełnej dewastacyi, na wszystkich zjazdach i zgromadzeniach propagowana jest zasada zlikwidowania prywatnej

prywatnej własności rolnej, w tych dniach ogłoszone zostało prawo, zabraniające dokonywania jakichkolwiek transakcyi ziemią. W takich warunkach byłoby wprost dziwne oczekiwanie od właścicieli ziemskich, a w tej liczbie i włościan, aby wpłacali regularnie podatki państwowe i ziemskie.

Nie bardzo pomyślnie będzie się przedstawiała niezadługo sprawa płacenia i innych podatków bezpośrednich, a w tej liczbie i podatku przemysłowego, wobec coraz groźniejszych ataków na przemysł, obejmowania zarządu wielu fabryk i zakładów przemysłowych przez robotników, normy swej płacy, ustalenia własnego rozkładu swych zajęć, udzielania dymisyi doświadczonym siłom technicznym i t. d. Wśród przemysłowców wzrasta tendencya likwidacyjna, zwłaszcza po opowiedzeniu się przez ministeryum finansów za zasadą konfiskowania dochodów przemysłowych ponad określoną normę na rzecz skarbu — z drugiej znów strony wycofywać kapitały i, o ile to jest możliwe, lokować je za granicą. Tendencyą taka ujawnia się zwłaszcza wśród kapitalistów zagranicznych, a tych, jak wiadomo, jest u nas najwięcej.

O jakichkolwiek dochodach z przedsiębiorstw państwowych niema nawet co mówić. Najważniejsze z nich, koleje — dało w roku ubiegłym przy niepomiernym wzroście wydatków na opłatę sił roboczych, opału i remont taboru ruchomego, 500 milionów rubli strat, w roku zaś bieżącym straty te będą jeszcze większe. Można, rzecz prosta, podwyższyć znacznie taryfy kolejowe, co zresztą jest sprawą przesądzoną, tą drogą jednak da się tylko zmniejszyć nieco deficyt państwowy, niepodobna jednak otrzymać niezmiernych środków na produkcyjne wydatki. Tak więc cała nadzieja obecnie spoczywa w operacyach kredytowych.

Ogłoszona dnia 19 kwietnia subskrypcya na „pożyczkę wolnościową", ma przebieg, zdaje się, dość pomyślny. Zapisy dosięgły już sumy około miliarda rubli. Jest to jednak powodzenie tylko pozorne. Zapisy na pożyczkę wprawdzie wpływają, podpisujący jednak wpłacają jedynie zadatek w wysokości 10 proc. deklarowanej sumy. Tym sposobem państwo na swoje wydatki otrzyma całkiem znikome fundusze. Wydatki są pokrywane przeważnie z kredytów, udzielanych Rosyi przez sprzymierzeńców i drogą dyskontowania krótkoterminowych zobowiązań Kasy Państwowej w Banku Państwa, co się dokonuje za pośrednictwem dalszego wypuszczania niepokrytych niczem pieniędzy papierowych.

Czy sprzymierzeńcy będą nam udzielali dalszej pomocy finansowej w warunkach dzisiejszych, wobec faktycznego zawieszenia broni z Niemcami i jawnie wrogich wycieczek przeciwko Anglii, Francyi

i Ameryce ze strony bardzo licznych kręgów naszych „pacyfistów" — jest rzeczą nader wątpliwą. Już obecnie kredyty te są bardzo ograniczone. Kurs rubla, po wiadomościach o szerzącej się w Rosyi anarchii, obniżył się nadzwyczajnie. W takich warunkach dalsze nadmierne wypuszczanie na rynek pieniędzy papierowych może doprowadzić do prawdziwej katastrofy finansowej i przypomnieć nam historyę asygnat z czasów Konwentu francuskiego. Jest rzeczą charakterystyczną, że nasza drukarnia państwowa w czasach ostatnich nie jest już w możności drukowania pieniędzy papierowych w rozmiarach od niej żądanych, nowe zaś maszyny mogą być sprowadzone dopiero w jesieni. Ma to, być może, i swoją dobrą stronę, mimowoli bowiem zmusi nas do pewnych ograniczeń wydatków państwowych, nie stojących w żadnym stosunku do otrzymanych dochodów.

Mając na względzie teraźniejszość, nie możemy zapominać i o przyszłości. Zapytujemy, czem Rosya będzie opłacała procenty od swoich pożyczek zagranicznych? Jeśli suma tych pożyczek wyniesie tylko 10 miliardów rubli, to razem z naszymi dawnymi długami będziemy musieli płacić corocznie zagranicy około miliarda rubli. Skądże weźmiemy ów miliard? Przewyżka naszego zagranicznego wywozu nad przywozem nie dosięgnie w latach najpomyślniejszych 500 milionów rubli. Teraz, kiedy nasza wielka i średnia własność ziemska, będąca w swej wytwórczości głównym objektem dla zagranicznego wywozu, znajduje się w stanie likwidacyi, nie może być nawet mowy o takiej przewyżce. Dopókiśmy liczyli, że uda nam się choćby część wydatków wojennych przerzucić na Niemcy, można było żywić nadzieję, że zdołamy uporać się z ciężarami długów zagranicznych. Zrzekając się aneksyi i kontrybucyi wówczas, kiedy nasi sprzymierzeńcy tego się nie wyrzekli, mogliśmy liczyć na uregulowanie przez nich naszych długów wojennych, jak to było zrobione po wojnach Napoleońskich. Teraz, kiedy żądamy od sprzymierzeńców naszych zrzeczenia się aneksyi i kontrybucyi, jasną jest rzeczą, że nasze długi zagraniczne spadną całkowitem brzemieniem na nasze własne barki, a ponieważ płacić nie mamy czem, przeto bankructwo finansowe jest nieuniknione. Jako niewypłacalni, nie możemy liczyć na utrzymanie naszego kredytu w rozmiarach dawniejszych. Odmówią nam realizacyi nowych pożyczek, zaś kapitały zagraniczne przestaną napływać. O wzmocnieniu sił wytwórczych w kraju nie będzie można nawet pomyśleć. Rosya będzie skazana na nędzę. I teraz nie jest ona zasobna w kapitały. O kapitaliźmie rosyjskim śmiesznie nawet wspominać. Rozpoczęta przeciwko kapitalizmowi krucyata odstręczy

jeszcze bardziej od Rosyi przedsiębiorczą działalność kapitalistów. Będziemy tylko pochłonięci przez różne socyalistyczne eksperymenty, nigdzie i nigdy nie wprowadzone do życia praktycznego. Ponieważ potrzebujemy olbrzymiej ilości towarów zagranicznych, z których wiele Rosya nie wytwarza zupełnie i wytworzyć nie może, ponieważ własnych towarów na zamianę z zagranicznymi posiadamy bardzo mało, zaś kredyty za granicą będą dla nas zamknięte, jest przeto rzeczą zrozumiałą, że walûta nasza obniży się znacznie, a drożyzna życia będzie wzrastała nieustannie.

Takie są oto niewesołe perspektywy ekonomiczne naszej najbliższej przyszłości".

„Odbudowa kraju".

Zapowiedziany pierwszy zeszyt „Odbudowy kraju", miesięcznika, poświęconego sprawom gospodarstwa narodowego, organu obywatelskiego Komitetu odbudowy wsi i miast w Krakowie, ukazał się za miesiąc czerwiec, obejmując niespełna 100 stronic druku.

Tem samem stało się zadość oddawna w społeczeństwie naszem odczutej potrzebie i żywionym pragnieniom poważnych kół obywatelskich i naukowych, pragnących powstania pisma bezpartyjnego, poświęconego gospodarczym problemom życia narodowego, ze specyalnem uwzględnieniem zagadnień odbudowy kraju.

Komitet odbudowy kraju powołał na naczelnego redaktora Dra Leona Władysława Biegeleisena, Komitet redakcyjny tworzy komisya redakcyjna Komitetu obywatelskiego, powiększona o zaproszonych profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego, Doktorów Bujaka Franciszka, Krzyżanowskiego Adama i Górskiego Antoniego.

Na treść pierwszego zeszytu składają się następujące prace: Od Redakcyi, Prof. Dr. Alfred Halban: Rozwój gospodarczy a odbudowa, Prof. Dr. Adam Krzyżanowski: Państwowe koszta wojenne, Dr. Stanisław Tomkowicz: Odbudowa, swojskość i kosmopolityzm, Prof. Dr. Antoni Górski: Odbudowa Królestwa Polskiego po wojnach napoleońskich, Dr. Leon Władysław Biegeleisen: Uwagi o odbudowie, Dr. Witold Lewicki: Wieś polska w czasie pokoju i jej gospodarcza odbudowa, Doc. Dr. Bronisław Biegeleisen: Odbudowa kraju, a zaopatrzenie gmin wiejskich w wodę, Doc. Dr. inż. Krause: Przemysł a odbudowa kraju, Antoni Chrząszczewski: Rozwój przemysłu rolnego w Polsce, jako jedno z za-

Nadesłano do Redakcyi następujące książki:

Offmański Dr. Mieczysław: **Dzieje klasztoru O. O. Kapucynów w Nowen Mieście nad Pilicą** 1762—1916. Nakładem autora. Lwów 1917, str. 32.

Zakrzewski Stanisław: **Spis ogrodów i terytoryów z północnej strony Dunaju czyli t. zw. Geograf bawarski.** Lwów 1917, str. 74.

X. Mytkowicz Dr. A.: **Powstanie i rozwój emigracyi sezonowej.** Nakładem N. K. N. Kraków 1917, str. 167.

X. Zegarliński Dr. Stanisław: **Nauka moralna Epikura a chrześcijańskie zapatrywania na Najwyższe Dobro człowieka.** Nakładem autora. Kraków 1917, str. 324.

X. Mańkowski Piotr: **Po naszemu.** Pamiętnik liturgisty. **Nakładem** Autora. Kraków 1917. str. 277.

X. Kosiński Dr. W.: **Jacek Mijakowski kaznodzieja barokowy.** Przyczynek do dziejów kaznodziejstwa polskiego w **XVII** wieku. Radom 1916, str. 172.

X. Teodorowicz, Arcybiskup: **Wobec ideałów Sienkiewicza.** Mowa wypowiedziana na nabożeństwie za duszę ś. p. Sienkiewicza w kościele Maryackim w Krakowie. Kraków **1917,** str. 61.

Werner v. Heidenstam: **Europeja rycerska Carolinerna, przełożył** St, Miłaszewski. Nakładem tłumacza. Warszawa **1917,** str. 327 in 12^0.

Koneczny Dr. Feliks: **Oświęcimskie, niemieckie czy też Cieszyńskie polskie.** Kraków 1917, str. 100.

Sinko Tadeusz: **Mickiewiczowe widzenie księdza Piotra.** Nakładem autora. Kraków 1917, str. 50.

X. Ciemniewski Jan: **Budujmy Polskę wewnątrz.** Nakładem autora. Lwów 1917, str. 86.

Logos, wydawnictwo poświęcone idei mesyanistycznej polskiej. Nr. III **Posłannictwo pokojowe Polski.** Kraków **1917** u Gebethnera, str. 16.

Szamota Alicya: **Czerwony śnieg,** opowieść. Warszawa 1917 u Gebethnera, str. 285.

— **Rozprawy Akademii Umiejętności,** Wydz. filolog. Ser. 3, tom XI, Kraków 1917.

Nakładem Księgarni Gebethnera Kraków—Warszawa 1917.

Romer Eugen. i Weinfeld Ign.: **Rocznik polski,** tablice statystyczne, str. 102.

Żmijewska Eugenia: **Książę Pan,** powieść, str. 302.

Nakładem księgarni św. Wojciecha, Poznań 1916.

Jeske-Choiński: **Psychologia renesansu włoskiego,** str. 106.

X. Wirbelt Dr. Augustyn: **Misya wszechświatowa,** przełożył Pankowski Józef. Str. 53.

Wierzbiński Maciej R.: **Mierosławski Ludwik,** portret, str. 86.

X. Adamski Jan: **Pokora podstawą życia chrześcijańskiego.** Str. 190.

Nakładem księgarni B. Herdera, Fryburg w Bryzgowii 1917.

Meschler Moritz S. J.: **Aszese und Mystik.** Str. 196 in 12°.

„ „ **Apostolat.** Str. 136 in 12°.

Przywara Erich S. J.: **Eucharistie und Arbeit.** Str. 50 in 12°.

Ahbers Bruno Dr.. O. S. B.: **Der Geist des hl. Benedictus.** Str. 112 in 16°.

v. Keppler Dr. Paul, Bischof: **Die Adventsperikopen,** 5-te u. 6-te Auflage. Str. 168 in 12°.

Pesch Christian S. J : **Die heiligen Schutzengel.** Str. 396 in 12°.

Wolff-Habrich: **Der Volksschulunterricht,** I Bd. Str. 656 in 8°.

Weber Simon: **Sancti Irenaei demonstratio Apostolicae praedicationis.** Str. 124 in 8°.

Bartmann Dr. Bernhard: **Lehrbuch der Dogmatik,** I Bd., 3-te Auflage. Str. XII i 452.

dań polskiej polityki agrarnej, Dr. Maryan Stępowski: Odbudowa pracy oświatowej. Przegląd gospodarczy obejmuje: Odbudowa Królestwa Polskiego — Organizacya i program działalności Departamentu społecznego i Komisyi odbudowy kraju Tymczasowej Rady Stanu — Odbudowa Galicyi — Sprawozdanie z działalności Centrali dla gospodarczej odbudowy Galicyi — Z odbudowy Prus Wschodnich i Belgii — Z działalności polskich instytucyi gospodarczych i społecznych. Następuje: Dział gospodarczy i Kronika.

Treść zeszytu jest więc bardzo bogata, uwzględniając z jednej strony najważniejsze dziedziny życia gospodarczego na ziemiach polskich, z drugiej zaś strony zniszczone wojną dzielnice Polski. — Forma zewnętrna przedstawia się bardzo korzystnie, a wobec wielkiego zainteresowania problemami ekonomicznymi jest uzasadniona nadzieja, iż społeczeństwo obdarzy nowo powstałą placówkę poparciem zarówno materyalnem, jak i moralnem.

Redakcya i Administracya mieści się w Instytucie ekonomicznym, Kraków, ul. Krowoderska l. 26, Nr. telefonu 1093. Skład główny w księgarni Krzyżanowskiego. Prenumeratę, wynoszącą rocznie 24 koron, półrocznie 12 koron, przyjmuje bezpośrednio Administracya „Odbudowy kraju".

WYDAWCA I REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: *Ks. J. Pawelski T. J.*

DRUKARNIA EUGENIUSZA I DRA KAZIMIERZA KOZIAŃSKICH.

"Dzień trzeci" Skargi[1].

Wiek Zygmuntowski słusznie nazwaliśmy złotym. Polska w XVI. stuleciu, promieniejąca niezrównanym blaskiem świetności, nie tylko zajmowała jedno z pierwszych miejsc w areopagu mocarstw Europy, lecz i oświatą prześcignęła inne narody tak, iż ojczyznę naszą pod tym względem jedne tylko Włochy przewyższały. Powszechnie mówiono, że Muzy opuściły urocze nieba południowych krajów i przeniósłszy się do mroźnej Sarmacyi, chrobrą Lechię za siedzibę sobie obrały.

Lecz kto opromienił nas tą chwałą? Kto stworzył swym geniuszem tę epokę tak świetną i wywołał tyle twórczych talentów, że wiek ten przewyższył wszystkie usiłowania naszych czasów? Tymi mężami byli niezaprzeczenie Jan Kochanowski i Piotr Skarga. Obydwaj olbrzymie położyli zasługi w naszej literaturze. Podnieśli nasz język, podówczas w pisowni mało używany i tylko potoczną mową wykształcony, do najwyższej potęgi i piękności. Pozostawili takie arcydzieła, że po trzech wiekach z całą naszą uczonością z tym wzorem nikt jeszcze się nie zrównał.

Wieszcz Czarnoleski ukształcił nasz język poetycki. Uczynił go zdolnym do oddania najdelikatniejszych, najtkliwszych odcieni serca, pełnym malowniczych obrazów i wyrażeń niewysłowionego wdzięku. Skarga podniósł nasz styl niewiązanej mowy do wyżyn, jakie tylko język polski w ustach prawdziwego mistrza osiągnąć może. Każde jego słowo, to jakby kryształ nieskazitel-

[1]) Odczyt, wygłoszony w Zakopanem w styczniu 1917 r.

nego blasku, skąpany w przeźroczach najszczytniejszego natchnienia, najgorętszej miłości ojczyzny.

To, co świeżo po zgonie Sienkiewicza powiedział o nim A. Grzymała Siedlecki, w pełni stosuje się do Złotoustego Skargi: „Niedościgniona, dorodna, jak łan złotej pszenicy, jego polszczyzna. Wszystkie wieki naszej kultury przeglądają się w jego niepokalanem słownictwie i w źródlano przejrzystej, łatwej, wdzięcznej jego składni. Z najszczerszego lechickiego tworzywa wyprowadził Skarga wspaniałą, naturalną, zdobną swoim wnętrzem mowę, — mowę, która jest jakby ostatecznem spełnieniem tęsknot Jana z Czarnolesia. Jego styl zachowuje wszystkie warunki prostoty, całą dbałość o zostawienie w zdaniu tego tylko, co jest niezbędne dla ujawnienia myśli, całą powściągliwość wobec zewnętrznej ornamentyki, — co jest fundamentem dobrej prozy. Wyzbyta egzaltacyi, a przecie podniosła, sarmackiej tężyzny pełna, a nawskróś wykwintna; w każdem zdaniu zbudowana, jak słup grecki... Dopóki literatury polskiej, dopóty każdy pisarz polski i każdy miłośnik mowy ojczystej czytać będą Skargę, by się uczyć, jak polską myśl na słowa przekuwać, polskie uczucie w całej pełni prozą odźwierciedlić“. Prof. hr. Tarnowski nazywa Skargę pierwszym mowcą, pierwszym mistrzem języka, pierwszym prozaikiem naszego narodu. — Styl Skargi jest najpiękniejszym stylem polskim“ [1]).

Dziś, kiedy świt zmartwychwstania naszej nad życie umiłowanej ojczyzny błogo nam przyświeca, nie będzie od rzeczy uprzytomnić sobie promienną postać tego opatrznościowego męża, który stał się i m i s t r z e m polskiej naszej mowy i p r o r o k i e m naszego narodu.

Wpatrzmy się w tego niezrównanego patryotę, w patryotę w wielkim stylu, który kraj swój po Bogu nadewszystko ukochał i z miłości tylko ku ojczyźnie nie pozostał w utajeniu cichej, zakonnej celi, — co było dla pokornego męża najszlachetniejszem marzeniem, — lecz wystąpił do narodu jako kapłan natchniony, broniąc prawdy, gromiąc swawolę, najboleśniejszą przepowiadając

[1]) Historya literatury polskiej.

przyszłość, a po pokucie dzień trzeci zmartwychwstania. Słusznie powiedział Szujski:

Pamięcią wielkich w ojczyźnie ludzi
Dźwiga się naród, krzepi się duch,
Orle się skrzydło do lotu budzi,
W orli przeszłości porasta puch.

Wielki mowca i wielki pisarz, mocarz mowy polskiej, wielki obywatel i wielki kapłan, Skarga jest po dziś dzień jednym z wodzów duchowych narodu polskiego, jednym z tych, co łączą i spajają nas wszystkich: od strzechy wieśniaczej, która krzepi się „Żywotami Świętych“, do pracowni myśliciela, co wnika w skarby „Kazań Sejmowych“, — wszyscy karmimy się Skargą, my pogrobowcy, — wszyscy szukamy u niego i porady i otuchy. Z pokolenia w pokolenie rośnie zasługa naszego Złotoustego, a z nią narasta dług naszej dla niego wdzięczności. Skarga swojem natchnionem, mistrzowskiem słowem dał najwyższy wyraz aspiracyom naszym religijnym i narodowym. To też sam dźwięk jego imienia ileż wspomnień w sercu każdego z nas budzi? Jest on w dziejach naszych żywym symbolem i najszlachetniejszym wyrazem nierozerwalnej spójni katolicyzmu i polskości. Gorący miłośnik i sługa Chrystusa na polskiej niwie, przez całe swe znojne i święte życie nad tem i dla tego pracował, aby naród swój ukochany uczynić narodem Bożym, aby go uzdrowić, z ran społecznych wyleczyć od podstaw do szczytów i jako gmach jasny dla wszystkich postawić. Jest on nie tylko idealnym przedstawicielem katolicyzmu społecznego w narodzie, ale także wiecznie żywym wzorem dla potomnych w pracy nad duchowem odrodzeniem.

Znała go Polska i Litwa cała, pełne trudów jego były: Warszawa i Wilno, Lwów i Kraków; błogosławili go najubożsi i najbiedniejsi, chorzy i nędzarze, których był opatrznością. Dla współczesnych był niestrudzonym apostołem słowa Bożego, był prorokiem, który trudem całego żywota przeciwdziałał złym wróżbom własnym i to, co się ku upadkowi chyliło, własnemi podpierał ramionami. Dla nas dziś nie przestał być niezrównanym mistrzem: z przestróg i rad, przed trzystu laty przezeń dawanych, płyną

i dziś jeszcze zdroje ożywcze. Słowa jego nabrały po trzech wiekach jeszcze tylko więcej majestatu: bo wypróbowała je wiekowa niedola, a uświęciły je krwawe łzy tych pokoleń, co opłakać musiały nieubłaganą prawdę Skargowego proroctwa.

Skarga był z rzędu tych ludzi, których czasami daje Opatrzność ludziom, aby strzegli dróg Pańskich, prowadzili do pokuty, ostrzegali przed smutną, a nieodległą przyszłością. Kochał on ojczyznę całym płomieniem swego serca, jak Mickiewicz kochał ją za miliony, bo w ojczyźnie widział obraz tego, czemby mogło być Królestwo Boże na ziemi. Stąd Polskę nazywa „Nową Jerozolimą“ i wierzy, że Bóg zlał na nią wielkie obietnice... jak szczytne dał jej posłannictwo. Bolał nad tem, że stan szlachecki w sobie samym tylko widział ojczyznę; bolał i nad tem, że wskutek różnowierstwa zbyt się rozbujał i zaczął już swawolę rozwijać z wolności... Widział Skarga nieszczęście i zdawało mu się, że przekonaniem i siłą swej wymowy, że malowaniem obrazów przyszłości zmusi senatorów i szlachtę do myślenia o sobie i radzenia nad rozpadającą się ojczyzną. Stanął więc w roli posłańca Boskiego do narodu. Jako niegdyś przed cesarzami zapalone noszono latarnie, tak u nas w Polsce nosił je ks. Skarga przed królem i narodem.

I do rady i senatu... i do rycerstwa, i na sejmach, i na zjazdach poselstwo swe odprawował.

Do rady i do senatu, do posłów — do owych „bogów ziemskich“, — co mają być „jako głowy ludu... jako stróżowie śpiących i wodzowie nieumiejętnych i świece ciemnych“ — mówił ów zakonnik ubogi, jak się przezywał: „proroczyna“; nawoływał głosem wielkim, proroczym, do ratowania państwa, walczył z nieustraszoną odwagą z grzechami całego społeczeństwa i wystawił wspaniały pomnik mądrości, przewidywania, rozumu, arcydzieło budowy spoistej, wyciosanej umiejętną ręką wielkiego artysty, wielkiego obywatela kraju.

Zostawił po sobie arcydzieło wymowy kaznodziejstwa społeczno-politycznego, wspaniałą pieśń miłości i zgody, nigdy przedtem nie wyśpiewaną.

Na dwunastu sejmach prawiąc, uderzał potężnie nie na osoby, lecz na zgubne teorye i namiętności. Mickiewicz, wykła-

dając w kollegium francuskiem literaturę słowiańską, porównywa go z Bossuetem i Massillonem, i wyżej go stawia.

Woronicz, jeden z najznakomitszych kaznodziei swego czasu, tak się o Skardze wyraża: „Chcesz-li być dobrym katolikiem, — czytaj Skargę; filozofem, — czytaj Skargę; dziejopisem, — czytaj Skargę; politykiem, — czytaj Skargę!“ Jest on wszystkiem dla wszystkich. Owiany duchem Bożym, nie krępując się niewolniczo prawidłami krasomówstwa, mimowolnie wznosi, jako niedościgły mistrz, najcudniejszy gmach architektonicznej całości. Porusza — jak chce — namiętnościami; język i styl swój przecudnie dostraja do przedmiotu. Raz słodkiem poi uczuciem, drugi raz natarczywy i wszechwładny, wezbraną razi mocą, a pełen jest słów strzelistych, zwrotów gwałtownych, jakie się nie układają piórem, tylko nagle, jak płomień, rzucają się z serca i w serca słuchaczów godzą. „Bez bojaźni przesady, mówi prof. hr. Tarnowski, powiedzieć można, że był jednym z największych mowców religijnych, wogóle jednym z największych mowców na świecie“. Lecz nie na samym niezrównanym języku, dla którego nazywano go Złotoustym, cudotwórcą i panem przemożnym języka, opiera się potęga ks. Skargi; jest on przedewszystkiem ojczyzny swej p r o r o k i e m.

Z całą ścisłością Skarga przepowiedział nie tylko rozbiory Polski, ale i niedolę porozbiorową każdego zaboru — i to kiedy? „Przypomnijmy sobie, pisze hr. Tarnowski, że Skarga to wszystko mówił przed więcej, jak dwustu laty, kiedy Polska sama jedna na północy była potęgą i kiedy orły jej leciały na Kremlin; kiedy przy mnożącem się potomstwie Zygmunta, naród słusznie do młodego Władysława przywiązywał najpomyślniejsze nadzieje i przypomnijmy sobie, że to mówił wśród powszechnego bezpieczeństwa, po uspokojeniu rokoszu, po oddaleniu przewidywanej wojny tureckiej, a właśnie przy rozgłosie powodzeń oręża — pod sprawą najzawołańszych hetmanów“ [1]).

W okresie największych zwycięstw oręża polskiego, których w tym wieku nie brakło, grzmiącym głosem przepowiada upadek

[1]) Pisarze polityczni XVI. i XVII. wieku, t. II., str. 389.

i nawołuje do poprawy. — Nie było stanu ani powołania, do któregoby z kolei nie przemawiał. Napominał senatorów, by na godność swą i przysięgę pamiętali.Napominał brać młodszą, by słuchała starszych — senatorów. Napominał wszystkich, aby swe serca poprawiali i krew swą dla Rzeczypospolitej oddawali. Ważył każde swe słowo, jak ojciec do synów, mistrz do uczniów. — Co za siła musiała być tej porywającej wymowy, kiedy proroczem grzmiał słowem kaznodzieja. wobec króla i świetnego senatu, który wspaniałością swoją rzymski senat prześcigał.

Czem większy był tryumf Rzeczypospolitej, — tem większa boleść Skargi, bo wieszczy duch jego widział, że trzy wieki nie upłyną, a ta tak świetna i szlachetna ojczyzna stanie się łupem obcych mocarstw. Dość wspomnieć tu jeden przykład: Pewnego razu kazał Skarga w kościele katedralnym w obliczu króla i całego senatu. Wtem przybywa goniec hetmański i zwiastuje świetne zwycięstwo Kircholmskie. Chrobry Chodkiewicz, sławny hetman wielki koronny, z garstką walecznych pokonał liczne zastępy Szwedów, uważanych dotąd za niezwyciężonych. Zginął wódz naczelny, Linderson, generał Brandt wzięty do niewoli, a przywłaszczyciel tronu, Karol, Książę Sudermański, ledwie z życiem umknął. Zwycięstwo to, głośne po całej Europie — zapewniło Polsce posiadanie Inflant. Skarga przerwał kazanie i przy uroczystym głosie dzwonów całej stolicy odśpiewał „T e D e u m l a u d a m u s“, — wstąpił znowu na kazalnicę, kończąc przerwane słowo Boże. I rozdarła się przed nim zasłona przyszłości i kapłan proroczym swym wzrokiem czytał w księdze przeznaczeń narodu polskiego i przeszedł wkońcu na nieszczęsne chwile upadku ojczystej ziemi, krwawemi wypisane głoskami.

Zakrwawiło się serce patryoty i zapragnął zatrzymać ten naród, tak mu drogi, na zatracenie idący i coraz bardziej... bardziej zbliżający się do ciemnej przepaści, więc rozżalonym wołał głosem: „Cóż mam z tobą czynić, nieszczęśliwe królestwo? Kto głowie mojej doda wody i źródła łez oczom moim, abym opłakał pobicie ojczyzny i narodu! Gdybym był Izajaszem, chodziłbym boso i na poły nagi, wołając na was: rozkoszniki i rozkosznice, przestępniki i przestępnice zakonu Bożego: Tak was złupią i tak

łyskać łystami będziecie, gdy nieprzyjaciele na głowy wasze przywiedzie Pan Bóg i w taką was sromotę poda... Ustawicznie się mury Rzeczypospolitej waszej rysują, a wy mówicie: nic, nic, nierządem Polska stoi! Lecz gdy się nie spodziejecie, upadnie i was wszystkich potłucze.

Gdybym był Jeremiaszem, wziąłbym pęta i okowy i łańcuch na szyję i wołałbym na was grzeszne, jako on wołał: Tak spętają pany i pożoną (popędzą) jako owce w cudze strony. I ukazałbym zbutwiałą suknię, którą trząsnąwszy, gdyby się w perzyny rozleciała, mówiłbym do was: Tak się popsuje i w niwecz obróci i w dym, a w perzynę pójdzie chwała wasza i wszystkie dostatki i majętności wasze, i wziąwszy garniec gliniany i zawoławszy was wszystkich, uderzyłbym go mocno o ścianę w oczach waszych, mówiąc: Tak was pogruchocą — mówi Pan Bóg — jako ten garniec, którego skorupki spoić się nie mogą".

Żalem nieutulonym przejęty, wołał do Polski: „O jakoś owdowiało, ludne i pełne królestwo! Płaczęć, bo ty płaczesz i łzy twoje na jagodach twoich. Niemasz, ktoby cię ucieszył z onych miłych przyjaciół twoich; wszyscy tobą pogardzili, stali się nieprzyjaciółmi twymi. Wojewody twoje pędzą w niewolę jako barany słabe, które i paszy nie znajdują. Lud wszystek stęka, chleba szukając. Ołtarzami Swymi pogardził Pan Bóg i kościoły podał w ręce nieprzyjacielskie. Dziedzictwa wasze wpadły w ręce cudzoziemców i domy nasze do obcych. Słudzy nasi panują nad nami i niemasz, ktoby wybawił nas z ręku ich. Stoją nad szyją naszą i spracowanym odpocząć nie dają (w Syberyi)... Ustało wesele serc naszych, obróciło się w płacz i śpiewanie nasze. Spadła korona z głowy naszej, biada nam, żeśmy pogrzeszyli. Przyszedł koniec nasz, spełniły się dni nasze. I rzekł Pan Bóg do proroka swego: Wyrzuć je, patrzeć na nie nie chcę, niech idą. I spytaliśmy: Gdzie pójdziem? Powiedziano: Kto na śmierć, ten na śmierć, kto na miecz, ten na miecz; kto w niewolę, ten w niewolę".....

Skreśliwszy ten obraz słowami, zaczerpniętemi z proroctw, dodaje:

„Gdybym był Ezechiaszem, ogoliłbym głowę i brodę, wło-

sybym na trzy części rozdzielił. I spaliłbym jedną część, a drugąbym posiekał, a trzeciąbym na wiatr puścił i wołałbym do was: „Jedni poginiecie głodem, drudzy mieczem, trzeci się po świecie rozprószycie“.

Innym znowu razem wołał: „Z żałością i z płaczem wielkiego bolu serdecznego opowiadamy wam upadek nasz“.

Skarga żadnej najboleśniejszej nie pomija prawdy.

Przepowiada Polsce okropne nieszczęścia, nawet nie w sposób symboliczny, ale jak najwyraźniej, jak najdobitniej. Nie ziemskiej pragnął chwały, bo jej się nie mógł spodziewać, ganiąc swawolę słuchaczy, — lecz pragnął jedynie pożytku narodu. Sam mówi o sobie, że nie pasł się dymami, że nie szukał czci próżnej i mniemania u ludzi, ale pożytku zbawiennego swych owiec, — „nie chciał, aby go uczeni za uczonego w kazaniu mieli“. A mimo to wszystko raz wielkie wypadki, drugi raz dar proroctwa były powodem, że wysypywał, jak z rogu obfitości, majestat słów i myśli. Nieraz nieprzygotowany, wstępował cudowny kaznodzieja na kazalnicę i improwizował arcydzieła wymowy.

O! był to taran potężny, który gruchotał mury nieprawdy jednem skinieniem czarodziejskiego słowa. Zaiste, nie Skarga przemawiał, ale w Skardze coś Boskiego ustami jego mówiło. Szczytem jego sławy są K a z a n i a s e j m o w e. — Kazań sejmowych wydanych jest ośm.

Właściwy rodzaj tych kazań polityczno-religijnych stworzył genialny Skarga. Kaznodzieje królewscy miewali wprawdzie i przedtem wśród sejmów mowy, — atoli pierwszy Skarga pojął doniosłość swego stanowiska; on pierwszy, wstąpiwszy na kazalnicę sejmową, ogłosił się: „Posłem, ale nie z jednego powiatu“, a pierwszy odezwał się w kościele z mową na wskróś politycznej treści i z tego wzniosłego miejsca ogłosił narodowi w wielkich rysach program odrodzenia Rzeczypospolitej. Odtąd więc kazania sejmowe, rozpowszechnione drukiem, nabrały nowego znaczenia, stały się jedną z tych postaci, jakie przybierała literatura polityczna, aby do umysłu narodu trafić, ażeby do jego przekonania przemówić.

Co więcej, kiedy wszystkie poprzednie polityczne dzieła

i pisma przemawiały do rozumu, do ambicyi i dumy narodu: kazania Skargi odezwały się niemal pierwsze do jego uczuć i poruszeniem tej najtkliwszej struny zdobyły sobie najgłębszy wpływ i rozgłos najsilniejszy.

Kazania sejmowe Skargi są najpiękniejszem zjawiskiem wśród prozy polskiej w szesnastym wieku. Jest w nich polot poetyczny, a przytem wielka prostota. Napięcie uczucia patryotycznego nigdy jeszcze i u nikogo nie było tak silne, jak u Skargi. W kazaniach tych przedziwnie zespoliła się gorąca miłość Boga z miłością ojczyzny. Nigdzie nie spotkaliśmy się z taką znajomością natury polskiej, jak w nich właśnie, i nigdzie z tak śmiałem odsłonięciem wszystkich wad i błędów, wrodzonych nam i nabytych.

Jako polityczne i patryotyczne, kazania sejmowe są może jedyne w całych dziejach wymowy kościelnej, są szczytem wymowy Skargi, a zatem całej wymowy polskiej i najwymowniejszem słowem, jakie wydała u nas miłość ojczyzny“ [1]).

Z jaką wspaniałą np. powagą rozpoczyna Skarga pierwsze kazanie sejmowe: O mądrości, potrzebnej do Rady:

„Zjechaliście się w imię Pańskie na opatrowanie niebezpieczności koronnych, abyście to, co się do upadku nachyliło, podparli; co się skaziło — naprawili; co się zraniło, — zleczyli; co się rozwiązało, — spoili — i jako głowy ludu, braci i członków waszych, jako stróżowie śpiących i wodzowie nieumiejętnych i świece ciemnych i ojcowie dzieci prostych — o ich dobrem i spokojnem obmyślali. — Co iż jest rzecz niełacna i wielkich darów Bożych potrzebująca, uciekacie się do kościoła i ołtarza, do szukania łaski Ducha Św., z którejby wam był dany rozum i mądrość na dobrą i szczęśliwą takich potrzeb odprawę“.

Myśl tę rozwija Skarga szerzej w całem pierwszem kazaniu, wskazując na grożące Polsce niebezpieczeństwa i uzasadnia niemi potrzebę udawania się do Boga; wzywa też posłów do uproszenia sobie u Boga mądrości, potrzebnej do rady, tudzież nadmienia pobieżnie niedostatki Rzeczypospolitej, „owe rany bolejące“,

---

[1]) St. Tarnowska, lit. pol.

które Sejm ma uleczyć. Kończy zaś to pierwsze kazanie, przedstawiając sejm cały, kornie błagający Boga o dar mądrości, rozumu i rady.

Pierwsze to kazanie jest jakoby programem, zapowiedzią tego, co znajdzie się w następnych, a słuchacza czy czytelnika, który myśleć i czuć umie, tak owłada swoją mocą, tak przywiązuje swoją wzniosłością, a przekonywa swoją prawdą, że on już nastrojony i usposobiony, dalszych kazań słuchać będzie pod tem wrażeniem, w skupieniu myśli, sercem skruszonem i upokorzonem.

Tutaj jeszcze nie odsłonił Skarga wszystkich darów olbrzymiego ducha, wstrzymał swój polot myśli i zapału, lecz uderzył i zdumiał namaszczeniem i powagą, skupił uwagę słuchaczów do wielkiego dzieła, które na początku drugiego kazania: O miłości ku Ojczyźnie, takiemi kreśli słowy:

„Nie masz nic pod słońcem trwałego; nie tylo domy i familie, ale i królestwa i monarchie wielkie wstają i upadają i naród się po narodzie na ziemi odmienia. Lecz nic nie jest bez przyczyny — zwłaszcza w ludzkich sprawach, które z rozumu i wolnej woli pochodzą. Co rozumem i pilnością i cnotą stanęło, — to się nierozumem i niedbałością i złością ludzką obala. Jako ciała nasze abo wnętrznemi chorobami, abo powierzchownymi przypadkami umierają, — tak i królestwa mają swoje domowe choroby, od których upadać muszą. Mają i nieprzyjacioły postronne, którzy je wojnami i rozbojem gubią. Obojej niebezpieczności zabiegać mądrzy z pomocą Bożą umieją i lud swój dobrzy sprawce wybawiają. Na choroby domowe mają lekarstwa, a na wojny i miecz mają rozmaite obrony.

Żaden z Was, przezacni panowie! nie jest tak prosty, aby nie baczył ciężkiej i wielkiej niemocy tego naszego królestwa i wnętrznego a domowego jego zachwiania; abo żeby nie czuł mocnego nieprzyjaciela, który na głowy nasze następuje i rozbojem straszliwym nam grozi. Byście domowe niemoce tego królestwa zleczyli, łacniejszaby na przechodnia obrona należć się mogła. A jako się chory bronić ma, który sam na nogach swoich nie stoi? Leczcież pierwej tę chorą swoją matkę, tę miłą ojczyznę i Rzeczpospolitę swoję.

A jeśliście ostrożni i mądrzy lekarze, najdziecie kilaś szkodliwych chorób jej, które jej bliską śmierć — (broń Boże!) ukazują, a jako złe pulsy, źle jej tuszą. Pierwsza jest nieżyczliwość ludzka ku Rzeczypospolitej i chciwość domowego łakomstwa. Druga, niezgody i rozterki sąsiedzkie. Trzecia, naruszenie religii katolickiej i przysada heretyckiej zarazy. Czwarta dostojności królewskiej i władzy osłabienie. Piąta, prawa niesprawiedliwe. Szósta, grzechy i złości jawne, które się przeciw Panu Bogu podniosły i pomsty od Niego wołają“.

Przytoczone te wszystkie przyczyny upadku Polski i w tem i w następnych kazaniach przecudnie rozwija, a zarazem zapowiada upadek ojczyzny, jeśli ci, którzy trzymają ster nawy państwa, nie zechcą temu zapobiedz. Głęboka znajomość serc ludzkich wskazywała mu, że daleko pewniejszy osiągnie skutek, jeśli zamiast wykazania w całej ohydzie okropności występku, przedstawi w całym blasku najszczytniejszą przeciwną cnotę.

Tak powstało porywające kazanie: O miłości ku Ojczyźnie. Nie łatwem było zadaniem społeczeństwu, w którem pożytek jednostki górował nad dobrem publicznem, wyświetlić pojęcie miłości ojczyzny: „Jako najmilszej matki swej miłować i onej czcić nie macie, która was urodziła, wychowała, nadała i wyniósła?“

Od tego zapytania rozpoczyna Skarga, a rozwiązując je, kreśli wszystkie dobrodziejstwa tej matki - ojczyzny i przedstawia wspaniały i wymowny obraz świetnej wielkości Polski, która — mówi — „skupiła wam do jednego ciała Rzeczypospolitej tak szerokie i zacne narody! rozszerzyła państwo swe od morza do morza i sąsiadom was straszliwe poczyniła, iż oburzyć się na was nie śmieją!... Samiście tylo sobie tyranami, gdy praw nie wykonywacie, a do sprawiedliwości fałszywą wolnością, abo raczej swawolnością przeszkody sami sobie czynicie... Ze strony matki nie masz nic, w czembyście się żałować na nią mieli, chyba sami na się!“...

Następnie barwnie, w wielkich rysach opisuje dobrobyt Polski, a dalej tak mówi:

„O najmilsza matko, już zbytkują dzieci twoje! Źle dostatków używają: na grzechy, na utraty, na próżności. A ja co winna?

— mówi — mają rozum, mogą tych darów Bożych używać na kościoły i chwałę Bożą, na obrony i zamki i inne na zły czas gotowości i do zbawienia przysługi; ja niewinna, iżem w dawaniu matka; oni winni, bo mię nie słuchają, a dobroci mojej i Boskich darów źle używają".

Przytoczywszy inne dobra, jakie matce - ojczyźnie zawdzięczają, jak pokój, sławę wojenną narodową, tak dalej woła:

„Cóż wam więcej uczynić mogła? Czemuż ją serdecznie miłować i onę w całości zatrzymować i dla zdrowia jej wszystkiego tracić, gdy tego jest potrzeba, nie macie? — Onę miłując, sami siebie miłujecie, a nie utracicie; onej nie życząc i wiary nie dotrzymując, sami siebie zdradzacie".

Kazanie to wybitne, przedziwnym czarem słowa, zajmuje zupełnie odrębne między innemi stanowisko. Mając przedstawić w całej szkaradzie obraz wewnętrznego upadku Polski, chciał natchnąć słuchaczy duchem miłości ojczyzny, przejąć uczuciem, którem sam płonął.

„Jest to, pisze prof. Tarnowski, na całym świecie może najwspanialszy, najwznioślejszy wykład obowiązku miłości ojczyzny. Nie wiem, gdzie lepiej, gdzie silniej ona była ukazana chrześcijańskiemu sumieniu, jako obowiązek względem Boga, jako Jego rozkaz. Powody naturalne, ziemskie, świeckie, miłości ojczyzny, to znowu najrzewniejszy hymn na cześć wielkiej ojczyzny, a ojczyzny polskiej w szczególności. Część druga: O n i e ż y c z l i w o ś c i k u O j c z y ź n i e, ma taką głęboką, taką straszną znajomość natury polskiej i grzechów przeciw ojczyźnie, do których nas ona prowadzi, że wszystkie nasze błędy i wszystkie nieszczęścia od wieku XVI. do początku XX. dadzą się odnieść do tych naszych usposobień i przywar, które Skarga tu wskazuje, jak do swoich ostatecznych przyczyn".

Prawdziwym mistrzem ukazuje się tu Skarga, że umie korzystać z wrażenia, jakie wywołał, nie czekając z przepowiednią upadku, którą dopiero po wyliczeniu wszystkich chorób Rzeczypospolitej podnieść był powinien, uderza, jak grom, z największą siłą i potęgą słowa, zaraz w następującem kazaniu: „O n i e z g o d z i e d o m o w e j". Za nic sobie ważąc przykazania Chrystusowe, za-

pominając o tem, że jeden pan i król, jedne prawa i wolności, jedne trybunały i sądy, — jedna wspólna matka ojczyzna miła, że wszystko to do zgody wiązać i zniewalać powinno, wystawiają się Polacy na straszne następstwa swej niezgody. W miarę, jak tę myśl rozwija, rośnie potęga jego słowa, wznosi się polot jego ducha i przechodzi nareszcie w pełną zgrozy przepowiednię upadku:

„Nastąpi postronny nieprzyjaciel, jąwszy się za waszą niezgodę i mówić będzie: „R o z d z i e l i ł o s i ę s e r c e i c h, t e r a z p o g i n ą“ i czasu tak dobrego dla waszego złego, a na swoje tyrańskie pogodnego nie omieszka. Czeka na to ten, co wam źle życzy i będzie mówił: E u g e! E u g e! teraz je pożerajmy, teraz się poślizgnęła noga ich, odjąć się nam nie mogą! I ta niezgoda przywiedzie na was niewolę, w której wolności wasze utoną i w śmiech się obrócą“.

Poruszywszy w ten sposób całą skalę uczuć, przeprowadziwszy je mistrzowskiem stopniowaniem do najwyższego szczytu, zmienia Skarga kierunek swych słów, uderza do rozwagi narodu. Kaznodzieja, który dotychczas polotem swego zapału unosił, — kruszy potęgą rozumowania.

Wywody, wzięte z historyi i spostrzeżeń, z całego piśmiennictwa, wychodzą z ust Skargi z dojrzałością wewnętrzną i z ogromnem ciepłem i życiem.

Wyliczywszy już w kazaniu trzeciem „O niezgodzie domowej“, jako przyczynę upadku lekceważenie władzy królewskiej i rozterki religijne, poświęca dwa następne kazania trzeciej chorobie, trapiącej społeczeństwo polskie, — herezyi. — Przykładami, wziętymi z historyi, wykazuje, że nawet u pogan religia jest podwaliną władzy świeckiej, że „co jedno było królestw chrześcijańskich, wszystkie się na religii pobudowały i fundowały... Ruszcie jeno, — woła — tych fundamentów religii starej i kapłaństwa, ujrzycie wielkie zarysowanie murów królestwa i ojczyzny waszej; a zatem upadek, broń Boże, nastąpi“.

Przekonanie to, na historyi oparte, uzasadnia w kazaniu piątem i przeprowadza to porównanie: „Jaką moc w sobie ma katolicka wiara do zachowania i do rozmnożenia świeckich kró-

lestw, — a jaki jad w sobie mają heretyctwa do zguby i wywrócenia ich!“

Jest to dopiero połowa programu, jaki sobie Skarga w kazaniach sejmowych zakreślił. — Drugą czytamy w kazaniu szóstem: „O monarchiej i królestwie“. Jest to kazanie ze wszystkich najściślej polityczne. Mówi w niem Skarga, że monarchia jest nie tylko najlepszą, ale konieczną, bo przyrodzoną formą rządu w społeczeństwie ludzkiem; rząd popularitatis zaś, czyli jak on nazywa dymokracya musi zawsze mieć „swoje króliki“, oszukujące bezmyślnych pozorami i hasłami równości czy wolności, a w tej pozornej równości panujące nad drugimi, dla siebie. Ale nie despotycznej władzy ani monarchii absolutnej on chce, ale takiej, która „prawy sprawiedliwemi i radą mądrą podparta jest, a moc swoją ustawami pobożnemi umiarkowaną ma“. Po naszemu nazwałoby się to monarchią ograniczoną, konstytucyjną. I znowu nigdy może nie była lepiej określona i silniej zgromiona wolność zła, „bez prawa, bez urzędu żyć, na zwierzchność nie dbać, mędrszemu i starszemu nie ustąpić, wolność mieć do grzechu, do zabijania i wydzierania“.

Skarga uzasadnia najpierw potrzebę wzmocnienia królewskiego jednowładztwa. Widzimy ją w ciele ludzkiem, gdzię jedna tylko jest głowa, w rodzinie jeden mąż, w Kościele katolickim jeden Papież, a w całym świecie jeden tylko Bóg. — Dalej dowodzi, że monarchia polska już siedmset lat zawsze stoi przy jednym królu, a pod dwunastu wojewodami doznawszy złego rządu, wróciła do dawniejszej królewskiej władzy. Spostrzeżenie to historyczne rozwija Skarga w dalszym ciągu mowy; kreśli w jaskrawych barwach obraz sejmowego zamętu i szlacheckiej swawoli i wznosi się na stanowisko, którego słuszność, niestety, dopiero doświadczenie tylu wieków mu przyznało. Dalszy ciąg tego smutnego obrazu znajdujemy w kazaniu siódmem: „O prawach nieusprawiedliwionych“. Roztoczył w nich tyle wiedzy, że podziwiać musimy ks. Skargę, że umiał skreślić pojęcia prawa niezrównanie lepiej, jaśniej i dokładniej, niż wszyscy ówcześni prawnicy; podniósł zasadę, o której u nas najczęściej zapominano, mówiąc:

„A tak nie lada - jako do stawienia praw przystępujcie, nie lada komu pisać je zlecajcie. Nie pospólstwu, nie oraczom, nie prostym nieuczonym, nie złym i podejrzanym w cnocie, — nie oziębłym w nabożeństwie ku Bogu; ale tym, którzyby wszystkie potrzeby umiejętności praw mając i pobożność miłując, godnymi byli przybytkami Ducha Świętego!“

Najwięcej zaś utyskuje cnotliwy kapłan nad niewolą ludu. Krzywda ta, wołając o pomstę, zbudziła w Skardze szlachetne uczucie oburzenia, które go nad wszystkich współczesnych mężów stanu wysoko postawiło.

„Nie cieśnijcie, ani kurczcie miłości w swoich domach i pojedynkowych sprawach!“ — W słowach tych zwięźlej, niż może we wszystkich innych, oddał wielki umysł i wielkie serce Skargi zasadę, której poświęcił swój geniusz, swoje życie, swój trud i ofiarę. Formował uczucie państwowe, kształtował zmysł zbiorowości, tępił indywidualizm i prywatę, przywilejowi przeciwstawiał ofiarność, gwałtowi prawo. I w tem tkwi narodowa wielkość Skargi, tem wyrósł nad wiek swój, przez to żyje do dnia dzisiejszego. Matką była mu ojczyzna, a miłość ku niej uczuciem tak koniecznem i silnem, jak syna do tej, która mu życie dała. Kształtował, budził uczucia i zmysł państwowości, jako sprężyny samozachowania, odsłaniał potworność egoistycznego rachunku, „złodziejskiem“ nazwał „serce“, które ze szkodą drugich chce być bogate.

„Do chwały i służby Twojej, Panie Jezu Chryste, Boże nasz, królestwo to polskie z przyległemi państwy i z ludem Tobie pobożnym zachowaj, a fundament jego, świętą wiarę katolicką, umacniaj“. To drugi rys, charakteryzujący istotę wielkości Skargi. Fundamentem jego idealizmu jest katolicyzm. Z niego płynie uznanie zbiorowości, jako podstawy, uznanie konieczności ustępstw na rzecz całości, uznanie prawa, jako warunku bytu i trwania. — „Boże, spraw, aby wszyscy byli jako mąż jeden, jednej myśli i rady na dobro Kościoła i ludu Twego. Spuść nam ducha zgody i miłości, aby jeden drugiemu ustępował“...

O ósmem kazaniu, o N i e k a r n o ś c i g r z e c h ó w j a w n y c h, hr. Tarnowski te słuszne robi uwagi: „Kto raz w życiu

czytał: „Cóż mam z tobą uczynić, nieszczęśliwe królestwo“, — ten wie, że równego niema w polskim języku nic, że nigdy polskie serce nie przemawiało silniej do polskiego sumienia. Niema nic we wszystkiem, co było kiedykolwiek po polsku powiedziane lub napisane, nic, coby takie robiło wrażenie, jak to zakończenie Kazań sejmowych, ten wyraz najwyższy, najpotężniejszy, przeczuć, jakie przez wiek cały miała o ojczyźnie bolejąca i strwożona jej miłość. Nasi wielcy poeci mają tę miłość ojczyzny mocną, jak śmierć, mają słowa natchnione na wszystkie jej boleści i nędze, mają wreszcie wzniosłe, podnoszące przeczucia odmiany: ale o tych nie wie się, czy są prawdziwe, a jeżeli nie, to jakże one bolesne, jakie w nich krwawe szyderstwo, jak się z nich śmiać będą tryumfatorowie przyszłości! Może to nie przeczucia, może tylko marzenia?... Myśli się, że nie, wierzy się, że nie, ale wiedzieć nie można. A tu, tu co innego, tu się wie, że wszystko, co Skarga mówił, było prawdą, że każde jego słowo stało się faktem; rodzimy się, żyjemy, umieramy, wśród rzeczywistości jego groźnych proroctw, jesteśmy sami tymi włosami, na trzy części podzielonymi, wygubieni od miecza, od ognia, inni rozprószeni po świecie. Dziś, kiedy cała nasza historya do dnia dzisiejszego jest usprawiedliwieniem i komentarzem tych słów proroczych, przed trzema wiekami powiedzianych, dziś robi to na nas wrażenie większe, jak cokolwiek innego: zapóźno, jak zwykle na świecie. A oby dziś przynajmniej robiło wrażenie zupełne, wielkie! Jeszcze zawsze przydaćby się mogło“.

Skarga przez te dwa źródła, swoich dzieł i swego żywota, stał się symbolem narodowym, stał się częścią składową tego zapasu ideałów, które stanowią naród. Wyobraźnia i natchnienie nadają mu wielkość proroka.

Niema wyższej czci, większego hołdu nad to wywyższenie. Z imieniem skargi związane są wszystkie nasze żale, że jego słowa nie stały się czynem, nasza tęsknota i nasze nadzieje szczęśliwszego jutra. Idee bowiem Skargi są dzisiaj tak samo ważne i programowe, jak wówczas. Fundamenty widzimy i uznajemy w katolicyzmie i w solidarności narodowej, w nich widząc warunki egzystencyi i dźwignię rozwoju.

Przytoczone tu uwagi dostatecznie ujawniają, jak olbrzymie zasługi położył Skarga i wobec literatury i wobec narodu. Gdyby praojcowie nasi poszli za jego zbawienną radą, nie byłaby jęczała ukochana ojczyzna nasza przez półtora stulecia pod jarzmem niewoli, — lecz spełniając i nadal swe szczytne posłannictwo przedmurza chrześcijaństwa, pozostałaby promienną, sławną i dostojną, jak pod świetnem Zygmuntów berłem. To też w tem ostatniem swojem kazaniu sejmowem: „O niekarności grzechów jawnych“, kreśląc raz jeszcze wielki obraz upadku Rzeczypospolitej, opatrznościowy nasz Jeremiasz pokutującej ojczyźnie zwiastuje przebaczenie i zbawienie: „A ja wam, najmilszym bratom moim i ludowi memu i ojczyźnie miłej mojej życzę, aby wam Pan Bóg tak groził, jakoby wam dał pomoc do powstania i pokuty na odmianę dekretów i pogróżek swoich, abyście nie ginęli, ale się przestraszywszy, do ubłagania gniewu Pańskiego wszystko serce i myśli obrócili. Umie Pan Bóg odmienić wyroki swoje, jeżeli my odmienim złe życie nasze. Pokutujmyż, a wracajmy się do Boga, Pana naszego, a On Sam uleczy jako począł, zrani serce nasze prawą za grzechy nasze skruchą i Samże one rany zleczy. On ożywi nas i po dwu dniach trzeciego dnia wzbudzi nas.

* * *

Otóż ten dzień trzeci wzbudzenia nas, do którego tęskniły cztery pokolenia, dla którego strugi krwi przelewały, obecnie nam błogo świtać zaczyna.

Wprawdzie jest to dopiero brzask we mgłach, ale mimo wszystko brzask, jutrzenka wybawienia. Polska stoi dziś, jak pokutnica ofiarna, niedolą wojenną zgnębiona, zapatrzona w swoją świtającą zorzę, ufna, że nadeszła dla niej chwila wyzwolenia. Dusza polska, spowita dotąd w migotliwą przędzę marzeń o wolności, budzi się z letargu i rozradowana patrzy w rzeczywistość, widzi, jak jej ideały ciało czynu przyoblekać zaczynają.

Ufając Boskiej sprawiedliwości, wierzyliśmy, że ten świt przyjdzie, a wzmocniona dzisiaj nasza nadzieja daje nam pewność, że po tem świtaniu nastąpi dzień z pełnem wolności słońcem. Otóż

dzień ten trzeci, najpożądańszy, dzień z proroctwa Skargi, jak złoty promień z mgieł się przedziera.

Od wiekopomnego dnia piątego listopada idziemy już z przedświtu w dzień, od zapowiedzi państwowości polskiej w budowanie państwa polskiego.

Twardy był ten drugi dzień Skargowski — dzień bolesnej pokuty. Twardą była szkoła, którą nam Opatrzność przejść kazała, lecz była dla nas zbawienną i jako ekspiacya i jako mistrzyni: wynieśliśmy z niej niejedną życiową prawdę i nauczyliśmy się lepiej miłować tę z matek najukochańszą, Ojczyznę, miłować ją mniej samolubną miłością, miłością czynniejszą, powszechniejszą, ofiarniejszą...

Bóg, który raz w dziejach pokazał przez przepowiednię Skargi, że upadek Polski był opatrznem Jego zrządzeniem, ma chyba prawo wymagać od narodu, by wierzył i ufał, że dzień trzeci pełnego zmartwychwstania naszego będzie dniem Pańskim, dniem przez Opatrzność Bożą naznaczonym.

Najpożądańszy ten dzień wypraszać należy i wspólnie a zgodnie snuć plany życia Bogu Chrystusowi miłego i mieć silną wolę z pieśnią czynu iść w zawiłe przyszłości szlaki...

Naciągnął Bóg nasz naród na krzyż, jak strunę na lutnię. On Boski lutnista, i stroił go do swej harmonii, — ale ta struna — naród musi też własną pracą dostrajać się do myśli Chrystusowej, do Bożych nad sobą zamysłów.

Na narodzie więc naszym ciąży odpowiedzialność, by znowu nawiedzenia Pańskiego nie zmarnował przez lekkomyślne obliczania; żeby miłościwego dzieła Bożego nie zwichnął; żebyśmy go sami nieopatrznymi czynami nie zepsuli przez brak w rachunku narodowym tych pozycyi, których wzgląd na Boga się domaga, — i tych także pozycyi, które w ścisły związek wprowadzają chwile nawiedzenia Pańskiego z odrodzeniem.

Polska przeto, z grobu powstająca, wielkie na nas nakłada obowiązki, które podjąć musimy absolutnie, jeśli chcemy, aby ona serdeczna, nad życie ukochana nasza matka — spętana dotąd i poniewierana, żałośna i bolejąca — ostała się na przyszłość taką, jaką ją chciał widzieć Skarga, — jaka nam dziś staje w wyobra-

źni, w naszych pragnieniach: radosna, szczęśliwa, wierna Bogu Chrystusowi i swemu posłannictwu, w królewskim majestacie, w purpurowym płaszczu, z berłem w ręku i białym orłem w tarczy, z koroną Piastów na skroni, — dostojna, wielka, potężna i daj Boże, coraz potężniejsza, nieśmiertelna, na Bogu Chrystusie i Jego niepożytym Kościele oparta.

Ks. J. St. Adamski.

O nowe drogi dla naszej powieści.

Przez

A. Mazanowskiego i N. Cieszyńskiego.

W scenie Fausta dusze niewiniątek dziwią się, co mędrcy znajdują w świecie i pragną choć raz spojrzeć na świat mędrców spojrzeniem. Świat oczywiście jest kopalnią widoków dla chętnego obserwatora. To samo cząstka świata, jaką jest na odrobinie ziemskiej skorupy osiadły naród. Roztaczają się dwie potężne dziedziny: przyrody i życia narodowego.

Przyroda, nawet ograniczona wąskim wycinkiem, na którym naród się gnieździ, przerasta miarę największego artysty. Ona tworzy miliardy kształtów, barw i woni. Rozmaitość jej dzieł nie da się objąć ludzką pamięcią. Zbliż się do niej, zechciej myślą, wyobraźnią i uczuciem przeniknąć jej tajnie, dostępne dla najprostszej myśli, dla najlepszej wyobraźni i najpłytszego uczucia, a każda trawka, każdy kwiatek, każde drzewo, każdy kamień, każda kropla, płynąca we fali, odkryje ci swe głębie i odsłoni cudowność szczegółów, bo każda jest światem w sobie. Jeśli artysta zamyka się w murach wielko- czy małomiejskich, jeśli nie zna przyrody i obojętny dla niej, to pozbawia się samochcąc najbogatszego źródła natchnień. Artysta, którego oko nie nauczyło się dostrzegać barw, którego ucho zapomniało wsłuchiwać się w szepty, którego powonienie stępiało na zapachy, którego wyobraźnia zobojętniała na dziwy przyrody, którego myśl i uczucie niezdolne uwielbiać cudów przyrody, — dobrowolnie zacieśnił dziedzinę twórczych

pomysłów, stał się kaleką i podnóżkiem z mozołem snutych majaków schorzałego życia ludzkiego. Przyroda, wiecznie świeża i wciąż odradzająca się w swej krasie, odmładza duszę artysty, bogaci ją i czyni wrażliwą, darząc tchnieniem własnej mocy. Artysto, jeżeli nie chcesz stać się strupieszałym przeżytkiem w swoich twórczych koncepcyach, otocz się ciszą ustroni wiejskiej, odgrodź się od dzienników i listów, próbuj żyć z ludem, z ptakami, drzewami i roślinami, z rzeką i niebem, z szumem strumieni i szelestem liści, płynącym poprzez wyniosłe korony boru. Zapewne — nie dowiesz się o rozlewie krwi w Europie, o zaciętych sporach kongresu pokojowego, o losach państwa, króla czy księcia. Ale prędko zmiarkujesz, że są miliony istot ludzkich, dla których ważniejszy kierunek jutrzejszego wiatru lub pojawienie się gąsienicy na liściach kapusty, od całego bałkańskiego wulkanu, od Homera, Szekspira czy Słowackiego. Może nie słyszeli o tem wszystkiem, a jednak wybornie znają literaturę, — tę własną literaturę. Książkę i dziennik zastąpiły u nich myśli i wrażenia, z ust do ust przekazywane. Nauczysz się poznawać charakter, wolę, namiętności nie z ksiąg, lecz z bezpośredniego poglądu i przeżycia. Przekonasz się, że wśród tych milionów są talenty wynalazcze, samorodni twórcy, których pomysłowość może zdumieć wyrafinowanego sceptyka cywilizacyi.

Nieszczęśliwi przez kulturę, marzymy o szczęściu, jak o niebieskim ptaku, wyobrażamy sobie, że i ci prości wieśniacy, od wielkomiejskiego wiru oddaleni, są także nieszczęśliwi. Co za złudzenie! Przyroda dostarcza ich duszy pełną i obfitą miarę wzruszeń coraz nowych, daleko żywszych, tęższych i zdrowszych, niż nasze. Ona zmusza ich do energii, do terminowego czynu, uzbraja w cierpliwość i darzy zarazem rozkoszą nasycania się owocami działań. Nie znają sztuczności naszych podniet wewnętrznych, nie tworzą urojonych dramatów: są krzepcy duszą i ciałem.

Z niewielu chlubnymi wyjątkami powieściowymi ostatniej doby, w naszych obrazach wsi górują: ciemnota, nędza, dzikie obyczaje, złość — i inne szakale ludzkiej doli. Kobiety wietrzne, leniwe, do swaru skłonne. Tymczasem wieś zna inną kobietę. Gdy mąż za domem, na zarobku, we wojsku, ona rządzi skromnem go-

spodarstwem nieraz ze skrzętnością mrówki i sprytem finansisty; ona wychowuje pokolenie, oczyszcza obyczaje i nadaje wsi postać cichej ustroni. Ona bywa inicyatorką piękna i prawodawczynią rodzinnej miłości. Takiej wieśniaczki nie zna nasza powieść, jak nie zna idealnego męża. Wieś tai serce swe przed wzrokiem przygodnych znawców. Ale czy tylko wieś?

Gdybyśmy na jedną szalę wagi położyli treść życia społecznego bieżącej chwili, a na drugą skąpą garstkę powieściowych pomysłów, druga, jak lekkie pióro, wzniosłaby się ku górze.

Treść zbiorowego życia dwudziestomilionowego narodu, o starej kulturze, musi obfitować w materyalnej i duchowej dziedzinie w niezliczoną mnogość zjawisk mniejszej i większej doniosłości. Przelotny rzut oka da miarę tej mnogości. Na przykład kraj nasz — to milion złych gospodarstw drobnych i sto tysięcy folwarków, łaknących ulepszenia. Nieodzowna jest zbiorowa melioracya wytwórczych stron naszego rolnictwa. Obszerne pojęcie melioracyi mieści w sobie uprawę roli, zorganizowanie zbytu, udoskonalenie środków technicznych gospodarstwa, sprawy nasion i kredytów rolnych, chów inwentarza, zagadnienia hydrotechniki. t. j. osuszenia błot, wyzyskania torfowisk, nawodnienia i wzmocnienia piachów i jarów, budowę szlaków i mostów; uszlachetnienie owoców i jarzyn, hygienę wsi i jej estetykę.

Albo inny przykład.

Mniej więcej przed dwoma laty prasa polska rozpisywała szeroko o tem, że szkoła średnia pełna synów kmiecych. Jedni uważali to za objaw dodatni, inni za ujemny. To zresztą rzecz obojętna. Fakt mówi za siebie. Oto chłop masowo opuszcza wieś, kształci się i zabiera głos w rządzie społecznym. Wyłania się czynnik nowy, świeży, w górnej warstwie społecznej, czynnik o wartości nieznanej. Czy to będzie spadkobierca Pana Tadeusza, hr. Henryka czy Pankracego? Czy to będzie Proszowski, Połaniecki, Podfilipski czy Judym? Cham stał się już inteligentnym. Jak się zechce rządzić, jak ułoży stosunek swój do innych sfer, do narodowej tradycyi? W jaki sposób wyrazi się u niego miłość i nienawiść?

Albo jeszcze przykład.

Niedawno publicysta, p. Antoni Chołoniewski, w artykułach p. t. Nieobecni, poruszył ogół szeregiem zarzutów pod adresem polskiej arystokracyi, oskarżając ją o zbiegostwo od pracy narodowej. Sprawa zgoła nie nowa. W połowie XIX. wieku żalił się na to Kraszewski w powieściach: Dwa światy, Komedyanci, Morituri, narzekał na to Korzeniowski w Żydach i Wędrówkach oryginała; po styczniowem powstaniu ostro i bezwzględnie występowali przeciwko temu pozytywiści w artykule: Absenteizm.

Pomimo tego doskonale ujęta i argumentowana kwestya dziś okazała się ponownie tak żywotną, że rozległa się echem w szeregu artykułów za i przeciw. Zabierał głos nawet znakomity uczony i historyk, Stanisław Smolka. Powieść spółczesna atoli nie uznała za właściwe nią się zająć, jakkolwiek powieść polska z tradycyi swej uczynićby to powinna.

Wymieniłem z długiego rzędu zagadnień życia parę. Cóż znaczy pogrążać się w duchowe przeżycia jednostki, grzebać się w zwyrodnieniach i chorobach duszy, przed oczy czytającej publiczności wciąż wysuwać poronione talenty lub żądzą dyszące kokoty, a równocześnie nie widzieć lub niedowidzieć warem kipiącego potoku zbiorowości?

Życie drobnoustrojów może zapewne bardzo szkodliwie oddziaływać na świat ludzki; nie idzie atoli za tem, iżby analiza ich miała stać się wyłączną dziedziną powieściowej twórczości. Daleko wznioślejszem zagadnieniem byłby człowiek duchowo i fizycznie zdrowy.

* * *

Dopełniając swych uwag o spółczesnej powieści polskiej, wolno mi zakończyć szeregiem życzeń, przyczem kieruję się nie tylko pragnieniem jak najświetniejszego rozwoju literatury, lecz i dobra moralnego społeczeństwa, do którego należę.

Życzę tedy, aby powieść polska, zwłaszcza niewieścia, przestała zaczadzać trującym dymem romansowym umysły i serca czytelników;

aby przestała czerpać surowy materyał z niezdrowych kul-

tur obcych, pod złudnym pozorem, jakoby odrodzenie naszego narodu zależało wyłącznie od nowej sztuki i nowej literatury;

aby przestała włóczyć czytelnika po wielkich środowiskach europejskiego zepsucia, a zwłaszcza nie czyniła tak częstych wycieczek do Paryża;

aby zerwała ze zgubną metodą wymyślania psychologicznych łamigłówek, łudzących pozorami duchowej głębi, w istocie zaś zwalniających tylko autorów od pilnej obserwacyi człowieka;

aby zaniechała propagandy t. z. nowej moralności w życiu indywidualnem, rodzinnem i społecznem;

aby nie powiększała niedoli obrazami nędzy moralnej, zgnilizny duchowej, rozpasania wszelkich praw, obowiązków i narodowego obyczaju.

Natomiast:

aby przeniknęła się duchem kultury rodzimej;

aby surowy materyał brała z naszych stosunków, z naszej przeszłości, z naszej kultury;

aby zajęła się wszelkimi stanami naszego obecnego ustroju, zapoznawała z tysiącem zjawisk naszego życia: wsi, ludu, szlachty, przyrody, kupiectwa, robotników, żydów, księży, szkół, fabryk, gospodarstw i t. d.;

aby nie czuła wstrętu do geografii, historyi, etnografii, fauny i flory polskiej;

aby wróciła do formy narracyjnej i posiłkowała się spostrzegawczością, nie lekceważąc tego środka naturalizmu;

aby usiłowała tworzyć zdrowych ludzi i zdrowe stosunki, nawet idealne, w tem przeświadczeniu, że ideał wart uwielbienia i godzien naśladowania;

aby uczyła się tworzenia akcyi, komponowała całość w liniach harmonijnych, dbała o zajmujące a prawdopodobne zawikłanie;

aby styl swój zdobiła bogatem rodzimem słownictwem, wydobytem ze skarbów staropolskiej mowy i ludowego narzecza;

aby przez to wszystko siała w serca ziarno, mogące na naszej glebie wydać plon rodzajny: — a wówczas stanie się powieść

spółczynnikiem w usilnem dążeniu do narodowego odrodzenia, bo, jak powiedziała Konopnicka:

Polska wstanie na tych duchach,
Co odnowią krew jej żył.

Żadna zaś inna gałąź sztuki i literatury nie może się w tak szerokiej mierze przyczynić do zatrucia lub odnowienia krwi w żyłach narodu, jak powieść, dzięki swej popularności i czytelnictwu.

A. Mazanowski.

* * *

Jak Anteusz starożytny w walce z mocarnym Heraklesem, opierając się o matkę ziemicę, nowej nabierał sprawności i sprężystości, podobnie i powieść nowoczesna przez ścisłe stykanie się z życiem, przez wnikanie w jego tajniki i odtwarzanie ich w walce z materyą, zyskuje właściwą sobie siłę i żywotność.

Pospolitemu zawierz doświadczeniu,
Ono jest źródłem dla dzieł waszej sztuki
(Dante, C. II.).

Słowami temi określa genialny poeta zdrój twórczej potęgi. I rozwój swój świetny pod względem psychologicznym zawdzięcza powieść właśnie temu „doświadczeniu": obserwacyi życia, analizie wydarzeń w życiu przyrody i przejawów w życiu człowieka, głębokiej psychologii, czerpiącej materyał swój z drobnych na pozór i nieznacznych często szczegółów życiowych. Wielkim powieściopisarzem jest wielki psycholog, o duszy czułej jak mimoza, wrażliwej na dobro, piękno, a szczególnie prawdę, to wielki artysta, umiejący zarazem przeczucia, odczucia i wrażenia swoje w pięknej zawrzeć formie, odzwierciedlającej subtelnie, nastrojowo, nawet rzeczywistość do tego stopnia, że

„Żyw zdał się żywym, a martwi martwymi".
(Dante, B. XII.).

Realizm jest stosem paciérzowym dla dzieła sztuki wogóle, a w szczególności dla powieści.

Realizm jednakże nie jest równoznacznym z pesymizmem, panoszącym się w wielu powieściach naszych. Artysta, widzący zło w świecie i w życiu, współczujący z nędznym i nieszczęśliwym, otoczony nieraz podłością, nie powinien rąk załamywać i w ponurych, rozpaczliwie szarych barwach życie malować; wszędzie jeszcze i wśród najczarniejszych mroków błysnąć może złoty słońca promień i w najbrzydszem sercu zadrgać podnioślejsza struna i w najgorszym zespole znaleźć się może szlachetna jednostka. My, synowie katolickiego narodu, na chrześcijańskiej oparci kulturze, nie chcemy i nie myślimy się przejmować Schopenhauerami, Hartmannami, Nietscheami, bo my znamy źródło zła i celowość nędzy życiowej. Pocóż więc powieściopisarze, uległszy ich wpływom, przedstawiają nam ich idee, uosobione w swoich bohaterach?

Rzeczywiście goryczą przelewa się serce na widok tego pesymizmu, znieprawiającego sztukę, której cel przecież tak święty, tak wielki. Ongiś Norwid wołał w swoim Promelheidionie:

„O sztuko, człowiek do ciebie powraca,
Jak do cierpliwej matki dziecię smutne,
Jak marnotrawny syn“,

„powraca“, żeby smutek rozprószyć, żeby życie uszlachetnić. A dziś tymczasem tyle dzieł sztuki właśnie smutkiem, wstrętną goryczą duszę zaprawia, wolę rzuca na łoże bezwładu, a myślom bezładnym nakreśla pełzanie przyziemne.

Pesymizm, łączący się z naturalizmem, depce ideały młodzieńcze, opluwa życie i ludzi, stroi się w szyderstwa i chodzi na koturnach odętej pogardy. A człowiek, kochający życie, wznoszący oczy jasne ku wielkim ideałom i prężący ramiona ku przyszłości czynom, odwraca się z niechęcią od dzieł sztuki pesymistycznej i naturalistycznej, bo nie znajduje w nich ukojenia i zwraca się ku życiu i rzeczywistości. Widzi bowiem, że artysta przez czarne szkła patrzał na życie, że w powieści przedstawił nie rzeczywistość, lecz jej karykaturę, że od powieści i jej bohaterów piękniejsze życie, lepsze ludzkości dzieci.

W szalonym rozpędzie naturalistycznym powieściopisarze różni, nie zwyczajnie zdolni, tworzą często nie galeryę ludzi, lecz zespół jakichś osobników zwierzęcych. Nie wiadomo, czy uznają w człowieku duszę nieśmiertelną, dość, że w ludziach przez nich przedstawionych instynkty zwierzęce zupełnie na plan pierwszy się wybijają. Nie przeczymy, że są ludzie, haniebni niewolnicy instynktów zwierzęcych, lecz czy u nich nie znajdzie się nic już ciepła człowieczego? Czyż u wszystkich prawie instynkta zwierzęce tak panują? Powieściopisarzy, poniżających ludzi do rzędu zwierząt, nazwałbym darwinistycznymi artystami. W jednej z nowszych powieści bardzo znacznej, autor jakoby się silił na to, by ludzi przyrównywać do zwierząt i opisuje ich z taką pogardą, graniczącą nieraz z okrucieństwem, że rzeczywiście czytelnikowi mimowoli niechęć i pogarda do ludzi się udziela.

Wreszcie realizm nie jest to samo, co erotyzm, a mianowicie chorobliwy erotyzm. Przerzucając powieści, człowiek pyta zdumiony, czy poza miłością niema już innych, również ważnych albo ważniejszych zagadnień życiowych? A dalej, czy trzeba tę miłość w taki sposób przedstawiać? Istotnie nie przynosi to artyście zaszczytu, jeżeli tak tanim sposobem zyskuje sobie poklask czytelników, a raczej czytelniczek, bo mężczyźni, widząc dziwne, z życiem niezgodne maniactwo tematów erotycznych, a wyczekując przeważnie napróżno innych, dla siebie ważniejszych tematów powieściowych, nie garną się w wielkiej części do powieści. A co smutniejsze, to gorszący sposób przedstawiania. Powieść dawniej była szkołą dla pokoleń, dziś zaś staje się nieraz wstrętnym lupanarem zgorszenia. Powieściopisarz dawniej był społecznym dobroczyńcą; dziś zaś staje się nieraz społecznym szkodnikiem. O jednym z takich szkodników-artystów pisał Chmielowski: „Przybyszewski jest umysłem rozległym, niepospolitym, włada niekiedy stylem potężnie, jak mocarz słowa, lecz daje karm niezdrową, podbudzającą raczej popędy zwierzęce, aniżeli dążącą do ich uszlachetnienia. Widać, że dla niego na seryo największym psychologiem jest ten, kto w człowieku widzi tylko zwierzę, wspaniałą w swej lubieżności istotę“. („Najnowsze prądy w poezyi naszej“).

Dzisiaj, niestety, więcej już takich powieściopisarzy, do których powiedziećby można słowami Norwida:

„Czemuż ich pieśni już tak mało pewna
Treść — i skażonej całości?
Lutnie ich czemu... z łomliwego drewna,
A nie z słoniowej kości?“

(Za kulisami, Tyrtej.).

Koniecznie potrzeba nowych, ożywczych prądów dla naszej powieści, szerszego koniecznie potrzeba widnokręgu, nowych dróg i nowych tematów.

„O wyobraźni, w inne nas wichury
Zdolna porywać, że rogów tysiące
Nie zbudzą duszy, rwanej temi pióry“.

(Dante, B. XVII.).

Huragan wojenny, wstrząsający gmachem społeczeństwa naszego aż do podstaw jego i podwalin, spodziewać się można, będzie zarazem burzą dobroczynną, przeczyszczającą zgniłą naszą atmosferę literacką. Kiedy ojczyzna - matka w krwi broczy, kiedy dzieci jej głodne wołają chleba dla ciała i duszy, nie będą chyba starsi bracia młodszym miasto chleba zdrowego podawać zakalec, miasto strawy, truciznę. Ku przyszłości nowej i promiennej radosne wyciągamy ramiona, w odrodzonem społeczeństwie odrodzoną ufamy ujrzeć sztukę i literaturę, albowiem pokrzepieniem na przyszłość i zachętą niech nam będą słowa naszego wielkopolskiego filozofa i estety, Libelta: „Sztuka nie jest jeszcze dojrzałą, jeżeli nie jest wyrazem potężnych wpływów świata, jeżeli nie jest praktyczną i moralną i jeżeli nie stoi w związku z sumieniem“.

N. Cieszyński.

Leonardo da Vinci.

Jego artyzm, wynalazki i przepowiednie wojny światowej[1]).

I.

Około roku 1482 przybył z Florencyi na dwór medyolański Leonardo da Vinci.

Książe Gian Galeazzo Sforza, ojciec królowej polskiej Bony, miał zaledwie lat 13, — rządy sprawował w jego zastępstwie stryj Lodovico il Moro, który chytrością, obłudą, macchiawelizmem oraz bogactwem zdawał się przewyższać wszystkich innych ówczesnych książąt włoskich.

Nadęty pychą, chełpił się uzurpator medyolański, że „papież Aleksander VI. jest jego kapelanem, cesarz Maksymilian kondotierem, zaś kuryerem swoim przezwał króla francuskiego. Na marmurowym pomniku, dłuta ucznia Vinciego, Krzysztofa Solari il Gobbo w Certosie di Pavia, pozostał nam plastyczny portret księcia Sforzy i jego żony, Beatrycy d'Este z r. 1497. Leżą wspaniali na miękkiej pościeli, już spokojni i śmiercią ukojeni.

Piękny Moro był typem skończenie wyrafinowanego księcia włoskiego owych czasów. Wykształcenie posiadał wysokie, pogląd na świat miał szeroki, był względny, bez srogości, unikał krwawych wyroków; wolał truciznę, niż sztylet, a potem kochał

[1]) Odczyt publiczny w Warszawie.

się w okazałości, sztuce, nauce i w cudnych kobietach. Administratorem był dobrym. Pragnął ze swego kraju stworzyć raj na ziemi. — Takim był książę. — Stolicą jego państwa był Medyolan. Miała stolica swoją tradycyę i kulturę duchową. Przecież tu żył Petrarka, a po nim szereg humanistów i poetów nadwornych, grupy uczonych i historyków. Tutaj żył genialny i bezwstydny Filelfo, którego pochwał wszyscy łaknęli, którego obleśnego szyderstwa bali się tak samo papież, jak i sułtan. Filelfo chełpił się bezczelnie, że na końcu jego pióra zwiesza się nieśmiertelność wielkich czynów!...

Prawda, obok tych uczonych snują się jakieś ciemne, wątpliwe egzystencye, oczajdusze, wywłoki, wydrwigrosze, alchemiści, astrologowie, których w owe czasy nigdzie nie brakuje, gdzie złoto szeroką strugą płynie.

A niedaleko, w pobliskiej Pavii, uniwersytet zgromadził wybitnych przedstawicieli nauki, z Wawrzyńcem Vala, najszczerszym z krytycznych twórczych duchów ówczesnego Odrodzenia. Zaroiło się w on czas w Pavii i Medyolanie od ludzi nauki. Świetny latinista, Bartolomeo Calco, objął sekretaryat państwowy, znawcy starożytności: Giorgio Merula, Demetrios Chalkondylas miewali rozgłośne wykłady. Pojawiła się niezliczona liczba historyografów poetów. Każdy poetyzował, komponował, śpiewał lub grał na lutni. Poezya i muzyka stała się niezbędną ozdobą codziennego życia. Najsławniejsi wirtuozowie spieszyli do Medyolanu. Najświetniejszy ówczesny skrzypek, Jacopo di Sansecondo, przedni komponista Testagrossa, kompozytor i kapelmistrz Franchino Gaffurio i inni zaciągnęli się w służbę Mora.

Co się tyczy sztuk plastycznych, to kultura ich nie stała na wysokości innych nauk wyzwolonych. Już od epoki pierwszych Viscontich ogarnęły dwa olbrzymie przedsiębiorstwa artystyczne całą siłę pulsującą tutejszej sztuki; były to: klasztor Kartuzów Certosa di Pavia i budowa olbrzymiego tumu gotyckiego w Medyolanie. Wszystkie talenty skupiły się i podporządkowały, celem wykonania monumentalnych planów tych niezrównanych budowli. Obydwa kolosy przygniotły i stłumiły indywidualność współpracujących artystów. Całe familie artystyczne idą wówczas w służbę wiekowej pracy nad wzniesieniem tych

wspaniałych pomników sztuki. Tysiące, — las cały skulptur pokrył je i związał harmonijnie w jedną całość.

Polityka Lorenza de Medici zalecała zbliżyć się do onych przemożnych Sforzów. Potęga i znaczenie ich rosły bowiem niepomiernie. Wysłał książe tedy z Florencyi Leonarda da Vinci, w charakterze lutnisty, w towarzystwie muzyka Atalantego Miglioretti, słynnego grą na lutni, z listem oraz srebrną lirą, wynalazku samego Leonarda, w podarunku.

Leonardo, jak pisze Vasari, miał sławę znakomitego lutnisty, wyjechał na dwór Sforzów, by wziąć udział w wielkiem współzawodnictwie muzyków, którzy wówczas mieli się tam zebrać. Medyolańska orkiestra książęca była obok papieskiej kapeli najświetniejszą we Włoszech, a co za tem idzie, w Europie. Przedstawienie się Leonarda na dworze medyolańskim w charakterze muzyka, było tylko dogodną dla niego sposobnością poznania dworu, który był we Włoszech jednym z najbogatszych i nawiązania nowych stosunków, oraz chęć uzyskania szerokiego pola działania.

W skarbcu Galeazzo Maryi, brata Ludwika il Moro, zanim zginął tragiczną śmiercią pod sztyletami spiskowców, leżało nieruszanych 2 miliony dukatów. Sam Medyolan płacił do kasy książęcej rocznie pół miliona dukatów. Lodovico umiał śrubę podatkową tak przykręcić, że podniósł dochody roczne do 650.000 dukatów, niesłychanej na owe czasy sumy! Po Wenecyi było to najbogatsze miasto włoskie, bogatsze, niż całe Niemcy, niż Francya, niż Anglia nawet, jeno Hiszpania je przewyższała. Takimi środkami można było wiele zdziałać, a Lodovico był potemu odpowiednim księciem.

Leonardo liczył wówczas lat 30, postać jego kształtna i wyniosła, zadziwiała szlachetnością rysów. Kręte i bujne blond włosy opadały na czoło i barki. Nosił brodę. Małe ręce miały wygląd pięknej, pieszczonej ręki kobiecej, — a łamały przytem podkowy! Dumny, uczuciowy, wrażliwy, lubił przepych. Nosił się, jak królewicz z bajki i otaczał bogato przybraną służbą. Bystrością umysłu, dowcipem, talentami, olśniewał. Niezrównany wdzięk i wytworność zachowania jednały mu ludzi i protektorów. Odtąd wodził rej na słynnych festynach książęcych, — układał ich programy...

Nie posiadamy portretu Leonarda z owego okresu. Istnieje w Ufficyach flor. obraz Verrocchia: „Chrzest w Jordanie", do którego przywiązana jest legenda, iż Leonardo w postaci anioła, trzymającego suknię Chrystusa, sam siebie sportretował. Autoportret Leonarda, rysowany sangwiną, ale już z lat jego starości (przechowuje królewska biblioteka w Turynie), może z czasów, kiedy już schorzały, częściowo sparaliżowany, przyjmował w swym zameczku w Clouix, koło Amboise, we Francyi, odwiedziny króla, książąt, kardynałów, a w pracy nie ustawał, rysując z niezwykłą biegłością mańkutem.

„To głowa, — jak mówi pisarz francuski, — starego orła, przywykłego do wysokich wzlotów, znużonego, bo zbyt często spoglądał słońcu w oblicze!"

Twarz, okolona długą brodą, przyciąga uduchowionym wyrazem, jaśnieje dobrotliwością... Z głęboko osadzonych oczu strzela myśl, a z wysokiego i pracą ducha zoranego czoła mądrość bije, ale równocześnie, co dostrzegł Napoleon Wielki i trafnie zauważył, że widnieje w tych oczach wyraz wielkiego smutku. Leonardo powiada: „g d z i e n a j w i ę k s z e u c z u c i e, t a m n a j w i ę k s z a m ę k a", i to może objaśni nam źródło tego wielkiego smutku.

Drugi rysunek głowy Leonarda, znajdujący się w Ambrozyanie medyolańskiej, przechował nam jego klasyczny profil, — jego autentyczność jednak bywa kwestyonowaną, lubo zdaje się być dziełem współczesnem któregoś z uczniów mistrza.

Leonardo przekonał się osobiście, że wieść o hojności Lodovica il Moro miała realne podstawy. Na posłuchaniu ofiarował mu więc swoje usługi. Książe przyjął go w poczet dworzan i wyznaczył pensyę.

W kodeksie t. zw. atlantyckim, zawierającym manuskrypty Leonarda, który przechowuje Biblioteka Ambrozyańska w Medyolanie, dochowała się treść pisma, które Leonardo wręczył Ludwikowi Moro. Treść podania rzuca pewne światło na wszechstronność mistrza, a zarazem wieje z niej poczucie własnej wartości.

Pisze w niem Leonardo:

„Najdostojniejszy Książe! Poznawszy dokładnie dzieła róż-

nych mistrzów i wynalazców narzędzi wojennych, oglądałem je i próbowałem, ale, — widzę, że działalność tych wynalezionych przyrządów nie odpowiada celowi. Nie ujmując ich zacności, pragnę wżdy zwrócić Waszej Miłości baczenie na moje sekretne wynalazki, które w razie potrzeby pozostawię do Waszej Miłości rozkazania, spodziewając się dobrego skutku wszystkich owych tajemnic, które Waszej Miłości obecnie wyłożyć sobie pozwalam:

1. Posiadam sposoby budowania bardzo lekkich i bardzo łatwo przenośnych mostów, z których pomocą można snadnie na nieprzyjaciela nastawać, albo według okoliczności ratować się przed nim ucieczką. Znam znów inne mosty, zabezpieczone przeciw pożarowi, których to mostów bitwa nie uszkodzi, a lekko i wygodnie dadzą się rozebrać i znowu ustawić. Niemniej posiadam potemu środki, by nieprzyjacielskie mosty popalić i zniweczyć ogniem.
2. W chwili oblężenia jakiejś miejscowości umiem odciąć dopływ wody w rowach i krom tego moc nieprzebraną rzucić pomostów ze schodami, tudzież inne przyrządy, do tego sposobne, wykonać.
3. Zarówno, jeżeli wskutek wysokości wału, lub ze względu na umocnienie miejsca i jego położenie, — nie mogą być użyte do oblężenia bombardy — to i w takowym razie posiadam środki, każdą wieżę lub inną fortalicyę zburzyć, nawet chociażby na opoce ufundowane być miały.
4. Nadto znam rodzaj bombardów, bardzo sposobnie i łacno przenosić się dających, z których da się wyrzucać grady pocisków. Z nich wynijdzie taka moc dymu, iże nieprzyjaciół napełni wielką trwogą, a to na ichże niepomierną szkodę i zamięszanie.
5. A także umiem podziemne zakładać jaskinie i kręte, wąskie prowadzić chodniki, i to będą mogły być zrobione bez hałasu, a niemi będzie można dojść do celu, nawet, gdyby wypadło podejść popod fosy lub rzeki.
6. Również sporządzam pewne, kryte i zabezpieczone wozy z działami. Nawet największe masy wojsk im nie zdzierżą i tył podadzą, kiedy w nie wpadną, — a poza niemi może

lud pieszy całkiem bezpiecznie i bez jakiejkolwiek przeszkody następować.

7. Następnie, jeżeli zajdzie potrzeba, zrobię bombardy, moździerze, czy też lekkie, polowe hakownice, wielce nadobnie i foremnie a celowo urobione, jakich nigdzie niema w użyciu.
8. Gdzie zaś nie łacno użyć bombardów, zrobię machiny do rzucania brył kamiennych, tudzież proce, tarany (ballisty), oraz inne instrumenta o cudnej skuteczności, jakoże dziwnej postaci, słowem wedle odmienności przypadków zdziałam różnego rodzaju armaty, sposobne do natarcia.
9. A gdybyć się zdarzyło, na ten przykład, spotkanie na morzu, znam wiele broni, które bardzo są sposobne przy potykaniu się zaczepnem, albo zdatne wielce do obrony. Okręty, co każdej mocy, nawet największych kolubryn, oprzeć się zdzierżą, jakoże kurz i dym zdolne są wytworzyć.
10. Czasu pokoju mniemam, że sprostam zupełnie dobrze każdemu innemu w sztuce budowniczej, tak we wznoszeniu budowli publicznych, jak i osobliwych, a niemniej w prowadzeniu wody z jednego miejsca na drugie.

Podobnie umiem pracować w marmurze, bronzie, oraz plastyce z gliny, jako i w malarstwie wszystko zdziałać potrafię, jednem słowem pójdę w zawody z każdym, ktokolwiekby on był. Nadto podejmę się zrobienia bronzowego rumaka, któryby był nieśmiertelną sławą i wiecznym czci pomnikiem ku błogosławionej pamięci tak Waszej Miłości ojca, jako i rozgłośnego domu Sforzów.

Żali komuś zdałyby się wyliczone rzeczy niemożliwe lub jako wykonać się nie dające, wżdy pozwólcie Wasza Miłość, bym z największą chutliwością zrobił z tego próbę w Waszym ogrodzieńcu, lubo na innem jakowemś miejscu, które Wasza Miłość wskazać raczysz".

Na pierwszy rzut oka, rozważając podanie Leonarda do Mora, — mógłby ktoś posądzić go o chełpliwość, o przesadę lub zbytnie rozumienie o sobie. Tymczasem, wgłębiając się w jego pracę twórczą, przekonujemy się nie tylko o tem, że przedstawia się szczerze i prawdziwie, lecz nadto spostrzegamy, iż to zaledwie

jest cząstka tego, co zna, co umie, co zbadał i co wynalazł i co był wart jako człowiek i nieskazitelny charakter. Wówczas rośnie w nas z każdą chwilą szacunek, podziw i uwielbienie dla niego.

Los zrządził, że olbrzymia spuścizna Leonarda została na długi czas tajemnicą! Wieki przeszły nad zamkniętym skarbcem dorobku wielkiego mistrza, pleśń osiadła na nim, zaginęły dzieła, jakby fatum jakieś zawisło nad niemi, aż dopiero n a s z w i e k rozerwał pieczęcie jego testamentu i posypały się z niego skrzące brylanty jego wiedzy. Świat teraz na nowo zadziwił, polotem ducha olbrzymów i odniósł tryumf zmartwychwstania! Pism, pozostałych po nim, jest 15 tomów, o 5.000 stronnic. Pisząc o malarstwie, nietylko podał środki techniki malarskiej, ale zarazem pierwszy jasno pouczał, czem sztuka być powinna, do jakich dążyć celów. Oprócz malarstwa uprawiał rzeźbę.

Jako anatom, wyprzedził nietylko słynnego Vesaliusa, lecz nawet anatomów wieku XIX. Z genialną intuicyą splata on anatomię z fizyologią. Był pierwszym biologiem w wielkim stylu. Leonardo jest botanikiem, — pierwszym geologiem, — wyprzedził bowiem Cuviera i Lamarcka, był najwszechstronniejszym, samodzielnym, twórczym badaczem przyrody. Jest znakomitym matematykiem, interesuje się astronomią, ruchem ciał niebieskich i geografią, wykonuje dla Cesara Borgii szczegółowe mapy krain włoskich. Jako architekt i inżynier projektuje nowy system centralny budowy miast, z całkiem nowożytnemi urządzeniami, buduje zamki, kopułę tumu medyolańskiego, buduje domy, kanały, osusza bagna, gdzie zachodzi potrzeba nawodnia okolice, planuje przełożenie koryta rzeki Arna i t. p.

Zajmuje się i robi odkrycia w dziedzinie fizyki, akustyki, optyki, hydrauliki. — Gardzi alchemią, wyśmiewa marzycieli-mechaników, projektujących perpetuum mobile. A jak wielkim był mechanikiem, pouczy nas w przyszłym odczycie wiadomość o jego wynalazkach i działalności jako inżyniera wojskowego.

Leonarda wszechstronność objawia się również w jego pracach literackich. W rękopisach zachował się zbiór bajek Leonarda, do których temat bierze z przyrody. Pisze „Zwierzyniec“ czyli „Bestyaryusz“, w którym nauka symbolistyki średniowiecznej

mięsza się z legendami o zwierzętach, żyjących na południu i dalekiej północy, z trafnemi niekiedy spostrzeżeniami z życia zwierząt. Leonardo, rozporządzając tak olbrzymim zasobem wiedzy, jak nikt inny ze współczesnych, musiał z natury rzeczy, wiele przemyśleć nad zagadką bytu ludzkości. Był filozofem. Wyznaje i żali się, że prawdy wypowiedzieć mu nie wolno. To też wiele u niego filozoficznych, niedopowiedzianych myśli, aforyzmów, które jednak wskazują na głębię jego umysłu i na długie godziny życia, poświęcone kontemplacyi. Busolą jego wywodów jest doświadczenie, lekceważy i wyśmiewa metafizykę. Metodą też eksperymentalną w dziedzinie filozofii wyprzedził Bacona i Kartezyusza.

Leonardo, mimo przesunięcia na szary koniec znajomości sztuki malarskiej w podaniu do Lodovica Moro, był przedewszystkiem i nadewszystko artystą malarzem. Jakkolwiek w założeniu odczytu dzisiejszego nie istnieje zamiar roztrząsania szczegółowo treści i znaczenia dla kultury świata dzieł plastycznych Leonarda, przecież godzi się, bodaj pobieżnie, choćby tylko dla illustracyi jego malarskiej działalności, wspomnieć o kilku jego obrazach i stwierdzić, jaki wynik dały prace jego w dziedzinie sztuki.

Największem dziełem Leonarda, które w stanie zupełnej ruiny dotrwało do naszych czasów, jest obraz ścienny „Wieczerzy Pańskiej", w refektarzu klasztoru medyolańskiego, u Dominikanów, przy kościele Santa Maria delle Grazie.

Leonardo poświęcił temu freskowi 16 lat pracy myśli. W roku 1498 był ukończony. Legendę, że obraz malował Leonardo olejno, obalił dyrektor pinakoteki watykańskiej, Luigi Cavenaghi r. 1908. Mianowicie przy sposobności utrwalenia sypiącej się zaprawy ściennej obrazu zrobił on odkrycie, że fresk nie jest malowany farbą olejną, ale techniką, zwaną: tempera forte. Przyczyną właściwą szybkiego zniszczenia fresku było zawilgocenie muru, nie zaś lekkomyślność artysty przez rzekome użycie farb olejnych...

Od czasów Giotta, wyrażenie psychicznych poruszeń, przedstawionych postaci w plastyce, stało się zadaniem sztuki Odrodzenia. Nastąpił wtedy przełomowy zwrot, nowy prąd, który niby

wielki strumień z odtajałych lodów mroźnego bizantynizmu spłynął na padoł ludzkości. Malarz mógł odtąd myśleć, mógł tworzyć odbicie dramatu własnej duszy. Ożywiły się tedy postacie w przedstawieniach Wieczerzy Pańskich. Apostołowie, jeszcze w obrazie Spinello Aretino majestatycznie smutni i apatyczni — zbudzili się już u Castagno w Santa Apollonia (Florencya) lub u Ghirlandaja w Ognissanti (1480) z tysiącletniego snu. Najprzód pojawiła się na obrazach mistrzów włoskich pokora dla Pana świata, — przyszło potem poddanie się przeznaczeniu, ruch pełen powagi i kornego pokłonu wobec Zbawiciela, który w pełnym blasku Boskości zjawił się wśród ich grona i ustanowił Najświętszy Sakrament: „To czyńcie na moją pamiątkę". Niezadługo też Chrystus (u Fra Angelica, S. Marco, Florencya) niesie im pokarm Zbawienia, obdziela Hostyą św. Wreszcie zjawia się w obrazach Wieczerzy realizm: Apostołowie ucztują. Jedzą i pragnienie gaszą, zapominają w tej chwili swego Apostolstwa, fizyologia bytu zyskuje przewagę. Tak maluje się w Niemczech i u nas od średnich wieków po czasy baroka. Przychodzi na sam koniec XV. w. Leonardo i tworzy wielki dramat, tragedyę najwyższej miłości i największego poświęcenia dla zbawienia ludzkości.

Leonardo da Vinci ujął najdramatyczniejszy moment Wieczerzy: Kiedy stuk i brzęk naczynia stołowego i rozgwar biesiadników przerwał głos Chrystusa, nastała cisza i Jezus rzekł: „Zaprawdę, — p o w i a d a m w a m, i ż j e d e n z w a s m n i e w y d a".

Błyskawica wrażenia przeleciała przez mózgi Apostołów, straszne objawienie o spodleniu się ludzkiem i to wśród tego grona wybrańców Bożych, wśród wieńca najwierniejszych uczniów!... Zawładnęła tedy nimi burza uczucia: grozy, wstydu, oburzenia. Z miejsc się zerwali. Wzruszeni, namiętni, giestykulują, niedowierzają jeden drugiemu, zaklinają się. Św. Jan ugiął się, oszołomiony pod uderzeniem piorunowej wieści, niemal omdlał, Piotr zaś nóż w rękę chwycił i mściwie zacisnął, — a inni pytają: „Azaż jam jest Panie?" N i e u g i ę t y, s p o k o j n y, s m u t n y p o z o s t a ł B ó g - C z ł o w i e k.

Dzieło Leonarda przewyższyło pod względem siły wyrazu i skupienia akcyi, tak niesłychanie trudnej do ujęcia, — wszystko,

co sztuka po chwilę jego tworzenia potrafiła zdziałać. Lata trwały kontemplacye Vinciego, czas przemijał na ciągłych studyach, z których bardzo wiele dotrwało do naszych czasów. Lata szukał za typami, bliskimi swej koncepcyi, wśród otoczenia. Dominikanie, lekceważąc jego pracę, wnosili przez usta przeora skargi do księcia. Nie mogli jednego powiedzieć, aby Leonardo próżnował! Książe fundator się niecierpliwił, ale usprawiedliwienia Leonarda rozumiał. Od natarczywości zaś przeora uwolnił się Leonardo raz na zawsze obietnicą sportretowania go w demonicznej postaci... zdrajcy: Judasza! Odtąd miał spokój. Przeor krył się przed wielkim artystą. Po latach porania się z trudnościami, niezwykłego pomysłu stworzył arcydzieło!...

Niemieccy badacze zaprzeczają istnieniu Akademii medyolańskiej imienia Leonarda da Vinci, być może, natomiast cała treść wykładu w Trattato della Pittura, jako też inne ustępy z jego literackiej spuścizny przemawiają za tem. Noszą bowiem na sobie charakter wyjątków z wypowiedzianych prelekcyi. Wiemy z relacyi współczesnych, że utwory swoje, chociaż jeszcze nie wykończone, pozwala Leonardo kopiować młodym artystom. Gdy później we Florencyi narysował wspaniały karton do obrazu św. Anny Samotrzeciej, między licznymi kopistami znalazł się również Raffael, tłumy spieszyły oglądać nowy pomysł mistrza. Tak musiało dziać się i działo się istotnie w refektarzu Santa Maria delle Grazie, i tu musiały odbywać się w gronie uczniów i dostojnych gości, książąt, biskupów i uczonych Akademie Leonardowskie. Tu narodziła się szkoła lombardzka, która wydała tylu świetnych mistrzów renesansu.

Poza głową Chrystusa w Wieczerzy rozściela się piękny włoski krajobraz. Leonardo był przyrodnikiem i istotnie mistrzem pejzażu. Jak głęboko wniknął w jego tajemnice i zjawy przyrody, pouczają nas o tem także jego literackie dzieła: Traktat o malarstwie, Notaty pamiętnika, Zwierzyniec, i t. p. W swoich studyach w szkicowniku rysuje już czasu młodości pejzaże z natury.

Wpływ szkoły niederlandzkiej był w połowie XV. wieku we Włoszech przemożny, on dał malarstwu włoskiemu pejzaż i technikę olejną. Za najznakomitszego malarza uchodzi Roger van der

Weyden. Przybywa jeszcze roku 1449 do Rzymu i poucza o sposobie nowej techniki olejnej. Domenico Veneziano, zmarły około połowy XV. wieku, miał być pierwszym we Włoszech, który wprowadził ją do malarstwa włoskiego Odrodzenia, a uczeń jego, Baldovinetti, przeobraziwszy bogaciej krajobraz włoski, rozpowszechnił we Florencyi. Nauczyciele Vinciego, Verrocchio i Pollaiuollo, przyswoili sobie technikę olejną. Leonardo wyuczył się jej, udoskonalił, zbliżył się z jej pomocą do prawdy, do natury i dodał swym dziełom niebywałego dotąd blasku i świeżości.

Powiadają współcześni, że Leonardo, pragnąc ożywić rysy, wywołać uśmiech i wyraz szczęścia na twarzy pięknej kobiety w chwili pozowania do portretu, zabawiał model wesołą opowieścią, żartował, a na przemiany biegli muzycy zaproszeni współdziałali w tym sympozyonie Vinciego. Stąd miała się zrodzić pogoda i uśmiech szczęścia na twarzach Leonardowskich niewiast.

Istotnie, aż po czasy naszego mistrza snują się na płytach portretów renesansu postacie senne, częstokroć sztywne i tak poważne, jakoby ich ród sięgał bizantyńskich pierwowzorów. Leonardo uduchowił ziemską powłokę, był pierwszym, któremu powiodło się ożywić rysy grą uczuć, odnaleźć najcenniejszy urok niewieści, rozjaśnić twarz miłością macierzyńską lub obietnicą zmysłowego szczęścia. Leonardo wymalował szereg wspaniałych portretów. Najprzedniejszy z nich Mony Lizy Gherardini, żony Franciszka del Giocondo, nazwany słusznie „pieśnią kobiecości" — Cenił go sam artysta najwyżej i starał się po śmierci Mony Lizy o jego posiadanie, odkupiwszy go za olbrzymią sumę, bo 4.000 flor. Zatrzymał go do końca życia. Portret jest jednym z najpiękniejszych klejnotów sztuki europejskiej, a słupem granicznym w rozwoju malarstwa portretowego. W nim mistrz doprowadził podobiznę ludzką do zupełnego wyzwolenia materyi i uduchowienia. Widać w nim, że artyście, który cztery lata pracy poświęcił portretowi, nie chodzi już o powtórzenie li tylko zewnętrznej powłoki ciała, ale że tak powiem, o istotne powiązanie ścięgien i muszkułów, formy i linii z duszą ludzką. I co nadmienić muszę, rysuje tak przecudownie rękę kobiecą, jak nikt przed nim, ni po nim tego nie zrobił.

W portretach też kobiecych umiał wywołać na usta niebiański uśmiech, fascynujący, zwodniczy. Ten sam uśmiech wywołuje na twarzach śś. niewiast, w obrazie św. Anny Samotrzeciej. Naprzemian znów poważny wdzięk widzimy w portrecie Lukrecyi Crivelli, zwanym la belle Ferroniére, lub w siostrzanym portrecie Cecylii Galerani z Muzeum ks. Czartoryskich. O obydwóch autentyczność wiodą spór uczeni — a przecież zawsze, — mimo wątpliwości, wracają do twierdzenia: — jednak to nikt inny, tylko Leonardo! Wyraz miękki kobiecości przenosi się i osiada nierzadko nawet na postaciach męskich, jak w obrazie św. Jana Chrzciciela (w Louvre). Z drugiej strony w głowach i typach męskich, czy to w Wieczerzy Pańskiej, czy w obrazie bitwy pod Anghiari, lub wreszcie w słynnych jego karykaturach odnajdujemy akcent siły czynnego i badawczego ducha prawdziwej męskości, podnieconej częstokroć przez wielką namiętność i charakterystykę niezrównaną wyrazu, oraz ruch mistrzowski. Leonardo odtworzył nam w malarstwie bogactwo swej wielkiej, poetycznej i wszechstronnej duszy.

Przepowiednie Vinciego zdają się pochodzić z r. 1497.

Współcześni z trwogą patrzeli na postać Leonarda, posądzając go o czarnoksięstwo. Znał on do cna naturę człowieka i bezprzykładnem, logicznem rozumowaniem umiał przeniknąć myśli ludzkie i, gdy je głośno wypowiedział, budził przestrach. Dla teraźniejszości Leonardo jest nieodgadnionym dotąd sfinksem. W Ufficyach mamy w galeryi portretów wielkich artystów portret Leonarda, malowany w późniejszych czasach przez malarza, który na podstawie rysunkowych portretów i opowiadań skomponował podobiznę Leonarda, jakby średniowiecznego Fausta.

Porównują go więc do Fausta, widzą pewne analogie z filozoficznymi umysłami Goethego lub Humboldta.

Jest rzeczą niewątpliwą, że Leonardo, opierając się na zjawiskach przyrody, na naściślejszem badaniu przyczyn i skutków, przenika przyszłość i swoim przejasnym umysłem dochodzi do takich wniosków, że stają się one już wprost jasnowidzeniem, sięgającem w okresy całych wieków. Badacze nowocześni czynią Leonardowi zarzut z namiętności badań, pomawiając go o brak

aktywności, i że to było przyczyną, iż jego dzieła zmarniały w ukryciu i nie przyniosły bezpośredniej korzyści ludzkości. Są oni jednak w tem pomówieniu niesprawiedliwi, zapominają o istnieniu św. Inkwizycyi. Wśród społeczeństwa i w epoce, w której żył, nie wolno mu było wypowiedzieć swych proroczych myśli, bo mimo potężnych protektorów, byłby według litery prawa kanonicznego spłonął, jak Sawonarola, na stosie kacerskim, lub zginął, jak jego wolnomyślny przyjaciel, Jacopo Andrea z Ferrary, który r. 1506 z powodu kacerstwa został na zamku medyolańskim ścięty i poćwiartowany.

Leonardo patrzał na świat trzeźwo. Wiedział doskonale, co go czeka, gdyby otwarcie wyjawił wyniki swych teoryi. Wierzył, że przyjdzie chwila, kiedy świat uzna wielkość jego duszy, rezultaty jego pracy myśli i dlatego, aczkolwiek stał się małomównym i zamkniętym w sobie, spisywał skrzętnie wszystko to, co podpadało w zakres jego badań. Krył się jednak przed najbliższem nawet otoczeniem i użył kryptografiki dla spisania swego naukowego pamiętnika. Aby jeszcze więcej zmylić śledzących jego życie wrogów, bo takich mu nie brakło, opatrywał swoje proroctwa w nagłówku nazwą w przenośni, lub nie wiele mówiącą, zaczerpniętą ze świata przyrody.

Jak te przepowiednie w swej treści są przenikliwe i prawdziwe, wystarczy przytoczyć z nich kilka przykładów: Otóż powiada, że „ludzie chodzić będą, a nie poruszać się, będą mówić z tym, którego niema, będą słyszeć tego, który nie mówi“. Przełożywszy słowa Leonarda na język współczesny, nazwiemy to przepowiednią wynalazku kina, telegrafu lub gramofonu. O telefonie przepowiada w następnych słowach: „Ludzie przemawiać będą do siebie z najodleglejszych krajów i ódpowiadać sobie“.

Niewątpliwie, że Leonardo, który tyle myślał nad zjawiskami światła, ciepła, głosu, nad sposobem szybkiego przenoszenia się z miejsca na miejsce, przewidywał wynalazek kolei i sam projektował latawce i wypowiada też przekonanie, że „ludzie przebiegać będą bezpośrednio, w własnej osobie, różne części świata, bez ruchu i będą wi-

dzieć w ciemnościach niezmierne światła". (Co można objaśnić światłem elektrycznem i reflektorami). Może do najciekawszych przepowiedni należą jego przewidywania wojny światowej dzisiejszych czasów, pod niewinnymi zupełnie tytułami: „Koszenie trawy", „Młócka" i t. d. Przepowiada w nich proroczym duchem: „Zgasną niezliczone żywoty i powstaną niezliczone dziury na ziemi. Ludzie będą okrutnie bili tych, którzy są źródłem ich życia — będą młócić zboże. Ludzie patrzeć będą z radością, jak się niszczy i rozbija ich dzieła. Słychać będzie w wielu miejscach Europy instrumenty różnej wielkości, wydające wielorakie harmonie, ku wielkiej przykrości tych, którzy słuchają ich z bliska. Wiele będzie ludów, które siebie i dzieci swoje i środki żywności chować będą w ciemnych jaskiniach; i tam, w mrocznych miejscach żywić będą siebie i rodzinę swoją przez mnogie miesiące, bez światła sztucznego, czy naturalnego". Wprost przejmujące swem jasnowidzeniem są słowa, odnoszące się do walki w powietrzu. Powiada bowiem: „Ludzie wychodzić będą z grobów, zmienieni w ptaki i napadać będą innych ludzi. Widzieć się będzie w ogromnej wysokości powietrznej długie węże, walczące z ptakami". (Zepelliny i latawce). O straszliwości działania armat powiada:

„O, ileż wielkich budynków ulegnie ruinie z powodu ognia. Kruszec wyjdzie z ciemnych i mrocznych jaskiń, który przyniesie całemu rodzajowi ludzkiemu bóle, niebezpieczeństwa i śmierć.

Licznym z swego orszaku po mnogich boleściach da rozkosz; lecz kto nie będzie jego stronnikiem, umrze w niedostatku i nędzy. Wojna sprawi niezliczone zdrady; pobudzi i skłoni ludzi do morderstw i rozbojów i nikczemności;

wznieci w swych stronnikach podejrzliwość; wyrwie rząd miastom wolnym, odbierze życie licznym, rzuci ludzi wzajem na siebie z wielką sztuką, oszustwem i zdradą.

O zwierzu potworny! O ileżby było lepiej dla ludzi, gdybyś powrócił do piekieł. Przezeń moc lasów utraci swe liście, przezeń niezliczone zwierzęta stracą życie".

I zaraz potem mówi Leonardo o innym kruszcu, o złocie, które odegrać ma niepospolitą rolę w tej katastrofie ludzkości. Pisze pod tytułem „Pieniądze i złoto", jak następuje: „Wyjdzie z podziemnej jaskini, który każe w pocie męczyć się wszystkim narodom ziemi wśród wielkich cierpień, lęków i mozołów, by ich wspomagać".

O minach i gazach trujących pisze znów w ten sposób: „Wyjdzie z pod ziemi, straszliwym krzykiem przerazi otaczających sąsiadów i oddechem swoim zabije ludzi, tudzież zburzy miasta i zamki".

O walce na morzu pisze: „Widzieć się będzie drzewa z wielkich lasów, Tauru i Synaju, Apeninów i Atlasu, spieszące powietrzem ze wschodu na zachód, z północy na południe; i nieść będą powietrzem wielkie mnóstwa ludzi. O ileż ślubowań! O ileż zmarłych! O ileż rozłąk z przyjaciółmi! z krewnymi! i iluż będzie takich, którzy nie ujrzą już swych krajów, ni swej ojczyzny i którzy zginą bez grobowca, a kości ich rozsiane będą po różnych okolicach świata!"

A dalej pisze o tonących okrętach, że: „Widzieć się będzie ogromne cielska nieżywe, niosące mnóstwa ludzi ku zatracie ich życia". (Dreadnoughty). Oczyma swej duszy widzi jakoby dzisiejszą krainę polską. Bo powiada: „Wróci czas Heroda, gdyż niewinne dzieci zostaną porwane swoim matkom i wśród srogich ran zabite przez ludzi okrutnych. O o-

pieszała naturo! czemu jesteś stronnicza, będąc dla jednych twych dzieci miłosierną i dobrotliwą matką, dla drugich najokrutniejszą macochą? Widzę dzieci twoje, oddane w niewolę innych, bez zaznania jakiegokolwiek dobrodziejstwa; zamiast nagrody za świadczone usługi odbierają największe katusze, a obracają zawsze życie na pożytek swych dręczycieli. Mnogie trudy nagradzane będą głodem, pragnieniem, niedostatkiem i szturchańcami i ukłuciami i przekleństwami i wszelką nikczemnością".

Leonardo przewidywał drogi rozwoju ludzkiego, przewidywał fakta historyczne największej doniosłości, nie dziwmy się zatem, że czytał myśli swych towarzyszów, jak w księdze otwartej i ci z lękiem patrzeć na niego musieli, jak na czarodzieja. Ubóstwiano go i bano się go. Dla świata więc współczesnego, dla świata Odrodzenia, w czasach potężnego ruchu umysłów, zabobonów, wiary i niewiary, sztuki i ruchu ikonoklastów, wiedzy i nieuctwa, wreszcie czystości obyczajów i bezdennego zepsucia, postać Leonarda wyrosła na maga sztuki i wiedzy, zolbrzymiała i była jasną pochodnią na nowych drogach rozwoju ludzkości.

II.

Leonardo da Vinci jako inżynier wojenny i malarz-batalista.

Wojna we Włoszech była za czasów Leonarda da Vinci dziełem sztuki. Odrodzenie przyniosło jej zdemokratyzowanie, z równoczesnem udoskonaleniem broni palnej.

Zadrżały wtedy zamki i forty od kul działowych... i padł lęk przed nową siłą! Dzielność inżyniera, rusznikarza i artylerzysty wybijać się poczęła na pierwszy plan.

Niemcy udoskonalili wprawdzie i wprowadzili w życie rusznice. Niegodnem przecież rycerza zdało się starym dowódcom włoskim, których szeregi w części wypełniała szlachta, poledz nie od broni siecznej, lecz od przypadkowej kuli samopału niemieckiego piechura. Paolo Vitelli rozkazał też wyłupić oczy i ręce poobcinać tym pojmanym muszkieterom nieprzyjacielskim. Tymczasem sztukę artylerzyską uważano za coś znamienitszego, za coś szlachetniejszego, a grzmot armat imponował ludziom Renesansu! — To też ten sam condotier Vitelli, który barbarzyńsko obszedł się z muszkieterami, używa dział z ochotą i zapałem.

Włosi, tak co do broni zaczepnej, jako też sztuki fortyfikacyjnej, stali się mistrzami i nauczycielami Europy.

Pycha i ambicya Lodovica il Moro, skoligaconego przez Maryę Biankę z cesarzem Maksymilianem, nie znała granic. — „Urodził się, jak powiada współczesny Paolo Giovio, na zatracenie Włoch"! Ale przeciągnął strunę. Niebawem miało się stać inaczej! Chytrą, niebezpieczną i ryzykowną grę dyplomatyczną Mora przejrzały państwa włoskie. Tworzy się potężne przymierze, z papieżem Aleksandrem VI. na czele, z Ludwikiem XII., królem francuskim i Rzecząpospolitą wenecką. Il Moro, przerażony, grozi królowej Morza, że jej nie zostawi piędzi ziemi, że zepchnie ją do morza, zamknie dowóz żywności i będzie się wtedy musiała żywić tylko rybami morskiemi. Zawarł tedy sojusz z cesarzem Maksymilianem I., królem Neapolu i... nawet z sułtanem tureckim. Związek ten przedstawiał się w teoryi groźnie, — faktycznie cesarz zbyt był zajęty walką z Szwajcarami, a dwaj inni zbyt daleko, by mogli nieść doraźną pomoc. Tymczasem Ludwik XII. nie zwlekał. Gian Giacomo Trivulzio, stary wróg Sforzów, a dowódca wojsk francuskich i zaciężnych Szwajcarów, podążał w pospiesznych marszach w stronę Medyolanu. W lipcu 1499 przekroczył Alpy i w zwycięskim pochodzie zajmował jedno miasto po drugiem. Niebawem Medyolan podniósł brony miejskie, opuścił zwodzone mosty, a Medyolańczyk Trivulzio, na czele wojsk francuskich, wkroczył do miasta tryumfalnie! Lodovico Sforza ze swymi skarbami umknął na dwór cesarski w Tyrolu.

Dnia 6 października tegoż roku Ludwik XII. odprawił uroczysty wjazd do Medyolanu, — lud witał go radośnie, sądząc, że po utracie tyrana przyjdą czasy pomyślniejsze. Zawiódł się. — Panowanie francuskie było równie srogie, lud, podżegany przez stronników Mora, chwycił za broń i wyparł niezbyt liczną załogę francuską. Moro na czele zaciężnych hufców szwajcarskich i niemieckich, odzyskał 5 lutego 1500 r. Medyolan.

Nie na długo. W pospiesznych marszach, opuściwszy Romagnię, zdążały wojska francuskie ku Lombardyi i już 10 kwietnia 1500 r. przyszło pod Novarą do spotkania. Szwajcarzy Sforzy zawiedli, — nie tylko odmówili p o s ł u s z e ń s t w a, lecz nadto wydali Lodovica Moro n i e p r z y j a c i o ł o m. Przewieziono go do F r a n c y i. Dziesięć lat przebył więzień medyolański w zamku Loches i tam umarł zapomniany.

A Leonardo zapisał w swym pamiętniku te chłodne wyrazy wspomnienia: „Książę zaprzepaścił państwo, mienie i wolność, a żadnego ze swych dzieł nie dokończył".

Leonardo oceniał słusznie położenie i przewidywał następstwa. Zbyteczne pieniądze przekazał kasie oszczędności florenckiej, Santa Maria Nuova i przez Mantuę, gdzie odwiedził dwór książęcy Gonzagów, udał się do Wenecyi ze swoim wielkim przyjacielem i wielbicielem, Fra Luca Pacioli, znakomitym matematykiem, podobno Leonarda współpracownikiem, a zarazem autorem dzieła „De divina proportione".

Aczkolwiek Leonardo za Sokratesem powtórzyć mógł słowa: „Moją ojczyzną jest świat cały", to przecież wydaje się rzeczą pewną, iż w swoich zapatrywaniach p o l i t y c z n y c h, na wieść przymierza Mora z sułtanem tureckim, stanął po stronie przeciwników k s i ę c i a. Czuł się przedewszystkiem chrześcijaninem i z tem pojęciem, które górowało ponad pojęciem narodowości i ponad przynależnością rasy, znajduje wytłómaczenie stanowisko Leonarda. Tajnie, czy otwarcie? — tego dziś n i e w i e m y, opowiedział się za W e n e c y a n a m i. Zwiedza i studyuje granicę wschodnią Rzeczypospolitej weneckiej i pisze do nich w końcu lata 1499 roku następujące przestrogi:

„Najmiłościwsi Waszmość panowie moi! Zbadałem naocznie,

że Turcy nie mogą napaść Italii, zanim nie przeprawią się przez rzekę Isonzo (czyli Soczę). Jakkolwiek wiem, iż nie jest możliwe jakowąś długotrwałą obronę urządzić nad brzegami Isonzy, to przecież muszę zwrócić uwagę Waszą na okoliczność, że mały hufiec z pomocą rzeki na wiele się nie zda. Dzikie wody tej rzeki, z drzewem spławnem, które fale niosą, zalewają brzegi tak wysoko, że tutaj wał zbudowany nie wiele pomoże".

W liście opowiada nadto o moście w Gorycyi, o rzece Wipbach (Vilpacco) i Gradysce, tudzież o użyciu tutaj bombardów w obronie granic.

Planował on na rzece Isonzo ustawianie ruchomych jazów, aby celem obrony linii bojowej Isonzy sprowadzić zalew terenów.

Przewidywania Wenecyi i Leonarda były najsłuszniejsze, bo Turcy, bez wypowiedzenia wojny, uwięzili pewnego dnia wszystkich Wenecyan, bawiących w Konstantynopolu i wtrącili do więzienia.

Dnia 26 sierpnia wpadło Lepanto w ręce sułtana, a równocześnie korpus 10.000 Spahisów, paląc i rabując, napadł posiadłości weneckie i już w październiku dotarł do Tagliamento, a nawet do Vicenzy.

Leonardo interesuje się jak najżywiej położeniem politycznem. Mówi o planach zatopienia nieprzyjacielskich galer; projektuje aparat nurkowy, podaje sposoby dziurawienia okrętów, nosi się z myślą łodzi podwodnej.

Leonardo powrócił jeszcze r. 1500 do rodzinnego miasta, do Florencyi. W dwa lata później wstępuje w charakterze inżyniera wojennego i budowy twierdz w służbę Cesara Borgii, ks. Valentino, syna papieża Aleksandra VI. Genialny i nieustraszony ten kondotier, marzący o zjednoczeniu Italii, „tworzy, — jak powiada Staff, — przedziwną mieszaninę czarującego wdzięku i szatańskiej potworności, prześwietnego rycerza i drapieżnego zbrodniarza, „lwa i lisa", ideał Macchiavella... Lecz był to przedewszystkiem człowiek czynu potężnego, jak los, gwałtownego, jak piorun".

Leonardo, opatrzony rozległem pełnomocnictwem, „roz-

wija wtedy szeroką działalność, przebiega miasta Umbryi i Romanii u boku wodza, który odnosi tryumf za tryumfem, rzucając sobie do stóp oporne miasto za miastem, mści się z budzącą podziw zimną krwią i okrucieństwem na swych przeciwnikach".

Leonardo wszędzie obecny, na wszystko ma oczy otwarte. Jego szkicowniki zapełniają się notatkami i rysunkami. Jakby z rysunków twierdzić można, zarzuca system bastyonowy. Chce zatrzymać i zastosować stary system fortec poligonalny, który później Fryderyk Wielki w Prusiech wykształcił. Projektuje dalej ruchome mury, katapulty, machiny oblężnicze, kasarnie dla konnicy i t. p.

Ale też równocześnie w notatkach wymienia Leonardo innej treści prace:

„Księgę o ruchu",
„Księgę o uderzeniu",
„Księgę o ciężarze",
„Księgę o momencie siły",
„Księgę o elementach machin".

Żadna z tych wyliczonych prac nie dochowała się do naszych czasów. Niektóre z zeszytów, do dziś dnia dotrwałych, zajmują się jednym przedmiotem, n. p. „Księga o locie ptaków", w posiadaniu rosyjskiem, ale na ogół spuścizną Leonarda to są notaty nieuporządkowane, nagromadzone bezładnie projekta artystyczne, techniczne, listy, domowe notatki, to znów zagadki, obliczenia naukowe, przyrodnicze spostrzeżenia, wszystko, co tylko ten wielki umysł zająć mogło.

Towarzystwo Cesara Borgii, oglądanie krwawych walk, bitew, oblężeń, czynny w nich udział Leonarda, jako generalnego inżyniera wojennego, oddziałały przemożnie na twórczość artystyczną i rodzaj prac naukowych Vinciego. Pod względem artystycznym powstają popiersia rycerskie, (z których przepyszny ze zbioru Malcolma w Paryżu), jeźdźcy, konne hufce, ataki, wozy pędzące, wojenne, z wirującemi kosami, walka z potworami, aż dochodzi do najwspanialszej kompozycyi „Bitwy pod Anghiari", z której pozostał nam jedynie fragment, przeryso-

wany przez najsłynniejszego z brabanckich mistrzów, Piotra Pawła Rubensa.

Gonfaloniere Piero Soderini z Signorią florencką polecili z początku XVI. wieku (1502) dwom największym równoczesnym artystom miasta tego, na przeciwległych sobie ścianach sali posiedzeń w Palazzo Vecchio, upamiętnić freskami historyczne zdarzenia z dziejów Florencyi. Leonardo obrał za temat bitwę pod Anghiari, — Michał Anioł bitwę z pokonanymi wówczas Pizańczykami.

Za przedmiot zatem posłużyła Leonardowi da Vinci zwycięska, krwawa bitwa, stoczona przez wojska florenckie dnia 29 czerwca 1440 r. z Medyolańczykami, pod dowództwem Niccolo Piccino. Leonardo najprzód przeczytał kroniki, odnoszące się do dziejów bitwy, napisał potem rozprawę historyczną o niej, aż wreszcie narysował kartony. Zbudził nimi podziw i entuzyazm współczesnych. Zaginęły wszystkie, a freski zniszczały. Rubens uratował przerysem swoim dowód jego wysokiej wartości.

W tym jednym fragmencie wielkiego obrazu oceniamy wielkość pomysłu artysty. Tworzył bitwę, na jaką patrzał własnemi, badawczemi oczyma u boku wodza, Cezara Borgii, powtarzał więc niemal własne przeżycia.

W pierwszym rzucie oka dostrzega się chaos i wir wściekły walki, zmotanie się linii... Wszystko na nim walczy, w jakimś szalonym ruchu, rozpędzie, w potwornem zapamiętaniu i bohaterstwie. Stal damasceńska miga błyskawicą w powietrzu, tną brzeszczoty, tuż, a przetną chwytające ręce lub rozczepią ciało wroga. — Lecą ciosy śmiertelne. Nawet pod kopytami końskiemi pełzają zbrojni ludzie. Jeden zwalił drugiego na bary, przysiadł go, przycisnął do ziemi, ułapił za włosy, ściągnął i odchylił głowę, by w odkrytą szyję wpakować klingę posamą rękojeść. Na twarzach bojowników znać żądzę krwi, szatański chichot rozjaśnia oblicze, radość bije z zadania strasznych ran, z wydarcia bliźniemu żywota!... I w tej walce, walce o śmierć, o życie, biorą udział nie tylko ludzie, walczą ostatecznie... o sztandar... o ideę! ale... biorą w niej udział nawet zwierzęta. Niemal, że słychać rże-

nie i kwik koni, chrapy rozdęte, gryzą się, rzucają na siebie ogromnemi cielskami...

Leonardo traktatem o dynamice położył podwaliny do budowy nowej wiedzy, — w obrazie znalazł się w swoim żywiole, — dowiódł, jak rozumie r u c h i zna j e g o p r a w a. Artysta, mimo całego skłębienia, opanował linię i w niej okazał świetność poczucia dynamiki w obrazie. Wiemy doskonale, ku której stronie przewala się i tłoczy ciężar bitwy, po której stronie z w y c i ę s t w o. Dowiadujemy się, że pokonani walczą do ostatniej chwili, że walczą b o h a t e r s k o. Przypomina, że znój i praca wojenna trwała dzień c a ł y, — że k r w a w o Florencya okupiła z w y c i ę s t w o!

Szlachetny Leonardo — cześć oddaje w obrazie męstwu wroga rodzinnego miasta!

Leonardo w kompozycyi swojej ukazał światu swą wszechstronność jako artysta. Umiał być również batalistą i jako taki nie miał poprzedników, chyba sięgnęlibyśmy do czasów starożytnych, by w odkopanem Pompei szukać na ściennej mozaice, przedstawiającej bitwę Aleksandra Wielkiego z Persami, pod Issus. Tam znajdzie sobie r ó w n e g o a r t y s t ę.

Tężyzną artystyczną pobił tytana sztuki: M i c h a ł a A n i o ł a.

Tak wojna oddziałała na twórczość Leonarda da Vinci!

III.

Awiatyka w XV wieku.

Epokowego znaczenia dla dzisiejszych społeczeństw kulturalnych jest wynalazek podniebnej jazdy: aeroplanem lub balonem ze sterem.

Wynalazek nie przyszedł odrazu, — nie był też zasługą j e d n o s t k i. Jest on wynikiem geniuszu wielu u m y s ł ó w i całej pracy cywilizacyjnej o s t a t n i e g o o k r e s u.

Pomysł samolotu dla dawnej i obecnej umysłowości polskiej nie był ani obojętny, ani bez znaczenia.

Już w legendarną przędzę spowita tajemnicza postać Twardowskiego mówi nam o jakichś wzlotach ze skalistych i spadzistych Krzemionek krakowskich. Opowieść ludowa wyposażyła je w moc czartowską... To jest nasza najstarsza wiadomość, — legenda, której źródło wytryska może nawet w XV. wieku.

Zasłużony około badań dziejów umiejętności nauk ścisłych w Polsce profesor uniwersytetu Jagiellońskiego, Ludwik Birkenmajer, wygłosił niedawno niezwykle zajmujący, publiczny odczyt o pierwszym samolocie w Polsce.

Smutnej pamięci mincerz warszawski, Tytus Livius Boratini, skonstruował ów samolot. Przyrząd ten, mając kota za pasażera, nakręcony, wzleciał r. 1648 w powietrze, poczem szczęśliwie wylądował z nieuszkodzonem zwierzęciem.

Prof. Birkenmajer odnalazł jednak równocześnie, że genialny rektor wszechnicy krakowskiej, Stanisław Pudłowski, pozostawił pierwszorzędny materyał rękopiśmienny dla dziejów nauk technicznych w Polsce. A dalej, że włoski awanturnik, Boratini, przyjaźniąc się z Pudłowskim, popełnił potem plagiat, ogłaszając już po śmierci znakomitego polskiego uczonego za swój własny wynalazek Pudłowskiego, dotyczący uniwersalnej miary długości. Ten ciekawy szczegół podaje w wątpliwość także autorstwo Boratiniego co do aeroplanu.

Dodajmy i to jeszcze, iż w sprawie motoru benzynowego, której rozwiązanie jak najściślej wiąże się z problemem lotnictwa, była współczynna technika polska i przyczyniła się walnie do jego udoskonalenia.

Problem naśladowania lotu ptaka, stary zresztą, j a k ś w i a t, rozwiązał wiek XX. i dokonał ostatecznie konstrukcyi zdolnego do lotu l a t a w c a — ....ale ojcem tej nowożytnej myśli był, według obecnego stanu badań naukowych nad tym przedmiotem, nie kto inny, jak Leonardo da Vinci.

Badania właściwości powietrza, statyki i dynamiki ciał w przestrzeni musiały z natury rzeczy poprzedzić wynalazek i dopiero na tak przygotowanem p o d ł o ż u i przy równoczesnem udo-

skonaleniu benzynowych motorów, rojenia o pływaniu w powietrzu po tysiącu lat mogły się ziścić. Główną zasługą w rozwiązaniu praktycznem najpiękniejszego z problemów techniki przypisać należy Aderowi, francuskiemu lotnikowi, o niemieckiem brzmieniu nazwiska, który dnia 13 października 1897 roku wobec komisyi wojskowej francuskiego ministerstwa wojny wzniósł się na samolocie Avion i przeleciał 300 m. Był to pierwszy sukces lotniczy. Avion miał kształt nietoperza, skrzydła nieruchome, dwa motory parowe, o łącznej sile 40 koni, pędzące dwie śmigi czteroramienne. Następne loty spowodowały katastrofę, upadek, rozbicie aparatu i... rozbicie układów!

Szczęśliwsi następnie byli w swych konstrukcyach i wzlotach Duńczyk Ellenhammer, Francuz Bleriot, ale największy sukces osiągnęli wreszcie Amerykanie, bracia Wilbur (Uilbör) i Orwill (Orwyll) Wright (Rait), którzy słynny swój wzlot uskutecznili 17 grudnia 1903 roku w Ameryce i znaczenie lotnictwa ostatecznie ugruntowali.

Wzloty i próby Lilienthala w Niemczech miały więcej znaczenie doświadczeń wstępnych na rzecz lotnictwa, niż decydujące co do konstrukcyi latawców. W Niemczech bowiem system balonowy pozyskał, wskutek rozgłośnych prac konstrukcyjnych Zeppelina, ze względów militarnych, olbrzymią przewagę nad ideą aeroplanu...

Leonardo w ciągu całej swej naukowej działalności trzymał się metody eksperymentalnej, oraz logicznego wiązania faktów i spostrzeżeń.

Od wiadomych powszechnie danych przechodził do mniej znanych, aż dochodził do odkrycia i utwierdzenia zjawisk zupełnie nieznanych. Podobnie też postąpił w kwestyi awiatyki. Punktem wyjścia była dlań analogia skrzydlatych stworzeń, których loty poddał najściślejszym badaniom.

„By rozwinąć prawdziwą naukę o ruchu ptaków w powietrzu, należy, pisze Leonardo, dać wpierw naukę o wiatrach, którą wyjaśnimy zapomocą ruchów wody w własnym jej żywiole. I taka zrozumiała nauka stworzy z siebie schody, po których dojdziemy do zrozumienia lotu ptaków w powietrzu i wśród wiatru".

Leonardo rozumował, że „powietrze porusza się, jak woda płynąca i niesie z sobą chmury; tak samo, jak rzeka mknąca niesie wszystkie rzeczy pływające“ i dochodzi do wniosku, że „we wszystkich swych ruchach woda ma wielkie podobieństwo z powietrzem“.

Wypowiedział więc teoryę, głoszoną i rozwiniętą w późniejszych dopiero czasach, mianowicie w XVII. wieku przez Newtona.

W obserwacyi statyki oraz dynamiki płynącego powietrza pochwycił wprost nadzwyczajnie, jak na owe czasy, zjawisko fizyczne o „tarciu powietrza“, mianowicie twierdzi on:

„iż jednaka jest praca, czy wiatr porusza się przeciw przedmiotowi nieruchomemu, czy przedmiot ruchomy porusza się przeciw nieruchomemu p o w i e t r z u“.

Utwierdza on się w swem spostrzeżeniu o oporze powietrza i mówi do siebie: „Widzisz, że bicie skrzydeł o powietrze utrzymuje ciężkiego orła w najwyższem i najrzadszem powietrzu; widzisz też, że powietrze napełnia wzdęte żagle i popycha łódź ciężko obładowaną. Z tych przykładów możesz poznać, że człowiek z pomocą w i e l k i c h s k r z y d e ł, poruszających się przeciw oporowi p o w i e t r z a, będzie mógł ujarzmić je zwycięsko i wznieść się d o g ó r y“.

Na podstawie rozważania właściwości fizycznych powietrza przeszedł Leonardo do oceny jakości sił i ruchów ptaka, unoszącego się w przestworzu. Przy tej sposobności zrobił spostrzeżenie o zgęszczeniu się powietrza pod wklęsłością uderzających s k r z y d e ł p t a k a.

Trzymał się ściśle zasady: „chcesz się czego nauczyć, napisz książkę“ i postanowił napisać traktat o lotnictwie. Nakreślił plan dzieła, w niem uważał sprawę zbadania właściwości powietrza za pierwszą i najważniejszą, to też prawi sam sobie morał taki:

„Zanim napiszesz o ptakach, napisz książkę o rzeczach martwych, które spadają w powietrzu bez wiatru, a drugą o tych, które spadają w czasie wiatru“. Zdanie to dowodzi niesłychanej bystrości. Bo czemżeż są dzisiejsze aeroplany? Czy nie takimi właśnie przedmiotami, którym dodano tylko motor i śmigę, by się mogły wznosić?

A także przypomina Izaka Newtona badanie o grawitacyi.

Czy tę rozprawę Leonardo opracował, nie wiemy, zdaje się przecież, że ją napisał, skoro napisał część drugą dzieła.

Celem ugrupowania swych spostrzeżeń, Leonardo napisał rozprawę o lotach zwierząt, unoszących się w powietrzu i „podzielił ją na cztery księgi: pierwsza traktuje o locie z pomocą bicia skrzydeł, druga o locie bez bicia skrzydłami, z pomocą wiatru, trzecia o locie w ogólności, jak ptaków, nietoperzy, ryb, owadów; czwarta o locie na przyrządach". Warto zaznaczyć, że po żmudnych dopiero badaniach w obecnym wieku oceniono należycie lot bez uderzania skrzydeł i nazwano go lotem żaglowym, a więc unoszenie się na podstawie samej siły wiatru.

Z dyspozycyi traktatu wynika wielka trzeźwość poglądu na sprawy awiatyki. Stanął w niej Leonardo na stanowisku już dzisiejszego uczonego konstruktora najświeższej doby, a badając lot ptaków, czynił to jako przyrodnik, anatom i mechanik.

Rysuje kościec ptaka, przemyśliwa nad budową i ustrojem skrzydła i powiada:

„Stery, utworzone przez ramiona skrzydeł ptasich, wynalazła przemyślna natura dla wygodnego skręcania w prostym pędzie, który często zdarza się w szalonym locie ptaków; ponieważ poznała, że wygodniej jest w pędzie prostym zgiąć najmniejszą część skrzydła, niż skrzydło całe".

Są to spostrzeżenia, które do dziś dnia nie zostały dostatecznie wyjaśnione, a może zupełnie trafne i doniosłe. Sądzi dalej, że „szczyt skrzydła ptaka wykonuje ruch i zachowuje się tak, jak koniec wiosła w wodzie lub ramię, względnie właściwiej dłoń pływaka pod wodą. I tu ma racyę, według bowiem najnowszych badań przeważa zdanie, że właśnie te końce skrzydeł służą do nadania pędu, gdy reszta skrzydła jest tylko płaszczyzną nośną.

Nie zapuszczając się w szczegóły wywodów Leonarda, które nam przekazały rękopisy, godzi się powtórzyć ostateczną definicyę jego myśli o sztucznym locie.

„Ptak, — powiada Leonardo, — jest narzędziem, działa-

jącem na podstawie prawa matematycznego, które to narzędzie czy przyrząd człowiek jest zdolen stworzyć z wszystkimi jego ruchami, choć nie z taką siłą, lecz chodzi tylko o moc zachowania równowagi. Więc powiemy, że takiemu przyrządowi, stworzonemu przez człowieka, brak tylko duszy ptaka, która to dusza musi być zastąpiona przez duszę człowieka".

„Dusza o członkach ptaka będzie bez wątpienia bardziej posłuszna ich potrzebom, niżby to uczyniła dusza człowieka, nie złączona z nimi, a zwłaszcza przy ruchach niespostrzegalnej prawie równowagi. Skoro widzimy, że ptak zaradza wielkiej rozmaitości ruchów dostrzegalnych, możemy z doświadczenia sądzić, że najbardziej dostrzegalne mogą być poznane przez świadomość człowieka i że będzie on mógł dostatecznie zaradzić upadkowi tego przyrządu, z którego uczyni sobie duszę i wodza".

Otóż logiczność rozumowania Leonarda jest uderzającą, to też rezultat dociekań, do jakich dochodzi w następującem twierdzeniu, jest zadziwiającym i budzącym cześć dla wielkiego uczonego.

Powiada dalej: „Pamiętaj, że ptak twój (czytaj latawiec) może naśladować tylko nietoperza, gdyż jego błony tworzą wiązanie lub raczej połączenie wiązania, to jest żagiel główny skrzydeł".

Przenikliwość mistrza Odrodzenia zdumiewa prawie dosłownem spełnieniem jego pomysłów przez wynalazców XX. wieku. Wynalazcy bowiem, którzy w wieku XIX. próbowali skrzydła urobić na modłę ptaków pierzastych, zmarnowali mnóstwo czasu i mnóstwo pieniędzy bezużytecznie.

„A gdybyś, wywodzi Leonardo, naśladował skrzydła ptaków pierzastych, to wiedz, że mają grubszy kościec, mocniejsze ścięgna, a kości są puste wewnątrz, pióra ich nie są połączone i powietrze przedziera się przez nie. Atoli nietoperz ma pomoc w błonie, która wszystko łączy i nie jest przedziurawiona".

Na podstawie obserwacyi lotu ptaków, zwłaszcza sępa i jego sposobów walki z wichrem, które szerzej opisuje, radzi unikać wąwozów górskich, zaleca wzbijanie się wysoko w powietrze, gdzie łatwiej pokonać trudności aeronautyki i opanować

równowagę. Dziś praktyka potwierdziła, że latać wysoko jest daleko bezpieczniej, niż latać nisko.

Do konstrukcyi zaleca używać mocnej, garbowanej skóry, żebra, wyrobione z najsilniejszych kręconych sznurów z surowego jedwabiu, błony skrzydeł z barchanu, napuszczanego klejem, a od zewnątrz z tafty, napojonej klajstrem z krochmalu. „Tylko niechaj, przestrzega Leonardo, nikt nie popełni szaleństwa, by użył do tego żelaza, ponieważ ono w skrętach bardzo łatwo się złamie lub zniszczy".

Sprawa statyki w lotnictwie jest jednym z najtrudniejszych do rozwiązania problemów. Leonardo zajmował się prawem równowagi i zapisał w swoich manuskryptach:

„Człowiek latający powinien uniezależnić się od przepaski, by móc ważyć się w równi, jak czyni się w barce, ażeby środek ciężkości w nim i w maszynie mógł się zmieniać, jak tego wymaga konieczność". Naśladował go w tem, zapewne mimowiednie, Lilienthal na swej lotnicy.

Dostrzegł Leonardo, jakeśmy mówili, w locie ptaków lot żaglowy, t. j. zdanie się zupełne na siłę wiatru, który niesie ptaka z rozpiętemi skrzydłami bez ruchu, zawieszonego w powietrzu. Lot ten zaleca zastosować w awiatyce. Bracia Wright byli w naszych czasach pierwsi, którzy potwierdzili doświadczalnie całą wartość tezy Leonardowskiej, wykonując na lotnicy czyli aparacie bez motoru wzloty z pagórków.

Udawało się też im wznieść wyżej nad miejsce wzlotu i utrzymywać się w powietrzu $1^1/_2$ minuty, a to tylko na podstawie wyzyskania siły wiatru.

Leonardo był niewątpliwie człowiekiem czynu. Największą wagę kładł wprawdzie na teoryę, na zbadanie przyczyn nieprzebranych zjawisk w przyrodzie, atoli z drugiej strony niewątpliwie dążył również do realizacyi swych planów i pomysłów, może tylko już nie z tą ochotą, nie z tą wytrwałością. Natura badacza wzięła u niego górę nad twórcą.

W swoich rysunkach kodeksu atlantyckiego przekazał nam Leonardo konstrukcyę latawca, poruszanego siłą rąk i nóg człowieka. Poruszenie jednej nogi wywołuje uderzenie skrzy-

dłem, drugiej podniesienie skrzydła. Sterem kieruje ręka. Szyję obejmuje jeden pierścień, drugi krzyże. Pod spodem widzimy dwie korby.

Rysunek przedstawia szkielet przyrządu do latania (volatile). Konstrukcya, według orzeczenia znawcy konstruktora-mechanika aeroplanów, wprost niepospolita i pełna prostoty. Dozwala ona na podwójny ruch skrzydeł; mianowicie w kierunku pionowym przy równoczesnym ruchu wiosłowym wprzód i w tył. Leonardo poucza, by aeronauta wolny był od pasa wzwyż i mógł swobodnie balansować i utrzymywać równowagę.

Rady i praktyczne wskazówki awiatyczne brzmią nutą przeżytych osobistych wrażeń wielkiego człowieka. W okolicy Florencyi żyje dotąd legenda, że z łysej góry Cecero (Łabędziej) wzlecieć miał niegdyś olbrzymi łabędź, przeleciał i nikt go więcej nie oglądał. Uczony włoski, Gerolamo Cardano (1501—1576), którego ojciec był zaprzyjaźniony z Leonardem, wywodzi, że także „Leonardo próbował latać, ale, dodaje ironicznie, źle mu się powiodło: był wielkim malarzem!“

Z zasady, uwidocznionej w rysunkach ojca nowożytnego lotnictwa, jakim był Leonardo, łatwo wyłonić się może nowa konstrukcya, która urzeczywistnić byłaby w stanie najstarszy z ludzkich pomysłów awiatycznych, równie wszechstronnego, jak on, artysty, ateńczyka Dedala i gotów się ucieleśnić mit starożytny o Ikarowych lotach i skrzydłach! Nad tym tematem samolotu bez motoru praca nie ustaje, przemyśliwują nad nim i trudzą się dzisiejsi konstruktorzy i wynalazcy.

Leonardo oczyma duszy widzi spełnienie swych marzeń. Nie sądzonem mu było, by on je oglądał ziemską źrenicą. W ciszy swej pracowni we Fiesole zapisał w roku 1506 znamienne słowa:

„I wzbije się w pierwszy swój lot wielki ptak (latawiec), z grzbietu swego olbrzymiego Łabędzia (z góry Cecero pod Florencyą), napełniając świat zdumieniem, wszystkie pisma swą sławą i darząc wiekuistą chwałą swe gniazdo rodzinne“. Mylił się i zawiódł. Ludzkość dopiero dzisiaj w strasznych bólach patrzy na narodziny wielkiego wynalazku.

Wśród łuny, której krwawe blaski roztoczyły się na całą kulę ziemską, przerażona, spogląda na ostateczne rozwiązanie problemu, teoretycznie ściśle wytkniętego przez Leonarda da Vinci!

IV.

Wynalazki.

Dla pełności wizerunku wielkiego człowieka opowiemy pokrótce o innych wynalazkach Leonarda, które o całe wieki wyprzedziły ich zastosowanie, lub też przez genialnych uczonych lub techników wieków następnych powtórnie zaprojektowane i skonstruowane zostały.

Inwencya Leonarda jest zadziwiająco wszechstronna. Wkracza ona tak w najbliższe domowe urządzenia, jak dotyka dziedzin przemysłu domowego, fabrycznego, albo też wznosi się na górne szlaki, gdzie już bezpośrednie człowieka władanie ustaje.

Zapewne nikt nie zwraca uwagi na to, że istnieją obok nas przedmioty codziennego użytku, którego idea lub projekt zrodziły się w głowie tego świetnego artysty. Oto lampa, która oświeca nam mroki wieczorne, z kulą szklanną i cylindrem, jest wytworem Leonardowskiej koncepcyi. Naturalnie lampa ówczesna była olejna. Poszła w zapomnienie. W roku 1756 cylindry szklane weszły na nowo w Paryżu w użycie. Projektował on również latarki z reflektorem i półkulistem szkłem, jakie widzimy zastosowane w dzisiejszych lampkach elektrycznych, a dalej przyrządy zegarowe, budzik wodny, wiertaki, zastosowane w naszych korkociągach o podwójnej dźwigni, słuchawki, rożny samoczynne kuchenne, urządzenia łazienek, stawiał na kominach znane dziś pod nazwą niedźwiedzia regulatory odpływu dymu i t. p.

Naturalnie to są drobiazgi wobec jego inżynierskich i innych pomysłów. Robi cyrkiel do nakreślania paraboli, buduje przyrządy do liczenie kroków, do mierzenia mechanicznego długości

drogi, hygrometer czyli przyrząd do pomiarów wilgoci powietrza, anemometer t. j. miernik wiatru, wyprzedzając nim wynalazek angielski z roku 1667, bada pierwszy rotacyę ciał i mierzy siły tarcia, konstruuje kleszcze tak zwane żabie, koła zębate, łożyska rolkowe, wahadła do regulowania chodu maszyn, która to idea naprowadziła Galileusza i Huygensa do zbudowania zegarów wahadłowych.

Zdawałoby się, że nowożytne środki przenośne, jak rower i auto, nie mają nic wspólnego z ideami Leonarda, — a jednak zasadnicza część ich składowa, łańcuch przegubowy, który służy do przenoszenia siły na obrót kół, wynalazł nie kto inny, jeno ten wielki wynalazca. Zastosował go i to przy bicyklu, pierwszy raz dopiero w roku 1832 paryski medalier, Galle.

Do przenoszenia sił lub dźwigania wielkich ciężarów nie wystarczały Leonardowi grube, lniane p o w r o z y, więc wpadł na pomysł użycia do ich skręcenia drutów żelaznych i miedzianych i zastosował je przy swoich mostach wiszących i wielkich machinach do czerpania wody. Temsamem wyprzedził on zastosowanie w Birmingham przez Hancocka w roku 1798. Do skręcania sznurów i lin skonstruował m a s z y n ę o z u p e ł n i e n o w o c z e s n y m w y g l ą d z i e. Sposoby jego badania czy wytrzymałości lin, czy też odporności materyałów budowlanych wyprzedziły o 100 lat doświadczenia G a l i l e u s z a. Znajomość ich była mu potrzebną do jego wielkich pomysłów, zamierzeń artystycznych i b u d o w l a n y c h. Wspomnieć bowiem należy, że pomnik jego, Franciszka Sforzy, miał być największem dziełem plastyki w ł o s k i e j, do którego sam bronz miał ważyć wedle dzisiejszej miary około 80.000 kg., że nosił się z szerokim planem połączenia kanałami z Florencyą wszystkich miast toskańskich, że budował istotnie kanał w pobliżu Medyolanu, a drewniane żurawie jego konstrukcyi dźwigały ciężkie bloki i ciosy, baggery wybierały ziemię z łożysk rzek i kanałów.

Takie same baggiery skonstruował w zeszłym wieku, bo r. 1835, francuski inżynier, kapitan Coignet.

Ziemne roboty nad spławnością rzek, nad budową dróg wodnych, nad nawodnieniem okolic, pozbawionych wody, a odwo-

dnianiem bagnistych terenów włoskich lub francuskich, prowadzą Leonarda do coraz to nowych wynalazków. Przeprowadza niwelacye: mierzy różnice nachylenia powierzchni ziemi, podaje sposoby mierzenia wysokości gór, konstruuje lunety i robi przy tem ciekawe spostrzeżenia optyczne, konstruuje kamerę czyli ciemnię, interesuje się astronomią, mierzy odległość słońca od ziemi, obserwuje obrót ziemi naokoło słońca i księżyca, a zjawiska ich zaćmienia wyjaśnia.

Leonarda pobyt nad morzem Adryatyckiem w Wenecyi i jej ówczesna wojna z Turcyą wpłynęły na większe ożywienie jego pomysłowości wynalazczej dla nawigacyi. Obrona Wenecyi przed flotą turecką leży mu na sercu. Projektuje zatem, dając rysunki i opisy, wbijanie ostrogi podwodnej w okręt nieprzyjacielski, brandery, zwane Zepatą, t. j. okręty do rzucania płonących żagwi (których składniki dokładnie opisuje) na nieprzyjacielskie nawy. A oprócz tego rysuje przyrządy dla nurków, pasy i koła ratunkowe, przyrządy do chodzenia po wodzie, rękawice do pływania z pletwami.

Łódź konstrukcyi Leonarda, z kołami, jak u wiatraka, wprowadziła jedna z firm niemieckich, jako fabrykat berliński, — zresztą przypomnę, że wszyscy widzieliśmy łódź taką w Parku krakowskim. Wynalazł łódź podwodną i jakieś bliżej nieokreślone przyrządy do swobodnego przebywania człowieka pod wodą, — ale ani opisu, ani rysunku, tylko krótką o tem notatkę zostawił, z której wynika, że chęć zupełnego zatajenia była powodem pominięcia tego wynalazku w zapiskach i opisach. Najważniejszym przecież nawigacyjnym wynalazkiem Leonarda była śruba okrętowa. Tekst opisu zaginął, pozostał szkic.

Śrubę okrętową próbowano potem zastosować w XVIII. wieku, lecz bez powodzenia, dopiero Czech z Chrudimu, urzędnik marynarki, Józef Ressel, wynalazł ją powtórnie i pierwszy w roku 1826 zastosował przy budowie statku.

Największe zdobycze Leonarda odnoszą się do metalurgii, na tem polu wynalazki jego mają najdonioślejsze znaczenie, od niego właściwie zaczyna się rozkwit epoki żelaznej w nowoczesnym stylu.

Dla hutnictwa buduje pierwsze piece płomieniste, których szerokie zastosowanie poczyna się dopiero po roku 1600. Rozumiał swym bystrym umysłem, że podniesienie temperatury wpłynie na zużytkowanie niepomiernych pokładów rud żelaznych i szerokie zastosowanie żelaza. Wprowadził tedy używanie pary wodnej przy miechach dla podsycenia ognia. Jego miechy hydrauliczne wynalezione zostały powtórnie przez monachijskiego uczonego, Józefa Baadera, w roku 1787.

Zadziwiają też jego doświadczenia, robione z siłą pary wodnej i stosunku przez nią zajmowanej przestrzeni w stosunku do wody. Wyprzedziły one eksperymenty z roku 1601, dokonane przez Gianbattistę della Porta. Doprowadziły go one do zbudowania aparatu destylacyjnego, do zużytkowania jednak siły pary wodnej, do stworzenia m a s z y n y p a r o w e j, zdaje się n i e p r z y s z ł o, jakkolwiek niektórzy z badaczy tego się z rysunków statków Leonarda domyślali. Zasługa tego wynalazku pozostanie więc wyłączną własnością ducha inwencyi angielskiej.

Próbował Leonardo nadto zastosować parę wodną do celów wojennych. Zbudował działo, przezwane „architronito", które z ogromnym hukiem miało wyrzucać pociski. Sam Leonardo przypisuje ten wynalazek Archimedesowi, co wydaje się jednakowoż nieprawdopodobnem. Myśl Leonardowską podjął na nowo jenerał francuski, Chasseloup, r. 1805, za czasów wojen Napoleońskich. Ale tak francuskie, jak amerykańskie próby w tym kierunku nie doprowadziły dotąd do praktycznego wyniku.

W przemyśle żelaznym niezmiernego znaczenia są śruby i koła zębate. Aż do Leonarda czasów przyrządów do wycinania śrub nie znano. W czasach rzymskich znane były tylko śruby drewniane. Dopiero w XVII. wieku śruba wchodzi w powszechne użycie. Złotnicy używali jej wprawdzie już dawniej w swoim zawodzie, ale radzili sobie mozolnie tylko w ten sposób, że na pręt srebrny czy złoty lutowali spiralę drucianą, toż samo na m u t r ę. Próbowano je potem robić pilnikiem. Leonardo rzucił pierwszy myśl i narysował projekt zupełnie już nowoczesnych machin do cięcia śrub, wyprzedzając pomysły europejskie XVIII. i amerykańskie XIX. wieku.

Odkrywszy te dwie doniosłe tajemnice robienia śrub i udoskonaliwszy formę i sposób cięcia kół zębatych, konstruuje cały szereg maszyn fabrycznych, jak:

1. walcownię, pędzoną zapomocą turbiny, czyli koła, osadzonego na pionowym wale i obracającego się siłą ciśnienia wody;
2. ławy do ciągnienia sztab, prętów i drutów;
3. toczydła;
4. piły z kołem rozpędowem do rżnięcia drzewa;
5. pilnię czyli maszynę do cięcia pilników, czem wyprzedził o dwieście lat pomysł francuski Du Vergera z roku 1699;
6. igielnię czyli maszynę do robienia i szlifowania igieł, zdolną wyrobić dziennie 480.000 igieł;
7. a potem szły wynalazki produkcyi fabrycznej, treści tekstylnej, więc: przędzalnię z kołowrotem, z cewką i skrzydłem, uważaną przed niewielu jeszcze laty jako rzekomy wynalazek brunszwicki z roku 1530, Jerzego Wattenbüttel, a potem znów na nowo po raz trzeci wynaleziony r. 1794 w Anglii;
8. warsztaty tkackie i do postrzygania sukna, które, warto zaznaczyć, gdyby były wprowadzone we Włoszech, zawładnęłyby całym przemysłem tkackim świata, bo dla objaśnienia dodać należy, że gdy w r. 1758 próbowano w Anglii wprowadzić postrzygalnię Leonardowskiego systemu, wybuchły wielkie robotnicze niepokoje. Robotnicy, obawiając się postradania zarobku, zbuntowali się, stawili opór i fabrykę doszczętnie spalili.

Jak Leonardo ściśle obserwował ukryte siły w przyrodzie i je ujarzmiał, robił je służebniczkami swemi, widać z jego machin i przyrządów, w których działa ogień, woda, para, wreszcie wiatr.

Jego młyny-wiatraki, z ruchomym, rotacyjnym wierzchem, zwane pospolicie holenderskimi, uważano do niedawnych jeszcze czasów za wynalazek flandryjski z r. 1550. Tymczasem wydobycie na światło dzienne manuskryptów Leonarda okazało dowodnie, i ż o n był, a nie kto inny, ich w y n a l a z c ą.

Osobną kartę wynalazków genialnego artysty tworzą jego pomysły, odnoszące się do instrumentów wojennych.

Strzelba, używana za czasów, w których żył Leonardo, była kładziona na widełki i proch na panewce bywał zapalany lontem. Leonardo wynalazł zamki skałkowe, — strzelba stała się samopałem.

Na rysunku jego, przedstawiającym wnętrze arsenału, widzimy, jakie olbrzymie armaty odlewać zamierzał. W tym celu projektuje rozmaite ulepszenia w odlewni, a specyalnie pracuje nad formierstwem. Zwraca baczną uwagę na balistykę, konstruuje różne pociski wybuchowe armatnie, a w pomysłach różnych dział dochodzi do prototypu armaty odtylcowej, mitrailez i karabinów maszynowych, tak zwanych organków, o trzech rejestrach po 11 puszek, t. j. na trzydzieści trzy wystrzały.

Leonardo powiada w swych pismach, że rajem dla nauk matematycznych jest mechanika, obrazowo objaśniając, że z ich drzewa zrywa się cudowny owoc wynalazku.

Aby dać jedynie pogląd na jego działalność wynalazcy, wystarczy, że wyliczyliśmy główniejsze jego wynalazki na tem polu.

Dzieła całego szeregu techników XV. wieku, włoskich i niemieckich, jak Fontany, Di Giorgio Martiniego, Velturri, Kyesera, Haasenweina i t. d., świadczą wymownie, że rezultat ich pracy, razem wzięty, nie da się nawet porównać, choćby w przybliżeniu, z miarą i głębokością pomysłów technicznych i z wynikami, do jakich doszedł ten generalny inżynier Cezara Borgii.

W jednej osobie połączył genialne zdolności wynalazcy, matematyka, konstruktora, mechanika i rysownika. To ułatwiało mu zamieniać myśl w doniosły czyn. Prawda, że w jego tysiącznych i tysiącznych notatkach, w tej spowiedzi wielkiego ducha, pojawia się tu i ówdzie błąd, jakieś mylne pojęcie, które on sam częstokroć prostuje, a zawsze zdaje sobie, w swej dziwnej nad wszelki wyraz prostocie, przypominać słowa Seneki: Errare humanum est.

Oto krótki obraz genialności Leonarda da Vinci. Śmiano się z jego wynalazków, patrzano, jak na maniaka. Tłumowi dworaków na dworze medyolańskim imponował raczej jego pomysłu mechanizm drewnianego i malowanego lwa, kroczącego po sali zam-

kowej na przyjęcie króla francuskiego, Franciszka I., zdumiewał więcej, niż jego wielkie myśli. Na dworze papieskim Aleksandra VI. nie rozumiano również Vinciego, patrzano z podziwem na latające potworki i figle techniki Leonardowskiej, ale nie zażywał on sławy Edisona! Gdyby były Włochy zużytkowały były geniusz Leonarda, stałyby się wtedy najpotężniejszem państwem militarnem i przemysłowem świata.

W dzisiejszych czasach byłby może wielokrotnym miliarderem, miał sławę i moc wstrzymania nawet strasznej wojny wszechświatowej, bo dobro i umiłowanie ludzkości było celem jego życia.

Leonard Lepszy.

Trwałość Kościoła, a prawo rozwoju[1].

Dotychczasowe rozważania ukazały nam Kościół Chrystusowy w jego istocie, celach i organizacyi. Wiemy, jakim go chciał mieć i jakim ustanowił Chrystus, uchwyciliśmy przynajmniej główne rysy jego wiekowego rozwoju, znamy go, jakim on jest dzisiaj. Ale myśl ludzka wybiega przed siebie, w przyszłość, i myśl wierzącego stawia sobie pytanie, co Kościołowi przyszłość gotuje, czy w objawieniu Bożem i w nauce samegoż Kościoła są jakieś pewne wskazówki co do przyszłych jego losów?

Możemy jedno z całą pewnością, jaką wiara daje, twierdzić, że Kościołowi zapewnionem zostało trwałe istnienie, dopóki istnieć i rozwijać się będzie na ziemi ludzkość. Drugą pewną prawdę twierdzić możemy, że w Kościele, pomimo zasadniczej jego niezmienności, dokonywa się ustawiczny i wielostronny rozwój i postęp, co pozwoli nam wywnioskować, że do końca swojej egzystencyi i egzystencyi ludzkości ziemskiej Kościół rozwijać się i postępować nie przestanie. Oto tezy dla dzisiejszego wykładu. Przedtem atoli dokonamy przeglądu rozlicznych teoryi, godzących w pewnik katolicki o trwałości Kościoła do końca świata.

[1] Z cyklu wykładów o Kościele, mianych w Krakowie w r. 1916—1917.

I.

Pierwszy szereg błędów co do trwania Kościoła można podciągnąć pod ogólną nazwę: o c z e k i w a ń n o w e j, w y ż s z e j e k o n o m i i z b a w i e n i a. Ta nowa ekonomia i ten nowy porządek miałby początek w nowem objawieniu się Boga w ludzkości, zasadniczo różnem i wyższem od religii Nowego Testamentu. Z chwilą takiego objawienia ustępuje z widowni świata Kościół, tejże religii wcielenie i stróż.

Już w pierwszych wiekach chrześcijaństwa miała dość zwolenników nauka tak zwanych c h i l i a s t ó w, albo m i l l e n a r y s t ó w, którzy, odwołując się do literalnie wziętego tekstu Objawienia św. Jana (rozdz. 20), oczekiwali, iż w krótkim czasie nastąpi pierwsze zmartwychwstanie, obejmujące tylko sprawiedliwych, którzy na lat tysiąc utworzą na tej ziemi królestwo mesyańskie: Chrystus w niem będzie królował osobiście, sprawiedliwi cieszyć się będą wielkim pokojem i pomyślnością, gdyż szatan na ten czas nie będzie miał żadnej mocy. Po tysiącu lat szatan, rozwiązany znowu na jakiś czas, wyda wojnę świętym, poczem nastąpi śmierć wtóra i zmartwychwstanie złych. Pewien odłam millenarystów pojmował rozkosze tysiąclecia w sposób najgrubszy: sprawiedliwi za każdą rzecz, którą dla Chrystusa opuścili, mieliby tego samego otrzymać sto razy więcej w owem królestwie.

Chiliastyczne co do istoty teorye odradzały się i w późniejszych czasach w rozmaitych odmianach. Zapowiedź owej nowej epoki świata zwykle upatrywano w obietnicy Chrystusa zesłania Pocieszyciela, Parakleta (Jan 14, 16). Odróżniając owego Parakleta od Ducha świętego, który w dziesięć dni po Wniebowstąpieniu Pańskiem, według Dziejów Apostolskich, zstąpił na pierwotną gminę wierzących, już m o n t a n i ś c i końca II. wieku twierdzili, że z nimi otwiera się nowa era historyi, era ducha, że ich wódz Montan, Frygijczyk, jest owym zapowiedzianym Parakletem, że zatem ci, co jego i jego uczniów objawień uznać nie chcą, katolicy, pozostają na niższym szczeblu życia religijnego — psychicy, podczas gdy oni, montaniści, są ludźmi prawdziwie duchowymi, pneu-

matykami. Wobec bezpośrednich stosunków z Duchem świętym Montana i jego uczniów, Kościół hierarchiczny, rządzony i nauczany przez biskupów, stawał się zbytecznym i jako taki miał upaść.

Podobnież i inni sekciarze zapowiadali nową erę, z upadkiem starego Kościoła połączoną. Manichejczycy w IV. i V. stuleciu zapowiedzianego Parakleta widzieli w swoim założycielu, Manesie. Nawet Mahometowi, który tak mało wspólnego miał z chrześcijaństwem, podszepnięto, że właśnie on jest zapowiedzianym przez Jezusa Parakletem. Wystarczyło mianowicie greckie „parakletos“ przeczytać „perikletos“, co znaczy „świetny“, by dopatrzeć się, że jest to to samo imię, co arabskie „Mahmed“.

W XII. stuleciu opat Joachim de Flore († 1202) ogłasza tak zwaną przez siebie „ewangelię wieczną“, która dzieli dzieje ludzkości na trzy epoki: Starego Testamentu czyli epokę Ojca, Nowego Testamentu czyli epokę Syna i nową epokę Ducha świętego, która, według Joachima, już została zainaugurowaną z chwilą zjawienia się życia zakonnego (zwłaszcza od św. Benedykta), rozkwitnąć ma atoli dopiero w przyszłości. Jest to epoka wolności ducha; cechować ją ma kontemplacyjne pojmowanie rzeczy Bożych. Chociaż sam Joachim, słynący ze świątobliwości życia i cieszący się sławą proroka, nie przepowiadał, by w onej trzeciej epoce miał upaść Kościół, zbudowany na opoce Piotra, jednak jego pisma przyczyniły się wielce do zrodzenia ruchu, znanego pod nazwą fratricellów, którzy wystąpili z silną opozycyą względem Kościoła urzędowego, będącego, według nich, zawadą w sprowadzeniu i utrwaleniu na świecie trzeciej epoki. Z tego też ruchu właściwie wyciągnęli ostatnie konsekwencye wiclefficii husyci, godzący wprost w powagę kościelnej hierarchii. Zauważmy jeszcze, że nasz domorosły ruch maryawicki ostatnich czasów wznawiał tylko pretensye i metody starych montanistów, z silną przymieszką nauki Joachima de Flore i praktyk fratricellów.

Pomiędzy zrodzonemi z protestantyzmu XVI. stulecia sektami, resztę kościelnej powagi i porządku, jaki nawet Luter musiał zatrzymać w swojem wyznaniu, odrzucili socynianie, anabaptyści, kwakrzy, irwingianie, mormoni, ad-

wentyści i inni bez końca. Podczas gdy socynianie (znani w Polsce pod nazwą aryanów), skłaniali się w zupełności do racyonalizmu, inne z wyliczonych sekt mają charakter więcej mistyczny i roszczą sobie prawo do bezpośrednich z Duchem świętym stosunków.

Odgrzewany w ciągu wieków w rozmaitych odmianach millenaryzm, albo odrazu, albo pośrednio prowadzący do zaprzeczenia trwałości istniejącego Kościoła, otrzymał w ubiegłem stuleciu niespodziewany sukurs ze strony filozofii. Hegel w swojem dyalektycznem prawie rozwoju dziejów ludzkości — od tezy przez antytezę do syntezy — skroił nową szatę dla starych pomysłów. Novalis i Schelling i inni konstruują historyozofię trzech epok i trzech Kościołów, po sobie następujących. Epoki te jużto będą chrzczone, śladem opata Joachima, imionami trzech Boskich Osób: Ojca, Syna i Ducha świętego, — jużto trzech apostołów: Piotra, Pawła i Jana. Rozmaici pisarze rozmaicie charakteryzują je i rozmaicie je dzielą, byleby wypełnić schemat tezy, antytezy i syntezy. Więc pierwszą epoką będą czasy przedchrześcijańskie, epoka materyi i zmysłów, drugą — czasy chrześcijańskie, epoka wyłącznego panowania ducha i supremacyi jego nad materyą, trzecią oczywiście będzie epoka syntezy obojga, t. j. ucieleśnienia ducha, uduchowienia ciała. Ten pomysł jeszcze w ostatnich czasach rozwija rosyjski powieściopisarz i poeta, Mereżkowski. Inni troistość wprowadzają do historyi samego chrześcijaństwa: Kościołem powagi, Piotra, jest katolicyzm, Kościołem wolności badania, Pawła, jest protestantyzm, wreszcie ma przyjść Kościół św. Jana, apostoła miłości. Znowu echa tej troistości znajdujemy u rosyjskiego filozofa, Sołowiewa, który w „Trzech rozmowach“ każe wschodniemu mistykowi, starcowi Janowi, pogodzić pod koniec świata ostatniego papieża, Piotra II., z przedstawicielem protestantyzmu, pastorem Pauli.

Na polski grunt schemat troistości w podziale dziejów przeszczepili głównie Krasiński i Cieszkowski. Ten ostatni, odstępując w szczegółach od swych niemieckich mistrzów, skonstruował najbardziej wykończony system historyozofii. Według niego, epoka pierwsza, Ojca, obejmowała czasy przed-Chrystusowe

i odznaczała się głównie panowaniem prawa zewnętrznego i przymusu; epoka druga, Syna, jest to chrześcijaństwo, której charakterystycznem znamieniem i treścią jest rozwój moralności indywidualnej; oczekiwana epoka trzecia, Ducha, Parakleta, nazywana również Kościołem Janowym, polegać będzie na doskonałem uspołecznieniu rodzaju ludzkiego. To uspołecznienie będzie religią przyszłości; dogmaty w nowej epoce będą niepotrzebne, straci racyę bytu kult religijny, upadnie organizacya kościelna. Krasińskiego „Przedświt", „Psalm nadziei", „Legenda", „Traktat o Trójcy", podają tę samą konstrukcyę dziejów i taką samą prorokują Kościołowi przyszłość. Bazylika św. Piotra rozsypuje się (w „Legendzie") w gruzy, grzebiąc ostatniego papieża i wierną mu szlachtę polską; na rumowiskach Kościoła zjawia się Jan święty, zwiastun nowej epoki.

Jeśli Krasińskiemu i Cieszkowskiemu nowa epoka świtała gdzieś w dalekiej przyszłości, to inni byli przekonani, że ona już nastała. W r. 1842 wystąpił publicznie T o w i a ń s k i, jako prorok i inicyator nowej epoki, mającej za zadanie — jakoby dotąd rzecz chrześcijaństwu zupełnie obcą — wprowadzenie zasad Chrystusowych do życia publicznego i polityki. Nie głosi on wprawdzie upadku Kościoła, ale skoro Kościół nie uznał jego posłannictwa, a pewne części jego nauki, przedewszystkiem pojęcia o duchach i metempsychoza musiały być potępione w imię katolickiego dogmatu, wyrabia się w kole zwolenników „mistrza" nastrój Kościołowi nieprzyjazny, któremu wyraz daje Mickiewicz w swoich „Wykładach literatur słowiańskich".

Romantyczno-hegeliańskiej historyozofii, która u nas przybrała (jak zresztą i gdzieindziej) postać mesyanizmu, wyznaczającego jużto Słowiańszczyźnie, jużto w szczególności Polsce (jak u niemieckich romantyków — Niemcom, a u rosyjskich marzycieli — caratowi) misyę sprowadzenia na świat i utrwalenia oczekiwanej epoki, nie zdołały stłumić do szczętu nawet trzeźwy pozytywizm, gruby materyalizm i socyalizm, — które zresztą, jak zobaczymy, są tylko inną odmianą odwiecznego chiliazmu — szukania raju na ziemi. Nawet Towiański i jego „sprawa Boża" nie przestaje mieć swoich zwolenników, acz nielicznych, którzy nadto

z opozycyą względem Kościoła istniejącego nie tak już występują, jak pierwotni towiańczycy, usiłując wmówić w innych, że posłannictwo „mistrza“ może i powinno być uznane przez najprawowierniejszych katolików.

Wyliczone dotąd pomysły, dotyczące przyszłości religii i Kościoła, idą torem, że tak powiem, wstępującym w górę. Jeżeli Kościołowi przepowiada się upadek, wraz z odejściem drugiej epoki dziejów, to wynika to — pominąwszy protestanckie sekty — niekoniecznie z nienawiści do Kościoła lub religii wogóle. Kościół spełnił swoje zadanie, — przyznaje się mu to, — i nie ubliża mu to wcale, że ustąpi doskonalszemu porządkowi w świecie, kiedy już będzie zbyteczny. Nowa, oczekiwana epoka stoi więc w takim stosunku do niego, jakie on sam zajął niegdyś względem Synagogi Starego Zakonu. Jak Synagoga, tak i Kościół ma ustąpić miejsca czemuś doskonalszemu, ma być nie tyle obalonym, jak raczej przetworzonym w coś wyższego.

Obok wyliczonych teoryi idzie drugi szereg systemów, które wprost wrogo do Kościoła się odnoszą, w istnieniu jego widząc nie tyle usprawiedliwiony i konieczny przejściowy stopień dziejowego rozwoju, jak raczej tegoż rozwoju zboczenie, skażenie jużto religii wogóle, jużto chrześcijaństwa w szczególności. Stąd przepowiadają upadek katolicyzmu i do tego dążą. Pod tym względem do tej kategoryi można zaliczyć wspomniany już wyżej protestantyzm, który zapowiadał się, jako powrót do „czystej ewangelii“, rzekomo przez katolicyzm skażonej. Nie inne stanowisko zajmuje nawet krytyczny kierunek liberalnego protestantyzmu, w swych najwybitniejszych przedstawicielach, takim np. Sabatier'ze lub Harnacku.

Lecz w rzekomem oczyszczaniu religii zdystansowali wierzących protestantów inni. D e i ś c i angielscy XVII. stulecia i ich duchowni synowie, r a c y o n a l i ś c i niemieccy XIX. wieku, usunęli z religii wszelki pierwiastek nadprzyrodzony, zaprzeczyli możliwości objawienia, cudów, sprowadzając całą religię do prawd czysto rozumowych, czyli czyniąc z niej jedynie rozdział filozofii. Z chrześcijaństwa nie zostawało nic, co się w ramki tej „religii rozumu“ nie układało; jeżeli coś z dogmatów zatrzymano, to chyba

tylko w charakterze symbolu jakiejś rozumowej prawdy. Ostatecznie religię redukowano do etyki, w Chrystusie widzieć chciano kaznodzieję moralnego, nic więcej. Oczywiście, że do ideałów racyonalizmu należy zupełne unicestwienie katolicyzmu, jako systemu religii objawionej i nadprzyrodzonej, i Kościoła, jako stróża dogmatu i kultu tejże religii. Wcieleniem tych dążeń jest międzynarodowa organizacya wolnomularstwa, które zresztą poszło już dalej, jak niebawem zobaczymy, dążąc raczej nie do oczyszczania religii z nadprzyrodzonych pierwiastków, ale do całkowitego jej usunięcia z życia.

Do niedawna, jakkolwiek przepowiadano upadek Kościoła, a nawet wogóle religii objawionej i pracowano nad przyspieszeniem tego upadku, zgadzano się na to przynajmniej prawie powszechnie, że jakaś religia, choćby czysto rozumowa, jest ludzkości koniecznie potrzebną. „Boga należałoby wymyśleć, gdyby go nie było", myśleli jeszcze encyklopedyści XVIII. stulecia. Dla założyciela p o z y t y w i z m u, Comte'a, Bóg już zbyteczny, ale religia wydaje się potrzebną, więc wprowadza do swego systemu religię i kult ludzkości; miejsce osobowego Boga zająć ma człowiek, jako najwyższy wykwit natury. M o n i z m organizuje kult religijny, którego przedmiotem jest jużto wszechświat, jużto życie, — religia biologii. Są ludzie, którzy z pobudek patryotyzmu, podniesionego do godności religii, radziliby powrócić do pogańskich kultów swoich przodków. Niemcom w takim razie przypada do gustu kult Odina, Włochom — Jowisza na Kapitolu. Jeszcze inni, ubóstwiając namiętności ludzkie, głoszą jako „religię przyszłości" — religię zmysłowego piękna i rozkoszy, czyli prościej mówiąc — kult Wenery. Katalog nasz przedłużyłby się znacznie, gdybyśmy chcieli dać przegląd wszystkich, błąkających się po głowach ludzkich i książkach, pomysłów i poszukiwań „religii przyszłości". Oczywiście, że i w tych pomysłach niema miejsca dla Kościoła i katolicyzmu, zapowiada się więc ich upadek, choć stwarza się jeszcze jakiś surogat religii.

Ale oto przychodzą najmłodsi i biorą rekord, śpiewając R e q u i e m nie tylko Kościołowi, albo chrześcijaństwu i religii objawionej wogóle. lecz religii wszelkiej, religii jako takiej. Ten

właśnie ideał przyświeca nowszemu a wpływowemu wolnomularstwu; w myśl jego prowadzi się wychowanie publiczne w nowoczesnej Francyi. Kościół upadnie, bo upadnie wogóle i upaść powinna religia — oto zasada i przepowiednia zarazem takich pisarzy, jak Guyau (książka jego „Irreligion de l'avenir"), jak Berthelota i całej zwłaszcza plejady materyalistów. Zanik religii w przyszłości jest dla nich pewnikiem; oni widzą już, jak umiera ona śmiercią głodową, coraz mniej znajdując w duszy człowieka nowoczesnego pokarmu dla swego utrzymania.

Czemże bowiem — zapytują prorocy „bezreligii" — żywiła się i utrzymywała, a po części i utrzymuje religia? Tem, że jest odpowiedzią na różne aspiracye ludzkiego ducha. Lecz te właśnie aspiracye człowiek kultury uczy się zaspokajać coraz bardziej niezależnie od religii. Na niskim stopniu rozwoju człowiek ucieka się do niej, gdyż czuje potrzebę istoty wyższej, któraby mu pomogła opanować siły natury i wyzyskać na jego korzyść. Stąd łatwo przypuszcza się istnienie jakiegoś bóstwa, które prosi się o deszcz, czy pogodę dla plonów, o odwrócenie ognia, czy nieprzyjaciela, o uleczenie choroby i przedłużenie życia. Dotąd jeszcze dzięki temu religia wśród mas się utrzymuje. Lecz zbliża się chwila, że nauka i oświata stanie się udziałem mas; wtedy i Bóg i religia staną się zbytecznymi. Wszak już dzisiaj wykształcony agronom więcej ufa sztucznym nawozom, niż obchodzeniu pól z procesyą lub święceniu ich. Angielski przyrodnik, Tyndall, z politowaniem patrzał w Szwajcaryi na ceremonię święcenia gór, by dostarczyły obfitej paszy bydłu: czyż nie z tym samym skutkiem mogliby ci ludzie modlić się o odwrócenie biegu Rodanu?... Chirurgia już dzisiaj więcej dokazuje cudów, niż woda z Lourdes. Ludzie więc kiedyś zaufają jedynie nauce i od niej tylko realnych korzyści wyglądać będą, zrzekając się cudu i wpływów nadprzyrodzonych. Gdzie nauka okaże się bezsilną, zdobędą się na stoicką rezygnacyę.

Czemże jeszcze żyje religia? Tem, że jest pierwotnym, wielu zadawalniającym światopoglądem, naiwną odpowiedzią na pytania: skąd się wziął świat, człowiek, i na co istnieje. Wiemy, co odpowiada religia, lecz dzisiaj nikt już z ludzi myślących nie idzie po metafizyczne odpowiedzi do religii; dzisiaj nauki przyrodnicze

i historya zastępują człowiekowi aż nadto rzekome objawienie Boże. Z biegiem czasu i masy ludowe przyswoją sobie naukowy pogląd na początek świata i pochodzenie człowieka, i religia znowu straci jeden z punktów oparcia.

Religia jest uważana jeszcze za podstawę i źródło sankcyi moralności. Ale i moralność już się wyzwala z pod jej opieki i sankcyę religijną odrzucając, laicyzuje się, staje się nauką i sztuką życia świecką. Ludzie w przyszłości będą postępowali moralnie mocą nabytych przez pokolenia i utrwalonych przez dziedziczność dobrych skłonności; rozumność i celowość będą jedynemi czynów ludzkich pobudkami.

Wreszcie religia trzyma się jeszcze i tem, że poniekąd zaspokaja estetyczny zmysł człowieka. W obrzędach religijnych, w śpiewie i muzyce, szukała i znajdowała dusza ludzka zaspokojenie aspiracyi swych do piękna. Dlatego wszystkie sztuki piękne były pierwotnie składnikami kultu religijnego, z niego się rozwinęły. Lecz i estetyka zdobyła już sobie niezależność od religii i ześwieczczona daje człowiekowi nierównie więcej, niż religia. Dziś człowiek cywilizowany szuka wrażeń estetycznych nie w kościele, lecz w galeryach sztuki, w teatrze, na koncertowej sali. Te świątynie, jak dzisiaj już pewnej klasie, tak w przyszłości masom wystarczą za nabożeństwa, za procesye, za wszystko, czego wyobraźnia i uczucie w kościele dotąd szukają.

Kiedy tak jedna za drugą różne dziedziny potrzeb duszy znajdują swój pokarm poza religią i kiedy laicyzacya nauki, moralności, sztuki, życia praktycznego, zatacza coraz szersze w społeczeństwie ludzkiem kręgi, co wreszcie pozostanie Kościołowi do roboty? Upadnie sam przez się, opuszczony od wszystkich, jako instytucya, która straciła racyę bytu. Bez Kościoła, bez religii, bez Boga — oto przyszłość dojrzałej ludzkości.

II.

Czy te złowróżbne zapowiedzi się spełnią? Czy religia wogóle zaniknie, albo przynajmniej czy obecny Kościół upadnie, ustępując miejsca jakiejś religii naturalnej, lub przeobrażając się w ja-

kąś nową, wyższą formę religii nadprzyrodzonej? Oto pytania, nad któremi mamy się zastanowić.

Zaczynamy od tego, cośmy w końcu przytoczyli: od perspektywy zupełnej b e z r e l i g i j n o ś c i. Chybilibyśmy celu, gdybyśmy przeciw zapowiedziom tego rodzaju pisarzy, jak Guyau, wystąpili z świętymi tekstami objawienia lub dowodów trwałości Kościoła szukali w rozważaniach teologicznych. Są one zresztą zbyteczne wobec faktów, które każdy zaobserwować może. Prorocy przyszłej bezreligijności zdają się przypuszczać, że obóz wierzących składa się tylko z ciemnego tłumu, dla którego obcemi są zdobycze współczesnej nauki i kultury, i z kliki naciągaczy, eksploatujących ludzką ciemnotę i łatwowierność. Czy jednak ci panowie nie zauważyli, że wśród wierzących i modlących się rzesz znajdują się i umysły wysoce kulturalne i że znajdują się tam nie na mocy samej tradycyi i przyzwyczajenia, ale z głębi świadomego przekonania? Chyba nie mało naliczyliby umysłów, dla których nie były żadną tajemnicą zdobycze nauk przyrodniczych, które całkowicie piszą się i na astronomię Kopernika, i na kosmologię Laplace'a, i na teoryę ewolucyi, które słowem w zupełności przyswoiły sobie naukowy światopogląd, — a jednak wierzą w Boga i modlą się doń? Chyba łatwo przekonać się, że są ludzie, którzy całkowicie uznają wartość nauki dla życia praktycznego, którzy korzystają z medycyny i chirurgii, prowadzą najracyonalniejsze gospodarstwa i przemysł, wyzyskując fizykę i chemię, — a jednak wierzą i modlą się? Że są artyści i estetycy, dla których nie jest obcym ani teatr, ani muzyka, ani sztuki plastyczne, a jednak odczuwają potrzebę religii i Boga? Że są moraliści, socyologowie i politycy, którzy nie zapoznają znaczenia wychowawczego opinii, prawodawstwa, policyi zewnętrznej, a jednak są przekonani o niemożliwości utrzymania dobrych obyczajów bez religijnej sankcyi, — i sami są religijni?

Na religię jest miejsce przy najdalej idącej kulturze, bo nieprawdą jest, jakoby religię rodziły tylko przesąd i naiwność, tylko strach lub interesowność pierwotnego człowieka. Religia naturalna najpierw opiera się na rozumnem przekonaniu o istnieniu Boga, przyczyny wszechrzeczy, Twórcy praw natury, a zatem ich

Pana, a tego przekonania nie zdołała obalić żadna nauka. Usunęła ona tylko baśnie i mitologię, przyczyniła się do oczyszczenia pojęcia Boga ze zbytnich antropomorfizmów, lecz Jego samego nie usunęła, a skoro i uczony może mieć przekonanie o istnieniu Jego, to z łatwością uzna obowiązek padnięcia przed Nim na kolana, by Mu cześć, jako Istocie najwyższej i najpotężniejszej, oddać, czyli uzna potrzebę religii.

Nie chcemy zaprzeczać, że interesowność pewna człowieka, jeśli nie zrodziła religii — wielkich faktów nie objaśnia się nędznemi przyczynami, — to może być zaliczoną do czynników, sprzyjających jej utrzymaniu. Ale też złymi psychologami są panowie, zapowiadający zupełny upadek religii w przyszłości. Wyzyskawszy do końca wszystkie zdobycze kultury materyalnej — nie tylko nawozy sztuczne, — będzie jeszcze miał człowiek o co modlić się i modlić się będzie. A gdy podniesie się na wyższy stopień filozoficznego myślenia, to zachowując wiarę w istnienie Istoty wyższej, będzie się nawet modlił o skuteczność tych właśnie środków, jakie mu nauka i kultura podaje, wiedząc, że cała ta skuteczność ostatecznie pochodzi od Twórcy natury i jej praw. Niech nie myślą panowie wolnomyślni, że człowiek wierzący, prosząc Boga o deszcz, zawsze żąda cudu, to jest nowej interwencyi Bożej w bieg natury i poprawiania tego biegu; już Ojcowie Kościoła wypowiadali myśl, że modląc się, wypraszamy często u Boga to, co On od wieków dla przewidzianej naszej modlitwy postanowił nam dać w czasie właściwym, tak kierując od początku siłami natury, by ten właśnie skutek w swoim czasie wyniknął. Słowem, przyczynowość fizyczna w naturze nie wyklucza wcale moralnej przyczynowości modlitwy. Przy całem więc zaufaniu do „sztucznych nawozów", wierzący agronom przyłączy się i do procesyi w dni krzyżowe.

Czy bez religii zdoła się ostać i utrwalić prawdziwa, godna człowieka moralność, to podobno najlepszą odpowiedź dają doświadczenia, poczynione tam, gdzie katechizm zastąpiono etyką niezależną. Guyau, który widział w przyszłości „moralność bez powinności i sankcyi", szkoda, że żył za krótko i zbyt wcześnie umarł, nie mógł więc ocenić, gdy pisał swą książkę, drzewa po

owocach. Wreszcie można się zgodzić, że pragnienie estetycznych wrażeń pełniej zaspokoi niejednemu sztuka, niż kult religijny. Lecz w kulcie nie wrażeń się szuka na pierwszym planie, lecz spełnienia obowiązku oddania czci Bogu, którego się uznaje.

Zresztą sztuka z religią mogą żyć w największej ze sobą zgodzie, jak dwie siostry rodzone, jedna drugiej nie przeszkadzając. Przynajmniej dotąd nawet wielcy artyści przeważnie bywali ludźmi religijnymi i w religii natchnienie do swej twórczości obficie czerpali. I zapewne natchnienie to będzie głębszem, jeśli artysta wierzy, iż ideał, który na płótnie lub w marmurze wciela, nie jest tylko subjektywną złudą, ale odczuciem naprawdę istniejącego Absolutu piękna i dobra.

Bądźmy spokojni o przyszłość religii, przynajmniej o ile mamy na myśli religię wogóle, religię naturalną. Zarówno psychologia, jak historya gwarantują jej trwałość. Nie mamy również potrzeby obawiać się o losy religii objawionej — chrześcijaństwa. Prawda, że pod podstawy jego czynione są ustawiczne podkopy. Tak zwana krytyka usiłuje rozpuścić całą jego nadprzyrodzoność. Atoli, choć te usiłowania trwają od lat przeszło stu, choć się metody zmieniały i wyczerpały pomysły, chrześcijaństwo stoi niewzruszone jako fakt, a podstawa jego — źródła objawienia, niby kolumna granitowa, oparła się zębom krytyki. Miejmy ufność, że i na przyszłość oprze się jej skutecznie.

Nie mamy tu również potrzeby polemizować z tymi, którzy przepowiadają upadek Kościołowi dlatego, że w nim upatrują skażenie prawdziwego chrześcijaństwa, — z protestantyzmem wszelkich odcieni. Nasza z nim polemika kończy się z chwilą, kiedyśmy udowodnili założenie Kościoła przez Chrystusa, Syna Bożego, który Mu obiecał swoje z góry kierownictwo i opiekę [1]).

Na tem miejscu, kiedy mamy mówić o trwałości Kościoła katolickiego, mamy na względzie przedewszystkiem te teorye, które uznają jego Boski początek i posłannictwo i nie odmawiają mu zasług i uznania, jednak przy tem wszystkiem sądzą, że misya Kościoła jest ograniczoną do pewnej tylko epoki historycznego rozwoju ludzkości, poczem Kościół ma się przeobrazić w inną, wyż-

[1]) Było to tematem pierwszego wykładu o Kościele.

szą i zasadniczo różną formę religii, pozbawioną np. hierarchii, sakramentów, a może i dogmatów. Wbrew tym teoryom nauka katolicka stale głosi, że Kościół, założony przez Chrystusa, jest i ma być z woli tegoż Chrystusa instytucyą trwałą i żadnej nowej, wyższej formie religii nie ustąpi. Możnaby go nazwać instytucyą wieczną, gdyby ten wyraz nie dawał powodu do złego tłómaczenia. To bowiem uznać trzeba, że kiedy Bogu spodoba się zamknąć zupełnie historyę świata i przeciąć bieg rozwoju ludzkości, kiedy po zmienności czasów rozpoczynać się będzie nieruchome trwanie wieczności, wtedy oczywiście i Kościół przeminie. Jest on bowiem instytucyą, która ma przygotowywać do zbawienia wiecznego dusze ludzkie. Skoro przy końcu czasów zabraknie już nowych istot, które trzebaby było uświęcać i zbawiać, to i Kościół stanie się niepotrzebnym. Kiedy nastąpi ogólne zmartwychwstanie zmarłych, po którem, jak mówi Chrystus, nie będą się ludzie ani żenić, ani za mąż iść, ale będą jako aniołowie Boga w niebie (Mat. 22, 30), wtedy wiara ustąpi wiecznemu i bezpośredniemu widzeniu Boga, nadprzyrodzone życie łaski, żywione teraz przez sakramenta, zamieni się w zatopienie się zbawionych w Bogu, wtedy też i Kościół walczący stanie się Kościołem tryumfującym, owem niebieskiem Jeruzalem, które zapowiada Jan św. w objawieniu, „a Kościoła nie widziałem w niem, albowiem Pan Bóg wszechmogący jest Kościołem jego i Baranek“ (Obj. 21, 22).

Dlatego też, kiedy się mówi o wieczności Kościoła, nie należy rozumieć tego powiedzenia tak, jakoby Kościół nigdy nie miał mieć końca, ale że przetrwa on d o k o ń c a c z a s ó w, do powszechnego zmartwychwstania. I gdyby ci, co przepowiadają nową, trzecią epokę, rozumieli pod nią owo eschatologiczne, wieczne, po zmartwychwstaniu mające nastąpić, królowanie Boże wśród sprawiedliwych, nicbyśmy im ze stanowiska nauki katolickiej nie mieli do zarzucenia; musimy atoli odrzucić ich koncepcyę, skoro swoją trzecią epokę, rozumieli pod nią owo eschatologiczne, wieczne, po ludzkości, jak to czyni wyraźnie np. nasz Cieszkowski, i w tak pojętej trzeciej epoce świata odmawiają miejsca Kościołowi.

Kiedy twierdzimy, że Kościołowi zapewnionem zostało przez Chrystusa przetrwanie poprzez wszystkie epoki doczesnej

historyi, mamy na myśli zasadnicze pierwiastki, które się składają na istotę Kościoła, jakim go poznaliśmy w poprzednich wykładach. Przetrwa Kościół, jako „filar i utwierdzenie prawdy“ (1 Tym. 3, 15), albowiem prawda, objawiona przez Boga, nigdy fałszem stać się nie może, a dopóki nie przejdzie w błogosławione widzenie wieczności, musi opierać się na słowie Bożem, być przyjmowana wiarą, a wiara musi mieć stróża nieomylnego, jakim jest nauczycielstwo kościelne.

Przetrwa kapłaństwo, dopóki ma trwać ofiara Eucharystyi, a ta trwać będzie, według zapewnienia św. Pawła apostoła, „aż przyjdzie Chrystus“ na sąd żywych i umarłych (1 Kor. 11, 26), — dopóki trzeba będzie „robotą posługiwania“ doprowadzać ludzi do Chrystusa i karmić ich dusze Jego łaskami, „aż, jak tenże Paweł oznajmia, wszyscy się zejdą w jedność wiary i poznania Syna Bożego, (aż urośnie ludzkość), w męża doskonałego, w miarę wieku zupełności Chrystusowej“ (Efez. 4, 13), a zawsze zachodzić będzie potrzeba tego posługiwania świętego, dopóki rodzić się będą ludzie z duszą do zbawienia przeznaczoną. Dlatego przetrwać ma poprzez wszystkie epoki i hierarchia kościelna, której zapewnił Jezus swą Boską obecność i opiekę „aż do skończenia wieku“ (Mat. 28, 20), — przetrwa zatem i ten kamień węgielny, na którym budowa Kościoła się wznosi i z którego trwałość swą bierze— prymat świętego Piotra w jego następcach. „Na tej opoce zbuduję Kościół mój i bramy piekielne nie zwyciężą go“ (Mat. 16, 18).

Słowem, Kościół, owo ciało mistyczne Chrystusa, trwać będzie dotąd, dopóki ludzkość będzie potrzebowała czerpać łaski z zasług Golgoty; woda chrztu, który, jak wiemy, wszczepia człowieka w ów mistyczny organizm, będzie dotąd spływała po głowach ludzkich, dopóki będą na świat przychodziły istoty z plamą grzechu pierworodnego na duszy. Wzrost ciała mistycznego Chrystusa dobiegnie swego kresu dopiero wtedy, kiedy i dla ludzkości przyjdzie kres jej ziemskiej, materyalnej egzystencyi.

Dlatego Kościół do siebie stosował owe zapowiedzi proroków Starego Zakonu, (Iz. 9, 6—7; 61, 8—9; Jer. 31, 31—36; 32, 40; Dan. 2, 44; Oz. 2, 19), którym z oddali świtał obraz królestwa trwałego na ziemi, nie ustępującego miejsca innym, jak ustąpiła

miejsca Kościołowi Synagoga, jak upadły jedne po drugich królestwa, oglądane w duchu przez Daniela (2, 44). Kościół, to królestwo „nieporuszone", jak je nazywa Paweł św., wykładając zapowiedź Aggeusza proroka (Do Żyd. 12, 28).

Cóż więc sądzić o oczekiwaniach trzeciej epoki religijnego rozwoju ludzkości, epoki Ducha św., Kościoła św. Jana i jakkolwiek jeszcze inaczej nazwać ją zechcemy? Trzeba przyznać, że koncepcya ta ma w sobie coś pociągającego. Pewne prawo troistości jest jakby wrodzone umysłowi ludzkiemu; Hegel nie zupełnie je zmyślił, lecz podpatrzył zręcznie w operacyach naszej myśli. Dla chrześcijan i dogmat Trójcy świętej może być pewną okazyą czy pokusą do tego, by troistość jakąś odszukać w dziejach ludzkości. To są pewne psychologiczne momenty, które tłómaczą nam, dlaczego w ciągu wieków ta koncepcya trzech epok, tyle razy zapominana, tyle razy znowu wypływała. Ale trzeba stwierdzić, że mimo to nie ma ona oparcia w źródłach Objawienia; owszem, jak widzieliśmy, jest im przeciwną.

Prawie jedynem miejscem ewangelicznem, na które zwolennicy trzeciej epoki lubią powoływać się, jest obietnica Jezusa Chrystusa: „A ja prosić będę Ojca, a innego Pocieszyciela da wam, aby z wami mieszkał na wieki, Ducha prawdy... Pocieszyciel, Duch święty, którego Ojciec pośle w imię moje, on was wszystkiego nauczy i przypomni wam wszystko, comkolwiek wam powiedział... Jeszcze wam wiele mam mówić, ale teraz znieść nie możecie. Lecz gdy przyjdzie on Duch prawdy, nauczy was wszelkiej prawdy". (Jan 14, 16; 14, 26; 16, 19). Lecz gdzież tu doszukać się choćby jakiegoś śladu zapowiedzi dalekiej, trzeciej epoki, którąby miała zluzować epokę ewangelii Chrystusowej? Czyż nie dość jasno wyraził Chrystus, że przyjście Pocieszyciela nastanie rychło, że będzie udzielony jeszcze samym apostołom, i dlatego „On o Mnie, mówi Chrystus, świadectwo dawać będzie, i wy świadectwo wydawać będziecie" (Jan 15, 27). Czyż do tej zapowiedzi nie jest komentarzem historycznym opis Dziejów Apostolskich, że po 50 dniach napełnieni zostali apostołowie Ducha św. i poczęli mówić rozmaitymi językami, jako im Duch święty wymawiać dawał?" (Dz. Ap. 2, 4). Gdzie jest podstawa do twierdzenia, że Paraklet

Pocieszyciel jest kimś różnym od Ducha św., trzeciej osoby Trójcy Przenajświętszej, jak to utrzymywali niektórzy heretycy, albo że jeśli jest jednem i tem samem, to dopiero kiedyś, po wiekach istnienia Kościoła Chrystusowego, zainauguruje nową doskonalszą epokę, jak chce np. Cieszkowski? Czyż nie wyraźnie zapowiedzianą została Jego obecność i działanie właśnie w Kościele Chrystusowym, od początku istnienia jego aż do końca? Jeżeli więc chce ktoś koniecznie dzielić dzieje na trzy epoki, z odniesieniem każdej z nich do innej osoby Trójcy świętej, powinien chyba przyznać, że trzecia epoka rozpoczęła się zaraz po odejściu Chrystusa z tego świata, w wieczerniku jerozolimskim, że my zatem i cały Kościół żyje w niej i działa.

Odwołują się zwolennicy trzeciej epoki i do słów modlitwy Pańskiej: „Przyjdź królestwo Twoje!“ Dla Cieszkowskiego jest to największy ewangeliczny argument. Skoro się modlimy — powiadają — o przyjście królestwa Bożego, więc ono jeszcze nie przyszło, więc jeszcze go oczekujemy; ono właśnie przyjdzie w nowej epoce Ducha świętego. Lecz czyż słowa modlitwy naszej są rzeczywiście pozbawione sensu, jeśli w taką wymarzoną epokę nie wierzymy? Przypomnijmy sobie, jak Chrystus Pan mówił o nadejściu tego królestwa; wszak chyba nie powiemy, że inne królestwo zwiastował, a o inne modlić się nam kazał. Zapewne zawsze w ustach Jego było ono jednem i tem samem. Otóż ogłaszał On swoim współczesnym, że „przybliżyło się już królestwo Boże“, że jest już pomiędzy nimi: „Królestwo Boże w was jest“. I jednocześnie każe się modlić o przyjście królestwa. Czy przeczy samemu sobie? Nie, tylko pojęcie tego królestwa posiada tak bogatą treść, że może pod rozmaitymi kątami widzenia być rozpatrywane. Królestwo, założone przez Chrystusa, to nowe przymierze Boga z ludźmi; p o c z ą t e k jego widzimy w samym Chrystusie i jego dziełach, r o z s z e r z e n i e jego ma polegać na wcielaniu doń coraz nowych członków i na coraz ściślejszem zespoleniu ich z Bogiem, na zapanowaniu Boga w sercach, u w i e ń c z e n i e wreszcie — na bezpowrotnem i nieutracalnem zjednoczeniu się odkupionej ludzkości z Bóstwem w wieczności. Możemy więc modlić się o przyjście królestwa Bożego, choć ono już dawno jest między nami i w nas;

bo możemy pragnąć, aby ono coraz szersze w ludzkości zataczało kręgi, jąk owe drożdże, włożone do mąki przez niewiastę ewangeliczną, aby w nas samych Bóg coraz doskonalej królował i posłuch woli swej znajdował, wreszcie, abyśmy się stali uczestnikami wiecznego królowania z Bogiem w niebie. Dość zatem treści posiada modlitwa Pańska i bez zmyślania jakiejś nowej, poza-kościelnej i bez-kościelnej epoki religijnej na ziemi.

III.

Czy jednak rozpatrywana przez nas koncepcya nie posiada w sobie jakiejś dozy prawdy? Sądzę, że tak i zaraz to postaram się udowodnić. Uważam za fikcyę i to niezgodną z dogmatami wiary, jakąś nową epokę religijną na ziemi, w którejby Kościół stał się zbytecznym i upadł, a Duch święty bezpośrednio działał w jednostkach w sposób zupełnie odmienny, niż w epoce kościelnej, w epoce Syna. Ale nic nie stoi na przeszkodzie nadziei i pragnieniu, aby Duch święty, który mieszka z nami od Wieczernika i ożywia Kościół Chrystusowy, wylał na ludzkość w większej obfitości skarby łask swoich. W tej wszak intencyi Leon XIII. papież rozpisał w swoim czasie osobne modły, które corocznie przed świętem Zesłania przez dziewięć dni do Ducha św. zanosimy. Duch święty nie jest duchem zastoju, lecz duchem wzrostu i postępu. Przypomnijmy sobie, do czego przyrównał Chrystus swoje królestwo. Podobnem jest ono „ziarnu gorczycznemu, które wziąwszy człowiek, wsiał na roli swojej, któreć najmniejsze jest ze wszego nasienia, ale kiedy urośnie, większe jest ze wszech jarzyn i stawa się drzewem“ (Mat. 13, 32). Przypomnijmy sobie, że Kościół jest to ciało mistyczne Chrystusa, rozwijające się i doskonalące, aż osiągnie pełność rozwoju, godnego takiej Głowy. Czynnikiem wewnętrznym tego rozwoju i udoskonaleńia się Kościoła jest właśnie Duch święty, dusza jego.

A rozwój ten i doskonałenie się są wielorakie i wielostronne, jak wielorakiem jest bogactwo życia Kościoła. Zastanówmy się po szczególe nad niektórymi jego objawami. Kościół, to organi-

zacya publicznego Bożego k u l t u i rozdawnictwa ł a s k B o ż y c h. Czy pod tym względem niema postępu w Kościele? Prawda, że ten kult i te łaski są co do istoty swej zawsze te same; ale jakże co do formy się zmieniają, jakże co do obfitości rosną! Jakże odmiennie na oko przedstawia się eucharystyczna ofiara apostołów, owo proste łamanie chleba w ciasnem kółku jakiegoś domowego kościoła, a taż sama ofiara w rozkwicie przepychu towarzyszących jej ceremonii i śpiewów pod sklepieniami bazylik i katedr naszych, ozdobionych we wszystko, na co sztuka zdobyć się mogła! Jakże się zmieniają, stosownie do rozmaitości czasów i miejsc, rozmaite nabożeństwa, podobne do kwiecia, co z każdą wiosną pokrywa na nowo urodzajne drzewo! Sakramenta są wiecznie te same w Kościele, ale jakże ich administrowanie stosuje się do coraz nowych potrzeb i ułatwia się wiernym! Łaski są te same, lecz czyż nie wydają coraz to nowych owoców? Zwróćmy uwagę choćby tylko na ostatnie stulecie: jak wspaniale przedstawia się w Kościele rozkwit życia zakonnego w coraz to nowych kongregacyach; jak rozgałęzioną jest organizacya dzieł miłości bliźniego i praca społeczna w duchu zasad ewangelicznych!

Wzrostowi wewnętrznemu odpowiada i rozwój zewnętrzny o r g a n i z a c y i kościelnej i p r a w o d a w s t w a kościelnego. Od prostych i krótkich formuł, jakie w Dziejach Apostolskich (r. 15) znajdujemy, do dekretów Stolicy świętej, do fakultetów prawniczych XII. wieku, do „Corpus Juris Canonici", do nowego kodeksu, jaki z rąk Benedykta XV. otrzymujemy w tej chwili, co za długa a owocna w postęp droga!

Kościół jest królestwem p r a w d y. Że ta prawda, objawiona z góry, jest w sobie samej niezmienna i jako taka straży Kościoła powierzona, o tem mówiliśmy przeszłym razem. Ale i ta prawda to nie jest wielkość nieruchoma, to nie kapitał martwy, ale to organizm idei żywych, który pod tchnieniem Ducha prawdy ustawicznie rośnie i rozwija się. Tak, same niezmienne dogmaty posiadają swoje odrębne życie, podległe swoim własnym prawom. Krótkie i proste słowo, rzucone przez Chrystusa lub apostołów, krótki artykuł pierwotnego symbolu wiary, jakaś pierwotna praktyka liturgiczna — stają się przedmiotem zastanawiania się refleksyjnego umysłów

wyższych w Kościele, idą pod dyskusyę szkół teologicznych: i oto prawda staje się coraz wyrazistszą, coraz bardziej rozczłonkowuje się, niby drzewo z prostej łodygi wypuszczające coraz nowe konary i gałązki. Orzeczenia soborów i papieży, przy nieomylnej asystencyi Ducha św., utrwalają zdobyte rozumienie pierwotnej prawdy w nowych, ścisłych formułach, które znowu staną się punktem wyjścia do dalszych dyskusyi, do dalszych wniosków i zastosowań.

Kto miał sposobność badania historyi dogmatów, ten zdumiewać się musi nad tem organicznem życiem prawdy w Kościele, życiem, którego prawa już konstatował w V. wieku mnich z Lirynu, Wincenty, a potwierdził w XIX. wieku Sobór Watykański, rozwinął zaś wspaniale jeden z najgenialniejszych teologów nowoczesnych, kardynał Newman [1]). Objawienie Boże, to księga, którą czytają i jednostki i Kościół cały, a czytają z coraz to lepszem zrozumieniem, odkrywając coraz to nowe głębie i perspektywy myśli. To wszystko ostatecznie dzieje się dzięki działaniu w Kościele Ducha św. i dziać się przy Jego pomocy będzie aż do skończenia wieków.

Czy niema jeszcze innego postępu w Kościele? Przywykliśmy do narzekania na zepsucie moralne naszych czasów w porównaniu z czasami dawnymi. Śmiem mimo to twierdzić, że i w obyczajach ludzkie wciela się coraz bardziej duch ewangeliczny, że Kościół to nie tylko organizm prawdy, ale i organizm rosnącego dobra. Mogą być w tem rośnięciu chwile zastoju, czy nawet cofania się; postęp bowiem, jak w innych dziedzinach, tak i w tej, idzie zygzakowatą drogą; jednak zaprzeczyć go trudno. Mogą być jednostki i całe koła bardzo występne, nie przeszkadza nam to jednak podnieść i tego, co bez wątpienia jest dodatniem. Chwalimy, i słusznie, średnie wieki za ich żywą wiarę, za ich ideały chrześcijańskie, ale nie zapominajmy, że obok heroicznych cnót były one świadkami i wielkich publicznych zgorszeń. Charakterystyczną jest rzeczą, że nawet wśród wyższego kleru zdarzały się takie zgorszenia, jakich już w naszych czasach w tych sferach nawet wystawić sobie nie umiemy jako możliwych. Kościół przeszedł pokusę,

[1]) O dogmatycznym rozwoju w Kościele pisałem obszerniej w „Przeglądzie Powszechnym", grudzień 1904.

która wynikała z jego ówczesnej misyi wśród wyłaniających się z barbarzyństwa młodych narodów, i ostatecznie i sam znacznie uduchowił się i społeczeństwa umoralnił. Sama już wyższa skala wymagań, jakie stawia opinia publiczna życiu katolików, a zwłaszcza kleru, świadczy o pogłębieniu ideału moralnego i o spopularyzowaniu go wśród szerszych kół społecznych.

Duch moralności ewangelicznej przenika i do tych kół, które są dalekie od wiary i Kościoła. Nie tylko zło, ale i dobro jest zaraźliwe. Dzisiaj i inne wyznania, nawet nie chrześcijańskie, owszem, koła wprost niewierzące, mogą się wykazać nie małymi rezultatami na polu dobroczynności publicznej i organizacyi społecznej w duchu uznania praw i godności jednostki ludzkiej. To powolne przekształcanie się stosunków ludzkich nie jest ani dziełem, ani zasługą niewiary, jako takiej; to są owoce Ducha św., „który tchnie, gdzie chce", jak mówi Pismo św., to są wyniki zasad, które Chrystus ogłosił, które Kościół światu wciąż przypominał i które w miarę możności w życie wcielał. Jeżeli nie mamy już dzisiaj, przynajmniej w dawnej postaci, wśród cywilizowanego świata — niewolnictwa, jeżeli uznajemy wartość i godność jednostki i zazdrośnie walczymy o jej prawa, to bynajmniej nie wypłynęło z ducha ani starożytnej cywilizacyi, ani z odrodzonego humanizmu naturalistycznego, ale z ducha ewangelii, która jednostce przyznaje nieśmiertelność duszy i godność dziecka Bożego. Jest to już komunałem, że i hasła rewolucyi: wolność, równość, braterstwo! zapożyczonemi zostały z ewangelii, poza którą nie mają zresztą dobrego sensu. Co rewolucya dała oryginalnego, to tylko bezwzględność i gwałtowność, z jakiemi chciała wcielić w życie te zasady, które Kościół powoli i stopniowo wciela, — czem właściwie doprowadziła na wielu polach do zaprzeczenia samej siebie, ugruntowując nowy absolutyzm państwa i nową niewolę jednostki.

Pozostaje nam pragnąć, aby duchem ewangelii, duchem ogłoszonej przez Chrystusa powszechnej sprawiedliwości i miłości, przeniknęły nie tylko poszczególne ugrupowania ludzi, ale całe narody we wzajemnych do siebie stosunkach. Nie tylko życie prywatne, nie tylko stosunki ekonomiczne i społeczne, ale i polityka narodów winna stać się chrześcijańską. Nie pierwszy To-

wiański tę zasadę ogłosił, bo ona stara, jak chrześcijaństwo i była dość często przez Kościół przypominana. Wszakże w osiągnięciu ideału pod tym względem jesteśmy podobno dopiero u początku drogi, którą przebyć należy, — i dlatego zrozumiałemi się stają wizye przyszłości umysłów głębszych i serc szlachetniejszych, przepowiadające nam nową epokę królestwa Bożego w doskonałem uspołecznieniu, w zupełnem przeniknięciu wszystkich stosunków ludzkich duchem Chrystusowym. Zrozumiałemi się stają nawet samozwaństwa tych, którzy sami siebie za inicyatorów tej epoki podawali, i posłuch, jaki u wielu znaleźli. Ale mylą się i sprzeniewierzają się, może nieświadomie, prawdzie katolickiej, jeśli oczekują tej wielkiej w świecie przemiany bez współudziału Kościoła, lub w osiągnięciu jej widzą zniknięcie Kościoła z widowni świata. Jak w zakresie moralności prywatnej, tak i w polityce, Kościół i jego najwyżsi pasterze są głosicielami zasad Chrystusowych, zasad powszechnej sprawiedliwości i miłości. Niech tylko przysłuchuje się świat głosom Leona XIII., Benedykta XV., niech idzie za nimi, a epoka oczekiwana przybliży się. Nie potrzeba do tego ani nowego Objawienia, ani unicestwienia religii Syna i Kościoła, i epoka ta, jeżeli rzeczywiście nastąpi, nie będzie żadnem przeciwieństwem, ale owszem dalszym ciągiem i pełniejszem rozwinięciem w życiu tych zasad, które i dzisiaj wyznajemy i głosimy.

Czy w rzeczy samej przyjdą kiedyś błogosławione czasy, kiedy lew i jagnię obok lęgać będą, na pewno nie wiemy. Powtórzę, co raz powiedziałem, że nad historyą ludzkości nie ciąży żadne fatum, któreby nadawało kierunek jej biegowi pomimo i wbrew zbiorowej woli samych ludzi. Przyszłość będzie taką, jaką ją oni uczynią. Jeżeli zapragną przyszłości lepszej i, dawszy miejsce działaniu Ducha św., będą sami z nim usilnie współdziałali, królestwo Boże w pełniejszej niż dzisiaj mierze zrealizują na ziemi. Będzie to zarazem nowym tryumfem i nowym rozkwitem Kościoła Chrystusowego.

Ks. Jan Urban.

Ze sztuki spółczesnej w krakowskiem Muzeum Narodowem.

(Dokończenie).

Malczewski a Leon Wyczółkowski[1]) różnią się zasadniczo tem między sobą, że gdy pierwszy z nich już od początku swej karyery artystycznej skłaniał się ku „idealizmowi“, to drugi był i pozostał zwolennikiem „pozytywizmu“ w malarstwie. „Idealizm“ i „pozytywizm“ mają tu znaczenie — ma się rozumieć — konwencyonalne i służą jedynie do scharakteryzowania pewnych kierunków w granicach sztuki, która ze swej istoty nie jest czem innem, jak dążeniem kulturalnego człowieka ku ideałowi.

Kierunek, jakiego trzyma się Wyczółkowski, najdobitniej zaznacza się w jego portretach, których 18 — rysowanych węglem, pastelami i malowanych olejno — znajduje się w Muzeum. Trzymają wśród nich prym: olejny „Portret Kasprowicza“ i pastelowy „Por-

[1]) Ur. w r. 1852 w Warszawie, gdzie był uczniem prof. Gersona w Szkole rysunkowej od r. 1869 do 1875. Następnie był uczniem prof. Wagnera w Monachium, a w r. 1876 wstąpił do „majsterszuli“ pod Matejką w Krakowie. Później wyjeżdża na Ukrainę, gdzie bawi lat dziesięć. W r. 1905 zamianowano go profesorem krakowskiej Akademii sztuk pięknych.

Wyczółkowski wyróżnia się między współczesnymi malarzami polskimi tem, że opanował zarówno technikę olejną, jak i pastelową, i że jest w tej drugiej mistrzem niezrównanym. Maluje przytem z tem samem powodzeniem portrety, krajobrazy, zwierzęta, kwiaty i martwą naturę.

tret Chełmońskiego". Gdy zestawi się je z równie dobrymi portretami Malczewskiego, widać ogromne bogactwo spółczesnego polskiego malarstwa portretowego. Ci dwaj jego przedstawiciele — Malczewski i Wyczółkowski — zapewniają mu jedno z pierwszych miejsc w spółczesnem malarstwie europejskiem. Zasadza się zaś to bogactwo na nieprzebranej obfitości środków, jakimi jeden i drugi z tych majstrów rozporządza, środków, pozwalających każdemu z nich tworzyć arcydzieła w odmiennej formie.

„Portret Kasprowicza" jest to dzieło bardzo silne i energiczne, trochę szorstkie i rudymentarne, głębokie treścią, a realne w kształtach, jak dzieła tego największego z żyjących naszych poetów. Taką jest zresztą cała twórczość Wyczółkowskiego. I, jeżeli dzieła Malczewskiego przez swe wewnętrzne pokrewieństwo przypominają czasem Słowackiego, czasem cudowną prozę poetyczną Reymonta, to widok dzieł Wyczółkowskiego budzi w naszej duszy echa poezyi Kasprowicza, z jej smętnemi, lecz pomimo bólu pełnemi siły refleksyami, ujętemi w formy jakby lane ze spiżu.

Zestawienie dzieł sztuk plastycznych z dziełami poezyi i wyszukiwanie między niemi powinowactwa jest u nas, więcej niż u jakiegokolwiek narodu, dozwolonem, nawet wskazanem. Wszystko bowiem, co stworzył intellekt polski w czasach porozbiorowych, stanowi organiczną całość, ożywioną tym samym patryotyzmem, przybierającym rozmaite kształty. Czyż można np. twierdzić, że nie ten sam duch ożywiał Mickiewicza i Matejkę przy tworzeniu ich arcydzieł?... Czyż nie świeciła im ta sama gwiazda przewodnia — Polska?... Czyż Grottger nie jest po duchu bratem Romanowskiego?...

W portretach Wyczółkowskiego uderza pewna zamaszystość, której wielce zrównoważony Malczewski nie posiada. Wszystko oniemal, co na płótnie odtworzył ten ostatni, dałoby się wprost odtworzyć w rzeźbie, bo jakieś tchnienie klasycznej posągowości owiewa kształty jego postaci; Wyczółkowski zaś jest tylko malarzem, u którego wrażenie barwy ma większy walor, niż rysunek, a efekt plam jasnych i ciemnych — większe znaczenie, niż bryłowatość. Ten iście malarski rozmach daje się najlepiej obserwować na „Portrecie Chełmońskiego", w którym, im dłużej go oglądamy,

tem więcej zalet malarskich się odkrywa. Jest ów rozmach wyrazem zdrowej, powiedziałbym młodzieńczej siły, cechującej Wyczółkowskiego nawet w jego ostatnich dziełach, po których trudnoby domyśleć się wieku autora.

Jako portrecista, nie jest on w tym stopniu malarzem typu, co Malczewski. Porównajmy np. jego 5 portretów p. F. Jasieńskiego, znajdujących się w Muzeum, z Malczewskiego portretem tej samej osobistości, (o którym wyżej była mowa). Co za ogromna różnica! Wyczółkowski nie pochlebił wprawdzie swemu modelowi, ale nie zaakcentował jego cech charakterystycznych, jak to uczynił Malczewski; jemu nie chodziło o typ, on trzymał się ściśle w granicach indywidualności. Stąd też portrety Wyczółkowskiego, przedstawiające p. F. J., będą budziły po latach mniejszy interes, niż portret Malczewskiego — na razie jednak są więcej aktualne.

Równie aktualnym jest „Portret Żeromskiego", w ogólnem wrażeniu ponury i przygnębiający, jak „Dzieje grzechu".

Znakomitym portrecistom zdarza się czasem odtworzyć na płótnie taką podobiznę, wobec której widz zapomina, że ma przed sobą malowidło, a wydaje się mu, iż patrzy na żywego człowieka. Takim jest np. ów słynny „Portret Juliusza II-go" przez Rafaela, takimi są niektóre z autoportretów Rembrandta, takim jest wreszcie, choć w mniejszym stopniu, „Portret gen. Dembińskiego" przez Rodakowskiego (Muz. Nar.). Na czem polega wywołanie tego rodzaju złudzenia — to pytanie, na które równie trudno odpowiedzieć, jak na to — dlaczego arcydzieła Szopena, interpretowane przez niego samego, czyniły daleko większe wrażenie, aniżeli interpretowane przez spółczesnych a równych mu wirtuozów fortepianu? Tyle tylko jest pewnem, że nie chodzi tu o mechaniczne uchwycenie podobieństwa. Ileż to razy widzi się portrety „bajecznie" podobne, a mimo to nie czyniące artystycznego wrażenia. Oczywiście więc geniusz, czy wielki talent, malarza miewa niekiedy sposoby szczególne wyrażania się w dziełach sztuki, a więc i w portrecie; ale określić tych sposobów nie może ani on sam, ani ktoś postronny, bo, leżąc poza granicami rozumowania, są one kategoryą cech, które stawiają sztukę w rzędzie najwyższych objawów du-

cha ludzkiego, dostępnych nie dla rozumowania, lecz tylko dla uczucia.

Wyczółkowski w swych krajobrazach jest, w przeciwieństwie do Malczewskiego, *glebae adscriptus*. Nie tworzy ich, lecz umie wybierać piękne motywy i wiernie się ich trzyma. Wystarczy, aby o tem się przekonać, popatrzeć na jego „Woły", zaprzężone w kilka par do pługa, krającego o wczesnym poranku tłusty czarnoziem ukraiński. Pastel ten działa niesłychanie nastrojowo — zdaje się, że wdychamy woń skib świeżo zoranych i słyszymy głos poganiającego ich parobka, wczuwamy się odrazu w ten step bezbrzeżny, utopiony we mgle wilgotnej, której nie zdołało jeszcze w zupełności rozproszyć słońce.

Kontrastowo odbijają od powyższego krajobrazu tegoż artysty krajobrazy, oparte na motywach tatrzańskich. Jest ich w Muzeum, wedle ostatniego katalogu, sztuk 9 (ile jest schowanych w pakach — niewiadomo). Wszystkie one odznaczają się tem, że ich autor umiał doszukać się w naszych górach efektów, które uchodziły dotąd oku innych pejzażystów. Surowa powaga, znamionująca Tatry, znalazła w nich pełny wyraz. Powietrza w tych krajobrazach dużo, koloryt może trochę za posępny, ale to widocznie pochodzi od pewnych stanów atmosfery, w których artysta z upodobaniem Tatry ogląda.

A znów kontrastem do tych surowych widoków tatrzańskich jest skąpany w słońcu, śmiejący się „Widok Granady", z szafirowemi górami Alpuhary na skraju horyzontu. Wobec tego widoku najlepiej można podziwiać wielostronność Wyczółkowskiego, malującego równie łatwo i pochmurne niebo północy i słoneczne niebo południa. Mówi także o jego wielostronności fakt — rzadki do zauważenia wśród współczesnych malarzy, lubiących się specyalizować — że z tem samem umiłowaniem i z równą znajomością maluje i step i góry.

Na pozór wydaje się malowanie kwiatów rzeczą wielce łatwą. Lubią bardzo uprawiać tę gałąź malarstwa dyletanci, szczególniej kobiety, a nawet wielu artystów zawodowych „bawi się" malowaniem kwiatów w chwilach wolnych od prac poważniejszych — jednak jak rzadko spotykamy kwiaty naprawdę dobrze, nie

szablonowo namalowane lub narysowane! Otóż jednym z mistrzów w tym rodzaju malarstwa jest Wyczółkowski. Wprawdzie Muzeum Narodowe posiada niewiele kwiatów tego artysty, ale i po nich wnioskować można, jak umie on kwiaty malować. Do malowania kwiatów dałoby się zastosować niejedno z tego, co wyżej powiedziałem *à propos* portretów. I rzeczywiście, przy malowaniu kwiatów dochodzą do godnych uwagi rezultatów tylko ci z artystów, którzy umieją na nie patrzeć, którzy widzą w nich ogólną masę barw i kształtów, a nie gubią się w szczegółach. Tak czyni Wyczółkowski i dlatego jego kwiaty mają w sobie tyle prawdy i świeżości, stawiających je o całe niebo wyżej od malowanych przez innych malarzy kwiatów, ładnych z bliska, a płaskich i bez życia, gdy się je ogląda z pewnej odległości.

Wyczółkowski jest także pierwszorzędnym malarzem martwej natury, która to gałąź malarstwa jest u nas obecnie całkiem zaniedbaną. Ile może dokonać na tem polu utalentowany malarz, dowodem „Krucyfiks król. Jadwigi", też prawdziwa ozdoba Muzeum. Powinnoby ono postarać się o posiadanie większej liczby prac Wyczółkowskiego w tym rodzaju, między które liczy się jego słynny „Skarbiec na Wawelu".

Jak wiadomo, należy Wyczółkowski do najtęższych pastelistów wśród spółczesnych malarzy polskich. Doprowadził on technikę pastelową do *maximum* doskonałości i zdołał dać swym pastelom siłę, nie ustępującą w niczem sile malowania olejnego. Mówi o tem „Dziad" (Muz. Nar.), w którym zdumiewa energia techniki pastelu, widywanego zwykle przy odtwarzaniu miękkich główek kobiecych albo dziecięcych, o niezdecydowanych konturach i kształtach. Żal doprawdy, gdy się pomyśli, że te arcydzieła pastelowe są względnie nietrwałe w porównaniu do malowania olejnego i że po szeregu lat przyszłe pokolenia nie będą mogły niemi się rozkoszować.

Wyczółkowskiego można pokrótce tak określić: talent duży, męski, wielostronny, czerpiący swą siłę bezpośrednio z przyrody. Kto zaś tak gorąco umiłował przyrodę swej ojczyzny i z takiem zamiłowaniem odtwarza ją w swych dziełach, jak ten artysta, ten jest godzien być postawionym tuż obok Malczewskiego.

„Popielec", wielka akwarella Juliusza Fałata [1]), w 1880 roku wystawiona na widok publiczny, sprawiła niemałą sensacyę w świecie artystycznym i zwróciła powszechną uwagę na mało przedtem znanego malarza. Szczególniej wśród jego kolegów po pendzlu zainteresowanie było wielkie, bo zobaczyli akwarellę z półpostaciami naturalnej wielkości, malowanemi w sposób, o jakim nie mieli wyobrażenia [2]).

Malowanie wodnemi farbami, starsze o wiele od malowania olejnego, które, jak wiadomo, zaczęło się upowszechniać dopiero w drugiej połowie XV-go wieku, zostało przez to ostatnie zepchnięte na plan drugi. Wprawdzie malowanie freskowe, do dziś dnia uprawiane, posiada analogiczną technikę z techniką malowania wodnemi farbami, a do malowania miniatur używa się przeważnie akwarelli, lub jej podrodzaju — gwaszu, to przecież malowanie olejne stało się główną techniką w malarstwie czasów nowożytnych. Dopiero Anglicy (Cozens, Smith, Turner) i Niemcy (Alt, Passini) przywrócili akwarelli po części jej dawniejsze znaczenie.

U nas i przed Fałatem malowano dużo akwarelli — tej techniki używał wyłącznie tak znakomity malarz, jak Juliusz Kossak — ale były to raczej rysunki kolorowane, niż samoistne malowidła akwarellą, w których szukanoby osiągnięcia efektów ró-

---

[1]) Ur. w r. 1853 w Tuligłowach, pod Jarosławiem, w Galicyi, z ubogiej rodziny. Po ukończeniu szkół średnich zamierzał zostać technikiem i pracował u architekta Gąsiorowskiego. Tam zapoznał się z malowaniem akwarellą, a zarazem poczuł w sobie powołanie artystyczne.

Po studyach w Krakowie i Monachium (pod prof. Raabem) odbywa podróże do Włoch, Hiszpanii i dookoła świata, styka się następnie na polowaniach u ks. Radziwiłła z cesarzem Wilhelmem II, który, zachwycony jego talentem, ściąga go do Berlina. Tam wykonuje w r. 1894 „Panoramę Berezyny" do spółki z Wojciechem Kossakiem, a przy udziale Wywiórskiego, Pułaskiego i Stanisławskiego.

W r. 1895 zostaje dyrektorem krakowskiej Akademii Sztuk pięknych, a ustępuje w r. 1910 po ostatecznej reorganizacyi tej uczelni.

Fałat jest jednym z malarzy polskich najwięcej przystępnych dla cudzoziemców. Stąd też dzieła jego znajdują chętnych nabywców zagranicą. Sam zapalony myśliwy, stał się u nas klasycznym malarzem scen myśliwskich.

[2]) W kilka lat później wystawieni także w Krakowie „Węglarze", posiadają wszystkie zalety „Popielca", ale w stopniu daleko wyższym.

wnie silnych, równie przypominających naturę, równie różnorodnych, jak efekty, zdobywane przy technice olejnej.

Dopiero Fałat, doskonale zresztą władający także techniką olejną, pokazał, że akwarella, umiejętnie użyta, pozwala na zdobywanie efektów niesłychanie kolorystycznych, mających nawet wyższość nad efektami, wydobywanymi przy malowaniu olejnem, przez to, że są świeższe, bo w akwarelli można malować tylko *à la prima*, nie kładąc jednych farb na drugie. Nawet przy fresku, który maluje się częściami, można pozwolić sobie na poprawki — odbija się tynk na pewnej przestrzeni, nakłada inny i maluje na nowo. W akwarelli zaś raz położona plama barwna musi pozostać bez poprawek. Skutkiem tego dobry akwarelista winien być zdecydowanym, pewnym siebie tak co do konturu, jak światłocienia i barwy.

Niestety, dorobek artystyczny Fałata o wiele słabiej przedstawia się w zbiorach Muzeum, niż dorobek dwóch artystów, o których mówiłem poprzednio. Przypuszczam atoli, że zostanę zrozumianym, gdy będę przedstawiał i oceniał Fałata, boć niema chyba u nas inteligentnego człowieka, któryby nie znał jego prac, czy to w oryginałach, czy też w tak licznych reprodukcyach.

Zwracam tedy uwagę czytelnika na „Zaloty myśliwca“, na „Studyum chłopca“ i na „Robotnika włoskiego“. Choć wcale nie najwybitniejsze pomiędzy innemi pracami artysty, posiadają one co dopiero wymienione warunki dobrej, w całem tego słowa znaczeniu, akwarelli; wykonane są ręką wprawną i pewną, a koloryt ich czyni wrażenie siły i świetności. Inna, wielka ich zaleta leży w dosadnej charakterystyce postaci przedstawionych, zdradzającej niepospolity zmysł obserwacyjny malarza. Oprócz tego imponuje w nich prostota faktury. Niema tam jednego niepotrzebnego pociągnięcia pendzlem, jednej niepotrzebnie położonej farby, co tak razi u akwarelistów, którzy nie owładnęli w zupełności tym sposobem malowania i poddają się bezcelowej p r z y p a d k o w o ś c i swego pendzla.

Od wymienionych akwarel Fałata prowadzi droga wprost do jego słynnych scen o tematach, zaczerpniętych z polowań prze-

ważnie na Litwie, scen, które wyrobiły mu sławę daleko poza granicami ojczyzny.

Ale z przykrością trzeba stwierdzić, że ani jednej takiej sceny niema ani na ścianach Muzeum, ani w katalogu (chyba, że jakaś leży schowana w pakach). Brak to bardzo dotkliwy, luka, którą zarząd Muzeum winien jak najprędzej wypełnić w interesie choćby własnej dobrej opinii. Artysta wyrobił sobie w tych scenach specyalną markę i był czas, gdy rozbudził niemi zastęp więcej lub mniej szczęśliwych naśladowców. Nic w tem dziwnego, bo kipiały życiem, mieściły w sobie mnóstwo wybornie podpatrzonych typów, od magnata począwszy, a skończywszy na strzelcuwielkopańskim i chłopcu wiejskim z nagonki, a malowane były z iście mistrzowskiem zacięciem i niezrównaną swobodą. Las, okryty najczęściej grubą warstwą śniegu, stawał tam przed oczyma widzów w majestacie swych piękności, w jakie obfituje polska zima.

Jest też Fałat, jako pejzażysta, przedewszystkiem malarzem lasu i śniegu. Literatura nasza obfituje, począwszy od klasycznego opisu puszczy w „Panu Tadeuszu", we wspaniałe opisy krajobrazów leśnych. Kraszewski, Sienkiewicz, Reymont i wielu, wielu innych, kochają się formalnie w lesie. Może to wynik atawizmu, bo w Polsce zachowały się dłużej, niż na zachodzie, wielkie kompleksy leśne, a ich piękno pobudza jeszcze teraz naszych malarzy do twórczości. Od jakichś lat dwudziestu malowanie śnieżnych krajobrazów weszło u nas w modę. Ale tak malować śnieg, jak Fałat, umie nie wielu malarzy. Rzecz godna uwagi, że Fałat ma większe upodobanie do drzew szpilkowych, niż liściastych, i że nawet, powiedziałbym, lepiej je maluje. Szczególniej jego jodły są wspaniałe, a bory sosnowe pełne melancholii. To też jednem z najlepszych dzieł pejzażowych Fałata jest krajobraz w „Panoramie Berezyny", wykonany przeważnie przez niego lub pod jego kierownictwem, gdzie rozległe płaszczyzny, śniegiem okryte, zamykają dookoła czerniejące lasy sosnowe.

Ze swej podróży dookoła świata przywiózł Fałat wielką ilość szkiców i notatek, których znaczna część ukazała się na wystawach w Krakowie, Lwowie i Warszawie. Są one teraz skrzętnie poszukiwane przez amatorów - zbieraczy, raz dla swej egzotycznej

treści, a następnie dlatego, że bujny temperament malarski młodego ich podówczas autora, był w całym rozkwicie.

Dorobek artystyczny Fałata ilościowo cokolwiek ustępuje dorobkowi Malczewskiego i Wyczółkowskiego, ale jego ogólny charakter stawia go na równi z tamtymi — jest także rdzennie polskim, przez co nazwisko Fałata dobrze już zostało zapisanem w Panteonie sztuki polskiej.

Talent jego zaliczyć można do tych, co z natury swej są zawsze młodymi i świeżymi, przez co ku sobie pociągają. Specyalnego piętna poezyi na tego rodzaju talentach doszukiwać się nie trzeba, bo mają jej tylko tyle, ile jej daje sama przyroda malarzowi, bez domieszki ze strony jego twórczości poetyckiej. Zato są one powszechnie zrozumiałe, dostępne dla wszystkich i tem samem wywierają znaczny wpływ na kulturę artystyczną ludzi danej epoki.

* * *

Trzej malarze, których twórczość scharakteryzowałem pokrótce, przynoszą zaszczyt nietylko polskiej sztuce, lecz także zajmują należne im miejsce w spółczesnej sztuce całego świata. Ich dzieła, zestawione na wystawach zagranicznych z dziełami Niemców, Anglików, Włochów, a nawet Francuzów, nietylko nie tracą, lecz nawet zyskują skutkiem właściwej im świeżości.

To, że np. taki Malczewski, p o l s k i malarz *par excellence,* nie jest zrozumiałym dla cudzoziemców, niczego nie dowodzi, bo obcy, nie poznawszy dotąd wogóle naszej duszy, naszej kultury, jeszcze nie nauczyli się nas cenić. Ale przyjdzie czas i na to.

Słusznie twierdzi Przybyszewski w swym znakomitym szkicu, po niemiecku napisanym: „O duszy polskiej", że za długo ceniliśmy sami siebie zbyt nisko, że czas już, abyśmy sami poznali, co jesteśmy warci i powiedzieli to innym. Powinniśmy więc powiedzieć im, między innemi, iż malarstwo nasze, podobnie jak nasza literatura, stawia nas w rzędzie narodów o kulturze tak wysokiej, że ona sama, pomijając inne względy, zapewnić nam winna prawo do życia.

Józef Trepka.

Czas pisania Pana Tadeusza*).

Pan Tadeusz, nasza narodowa epopea, powstał na obczyźnie, w Paryżu, w ciągu piętnastu miesięcy. Geneza tego poematu mieści się w listach. W grudniu 1832 r. zawiadamia Mickiewicz Odyńca: „Piszę teraz poema szlacheckie... już ukropiłem tysiąc wierszy"; w lutym zaś 1834 r. donosi: „Więc skończyłem wczoraj właśnie, pieśni ogromnych dwanaście" [1]). Mickiewicz jednak nie pisał Pana Tadeusza bez przerwy; luty i marzec 1833 r. stracił na przygotowaniu do druku tłómaczenia Giaura Byrona — a lipiec, sierpień i wrzesień tegoż roku na wyjazd do Szwajcaryi i Prowansyi, dla przypilnowania chorego Garczyńskiego. Na zajęcie się więc Panem Tadeuszem pozostało mu tylko dziesięć miesięcy.

Z powyższych dat wynika, że Mickiewicz na napisanie jednej pieśni rozporządzał czasem zaledwo jednego miesiąca. Ale i ten wniosek nie odpowiada rzeczywistości. W listopadzie bowiem 1833 r. pisze do Odyńca: „Piątą pieśń Tadeusza skończyłem". (Kor. I. 136). Przypuśćmy dla uproszczenia, że owo skończenie wypadło jeszcze w październiku, a otrzymamy, że pięć pierwszych pieśni tworzył przez sześć miesięcy, a siedm dalszych przez cztery. Wypadałoby więc, że na napisanie jednej pieśni potrzeba mu było zrazu istotnie miesiąc czasu, a gdy się wżył w treść, osoby i za-

*) Rozdział z wychodzącego obecnie z pod prasy drukarskiej dzieła: Prolegomena Pana Tadeusza, Kraków 1918.

[1]) Mickiewicz: Korespondencya. Paryż—Lwów 1880, I., 105, 143.

wikłania swego poematu, kompozycya szła jeszcze żywiej i w jednym miesiącu powstawały czasem dwie pieśni, t. j. jedna kartka naszej narodowej epopei na dzień. Poświadcza to naoczny świadek tych dziejów, poeta Bohdan Zaleski, który w wiele lat potem oświadczył synowi wielkiego epika: „Pisał po sto i sto pięćdziesiąt wierszy na dzień za jednym zamachem, które nam odczytywał wieczorami jeszcze nie zaschłe na papierze“ [1]).

Mickiewicz zasiadł do pisania P a n a T a d e u s z a, nie przygotowawszy sobie na papierze szczegółowo obmyślanego planu; epopeę naszą tworzył ustępami przerywanymi, poddając się zmiennemu prądowi natchnienia, i te następnie w chwilach refleksyi łączył wstawkami w odpowiednie całości [2]). Do rozpoczęcia pieśni szóstej nie wiedział właściwie dokładnie, ile ksiąg jego dzieło obejmie. Mając, zdaje się, czwartą pieśń gotową, donosił Odyńcowi: „Mam już trzy czwarte poematu“. (Kor. I. 125), a więc obliczał długość P a n a T a d e u s z a jakoby na sześć pieśni; skończywszy pieśń piątą, przewidywał poemat ośmiopieśniowy, bo powiada: „Piątą pieśń T a d e u s z a skończyłem, — trzy jeszcze zostaje“. (l. c. 136). Na tych słowach pobudowano nieco ryzykowne hypotezy o stopniowej przemianie treści P a n a T a d e u s z a i dobieraniu coraz to nowych motywów, które miały fabułę, zrazu skromniej nakreśloną, rozszerzyć w obraz bujniejszy i rozleglejszy, jaki obecnie to dzieło przedstawia.

Hypotezy te pochodzą tylko z nieuważnego rozpatrzenia źródeł. Niewątpliwie Mickiewicz, skończywszy czwartą pieśń, doniósł Odyńcowi: „Mam już trzy czwarte poematu“ — ale na niewiele tygodni przedtem, pisząc do Garczyńskiego, oświadczył wyraźnie: „Skończyłem trzecią pieśń T a d e u s z a, zanosi się na długą chryję“. (Kor. I. 117). Podobnież druga wiadomość w liście do Odyńca: „Piątą pieśń T a d e u s z a skończyłem, trzy jeszcze zostaje“ — znajduje sprostowanie w liście do Kajsiewicza: „Jestem na szóstej pieśni, do końca jeszcze daleko“. (l. c. 135). A więc słowa „długa chryja“ i „do końca jeszcze daleko“ — powinny każdego badacza równie zastanowić, jak arytmetyczne pewniki dla

[1]) Zaleski: Korespondencya. Lwów 1904. V., 109.
[2]) Pilat: Pamiętnik Tow. Mick. Lwów 1898. VI., 76, 78.

Odyńca, których znaczenia bez równoczesnych brulionów i autentycznych objaśnień Mickiewicza dziś niepodobna ocenić.

Mickiewicz, odgrywający wobec Odyńca zawsze rolę skończonego mistrza, wpajał w niego przekonanie, że tego, co rozpocznie, niechybnie dokona i ustawicznie donosił mu o stopniowem narastaniu ksiąg w tworzącej się epopei, aby w końcu zadziwić go wiadomością, że z tych niepewności powstało wreszcie niespodzianie „pieśni ogromnych dwanaście". Do nikogo nasz poeta w ciągu układania tego dzieła nie pisał o ilości zamierzonych ksiąg — tylko do Odyńca. Musiało to pozostawać w związku z sekretami tworzenia D z i a d ó w drezdeńskich, albo innych dzieł dawniejszych, którym Odyniec był przytomny. Ale doniesienie o ilości ksiąg nie jest przecież równoznaczne ze zmianą treści. Wynika z niego niewątpliwie, że perspektywa Mickiewicza na odległość zakończenia z biegiem pracy się zmieniała, ale nie koniecznie, iżby treść dzieła w umyśle jego równocześnie się przetwarzała. Udowodnić tego zapatrywania wobec braku autentycznych świadectw nie podobna; przecież nam się wydaje, że Mickiewicz nie byłby zdołał swego dzieła dokonać, gdyby wśród pisania, w czasie tak niesłychanie ograniczonym, plan swój co chwila zmieniał, figury główne przetwarzał i nowe motywa powieściowe do niego wprowadzał. Według naszego wyobrażenia, plan P a n a T a d e u s z a od rozpoczęcia pisania nie ulegał prawdopodobnie żadnym zasadniczym zmianom. Wydatność treści przy materyalnem jej ujmowaniu w księgi widocznie rosła, ale idealny zarys w umyśle poety pozostawał chyba od początku ten sam; czas wysunięcia pewnych rysów przed wykończeniem poematu mógł być nieustalony, ale ich istota i potrzeba były zapewne z góry przewidziane i przygotowane.

Ażeby tę osobliwą kwestyę odrazu jasno postawić, trzeba pominąć uboczne i nieraz bardzo ciekawe szczegóły kompozycyjne, które zresztą będziemy się starali o ile możności objaśnić — i odpowiedzieć na dwa podstawowe zagadnienia, t. j. czy Mickiewicz, zasiadając do pisania P a n a T a d e u s z a, miał zamiar dać nam wielkie dzieło epiczne i czy mimo rozmaitych wahań wśród tworzenia, postanowił je skończyć?

Otóż, zdaje się, z góry wolno oświadczyć, że Mickiewicz, biorąc się do pisania Pana Tadeusza, miał zamiar dać nam prawdziwą epopeę, a nie małą, wierszowaną powiastkę. Zamiar ten oznajmia zaraz na początku, gdy w piątym wierszu pierwszej księgi umieszcza inwokacyę epiczną: „Panno święta, co Jasnej bronisz Częstochowy". Inwokacyi takiej nikt nie kładzie u wstępu małej powiastki. W ślad za tem postanowieniem wprowadza zaraz do pierwszej księgi postaci czysto epiczne, które z zawikłaniem powieści mają bardzo małą łączność. Wojski, Assesor i Rejent nie byli mu potrzebni do objaśnienia historyi Robaka i dziejów sercowych Tadeusza i Zosi. A tymczasem pojawiają się oni odrazu w księdze pierwszej. Dlaczego widzimy ich tak wcześnie, przed poznaniem właściwej treści? Czy możebne przypuścić, żeby wielki kompozytor wysunął ich naprzód bez obmyślenia z góry, co zrobi z figurami głównemi? Zapewne nie. Ich pojawienie się w księdze pierwszej jest intencyonalną zapowiedzią ze strony poety doniosłej i obszernej treści epicznej. Byli mu oni potrzebni jako towarzysze i widzowie tej treści; mieli ją urozmaicić i wnieść do opowiadania element równowagi i wytchnienia. Zawsze jednakowi, niezmienni w ustalonej roli, przesądzają prawie, co się stanie. Powieść się potoczy, rozwinie i zakończy, a ich prawie nie zmieni. Jacy byli na początku, pozostaną do końca powieści i prawie bez zmiany mogliby się pojawić u rozpoczęcia nowej treści. Postaci takich nie wprowadza się nigdy do małych, kilkupieśniowych powiastek; zresztą nie zdoła ich nikt obmyśleć, tylko wielki epik. Skoro zaś Mickiewicz wysuwa ich zaraz w pierwszej księdze, to dowód naturalnie, że nas chce obdarzyć obszerną powieścią, w biegu której z figurami temi, jako dobrymi znajomymi, nieraz się spotkamy i zabawimy.

Także druga nasza niepewność, t. j. czy Mickiewicz zasiadł do pisania Pana Tadeusza z dojrzałem postanowieniem skończenia, da się rozwiązać twierdząco. Jeśli bowiem kiedykolwiek Mickiewicz o konieczności dokonania którego dzieła poważnie myślał, to właśnie Pana Tadeusza. Świadczą o tem nie tylko takie wyznania w listach, jak „siedzę w domu jak ćwiek i piszę", albo „wiele mam różnych zamiarów, ale je odpędzam, nim Tadeu-

s z a skończę" (Kor. I. 113, 135) — ale zarazem to, że mimo kilku przymusowych dwu i trzymiesięcznych przerw, przecież go skończył. Dzieło to sprzedał Mickiewicz, jak gospodarz zboże na pniu, mając zaledwo cztery pieśni w tece (l. c. 123), a doprowadziwszy pracę do połowy, treść jej podał do publicznej wiadomości przez pośrednictwo listu do Niemcewicza. Postanowienie więc skończenia, a nawet pewność, że go skończy, Mickiewicz w ciągu pisania P a n a T a d e u s z a stale posiadał, a zawahał się dopiero po skończeniu, gdy rzecz już była przesądzona. Oświadczenie bowiem po skończeniu: „Możebym T a d e u s z a zaniechał, ale już był bliski końca" (l. c. I. 143) — trzeba uznać znów za rodzaj nieobowiązującej przechwałki wobec Odyńca, którejby w liście np. do nakładcy nigdy nie umieścił.

Ażeby dobrze wyrozumieć te dziwne wahania poety w oznaczeniu rozciągłości P a n a T a d e u s z a, trzebaby znacznie więcej wiedzieć, niż nam dano. Rozważając rodzaj materyału, z którego powstał P a n T a d e u s z, widzimy, że dzieło to zawiera treść dwojaką, t. j. stałą i rozciągliwą. Do tej ostatniej liczymy opowiadania Wojskiego i niektóre epizody humorystyczne. Można je bez szkody dla całości skreślić, np. anegdotę o Domejce w księdze czwartej. Jak Mickiewicz na te rzeczy z punktu widzenia kompozytorskiego się zapatrywał, najlepszy dowód w tem, że dokończenie opowiadania o sporze Rejtana z księciem Denassów podał prozą w objaśnieniu, ponieważ mu do przedłużenia treści danej księgi nie było potrzebne; epizod zaś „Ostatnie szczucie Kusego i Sokoła" dorobił w ostatniej chwili przed oddaniem rękopisu do druku (Pilat l. c. 141—4). Rozporządzając więc dwojakim rodzajem materyału, mógł Mickiewicz dowolnie skracać lub rozszerzać długość P a n a T a d e u s z a, a zależało to tylko od tego, którą chwilę uzna za najstosowniejszą do zakończenia dzieła.

Mickiewicz, zasiadając do pisania P a n a T a d e u s z a, nie ułożył sobie szczegółowego rozkładu treści — przecież miał ustalone pewne idee, pewne decyzye i pomysły, które mu rozkład systematyczny zastępowały. Idee te upatrywalibyśmy w chęci uwielbienia kraju, lat i wspomnień dziecinnych, zwłaszcza owego roku jedynego, wiosny jedynej, która dla pamięci poety pozostała na

zawsze „świętą i czystą, jak pierwsze kochanie“. Co Mickiewicz z temi ideami łączył, okaże dalsze badanie. W każdym razie przejasna świadomość tych dwu idei dawała mu nić przewodnią w labiryncie tysiąca możebnych szczegółów przyszłej epopei.

Podobne ułatwienie wśród komponowania znachodził także w kalendarzu Pana Tadeusza, który nawet dla objaśnienia zagadek arytmetycznych dla Odyńca przydać się może. Pan Tadeusz bowiem dzieje się w piątek, sobotę, niedzielę, poniedziałek i wtorek, a potem następuje po przerwie omal nie całorocznej święto Matki Boskiej, nazwane przez forsowną licencyę poetycką Kwietną, miasto Zielnej. Na każdy z tych dni mógł Mickiewicz przeznaczać jedną do trzech pieśni. Istotnie piątek obejmuje jedną pieśń (I.), a poniedziałek trzy (VI.—VIII.). Otóż znajdując się przy opisie niedzieli, mógł Mickiewicz myśleć, że Pana Tadeusza skończy w ośmiu lub dwunastu pieśniach. Jest to objaśnienie, nad którem bez klucza zastanawiać się niepodobna, przecież do wyrozumienia rozmaitych oświadczeń Mickiewicza wśród tworzenia przydać się może. Nam się wydaje, że niespodziane wydłużenie opowieści o poniedziałku na trzy pieśni — było główną przyczyną pomyłek Mickiewicza w oznaczeniu ilości zamierzonych ksiąg.

Mickiewicz na całą treść Pana Tadeusza był zapewne z góry przygotowany — tylko ogniwa poszczególne, a właściwie doniosłość ich dla całości uświadamiał sobie stopniowo wśród pisania. Tak np. już od dawna było wiadomem, że tło historyczne ustalił sobie dopiero przy dokończeniu pieśni trzeciej, wskutek czego umieścił tam „Rzut oka na stan polityczny Litwy i Europy“, który następnie przeniósł na koniec pieśni pierwszej [1]). Ale z tego nie wynika, aby owego „Rzutu oka“ nie miał zamiaru z góry wprowadzić do tego poematu. Rozpoczynając bowiem Tadeusza, oświadczył odrazu: „Piszę teraz poema w rodzaju Hermana i Doroteа“, a sielanka taka bez dodania tła historycznego nie jest do pomyślenia. Tylko tło utworu Mickiewicza miało być znacznie szersze, niż Hermana i Doroty. „Piramidy, Tabor, Marengo,

[1]) Mickiewicz: Pisma. Paryż 1860. IV., 54. 147.

Ulm, Austerlitz [1]) — to dla niego magiczne wyrazy, w które zapewne więcej treści wkładał, niż prostoduszni zaściankowcy, gdy im ksiądz Robak na tabakierze jedną z tych bitew objaśniał. W dodatku o tych bitwach w Soplicowie wszyscy myśleli i ukradkiem ciągle rozprawiali. Czegóż się po tem spodziewać mamy? Chyba wkroczenia wojsk napoleońskich na Litwę, nabożeństw, zaręczyn, uczt, balów i aktów usamowolnienia włościan, mających kiedyś te dzieje zakończyć. A jeśli tak, to także ułagodzenie zatargu Sopliców z Horeszkami było z góry przewidziane, bo pocóżby „orły złote obok srebrnych" pojawiały się w cichej wsi litewskiej, gdyby nie miały roli pacyfikacyjnej w miejscowych stosunkach odegrać?

Mickiewicz, mimo braku szczegółowego programu, tak był pewnym głównych zarysów treści Pana Tadeusza, że od samego początku zaczął go poszczególnemi pieśniami odczytywać na schadzkach literackich u siebie. Skończywszy pierwszą pieśń, zaraz donosi do Drezna: „Piszę poema szlacheckie... ukropiłem tysiąc wierszy... podoba się bardzo szlachcie tutejszej". Jest to szczególną właściwością naszej epopei, że nie była wytworem tajnych gabinetów autorskich, ale powstała na swobodzie, przy względnej pomocy i doradzie otoczenia. Powtórzył się z nią ten sam proces twórczego współdziałania środowiska autorskiego, co w najdawniejszych, wybitnie oryginalnych dziełach naszej literatury, t. j. w Żywocie człowieka poczciwego Reja i Fraszkach Kochanowskiego. Czynnik ten na trzy pierwsze pieśni nie miał prawdopodobnie żadnego wpływu, ale w objaśnieniach do księgi czwartej czytamy już przypisek: „Niektóre miejsca pieśni czwartej są pióra Stefana Witwickiego". (Obj. w. 200—1). Wynika z tego, że od pieśni czwartej Mickiewicz treść Pana Tadeusza tak dalece w umyśle swym skrystalizował, że z pogodą jowiszową mógł przyjmować od przyjaciół wstawki i uwagi, które już pomysłu jego nadwyrężyć nie były zdolne.

W księdze tej znajduje się także anegdota o Domejce,

[1]) I., 898, 899. Cytaty nasze wierszy „Pana Tadeusza" i dzieł Mickiewicza odnoszą się do wyd. Biegeleisena: Dzieła Mickiewicza, I.—IV. Lwów 1893.

wprowadzona naturalnie z wdzięczności za przytułek, jaki znalazł w jego mieszkaniu na Carrefour de l'Observatoire i za trud w przepisywaniu rękopisu Pana Tadeusza do druku. Wyjeżdżając bowiem do chorego Garczyńskiego na południe, Mickiewicz pozostawił rękopis Pana Tadeusza w Paryżu i z Genewy przestrzegał Domejkę: „Rękopismu pilnuj, bo to jedyny egzemplarz, brulionu nie mam". Równocześnie zaś zapytywał go i uwiadamiał: „Czy przepisujesz Tadeusza? ...skopiowałem z biedą pieśń czwartą" — a więc tę właśnie, w której został na zawsze upamiętniony przyszły rektor uniwersytetu chilijskiego. (Kor. I. 127). Szczegóły te mówią wyraźnie, że od czwartej pieśni zaczął na Pana Tadeusza oddziaływać pierwiastek konwersacyi towarzyskiej, który niewątpliwie ułatwił wyłonienie całej treści, jaką Mickiewicz postanowił do Pana Tadeusza wprowadzić.

Wreszcie zauważyć należy, że już przy końcu pieśni piątej Mickiewicz doniosłość wszystkich składowych motywów fabuły Pana Tadeusza najdokładniej sobie uzmysłowił i nad materyałem, mającym tworzyć naszą narodową epopeę, szczegółowo zapanował. Ponieważ tu chodzi o treść księgi szóstej „Zaścianek", siódmej „Rada" i ósmej „Zajazd" — więc można stwierdzić, że one są zapowiedziane słowami Klucznika do Hrabiego: „Mówiłem panu zawsze: najechać, zajechać!". (V. 821). Równocześnie prawie w dopowiedzeniu tego wiersza oświadczył Mickiewicz Niemcewiczowi: „Piszę teraz właśnie poema wiejskie, w którem staram się ...skreślić obraz naszego życia wiejskiego, łowów, zabaw, bitew, najazdów etc. Scena dzieje się na Litwie około r. 1812. Pracę już do połowy doprowadziłem, ale obszerna jest i nie mało jeszcze roboty zostaje". (Kor. II. 189). A więc Mickiewicz dopiero w połowie pracy mógł szczegółowo treść Pana Tadeusza oznajmić, co inni poeci, bardziej systematyczni, zazwyczaj przed rozpoczęciem dzieła wiedzą.

Znowuż jednak z racyi zapowiedzenia motywu o zajeździe w samym tekście, nie trzeba sobie wyobrażać, aby Mickiewicz, dopiero pisząc piątą księgę, o wprowadzeniu tego zawikłania do historyi Pana Tadeusza pomyślał. Namówiwszy Hrabiego do

zajazdu, Klucznik duma nad wykonaniem tego zamysłu i powoli zasypia, a w śnie przewijają mu się barwne obrazki z dawnych zajazdów, między innemi wspomnienie zajazdu z Rymszą na Korelicze. (V. 897—903). Tymczasem o tym zajeździe opowiadał on Hrabiemu, gdy po raz pierwszy po zamku go oprowadzał i wtedy z satysfakcyą przechwalał się, jak jednego Soplicę z dymem puścił. (II. 346—352). Namówienie więc Hrabiego do zajazdu w księdze piątej jest tylko realizacyą jego marzeń w księdze drugiej. Brał on także udział w zajeździe myskim z Dobrzyńskimi (VII. 457—468) i o zajazdach ustawicznie przemyśliwał. Urządzenie to ogromnie mu się podobało; jest on właściwie ucieleśnieniem studyum Mickiewiczowskiego nad staropolską instytucyą zajazdu i od pojawienia się w powieści, a więc prawie od samego początku, był przez poetę przeznaczony na jej przedstawiciela i wykonawcę.

Z rozważania rozmaitych epizodów kompozytorskich w genezie Pana Tadeusza wypada, że czas tworzenia tego dzieła podzielić należy na dwa nierównomierne okresy, t. j. czas twórczości niejako zbiorowej, mający na celu oryentacyę w nastroju otoczenia, oddziaływujący korzystnie na umysł poety w stopniowem wyłonieniu i zrównoważeniu motywów powieściowych i trwający jedenaście, a właściwie sześć miesięcy, od grudnia 1832 r. do listopada następnego roku, i czas twórczości skupionej, bezwzględnie samodzielnej, w pełnej świadomości celu i programu, od listopada 1833 r. do lutego trzeciego z kolei roku. Z faktami tymi zgadza się także układ dzieła. Pan Tadeusz składa się bowiem z czterech warstw albo skupień treści, przedstawiających osobne etapy w tworzeniu, a rozdzielających się automatycznie na dwa wielkie okresy, czy wypoczynki ducha twórczego w opracowaniu całokształtu treści.

Warstwa wstępna, księgi pierwsza do trzeciej, obejmująca tezę „Gospodarstwo“ — piątek, antytezę „Zamek“ — sobota i zawiązanie intrygi romansowej „Umizgi“, odnoszące się także do soboty. Powstaje ona w niezależności od otoczenia, przygotowana prawdopodobnie z góry w pamięci co do najważniejszych szczegółów, na tle właśnie sielanki Goethego: Herman i Dorota. Najciekawszym faktem z dziejów tej warstwy jest pozostawienie

w zawieszeniu sprawy tytułu, który zjawia się dopiero wśród pisania trzeciej księgi i ma przypuszczalnie dosyć ważne znaczenie w historyi ujęcia treści.

Po tej warstwie następuje druga, w podniesionym nieco nastroju epicznym, na którą miały już niejaki, choć prawdopodobnie bardzo ograniczony wpływ, narady z Witwickim i Domejką. Obejmuje ona dwie księgi: czwartą „Dyplomatyka i łowy", z apostrofą poważną do lasów litewskich, z wybitnym wypadkiem polowania na niedźwiedzia, z nową postacią Jankiela i treścią, rozszerzoną opowiadaniem Wojskiego; następnie księgę piątą „Kłótnia" z bitką, a może lepiej z burdą na zamku. Obie dzieją się w niedzielę.

Po tych dwu warstwach, rozszerzających stopniowo księgi sielanki, zachodzi u Pana Tadeusza największe, a zupełnie organiczne, związkiem przyczynowo-skutkowym spojone i z całych pięciu ksiąg złożone skupienie treści, które oddziela dotykalnie twórczość niejako zbiorową od bezwzględnie samodzielnej. Jest to trzecia warstwa tego poematu, odgraniczona od poprzednich wprowadzeniem nowego elementu, t. j. żywiołu zaściankowego. Księga szósta „Zaścianek" i księga siódma „Rada" są tylko formalnie rozdzielone; księga ósma „Zajazd", jest ich dopowiedzeniem. Dzieją się one wszystkie w poniedziałek. Poczem następują nowe księgi, opowiadające następstwa poprzednich, t. j. dziewiąta „Bitwa" i dziesiąta „Emigracya, Jacek". Obejmują one dzieje wtorku, t. j. piątego dnia Pana Tadeusza, mającego jeszcze dosyć daleką styczność z historyą europejską, o którą poeta niebawem zahaczy.

Wreszcie warstwę ostatnią, dosyć ściśle zależną od wypadków pięciu ksiąg poprzednich, stanowi zakończenie dzieła, oddzielone przerwą omal nie całoroczną od epicznej treści Pana Tadeusza i oparte o doniosły wypadek historyczny pochodu Napoleona na Moskwę 1812 r. Obejmuje ona dwie księgi: jedenastą „Rok 1812" i dwunastą „Kochajmy się". Obie dzieją się w święto Matki Boskiej Kwietnej czy Zielnej, włączywszy jednak w ten czas także noc poprzednią, wigilijną.

Z początkowej fazy tworzenia Pana Tadeusza zacho-

wał się szczęśliwie fragment p. t. Żegota, który przedziwnie żywo tłómaczy nam, jak nieoznaczoną w niektórych zarysach i to najmniej spodziewanych dla umysłów, nieobytych z mysteryami tworzenia, była treść Pana Tadeusza, zanim pod wpływem twórczej woli Mickiewicza stężała w dzieło dwunastopieśniowe [1]). Fragment ten odpowiada dzisiejszej księdze pierwszej i należy do czasu, kiedy Mickiewicz treści następującej księgi szczegółowo sobie nie ustalił. W urywku tym Telimena nie była jeszcze mieszkanką, a więc i wielbicielką Petersburga, Wojski nie był jeszcze Wojskim, ale Rotmistrzem albo Strukczaszym u Sędziego, a Horeszkowie nazywali się Orzeszkami. Najważniejszą jednak różnicą pomiędzy Żegotą a Panem Tadéuszem było to, że bohater tego fragmentu przyjeżdżał w niedzielę do Soplicowa i to na imieniny stryja. Rotmistrz bowiem powiada:

Dobrze, mój Tadeuszu, żeś się dziś nagodził
Do domu, w imieniny stryja i w niedzielę,
Tem większe staruszkowi sprawimy wesele. (166—8).

W Panu Tadeuszu czytamy zamiast tego:

Dobrze, mój Tadeuszu, żeś się dziś nagodził
Do domu, właśnie kiedy mamy panien wiele,
Stryjaszek myśli wkrótce sprawić ci wesele. (I. 171—3).

Ale różnica ta jeszcze niebardzo zadziwia, bo tyczy się tylko kalendarza Pana Tadeusza i zagadki, jakie znaczenie mogły mieć imieniny stryja dla przyszłej treści — wogóle szczegółów, których roztrząsanie nie rokuje żadnych owoców w obecnym stanie źródeł. Prawdziwem jednak curiosum tego fragmentu jest dopiero przeoczenie, któreby uprawniało pozornie słuszny wniosek, że Mickiewicz czas działania Pana Tadeusza myślał początkowo przełożyć na rok następny po ogłoszeniu Ballad i romansów. W opisie bowiem obrazów, jakie Tadeusz zobaczył na tych samych miejscach przy powitaniu komnat dworu soplicowskiego, autor Żegoty obok Kościuszki i Rejtana, wymienia także Poniatowskiego z pod Lipska:

---

[1]) Po raz pierwszy ogłoszony w Dziełach Mickiewicza. Paryż—Lwów 1885. III., 299—315.

— — — — ówdzie na rumaku dzielnym
Książę Józef, rażony postrzałem śmiertelnym. (62—63).

Ponieważ obrazy te wisiały na tem samem miejscu od „dziesięciu lat“ — więc mogło się to dziać koło r. 1823.

Zwróciwszy uwagę na różnice tekstu Żegoty i Pana Tadeusza, trzeba uwzględnić także podobieństwa, które może są bardziej pouczające, niż różnice. Czytając uważnie rzeczony fragment, widzimy, że to nie jest urywek jakiejś inaczej zbudowanej albo w innym nastroju pomyślanej powieści — ale właśnie ułamek naszego Pana Tadeusza. Jest tu i Soplicowo i zamek Orzeszków i wszystkie następne motywa poczynającej się treści naszej epopei, t. j. przyjazd panicza, spotkanie z Zosią, wieczerza w Zamku, uwagi Sędziego o grzeczności i t. d. Osoby, rzeczy i tok powieści są tu już zupełnie ustalone — oprócz naturalnie wskazanych różnic; z tego fragmentu nie mogło nic innego powstać i zresztą z małemi zmianami nic innego nie powstało, tylko część pierwszej księgi Pana Tadeusza. To podobieństwo najwcześniejszego fragmentu do ostatniej i stosunkowo bardzo późnej redakcyi wskazuje, w jak dojrzałym stanie koncepcyjnym znajdowały się zarysy przyszłej epopei w umyśle Mickiewicza, zanim do pisania samego dzieła przystąpił.

Niemniej przed ostatecznem ustaleniem treści Mickiewicz musiał posiadać pełno szczegółowych wątpliwości, jakie kształty jego dzieło w końcu przybierze. Pomysł w głowie, choćby najlepiej przygotowany, a pomysł na papierze już utrwalony — to są dwie biegunowo przeciwne fazy koncepcyjne, które może dzielić przepaść wahań i odmiennie ukształtowanych rysów. Dlatego też początkowo Mickiewicz głównego bohatera poematu trzymał w celowem, czy też okolicznościowem ukryciu. Nie chcąc krępować imaginacyi żadnymi więzami, miał wzrok utkwiony tylko w przewodnią i najogólniejszą ideę swego dzieła: „poema wiejskie, poema sielskie, poema szlacheckie“, jak na razie nazywał naszą epopeę. Dopiero, jak wspominaliśmy, wśród pisania trzeciej księgi oznaczył swe dzieło dzisiejszym tytułem: Pan Tadeusz, a zacząwszy księgę szóstą, mógł spokojnie pomyśleć o drugiej jego połowie: czyli Ostatni zajazd na Litwie.

Ale na tem się jeszcze jego kompozytorskie niepewności nie kończyły. Pana Tadeusza zaczął Mickiewicz pisać rzekomo jako sielankę w stylu Hermana i Doroty, a skończył w nastroju „poważnej epopei", co do którego nawet się wahał, czy o pół tonu nie jest za niski. Niepewności te pozostawały w ścisłym związku z kształtowaniem i uzmysławianiem sobie treści. Nie tylko o ilość pieśni, ale zarazem o wysokość nastroju całego utworu Mickiewiczowi równocześnie chodziło. Donosząc o zaczęciu poematu, wspomina Goethego, żeby najpopularniej zagadnienie twórcze danej chwili określić: „Piszę teraz poema szlacheckie w rodzaju Hermanni Dorotea". (Kor. I. 105). Kończąc, miał podobno zgodzić się z zarzutami przyjaciół, że swary zaściankowej szlachty w księdze siódmej „zniżają nieco nastrój poważnej epopei" i wyraźnie orzekł: „W całym poemacie potrzebaby podnieść nastrój o jakie pół tonu". (Zaleski, Koresp. V. 113). W międzyczasie także porównywał swe dzieło z powieścią Waltera Scotta i porównanie to uznał za nieskromne. „Przebacz nieskromne porównanie" — pisze do Odyńca, myśląc o jego zasługach w upowszechnianiu poezyi wielkiego Szkota w Polsce. Wątpliwości więc wśród tworzenia Pana Tadeusza doznawał Mickiewicz wielu. Odnosiły się one zarówno do całości, jak części, zarówno do formy, jak układu, zarówno do artystycznych, jak rzeczowych względów. Pytanie teraz, o ile treść tego dzieła Mickiewicz z góry przysposobił? Co z Polski wywiózł, a co za granicą dodał? Co było owocem rutyny literackiej, a co doświadczenia życiowego? — wogóle z jakich uchwytnych problemów kompozytorskich powstała nasza narodowa epopea?

S. Windakiewicz.

Z cyklu: „OPOWIEŚCI CHRYSTUSOWE".

JAM JEST!

Długiem spojrzeniem objął Jezus z Nazaretu zasłuchane rzesze ludu, tysiące wilgotnych oczu wpatrzyły się w niego, w skupieniu olbrzymiem, a oto teraz, gdy spoczął na chwilę, to taka cisza była, iż dolatywał szum wezbranych strumieni, pędzących z wyżyny Gaslai w objęcia Jordanu i świergot jaskółek było słychać, zataczających podniebne kręgi.

Wiew wichru zmarszczył w tysiące fal drobnych jasną powierzchnię Tyberyadzkiego jeziora, rozfalował łany zbóż, aż srebrnymi tonami zadrgała zieleń, wzniósł obłoki kurzawy z białej drogi, ciągnącej się pobrzeżem i skonał u stóp Chrystusa, w cichej, przejmującej skardze...

Może od dolin nadleciał, od ludzkich siedzib i chat, może widział, jak w zapomnienie szła siła Jego słowa, potęga Jego nauki... Głuszyła ją dnia codziennego szara troska i życia krwawy trud... więc rozełkał się wiatr, jako matka żałosna u zwłok syna:

— Idą za tobą dziś... zaprą ci się za rok...

Za rok?

Jutro może...

Dreszcz lęku wstrząsa cedrów gałęzie, chylą się cyprysy, jako niewiasty zapłakane, a bolejące i nawet trawy młode, zda się, żałobą szumią...

Za rok...

A błękitne oczy Jezusa z Nazaretu pełnem litości i niepokoju spojrzeniem ogarniają rzesze...

Żniwo wielkie, a robotników mało...

Idąc na święta do Jeruzalemu, pielgrzymi przyszli posłuchać Mistrza z Nazaretu, o którym tyle dziwnych, tyle sprzecznych krążyło wieści, a nie znalazłszy go w Kapernaum, przyszli za nim aż tu, do stóp wyżyny Gaalad, ze swojemi choremi i ułomnemi... Przygnała ich tęsknota... może ciekawość tylko... ale oto dzień ma się ku schyłkowi, a żaden z nich jeszcze nie pomyślał o pożywieniu, żaden nie odczuł trudu przebytej wędrówki, nie wspomniał o konieczności powrotu... Było im... jako może ptakom jest, gdy w bezkres nieba się wzniosą, od ziemi oderwą, w przestrzeni utoną.

Chwilą, krótką jak mgnienie, zdał się im długi, wiosenny dzień i teraz dopiero, gdy Mistrz zamilknął... dojrzeli, że słońce gaśnie, mrok nadchodzącego wieczoru spowija ziemię, odczuli głód i trud... A jednak nikt nie powstał, nie przeciągnął ramion znużonych, nikt nie rzucił słowa „chodźmy"... W każdym z nich istniało mimowiedne pragnienie przedłużenia owej chwili, która im dała cud zapomnienia życiowych potrzeb i trosk, która rozwarła przed niemi jasną, daleką, nieznaną drogę w bezkres, dała nadzieje w zwycięstwo nad śmiercią, w życie od ziemskiego pełniejsze... I czekali... wpatrzeni tęsknemi oczyma w jasną sylwetkę Mistrza, bojąc się odejść, by nie stracić nic z potęgi Jego słów... bojąc się poruszyć, by nie spłoszyć nastroju chwili.

Wiara była w każdym z nich... wiara, która cuda czyni.

Jasny uśmiech przesunął się po ustach Jezusa z Nazaretu, spojrzał ku uczniom, w krwawej zorzy zachodu widział ich twarze skupione, płomienne oczy, rozchylone usta i rzekł miękko i cicho, wskazując w kręg:

— „Skąd weźmiemy chleba, by tych nakarmić?" Droga przed niemi daleka, za niemi całodzienny trud, a głodni są...

Uczniowie milczeli chwilę, usta Jana rozwarły się, jak gdyby coś powiedzieć pragnął i zamknęły bez dźwięku, Filip obliczał w myśli ilość koniecznego chleba i pieniędzy, drwiący, pełen lekceważenia uśmiech przesunął się po bladem obliczu Judasza z Ka-

riotu, z ciemnych głębin jego duszy, które na mgnienie ukoiła moc Chrystusowa, zerwała się myśl:

— Mojżesz mannę wyprosił głodnemu narodowi, a ten rzeszy ludu nakarmić nie może, a za Syna Bożego się ma...

A Szymon - Piotr ogarnął spojrzeniem tysiączny lud i rzekł:

— „Rozpuść ich, Panie, aby poszli do okolicznych wsi i osad i znaleźli pożywienie, bo jesteśmy tu na miejscu pustem, a oni nie mają, coby jedli“...

— Tak... rozpuść ich... mrok zapadnie niedługo, czas im o spoczynku pomyśleć i pożywieniu... jak i nam wszystkim... — dorzucił Mateusz...

A Chrystus rzekł, patrząc w nich badawczo:

— „Dajcie wy im jeść!“...

— Chleba za dwieście denarów nie starczy dla nich, chociażby odrobinę tylko dostał każdy — przerwał ciszę wahający się głos Filipa.

A Andrzej wstał i rzekł:

— Ale jeżeli chcesz Nauczycielu, pójdziemy, kupimy i przyniesiemy go.

— „Ile chleba macie?... Idźcie i zobaczcie“...

Uczniowie zeszli pomiędzy lud, a oto do Andrzeja przystąpił bosy, szarą łataną opończą okryty chłopczyna, o rudawej, na czoło spadającej grzywie i mówił cicho, podając mu kosz z wiklinowego pręcia, w którym leżało pięć placków jęczmiennych i na tle figowych liści dwie ryby.

— Ojciec mój, którego jesienią roku minionego Jezus z Nazaretu uzdrowił z trądu, przesyła mu w dziękczynieniu chleb z pierwszego zboża, które zasiał i zebrał na swoim łanie.. — Tu skończyła się wyuczona lekcya, którą powtarzał sobie w pamięci przez całą drogę i dodał, zająkując się i czerwieniąc: — A te ryby... oddaj je odemnie... ja także... pragnąłem... podziękować...

— Dlaczego, dziecko... nie zaniesiesz tego daru sam?

— Lękam się... ty bliższym Mu jesteś, Panie, i lepiej powiedzieć potrafisz... mnie... ja... nie umiałbym... O! powiedz Panu, że pragnąłbym mu przynieść coś najpiękniejszego... wrócił mi ojca... ale... biedny jestem...

Chłopięcy głos załamał się wzruszeniem, a Andrzej uśmiechnął się dobrotliwie.

— Pójdź ze mną... obaj zaniesiemy Nauczycielowi twój dar, miły mu on będzie, bo z serca szedł... i powiesz mu wszystko... sam... nie trzeba się lękać, nikt więcej od niego miłowania nie niesie ludziom.

Więc niósł Jozue za Andrzejem swój wiklinowy kosz i drżał wzruszeniem, niepokojem, idąc tak w górę ku białej postaci Mistrza z Nazaretu.

W jego młodej duszy wstawało wszystko minione długim korowodem zjaw i chłopięce serce wzbierało dziękczynieniem... O jakie to były ciężkie czasy, gdy matka ze łzami opowiadała mu o chorym, tułającym się zdala od domu ojcu, gdy zazdrościł innym dzieciom ojcowskiej pieszczoty, pocałunku, opieki... o nawet kary... sierotą się czuł i więcej, aniżeli sierotą. A we wsi zwano go pogardliwie: Jozue, syn trędowatego i stroniono od niego, jak gdyby zaród choroby nosił w sobie. A w domu brakowało silnych, męskich ramion, zarastała chwastem odłogiem leżąca niwa, matka była wątła, przywykła do ulegania mężowskiej woli, on dzieckiem był, wysiłek ich dwojga zaledwo na codzienny chleb starczył, a przecież... niegdyś, podobno do zamożnych należeli w osadzie... I tylko troska z niemi mieszkała, jako wierna towarzyszka codzienna, a gdy siadywali na progu chaty wieczorem, to wraz snuła się myśl bolesna: gdzie tuła się teraz ojciec i mąż?... Może głodem przymiera, może jego spieczonym ustom nie ma kto wody podać... I cień tej myśli gasił w łzach urodę matki, a w nim dziecięcą swawolę, czynił go poważnym i dojrzałym nad wiek... Lata mijały... lata do szarej, jednostajnej nici lnu podobne, aż przyszedł dzień... cudny, niezapomniany... gdy na progu chaty stanął człowiek blady, jak wid, o pooranej bliznami twarzy... przeląkł się go w pierwszej chwili, sam był w izbie, ale wędrowiec wyciągnął do niego ramiona i zawołał... tak, jak nikt na niego nie wołał w życiu:

— Jozue... synu!

A on padł, łkając, w te rozwarte ramiona, nie pytając zdrowego, czy chorego ma przed sobą, widząc jeno, że ojciec powrócił

i woła na niego. Radość wzrosła do bezmiaru, gdy się dowiedzieli, iż uleczony wracał do rodzinnej chaty, by w niej pozostać.

O jak jego dziecięca dusza chłonęła opowiadanie o uzdrowieniu, jaki ogrom wdzięczności w niej wstawał, jak pragnął chociaż z daleka, chociaż przez mgnienie ujrzeć Jezusa z Nazaretu i chociaż do śladu jego stóp wrącemi przylgnąć wargami.

I przypomniało mu się opowiadanie ojca, jak gdyby go słuchał znowu:

Strasznie mu było z początku, gdy młody, silny, zdrowy, zobaczył u siebie pierwsze objawy trądu... jak złoczyńca uciekł z własnej chaty, on, który poprzedniego dnia jeszcze szczęśliwym się czuł, jak król, musiał rzucić gospodarkę, żonę ukochaną i pierwszego syna, którego niedawno dopiero w szczęsne a dumne tulił ramiona... musiał odejść bez pocałunku, bez pożegnania. Łudził się nadzieją, że to jeno objawy podobne, że to nie trąd, do Jerozalem poszedł, do kapłanów, do lekarzy i społeczeństwo wyrzuciło go za nawias, dało w rękę żebraczy kij, opatrzony brząkadłem, zabroniło stykać się z ludźmi zdrowymi. Do ludzi wyciągnął dłoń... rzucono mu jałmużnę... jak psu kość... i pomimo, iż głód wnętrznościami mu skręcał... ów chleb żebraczy utykał w przełyku i dławił go... Uciekł w pustynne góry Judei, niósł w sobie myśl o śmierci samobójczej, buntowniczy protest przeciw Bogu, rozpacz, nienawiść, gniew.

Za co?

Uczciwy był, pracowity, nikomu krzywdy nie wyrządził w życiu i... taka kara... za co?! I to pytanie doprowadzało go do szału, a towarzyszyło mu zaraz drugie: poco?... Tak... poco żyć... zawadą być dla drugich, ciężarem sobie... czekać... aż zwolna rozpadnie się ciało, konać w męce powolnej... śmierć lepsza... O jak tęsknił do niej... a jednak była w nim wiara, zaszczepiona przez ojców, która mu się na własny żywot targnąć broniła i tęsknoty swojej nie wcielił w czyn... Do chaty się podkradał wieczorem, gorejącemi oczyma z za agawowego płotu chłonął żonę, usypiającą syna, a jednak nie śmiał podejść bliżej, bał się prosić ją o chleb, chociaż łaknął i uciekał znowu w pustynię, by złorzeczyć Bogu, światu, sobie i płakać w końcu, jak dziecko bezradne. Przyszła

pora deszczowa, rok był zimny, w górach lśnił śnieg, gorączka go męczyła, bolały obrzękłe stawy, dokuczał głód... powlókł się do Jeruzalem, do trędowatych, którzy mieszkali w pobliżu cmentarzy i żyli jałmużną wielkiego miasta. I zdało mu się, że sięgnął dna ludzkiej nędzy, zobaczył, że są oprócz niego inni nieszczęśliwi, zrozumiał, że każde istnienie pracę mieć może i cel. Wobec tych pół-trupów, co się z posłania podnieść już nie mogli, tacy, jak on, siłaczami jeszcze byli i do szczęśliwych należeli... a przecież wśród tych właśnie pół-żywych, gnijących po jaskiniach, nie spotkał bolesnego buntu, rozpaczy, szału, była w nich rezygnacya i cisza śmierci. Więc otwarła się litości jego dusza, nosił wodę, żywność, spełniał posługi, na słońce wynosił tych, co chodzić nie mogli, opatrywał bolesne, cieknące członki najwięcej opuszczonych, najwstrętniejszych synem się stał i sługą, a w duszy jego zwolna spełniał się cud... Kochał bliźniego nad siebie samego. W chwilach spoczynku, o zmroku konającego dnia, jak o wizyi jasnej, dalekiej, myślał o żonie i synu... bez goryczy jednak dawnej, bez szaleńczego buntu przeciw Bogu, bez potępieńczej tęsknoty... i nie pytał już: za co? — nie pytał: dlaczego? Bóg chciał...

I tak mijały lata... choroba żarła go z coraz większą siłą, nie opuszczała już prawie gorączka, zaczynało brakować światła zbolałym, ropą ociekającym oczom... życie było jedną męką, jednem powolnem konaniem. Zapragnął raz jeszcze z daleka na swoich popatrzeć... zanim podzieli los tych, którym służył dotąd i ruszył w drogę. W Galilei spotkał rzesze ludu, przemawiał do nich ktoś... cofnął się, stanął z daleka, powietrze było przeczyste i dobiegało go każde słowo, a słowa Chrystusa padały mu w duszę, jak rosa na łąkę, zmęczoną upałem dnia, przejrzał, iż cierniowa droga jego miała cel, wiodła go do zrozumienia i odczucia Boga.

Bolące jego oczy z trudem rozróżniały mglisty zarys przemawiającego Nauczyciela, ale tem jaśniej odczuwał go duch...

A oto lud ze wzgórza począł schodzić w dolinę i coraz bliżej rysowała się przed nim jasna postać Pana i wstała w nim pewność: on tobą nie pogardzi, on cię nie odsunie, on może ci dać uzdrowienie, jednem słowem zakończyć twoją mękę, twoją niedolę.

Opuścił więc fig splątany gąszcz, wyszedł na drogę, cofnął się lud i tylko owa biała, smukła postać Mistrza z Nazaretu szła ku niemu bez trwogi, więc ukląkł przed nim w pyle gościńca i mówił cicho:

— Panie... jeżeli chcesz, możesz mnie oczyścić...

A w duszy miał jakiś spokój dziwny, uroczysty i myślał: Niechaj się stanie wola Twoja, dźwigałem mękę moją tyle lat, poniosę ją i dalej... gdy każesz...

I było mgnienie ciszy, w której duch człowieka z rezygnacyą i wiarą składał swój los w wszechmocną rękę Boga i byłby dalej z pełnią wiary dźwigał swoją niedolę, gdyby tak było chciało Niebo.

Ale Jezus z Nazaretu pochylił się i kładąc dłoń na jego obrzmiałej, ciekącemi wrzodami pokrytej głowie, rzekł z bezmiarem miłości w głosie:

— „Chcę... bądź oczyszczony.

O, ile uczuć wezbrało w duszy człowieka pod dotknięciem pieszczotliwem, ojcowskiem, tej ręki, dla której czystym był, pomimo pokrywającego go trądu... Łzy płynęły mu z oczu, ustąpił ból, ten przejmujący po kościach, snujący się ból, z nozdrzy odpłynęła zalewająca je warstwa ropy i śluzu, po latach odczuł znowu balsamiczną woń lasów, wiosennych łąk tchnienie... Ze spoczywającej na nim ręki Człowieka-Boga, zda się, zdrój zdrowia i siły spływał w zniszczony organizm, przywracał członkom sprężystość, oddechowi równość, ciemniejącym oczom wzrok i dojrzał nad sobą głębię oczu błękitnych, takich litościwych i dobrych, takich promiennych i radosnych... wpłynęła mu w duszę olbrzymia, szczęsna cisza. I rzekł mu Pan:

— Patrz, abyś nikomu nie powiadał... ale idź, ukaż się kapłanom i ofiaruj dar on, który przykazał Mojżesz na świadectwo przeciw nim.

Poszedł do Jeruzalem, stwierdzili kapłani z podziwem trąd uleczony, a gdy go pytali: jakie leki mu pomogły, rzekł im:

— Uleczył mnie... Syn Boży...

A potem do chaty powrócił... Chłopczynie na wspomnienie tej chwili upojna radość wstaje w duszy, łzy dławią krtań. Ojciec gospodarką się zajął, ach, z jaką rozkoszą do pracy na roli powró-

cił, z jakiem świętem skupieniem siał złote ziarno i zaorywał w grunt, spiewając psalmy, a w wolnych od pracy dniach do Kapernaum chodził, słuchał słów Chrystusa, by wróciwszy do swoich, powtarzać im słowa Pana.

I schodziła się wieczorami cała osada, słuchać potężnej, nowej nauki, patrzyć ze wzruszeniem na posianą bliznami twarz ozdrowieńca, jak na widome świadectwo mocy Nazarejczyka.

I nadszedł czas pierwszego żniwa...

I nadszedł czas, gdy pierwociny zboża ścina się na łanie i niesie do Jeruzalem, Bogu na ofiarę, a wtedy ozdrowieniec ściął podwójny dar, z połową poszedł do Jeruzalem, z drugiej zaś upiekli chleby i syna z nimi posłał, by je Chrystusowi złożył w darze... wyraz wdzięczności i wiary gorącej. O jakże dumnym był z tego poselstwa Jozue, po drodze udało mu się ułowić dwie ryby, tak pragnął i od siebie zanieść Panu jakiś dar, ale gdy przyszedł z innymi do stóp wyżyny Gaalad, gdy ujrzał i usłyszał Chrystusa, zasłuchał się tak, iż o celu swojej wędrówki zapomniał i dopiero ujrzawszy zbliżającego się apostoła, postanowił oddać mu swój dar, bo wszakże i w Jeruzalem przez ręce kapłanów ludzie składają swoje ofiary, a w nim takie święte onieśmielenie było i lęk.

A oto teraz tak blisko, blisko widzi uśmiechniętą pogodnie, jasną twarz Mistrza z Nazaretu, zbrakło jego szczęsnej pieśni słów, postawił kosz u stóp Pana i kraj jego szaty do ust przytulił gorących, a nad nim płynął głos Andrzeja:

— Jest tu pachołę, co ma pięcioro chleba jęczmiennego i dwie rybki... ale... cóż to jest na tak wielu?

A zdaje się i inni powrócili już apostołowie, bo słyszał, jak mówili, iż rzesze ludu żadnego z sobą nie wzięły pożywienia.

I nagle serce mu zamarło ze szczęścia, odczuł błogosławiące dotknięcie dłoni Chrystusa na swojej pochylonej głowie, a nad nim płynął spokojny głos Pana:

— Każcie usiąść ludowi.

Andrzej wziął go za rękę i wiódł w dolinę, a w nim każde drgnienie nerwu modlitwą dziękczynną było, usiadł wraz z innymi na szmaragdowej murawie wyżyny i czekał...

A oto szept przeleciał wśród tłumu i zamarł nagle...

Chrystus wstał, ujął w rękę placek jęczmienny, pobłogosławił go, rozłamał i uczniom oddał i tak wszystek chleb i wszystkie ryby na równe wśród nich rozdzielił części...

I cisza się stała nagła, święta... na tle nieba, broczącego królewską purpurą zachodu, rysowała się wysoka, smukła postać pogrążonego w modlitwie Mistrza z Nazaretu, a ze wzgórza schodzili ku ludowi uczniowie, niosąc chleb i ryby, i oto zaczęli, jako Mistrz, chleb łamać, ryby dzielić, błogosławić i podawać ludowi i nagle olbrzymie wzruszenie ogarnęło wszystkich, stłumiło na mgnienie nawet serc bicie, bo spełniał się cud... Apostołowie rozdawali ludowi chleb i ryby, a pomimo, iż rozdawali wciąż, nie malał im w dłoniach zasób otrzymanego daru.

— — — — — — — — — —

I zebrano ułamków samych koszy dwanaście i każdy z apostołów ze swoim koszem wracał do Pana... ale Chrystus odszedł już w góry, by się modlić.

— — — — — — — — — —

— Mistrzu... zejdź pomiędzy lud... naród jest jakgdyby od radości szalony i niema takich, którzyby nie wierzyli w Ciebie... Wszystkim starczyło owych pięciorga jęczmiennego chleba... wszyscy nasyceni są...

Smutny uśmiech przesunął się po twarzy Jezusa z Nazaretu, gdy kładąc dłoń na zwichrzonej czuprynie klęczącego mu u nóg Piotra, rzekł głosem znużonym:

— I ty... Piotrze?

A Piotr, który wrócił tam z dolin, z pośrodku ludu, ogarniętego bezmiarem radości, w którym echem drżała jeszcze duma i szczęście, mówił głosem, rwącym się od wzruszenia:

— Królem Cię pragną uczynić, do Jeruzalem wieść w tryumfie... żaden Twój cud nie przemówił tak do ludu, jako ten właśnie... o Mistrzu...

I zdało mu się, że słyszy cichy, miękki głos obok siebie.

— Cud ten co dnia dla was czyni Ojciec, a przechodzicie obok niego tak obojętnie, jakby się wam należał z prawa... Trud człowieka i błogosławieństwo Boga dokonują pomnożenia chleba od wieków... Każdym ziarnem, co się na łanie waszym w kłos roz-

wija, Bóg objawia wam swoją moc, Bóg woła do was: „Jam jest", a wy... Spojrz...

I przed oczyma Piotra ukazał się łan ziemi nagiej, szedł po nim człowiek pochylony, modlił się i złote ziarna masowym gestem rozsypywał wkrąg i zaorywał je w pocie czoła w grunt. I błogosławił jego trudowi Pan... świeciło słońce, opadała rosa, zlewał deszcz, ziarno kiełkowało, schodziło, stało się runią zieloną, wydawało kłos... I oto już i złote się stało od słońca, ciężkie od ziarna i znowu wyszedł człowiek, by plon zżąć i niósł pierwocinę do świątyni, dziesięcinę i więcej nawet rozdawał ubogim, miał chleba podostatkiem i zostało mu obficie na przyszły siew... A gdy przyszła godzina śmierci, zamknęła się ziemia rodzicielka, jak matka piastunka, nad martwym zezwłokiem, a jasny duch szybował przestrzenią w bezkres...

A obok Piotra rozległ się głos:

— Tak być powinno...

Ale oto obraz się zmienił, człowiek obłędną miłością rodzącą ukochał ziemię, swoją pracę, swój trud, owładnęło go pragnienie dostatku, pokochał dźwięk złota... Na łanach pod batem dozorcy kroczyli robotnicy, gestem łaski zwano daninę świątyni, od progu ubodzy odchodzili bez wsparcia... A jednak niewyczerpanem było miłosierdzie Boga... i teraz jeszcze spełniał się nad światem cud pomnożenia chleba i teraz jeszcze ze złotego ziarna wyrastał kłos... Jeno gdy godzina śmierci przyszła... człowiek coraz dalszym stawał się Bogu, coraz bardziej do ziemi lgnął, stawał się na niej jakąś drobiną wrącą, wsiąkał w jej powłokę... On bogaty, możny, potężny... ginął, bo życiem bytu ducha zdobyć nie zdołał.

I zdało się Piotrowi, że słyszy głos Pana spokojny, cichy:

— Tak jest...

Rozpłynęło się widzenie, jak senna zjawa, Chrystus stał oparty o potężny pień cedru i mówił wolno:

— Bo chleb ziemski jeno ziemski żywot daje... by żywot wieczny zyskać, trzeba duchem Bożym się karmić. „Albowiem chleb Boży jest ten, który zstępuje z nieba i żywot daje światu. Jam jest on chleb żywota; kto do mnie przychodzi, łaknąć nie będzie, kto we mnie wierzy, nigdy nie zazna pragnienia. Jam jest

on chleb żywota, który z nieba zstąpił, z ciała mego i krwi wstanie wam życie.

A w Piotrze wstawała świadomość potęgi Bożej i Bożego miłowania, nie rozumiał dobrze słów Chrystusowych, nie mógł ich objąć myślą, wiedział jednak, że w mocy Pana leży nie tylko dar chleba, ale i dar wiecznego żywota, a by go zapewnić ludzkości... człowiekiem stał się Bóg.

A ze smutnych, zapatrzonych w dolinę oczu Chrystusa szło ku niemu jakieś podświadome przeczucie czegoś strasznego, krwawego, niepojętego... co jednak spełnić się musi, a przed czem wzdryga się mózg.

— — — — — — — — — — — — —

Zeszedł Piotr w doiinę, ale nie mógł już dzielić radości ludu, nie mógł dzielić ich marzeń o królestwie, w którem król pomnażałby chleb co dnia, gdzie życie płynęłoby bez trudu jedną falą rozkoszy... Nie mógł słuchać płomiennej wymowy Judasza z Kariotu, który namawiał rzeszę, by szła błagać Jezusa, by się im dał do Jeruzalemu wieść w tryumfie, odczuwał, że zarówno ten apostoł, jak i lud błędnie zrozumieli cud Chrystusowy i oto każde mgnienie błąd ten powiększa i przepaść tworzy pomiędzy nimi a Mistrzem i wstawał w nim olbrzymi, głuchy żal.

A wiara jego w Pana stawała się coraz silniejszą i coraz czystszą, coraz jaśniej widniała przed nim droga... O, nie będzie na niej poklasku tłumów, radością pijanych, złota ni gronostai... prędzej trud, groza śmierci i hańby, ale pójdzie po niej wszędzie za Mistrzem swoim.

Gdy schodził z góry, rzekł mu Pan, by nie czekając końca jego modlitwy, odbili od brzegu i przeprawili się na drugą stronę jeziora, więc teraz zwołał jedenastu swoich towarzyszy na łódź, trudno mu to poszło, bo każdy z nich inaczej przyczyny cudu tłumaczył ludowi i nie mógł się oderwać i wyrzec dysputy, więc późno w noc odbili od brzegu.

I jak w duszach ludzkich tysiące sprzecznych szalało myśli, tak nad morzem pochylał się wiatr... i stała się łódź igraszką wichrów, zniknął im z oczu brzeg, od którego odbili, nie mogli doj-

rzeć zielonych pobrzeży krainy Genezaret, do której kazał im płynąć Pan...

Nie było burzy... jeno wiatr hulał, przekomarzał się, drwił i wiódł łódź obłędnem kołem po morzu w krąg.

I było już około czwartej straży nocnej, blady świt perłowymi tonami przesycił przestrzeń, a wokół rozpostarła się biała, gęsta mgła... Z wysiłkiem znużone ramiona pracowały wiosłami, najwymowniejszym nawet ustom zabrakło już słów, opływał pot barki pochylone, a wicher jęczał, drwił, przejmował ziąb mgły wilgocią do kości i w każdym z nich wstawało znużenie bezmierne, poczucie własnej bezsilności, dręcząca tęsknota za brzegiem...

Piotr u steru stał, usiłował przebić tajemniczą oponę kłębiącej się mgły, bystrem spojrzeniem rozgarnął mrok, a oto nagle dojrzał zarys jasnej postaci; wypłynęła, zda się, z mroku i szła po fali tak pewnie i spokojnie, jak gdyby zielona ruń Galilejskich wzgórz miała pod stopami i zanim Piotr rozróżnić zdołał zarysy twarzy, spłynęła mu w duszę radosna pewność:

— To Pan... dojrzał nasz trud daremny, naszą mękę i przychodzi z pomocą...

I tak silną była jego wiara w bóstwo Chrystusowe, iż nawet nie zadziwił się, że tak po fali zdąża ku ich łodzi.

Dojrzeli już zbliżającą się postać i inni uczniowie... Ktoś krzyknął głosem ochrypłym od trwogi:

— Ułuda!

Ktoś inny wzywał imienia Boga drżącemi wargami...

Czegóż oni się trwożą?... On, Piotr, wiedział, iż to Pan, oto teraz widzi go już tak blisko, iż rozróżnia łagodny uśmiech Jego ust...

A w mglistej ciszy poranku płynie głos, taki znany, taki kochany:

— Ufajcie... jam jest... nie bójcie się...

I znowu ten krzyk, ochrypły lękiem:

— Ułuda!... —

Szaleni! Oto Pan wstrzymał się i, zda się, wyminąć chce łódź... więc Piotr pochylił się i woła:

— Panie... jeżeliś Ty jest, każ mi przyjść do siebie po wodzie.

On nie czuje trwogi, on jeden z nich wszystkich ma w sobie bezmiar wiary.

A Chrystus zwrócił się ku niemu, wyciągnął rękę i rzekł cicho i miękko:

— Pójdź...

— Piotrze!! — ostrzegająco ktoś krzyknął i cisza...

Po zburzonej fali Piotr idzie, z początku śmiało i pewnie, szeroko rozwarte oczy utkwił w Chrystusa... wie, że dojdzie.

Ale oto nagle skłębiła się mgła... rozszalał wiatr... rozchichotała fala... zdało mu się, iż pomiędzy nim i Panem przepaść leży.

Szaleńczy lęk pochwycił serce... utoniesz Piotrze!!

O jak potężną jest obawa o życie własne... jak potężnym instynkt samoobrony... Przez mgnienie tylko oczy Piotra oderwały się od promiennej postaci Pana, przez mgnienie spoczęły na wirze rozszalałych wód... a już krtań ścisnął strach, zachwiały się kolana, beznadziejna rozpacz targnęła sercem... zdało mu się, iż każda z tych fal szalejących, pienistych, woła:

Śmierć ci niosę, Piotrze!...

A wicher wyje, obskakuje go w krąg, ku falom gnie:

Śmierć!

A jasna postać Chrystusa wydaje mu się nagle taką daleką, taką widmową i oto zapada się w wilgotną głąb, traci grunt pod stopami, zimna toń chwyta go, niesie, dławi... jeszcze chwilę pienista, mętna fala wpada mu do ust, nosa, gardła... Tchu brak... tchu... I w tem samem mgnieniu potwornego strachu, co szczęki ścinał i krew mroził w żyłach, rzekł sobie:

Śmierci się lękasz, Piotrze... Pan jest z tobą, a Pan jest źródłem żywota.

Więc dławiąc się wodą, krzyknął:

— Panie... ratuj mnie!

I zaraz odczuł, jak pochwyciła jego sztywniejącą rękę silna dłoń Chrystusa i wzniosła go ponad toń i usłyszał głos cichy, dobry, a pełen żalu:

— O małowierny... przeczżeś wątpił?...

I wiódł go Chrystus ku łodzi, a fala znowu cicha się stała i gładka. Ustąpiły mgły i widać było w dali jasny od słońca, po-

złocony brzeg, a w duszy Piotra smutek był olbrzymi... Po raz drugi w tym dniu przeczucie mówiło do niego... po raz drugi kołatał do jego duszy lęk...

— — — — — — — — — — — — —

W synagodze w Kapernaum dźwięczały potężne słowa objawienia:

— „Jam jest chleb żywota! Jam jest chleb on żywy, który z nieba zstąpił; jeżeliby kto jadł z tego chleba, żyć będzie na wieki, a chleb, który ja dam, to ciało moje, które oddam za żywot świata!“

Chwila była ciszy wielkiej i słychać jeno było serc spieszne bicie... Lud odczuwał, iż oto wśród nich spełnia się coś dziwnego i niezwykłego, coś, co obala ich życiowe pojęcia. Oto władzę mu chcieli dać, purpurę królewską na ramiona rzucić, wieść w tryumfie do Jeruzalemu, wśród wybranego narodu dać mu chcieli tron, walczyć oń dla niego w potrzebie... a on... on, syn Józefa, cieśli z Nazaretu, odrzucał go bez namysłu... Nie rozumieli go, nie mogli, nie chcieli zrozumieć... Gardził materyalną potęgą, do której oni lgnęli każdym nerwem, mówił o władaniu ducha, gdy oni o posiadaniu śnili i o ziemskiej władzy, mówił, że ciało swoje odda za nich i krew, o ofierze dobrowolnej, która stworzy im prawa wiecznego żywota... i ich duchy, przywykłe do pełzania po ziemi, nie mogły towarzyszyć królewskiemu lotowi Jego ducha... za zawrotny, za niezwykły był to dla nich lot.

A ponieważ go nie rozumieli, więc zaczęli podśmiechiwać się i drwić, przerywać mu wykrzyknikami i szydzić.

Wstawał w nich bunt...

Widzieli wczoraj, jako łodzią odpłynęli uczniowie bez Jezusa z Nazaretu, zdziwili się też niepomiernie, ujrzawszy go dziś, przybijającego do brzegu wraz z nimi, zaraz zaczęli się tłoczyć ku niemu i pytać natrętnie, odczuwając jakąś nową, niewyjaśnioną zagadkę:

— Mistrzu... jak przybyłeś tutaj?

Spojrzał im w twarze, ciekawością rozognione i rzekł ze smutkiem wielkim:

— „Zaprawdę, zaprawdę, powiadam wam, iż nie dlatego

szukacie mnie, iżeście cuda widzieli, tylko, że jedliście chleb i byliście nim nasyceni. Nie troszczcie się o pokarm, który ginie, ale o ten, który trwa ku żywotowi wiecznemu".

A potem w głąb świątyni szedł i mówił im:

— Jam jest chleb żywota!...

A w nich miasto wdzięczności i wiary rozpętała się nienawiść i gniew, więc szydzili:

— Jakoż ten ciało nam swoje może dać ku jedzeniu?

— Baśnie prawi i słuchać szkoda...

— Twardać to mowa, nie nawykły do niej uszy nasze...

Nie, oni poza ziemią nie znali nic i nic poznać nie pragnęli... jasna droga Chrystusa nie była ich drogą.

— — — — — — — — — — — — —

I gdy Jezus z Nazaretu odszedł z Kaparnaum w stronę Cezarei Filipowej, nie szły już za nim zasłuchane rzesze ludu, nie szły uczniów gromadki, oto raz pierwszy rzekł im jasno: Jam jest i cofnęli się... po białej drodze, ciągnącej się wśród oleandrowych, w kwiecie stojących krzewów, zalanej powodzią słonecznego blasku, szło za nim tylko uczniów dwunastu, milczący byli i cisi... Wielu z nich nie zdołało jeszcze pożegnać królewskich marzeń, snutych poprzednio, wielu miało w duszy wahanie i niepokój... otaczały ich mgły, jako o świtaniu na jeziorze i daremnie wśród nich szukali drogi.

Milczeli... sen chwały się prześnił... wśród mgły jaśniała wprawdzie postać Chrystusa, ale wielu z nich w głębi ducha zadawało sobie pytanie:

— Ułuda to?... zali naprawdę Syn Boga żywego...

Jeden z ostatnich wlókł się Judasz z Kariotu, uderzając kijem o rośliny przydrożne, myślał z goryczą... że oto znowu nie miał siły, by się oderwać, minęła sposobność... szatan ją kiedyś stworzy... jeżeli istnieje...

Straszne, krwawe, mściwe myśli, które szalały mu w czaszce od miesięcy, ustąpiły w Kapernaum, była chwila, w której byłby pokochał w Chrystusie ziemskiego króla, byłby z dumą wkraczał w jego orszaku do Jeruzalemu, on szpieg, człowiek bez jutra, z radością byłby się otulał w chwałę, płynącą od Mistrza

i patrzył z góry na tych, którym służył... ale że te jego marzenia runęły w gruzy, że nie zostało z nich nic... nic... więc dziś nienawiść podwójnym buchnęła płomieniem i wlókł się teraz słoneczną drogą, jak pies obity wlecze się za panem... z głuchym warkotem przyszłej wścieklizny w jaźni.

I tylko Piotr miał w duszy ogrom miłowania, jego szare oczy ze spokojem spoglądały ku białej postaci Chrystusa... pragnął mówić: Panie... oto my wierzymy w Ciebie... my Cię nie opuścimy, chociażby Cię cały opuścił świat, my wytrwamy... dla nas Synem Bożym jesteś i gotowiśmy iść za Tobą w mękę i w trud, w śmierć nawet... Panie... Panie.

Czyż mógł ręczyć za wszystkich?...

Ból szarpnął czystą duszą Piotra...

Czyż mógł ręczyć... za siebie nawet? Czyż onej nocy na jeziorze nie miał dowodu słabości natury ludzkiej, własnej słabości, czyż gdyby mu teraz nagle śmierć groziła, nie wstałby w nim ten sam szaleńczy, obłędny lęk i nie stworzył pomiędzy nim a Panem jego... przepaści?

Czyż za innych ręczyć możesz... gdy siebie samego pewnym nie jesteś?...

I oczy jego, przesunąwszy się po twarzach uczni, spoczęły na bladej masce Judasza z Kariotu... i zimno wzdłuż kręgosłupa zsunęło się dreszczem... za wszystkich... tylko nie za Judę z Kariotu... za wszystkich...

A oto Jezus z Nazaretu przystanął i spojrzawszy ku nim, rzekł:

— Izali i wy... chcecie odejść?

Cisza... uczniowie zatrzymali się, w ich oczach, szeroko rozwartych, był lęk... żali nam odejść każesz?... Kochali go przecież...

Więc Szymón-Piotr, przezwyciężając wzruszenie, rzekł, siląc się na uśmiech pogodny:

— Panie!... do kogóż pójdziemy... Ty masz słowa żywota wiecznego. — I nagle szare jego oczy rozbłysły, a w głosie wiara zadźwięczała olbrzymia. — Tyś jest Chrystus, Syn Boga żywego...

A Jezus, opierając dłoń na ramieniu Piotra, patrząc w jego oczy, wzruszeniem rozbłysłe i łzami, mówił z mocą:

— „Błogosławionyś Szymonie, synu Jonaszów, bo tego ciało i krew nie objawiły tobie, ale Ojciec mój, który jest w niebiosach. A jać powiadam, żeś ty jest Piotr, a na tej opoce zbuduję Kościół mój, a bramy piekielne nie przemogą go. I tobie dam klucze królestwa niebieskiego, a cokolwiek zwiążesz na ziemi, będzie związane i w niebiosach... a cokolwiek rozwiążesz na ziemi, będzie rozwiązane i w niebiosach".

A Piotr osunął się do kolan Pana i gorącemi ustami do Jego przywarł sandałów.

Marya Czeska.

Jerycho w świetle dziejów i wykopalisk.

1. W drodze do Jerycha.

Okolica Jerycha jest jednem z najcharakterystyczniejszych i najdziwniejszych miejsc na ziemi; ściślej może byłoby powiedzieć „pod ziemią“, gdyż miejscowość ta leży 250 m. pod poziomem morza. Mniejsza jednak o słowo. — W istocie Jerycho, co do położenia, właściwości, klimatu i historyi nie ma równego sobie miejsca na kuli ziemskiej.

Z Jerozolimy, skąd najłatwiej do Jerycha się dostać, nowa, wygodna droga zawiedzie nas powozem w cztery godziny na miejsce. Już sama ta droga zasługuje na baczną uwagę. Przebywszy dolinę Cedronu (Wâdi Sittî Marjam), zwracamy się ku wschodowi, skąd ze szczytu góry Oliwnej ładny widok roztacza się na całą naszą drogę aż do morza Martwego. Niebawem po lewej ręce, w miejscowości el-'Azârijje, mijamy obok drogi grób Łazarza, którego Chrystus wskrzesił zmartwych (Jan 11), i spuszczamy się w dolinę Wâdi el-Hôd, której źródło dawniej En Šemeš zwane, stanowiło granicę między plemionami Judy i Benjamina. Tąż granicą przez doliny es-Sikke i es-Sidr, wśród okolicy pustynnej, samotnej i ogołoconej prawie ze wszelkiej roślinności, przybywa znużony podróżny po dwóch godzinach drogi do domu zajezdnego, zwanego Han Hadrur, a położonego prawie w połowie drogi między Jerozolimą a Jerychem.

Bardzo stara tradycya upatruje w tej okolicy ową oberżę, do której miłosierny Samarytanin zawiózł zranionego przez zbójców Żyda (Łuk. 10, 30—37). Nie można zaprzeczyć, że dobór miejsca jest stosowny. Wszak w tej okolicy schodzą się właśnie dwie drogi, wiodące do Jerycha: jedna staro-rzymska, którą za czasów Chrystusa pielgrzymi zdążali do Jerozolimy, i druga, zbudowana w nowszych już czasach. Sama zaś okolica pustynna, dzika, opuszczona, była jeszcze do niedawnych czasów ulubioną siedzibą różnych rzezimieszków. — Tak było i za czasów Chrystusa.

Po niezbędnym dla koni odpoczynku w oberży miłosiernego Samarytanina, puszczamy się w dalszą podróż. Nic monotonniejszego nad te jednostajnie dzikie gór szczyty, ziejące żarem białego wapienia, który nuży oko i zmusza je do spoczynku. Jedynie ponad przepaścistą doliną Achora (Joz. 15, 17), dzisiaj Wâdi el-Kelt zwaną, obok której przejeżdżamy, nęci oko podróżnego klasztor Dêr el-Kelt, osadzony niby gniazdo orle w rozpadlinach skał, wysoko ponad łożyskiem wąwozu.

Niebawem jednak otwiera się od wschodu oryginalny i malowniczy widok na morze Martwe, na dolinę Jordanu i na równinę Jerycha. Dziwny to ze wszech miar płat ziemi, który pod względem położenia, geologicznej historyi i warunków klimatycznych nie ma sobie równego na całej kuli ziemskiej. Wyobraźmy sobie olbrzymie koryto, do 20 km. szerokie, otoczone po obu bokach stromemi górami, a którego dno poorały faliste łańcuchy wzgórz, tworzące cały szereg taras. Środkiem tego koryta, w najgłębszem wyżłobieniu, wije się wstęga bujnej roślinności, zakrywająca swą zielenią wody Jordanu. Jeszcze niżej ku południowi wabi oko naga, błękitna tafla morza Martwego, któremu niby za powijaki służą ze wschodu i zachodu wysokie, poszarpane, przepaściste góry, a w którego głębinach Jordan kończy swój samodzielny żywot.

Pomiędzy wszystkiemi morzami i jeziorami ziemi morze Martwe zajmuje zupełnie oddzielne i odrębne stanowisko. Swemi falami obmywa ono najniższe i najgłębsze brzegi na ziemi, które dochodzą prawie do 400 m. poniżej poziomu zwykłego oceanu. Wskutek tego niezwykle niskiego poziomu panuje w tem miejscu

prawdziwie tropiczny klimat i upał, którego żar podnoszą jeszcze promienie słońca, odbijające się od spadzistych ścian skalnych. Tym jedynie upałom przypisać należy ów dziwny i znamienny fakt, że mimo licznych dopływów, przynoszących dziennie około 9,000.000 m^3 wody, poziom morza Martwego bynajmniej się nie podnosi; — tropikalne upały wyparowują tę ogromną ilość wody, codziennie dopływającej.

W okolicach morza Martwego napotykamy na największe przeciwieństwa. Ze wschodu i zachodu otaczają je wysokie płaskowzgórza. Wskutek potężnych wyżłobień wodnych przemieniły się one miejscami w dzikie, kończyste góry, prostopadle spadające ku morzu i ku całej pustynnej dolinie Jordanu, która rozciąga się na północ od morza Martwego. Południe zamykają bagniste moczary es-Sebha, przesycone solą i pozbawione wszelkiej roślinności. Nad brzegami tego morza stały pobyt ludzki utrudniają: brak wody do picia, niezdrowe gdzieniegdzie wyziewy siarczane i węglowe, wydobywające się ze źródeł termicznych, by już nic nie wspominać o upalnym, gorącym wietrze i endemicznej, silnej malaryi. Nawet w samem morzu Martwem życie organiczne — z wyjątkiem niektórych bakteryi — jest niemożliwe, wskutek niezwykłej ilości soli, której zawartość przewyższa sześć razy gęstość oceanów i sprawia, że nawet zanurzenie się w czasie kąpieli należy do rzeczy trudniejszych.

Całą zaś dolinę Jordanu możnaby nazwać pustynią, w ścisłem tego słowa znaczeniu, którą tylko gdzieniegdzie urozmaicają mniejsze oazy. Do takich oaz należy właśnie okolica Jerycha.

Czemu to wszystko przypisać? — Gdzie szukać przyczyn tych nadzwyczajności? — Jedynie w geologii tego płatu ziemi, jaki obecnie zajmuje dolina Jordanu.

2. Geologiczne dzieje równiny jerychońskiej.

A dziwne, nadzwyczajne rzeczy o tym zakątku ziemi opowiada nam geologia. Nie jest moim zamiarem podawać je tutaj, choćby tylko w streszczeniu. Ciekawych odsyłam do zawodowej

a sumiennej pracy geologa Blanckenhorna [1]). Dla nas niech wystarczą następujące uwagi.

„Jak całą Syryę, Mezopotamię i Synaj, tak i dzisiejszą dolinę Jordanu pokrywały fale morskie (po raz pierwszy) w geologicznych okresach węgla i permu. W okresie eocenu dzisiejsze morze Śródziemne zaczęło się cofać, a Palestyna wyłaniała się powoli z pod powierzchni wód. Pod koniec epoki trzeciorzędnej, a więc w tak zwanym okresie miocenu, całą Syryę (od gór Taurus aż po morze Czerwone) nawiedziła geologiczna katastrofa. Pod jej działaniem w samym prawie środku kraju, na przestrzeni około 800 km., od północy ku południowi, powstał potężny rów, którego dolina Jordanu z morzem Martwem jest tylko cząstką, — prawda, że najgłębszą i najbardziej oryginalną — a to dzięki szczególnym warunkom i wypadkom, jakie wydarzyły się w następnym okresie czwartorzędnym (dyluwialnym). Wtedy bowiem pod wpływem obfitych deszczów i topniejących na Libanie i Hermonie śniegów, utworzyło się w rozpadlinie Jordanu olbrzymie jezioro. Jego poziom sięgał wprawdzie do 30 m. ponad poziom morza Śródziemnego, — jak tego dowodem osady geologiczne — ale, dzięki wałowi górskiemu Rišt el-Hauwar (którego szczyt wynosi 250 m.), wody tego jeziora nigdy nie mogły na południu złączyć się z falami morza Czerwonego, chociaż to jezioro mierzyło 320 km. długości, a 50 km. szerokości.

Dalsze dzieje pierwotnego jeziora jordańskiego dzieli Blanckenhorn na sześć okresów, których ostatecznym wynikiem dzisiejsze ukształtowanie całej doliny i jej podział na trzy coraz niższe tarasy, zdobne mnóstwem białych, dziwacznych pagórków i trzy jeziora (el-Hule, Tyberyadzkie i Martwe), połączone ze sobą wstęgą Jordanu“ [2]). Szczegółowy opis tych nader zajmujących wydarzeń geologicznych nie wchodzi w zakres obecnego odczytu. Nam tu wystarczy zaznaczyć, że dzisiejsza równina jerychońska była w tym okresie po trzykroć, z przerwami, dnem jeziora, i że właśnie tej okoliczności zawdzięcza ona swe orygi-

[1]) M. Blanckenhorn, Entstehung und Geschichte des Toten Meeres, Leipzig 1896.

[2]) Zob. moje Cztery Ewangelie, część I., str. 3. 4; Kraków 1916.

nalne ukształtowanie i podział na trzy tarasy. Pierwszy (górny) taras, na wysokości 200 m. powyżej morza Martwego, biegnie u stóp pasma gór, okalających nizinę jordańską. Drugi, stanowi szeroki (5—8 km.) płaskowyż, wznoszący się 160—75 m. ponad dzisiejsze morze Martwe. Ten to właśnie kredowy płaskowyż, na którego zachodnim brzegu wznosi się osada Jerycha, poorały w czasach przedhistorycznych dzikie potoki górskie na cały szereg białych pagórków, zwanych z arabska T a b a k a t, o najdziwaczniejszych kształtach. Trzeci wreszcie i najniższy taras, dziś e z - Z ô r zwany, stanowi właściwą dolinę Jordanu, bo w niej to wyżłobił on sobie głębokie łożysko, i — by ukryć swe wody przed oczyma ciekawców — okrył ją całą bogatym kobiercem najróżnorodniejszych krzewów i roślin, które już Pismo św. nazywało „majestatem Jordanu" — g e ô n h a j j a r d ê n [1]).

Oto bardzo krótko i pobieżnie naszkicowane dzieje geologiczne równiny Jerycha, — dzieje, które rozstrzygnęły także o przyszłości historycznej, a po części i o rozwoju samego miasta.

3. Topografia równiny Jerycha.

Wprzód jednak należy się nam — przynajmniej pobieżnie — zapoznać z topografią dzisiejszej równiny, na której się wznosi Jerycho.

Ten to płat ziemi jest, wogóle mówiąc, równiną, która opada zwolna ku wschodowi. Na zachodzie dotyka stóp potężnego wału górskiego, poszarpanego na liczne szczyty przez cały szereg parowów i dolin. Najważniejszym i najwyższym szczytem jest Ż e b e l K a r a n t a l, wznoszący się 98 m. ponad powierzchnię morza Śródziemnego, a więc 350 m. ponad równinę jerychońską. Dziki, poszarpany, pełen grot i jaskiń, nosi dziś na swym zboczu klasztor grecki, a na swym kwadratowym szczycie kaplicę, poświęconą pobytowi Chrystusa na puszczy. Stara bowiem tradycya upatruje w nim górę, na której Zbawiciel spędził 40 dni swego postu i z której to szatan ukazał Mu w obrazie wszystkie królestwa świata i ich potęgę (Mat. 4, 8—11).

[1]) Por. Jer. 12, 5; 49, 19; 50, 44; Zach. 11, 3.

Na wschód od Żebel Karantal, jakby jego przedmurze, ciągnie się pagórek „młynów cukrowych", Tawwahîn es-Sukkâr. Niewielka, zaledwie pół kilometra szeroka równina przedziela go od niższego znacznie pagórka (około 25 m.), położonego ku wschodowi, a zwanego Tell es-Sultân. u którego stóp ze wschodu wypływa obfite źródło wybornej wody, zwane 'Ain es-Sultâni. Ten właśnie pagórek i źródło są miejscem, na którem wznosiło się stare Jerycho za czasów kananejskich, izraelskich i żydowskich.

Na równinie Jerycha ku południowi od Tell es-Sultân, rozsiane są jeszcze inne pagórki, prawdopodobnie gruzy dawnych zabudowań, jak np. Tell el-Masna, Tell el-Arâis, Tell Abû Hindi, Tell es-Samarât, Tell Abû Zelef, Tell el-Matlab, Tell el-Masfûrijje, Tell el-Kos, Tell Derb el-Habaš, Tell Abû 'Alâik, Hirbet Kâkûn. Ruż mel-Mugeifir i t. d.

Równinie Jerycha nie brak ni źródeł, ni potoków. Na północnym zachodzie, u stóp wału górskiego, biją dwa obfite źródła: 'Ain ed-Duk i 'Ain el-Nu'eime. To ostatnie daje początek potokowi Wadi Nu'eime, który zwraca się ku wschodowi i około mostu el-Goranijje łączy się z Jordanem. Natomiast 'Ain ed-Duk z pomocą starego bardzo wodociągu prowadzi swe ożywcze wody aż do pagórka „młynów cukrowych", a stąd przelewa je dalej ku południowi, na terytoryum właściwego Jerycha. Podobnież i 'Ain es-Sultân jedną częścią swoich wód użyźnia zapomocą kanałów pola jerychońskie, drugą zaś część odprowadza do potoku Wadi el-Kelt.

Ten ostatni, wydobywszy się z gór judzkich, przebiega od zachodu na wschód całą równinę i wpada do Jordanu, niedaleko Mahadet Hażle, tradycyjnego miejsca chrztu Chrystusa Pana. Nawet i źródła potoku el-Kelt, położone w górach judzkich, jakoto: 'Ain Far'a i 'Ain el-Kelt, skanalizowano w czasach rzymskich, by ich zdrojami użyźnić jeszcze więcej dolinę Jerycha i zaopatrzyć wodą liczne jego stawy. Jeden z tych stawów, Birket Musa zwany, zachował się do naszych czasów.

Na wschód od dzisiejszego Jerycha (w odległości 3 km.),

około samotnego drzewa (Sażarat 'Itle) widnieją resztki ruin i stawu Birket Żilżulie. Jest to miejsce starego Galgala, pierwszej placówki Izraela po wkroczeniu do ziemi Obiecanej.

Dzisiejsza osada jerychońska leży na północnym brzegu potoku el-Kelt i nosi nazwę Eriha. Nazwa ta jest zarabizowaną formą dawnego Jerycha. Co do znaczenia nazwy Jerycha (LXX.: Ιεριχῶ; Fl. Józef: Ἰεριχοῦς; hebr. Jereho, albo Jeriho) niema zgody między filologami [1]). Warto dodać, że już w Piśmie św. Jerycho nosiło także nazwę „miasta palm", 'Ir hat-temarîm [2]).

Jerycho leży na nader ważnym punkcie Palestyny. Tutaj od dawien dawna spotykały się (i po dziś dzień jeszcze krzyżują się) ważne drogi krajowe, jakoto: jedna z północy od Beisan'u prowadzi przez całą dolinę jordańską; druga z krainy zajordańskiej biegnie przez mieliznyJordanu na Galgalę i Jérycho, a stąd w kierunku południowo-zachodnim zwraca się ku Jerozolimie; trzecia wreszcie, krótka i dość wygodna, z Jerycha w kierunku północno-zachodnim wiedzie poprzez góry judzkie do Hai i Betelu, a tam łączy się z główną drogą, biegnącą z północy ku południowi przez całą Samaryę i Judeę. W pewnem więc tego słowa znaczeniu Jerycho jest kluczem całej górzystej części Palestyny, kluczem strategicznym dla wszystkich przybyszów ze Wschodu.

Nic przeto dziwnego, że chcąc zawojować Palestynę, Izrael musiał wprzód zająć samo miasto Jerycho.

Prócz tego dzięki obfitym źródłom, niezwykłej urodzajności i głośnej, a prawie że jedynej oazie balsamowej, okolica Jerycha była w starożytności nader ważnym węzłem przemysłowym, zbio-

---

[1]) Niektórzy wywodzą ją od słowa ruah „wiać", hiph. heriah „wąchać" (stąd riha t. j. zapach); a więc Jerycho według nich oznacza: miasto (miłych) zapachów". Inni uciekają się do słowa jareah „księżyc"; Jerycho więc = miasto księżyca. Por. J. Böhmer, Jericho (w Archiv f. Religionswissenschaft 1909, 322—334). Ostatnimi czasy J. Hejżl (Oriental. Litter. Ztg. XV., 1912, str. 395 nn.) widzi — na wzór Jerušalem t. j. Urn-salim — w jrhw = (jr + hw) = jeru haj t. j. miasto życia, a więc „miasto wody i palm".

[2]) Por. Jud. 1, 16; 3, 13; w innych tekstach nazwa ta jest tylko przydomkiem Jerycha; tak np. Deut 34, 3; 2 Par 27, 15.

rowem środowiskiem potęgi i bogactwa, komorą ożywczą Judei i pierwszorzędną stolicą niziny Jordanu.

Po tych wstępnych uwagach przejdźmy już do właściwego tematu:

JERYCHO POD WZGLĘDEM HISTORYCZNYM I ARCHEOLOGICZNYM.

1. Źródła.

Do odtworzenia dziejów Jerycha, jego kultury i archeologii, posiadamy obecnie dwie grupy źródeł: źródła historyczne i archeologiczne.

A) Dane historyczne przekazało nam w pierwszym rzędzie Pismo św. Starego i Nowego Zakonu; dalej współcześni i późniejsi pisarze świeccy, jak np. Józef Flawiusz, Ptolemeusz, Pliniusz, Strabo, pierwsi pielgrzymi chrześcijańscy w swoich itinerariach, a wkońcu pisarze arabscy i średniowieczni.

B) Dane archeologiczne zawdzięczamy przedewszystkiem wykopaliskom i ruinom, rozsianym po całej równinie jerychońskiej. A ruiny to nader rozległe. Tworzą bowiem formę nieregularnego trójkąta, za którego południową podstawę uważać można żleb potoku Hur et-Tamrur. Bok tego trójkąta ruin tworzy na zachodzie linia między Tell es-Sultân a Hirbet Kakun; na wschodzie zaś linia, biegnąca przez ruiny Tell el-Masna, Tell el-Kos i Ruźm el-Mogeifir. Cała ta przestrzeń obejmować więc może około 900 hektarów powierzchni.

2. Położenie Jerycha według źródeł historycznych i wykopalisk.

Wobec tak olbrzymiej przestrzeni, zasianej ruinami, mimowoli nasuwa się pytanie, czy te wszystkie ruiny należały istotnie do Jerycha, i w jakich okresach?

Odpowiedź częściową na to pytanie dają źródła historyczne; całkowitą zaś jedynie wykopaliska.

I. Zacznijmy od źródeł historycznych:

A) Pismo św.: a) Na Jerycho patrzył już Mojżesz. Siedząc na górze Nebo, w krainie zajordańskiej (a więc na południowy wschód od Jerycha), oglądał całą Ziemię Obiecaną; patrzył na „szerokość równiny Jerycha, tego miasta palm, aż do Segor“ (Deut. 34, 3). Tu wyrażenie: „równina Jerycha“ jest równoznaczne z „doliną Jordanu“.

b) Jerycho za czasów Jozuego, a więc krótko mówiąc: Jerycho kananejskie, leżało po drugiej stronie Jordanu, ze względu na równiny Moabu, a więc na zachód od Abelsatim (dziś Tell el-Kefren), na zachód od gór 'Abarim, z ich szczytami Nebo, Phasga i Phogor (por. Num. 22, 1; 26, 3—63; 31, 12; 34, 15; 35, 1; 36, 13; Deut. 32, 49; 34, 1; Joz. 13, 32).

c) Toż Jerycho kananejskie leżało dalej u stóp gór, ciągnących się w kierunku ku Betel, a niedaleko od Galgali, która leżała na wschód od Jerycha (por. Joz. 2, 16; 3, 17; 5, 10; 16, 1. 7; 18, 12).

d) Za czasów Elizeusza Jerycho izraelskie leżało przy źródle, którego smak tenże prorok poprawił (4 Król. 2, 19—22). Tem źródłem i według tradycyi i według wykopalisk może być jedynie dzisiejsze 'Ain es-Sultân. A więc Jerycho izraelskie (a także i kananejskie) leżało w pobliżu tegoż źródła.

B) Dane Pisma św. potwierdza i bliżej określa Fl. Józef. Rozróżnia on dwa Jerycha: stare i herodyańskie. Jerycho stare leżało blisko źródła, którego wody prorok Elizeusz poprawił (Bell. IV., 8, 3); leżało ono o 10 stadyów (t. j. 1870 m.) na zachód od obozu w Galgali (Ant. V., 1, 2). To samo zaś stare Jerycho kananejskie — jak to wiemy z Jozuego (6, 26) i 3 Król. (16, 34) — odbudował Chiel na tem samem miejscu. Jerycho zaś nowe, rzymsko-herodyańskie, leżało za świadectwem Fl. Józefa, na równinie ἐν πεδίῳ (t. j. w dolinie Jordanu), u stóp gór skalistych, które z zachodu stanowią granicę tej doliny; było oddalone o 150 stadyów (t. j. 28050 m.) od Jerozolimy, od której przedzielała go

kamienista i nieurodzajna pustynia; było wreszcie oddalone o 60 stadyów (t. j. 11.220 m.) od Jordanu (por. Bell. IV., 8, 2. 3).

Z opisu Euzebiusza-Hieronima (De situ, ed. Klostermann p. 104) wynika, że prócz Jerycha kananejsko-żydowskiego i herodyańskiego istniało jeszcze Jerycho nowe (t. j. bizantyjskie) obok ruin dwóch miast poprzednich.

Opisy najdawniejszych pielgrzymów zaświadczają, że to bizantyjskie Jerycho leżało po obu brzegach potoka (Wadi el-Kelt), na drodze wiodącej z Jerozolimy. Por. np. Itinerarium Burdigalense z r. 333 (Geyer, Itinera hieros. p. 24); Theodosius, De situ (Geyer, l. c. 137, 145); Antoninus, Itiner. (Geyer l. c. 168 n) i t. d.

C) Według arabskich pisarzy: arabskie i średniowieczne Eriha leży w el-Gor, t. j. w dolinie Jordanu, w odległości drogi dnia jednego, czyli 12 mil arabskich (t. j. około 24 km.) od Jerozolimy, a 4 mil arab. (t. j. 8 km.) od Jordanu [1]). Tym danym odpowiada dość dobrze położenie dzisiejszego Eriha. Leży ono na brzegu doliny Jordanu, na północnej krawędzi Wadi el-Kelt; 28 km. (ENE) od Jerozolimy, 10 km. (NW) od morza Martwego, 7 i pół km. na zachód od Jordanu; 2 km. na wschód od stóp gór judzkich; 2 km. (WNW) od Żilżulie (Galgali); 5 km. (NW) od Dêr Hażla (t. j. Bethagla); 4 km. (SW) od Żebel Karantal. Dzisiejsze więc Jerycho leży na miejscu dawnego Jerycha Krzyżowców i Eriha arabskich pisarzy, a wogóle rzecz biorąc, odpowiada ogólnikowym opisom Pisma św. co do położenia miasta.

II. Te zaś wnioski historyczne o położeniu Jerycha znajdują swe potwierdzenie w wykopaliskach.

Wykopalisk podjął się w Jerychu w roku 1907 Dr. Ernest Sellin, naprzód profesor wiedeński, (wówczas z pomocą austryackiego rządu i prywatnych mecenasów: 10.000 fr.). — Gdy zaś Sellin przeniósł się do Rostocku, towarzystwo niemieckie „Deutsche Orientgesellschaft“ w Berlinie przejęło na własne koszta (68.000

[1]) Por. Jakut, Geographie, ed. F. Wüstenfeld, Leipzig 1866, t. I., p. 227; t. II., p. 884; — Abulfeda, Geographie, ed. Rainaud et de Slane. Paris 1840, p. 236.

fr.) dalszą pracę w latach 1909 i 1910 i oddało Sellinowi do boku innych uczonych, jakoto: prof. Dr. C. Watzingera (z Giessen), jako archeologa, a pp. Langeneggera, Nöldeckego i Schultza, jako architektów.

Wykopaliska skierowano głównie na pagórek Tell es-Sultân, gdzie, jak widzieliśmy, tradycya upatrywała słusznie stare Jerycho. W siedmiu miesiącach pilnej pracy — (bo tyle razem trwało całe przedsiębiorstwo, złożone przeciętnie z 200 robotników dziennie i wspomagane kolejką polną) — skopano znaczną część pagórka, który przed wykopaliskami składał się z 7 nabrzmiałości, powstałych wskutek wiekowego gromadzenia się ruin. W roku 1911 tenże Sellin podjął także kilka próbnych dołów na pagórku Tell Abu 'Alaik, należącym do Jerycha herodyańskiego.

3. DZIEJE I RUINY JERYCHA.

W historyi Jerycha, jego topografii i ruin, należy rozróżnić 8 okresów, różnych między sobą cywilizacyą, a których istnienie obecnie nie podlega żadnym wątpliwościom. Z tych okresów trzy przypadają na czasy przed wkroczeniem Izraela do Palestyny; drugie trzy obejmują dzieje Jerycha, zamieszkałego w znacznej części przez Żydów, od Jozuego aż do Chrystusa; dwa zaś okresy ostatnie, mianowicie VII. i VIII., odpowiadają rządom bizantyjskim i muzułmańskim.

Dla łatwiejszego poglądu na poszczególne epoki może najlepiej będzie przechodzić je po kolei, a w każdej epoce uwzględniać równocześnie źródła historyczne, dane archeologiczne i kulturalne. Dla szczupłości czasu i miejsca ograniczę się do najważniejszych tylko szczegółów [1]).

[1]) Za podstawę służy mi przedewszystkiem dzieło: E. Sellin und C. Watzinger, Jericho, die Ergebnisse der Ausgrabungen, Leipzig 1913. J. C. Hinrichs; — nadto artykuły H. Vincent, w Revue biblique VI. (1909) p. 270—279; VII. (1910) 404—407; X. (1913), 450—458; H. Thiersch, Archaeologischer Jahresbericht ZDPV. (1913) 40—49; w części także kilkakrotny dłuższy pobyt w Jerychu i studya nad jego wykopaliskami, na miejscu podjęte. Ryciny pochodzą w większości z dzieła Sellina i Watzingera.

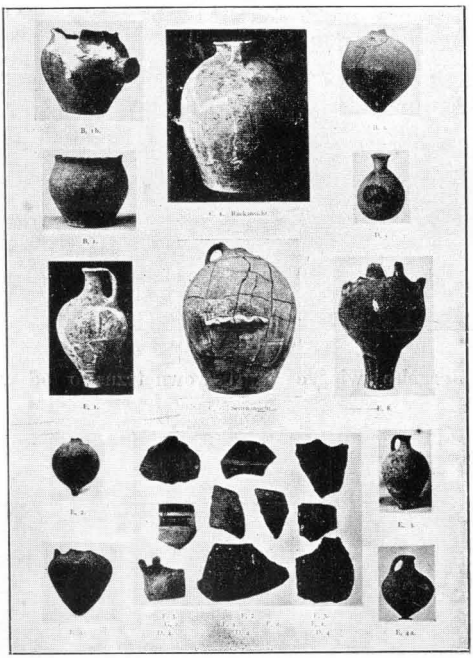

Ryc. 90. Jerycho; ceramika protokananejska (z ozdobami).

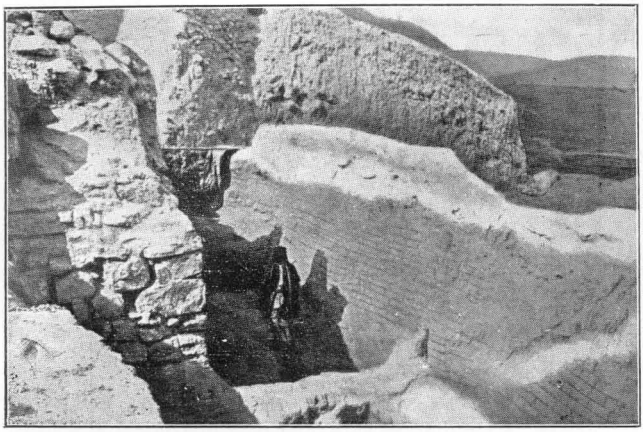

Ryc. 93. Jerycho; wieżyce muru wewnętrznego (od wschodu).

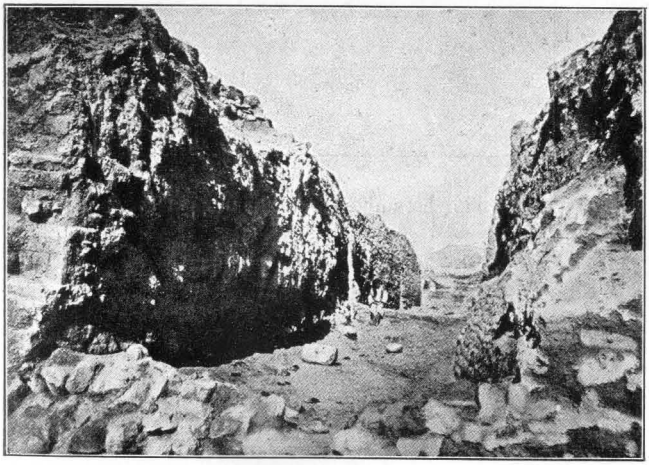

Ryc. 94. Jerycho; przecznica, łącząca mur wewnętrzny z przedmurem.

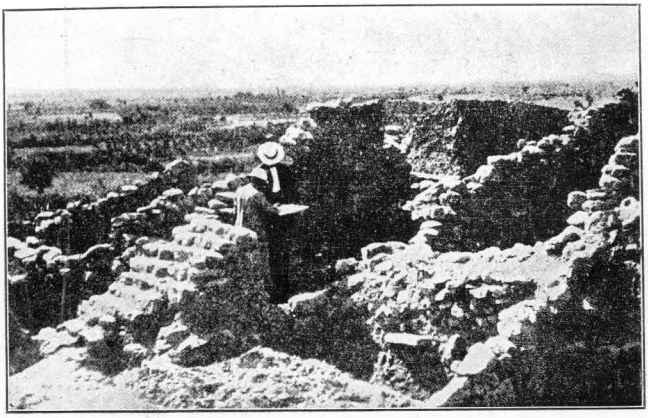

Ryc. 97. Jerycho; schody na murze wewnętrznym.

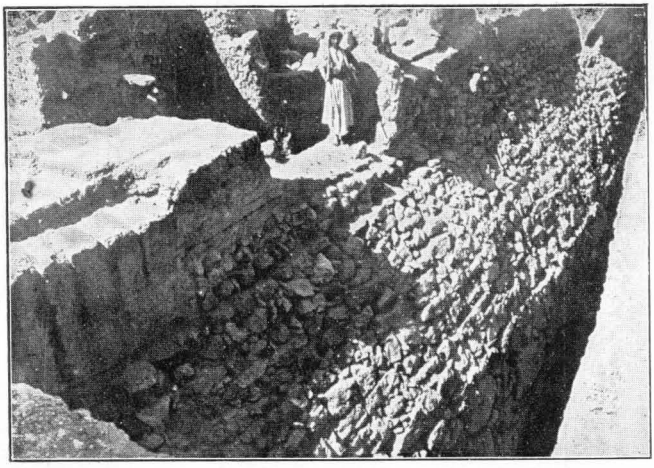

Ryc. 98. Jerycho; mur zewnętrzny.

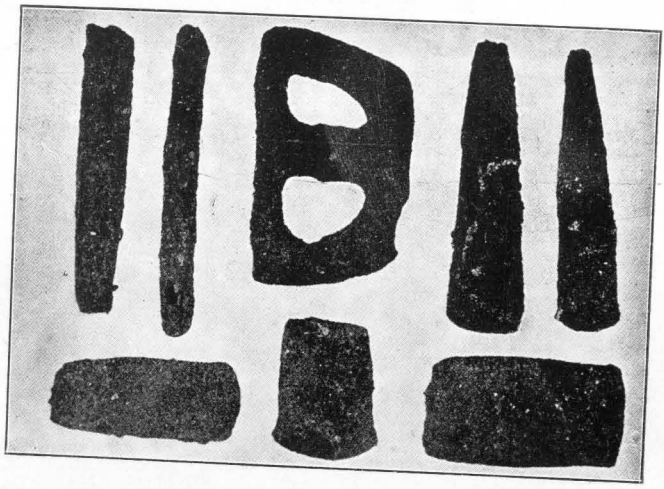

Ryc. 101. Jerycho; naczynia miedziane z epoki kananejskiej.

Ryc. 104. Jerycho; Bożyszcze z epoki kananejskiej.

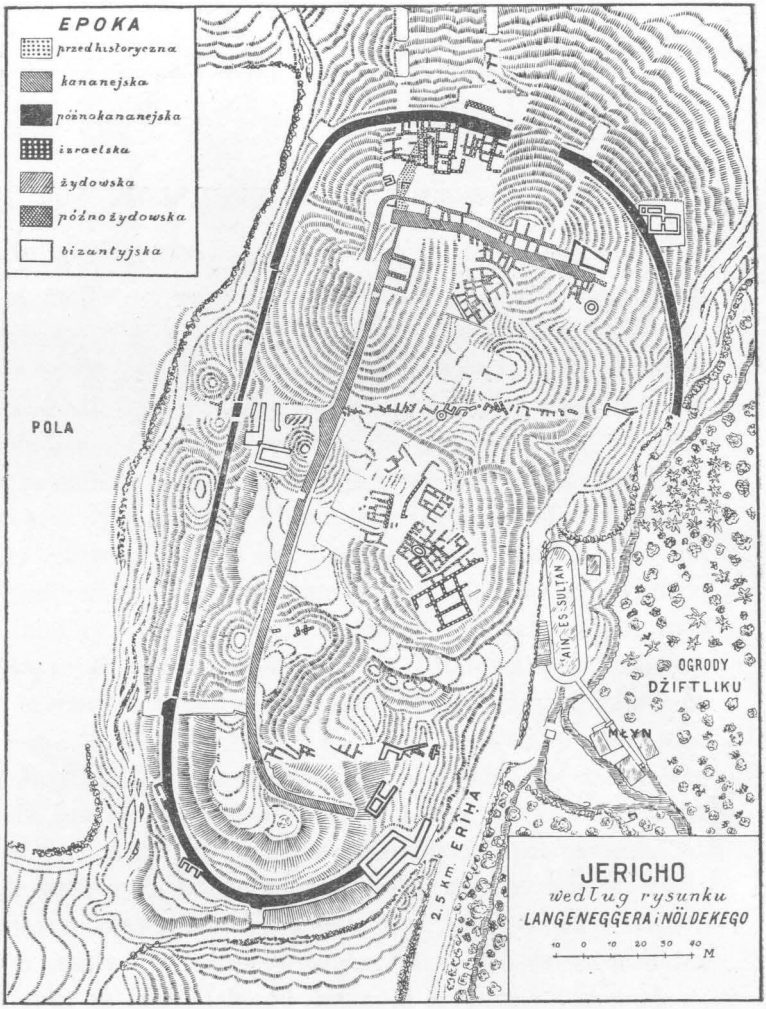

Ryc. 90. Jerycho; plan wykopalisk.

Uwaga: W miejsce mylnie podanej ryc. 90 (ceramika protokananejska) załączamy niniejszem właściwą.

I. okres przedhistoryczny (neolityczny) 3500—2500 przed Chr.

Jak w całej Palestynie, tak i w Jerychu, na pagórku Tell es-Sultân, już około połowy czwartego tysiąclecia przed Chrystusem kwitnęło i rozwijało się życie ludzkie. Ówczesny pagórek wznosił się zaledwie na 5—8 m. ponad otaczającą go równinę. Pierwszą osadą ludzką, najprawdopodobniej niesemickiego pochodzenia [1]), ściągnęło tu wspaniałe i obfite źródło, dziś zwane 'Ain es-Sultân (źródłem sułtańskiem), dalej wygodne położenie na samym prawie brzegu doliny Jordanu, i nad wyraz bogata roślinność, świadcząca o urodzajności gleby. Warunki życia tych pierwszych osadników były bardzo proste. Wyroby ceramiczne, podobnież i metale, były im z początku zupełnie nieznane; to też sam kamień musiał im służyć za wszystko i do wszystkiego. Jakoż dzięki wykopaliskom znaleziono niemałą ilość (około 140) narzędzi kamiennych, które należą już to do epoki neolitycznej, już też do późniejszej epoki bronzu i żelaza, — a więc już do pierwszych czasów kananejskich.

Są to w ogólności noże, skrobacze, ostrza strzał czy włóczni, sierpy, dłuta, młotki i t. p. Dopiero pod koniec tej epoki zjawia się w Jerychu także i ceramika, pochodzenia azyatyckiego (może ze Suzyany?).

Co ciekawsze, dokopano się nawet obronnych murów tej pierwotnej osady. Gruby ten (na 5 i pół m.) mur leży pod gruzami miasta kananejskiego, a wzniesiono go z kamieni polnych i z cegieł glinianych, o bardzo wielkim rozmiarze (0, 70×0, 40 m.; wysokość 0, 10—0, 19 m.). Mur obronny pierwszej osady w czasach późniejszych uległ zniszczeniu.

Na wzmiankę zasługują także trzy ortostaty, których nie znaleziono jednak in situ, ale w murze późniejszym, bardzo starej daty. Jeden z nich opatrzony jest w liczne wydrążenia i zagłębienia; niektóre z tych ostatnich są połączone między sobą row-

[1]) Por. moją pracę: „Palestyna przedhistoryczna w świetle najnowszych wykopalisk". Miesięcznik kościelny, 1912, str. 81—93.

kami. Nie wiadomo, czy te ortostaty tworzyły ze sobą ongi jakiś dolmen (grobowiec, ołtarz); wykluczone to jednak nie jest. W tem przypuszczeniu miałyby one charakter sakralny; byłyby jedyną religijną spuścizną okresu neolitycznego w Jerychu.

II. okres protokananejski (2500—1600 przed Chr.).

1) W dwudziestym piątym wieku przed Chrystusem zjawiają się w dolinie Jordanu pierwsi Semici, a z nimi kultura zaczyna przybierać nowe, udoskonalone już nieco kształty. Zwolna wchodzi w życie używanie metalu, przedewszystkiem bronzu; bronzowe siekiery, igły i topory wypierają z użycia pierwotne narzędzia kamienne. Ceramika rozwija się coraz więcej. Semiccy przybysze, osiadłszy w Jerychu, oddają się gorliwie życiu rolniczemu, uprawie zboża, oliwy i wina, jak tego dowodem rozmaite dzbany, znalezione w ruinach ich domostw. Są to wielkie naczynia zapasowe, ogromne pitosy bezszyjne, o grubych ścianach, wkońcu dwuuszne amfory. Jedne z nich nie mają żadnych ozdób; inne zaś posiadają już pewną ornamentacyę. Malowane są na brunatno lub czerwono; polerowaniem zaś swojem przypominają inne naczynia tejże epoki, znalezione w Tell Żezer[1]). Tak więc ceramika Jerycha protokananejskiego nie różni się zasadniczo od ceramiki innych miast Palestyny z końca III-go a początku II-go tysiąclecia przed Chr. W ornamentacyi i polerowaniu ma wiele cech wspólnych z ceramiką egejską owych czasów, zwłaszcza z jej przedstawicielami z Melos, Thery, z Tessalii i Beocyi. Będąc atoli jeszcze wyrobem ręcznym, nie przedstawia wielkich różnic, któreby ją oddzielały od ceramiki z epoki kamiennej.

2) Semickich mieszkańców kananejskiego Jerycha cechuje jednak przedewszystkiem sztuka obwarowania miast. Warto się jej bliżej przypatrzyć, bo nic tak nie charakteryzuje ówczesnej kultury, jak właśnie odkopane ruiny obronnych murów Jerycha. Jak wszystko, tak i ta sztuka podlegała powolnemu, ale ciągłemu rozwojowi, a okres protokananejski zachował nam w Je-

[1]) Por. Macalister, Excavations of Gezer II. (132 nn.).

rychu aż dwa różne okazy tego widocznego postępu, oddzielone od siebie może pięciu wiekami istnienia.

Mówiąc o murach obronnych Jerycha, należy rozróżnić dwa odmienne ich systemy: pierwszy z nich, starszy, który nazywać będę krótko „murem wewnętrznym", i drugi, późniejszy, który oznaczam nazwą „muru zewnętrznego" [1]).

3) Mur wewnętrzny w postaci nieregularnego prostokąta (o długości 210 m., a szerokości 120 m.) okalał całe miasto wałem 600 m. długim (t. j. 23.000 m²) i prawdopodobnie obejmował także samo źródło [2]). Jerycho ówczesne było więc nieco większe, niż np. Kolosseum rzymskie [3]), a dwa razy większe od drugiego miasta trojańskiego [4]). Szerokość muru wewnętrznego w Jerychu waha się między 3, 30—3, 70 m., jego wysokość dochodziła może do 10 m. Mur sam spoczywał na fundamencie z kamieni polnych, szerokim 4 m., wysokim 0, 50—0, 80 m., a składał się z cegieł, suszonych na słońcu. Cegły te nie posiadały określonej wielkości, ani formatu (czasem dochodziły do 0, 54 m. szerokości); jedynie ich wysokość była stałą (0,09—0,10 m.). Fugi między pojedynczemi częściami muru dowodzą, że budowę prowadzono równocześnie na różnych miejscach, że niewiele dbano o jednolite prowadzenie fundamentów, ani o dokładne zachowanie linii kierowniczej. Cała wschodnia strona tego muru uległa zniszczeniu; najlepiej zachowała się część północna. Wykazuje ona, że miasto posiadało na swych murach czterokańczaste, występujące wieżyce [5]) (5,80—12 m.), a nadto dowodzi, że i sam mur wewnętrzny miał jeszcze obronne przedmurze, szerokie na 1,50 m., które z głównym murem dla większej trwałości łączono zapomocą przecznic [6]). Jak mogła wyglądać twierdza, okolona takim podwój-

---

[1]) Zob. ryc. 90.

[2]) Wynika to z tego szczegółu, że mur północny i południowy nie załamują się jeszcze w miejscu, gdzie je zdołano odkopać, ale biegną dalej ku wschodowi.

[3]) Średnica większa Kolosseum jest 187 m.; mniejsza ma 155 m.; obwód posiadał 524 m.

[4]) Wraz z zamkiem, którego oś wynosiła około 100 m.

[5]) Zob. ryc. 93. [6]) Zob. ryc 94.

nym murem, daje pojęcie egipski relief zdobycia twierdzy Dappur (Tabor) [1]).

Mur wewnętrzny, mimo częściowych burzeń i poprawek, świadczy o jednolitej myśli konstrukcyjnej i każe wnosić o jednolitem, równoczesnem powstaniu; z drugiej jednak strony niedokładność budowy i niezachowanie linii kierowniczej mówi wymownie o niewyrobieniu budowniczych.

4) Wewnątrz tego muru obwodowego, który otaczał pierwsze miasto kananejskie, dokopano się licznych domostw, zabudowań i uliczek. Ulice są wąskie i kręte. Niektóre domostwa przy północnem i zachodniem obwarowaniu przytykają bezpośrednio do muru, a swojem urządzeniem każą się domyślać, że służyły może do celów wojskowych.

Inne zabudowania z tej epoki to domy prywatne. Swą architekturą i materyałem przypominają one mury miasta w miniaturze: kamienie polne służą im za fundament, a cegła niewyrobiona jest składową częścią ścian i murów. Domki ówczesne były nader małe, a ich pokoiki, oczywista, jeszcze mniejsze. W niektórych znaleziono amfory, naczynia gliniane do użytku domowego, piece do wypalania, szkielety dzieci w dzbanach i t. p.

5) Ten pierwotny mur wewnętrzny, okalający miasto, uległ gwałtownemu zniszczeniu, częścią wskutek ognia, zwłaszcza na stronie północnej, częścią przez zburzenie po stronie wschodniej, która będąc słabszą, wystawiona była szczególniej na ataki najeźdźców i została gruntownie zburzona. Po tejże stronie wschodniej musiała leżeć brama miasta, może tuż około źródła. Nieprzyjaciel, zdobywszy bramę, zrównał z ziemią mur wschodni, inne części muru poniszczył, twierdzę Jerycho zamienił na osadę nieobronną, ale samego miasta nie spalił, ani jego ogrodów nie spustoszył. Kto był tym przyjacielem, niewiadomo. Nie jest jednak wykluczoną możliwość, że byli nim królowie Elamu, którzy za czasów Abrahama (w XXI. w.) najechali Palestynę (Gen. 14).

Wewnętrzne mury Jerycha (z XXV. wieku przed Chr.) były wskutek tego najazdu tak zniszczone, że już się nigdy z ruin nie

[1]) Por. Vigouroux, Dictionnaire de la Bible.

podniosły, mimo, że rozprószeni mieszkańcy wrócili niebawem do swej starej siedziby, której źródło i ogrody palmowe przedstawiały bogactwo niezaprzeczone. Ruiny pokryto gruzem. By zaś z równiny ułatwić sobie dostęp na nowo zabudowany pagórek miastowy, poprzez i ponad zburzone mury miasta pobudowano cały szereg schodów [1]). Dziewięć z tych schodów odnaleziono: trzy na północy, pięć z zachodu, a jeden z południowego wschodu. Wogóle znajdują się one tam, gdzie pagórek był nieco stromy.

Z biegiem czasu — może między 2000 a 1800 r. przed Chr., w miarę rosnących bogactw i z rozkwitem dobrobytu — pomyślano na nowo o obwarowaniu miasta. O naprawie zburzonych murów wewnętrznych nie było już mowy; postanowiono raczej wystawić mur nowy. W tym celu zrównano z ziemią cały szereg pobliskich domostw; zbocze pagórka zapełniono rumowiskiem; nawet na schodach dawnego miasta pobudowano domy, a w odległości 30 m. od dawnych murów wzniesiono nowy, zewnętrzny mur ochronny [2]).

6) Mur zewnętrzny miasta. Wielkie to dzieło, które dotychczas nie ma równego sobie w całej Palestynie, okalało cały pagórek miastowy pierścieniem elipsy, bardzo zbliżonym do leżącego jaja. Oś podłużna tej elipsy biegnie w kierunku południowo - zachodnio - południowym (SWS) i wynosi 307 m.; największa jej szerokość 161 m.; cały więc obwód mógł wynosić około 778 m., a obszar miasta zwiększył się o trzecią część przestrzeni i obejmował 4—5 hektarów. Z tej wielkiej elipsy dokopano się większej połowy muru (404,5 m.); jedynie części wschodnio-południowej nie odnaleziono, gdyż uległa całkowitemu zniszczeniu już w czasach starożytnych. Ona to bowiem obejmowała źródło i musiała posiadać jedyną bramę miasta [3]).

To pomnikowe a wspaniałe obwarowanie zewnętrzne [4]) wywołuje u wszystkich znawców, jak i profanów, podziw zasłużony, tak dla swego ogromu, jak przedewszystkiem dla swego wykonania. Dowodzi ono, że budowniczy nie był początkującym

[1]) Zob. ryc. 97. [2]) Zob. ryc. 90.
[3]) Joz. 2, 5 zdaje się mówić o (jedynej) bramie miasta.
[4]) Zob. ryc. 98.

tylko przedsiębiorcą, ale mistrzem w całem tego słowa znaczeniu. Zdaniem inżyniera Langeneggera, który ten mur odkopywał, nowożytny budowniczy, mając taki sam materyał do rozporządzenia, nie mógłby zbudować nic lepszego pod względem technicznym, nic odpowiedniejszego do ówczesnych strategicznych wymagań, gdzie to oblęgający rozporządzał tylko drabinkami, motykami i taranami.

Przypatrzmy się bliżej temu arcydziełu starożytnych czasów. Całe obwarowanie składa się z trzech części, różnych konstrukcyą i materyałem. W jego skład wchodzi: 1) p o d k ł a d ziemny, 2) s k a r p a czyli nachylone kamienne podmurowanie, 3) sam wreszcie m u r c e g l a n y, prostopadle wznoszący się ku górze. Zacznijmy od dołu:

a) Budowniczy starał się wprawdzie dotrzeć do żywej skały, ale na niej nie postawił swego obwarowania; widocznie nie bardzo ufał odporności miękkiego wapienia. Jakże więc sobie poradził? Nie znając jeszcze naszego betonu, zastąpił go grubym (0,80—1,30 m.) podłożem czystej, silnie zbitej gliny, tu i ówdzie tylko pomieszanej z kamieniem żwirowym i średniej wielkości kamieniami polnymi.

b) Na tej bardzo trwałej i spoistej podstawie spoczywa potężne, megalityczne, nachylone podmurowanie (skarpa), o wysokości 5,4—4,5 m. Składa się ono z trzech części: 1) naprzód dwa pokłady wielkich bloków kamiennych (1—2 m.), które stanowią jakby fundament skarpy, a których niedopasowanie i fugi wypełniono drobnymi kamieniami w ten sposób, że burzycielskie narzędzie wroga nie miało nigdzie dostępu, ani punktu zaczepnego. Technika więc jerychońska przywodzi mimowoli na myśl tak zwane mury cyklopów. O spoistości tego podmurowania świadczy fakt, że mimo 40-wiekowego istnienia nigdzie się ono dotychczas nie zarysowało. 2) Na tych blokach kamiennych wznosi się po kolankowej przerwie druga część podmurowania, o charakterze mniej pochyłym. Składa się na nią 6—12 pokładów mniejszych brył kamiennych, bardzo starannie wypełnionych. Im wyżej się wznosimy, tem te bryły są mniejsze. 3) Po nich następuje druga kolankowa przerwa, a wreszcie prostopadły sokl, wysokości metra.

c) Na tym dopiero soklu wznosi się właściwy mur miasta z cegieł, gruby na 2 metry, który więc rozpoczynał się już na znacznej wysokości 7—8 m. ponad ziemią. Mur sam w wielkiej części uległ zniszczeniu. Wysokość jego obejmuje obecnie zaledwie 2,40 m., ale dawniej dosięgała 6—8 m. Razem więc całe obwarowanie miało 12—15 m. wysokości. Jeśli nadto weźmiemy na uwagę wysokość pagórka (około 10 m.), dojdziemy do pokaźnej wysokości 25 m. ponad równinę, okalającą miasto.

Jak już zaznaczyłem na wstępie, to zewnętrzne obmurowanie Jerycha jest czemś zupełnie nowem w Palestynie. Obok techniki zasługuje także na uwagę sama charakterystyczna (bo eliptyczna) linia murów, które niby olbrzymi wąż, oplatają swym pierścieniem cały pagórek, bez jakiegokolwiek załamania, ni bastyonu. Mimowoli nasuwa się pytanie, skąd ten nowy system obronny zjawił się w Jerychu? Gdzie jego pierwowzór? Czy może przybył on ze Wschodu (z Moabu?), czy raczej z północy (ze Syryi?), gdzie np. Senżirli posiada podobne obwałowanie miastowe. Jeśli wkońcu zwrócimy uwagę jeszcze i na ten szczegół, iż całe podmurowanie było pokryte z zewnątrz warstwą ubitej gliny, która zlana wodą, uniemożliwiała wszelkie wdzieranie się w górę, to będziemy mogli ocenić, jak potężnym i niezdobytym na owe czasy był ten zewnętrzny mur Jerycha.

Po odkopaniu tego obwarowania, archeologowie i znawcy jednogłośnie uznali je za dzieło kananejskie, na które patrzyły wojska Jozuego. Wprawdzie odkrywcy Sellin i Watzinger zmienili później swe zdanie i obwarowanie zewnętrzne przypisali Izraelicie Chielowi z IX. w.; atoli już Vincent[1]) słusznie zaznaczył i niezbicie wykazał, że niema żadnego archeologicznego powodu do tak radykalnej zmiany poglądów. Dłuższe i szczegółowe studya, dokonane na miejscu w r. 1914, nakazują mi przyznać słuszność wywodom Vincent'a, do których ciekawego czytelnika odsyłam. Mojem zdaniem można i trzeba uważać nadal mur zewnętrzny za dzieło kananejskie, ale — i to jest jedyne ograniczenie, jakie uczynić muszę — wzniesione dopiero między 2000 a 1800 r. przed Chr.; mur wewnętrzny jest na-

[1]) Revue biblique NS X., (1913), 456—458.

tomiast starszego pochodzenia kananejskiego (może z XXV. wieku przed Chr.), który uległ zniszczeniu i pożarowi, prawdopodobnie w XXI. wieku. Miasto przytem tak doszczętnie zrabowano, że gdyby nie przygodny amator kolekcyonista z następnego okresu, który znalezione w ruinach przedmioty zebrał i dla siebie razem je w wielkim garnku przechował, — to o kulturze pierwszego, starokananejskiego okresu w Jerychu nie moglibyśmy prawie nic powiedzieć.

Do ważniejszych przedmiotów okresu starokananejskiego należą narzędzia miedziane [1]) i naszyjnik z perełek kościanych i miedzianych.

7) Ceramika Jerycha w okresie muru zewnętrznego, obok niezaprzeczonego pokrewieństwa z zagranicą, zwłaszcza z Cyprem, zachowała swoją odrębność i samodzielność. Nie dokopano się prawie żadnego znaczniejszego przedmiotu, pochodzenia zagranicznego. Jedynie znalezione skarabeusze XVII-ej i XVIII-ej dynastyi pozwalają wnioskować o związkach handlowych i politycznych Jerycha z Egiptem w XVI. i XV. wieku przed Chr., za czasów Tutmosisa III., który podbił Palestynę, jej miasta uwiecznił na murach świątyni w Karnak, a handel Egiptu skierował na Jerozolimę i Jerycho, poza Jordan, do Mezopotamii. Nie jest również wykluczone, że jak miasta Palestyny i Syryi, tak i Jerycho zależało podówczas (za czasów XVIII. dynastyi) politycznie od Egiptu, chociaż posiadało własnego władcę z tytułem króla.

8) O religii mieszkańców Jerycha kananejskiego w szczególności nic nie wiemy. Były to zapewne wierzenia, wspólne im z innymi Kananejczykami, a więc cześć, oddawana siłom przyrody, uosobionym w bóstwach takich, jak Baal lub Astarte, a czczonych na pagórkach i w gajach w formie kamieni, posągów i drzew [2]). Wykopaliska przyniosły wszakże jeden przedmiot, który uważać można za bożyszcze [3]). Jest to kamienna płyta, po bokach wydrążona, bardzo prymitywnej roboty. Podobne bo-

[1]) Zob. ryc. 101.

[2]) Por. Lagrange, Etudes sur les religions semitiques [2] (1905), 83—99, 118—140. [3]) Zob. ryc. 104.

żyszcza, z tego samego okresu, znaleziono także w Megiddo i w Gezer.

III. okres, późnokananejski (1600—1200 przed Chr.).

Kilka wieków, poprzedzających wkroczenie Izraela do Jerycha i dwa następujące po zdobyciu tegoż, stanowić mogą osobną epokę przejściową w rozwoju i historyi miasta palm. Jest to już schyłek kultury kananejskiej, która trwa jeszcze dalej, nawet po zdobyciu miasta przez Jozuego, wywiera swój wpływ na jego etnograficznie pomieszanych mieszkańców, a ustępuje dopiero zupełnie około r. 1200, pod wpływem wzrastającej kultury izraelskiej. Obfitszą w szczegóły od archeologii jest historya Jerycha w czasie tych pięciu wieków; od niej też zacznijmy. Na pierwszy plan wysuwa się oczywiście zdobycie miasta przez Jozuego.

Około r. 1400 zjawiają się przed murami Jerycha synowie Izraela, stanowiący może część tych zagadkowych Habiri, o których ze zgrozą mówią ciągle urzędowe raporty z Tell el-'Amarna [1]). Przebieg zdobycia Jerycha opisuje dość szeroko księga Jozuego (r. 2—7):

Jeszcze z krainy zajordańskiej, ze Sittim (dziś Tell el-Kefren) wysyła wódz Izraela dwóch szpiegów do Jerycha, które wówczas posiadało osobnego króla, aby zbadać stan twierdzy jerychońskiej, tego— jak widzieliśmy — klucza całej krainy przedjordańskiej. Szpiedzy znajdują przyjęcie w domu wszetecznicy Rahaby. Gdy zaś zaniepokojona policya jerychońska czyni na nich obławę, kryją się naprzód u Rahaby, a potem przez okno jej domu, leżącego nad murem miasta, spuszczają się w nocy na równinę i uciekają do pobliskich na zachodzie Judei gór, skąd po trzech dniach wracają do Jozuego. Wódz Izraela przeprawia się przez Jordan, zakłada obóz przy Galgali (dziś Birket Żiłżulie), ówczesnem sanktuaryum Jerycha [2]), oddalonego od miasta

---

[1]) Por. np. Boehl, Kananäer und Hebräer, p. 83—96; Kittel, Geschichte des Volkes Israel I., 440.

[2]) Joz. 4, 19. 20.

o pół godziny drogi, — a zachęcony objawieniem z nieba [1]), przypuszcza szturm do miasta [2]).

Szturm to osobliwy. Na rozkaz bowiem Jahwy całe wojsko wraz z arką przymierza przez sześć dni obchodzi po razu miasto dookoła. Było to zadanie łatwe, gdyż — jak wiemy — miasto leżało na odosobnionym pagórku, który otaczała zewsząd równina, a ta procesya, nawet w należytej odległości od murów — przypuśćmy na podwójną odległość strzału z łuku (np. 300 m.) — wynosiła zaledwie 5 km. drogi, mogła się więc codziennie odbyć w półtorej godziny. Potem wojsko wracało do obozu swego w Galgali. Dnia siódmego, przy siódmem z rzędu okrążaniu miasta, kapłani zatrąbili w rogi, a na ten znak cały lud wydał donośny okrzyk; mury miasta, tknięte mocą Bożą [3]), runęły na wschodniej i południowej części miasta, gdzie właśnie wojsko się znajdowało, tak, że żołnierze mogli z łatwością wkroczyć i zająć Jerycho. Miasto spalono; złoto, miedź i żelazo przeszły do skarbca Jahwy; ocalała jedynie Rahab z całą swoją rodziną i z całem swem plemieniem, stosownie do otrzymanego przyrzeczenia za udzieloną pomoc szpiegom izraelskim [4]). Aby zaś w przyszłości przeszkodzić odbudowaniu murów miasta, Jozue rzuca klątwę bezdzietności na tego, ktoby ośmielił się na nowo miasto murami otoczyć [5]). Śmiałek ten przy zakładaniu fundamentów straci swego pierworodnego, a przy osadzaniu bram miasta swego najmłodszego syna.

Klątwa Jozuego miała na celu przeszkodzić odbudowaniu murów miasta, ale nie nakazywała, aby Jerycho zostało przez wieki pustynią. Jeszcze za czasów Jozuego plemię Rahaby osiadło powtórnie przy Jerychu [6]) i zagospodarowwało się niebawem w samych ruinach, wraz z nielicznymi osadnikami Izraela [7]). Miasto więc Jerycho, Jerycho nieobronne, istniało nadal, chociaż życie jego było dość podcięte. Dowodem tego dane historyczne i wykopaliska: — a) Wszak sam Jozue oddaje Jerycho (a więc nie same

[1]) Joz. 5, 13; por. także Jud. 2, 1.

[2]) Zob. ryc. 90. [3]) Por. Żyd. 11, 30. [4]) Joz. 6, 23—25.

[5]) *Bana* oznacza tu (Joz. 6, 26) nie tylko odbudowanie miasta, ale przedewszystkiem odbudowanie i obwarowanie go murami; podobnież w 1. Sam. 15, 17. 22.

[6]) Joz. 6, 23. [7]) Joz. 6, 25

tylko ruiny!) w posiadanie plemienia Benjamina[1]); wszak księga Sędziów[2]) opowiada, że Moabici z pomocą Ammonitów i Amalekitów, a pod wodzą króla Eglona, zajęli za czasów Sędziów miasto palm (t. j. Jerycho[3]) i przez lat 18, aż do śmierci Eglona, ciemiężyli Benjaminitów[4]).—b) Dane Pisma św. znajdują potwierdzenie w wykopaliskach, które świadczą, że na północnej części ruin między XV. a XII. wiekiem istniała mała osada, o ludności mieszanej, kananejsko-izraelskiej. Podłożem kananejskiem osady mogło być właśnie plemię Rahaby, a ich domostwa kananejskie były zbudowane po części z cegieł miasta, poprzednio zburzonego.

Ceramika kształtem swoim zbliża się jeszcze do epoki starokananejskiej, ale znać już na niej dość zasadnicze różnice, np. w uszach naczyń i jej ornamentacyi „czesanej". Ojczyzny tej czesanej ceramiki dotychczas nie znamy, ale nie jest wykluczony wpływ Moabu.

Atoli, jak wspomniałem wyżej, życie tej osady biło słabem tętnem. Gdy bowiem w innych miastach palestyńskich ówczesnej epoki późnokananejskiej — np. w Megiddo, w Ta'annak, w Gezer i Lakis — jeszcze przez Izraela niezdobytych, życie przemysłowo-handlowe było silnie rozwinięte, a dowóz przedmiotów pochodzenia mykeńskiego, starocypryjskiego, a nawet egipskiego był znaczny, to w Jerychu, zawojowanem przez Izraela, niczego podobnego nie znachodzimy. Dopiero w następnym okresie wpływ obcej kultury daje się zauważyć i w Jerychu.

IV. okres, izraelski (1200—722 przed Chr.).

Za panowania Dawida i Salomona następuje w Jerychu powolne zanikanie tubylczego plemienia Rahabitów, którzy pomału assymilują się i przechodzą w naród Izraela.

Za czasów Salomona — jeśli należy dać wiarę twierdzeniu

---

[1]) Joz. 16, 1. 7, 18, 12. 21. [2]) Jud. 3, 12—30.

[3]) Jerycho t. j. miasto palm por. Deut. 84, 3; 2 Chr. 28, 15.

[4]) Możnaby tu dodać, że za czasów Dawida miasto Jerycho także istniało, 2 Sam. 10, 5; 1 Par. 19, 5.

Józefa Fl. [1]) — Jerycho otrzymało nieoceniony prawie skarb: stało się plantatorem drzewa balsamowego, które królowa Saba przywiozła ze sobą z Arabii szczęśliwej, a które Salomon w Jerychu, jako miejscu najodpowiedniejszem, zasadził. Plantacya się przyjęła, i przez 16 następnych wieków była skarbem i źródłem wielkich dochodów dla miasta.

Przy podziale monarchii Salomonowej miasto balsamu dostaje się pod panowanie północnego królestwa izraelskiego i niebawem rozkwita do nowego życia [2]). Jego powtórnym, rzec można, założycielem jest niejaki Chiel z Betelu, starosta królewski [3]) nad wschodnią kraju połacią, za czasów króla Achaba (w wieku IX.). On to, niepomny zakazu Jozuego, „odbudował miasto", t. j. naprawił jego zburzone w znacznej części mury (po stronie północnej i zachodniej), a w części dobudował nowe (na południu i wschodzie, gdzie to dawne mury kananejskie już za czasów Jozuego uległy całkowitej ruinie). Te poprawki i łataniny murów miasta są widoczne, zwłaszcza w części południowej. Mur tu mniej doskonały, niż gdzieindziej, tak pod względem wykonania, jak i materyału.

Czemu przypisać tę przemianę Jerycha na twierdzę obronną? Najprawdopodobniej nowym warunkom politycznym. Na wschodzie, w krainie Moabu, gromadziły się chmury brzemienne. Wprawdzie Izraelici, 'Omri i syn jego Achab, dzierżyli jeszcze władzę nad Moabem, ale ich posiadaniu zagroziło poważne niebezpieczeństwo, gdy w krainie Moabitów uchwycił przedsiębiorczy Meša' ster rządów w swe ręce. On to — jak się sam chwali w swym kamiennym napisie — zdobył już miasta Ataroth (dziś 'A t a r u s), Nebo (e n - N e b a), Jahas (t. j. U m m e l - W a l i d) i Horonaim

[1]) Ant. VIII. 6, 6. [2]) Zob. ryc. 90.

[3]) Już Salomon podzielił państwo swoje na części administracyjne, których zarząd oddał starostom (1 Król. 4, 7, nn.). Ten system administracyjny zachował się prawdopodobnie i później, gdyż za czasów Achaba spotykamy urzędników królewskich na czele miast i prowincyi, którzy wraz ze starszymi ludu sprawują rządy (por. 2 Król. 10, 1. 2. 5) i mają oddziały wojska do swego rozporządzenia (1 Król. 26, 14 nn.). Jednym z takich starostów musiał być i Chiel; inaczej trudno zrozumieć, aby bez zgody króla mógł obwarowywać miasto k r ó l e w s k i e.

(t. j. Kasr Haraša?), a przez to zagrażał nawet dolinie jordańskiej i Jerychowi, które były kluczem państwa Achaba. Aby więc się zabezpieczyć, postanowiono odbudować starą twierdzę jerychońską. Ale stosownie do groźby Jozuego, Chiel stracił przy tem dziele dwóch synów: najstarszego Abirama i najmłodszego Seguba [1]).

W nowo obwarowanem mieście Chiela powstają nowe domy i mieszkania. Domostw izraelskich z owej epoki dokopano się w wielu miejscach. Wspomnę tylko o dwóch. Tuż przy naprawionym murze zewnętrznym, na północy, natrafiono podczas wykopalisk na całą dzielnicę izraelską. Fundamenty domów są kamienne, a cienkie (0,35—0,45 m.) ściany składają się z cegieł prostokątnych, bardzo różnej wielkości i formy. W odkopanych domach znaleziono ogniska, kuchenne przybory, a nawet zwłoki dzieci w amforach. Taki domek izraelski z owych czasów składał się zwyczajnie z dwóch równolegle do siebie przystających izb prostokątnych i węższego przedpokoju.

Na szczególniejszą uwagę zasługuje dzielnica przy źródle Elizeusza. Wśród niej na pagórku królują ruiny wielkiego (18×25 m.) domu, czy pałacu. Budową swoją przypomina on konstrukcye syryjsko-hittyjskie typu Hilani, (który tak nazwali i do siebie wprowadzili Asyryjczycy już od czasów Sargona). Właściwością typu Hilani jest sześć do ośm mieszkalnych przestrzeni, prawie kwadratowych, rozłożonych z trzech stron około dwóch podłużnych sal (10,50×3,70 m.). Cechują go nadto grube (1,50—1,80 m.) mury w stylu cyklopów; są to bowiem wielkie kamienie, niespojone wapnem, ale tylko mniejszymi kamyczkami wypełnione. Potężna ta budowa, której głazy służyły — i po dziś dzień jeszcze służą — za kamieniołom, uległa naturalnie zniszczeniu. Znaleziona w niej ceramika dowodzi, że początki pałacu sięgają X. lub IX. wieku. Z tych wszystkich powodów, t. j. ze względu na czas powstania gmachu i dla jego wyjątkowego położenia przy źródle i przy jedynej bramie miasta, odkrywcy nazwali go krótko pałacem Chiela.

Jak wskazuje ceramika, Jerycho w okresie izraelskim

[1]) 3 Król. 16, 34.

było gęściej zamieszkane właśnie pod koniec II-go i na początku I-go tysiąclecia przed Chr. Na te czasy przypada bardzo znaczny rozwój ceramiki, tak tubylczej, jak i zagranicznej. To dowodzi, że Jerycho izraelskie wciągnięto w światowy ruch handlowy owych czasów. Znaleziono w wielkiej obfitości naczynia, pofarbowane na żółto-biało, według wzorów metalowych, których ojczyzny nie zdołano wszakże jeszcze należycie ustalić. Warto jednak podnieść jeden szczegół dość charakterystyczny. — Oto za świadectwem Pisma św. [1]) odlewarnie metalowe Izraela miały właśnie swą siedzibę za czasów Salomona (a prawdopodobnie i później) w dolinie Jordanu, między Sukkoth (t. j. ed-Damije?, Tell Dêr 'Alla?) a Sartan (t. j. Karn Sartabe? albo Tell es-Sarem?), a więc w niezbyt wielkiej odległości od Jerycha. Zagraniczny natomiast dowóz przedstawiają przedewszystkiem naczynia cypryjskie i egipskie.

I na życie religijne Jerycha z tej epoki rzuciły wykopaliska nowe światło, potwierdzając ubocznie fakta, opowiedziane w Piśmie św. Nie znaleziono bowiem ani jednego bożyszcza z tego czasu; nie dokopano się nawet żadnego amuletu, któryby jakiś obraz na sobie nosił. Gdy ten ujemny, ale charakterystyczny wynik porównamy z nader obfitymi przedmiotami kultu pogańskiego, które z tej właśnie epoki znaleziono w Megiddo, w Lakiš w Gezer i Ta'annak, a także i na czterech pagórkach Szefeli, — to mimowoli narzuca się myśl, że to wszystko nie jest tylko rzeczą przypadku, ale stanowi wymowny, chociaż tylko negatywny argument. Czego? — Tego niezaprzeczonego faktu, że religia Izraela, która zabraniała wszelkiego obrazowego kultu Jahwy i stanowczo wykluczała wszelkie inne bóstwa, przechowała się w dolinie Jordanu czyściej i silniej, niż w zachodniej części kraju, podległej więcej bezpośrednim wpływom pogańskim. I nic w tem dziwnego. Wszak wielki Eliasz przed swem wniebowzięciem odwiedził Jerycho, gdzie właśnie kwitnęła szkoła proroków [2]). W Jerychu działał także prorok Elizeusz, który tak wybitną odegrał rolę w dziejach swego ludu, a który smak wody źródła jerychońskiego

---

[1]) 3 Król. 7, 46. [2]) 4 Król. 2, 5. 15.

zmienił na lepsze [1]) i imię swoje mu pozostawił. W tem to Jerychu, wśród ludności szczerze przywiązanej do kultu Jahwy, która o obcych bożkach i amuletach nic wiedzieć nie chciała, chętnie także bawili inni prorocy (jak np. Amos, Ozeasz, Jeremiasz) i swym wpływem dodatnio oddziaływali na gorliwych jego mieszkańców.

V. okres, żydowski (722—350 przed Chr.).

1. Upadek Samaryi r. 722 nie minął bez bolesnych następstw dla miasta palmowego. Jak wykazują wykopaliska, najpóźniej przed r. 700 przed Chr., Jerycho uległo ponownemu zburzeniu. Mury jego zrównano z ziemią, a pałac Chiela zburzono. Czy tego czynu dopuścili się Asyryjczycy bezpośrednio po upadku Samaryi (722), czy Sanherib w 20 lat później (701), po wyprawie na Lakiš czy też władcy Judei (?), niewiadomo. To pewna, że po upadku Samaryi królestwo Judy, wzmocnione na siłach, zajęło twierdzę Jerycho [2]), a ostatni król judzki, Sedecyasz, oblężony w Jerozolimie przez Babilończyków, nie gdzieindziej, tylko w Jerychu, szukał schronienia [3]). Mimo więc zburzonych murów, miasto widocznie nie stało pustkowiem, a nieprzyjaciele nie uprowadzili wszystkich jego mieszkańców do niewoli, ale zadowolnili się zwykłą w owych czasach daniną. Jerycho istniało dalej i rozwijało się spokojnie, jak tego dowodem liczne domostwa, pobudowane w owym czasie na zburzonych murach miasta i nad pałacem Chiela.

Aby dać pojęcie, jak wyglądały domostwa żydowskie w wieku VII. przed Chr., pozwolę sobie jeden z nich krótko tu opisać. Dom ten, w formie kwadratu, składał się z jednej podłużnej sali, która służyła za bawialnię i sypialnię. Korytarz do niej przylegający dawał dostęp do wnętrza, a zarazem prowadził na otwarte podwórze, na którem długa (2,90 m.) i dość szeroka (0,90 m.) ława z gliny przytykała do muru i była (zdaje się) w części dachem pokryta. Ta ława, zasłana dywanem, mogła w razie przyjęć służyć za kanapę. Do podwórza przytykała mała izdebka, która służyła

[1]) 4 Król. 2, 18—22.
[2]) 2 Chr. 28, 12— 15.
[3]) Król. 25, 5; Jer. 39, 5.

za spiżarnię, jak na to wskazują gliniane beczki na wodę i liczne inne naczynia gliniane, które tu „in situ“ znaleziono. W skład ich wchodziły wielkie amfory na wino, garnki kuchenne, talerze i misy, lampy, ważki i młynek kamienny.

Jak wielką była osada żydowska Jerycha w wieku VIII. i w następnych, niewiadomo. To jednak zdaje się nie ulegać żadnej wątpliwości, że główna część miasta zajmowała cały pagórek przy źródle; inne natomiast domostwa, po całej przestrzeni rozrzucone, miały raczej charakter domków wiejskich, czy też will z ogrodami.

O stanie żydowskiej kultury w Jerychu świadczy między innemi znowu ceramika ówczesna, która wykazuje ścisłe pokrewieństwo z wyrobami grecko-fenickimi na Cyprze, nie nosi zaś na sobie już żadnych śladów kananejskich. Ozdoby naczyń są przeważnie geometryczne. Do tejże epoki należą przedmioty z terakotty i fajansu, z kamienia, bronzu i żelaza. Wskazują one wymownie, na wpływy zagraniczne, jak to zresztą potwierdza prorok Ezechiel (27, 17 nn.), który świadczy o rozwiniętym handlu miast żydowskich z zagranicą, za pośrednictwem portów fenickich, właśnie w VII. i VI. wieku przed Chr. Temu też prawdopodobnie przypisać należy, że w Jerychu zaczynają się pojawiać w owym czasie amulety pogańskie w formie bożyszcz, jak np. amulety asyryjskiego demona, głowy wołu i t. p., których celem było ochraniać właściciela przed wpływem złego ducha.

Aliści amulety te nie obroniły miasta przed zagrażającą mu nową klęską. Po zburzeniu Jerozolimy (r. 586) przez Nebukadnezara II. Babilończycy uprowadzili zamożniejszą część jej mieszkańców do niewoli. Ten sam los spotkał prawdopodobnie [1]) i Jerycho, dokąd — jak wspomniałem — schronił się ostatni król żydowski, Sedecyasz. Miasto uległo spaleniu, jak tego dowodzą wykopaliska, a jego arystokracyę uprowadzono wraz z innymi Żydami do Babilonu [2]).

[1]) Jer. 44, 2 supponuje, że wszystkie miasteczka Judei (aż do Masfy), a więc i Jerycho, zostały spustoszone.

[2]) Esdr. 2, 34 i Neh. 7, 36 wspominają wyraźnie o wygnańcach z Jerycha.

2. Dopiero edykt Cyrusa z r. 537 pozwolił na powrót wygnańców. Między tymi, co wrócili z wygnania, byli także potomkowie mieszkańców Jerycha w liczbie 345 osób [1]). Zubożeni otrzymali pola na własność, a ich gorliwość przy odbudowaniu murów Jerozolimy pod Nehemiaszem była wielka [2]). Wróciwszy do swych spalonych lub opuszczonych pieleszy, założyli nową osadę w Jerychu, w części północnej starego miasta, jak o tem świadczą wykopaliska, które wydobyły na jaw całe mrowisko domostw z VI. aż do IV. wieku. To samo potwierdza i hellenistyczna ceramika, tamże znaleziona. Życie bowiem wewnętrzne miasta (między VI. a IV. stuleciem) znamionuje coraz silniejszy i powszechniejszy wpływ kultury hellenistycznej. Greckie towary, wyroby i wina znajdowały chętnych odbiorców w Jerychu, chociaż — a nie należy zapominać o tem — reakcya żydowska, jak w całej Judei, tak i w Jerychu niebawem silnie się odezwie przeciwko wszystkiemu, co obce.

Dowodem tego narodowo-religijnego odrodzenia jest drobny na pozór, ale bardzo wymowny i charakterystyczny szczegół: imię Boże J a h u (J a h), wybijane aramejskim alfabetem na uchu dzbanów w wieku V. i IV-ym. Był ten fakt jakby echem, czy komentarzem proroctwa Zacharyasza (14, 21), że każdy garnek w Jerozolimie i w Judei będzie Bogu poświęcony. Nawet sama forma (J a h i J a h u, zamiast zwyczajnej J a h u e), przywodzi na myśl współczesne dokumenty papirusowe z Elefantyny, żydowsko - aramejskiego pochodzenia. Imię Boże Jah, wyciskane na uszach dzbanów, miało może zaświadczać, że właściciel naczynia przyznaje się do gminy Jahwy, która wszelkie pogańskie religie od siebie odtrąca. Było ono zarazem reakcyą teokratyczną przeciw czasom ubiegłym, kiedy to na naczyniach wybijano pieczątki królewskie, z obrazem pogańskiego skarabeusza[3]). Jedyny obraz tego ostatniego, ale pochodzący ze Socho (dziś Hirbet Suweke), znaleziono także w Jerychu.

---

[1]) Esdr. 2, 34 i Neh. 7, 36. [2]) Neh. 3, 2.

[3]) L i d z b a r s k i (Ephemeris für semitische Epigraphie III., 1909, str. 45) nadaje pieczątkom „Jahu“ znaczenie „apotropeiczne“: imię Boże ma za cel powstrzymać wpływ złego ducha na zawartość naczynia. Zdaniem

Tak więc w Jerozolimie i w Jerychu kiełkowały zarodki owego odrodzenia religijnego, które w przeciwstawieniu do wszystkiego, co greckie i pogańskie, zajaśniało później w Judei wielkim płomieniem pod Machabeuszami.

Zanim jednak to nastąpiło, spadła na Jerycho nowa katastrofa. Około r. 350 miasto palm uległo ponownemu, z rzędu już szóstemu, zburzeniu, które na kilka wieków położyło kres ludzkiej osadzie na Tell es-Sultân. Świadczy o tem Solinus [1]), który twierdzi, że Artaxerxes Ochus ujarzmił Jerycho. Euzebiusz zaś w swojej kronice [2]) dodaje, że to nastąpiło podczas wyprawy tegoż króla przeciw Egiptowi i że Żydów uprowadzono wówczas do niewoli. Zdaje się więc być prawdziwą hipoteza Wellhausena [3]), że to właśnie Jerycho było siedzibą żydowskiego buntu przeciw Artaxerxesowi, i że z tego powodu nastąpiło zburzenie miasta palm i przesiedlenie jego mieszkańców. I ten szczegół historyi potwierdziły ubocznie wykopaliska. Na pagórku Tell es-Sultân nie znaleziono wcale żadnych domostw, ani ceramiki z późniejszej epoki Seleucydów, a wogóle bardzo mało przedmiotów, któreby sięgały poniżej IV. wieku. Stare więc miasto palm — stare, bo trzechtysiącletnie — na pagórku es-Sultân istnieć już nadal przestało, chociaż wykluczonem nie jest, że pojedyncze domostwa, rozrzucone wśród ruin, mogły i później jeszcze istnieć, i rzeczywiście istniały.

3. Przebiegliśmy w ten sposób pięć okresów żywotności i działalności Jerycha na pagórku Tell es-Sultân; przed okiem naszem przesunęły się prawie wszystkie ważniejsze przedmioty, tamże znalezione. A jednak rzecz dziwna i zastanawiająca! Chociaż skopano mieszkania prawie nietknięte i znaleziono całe ich urządzenia i sprzęty, — w żadnym okresie nie dokopano się żadnego przedmiotu prawdziwie artystycznego!

Vincent'a (Revue biblique N. S. 1913, str. 455) naczynia, opatrzone imieniem Jahwy, były przeznaczone na zbieranie dziesięcin dla świątyni. Faktem jest, że w ówczesnem Jerychu nie spotykamy już dzbanów z imieniem królewskiem.

[1]) Collectanea rerum mirabilium (ed. Mommsen) 35, 4.

[2]) Chronicon, (ed. Schoene) 113.

[3]) Israelitische und jüdische Geschichte, str. 146.

Jak to wytłumaczyć? — Czemu to przypisać? — Temu, że Jerycho tak kananejskie, jak izraelskie i żydowskie miało swoją szczególną fizyonomię, że miało swoją jakby odrębną rolę, różną od innych miast Palestyny. Zagrodzone z zachodu wałem gór, jakby zabite deskami od wykwintnej i zbytkownej kultury Zachodu, Jerycho stało z początku zdala od ruchu cywilizacyi morza Śródziemnego; ba nawet pozostałoby zupełnie nieznane, gdyby nie ta okoliczność, że tu zbiegały się ważne drogi Palestyny. One to skierowały fale cywilizacyi zachodniej także do Jerycha, fale, co prawda, już osłabione, lekkiem już tylko bijące tętnem, a które na podłożu surowej ortodoksyi żydowskiej nie wywołały błyszczących efektów kulturalnych. Jerychu żydowskiemu natomiast wystarczało zupełnie być obronną niejako placówką Palestyny przed Wschodem, być ideałem na pół koczowniczego Beduina, dla którego obfitość wód, urodzajność ziemi i wyborne owoce zastępowały wszystko. Do ozdoby tak pojętego życia i wygód, gdzie „d o l c e f a r n i e n t e“ stanowi sporą dozę rozkoszy, sztuka była zbyteczną, nie była pożądaną, nie była więc w codziennem użyciu. Dopiero czasy późniejsze sybarytyzmu grecko-rzymskiego sprowadzą na niziny Jerycha sztukę i inne jej, mniej pożądane siostrzyce.

VI. okres, hellenistyczno-rzymski (350 przed do 325 po Chr.).

Za czasów Machabejskich Jerycho zakwitło na nowo, ale zmieniło swą siedzibę. Zamek Dok, zbudowany przez syryjskiego Baccidesa [1]), przeniósł się o 2—3 km. ku północnemu zachodowi (dziś przy ‘A i n e d-D û k [2]). W niem to Szymon Machabejczyk wraz z dwoma synami zginął podczas uczty z ręki swego zięcia, Ptolemeusza [3]). Osada zaś miasta palm rozsiądła się na polach, leżących na południowym zachodzie od dawnego pagórka jerychońskiego. Wykopaliska ubocznie stwierdziły tę prawdę, gdyż na pagórku

[1]) 1 M a c h. 9, 50.

[2]) Niektórzy upatrują „D o k“ na szczycie dzisiejszej góry K a r a n t a l; zdanie to jest dość nieprawdopodobne; raczej już Dok — H i r b e t A b u L a c h e m.

[3]) 1 M a c h. 16, 11—16.

Tell es-Sultân nie znaleziono żadnych budowli z czasów hellenistyczno-rzymskich.

Bratobójcza walka między Hasmoneuszami (Hyrkanem II. i Arystobulem II.) rozegrała się także pod Jerychem, w r. 67 przed Chr. [1]). Hyrkan musiał ustąpić i schronił się do Jerozolimy.

Rzymianie stanęli po raz pierwszy pod Jerychem za czasów Pompejusza, który w swym marszu przeciw Arystobulowi i Jerozolimie rozbił swój obóz pod miastem palm [2]) i zburzył jego dwa forty, Threx i Taurus [3]). Nieco później jenerał Pompejusza, Gabiniusz, zamienił Jerycho na okręg sądowy [4]).

W r. 39 (38?) Jerycho uległo spustoszeniu ze strony żołdaków rzymskich, pod wodzą Heroda W.[5]). Nieco później (w r. 37) tenże Herod, zawładnąwszy Judeą, urządził sobie w Jerychu zimową rezydencyę; tutaj też spraszał swych przyjaciół, budował im wille i urządzał festyny [6]). Za jego panowania miasto nowem zakwitło życiem. Osada miejska rozwijała się przedewszystkiem na południu od pagórka Tell es-Sultân, prawdopodobnie aż po Wadi Teisun, a dla rezydencyi królewskiej nie wystarczały cztery hektary starego pagórka, leżącego już w ruinach. To też Herod wybrał dla swego pałacu olbrzymie przestrzenie, leżące o dwa kilometry na południe od osady machabejskiej. Tam nad obu brzegami potoku el-Kelt, a na zachód od dzisiejszej wioski Eriha, Herod, lubujący się w przepychu, stworzył sobie wymarzoną rezydencyę zimową. W skład jej wchodziły pałace, ogrody, stawy, sale, podwórza i wodociągi [7]). Wprawdzie Herod musiał na krótko ustąpić z Jerycha w r. 34, gdy Antoniusz zajął miasto palmowe i całą tę prześliczną oazę oddał swej kochance, Kleopatrze, — ale przemyślny władca Judei za sumę 200-stu talentów rocznie wynajął od Kleopatry Jerycho [8]). Gdy gwieździe Antoniusza Oktawian August położył koniec pod Akcyum (w r. 31 przed Chr.),

---

[1]) Józef Fl., Ant. IV., 1, 2; Bell. I., 6, 1.
[2]) Ant. XIV., 4, 1. [3]) Strabo XVI., 2, 40.
[4]) Ant. XIV., 5, 4; 6, 4; Bell. I., 8, 5.
[5]) Bell. I., 15, 6. [6]) Bell. I., 21, 4.
[7]) Józef Fl., Ant. XIV., 4, 1; XV., 3, 3; 4, 2; Bell. I., 6, 6; 15, 6; IV., 1. 2. 3; V., 3, 3. [8]) Ant. XVI., 4, 1.

Jerycho wróciło napowrót w posiadanie Heroda [1]), który obok swej rezydencyi zbudował teraz twierdzę, i od imienia swej matki Kyprosem ją nazwał [2]). Dawniej szukano Kyprosu w Żabr et-Tabtâni; dzisiaj Sellin widzi ją w ruinie Tell Abû 'Alâik. gdzie istotnie znaleziono mury wczesnorzymskiej roboty, z charakterystycznem „opus reticulatum". Nie jest więc rzeczą wykluczoną, że Kypros mogło się mieścić w Tell Abû 'Alâik, chociaż jego zarabizowana nazwa (Żabr) przesunęła się później nieco dalej ku zachodowi. Takich wędrówek nazwisk nie mało w Palestynie.

Dotychczas nie przedsięwzięto jeszcze systematycznych wykopalisk na olbrzymiej przestrzeni herodyańskiego Wersalu, ale ślady dawnych ogrodów, wodociągów, teatru i hippodromu istnieją jeszcze. Odszukano także ów olbrzymi staw (200×140 m.), w którym tyran Judei rozkazał swego szwagra, arcykapłana Arystobula (brata Mariammy Hasmonejki) z zazdrości utopić, a któremu potem wspaniały pogrzeb urządził, wylewając na nim łzy obłudne [3]).

W Jerychu też tenże tyran-władca dokończył swego zbrodniczego życia. Wprawdzie po śmierci Heroda pałac jego spalono, a całą okolicę spustoszono, z powodu zamieszek, jakie wywołał Symon, dawny sługa Heroda [4]), — ale niebawem syn Heroda, Archelaus, zostawszy etnarchą Judei, na nowo pałac jeszcze wspanialej odbudował, ogrody palmami obsadził [5]) i do dawnej świetności przywrócił.

Przez to wspaniałe miasto palm, tuż obok pałaców królewskich, będących już wówczas w posiadaniu Rzymian, przechodził nieraz Chrystus, bo przez Jerycho prowadziła droga z Galilei do Jerozolimy i w Jerychu gromadziły się rzesze pielgrzymów żydowskich z Perei (krainy zajordańskiej) i z Galilei, aby stąd na ważniejsze święta gromadnie wyruszać do Miasta Świętego. W Jerychu też uleczył Chrystus dwóch ślepców [6]); tu bawił w gościnie

---

[1]) Ant. XV., 7, 3; Bell. I., 20, 3.
[2]) Ant. XVI., 5, 2; Bell. I., 21, 9.
[3]) Ant. XV., 2, 3—4. [4]) Ant. XVII., 10, 6.
[5]) Ant. XVII., 10, 2. 6; 13, 1; Bell. II., 3, 1; 4, 2.
[6]) Mat. 20, 29—34; Mar. 10, 41—52; Łuk. 18, 35—43.

u Zacheusza [1]), tu opowiedział przypowieść o dziesięciu minach pieniędzy [2]).

Czem było Jerycho i jego okolica za czasów Chrystusa, o tem szeroko opowiada Józef Fl. [3]), który nie może dość nachwalić się jej urodzajności i piękności. „Obficiej — mówi on — niż wszystkie inne źródła, nawadnia okolicę (źródło Elizeusza), które płynie po przestrzeni 70 stadyów długiej, a 20 szerokiej, utrzymując przy życiu bardzo miłe a liczne ogrody, jakoteż i palmy, różne smakiem i nazwą. Z pomiędzy nich tłustsze gatunki wydają za naciśnięciem miód obfity, który wcale nie ustępuje innym miodom pod względem słodyczy. Naprawdę okolica ta jest zarazem matką miodu (prawdziwego). Ba nawet, rodzi ona i opobalsam, najcenniejszy ze wszystkich tamtejszych owoców, (rodzi) nadto i cyprus i myrobolan w takiej obfitości, że nie bardzo mijałby się z prawdą, ktoby ten zakątek ziemi „boskim" nazwać zechciał. To wszystko, co gdzieindziej jest najcenniejsze i najrzadsze, tu się rodzi obficie. Nawet ze względu na inne owoce trudno porównywać jakąkolwiek cząstkę ziemi z okolicą Jerycha, bo Jerycho do tego stopnia rozmnaża to, co tam posiano. Przyczyną zaś tego zdaje mi się być ciepłota powietrza i urodzajność wód; ciepłota daje wzrost i rozmnaża zasiewy, woda zaś pozwala (roślinom) zapuszczać głębokie korzenie, a w czasie letnich upałów dostarcza (im) siły żywotnej. Ta zaś okolica jest do tego stopnia przepalona, iż (poza obszarem, wodą zroszonym) mało co kiełkuje corocznie i rośnie. Zaczerpnięta przed wschodem słońca i wystawiona na świeże powietrze, woda (Jerycha) oziębia się i przybiera temperaturę przeciwną do otaczającej ją atmosfery; w zimie zaś woda ta ociepla się i staje się bardzo łagodną dla tych, którzy się w niej zanurzają. Taką bowiem jest nawet ciepłota otaczającej atmosfery, że gdy w innych częściach Judei śnieg pada, w Jerychu mieszkańcy posługują się lnianem odzieniem". Według świadectwa tegoż Józefa Fl.[4]), ogrody balsamowe i palmowe rozciągały się w Jerychu na przestrzeni 70 stadyów (13.090 m.) wzdłuż i na 20 stadyów (3.740 m.) wszerz; obejmowały więc około 50 km² ziemi. By tej wielkiej przestrzeni i drzewom palmowym, które wymagają obfitego nawodnienia, za-

[1]) Łuk. 19, 1—10. [2]) Łuk. 19, 11—28. [3]) Bell. IV., 8, 3.

pewnić dostateczną ilość wody, trzeba było ją sprowadzać kanałami z daleka. To też oprócz źródła Elizeusza, wszystkie inne okoliczne źródła skanalizowano. W pierwszym rzędzie już w bardzo dawnych czasach 'Ain ed-Duk i 'Ain en-Nuwe'ime z północy; potem za Heroda z Wadi el-Kelt, a nawet z 'Ain Fara na zachodzie; Archelaus zaś sięgnął jeszcze dalej, bo aż do 'Ain el-'Auże, okolicy dawnego Naaratha, a więc aż do 12 km. na północ od Jerycha [1]).

Że Józef Fl. w swym opisie nie przesadza, tego dowodem są opowiadania Pliniusza, który także wspomina [2]) o urodzajności Jerycha i jego palmach; a nadto i Justyna (36, 3), który mówi: „(Jordan) jest doliną, którą łańcuchy gór, na wzór obozu, jakby jakim murem zamykają. Przestrzeń 200 morgów nosi nazwę Jerycha. W tej to dolinie jest las urodzajny i rozkoszny, składa się bowiem z palm i opobalsamów... Na nie mniejszy podziw, jak urodzajność, zasługują upały tego miejsca. A ponieważ w tem miejscu słońce jest najgorętsze, przeto napotyka się tam na naturalną a ciągłą i upalną temperaturę".

Tak więc Jerycho, jako jedyna prawie w imperyum rzymskiem a głośna rodzicielka balsamu, było znane po całym świecie. Grecy i Rzymianie roznieśli jego sławę, dokąd tylko sięgały ich podboje, a ogromne dochody z Jerycha były ich wyłącznym udziałem. Nic więc dziwnego, że o Jerychu wspominają nawet Diodor Siculus [3]), Strabo [4]) i Tacyt [5]), by już nic nie mówić o źródłach żydowskich, jak np. Misznie [6]).

Nawet Pismo św. wspomina o produktach Jerycha. Wymienia np. jego zboże, len [7]) i róże [8]). Ze św. Łukasza (19, 4) wynika, że drogi Jerycha były za czasów Chrystusa wysadzane sykomorą.

Świetności rezydencyi herodyańskiej położyli koniec Rzymianie w r. 67 po Chr. Wespazyan zajął miasto, opuszczone przez

---

[1]) Resztki tych kanałów po dziś dzień istnieją; niektóre zaś z nich w części naprawione, spełniają swą ożywczą rolę aż po dni nasze, tak np. kanał z 'Ain ed-Duk i z 'Ain es-Sultan.

[2]) Hist. natur. V., 14; XIII., 4.

[3]) 2, 48, 9; 19, 98, 4. [4]) 16, 2, 41. [5]) Hist. V., 6.

[6]) Pesahim IV., 9. [7]) Joz. 5. 10. 11; 2, 6. [8]) Eccl. 24, 18.

mieszkańców, i zostawił w niem załogę wojskową [1]). Za Tytusa legiony zburzyły miasto, z powodu zdradliwej postawy jego mieszkańców [2]); ogrody zaś balsamowe przeszły na własność państwa [3]).

Dopiero pod Hadryanem Jerycho odżyło na nowo, a za kamieniołomy dla nowego miasta służyły ruiny pałaców Heroda. W tem też mieście uczoność rabińska założyła wtedy swoją główną siedzibę [4]).

VII. okres, bizantyjski (330—614 po Chr.).

Po wstąpieniu na tron Konstantyna (w r. 323), przy wolności nadanej chrześcijaństwu, Jerycho poczęło się na nowo rozwijać. Wyniesione w IV. wieku do godności biskupstwa [5]), miało swój kościół, poświęcony Bogarodzicy. Pod Justynianem (około r. 550) zbudowano tu osobną gospodę (xenodochium) dla coraz liczniej przybywających pielgrzymów, i wiele klasztorów dla gromadzących się tam mnichów [6]).

Cała ta wielka osada bizantyjska [7]) mieściła się na wschód od dawnej rezydencyi Heroda, a dla swej wspaniałości wydawała się pielgrzymom „niby rajem“ [8]). Wspomnienia biblijne dały pochop mieszkańcom Jerycha do zajęcia się dawnym pagórkiem Tell es-Sultân, zwłaszcza od czasu, gdy (z początkiem IV. wieku) zaczęto w ruinach pałacu Chiela upatrywać dom biblijny Rahaby [9]).

[1]) Józef Fl., Bell. IV., 8, 1. 2; 9, 1.

[2]) Eusebius-Hieronymus, Onomasticon (ed. Klostermann), p. 104, 28 nn.; 105. 23—26. [3]) Plinius, Hist. nat. XII., 25.

[4]) Epiphanius, De ponderibus, Migne, t. XLIII. col. 266, 267; Misna-Pesahim IV., 9.

[5]) Le Quien, Oriens Christianus III., 654, 655.

[6]) Procopius, De aedificiis Justiniani V., 9 (ed. de Bonn, 1838, t. III., p. 328).

[7]) Według Epiphaniusa (Haer. LXVI. Migne, t. XLII. col. 158), obwód miasta wynosił wówczas więcej, niż 20 stadyów (więcej, niż 3.740 m.).

[8]) Np. Antoninus Placent. por. Geyer, Itinera Hierosolymitana, str. 168.

[9]) Itiner. Burdigal. por. Geyer l. c., str. 24, 168.

— Pagórek więc przy źródle, droga pamiątka dla pielgrzymów, nowem zakwitnął życiem.

Na mapie mozaikowej z Madaby (z V. wieku po Chr., obecnie w części zachowanej), która przedstawia Palestynę w sposób nader graficzny [1]), widnieje Jerycho, jako miasto pierwszorzędne, groźne swojemi wieżycami i zdobne palmami. W pewnej odległości od miasta, ku północy, widać budynek z napisem: τὸ τοῦ ἁγίου Ἐλισαίου = pomnik Elizeusza. Ten to pomnik za świadectwem Teodozyusza [2]) wznosił się na miejscu, skąd Elizeusz pobłogosławił źródło. Tam też wybudowano świątynię.

Obraz Jerycha na mozaice z Madaby nie jest czczym płodem wyobraźni. W istocie wielu ruin bizantyjskiego pochodzenia dokopano się około źródła Elizeusza, tak po stronie wschodniej, jak i północnej. Do tej samej epoki bizantyjskiej należą grobowce, pełne rozmaitych przedmiotów, które nieboszczykom służyły jeszcze za życia, jak np. marmurowe płyty stołowe, naczynia kamienne i szklanne, dalej lampy gliniane, amfory, łyżki z kości i z bronzu, wkońcu monety bronzowe.

VIII. okres, muzułmański (po roku 614 po Chr.).

Czasy bizantyjskie, to ostatni okres świetności Jerycha. Wieki następne można streścić w kilku zdaniach. W r. 614 Persowie burzą miasto palm; niebawem (po r. 636) biorą je w posiadanie Arabowie, przemieniają na stolicę powiatu jordańskiego, budują na równinie liczne domy; na pagórku zaś Tell es-Sultân urządzają sobie cmentarzysko.

Z przybyciem Arabów zaginęły plantacye balsamowe, a ich miejsce zajęły winnice, krzewy bananów, indygo, rośliny woniejące, a przedewszystkiem trzcina cukrowa. Arkulf (pod koniec VII. wieku) ogląda przy źródle Elizeusza już tylko wielkie ruiny; tak zw. dom Rahaby nie ma nawet dachu [3]). Przy względnej tolerancyi Arabów chrześcijaństwo nie wyginęło całkowicie w wiekach VIII. i IX-ym.

[1]) Por. Palmer-Guthe, Die Mosaikkarte von Madaba I. (1916);
[2]) Theodosius, De situ terrae sanctae, por. Geyer l. c., str. 146.
[3]) Adamnani, De locis sanctis, por. Geyer l. c. str. 263.

Wprawdzie Krzyżowcy w w. XII. na nowo odbudowują miasto, zamek i kościół Przenajśw. Trójcy, ale już pod koniec tego samego wieku Salâh ed-Dîn opanowuje Jerycho, a pod jego następcami całą okolicę obsiadają bandy rabusiów.

Pod panowaniem półksiężyca Jerycho spadło do rzędu nędznej wioszczyny, ale i tak nie zaznało spokoju. Jeszcze w połowie ubiegłego wieku (w r. 1840) Ibrahim Pasza spalił je i zniszczył.

Dopiero w nowszych czasach, dzięki większemu spokojowi i osadnikom nietureckiego pochodzenia, miasteczko zwolna przychodzi do siebie, a jego plantacye podnoszą się z roku na rok. Wszelako ta okoliczność, że Jerycho jest prywatną posiadłością sułtana (ż i f t l i k), stoi niemało jego rozwojowi na przeszkodzie.

Obecnie posiada Jerycho kilka średnich hoteli, hospicyum rosyjskie dla pielgrzymów, kościół grecki i kaplicę łacińską OO. Franciszkanów. Prócz rządowego seraju, w którym mieszka mudir, istnieje także kilkanaście lepszych nieco domostw, tak przy źródle ʻA i n e s - S u l t â n, jak i w samym Jerychu. Reszta — to nędzne lepianki lub strzechy. Stała ludność Jerycha ogranicza się do 300 mieszkańców.

Liczne ogrody, nawadniane ożywczym zdrojem ʻA i n e s - S u l t â n i ʻA i n e d - D û k, otaczają domostwa i swą bujną podzwrotnikową roślinnością wabią oko każdego przybysza. Obecnie rosną tu gromadnie figi, banany, śliwki, grusze, brzoskwinie, a rzadziej i palmy; tu w wielkiej obfitości udają się wszelkiego rodzaju jarzyny. Na polach zaś obok zboża udaje się kukurudza (d û r a).

Do osobliwości botanicznych dzisiejszego Jerycha, które jednak coraz więcej już zanikają [1]), należy tak zwana róża jerychońska, A n a s t a t i c a h i e r u n t i n a (Linné), przez Arabów k a f f M i r j a m nazwana, której właściwością jest to, że zanurzona w wodzie, natychmiast się rozwija i kwitnąć zaczyna, a wyjęta z wody, zwija się i pozornie zamiera. Ten dziwny proces życiowy powtarza się bez końca [2]).

---

[1]) Tak np. A n a s t a t i c a h i e r u n t i n a przeniosła się już prawie całkowicie w okolice Masady (e s - S e b b e) i W a d i e l - H a b r a.

[2]) Zob. jej podobiznę w V i g o u r o u x, Dictionnaire de la Bible III. fig. 227 i 228.

Zdaniem niektórych badaczów, krzew balanites aegyptiaca, nazywany przez Arabów zakkum [1]), — którego owoce podobne są do wielkiej oliwki, a z którego pestek wydobywany olejek leczy rany, — mógłby może być owem myrobolanum Józefa Fl. Byłby to więc jedyny potomek owych świetnych plantacyi jerychońskich z czasów Chrystusa.

W Jerychu można także napotkać w wielkiej ilości jabłonie sodomskie, Solanum sodomeum (sanctum), po arabsku hadak zwane [2]). Jest to krzew bardzo gałęzisty, 1—1,5 m. wysoki, którego owoc do jabłka podobny, naprzód żółty, a potem czerwony, posiada czarne pestki.

Na miejscach nieuprawnych okolicy Jerychą rozsiadł się w wielkiej ilości krzew ciernisty, w formie drzewa, zwany Zizyphus Lotus (arab. nebk) i Zizyphus Spina Christi (po arabsku sidr) [3]). Jego ciernie, zdaniem niektórych uczonych i tradycyi [4]), służyły do korony cierniowej Chrystusa.

* * *

Pół godziny drogi, na zachód od historycznego pagórka Tell es-Sultân, który przez szereg wieków tyle miast na sobie dźwigał, wznosi się znana góra Żebel Karantal. Z jej to szczytu szatan miał pokazać Chrystusowi w jednym obrazie wszystkie królestwa świata i ich bogactwa (Mat. 4, 8; Łuk. 4, 5). Nie można tej lokalizacyi odmówić prawdopodobieństwa; tak bowiem wspaniały widok rozpościera się z niej naokół. Wygodna ścieżka, wijąca się wężem wśród grot i złomów skalnych, prowadzi obecnie na szczyt tego kolosu. Według nieprzerwanej tradycyi z XII. w., jest to góra postu i kuszenia Chrystusowego.

Znużony upałem i pracą dzienną wśród ruin (przy 54° C. w cieniu), podążyłem dnia 28 maja 1914 r. pod wieczór, przed

---

[1]) Zob. Vigouroux l. c. III. fig 229—231.

[2]) Por. Vigouroux l. c. III. fig. 226, 307.

[3]) Por. Vigouroux l. c. III. fig. 308.

[4]) Zob. L. Fonck, Streifzüge durch die biblische Flora, Freiburg im Breisgau 1900, str. 97, 98, 101.

zachodem słońca, na to niezrównane obserwatoryum, skąd wspaniały widok rozścielił się przed oczyma memi na całą dolinę Jordanu, na morze Martwe, na góry Moabu i Perei, a przedewszystkiem na równinę Jerycha, leżącą tuż u stóp moich. Pagórek es-Sultân ze swem obfitem źródłem, dzisiejsze Jerycho ze swymi ogrodami i plantacyami, wodociągi, roznoszące ożywcze strugi we wszystkich kierunkach, dalej pagórki, kryjące w swych nierozkopanych jeszcze wnętrzach ruiny Jerycha herodyańskiego — jednem słowem cała ta urozmaicona równina jerychońska, objęta sennym półcieniem zachodzącego słońca, stanęła przed memi oczyma i przemówiła swoją pięćdziesięciopięciowiekową historyą do mej duszy.

Przed moją pamięcią przesunęły się w obrazach całe dzieje tego niezwykłego zakątka ziemi:

Oto koło tego nieocenionego źródła, na małym a niskim pagóreczku, już w połowie IV. tysiąclecia przed Chr., kupi się i krząta gromadka ludzi. To pierwsi osadnicy Jerycha. Życie ich jest bardzo proste, a ich sprzęty i wymogi — neolityczne. Mimo to już ci pierwsi osadnicy myślą o swej obronie przed najeźdźcami, budują sobie prymitywny mur obronny.

Mija w ten sposób dziesięć wieków. W XXV. wieku przed Chr. zjawiają się pierwsi Semici na Jordanu dolinie i wnoszą ze sobą nowe pierwiastki cywilizacyjne. Narzędzia i sprzęty kamienne wychodzą powoli z użycia, ceramika szybko się podnosi, życie rolnicze w pełnym rozwoju. Przedewszystkiem jednak górują sztuką obwarowania miast (zob. ryc. 90). Już ich pierwszy mur obronny, tak zwany mur wewnętrzny, nosi na sobie cechy siły i świadomej swych celów i środków woli. Szerokim, owalnym pierścieniem obejmuje on całą osadę i bezcenne źródło, opasuje drobne domki, kryje w sobie wąskie i kręte uliczki. Jakiś silny a nieznany nam nieprzyjaciel zdobywa jednak w XXI. wieku rozkwitające to miasto, burzy w znacznej części obronny mur. Po jego odejściu niezmordowani i niczem nie zniechęceni mieszkańcy zabudowują się z powrotem; a w miarę rosnących bogactw myślą około XIX. wieku o nowem obwarowaniu rodzinnego miasta. Że zaś wieki mozolnej cywilizacyjnej pracy, a może i wpływy postronne, nie

pozostały na nich bez skutku, budują teraz nowy zewnętrzny mur miasta, dzieło pod każdym względem wspaniałe i doskonałe, które pierścieniem elipsy otacza cały pagórek i źródło, a miastu nowo odbudowanemu daje potężną, rzekłbym prawie niezdobytą, na owe czasy ochronę. Pod jej dobroczynnem działaniem wzmaga się handel miasta z Egiptem, a dobrobyt jego wzrasta.

I znowu mijają wieki niezamąconego z zewnątrz pokoju. Wtem około r. 1400 zjawiają się przed murami Jerycha synowie Izraela. Dzięki nadzwyczajnej pomocy swego Boga Jahwy, dziwnym a łatwym szturmem zdobywają miasto, z małymi wyjątkami wycinają w pień mieszkańców i burzą części murów Jerycha. Wkrótce jednak sami najeźdźcy, zmieszani z ocalonem plemieniem Rahaby, zagospodarowują się w ruinach miasta. Życie więc jego, chociaż podcięte, bije jednak słabem tętnem przez wieki następne, pod panowaniem Dawida i Salomona, za którego czasów zjawiają się plantacye balsamu.

Dopiero w IX. wieku wstaje Jerycho do nowego życia: — Chiel z Betelu odbudowuje jego mury. W nowo obwarowanem mieście powstają nowe domostwa, nawet całe osobne dzielnice izraelskie wyrastają z ruin. Rodzima ceramika podnosi się do wysokiej doskonałości, a miasto ,wciągnięte w światowy ruch handlowy, sprowadza w swe mury naczynia cypryjskie. Życie religijne osady izraelskiej silnem bije tętnem, wpływy pogańskie z czystego kultu Jahwy wykluczone; Jerycho staje się siedzibą odrodczych prądów w Izraelu; posiada nawet szkołę proroków Najwyższego.

Upadek Samaryi w r. 722 kładzie koniec złotemu okresowi Jerycha. Asyryjczycy (?) burzą jego mury, a władcy Judei zagarniają miasto pod swe panowanie. Na ruinach starej osady przedsiębiorczy koloniści żydowscy budują nowe domy, a miasto z biegiem czasu powoli się podnosi. Jego ceramika wykazuje teraz ścisłe podobieństwo z wyrobami grecko-fenickimi na Cyprzę. Zburzenie Jerozolimy w 586 r. jest zapowiedzią podobnego losu dla Jerycha, do którego schronił się ostatni król żydowski. Miasto ulega spaleniu, a jego arystokracyę uprowadzają Chaldejczycy do Babilonu.

Po dekrecie Cyrusa potomkowie ich wracają wprawdzie do Jerycha, odbudowują nawet część północną starego miasta, ale ich życie i kulturę znamionuje już coraz silniejszy i powszechniejszy wpływ hellenistyczny. To obudza silną reakcyę, która jest zapowiedzią narodowego odrodzenia. Imię prześwięte Jahu pojawia się nawet na uszkach naczyń glinianych, by głośno świadczyć o religijnych przekonaniach ich właścicieli.

Zbliża się jednak ostatnia godzina dla starego miasta na pagórku Tell es-Sultân. Gorliwe w wierze ojców, a patryotyczne Jerycho knuje bunt przeciw Artaxerxesowi Ochusowi. To rozstrzyga o ostatecznem zburzeniu miasta i przesiedleniu jego mieszkańców do Hyrkanii (około r. 350 przed Chr.). Miasto jako takie nigdy już z gruzów się nie podniesie na pagórku es-Sultan.

Późniejsze osady na dolinie Jerycha, za Machabeuszów i Hasmoneuszów, przenoszą się więcej ku południowi, są nieraz świadkiem bratobójczych walk i rozlewu krwi, a nawet doznają spustoszenia od żołdactwa herodowego.

Ale Herod W. zbyt wysoko cenił palmy i balsamy Jerycha, zbyt się lubował w jego klimacie, by nie zbudować sobie tutaj nad brzegami potoku el-Kelt przepysznej, wymarzonej rezydencyi zimowej, którą jego następca Archelaus jeszcze upiększa i powiększa. Świetności rezydencyi herodyańskiej kładą koniec Rzymianie w r. 67 po Chr. Nieocenione skarby lasów balsamowych nie pozwalają jednak zamrzeć temu miastu. Pod Hadryanem powstaje ono na nowo do życia, tuż obok ruin pałaców Heroda.

Za czasów bizantyjskich chrześcijaństwo wkracza zwycięsko w bramy Jerycha, wyniesionego do godności biskupstwa. Jego liczne pamiątki biblijne ściągają tu tłumy pielgrzymów i dają początek wielkiej osadzie, na wschód od dawnej rezydencyi Heroda. Ostatnie to dni świetności i bogactwa Jerycha.

W wieku VII. Persowie, a po nich Arabowie, władają nad miastem. Lasy palmowe i plantacye balsamowe giną bezpowrotnie; miasto spada do rzędu nędznej wioszczyny, która dopiero w ostatnich czasach zaczyna przychodzić do siebie.

A przyszłość Jerycha? Dla swego urodzaju i bogactwa roślinnego rokuje ona, zdaniem wielu, wielkie nadzieje.

Ale „nadzieje“ to — o ile sądzić mogę — dość względne, bo klimat tropiczny niziny Jerycha nie pozwala przez przeciąg 8 miesięcy na żadne większe wysiłki, czy to wojenne, czy umysłowe, a działalność człowieczą ogranicza do pracy około roli, do podlewania plantacyi. Ten denerwujący i w wysokim stopniu upajający klimat przyczynił się w przeciągu wieków do zniewieściałości mieszkańców Jerycha, uczynił z tego miasta siostrzycę Sodomy i Gomorry, które zresztą przypominał położeniem i urodzajem.

I rzecz zaiste zastanawiająca! — Mimo 55 wieków istnienia, Jerycho nie wydało jeszcze żadnego wielkiego człowieka, żadnego bohatera, czy uczonego; a miasto to bogate, które przyroda bez pracy we wszystko prawie zaopatrywała, nie wytrzymało nigdy żadnego poważnego oblężenia. Mieszkańcy jego często się zmieniali, miasto przechodziło z rąk do rąk. Kananejczycy, Izraelici, Asyryjczycy, Żydzi, Syryjczycy, Pompejusz, Herod, Wespazyan, Persowie, Arabowie, Krzyżowcy, a wreszcie i Turcy są tego twierdzenia aż nazbyt wymownym dowodem.

Tak to historya i przyroda pragną niejako zaznaczyć, że do pełnego rozwoju życia fizycznego i duchowego potrzeba odpowiednich warunków klimatycznych i wytężonej a ciągłej pracy. Wtedy, ale jedynie wtedy — już zdaniem starożytnych — „l a b o r i m p r o b u s o m n i a v i n c i t“ (usilna praca wszystko pokonywa).

Ks. Wład. Szczepański.

Apokalipsa w listach Z. Krasińskiego do A. Cieszkowskiego.

Nie znając listów Z. Krasińskiego do A. Cieszkowskiego, można było mniemać, iż na zajęcie się poety Biblią w okresie od r. 1841-go [1]), tak silnie w dziełach i korespondencyi widoczne, nie pomału mógł wpłynąć właśnie Cieszkowski. Tymczasem świeżo wydane listy [2]) świadczą, iż jak co do pomysłów filozoficznych, tak i co do zajęcia się Biblią oddziaływanie było — obustronne.

Wystarczy spojrzeć na karty „Ojcze nasz", by się przekonać, jak Cieszkowski wiele i głęboko z Biblii czerpał. Łatwo więc przypuścić, że człowiek tak Biblii bliski, musiał na Krasińskiego, jako na serdecznego przyjaciela, podziałać w tym kierunku i zacisnąć już i tak n i e s ł a b e węzły poety z Biblią. Wielka szkoda, że listy Cieszkowskiego do Krasińskiego się nie zachowały — jak we wstępie do listów poety do Cieszkowskiego Żółtowski zapewnia — bo przypuszczenie to znalazłoby bezpośrednie dowody. Mamy natomiast pośredni dowód na to w liście Krasińskiego do filozofa, z 25 listopada 1843 r., do którego poeta dopisał takie zdanie: „Wezmę się i j a t e ż do Joela; dotąd *I had not the pleasure*

[1]) Jak wiadomo, w okresie genewskim wpłynął na poetę w tym kierunku H. Reeve. (Por. mój szkic p. t.: „W p ł y w B i b l i i n a Z. K r.". Odb. z marcowego „Przegl. pol." 1912. Niniejszy szkic jest cząstką przygotowywanej pracy p. t.: „K r a s i ń s k i a B i b l i ą".

[2]) Listy Z. Kr. do A. Cieszk., z autografów, wyd. J. Kallenbach, 2 t. Kraków 1912.

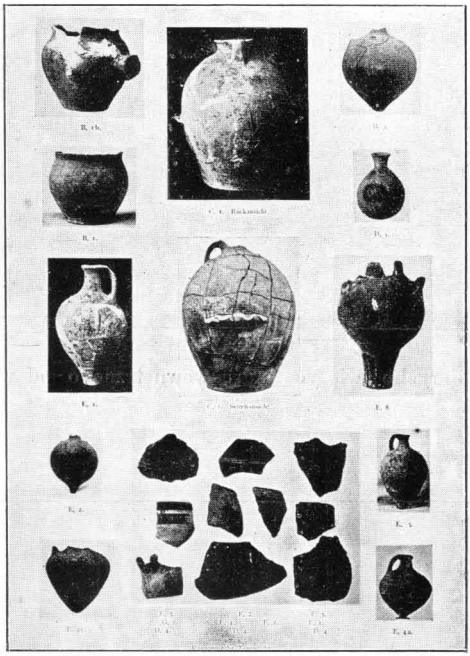

Ryc. 90. Jerycho; ceramika protokananejska (z ozdobami).

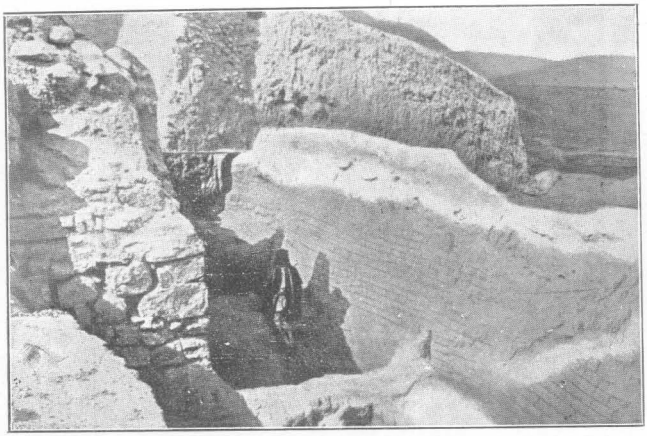

Ryc. 93. Jerycho; wieżyce muru wewnętrznego (od wschodu).

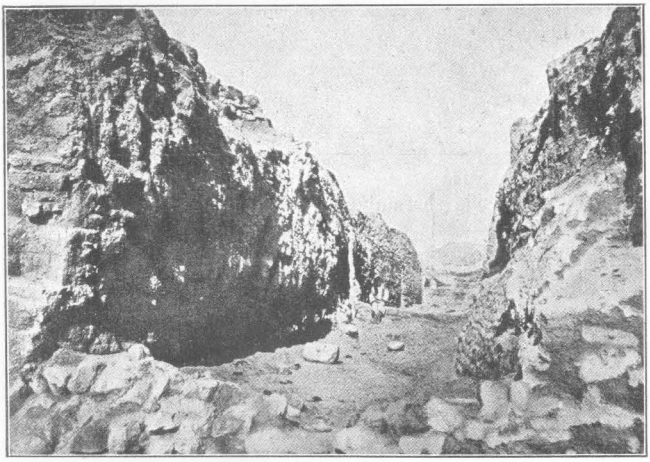

Ryc. 94. Jerycho; przecznica, łącząca mur wewnętrzny z przedmurem.

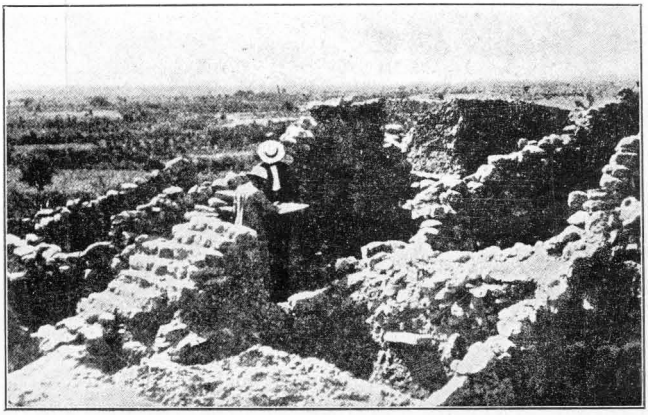

Ryc. 97. Jerycho; schody na murze wewnętrznym.

Ryc. 98. Jerycho; mur zewnętrzny.

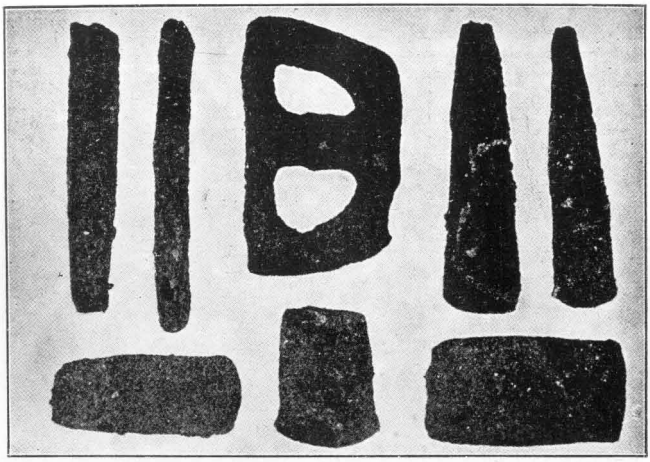

Ryc. 101. Jerycho; naczynia miedziane z epoki kananejskiej.

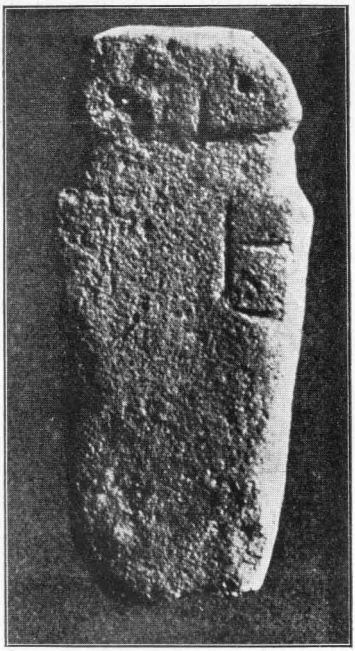

Ryc. 104. Jerycho; Bożyszcze z epoki kananejskiej.

to haxing been introduced to him". Widać z tych słów wyraźnie, że poeta odpisuje na jakieś, przypomniane w ostatniej chwili adresowania, zdanie Cieszkowskiego, który widocznie pisał, iż sam właśnie Joela czyta, lub może wprost wskazując pokrewieństwo Joelowych proroctw z ustawnymi „apokaliptycznościami" Krasińskiego, zachęcał go do czytania księgi owego proroka.

Na odwrót — Krasiński znowuż odzywał się takiemi słowy, które są znacznie czemś więcej, niż wskazaniem, lub zachętą. N. p. w liście z 26 marca 1843 r. pisze: „Zaklinam Cię, jakom Cię nieraz zaklinał[1]); przed wydaniem raz jeszcze, raz ostatni odczytaj Ewangelie i Apokalipsis, a potem Resurrection Stoffelsa (1840, Paryż) i osądź, czy z idei Chrystusowej nie cała przyszłość, choćby na pozór sprzeczna z nią, wypływa".

Obaj więc nawzajem zwracali sobie uwagę na związek własnych myśli z Biblią i obustronnie na siebie wpływali, zachęcając się do zestawień myśli swych z nią i do rozczytywań się w Biblii przed ustaleniem ostatecznych twierdzeń. Tak więc dla Krasińskiego, jak i dla Cieszkowskiego, o którym powiedziano trafnie, iż był „nauczycielem biegłym w Piśmie i świadomym Królestwa Bożego"[2]) — była Biblia ostatnią instancyą.

Najbardziej pociągającą księgą biblijną dla Krasińskiego i najwięcej odpowiadającą charakterowi jego umysłu była Apokalipsa. O nią też głównie mu chodziło.

Już pierwszy list[3]) do Cieszkowskiego kończy słowami Apokalipsy: „Leżeć będzie (sc. list Cieszk. razem z Kras. w proch obróconym) wśród gruzów i bluszczu, aż do dnia, w którym słowa Apostoła się ziszczą: „Inne niebo i ziemię nową", — opuszczając nieodpowiedni tutaj początek: „I widziałem" (niebo nowe... Ap. XXI. 1).

W tonie Apokalipsy brzmi zapowiedź z dnia 27 sierpnia 1842 r.[4]): „Złe jeszcze strasznie się wytęży — strasznie — nim

---

[1]) Że w istocie tak było, świadczą wyraźnie listy inne, np. z 27 września 1842 r. — o którym zaraz będzie mowa.

[2]) P. A. Żółtowskiego biografia Cieszkowskiego. Sto lat myśli pol., t. V., str. 436. [3]) T. I., str. 4. [4]) T. I., str. 41—42.

przyjdzie dzień". W liście z 22 października 1842 r. [1]) podaje ciekawą wiadomość, która pozostaje w związku z odczuwaną wciąż przez Krasińskiego atmosferą apokaliptyczną: „Kilku jest w Romie księży, prostych ludzi, z chłopów, którzy miewają widzenia i wciąż powtarzają, że nowa Epoka *della bella pace e charitá* nadchodzi. W tych dniach właśnie skarżą się na niesłychane jakoby konania ducha i mówią, że to znak, iż złe się przesila i wiedząc, iż czas ma krótki już, syny Boże męczy".

Pomijając już styl Apokalipsy w tem zdaniu, trzeba zaznaczyć, iż jest ta myśl wprost centrum Apokalipsy, a zarówno sam fakt, jak i przytoczenie go przez Krasińskiego świadczy o tem, co sam poeta tak często w istach mówi, iż „jest coś apokaliptycznego w powietrzu" na owe czasy. Tu zaś dodaje: „Wszędzie u wszystkich to samo".

Poza wzmianką stylową w liście z 28 lutego 1844 r. [2]) spotykamy echa Apokalipsy w liście z dnia 20 marca 1846 r. [3]): „C h o r u j ą i niebiosa, p ę k a j ą i gwiazdy — w r z o d ó w dostają i słońca". Warto tu wyjaśnić, skąd powstało owo dziwne zdanie. Kilkakrotnie w Apokalipsie jest mowa o upadaniu gwiazd z nieba [4]), o zaćmieniu trzeciej ich części i słońca, zaś w r. VIII. w. 12 czytamy: „I zatrąbił anioł czwarty i z a r a ż o n a jest trzecia część słońca i trzecia część księżyca i trzecia część gwiazd, tak, iż się ich trzecia część zaćmiła i trzecia część dnia nie świeciła i nocy także". Najwidoczniej więc Krasiński zrozumiał wyraz „zarażona jest" — jako „zarazę" (chorują, pękają, wrzodów dostają), tymczasem wystarczy spojrzeć do tekstu łacińskiego, by się przekonać, iż „zarażona" (od „razić") [5]) znaczy uderzona, wstrząśniona: „Et p e r c u s s a e s t tertia pars solis"...

---

[1]) T. I., str. 51.

[2]) T. I., str. 118. [3]) T. I., str. 182.

[4]) Ap. VI. 13; IX. 1; XII. 4.

[5]) Że nie jest to błąd drukarski (zam.: zrażona), jak ktoś bardzo poważny przypuścił, świadczy następujące zestawienie. Wujek tłómaczy p e r c u t e r e przez: b i ć (Iz. 50, 6; Ezech. 7, 9; Mat. 24, 49; 27, 30; Mar. 15, 19; Łuk. 6, 29; 12, 45; 18, 13; 22: 49 i 64; 23, 48; Dz. ap. 18, 17; 21, 32; 23: 2 i 3; Apok. 19, 15), u d e r z y ć (Ps. 77, 20; Dan. 2, 35; Zach. 13, 7; Mat. 5, 39; 26: 31, 51 i 68; Mar. 14, 27; Łuk. 22, 50 i 64; Jan 18, 10; Dz. ap. 12: 7 i 23;

Tak więc mamy tu przykład niedopatrzenia sensu właściwego, przykład małego nieporozumienia przez zbyt dosłowne, a raczej błędne pojęcie przekładu, co jednak znowu nie umniejsza faktu, że obraz Krasińskiego jest mocniejszy i zupełnie w apokaliptycznym tonie skreślony [1]).

Dnia 15 maja 1846 [2]) pisze Krasiński: „Rozewrą się wtedy bramy przyszłości. Dziś przez płoty i mury sadzić będą owce i krowy i byki [3]), a z płotów i murów nie pozostanie ani śladu! Nie przeszkadza to jednak bynajmniej temu, by przygotować lepszą przyszłość". (Dalej następuje wzmianka o Mojżeszu, ziemi obiecanej i dekalogu). Zdanie powyższe przypomina wprawdzie obraz, znajdujący się u proroka Joela — *en laid* oczywiście — ale nawet pominąwszy fakt pokrewieństwa Joela z Apokalipsą, pobrzmiewa on echem niepokoju apokaliptycznego, który szarpał w tych latach niemal ustawicznie schorowane nerwy poety.

23, 3;), pobić (Ps. 4, 8; 77, 51; Iz. 51, 9;), zabić (Deut. 19, 4; 27, 24; Dz. ap. 7, 24), wreszcie, zależnie od sensu zdania, też trafnie: karać (Iz. 1, 5), postanowić przymierze (Iz. 28, 15, percussimus foedus — bo wtedy zabijano bydlę na ofiarę), ubić = zabić, Iz. 53, 8, lub = dotknąć uciskiem, prześladowaniem, Iz. 53, 4;), zranić (sumienie, 1 Kor. 8, 12;), ukąsić (o niedźwiadku — Apok. 9, 5) i zatracić (ziemię plagą — Apok. 11, 6). Natomiast w Gen. 19, 11: percusserunt calcitate tłómaczy: pozarażali ślepotą — oczywiście nie w znaczeniu „zarazy", ale „porażenia wzroku" — idąc za Leopolitą, który tu położył też: zarazili ślepotą. (Biblia Kr. Zofii miała lepiej: poraszeny). W tem też znaczeniu przekłada Wujek i nasz wiersz w Apokalipsie (8, 12), podobnież znowu za Leopolitą powtarzając: i zarażona jest trzecia część...

Zdawałoby się pozornie, że niesłusznie lub zgoła niepotrzebnie powołuję się na Wujka, skoro Krasiński używał Biblii gdańskiej z 1632 r., co już zaznaczył prof. Czubek w wyd. jubil. dzieł poety, tymczasem właśnie Biblia gdańska ma tutaj: a uderzona jest trzecia część słońca — wobec czego widoczne jest, iż Krasiński szedł tu za przykładem Wujka.

[1]) Mogło tu jeszcze o takiem skierowaniu tego obrazu zadecydować skojarzenie z obrazem, zawartym poniżej w Apokalipsie (r. XVI., w. 8—11): „I wylał czwarty anioł czaszę swą na słońce i dano mu jest gorącem trapić ludzie i ogniem... i bluźnili imię Boże, który ma zwierzchność nad tymi plagami... I wylał piąty anioł swą czaszę na stolicę bestjej; i stało się królestwo jej zaćmione i rwali języki swe od boleści — ...i bluźnili Boga niebieskiego od boleści i ran swoich...

[2]) T. I., str. 189.

[3]) Alluzya do rabacyi chłopskiej, właśnie przeżywanej.

Najważniejsze są atoli dla nas dwa listy z dnia 26-go, a drugi z dnia następnego, z 27 września r. 1842 [1]). W pierwszym z nich (XVIII.), będącym ogniwem, jednem z wielu, w łańcuchu owej niesłychanie ciekawej dyskusyi obu myślicieli tak w rozmowach, jak i w pierwszej części (t. j. do r. 1847) ich bogatej korespondencyi przeprowadzonej. Krasiński ustawicznie kruszył kopie w obronie świadomości pozagrobowej, owej indywidualnej pamięci duchów, co było *conditio sine qua non* w jego „eschatologii" i co też Cieszkowskiemu, który tego za rzecz nieodzowną w swoim systemie nie uważał, koniecznie i niezmordowanie starał się na wsze sposoby udowodnić. W tej też myśli pisze tu poeta:

„Piękniejszą daleko była pierwsza śmiała myśl twoja, że już bliski czas, w którym błyśnie przypomnienie. — Św. Jan to samo twierdzi XX. 4, w Apokalipsie [2]); odczytałem całe to przecudnie artystyczne natchnienie, prawdziwe objawienie [3]). — Od Rozdz. IV.—VIII. exclusive, upadek starożytnego świata — od VIII.—X. średnie wieki i Reforma — od X. nas się tyczy — w XI. Rozdz. 2, sień [4]) oddana poganom, przez 42 miesiące, to 42 lat od 1800 r.(!). Z dwóch proroków, co świadczą na owe czasy, jeden to Napoleon — o drugim zaraz w Rozdz. XII. mowa. Wyszczególnienie, skąd się wziął, — kto go rodzi; dwanaście gwiazd, to system słoneczny, pamiętasz, czyje odkrycie w historyi; pół-księżyca, to pohańców znak — pamiętasz, kto go deptał w historyi? Idę dalej —

[1]) T. I., str. 46—51. Że prof. Kallenbach, oznaczając datę obu listów na dzień 27 września, uczynił pomyłkę, zobaczymy poniżej na podstawie słów samego poety.

[2]) Co Kallenbach wypisuje w przypisku:

„I widziałem stolice; i usiedli na nich, a dano im sąd i dusze pościnanych dla świadectwa Jezusowego i dla słowa Bożego: i którzy się nie kłaniali bestyi ani obrazowi jej i nie brali cechy jej na czoła, albo na ręce swoje: i żyli i królowali z Chrystusem ono tysiąc lat".

[3]) Tu nasuwa się ubocznie ciekawa uwaga, będąca w związku z myślą Krasińskiego o sztuce, którą tenże zostawił Ary Schefferowi, iż Krasiński sztukę, jako wiecznie powtarzające się proroctwo określał: L'art est une prophetie continuelle dans l'homme (p. Z. Kr. i A. Scheffer, Listy, str. 67).

[4]) „A sień, która jest przed kościołem, wyrzuć precz, a nie mierz jej, albowiem dana jest poganom, a miasto święte deptać będą czterdzieści i dwa miesiące".

dziecię, porwane do nieba, wyrośnie w niebie na kawalerzystę XIX. 11, [1]), który zwie się słowo Boże i przezeń ufunduje się XX-sty Rozdział, co ma trwać 1000 lat — poczem przemienienie w anielskość ludzkości".

„Niech to zostanie w Wierzenicy, — gdy przyjedziesz, przeczytasz — proszę cię, weź Apokalipsę i według tych uwag ją czytaj!"

Po zakończeniu listu dopisał jeszcze poeta do poprzedniego komentarza niejako komentarzyk szczegółów niektórych:

„Smok = złe".

„Bestya = wyobrażającemu złe na ziemi". (Chyba nie potrzeba się długo domyślać, kogo tu Krasiński ma na myśli!).

„2-ga Bestya, czyli fałszywy prorok — usprawiedliwiającemu złe na ziemi, jak Wolter, gdy poklaskiwał Frycowi, lub jednooki Cyklop i t. d.".

„Babylon = Anglia".

„Wszetecznica na 7-miu górach = kopule, co się rozwala [2]).

Czuć tu nie tylko ten bezpośredni zachwyt po przeczytaniu Apokalipsy u Krasińskiego wzbudzony, ale oryginalność w rozumieniu tej niezrównanej w literaturze całego świata księgi. Uderza to już przy onaczeniu podziału, jeśli się zważy, że Wujek [3]) dzieli Apokalipsę na pięć części, a inni na siedm [4]). Z tymi podziałami rozkład poety spada się jeno w dwu pierwszych punktach (t. j.: p. 1: r. I.—III. i p. 2: IV.—VIII.). Zresztą Krasiński, zupełnie po swojemu pojąwszy Apokalipsę, ani pewno wiedział o drobiazgo-

[1]) „I widziałem niebo otworzone, a oto koń biały: a siedzącego na nim zwano wiernym i prawdziwym, a sądzi z sprawiedliwością i walczy".

[2]) Wyraźny związek z „Legendą". Por. tu Zdziechowskiego „Wizya Kr.", str. 61: „Więc nie jest epoka ta (t. j. św. Jana) dalszym ciągiem historyi, lecz apokaliptyczną „stolicą Bożą i Barankową". A zatem Kościół katol. nie umiera tu ze starości, jak przypuszczali dotąd komentatorzy Krasińskiego, lecz przetwarza się w „Miasto św. Jeruzalem". (Ap. XXI., 23).

[3]) Wprowadzenie do Ks. Obj. św. Jana.

[4]) Por. Scripturae Sacrae cursus compl. Parisiis Migne 1840, t. XXV. In Apoc. dilucidatio, p. 1048: Quod et quales sint visiones apoc.: „Juxta Bedam, Bererium et Viegam tota Apoc. materia in septem partes sive visiones dividitur".

wych do niej komentarzach i podziałach. Co prawda, naiwnie brzmi tłómaczenie owych „42 miesięcy" datą roku 1842-go, lecz dla Krasińskiego, który takich punktów stycznych między proroctwami Biblii, a chwilami bieżącemi w swojem życiu, a raczej w swoich czasach, znajdywał skwapliwie i często i więcej szczegółowych, — jest to charakterystyczne. Prawdę powiedziawszy, rozbraja nas ten paralelizm owych przepowiedni z naszemi dziejami, nakreślony w owym komentarzu przez poetę. Jest on wynikiem tych samych dążności i pragnień Krasińskiego, jakiemi oddychali Mickiewicz i Słowacki.

W liście drugim (XIX.), dnia 27 września 1846 pisanym, wypowiada się Krasiński jeszcze raz, co myśli o Apokalipsie, owszem, dalej idąc. Oto co pisze:

„Słabym i smutnym — smutnym i słabym — a oto dni tych wziąłem się do Objawienia św. Jana — dziwnie je od początku po koniec jasno rozumiałem. — Jako objawienie prawdą jest — jako natchnienie, w najwyższym stopniu arcydziełem romantycznej poezyi. Na t r z y E p o k i o c z e w i ś c i e (warto podkreślić tę oczywistość dla Krasińskiego!) w i e l k i t e n d r a m a t r o z d z i e l o n[1]) — na te same, co twoje *Prolegomena*. Każda zaczyna się w niebie, nim urzeczywistni się na ziemi. Już Bogu dziękują aniołowie i potęgi, że się s t a ł o, a na ziemi dopiero dziać się poczyna. To jest jedną z największych form poetycznych, które znam. Malarstwo średnich wieków używać jej będzie, — ale co się udaje w poemacie, może na płótnie się nie udać; — pyszną, pyszną jest ta genezis przyszłości. Jakże p i s m o, co się zaczyna od genezis przeszłości[2]), nią zaokrąglone jest. W Rozdziela XII. od początku do końca i w Rozdz. XIX. ditto znajdziesz to, o czem ci tyle razy mówiłem, że nie inaczej, tylko tak[3]).

---

[1]) A więc miał poeta poczucie dramatyczności tej księgi i zupełnie ją w ten sposób dzielił, jak się da „Nieboska" podzielić, o ile uznamy za „trzecią epokę" — zgodnie zresztą z wyjaśnieniem samego poety, ostatni moment po „zwycięstwie Galilejczyka" — nową Jerozolimę.

[2]) I. ks. Pentateuchu, zw. „Genesis".

[3]) Łatwo zrozumieć, co i dlaczego tak często Krasiński mówił na temat tych dwu rozdziałów, jeśli się pamięta, że r. XII., jeden z najpiękniejszych w Apok., mówi o niewieście, odzianej słońcem, i walce Michała Archa-

„Wstrząsła mną całym ta niebieska Epopea losów, zgotowanych człowieczeństwu. Napisałem do Wierzenicy tobie o tem list dłuższy wczoraj [1]). Tam go zastaniesz — kilka zarzutków także na brak p a m i ę c i w Palingenezie".

W XX. Rozdz. 4, 5. [2]) jest o pierwszem ożyciu — o pierwszem przypomnieniu, gdy się Królestwo Boże poczyna — pierwsza, śmiała twa myśl zgodna z tem!"

Tego wszystkiego jeszcze było zbyt mało dla Krasińskiego, co w tych dwu listach wypowiedział, bo i do tego listu robi bardzo ważny przypisek:

„*Apokalipsis* mnie przekonała o tem, że w słowie chrześcijańskiem pierwszem wszystko zawarte i że zalecona przeze mnie miara, pamiętasz, nie jest tylko formą ostrożności ludzkiej, ale harmonijnem też prawidłem — koniecznością prawdy — hołdem powinnym temu, k t ó r y b y ł i j e s t i p r z y j ś ć m a! Jakie przepyszne, nowe imię Boga!"

Wskazywałoby to na nieznany nam bliżej fakt, zapewne w rozmowach obu przyjaciół mający miejsce, że Krasiński przy omawianiu pomysłów Cieszkowskiego — zapewne „Ojcze nasz", który tak wielce cenił i wielkiej się po nim spodziewając rewelacyi dla narodu — starał się, by Cieszkowski nie zbyt odbiegał od owego „słowa chrześcijańskiego, w którem j u ż wszystko zawarte" widział, by zachował dlań należny szacunek, a nawet miarę w interpretacyi, jako konieczny warunek uchwycenia prawdy, bo prze-

---

nioła ze smokiem, co się wymownie odbiło w znanej wizyi w „Przedświcie", że natomiast XIX. r. opowiada o radości świętych z upadku Babilonu, o zwyciężeniu bestyi przez sędziego na białym koniu. Oba zaś rozdz. są zasadnicze w akcyi owego apokaliptycznego dramatu.

[1]) Wobec tych słów list poprzedni winien więc nosić datę dnia 26 września — a nie także 27 go. Może ów dopisek pierwszego listu i wysłanie go nastąpiło 27-go, ale list sam dzień przedtem był napisany.

[2]) W. 4:. I widziałem stolice, i usiedli na nich i t. d., jak w powyższym przyp. w 5. Inszy z umarłych nie żyli, aż się skończyły tysiąc lat. To jest zmartwychwstanie pierwsze".

Krasiński często powoływał się na sen i przebudzenie, na śmierć i zmartwychwstanie, raczej sąd, który nie może się obyć bez „pamięci", bez świadomości swego „ja" — jako na dowody w tej właśnie spornej kwestyi eschatologicznej z Cieszkowskim.

cież owo „słowo chrześcijańskie", Biblię, za najpełniejszą — choć jeszcze nie wypełnioną, ale wypełniającą się w biegu dziejów — prawdę uważał. Jeśli się o tem dobrze pamięta, to jeszcze bardziej zrozumiałym stanie się dla nas fakt, iż Krasiński nie tylko, że do Biblii wracać będzie w każdej niepokojącej chwili — a do Apokalipsy najczęściej — ale co więcej, iż pod te same jej symbole inne wykładniki podstawiać będzie, właśnie w myśl tak bardzo i chlubnie nieciasnego rozumienia „prawdy" owej w Biblii, w słowie tem Bożem zawartej.

Dlatego jednak — jakkolwiek na podstawie danych dwu powyższych listów dałby się z łatwością całkowity obraz z owych komentarzy i urwanych zdań o Apokalipsie zestawić, z któregoby się roztoczył pełny i oryginalny pomysł rozumienia tej przedziwnej księgi, to przecież byłby to obraz tylko — chwili! Obraz tak pomyślany i nakreślony pod wpływem wypadków roku 1842-go. Wszak 5 stycznia 1849 r. [1]) taż sama Apokalipsa — ale po wypadkach galicyjskich, francuskich, moskiewskich i włoskich — nowymi znów wypełni się szczegółami tego wiecznie żywego komentarza, którym jest sam Krasiński i jego poglądy na bieżące wypadki. Oto co w liście tym pisze:

„Sprzeczność wolności, t. j. równość nastaje, równość, a bez braterstwa, równość absolutna i żelazne rózgi nad nią, bo to jej warunek sine qua non, gdy przestaje być idealną, a staje się rzeczywistą. Nim się dostąpi Ludzkości, przejdzie się przez Anty-Ludzkość; nim Królestwa Bożego (się dostąpi), ujrzy się Anty-Chrystę; a Anty-Chrysta to będzie ten, który pojedna Caryzm z bandą infernalną Wrońskiego [2]); który wprowadzi w świat odojczyźnienie ojczyzn i u ludu wszelkiego kupi ojczyznę za strawę, płacąc ludowi strawą [3]). A na to, by módz zapłacić tak, wywłaszczając wszystkich, co własnością dotąd możni, niepodlegli i oświeceni! Car i chłopy — a car carów i chłop chłopów, zlany w jedno, bę-

[1]) T. II., str. 101.

[2]) Określenie „czerwonych".

[3]) T. j. kosmopolityzm materyalistyczny. To określenie przypomina biblijne kupienie pierworodztwa przez Jakóba od Ezawa za miskę soczewicy (Gen. XXV. 29—34).

dzie Anty-Chrystą, bo najwyższem zaprzeczeniem osobistości wolnych, człowieczych, a tem, że wolnych, wolno miłować się mogących. — Przytem i Boga najwyższem zaprzeczeniem, bo kto przeczy Ludzkości wolnej i miłującej, ten musi i Bogu przeczyć. Dopiero po tem straszliwem zaprzeczeniu wszystkiego, czego żądała ta epoka, ale frazesem tylko, nie sercem, nie myślą, nie czynem istotnym, przemoże się zło. Ludzkość objawi się sobie samej, z przemiary niedoli wyjdzie dobro, z przemiary ateizmu uznanie Boga, z przemiary niewoli wolność i zacznie się iść ku Królestwu Bożemu! Lecz powtarzam, my teraz idziemy ku Anty-Chryście, i wszystko, co się dzieje, fatalnie berło świata coraz bardziej do rąk mu przysuwa. — O g ó l n i e m ó w i ę — w szczegóły się nie wdaję; bo kto o przyszłości mówi, ten waryat, gdy chce anegdotę jej opowiadać; zostawiam to Towiańczykom! Jednak myślę, że Car bieguna północnego połączy w swej osobie dwie osobistości: swoją własną, lodowatą, a powtóre stanie się reprezentantem wszystkich europejskich dążności, owych podziemnych, co gwałt i mord i równość absolutną z pod ziemi wyziewają [1]). Rządy wszystkich tajnych podziemności w końcu jemu oddane będą do rąk, jako najgodniejszemu! Duchem swym połączy dwie osobistości te, jak Duch św. łączy Ojca i Syna w Bogu — i będzie Anty-Bóg. Ojcu odpowie osoba moskiewska, knutowładna po ojcowsku, Chrystusowi odpowie europejska, puginowładna i socyalistowska fałszywie, czyli Antychryst. Kościół się nie mylił. Św. Jan dobrze przepowiedział, że dopiero po Antychryście Królestwo Boże nastąpi na ziemi — nie wprzód! Ta postać przepowiedziana bliską nas już, bliską, wierz mi! Biedny Pius IX., jakże związany pod starość, jakżeż poprowadzon tam, gdzieby iść nie chciał, według słów także św. Jana“ [2]).

Nie wchodząc w szczegóły, stwierdzić tutaj należy, iż cały,

[1]) Odnosi się to do owych, przez ambasady rosyjskie urządzanych we Francyi i Włoszech ruchów prowokacyjnych wśród demokracyi skrajnej, głównie wśród naszych emigrantów, co w różnych listach Krasiński omawia lub wspomina.

[2]) Ew. św. Jana r. XXI. (ostatni) w. 18. Także list z 16 grudnia 1851 r. kończy poeta aluzyą do tychże słów, mówiąc: „Werset 18. rozdziału ostatniego Ś-go Jana resztę wytłómaczy“.

dopiero co przytoczony ustęp przedstawia dla nas bardzo wybitny przykład stopu w myśli Krasińskiego wrażeń, odniesionych z współczesnych wypadków z pomysłami filozoficzno-społecznymi (wyraźny związek z „Traktatem o Trójcy"), oraz obrazów, pojęć i zapowiedzi biblijnych, w tym wypadku Apokalipsy — przyczem uderza wprost fakt, iż ów ostatni moment w zupełności rozstrzyga o tonie i kierunku tego obrazu.

Wreszcie nie tylko obraz Apokalipsy współczesnej pełnieje i uwypukla się rozmyślaniami nad niepokojącymi wypadkami, tak, iż coraz częściej w listach powtarzać Krasiński będzie, iż „d z i w n e s ą ś c i e ż k i P a ń s k i e", a samo nazwisko Apokalipsy przewijać mu się będzie pod niespokojnem piórem [1]), wskutek czego Paryż zawsze „Babilonem" się nazywać będzie w myśl Apokalipsy, lecz i szczegóły inne w tym obrazie wystąpią.

W liście owym z 1842 r. mieliśmy objaśnienie, że Bestya, to car (w domyślniku co prawda!), 2-ga Bestya to — usprawiedliwiający zło owo na ziemi, t. j. rządy, usprawiedliwiające działanie cara, że Babilon to — Anglia, (choć stale Paryż Babilonem nazywa!). Lecz w 1854 r. 25. kwietnia [2]) pisze znów Krasiński:

„Pamiętasz w Ś-tym Janie Bestyę i fałszywego proroka, sługę pierwszej — któż nim? Oto zapowiadam ci, że S t a n y Z j e d n o c z o n e". I dodaje: „Dla mnie nic w tem dziwnego".

Coraz bardziej schorowany, zdenerwowany, nie mogąc myśleć, a tem bardziej pisać, wśród przykrych do czytania skarg i opisów swych stanów i boleści, rzuca nieraz Krasiński pokrótce wykrzyknik:

„Apokalipsis! mówię, nadchodzi"...

Za cały dziesiątek lat ostatnich tego znękanego żywota i za wszystkie listy z tego okresu wystarczyłoby to jedno zdanie poety:

„Żyję, jak galareta, coby miała czucie i myśl, drżąca ciągle o wszystko, trzęsąca się apokaliptycznie już pod powiewem nadchodzących Apokaliptyczności" [3]).

---

[1]) Apok. wspomniana jest w tych listach tylko do r. 1847 (t. I.) 5 razy, od 1848—59 — 13 razy; reminiscencyi zaś i śladów jej jest z górą dwa razy tyle!

[2]) T. II., str. 344. [3]) Z listu z dnia 5 maja 1849, t. II., str. 163.

Pomijając tutaj cały szereg drobiazgowych wzmianek i reminiscencyi z innych ksiąg biblijnych — trzeba jeszcze odpowiedzieć na nasuwające się pytanie, czy Krasiński dopiero w 1842 r. poznał Apokalipsę, skoro w omówionych wyżej owych dwu listach z tegoż roku tak się wyraża, jakby ją czytał pierwszy raz. Wszak już Reeve zapewne nieraz recytował mu z pamięci owe płomienne ustępy i sceny tytanicznego dramatu, rozgrywającego się i na ziemi i na obłokach i poza nimi — i wczoraj i dziś i wtedy, kiedy już czasu nie będzie"... Wszak już wcześniej [1]), przed r. 1842, spotykamy ślady znajomości Apokalipsy i to nawet nie ogólnikowe wcale [2]).

Sądzę, że rzecz tę najprościej się ujmie, przypuszczając, iż poeta, coraz to bardziej wrażliwy z powodu choroby, po przeżyciu w sobie „Nieboskiej" i „Irydiona", po poznaniu tak bliskich swoim poglądom „Prolegomenów" Cieszkowskiego, poeta, odczuwający intuicyą i nerwami zresztą ową „apokaliptyczną" atmosferę dni bieżących — jakkolwiek bez kwestyi dla zdrowych i pełnych nadziei ludzi współczesnych nieraz wcale owa atmosfera inaczej zawiewała, owszem, przyspieszała bicie ich serc! — iż poeta był przez to wszystko właśnie — o b e c n i e daleko bardziej skłonny do głębszego i wyczerpującego zajęcia się Apokalipsą, niż w okresie genewskim. Wszak wpływ Reeva w tym kierunku musiał maleć wówczas, gdyż poeta wtedy zajęty był, jak wiemy, mocno to sprawami serca, to wyrzutami sumienia za brak stanowczości w dniach powstania. Obecnie, wyrobiwszy sobie pod wpływem ojca takie pojęcie o powstaniu, które w zupełności jego sumienie uspokajało, a pozbywszy się już trzech miłości z ich perypetyami — i w czwartej dopiero naprawdę szczęśliwy — wreszcie po poznaniu się bliższem z Cieszkowskim, wskutek rozmów i dysput z filozofem, rozwinął wszystkie siły siedzącego w nim — m y ś l i c i e l a. Zagadnienia przyszłości Polski i ludzkości bardziej ugruntowane znalazły tereny.

To też przenosząc się myślą coraz to częściej do owej „trzeciej epoki", podtrzymywany na poziomie ściślejszego myślenia

[1]) Por. mój wspomniany już „Wpływ Biblii na Z. Kr.".
[2]) Choćby „Nieboska" i „Irydion" — p. tamże.

przez ową niesłychanie ciekawą i cenną dyskusyę eschatologiczną z Cieszkowskim, dopiero teraz odczuł naprawdę głębię i piękno tej „genesis przyszłości“ — jak Apokalipsę trafnie określił — upatrując ciągle związek między nią, jej obrazami grozy i zapowiedziami słonecznej stolicy Barankowej, a wypadkami, napełniającymi go to nadzieją, to — przeważnie zresztą — niepokojem, niechęcią i zgrozą!

I dawniej znał Apokalipsę — ale teraz niejako odkrył ją na nowo, że się tak wyrażę, i olśniony jej przepaściami i nieskończonymi horyzontami, nie mógł się z pod jej zaklętego uroku wydobyć.

Odtąd też myśl jego, nad otchłanią przyszłości zawieszona, stale w apokaliptycznych wizyach formułować będzie nowe o niej pomysły, jak to widać zarówno z korespondencyi, jak i dzieł. Wszak już w 1842 r., kiedy owe dwa listy wrześniowe pisał, pracuje nad „Przedświtem“ [1]), który właśnie ów ciekawy związek myśli poety i wizyi apokaliptycznych w tak wysokim stopniu wykazuje.

J. A. Teslar.

[1]) P. Tarnowski: Z. Kr., t. II., str. 118 i n.

Ostatni rycerz rodu Leliwitów.

(Pogrzeb Adama Mikołaja Sieniawskiego, Hetmana W. Kor., we Lwowie i Brzeżanach w r. 1726).

Żałobnym na wieżycach akordem uderzyły dzwony lwowskie, budząc ze snu przedwcześnie mieszkańców w mroźny ranek lutowy. Poważne tony największego w grodzie dzwonu smukłej wieży Korniaktowskiej, rozbrzmiewającego w dzień rozstania się z życiem tylko możnych świata tego, przekonały odrazu, iż kogoś z pierwszych Bóg przed sąd swój zawezwał. Zanim wieść doszła ogółu, kogo zabrakło już między żywymi, skierowały się domysły wszystkich odrazu ku Zamkowi Niższemu, gdzie w dniach ostatnich na śmierć się gotował dygnitarz największy Rzeczypospolitej, sześćdziesięcioletni hetman i kasztelan krakowski, pan grodu Lwiego z ramienia króla Jego Mości. Żałobna nowina lotem ptaka dotarła zaułków najodleglejszych, poruszając do żywa umysły wszystkich. Jedni drugim z ust do ust podawali, iż na zamku starościeńskim opłakują już zgon dostojnego hetmana, ostatniego z rodu swego.

Istotnie, przeniósł się do wieczności Jaśnie Oświecony Jego Mość Pan, Adam Mikołaj z Granowa Sieniawski, kasztelan krakowski, Hetman Wielki Koronny, starosta Lwowski, Lubaczowski, Rohatyński, Stryjski, Piaseczyński, hrabia na Szkłowie i Myszy, Pan na Brzeżanach etc. etc. Zapisano o nim w kronikach pod dniem 18-go lutego R. P. 1726: „....o godzinie 7-mej z rana tu we Lwowie, w Niskim Zamku, pomarł z żalem wielu ludzi miasta tutejszego,

którego ciało z pompą osobliwą leżało w niższych pokojach"... (Kronika zakonnic orm. X. S. Barącza — Pamiętnik dziejów polskich. Lwów 1855, str. 184). W rachunki zaś lwowskiego Bractwa Stauropigialnego wciągnięto pod dniem tym samym zapisek: „Jaśnie Oświeconemu JEP. krakowskiemu, W. H. Koronnemu de domo Sieniawski dzwoniono i zapłacono za podzwonne 94 złp." Zapiskom tym nie koniec, bo podobnych znajdujemy sporo rozsypanych po księgach i kronikach współczesnych — miara to wrażenia, z jakiem przyjęto śmierć pierwszego w Rzeczypospolitej pana. Trwalsze jednak nad nie były wspomnienia, związane z niezwykłemi ceremoniami pogrzebowemi, z niesłychanym przepychem, wystawnością i bogactwem wymyślnego obrzędu żałobnego, mającego wsławić i uwiecznić imię ostatniego z rodu możnych Leliwitów Sieniawskich.

Nie te jednak ceremonie tylko uwieczniły u potomności sławę rycerza i dygnitarza. Bardziej, niż one, wsławiły go czyny wielkie za życia znojnego, całego poświęconego Rzeczypospolitej i jej władcy. Jeśli zaś wnosić można po ilości nieprzyjaciół i antagonistów o niepowszedniości czyjejś, zmarły hetman i kasztelan do prawdziwie niezwykłych należeć musiał mężów, tylu za życia, a nawet i po śmierci posiadał adwersarzy. Na ciężkie czasy przypadła buława jego, na chwiejnym gruncie stało krzesło kasztelańskie. On jednak potrafił ukorzyć wroga, wzmocnić stanowisko senatora pierwszego, nie uchybiając majestatowi ani Rzeczypospolitej, ani króla swego. Równie zdolnym był dyplomatą, jak i wodzem i temu jedynie dzięki równowagę zachować potrafił między ścierającymi się na terytoryum Polski wpływami Piotra Wielkiego i Karola XII. „Trafił na zakłócone w tej ojczyźnie czasy, kiedy nie tylko szwedzkie zamachy, ale i domowe rozruchy ledwie jej o zgubę nie przyprawiły. Przecież — powiada K. Niesiecki — i Szwedów pod Kaliszem i na innych miejscach tak siły przytarł, że ojczyzna z ostatniej prawie toni zdała się być od niego zachowana. W domowych zaś między majestatem i uzbrojonymi przy wolności synami-dyffidencyach tak się stawił, że ani Augustowi II., królowi z swojej ku niemu poprzysiężonej wierności nic nie ubliżył, ani też z miłości do tej, która go urodziła i wypiastowała,

ojczyzny. Wprawdzieć niektórzy więcej coś po nim wyciągali na obronę praw i swobód tej Rzeczypospolitej, ale przezorne rady i inne wszystkie jego procedera, że na lepsze tego królestwa quality, insi chwalili ile w tych tam okolicznościach. Przecież nie prędzej wszedł do grobu w r. 1726, aż zupełnie uspokojone widział to królestwo".

Najsprzeczniejsze wyrażano sądy o nim za życia, a i po śmierci nie pogodzono się w jednomyślnem przekonaniu o patryotycznej i bezinteresownej działalności politycznej. Za złe mu poczytywano wszystko niemal, co w charakterze publicznym zadecydował. Nie wszystkim podobało się, że będąc wojewodą bełskim, należał po śmierci króla Jana III. do partyi francuskiej, trzymającej stronę księcia de Conti, a następnie przystał do partyi saskiej. Głównym jednak rankorem braci szlachty zdawały się być względy, którymi obdarzył go August II., pragnąc go posiadać po swojej stronie, jako najmożniejszego w kraju magnata. Wysokie godności, przyznawane raz po raz panu na Brzeżanach, nie mogły nie drażnić dumy wielu, czujących się tem pokrzywdzonymi. I to też zapewne nie mało wpływało na ujemne sądy współczesnych o nim.

Należytego jednak wyświetlenia historycznego wymaga w istocie stanowisko Adama Mikołaja Sieniawskiego w nie jednej sprawie publicznej. Czem mianowicie usprawiedliwić porzucenie stronnictwa saskiego właśnie po mianowaniu Sieniawskiego przez króla hetmanem polnym koronnym? Nie długo to wprawdzie trwało, ale też nawrócenie nie pozostało bez uznania królewskiego w postaci ofiarowanej Sieniawskiemu buławy wielkiej koronnej i kasztelaństwa krakowskiego, t. zn. dwu krzeseł najwyższych w Senacie. Zdawałoby się, że dość tego, by zjednać ostatecznie malkontenta, ale tymczasem po przymusowej abdykacyi Augusta II., Adam Sieniawski nie stanął ani dość szczerze po stronie Stanisława Leszczyńskiego, ani też opowiedział się za protektorem swym saskim. Ponieważ zaś ogólnie znaną była duma jego rodowa i godności piastowanych, nie dziw więc, że odrazu wytłumaczono sobie tę dwulicowość poprostu tem, iż sam pretenduje do tronu, spozierając na rosyjskiego alianta Rzeczypospolitej, który znów sam

przemyśliwał, jakby się w Polsce ulokować właśnie przez wpływy pana krakowskiego.

Na sprawę tę ciekawe rzuca światło pamiętnik współczesnego autora, jednego z braci szlachty, sławnego Erazma Otwinowskiego, (Dzieje Polski pod panowaniem Augusta II., od r. 1696 do 1728. Kraków 1849). Jak inni, tak i Otwinowski, nie koniecznie oszczędza hetmana, ale w każdym razie stara się zrozumieć motywy jego postępowania, zagadkowego nieraz, zwłaszcza z perspektywy naocznej. Przekonany jednak i on był o roszczeniu sobie korony przez ambitnego Sieniawskiego i wielokrotnie podkreśla sympatye jego sasko-rosyjskie. Już mówiąc o konfederacyi sandomierskiej, kiedy to Sieniawski porzucił chwilowo stronnictwo saskie (1707 r.), wyraża Otwinowski przypuszczenie owo, powiadając, iż Sieniawski, mając całą siłę Rzeczypospolitej, „opierał się mocno szwedzkiej stronie, nie z cnoty (niech mi wybaczy), lecz z sekretnego interesu, urościwszy sobie tron królewski w głowie. I tak, z marszałkiem konfederacyi sandomierskiej, Denhoffem, wyrabiał fakcye, prowadząc rzeczy, aby był królem mógł zostać, spodziewając się, że mu car dla swojej potrzeby dopomoże".

Po bitwie połtawskiej, pieczętującej zupełny upadek sprawy króla Leszczyńskiego, wybrał się car z całą potencyą swoją do Polski — „umyślił do szczętu grabić szwedzkich adherentów, a przytem chciał syna swego na tron polski wsadzić, Aleksego Piotrowicza, którego z sobą do Polski przywiózł. Hetman wielki Sieniawski miłem okiem na owo wprowadzenie wojsk moskiewskich poglądał, spodziewając się przy swojej potencyi... za pomocą carską zostać królem polskim, ale mu tego konferencya sandomierska nie bardzo życzyła, mając go w nienawiści. Dziwna to rzecz była, — powiada z chytra frant Otwinowski — że się ci obadwa, jak car, tak i hetman, porozumieć nie mogli. Car chciał za fawerem hetmana uczynić syna królem w Polsce, a hetman przez pomoc cara spodziewał się być królem".

Przymierze Augusta II. z potężnym Piotrem W. nie bez wpływu było na tolerowanie przez hetmana najeźdźczych wojsk rosyjskich. Będąc dowódcą sił zbrojnych królewskich, nie mógł — bez kolizyi z królem — występować przeciw jakoby sprzymie-

rzeńcowi, a tem mniej przeciw samym wojskom saskim, grabiącym nielitościwie, razem z rosyjskiemi, biedny kraj polski. W kłopotliwem też nad wyraz położeniu uczuć się musiał, kiedy szlachta skonfederowana w Tarnogrodzie, powołać go chciała na swego przewódcę, licząc na siły, pozostające pod jego buławą. Z jego pomocą napędzić zamierzano z kraju rozpasane żołdactwo saskie, ale kiedy przekonano się, że wielkie siły trzyma bezużytecznie jakby na uwięzi, zamiast oddać je do dyspozycyi konfederacyi, zdaje się, że „głosem ludu" były słowa, pisane przez ks. Jełowieckiego, kanclerza lwowskiego, w liście do kasztelanowej krakowskiej, dnia 15 lutego 1716 r., że szlachta uważa hetmana za „Rzeczypospolitej najbardziej nieprzyjaznego i zowią go Sasem w kontuszu, szkodliwszym nad prawdziwych Sasów" (E. Raczyński. Dziennik konf. Tarnogrodz. 1715—1717 r. Poznań 1841).

Nie dziw też, że marszałek konfederacyi, cieszącej się nadzwyczajną popularnością kraju całego, nie mógł pogodzić się z tym „Sasem w kontuszu", który — jak powiada Otwinowski — gdzie mógł, rzeczy psował, nie chcąc adesse Rzeczypospolitej, oczywiście Sasom favebat, którzy do niego często na odpoczynek do Lwowa uchodzili. Zaczem wmyślił marszałek Leduchowski wziąść go w areszt. Potocki, pisarz koronny, podjął się tego. Wyprawił się do Lwowa, gdzie ze swoimi stanął po przedmieściach. „Sam pisarz był u hetmana z wizytą i tak umiał swoje rzeczy pokryć, że nie wątpił hetman o jego przyjaźni... Nazajutrz Rupniewski, sufragan lwowski, zaprosił pisarza do siebie, a pisarzowskich ludzi już było dosyć w mieście..., którzy z namowy dali okazyę hetmańskim, a gdy się tumult wszczął, wtenczas drudzy, będąc gotowi na przedmieściach, wpadli insperate i opanowali bramę halicką, straciwszy tam kilkunastu ludzi swoich, bo pułkownik Campenhausen, komendant miasta, przypadł do bramy i kazał dać ognia. Gdy nie mógł wytrzymać, biegł do hauptwachu, tam od samego pisarza, z obiadu od sufragana wypadnionego, wzięty był... Potem pisarz, nie bawiąc po mieście, udał się do Niskiego Zamku, gdzie był hetman. Tam major Brześciański, kochający dobra pospolitego, poddał się z grenadyerami konnymi, w których miał hetman największą ufność, a tatarskie chorągwie pod ceihau-

sem w gotowości stojące, uciekły między wały. Już nie został hetman w zamku tylko z kozakami, ale się i ci poddać musieli — a tak wzięto hetmana, jako zdrajcę ojczyzny, nie respektując i na to, że był pierwszym senatorem. Pewnieby tam było zabito hetmana w tumulcie, gdyby był wojewoda podolski i Potocki, referendarz koronny, nie uhamowali furentis militis animum, a hetman, zdając się w areszt, szablę dyamentami sadzoną oddał w ręce pisarza, która go tak zniewoliła, że za pewną assekuracyą, daną sobie, wypuścił hetmana wolno, wziąwszy mu ludzi wszystkich 1000 cudzoziemskiego, a 500 polskiego zaciągu. Pisarz też miał 500 dragonii, a 1300 polskiego wojska. Aż w tem przyszedł surowy ordynans od marszałka Leduchowskiego, żeby hetmana jako najprędzej do Lubomli prowadzono. Na nieszczęście swoje nie jechał hetman do Brzeżan prosto, gdzieby był securus siedział jako w fortecy, ale się bawił w Przemyślanach, po którego pisarz, odebrawszy ordynans, biegł co prędzej i wziął w wstępną środę, do marszałka do Lubomli zaprowadził. Chcieli go Sasi odbić i gonił pisarza sam generał Baudycz w wielkim poczcie Sasów, ale już nierychło było...

...Gdy hetmana do Lubomli przyprowadzono, żadnej mu obserwacyi nie dali marszałkowie i owszem wartą nocną obsaczyli, aż hetman rekurs do wojewody krak. uczynił (któremu przedtem różne złości wyrządzał) i dopiero wojewoda, dawszy kaucyę za niego in scripto marszałkowi, wziął go do Czartoryjska, dóbr swoich i tam z wielką ludzkością u siebie trzymał. Za co wojewoda wielkiej nabawił się inwidyi, bo na hetmana wszyscy zębami zgrzytali, jakoż i słusznie, gdyżby było do tej ruiny nigdy nie przychodziło, gdyby był wojsko w ręku mający oparł się, jako należało... nie tylko był zdrajcą rzeczypospolitej, ale i oppressorem, co każdy z akcyi jego uznać może, które od abdykacyi króla Augusta uczynił".

„Żonę miał Lubomirską, córkę marszałka kor., wielką rzędziochę, tak dobrego obrotu, że z całą Europą miała konferencye. Konsyliarzów też miał zdrajców... Hetman był pan wielki z siebie i z żony, bo w dobrach, pieniądzach i skarbach nieoszacowanych wziął wielką sukcesyą po wuju jej rodzonym, Opalińskim, staro-

ście nowomiejskim. Wszyscy się w Polsce tego hetmana bali i trybunały za wielkie jego excessa i samej hetmanowej nie śmieli sądzić według sprawiedliwości, bojąc się go, żeby ich wojskami w niwecz nie obrócił. Hetmanowa panu Swiniarskiemu, deputatowi trybunału z poznańskiego, gdy przeciwko niej podług sprawiedliwości ferował sentencyą, kazała powiedzieć, żeby wiedział, że jest w Kamieńcu ciemne więzienie. Nie każdy się odważył z tym hetmanem prawować, choć piekielną od niego cierpiał krzywdę, bo go zrujnował hetman. Panią Kossakowską, wdowę, kasztelanowę kijowską, że się z nim processować poczęła, nasławszy kilkanaście chorągwi z kretesem w niwecz obrócił i wielu inszym szlachcie tak czynił. Wojsko kwarciane więcej na prywatne posługi swoje i wyrobienie interesów obracał, niż ku pożytkowi rzeczypospolitej; do tego wojsko krzywdził niewymownie w hibernach... Tyle tylko pochwały ma ten hetman, że był wniósł r. p. 1710 modeliusz wojsku cudzoziemskiego autoramentu, że ludzi polskim językiem exercytowano"...

Niepochlebnie scharakteryzował Otwinowski przygodnego więźnia konfederatów, tak, jako męża stanu, jak i człowieka prywatnego. Dostało się przy tem i pani kasztelanowej, którą zresztą w innem miejscu mieni „wielkiego geniuszu, rozumu i obrotu damą". Wątpić zaś nie można, iż ogromny być musiał wpływ tej ambitnej niewiasty na przedsięwzięcia, zamysły i czyny niemniej dumnego małżonka. Dotknięty i niemal złamany niepowodzeniem, nie miał już hetman chęci zwalczania przeciwności, zdając się w tem niemal zupełnie na obrotność i dyplomatyczne zdolności swej żony. Zanim jednak uzyskał wolność z więzienia konfederackiego, omal nie przepłacił życiem gorliwości saskich swych sprzymierzeńców. Kiedy bowiem w Lublinie „na traktacie punkt o ewakuacyi Sasów wzięto, proponowali królewscy plenipotenci, że jeżeli Sasi wyjdą, aby zaraz wojska całe związkowe pod komendę hetmanów poszły, a to była fakcya Sieniawskiego. Za czem powstał okrutny fremitus o to na Sieniawskiego i gdy to doniesiono wojskom pod Łęczną, porwał się pisarz koronny z całą dywizyą swoją do koni i obstąpił dom, gdzie Sieniawski siedział w areszcie. A gdyby był wojewoda krak. rzeczy nie umitygował i nie uprosił

wszystkich, aby od tak szkaradnego przedsięwzięcia odstąpili, pewnieby był Sieniawski w ten dzień zginął". W rezultacie przyszło do porozumienia między królem a skonfederowanymi (1717 r.), wobec czego zażądano od Sieniawskiego zaprzysiężenia traktatu. Dumny hetman, pozbawiony wolności, oświadczył, iż uczyni to, ale pod przymusem, uważając to za nadużycie. I tu właśnie miało miejsce zajście, które w wysokim stopniu usprawiedliwia całą politykę hetmana, wyjaśniając męski punkt patrzenia jego na sprawy krajowe, na rozbieżność w dążeniach króla i narodu.

Składając mianowicie przysięgę wymuszoną, przerywał ją kilka razy. „Naprzód, gdy przyszło do słów, iż będzie wierny królowi i rzpltej, rzekł pan hetman, że tu potrzeba, aby król JMść zawsze miał wspólny interes z rzeczpospolitą, bo gdyby rzplta radziła bić Sasów, toby niewiedzieć kogo słuchać, czy jej, czy króla". Słowa te zwięzłe wyjaśniają dostatecznie kunktatorskie jakoby zachowanie się hetmana wobec żądań konfederacyi — na Sasów nie poszedł, bo wierność zachować chciał królowi, nie idąc zaś na nich, wierność łamał wobec ojczyzny. Czyż mógł więc bez zastrzeżeń wierność ślubować królowi, do tego takiemu, który królestwo swoje jak najgorsze cudze traktował?" Za jedyne wyjście uznał w tym wypadku zachowanie neutralności i wobec tego silną dłonią trzymał zbrojne siły Rzeczypospolitej, nie użyczając ich konfederatom, ale też i nie stawiając do dyspozycyi wyłącznej króla. Kiedy w kraju szła burza groźna, cofnął się w posiadłości swe prywatne, jakby nie chcąc widzieć i słyszeć jej grzmotów i ogni — to mu właśnie za zdradę poczytywano i za to właśnie „obrany został z powagi i honoru" i omal, że życiem nie zapłacił.

Odezwała się zaś w hetmanie dumna krew ojca, Mikołaja, który pod Wiedniem nie skłonił się cesarzowi, ponieważ ten nie uchylił kapelusza na ukłony pułkowników polskich. Zagrała krew gorąca, kiedy po złożeniu przysięgi winszował hetmanowi wojewoda podolski pogodzenia się ze stanami i życzył mu starać się o łaskę króla i miłość ludu. „Przyjął tę admonicyę — czytamy w Dzienniku konfed. Tarnogrodz. — źle bardzo Pan krakowski i rzekł, że się gotów z każdym pokombinować, ale jemu nigdy przyjacielem być nie może — lepiej mu było wziąść życie, niż

honor". Traktat ugodowy zaprzysiągł z musu, ale ponieważ wzięto mu honor, sam dobrowolnie uznał się za zmarłego dla spraw publicznych. Z chwilą tą zapomina o nim E. Otwinowski, który, doprowadzając swe pamiętniki do r. 1728, nie znajduje też i słówka wspomnienia o śmierci jego w r. 1726.

Nie nazbyt wysoko mierzył Adam Sieniawski, myśląc o koronie — mógł otrzymać ją ongi Sobieski, a potem St. Leszczyński, dlaczegożby dostać się nie mogła i jemu, przedstawicielowi najpotężniejszego, najmożniejszego rodu polskiego? Stosownie do godności familii, godnie ją spokrewnił, biorąc za żonę Elżbietę z Lubomirskich, panią wielce energiczną i obrotną, ale też i nie mniej odeń ambitną i dumną. Lubił życie okazałe, reprezentacyjne i nie obojętnym był na względy możniejszych — a możniejszymi odeń być mogli tylko panujący. I w tem także nie ustępowała mu pani małżonka, bo zapewne i po jej myśli odbyła się okazale uroczystość rodzinna w Jarosławiu w 1711 r. Na zjeździe cara rosyjskiego i księcia Rakoczego z królem Augustem II. w tem mieście sprawił hetman córce swej trzynastoletniej, Zofii, chrzciny, prosząc za ojców chrzestnych króla polskiego, cara rosyjskiego i księcia siedmiogrodzkiego. Wielkie tam ci levati parentes — zapisuje Otwinowski — dali upominki, a najbogatsze ofiarował Rakoczy, bo misę wielką złotą, pełną klejnotów bardzo kosztownych. Chrzciny owe nie w kościele, ale w polu pod namiotami odprawowały się. Nie byle kogo też przeznaczył córce za męża. Dbały o wielkość i sławę rodu, upatrzył dla niej zwolennika swego politycznego, wiernego sprzymierzeńca Augusta II., a mianowicie Stanisława Denhoffa, wojewodę Połockiego i Hetmana Polnego W. Ks. Litewskiego, pana włości rozległych, słynnego w Polsce całej z przepychu i wystawności. Ten, zdaniem jego, najgodniej był w stanie przejąć po nim tradycye domu, co bezpotomnie zejść z nim miał ze świata, pozbawiony potomka po mieczu. Z bajecznym też przepychem sprawił im wesele 30 lipca 1724 r. we Lwowie, o czem dziesiątki jeszcze lat potem rozpisywali się z zachwytem kronikarze miejscowi (Dyaryusz wesela JW. Stan. Denhoffa z JO. Panną Zofią Sieniawską. Kłosy 1880).

W dwudziestym szóstym roku życia wydawał córkę naj-

ukochańszą za mąż, nie spodziewając się, że mu w dwa lata potem przyjdzie żegnać się ze światem. Już w dniach weselnych nie czuł się silnie na zdrowiu, zmuszony nawet, z powodu zabiegów leczniczych w kąpielach Szkła, opóźnić pierwotny termin ślubu. Lata ostatnie spędzał też we Lwowie, ale bardzo chętnie i w rodzinnych Brzeżanach. Śmierć zaskoczyła go jednak we Lwowie, nie w pałacu na Halickiem, lecz w Zamku Niższym, gdzie jako starosta królewski przebywał. Opatrzony św. Sakramentami, przeniósł się do wieczności 18 lutego 1726 r., co zaraz miastu całemu żałobne dzwony obwieściły.

Zaroiło się na zamku od służby najrozmaitszej, której dyspozycye energiczne wydawała sama niedomagająca, a mocno stroskana wdowa. Zanim przyjechać mógł pan Denhoff, wszystko na jej barkach słabych spoczęło, wszystkie kłopoty i trudności sama usunąć musiała. Poleciła więc wśród łez przebranie ciała męża w złotogłów, a tymczasem w ubikacyach dolnych wznoszono katafalk wysoki, prawdziwe „castrum doloris", powleczony aksamitem drogim. Kiedy już gotowa była budowa owa, zniesiono z piętra zwłoki, pysznie ustrojone, składając je na wzniesieniu na widok publiczny. Trumna misternej roboty obita została złotogłowiem z pomocą wielkich gwoździ srebrnych. Przy katafalku złożono buławę, szablę i order królewski, insygnia władzy hetmańskiej. Tłumy zaległy podwórzec i salę zamkową, otwartą odtąd dla wszystkich wiernych, spieszących przyglądnąć się skamieniałemu obliczu groźnego za życia hetmana. Nabożnie wchodzono w podwoje żałobne, bo prócz majestatu śmierci zagościli w mury zamczyska liczni słudzy Boży, odprawiający dniem i nocą nabożeństwo za nabożeństwem. Codziennie odbywało się przy zwłokach po sto kilkadziesiąt mszy świętych z modlitwami żałobnemi, a tak samo czczono pamięć zmarłego we wszystkich świątyniach katolickich miasta i przedmieść. Wszystkie klasztory otrzymywały w tym celu codziennie po kilka tysięcy, a setki złotych rozdzielano między biedaków, modlących Boga o zbawienie duszy zmarłego. Spieszyli wierni pomodlić się u zwłok, zanim nie zamknięto je w trumnie przed wywiezieniem do grobów rodzinnych w Brzeżanach, co nastąpić miało 23 marca.

Miesiąc cały od śmierci hetmana przeczekać musiano z przetransportowaniem zwłok na zamek brzeżański, ponieważ nie prędzej powiadomić można było wszystkich w kraju, oczekując ich przybycia. Pierwszego posłańca pchnęła pani kasztelanowa do zięcia Denhoffa i córki, Zofii, prosząc o rychłe przybycie i zajęcie się przyjmowaniem gości coraz liczniejszych. W czas przybył p. Denhoff, przyjmując na się starania o to, — a nie łatwo było wywiązać się z obowiązków ciężkich. Zjazd bowiem senatorów, dygnitarzy, urzędników, szlachty i rycerstwa był wprost niesłychany, a wszystkim należało wygodzić, wszystkich ugościć i pomieścić. Przybyli zaś goście nie lada. Zjechał książę Janusz Wiśniowiecki, hetman pol. kor. Mateusz Rzewuski, wojewoda kij. Józef Potocki, marszałek Trybunału koronnego, kilku kasztelanów, mnóstwo oficerów wojska koronnego, urzędników najwyższych i panów szlachty bez liku. Kiedy już przybyć czas mieli z najodleglejszych stron kraju wszyscy, co udział wziąć pragnęli w obchodzie żałobnym, pomyśleć można było dopiero o exportacyi zwłok hetmańskich.

Mistrzami ceremonii dnia tego, pamiętnego dla Lwowian, zostali niepodzielnie OO. Jezuici, wdzięczni zmarłemu za opiekowanie się zakonem za życia, a i wydatne dowody pamięci przed śmiercią samą. Bogobojny hetman, którego zabiegi wszelkie, by widzieć Rzeczpospolitą w zgodzie ze Szwedami, szły jak po grudzie, w Bogu nakoniec widział nadzieję ostatnią, a do Boga trafić umyślił przez synów jego zakonnych. Z woli też zmarłego otrzymał konwent lwowski kilkaset tysięcy złotych polskich na intencyę pogodzenia się ze Szwecyą, a do sumy tej ogromnej dołożyła jeszcze pani kasztelanowa swoich kilkadziesiąt tysięcy. Godziło się zatem okazale wdzięczność swą okazać.

Z przepychem magnackim wystąpili OO. Jezuici. „Piętnastu kościołów fundatorowi, różnych klasztorów dobroczynnemu protektorowi“ wyjednać pragnęli łaskę niebieską modłami żarliwemi, chociaż już czyny jego z pewnością na sądzie Boskim za nim przemówiły. Oglądali więc wierni cuda prawdziwe w wspaniałej świątyni zakonnej. Zaciemniona zaponami ciężkiemi, błyszczała przepyszną iluminacyą misterną, w której na kształt klejnotu lśnił znak herbowy domu Sieniawskich, „przy feralnych lamentów cie-

niach na pogrzebową kondolencyą adumbrowany". Zginąć na wieki miał klejnot ostatniego z rodu i ostatnie to już były blaski jego.

„Pół księżyca jest w herbie, pół zgasło, zginęło,
Wpół splendorów z umbrami w Leliwie stanęło.
Oddany niebu xiężyc, w splendor południeje,
Na ziemi po Sieniawskim zmieszany blednieje.
Zgasł Sarmacki Luminarz w słońca komitywie,
Toć nie dziw, że zaćmienie w herbownym Leliwie.
W Sieniawskim senatorze śmierć ostatnia była,
Umarła razem z domem, toć swój wiek straciła".
(Ostatni splendor herbownego Leliwy etc. Lwów 1726).

Zaciemniony księżyc i gwiazdę obstąpiły żałobne klejnoty rodów skolligaconych, lśniąc w potokach świetlnych wysoko nad głowami tłumów. Znalazły się

„Królewskie Sobieskich Tarcze,
Żadnym Marsa przeciwnego nieprzebite pociskiem,
Fatów natarczywych impetem leżą skruszone,
Xiążąt Radziwiłłów Orzeł, wszystek smutny,
Że jemu miły Luminarz zaćmienie cierpi.
Sanguszki pogoń w tryumfalnym swym biegu
Zadumiany stoi, widząc u kresu ostatniego, Wielkiego Hetmana.
Wiśniowieckich Cynthia dla tejże niepogody wszystka blada.
Lubomirskich Srzeniawa, grunt chwał nie mający,
Zbiera od łez powodzi.
Wielopolskich Zaprzaniec nie źrzódła Helikońskie,
Lecz niezgruntowane żalów morze swoim uderzeniem wyciska.
Jabłonowskich Nowina, ustyrku na placu Marsowym nie znająca,
Jak przedtym wielkiej miłości, tak teraz niepojętej kondolencyi
Ślady wyraża.
Zakwitłe w tryumfy krzyżów Potockich Drzewo,
Że od Xiężyca Sieniawskich niema influencyi, więdnieje.
Sapiehów Strzała, sławę za metę mająca,
Punkt żalów nieznośnych za cel obiera.
Łódź Opalińskich w oceanie głębokich żalów pływa.
Tarłowska Starza, która teatrum chwały zwykła wyrabiać,

Kamieniem śmiertelnym zostaje przytępiona.
Granowskich Leliwę ciężkiego smutku otoczyły umbry.
Słowem mówiąc, najprzedniejsze domy,
Imienia między ludźmi najpierwszego,
W familii Sieniawskich ostatniego Adama żałują"...
(Xiężyc J. O. Domu Splendorem... jasny, Kraków 1726).

Kiedy w kościele OO. Jezuitów odprawiały się exekwie żałobne, na zamku gorące szły przygotowania do solennego wyprowadzenia zwłok w drogę długą ku Brzeżanom. O godzinie 5-ej z południa zgromadziły się na podwórcu i w ulicach bocznych tłumy nieprzeliczone wojsk, cechów, duchowieństwa, szlachty, urzędników i pospólstwa szarego. Najbliżsi tylko, rodzina i dygnitarze, słyszeć szczęście mieli rzewne kazanie sędziwego ks. Jezuity Muchowskiego, który do łez poruszyć zdołał nawet osiwiałych w bojach rycerzy, nie to zastępy niewiast rozrzewnionych. Wychodząc z tekstu: „igne me examinastis", przedstawił hetmana jako męża, który tonącą wyratował ojczyznę, wierny królowi i Rzeczypospolitej nie tylko w powodzeniu, ale i w nieszczęściach, w ogniu wypróbowany. Kiedy czcigodny staruszek zstąpił z czarno aksamitem przybranej katedry, wzniesionej na schodach u wejścia zamkowego, pożegnawszy w imieniu zmarłego po raz ostatni progi domu, zbliżyli się ku trumnie najdostojniejsi senatorowie i pułkownicy wojsk koronnych, z panem Denhoffem, biorąc ją na barki swoje. Na ciężar ów żałobny oczekiwał już powóz przepyszny, udrapowany do ziemi samej aksamitem ponsowym, szamerowanym galonem szczerozłotym. Cztery pary koni rosłych, okrytych do ziemi zwieszającemi kapami ponsowemi, potrząsając poważnie pióropuszami, oczekiwały znaku stangreta i trzech forysiów w liberyi aksamitnej, by ruszyć w drogę daleką. Trumnę misternej roboty złożyli senatorowie i wojskowi na karawan, stawiając na nią wielki krucyfiks srebrny z insygniami hetmańskiemi obok. Było to hasłem dla konduktu, uszykowanego na dziedzińcu zamkowym. Rozległ się marsz żałobny przy dźwięku trąb, surm i kotłów wojennych, którym wtórowały armaty, oddające ultimum vale z wałów miejskich.

Otwierał pochód buńczuczny hetmański, łowczy sieradzki, Kraiński, jadąc z buńczukiem na znak żałoby pochylonym. Za nim

kroczyło rzędem siedm wierzchowców pod kitami i buńczukami, z siodłami more antiquo zaopatrzonemi w koncerze i rzędy szczerozłote, suto kamieniami drogimi sadzone.

Z kolei wysunęły się chorągwie lekkie straży przedniej, a tuż za niemi regiment dragonii zmarłego hetmana, z żałobnymi szalami na kapeluszach, regiment pieszy, chorągiew janczarska, oraz piechota semeńska z kurucką. W odstępie niewielkim, pod wodzą kasztelana kamienieckiego, Kalinowskiego, pułkownika chorągwi husarskiej zmarłego hetmana, postępowała chorągiew owa z drugą, wojewody mazowieckiego, Chomentowskiego, tudzież kilkanaście chorągwi pancernych. Przepysznym rynsztunkiem wyróżniała się zwłaszcza chorągiew hetmana polnego litewskiego, p. St. Denhoffa, zięcia nieboszczyka hetmana, prowadzona przez stolnika wiskiego, Rostkowskiego. Chorągiew starosty białocerkiewskiego, Jabłonowskiego, w pancerzach z dzidami, prowadził chorąży bracławski, Duhniński, trzeciej zaś, starosty rawskiego, Załoskiego, dowodził wojski żydaczowski, Grudziński. Wszystkie poczty lśniły wprost od półkirysów z kopiami i skrzydłami orlemi, zachwycając postawą koni najpyszniejszych, wspaniałych nawet pod pachołkami; towarzysze pancerni z sahajdakami, szeregowi w pancerzach z dzidami, przy pistoletach, w umundurowaniu wystawnem.

Sporo czasu minęło, nim przed oczyma tłumów przemaszerowały szeregi długie wojska wszelkich ordynków, ustępując miejsca z kolei za nimi kroczącym cechom miejskim z chorągwiami, w szatach odświętnych. Rada miejska, z burmistrzem na przedzie, zajaśniała setką świec w ręku wszystkich panów rajców, a niemniej i towarzyszy cechowych. Zaopatrzono ich w nie na zamku, gdzie dnia tego kilkanaście tysięcy świec między wiernych rozdzielono. Tuż za korporacyami miejskiemi postępowało duchowieństwo wszystkich obrządków, wszystkie konwenty z miasta i przedmieść. Naprzód szli świeccy duchowni uniecy, za nimi zakonnicy ze starszyzną, po nich OO. Bernardyni, Trynitarze, Reformaci, Dominikanie, Pijarowie i wreszcie Jezuici. Przed samą trumną postępował arcybiskup lwowski, ks. Skarbek, ze swym sufraganem, ks. biskupem Jełowickim, w otoczeniu kapituły archikatedralnej, tudzież mnóstwo duchowieństwa miejscowego i zamiejscowego.

W blasku pochodni i kilkunastu tysięcy świec toczył się zwolna purpurowy cały — na znak wylania krwi za ojczyznę — karawan z wspaniałą, od setek guzów srebrnych lśniącą trumną, zdobną w odznaki hetmańskie zmarłego. Z zdziwieniem pewnem zauważono brak za trumną postępującej pani kasztelanowej z córką, hetmanową litewską — „dla zdrowia i boleści" nie były one w stanie osobiście towarzyszyć pochodowi żałobnemu, oddane modłom bezustannym w domu. Dla wyrównania tej krzywdy pamięci nieboszczyka opłaciły setki mszy świętych w wszystkich świątyniach lwowskich — wraz z niemi modlono się wszędzie za spokój duszy zmarłego.

Miejsce rodziny najbliższej tuż za karawanem, zastąpiło hetmanowi grono doborowe pierwszych w Rzeczypospolitej dygnitarzy, z hetmanem polnym litewskim, p. St. Denhoffem, zięciem zmarłego, na czele. Kroczyli z nim poważnie wojewodowie: ruski, podolski, smoleński, czernichowski i łęczycki, pięciu kasztelanów, moc urzędników ziemskich, oficerów, szlachty, assystencyi dworskiej, a w końcu tłumy tysiączne. Powoli też postępować mógł naprzód pochód olbrzymi, którego koniec u zamku prawie jeszcze pozostawał, gdy czoło bram miejskich już dochodziło. W mieście samem zatrzymano się przed Akademią OO. Jezuitów, gdzie „wybornem kazaniem" pożegnał zakon szczególnego dobroczyńcę swego, udającego się na spoczynek wieczny. Nie dziw więc, że kondukt ledwie o godzinie trzeciej po północy dotarł do kościoła św. Piotra, przy trakcie gliniańskim (dziś Łyczakowskim). Strudzeni goście żałobni wysłuchali jeszcze z serca płynącego przemówienia ks. Bernardyna Olejowskiego, prywatnego kapelana hetmańskiego, poczem rozeszli się do domów, zostawiając zwłoki w kościele pod opieką duchowieństwa, odprawiającego modły nieustanne.

Bicie dzwonów znak dało nazajutrz o opuszczeniu miasta przez uszczuplony już znacznie kondukt, na który złożyła się assystencya OO. Bernardynów, Reformatów i Kapucynów, w otoczeniu honorowej eskorty wojskowej z husaryi, chorągwi lekkich i pancernych z dragonią i piechotą. Trumnę umieszczono na odpowiedniejszym do dalszej drogi uciążliwej wozie, umyślnie w tym celu

sporządzonym, w postaci karety żałobnej, chroniącej przed wiatrem i deszczem. Wśród modłów i śpiewów pogrzebowych ruszył pochód z kościoła św. Piotra, żegnany po raz ostatni salwą doniosłą z dział wałów miejskich. Pozostali we Lwowie oczekiwali odtąd niecierpliwie relacyi z dalszego przebiegu ceremonii, o której mówiono już naprzód, że znacznie przewyższy przepychem słynny z przed laty ośmdziesięciu (1646 r.) pogrzeb hetmana Stanisława Koniecpolskiego w Brodach.

Zainteresowanie obrzędem żałobnym musiało być u współczesnych niezmierne, bo sporo do dziś zachowało się opisów jego, zapisków dotyczących szczegółów, druków okolicznościowych, panegiryków, wierszy i wspomnień świadków naocznych. Pośredni udział w uroczystościach brała Polska cała, bo zarówno we Lwowie, jak w Krakowie i Warszawie drukowano dowody tego, z pomocą których właśnie opis niniejszy skreślony. Wedle naocznego świadka uroczystości skreślił opis pogrzebu Eustachy Helleniusz (Iwanowski) w „Wspomnieniach narodowych“ (Paryż 1861), ale podobnie, jak i opis Józefa Karwickiego (Relacya pogrzebu, Kłosy, 1880) jest on tak nieudolny i tyle zawiera pomyłek i nieścisłości, że całkiem nie można go uważać za wystarczający. Bardziej ścisłym, chociaż zanadto suchym i mało uwydatniającym historyczno-kulturalną stronę charakterystycznego dla czasów owych obrzędu pogrzebowego jest opis ceremonii żałobnych, skreślony przez dra M. Maciszewskiego (Brzeżany w czasach Rzeczypospolitej. Brody 1911), na podstawie zapisków archiwalnych, różnych, zdaje się, od użytych przez obu autorów poprzednich. Wszystkie one jednak nawzajem się uzupełniają, a skontrolowane z innemi źródłami współczesnemi, umożliwiły niniejsze, szczegółowe odtworzenie ceremoniału na cześć ostatniego rycerza z rodu Leliwitów. Znakomitem uzupełnieniem okazało się obfite pokłosie druków okolicznościowych, zwłaszcza rzadkich dziś bez wyjątku panegiryków z oficyn lwowskich, krakowskich i warszawskich. Zakon OO. Jezuitów wydał sumptem swym „Ostatni splendor herbownego Leliwy JO. Senatorskiego Sieniawskich Domu...“, tudzież druk p. t. „Vastior orbe cinis in Achille Lechiae, Celsissimo Excellentissimo Domino D. Adamo-Nicolao de Granow Sieniawski... depositus“. Dank to za

ofiarność, o której „Ostatni splendor“ powiada dziwacznym sposobem ówczesnym:

„Dotychczas jeszcze lwowskie kamienie wołają,
W Sieniawskich fundatorskie imiona uznają.
Woła kościół, krzyczą ściany,
Na swoje łaskawe Pany,
Wiecznymi czasami“.

Nie pozostali dłużnymi i OO. Pijarzy. Fundatorce kościoła krakowskiego, dobrodziejce zakonu, dedykowali Pani kasztelanowej przedługie madrygały, złożone z licznych epigrammatów na śmierć kasztelana. Po kolei wywodzą w nich swe żale po stracie hetmana: król, owdowiała małżonka, osierocona córka, „Polska ojcu ojczyzny“, senat, województwo krak., „stan rycerski praw i wolności obrońcy“, wojsko, „dom J. O. Sieniawskich imienia tego ostatniemu“, skolligowane domy, tudzież „kościoły i klasztory swemu fundatorowi i dobrodziejowi“. Stosownie do okoliczności otrzymał druk ten tytuł osobliwy: „Xiężyc J. O. Domu splendorem, senatorskich purpur lustrem, prac hetmańskich światłem pełny, w samej fatalnego zaćmienia lunacyi nieśmiertelną sławą J. O. JMści Pana Adama Mikołaja... Sieniawskiego... jasny. Na wieczną JO. Imieniu rekompensę z ziemi na sferę niebieską wschodzący, przy żalach publicznych od obligowanej Prowincyi polskiej Scholarum Piarum, obserwowany. Roku, przy tak wielkiej Ojczyzny stracie, przybyszowego 1726 w Krakowie w drukarni Jakuba Matyaszkiewicza J. K. M. typografa“ (Folio, kart ulb. 13). Z drukarni „Scholarium Piarum“ wyszedł w Warszawie inny druk współczesny „ab equite Polono, Ant. Ponińskiego — jak Estreicher podaje — napisany, a równie barokowym tytułem opatrzony: „Ingens umbra deficientis in Ploeni-Lunio suo Lelivae...“ (Warszawa 1726, folio, kart ulb. 14).

Zanim chwila przyszła eksportacyi żałobnej i nim zwłoki hetmana miejsca spoczynku wiecznego dotarły, rozleciały się po Polsce całej, jak ptactwo krzykliwe, kartki zadrukowane, w odpisach coraz przeinaczanych, z rąk do rąk podawane. Zapełniły się „silvae rerum“ najkunsztowniejszemi wierszydłami, tem więcej

cenionemi, im trudniej zrozumiałemi były dla swej zawiłości napuszonej. Jeden z takich wierszy, widocznie jednak z odpisu, nie oryginału, podaje Eust. Helleniusz, nie wiedząc, iż wyjęty on z „Ostatniego Splendoru herbownego Leliwy", ale nielitościwie poucinany i dowolnie przerobiony. Nie dziw jednak, że autor uznał za stosowne nawet w takiej formie go przytoczyć, bo czyż nie wart tego apel szczególny:

„Polsko! trwoga, co dla Boga! za imprezę mają".
Armat rykiem, dział okrzykiem powietrze wzruszone.
W arsenale, kute stale, w szelest sprzysiężone;
Kotły biją, spiże wyją, smutne trąby krzyczą.
Tu kartany, huk ulany, tu moździedze ryczą.
Stoją w szyku, w twardym ryku i żelazne płoty,
Tam z Cyklopy, tu z Steropy, Wulkan kuje groty.
Młódź powstaje, plac uznaje, bierze się do broni,
Przerażona, jak szalona, cień, czy siebie goni,
„Mars bułatem, stali bratem, po polach wywija,
Myśl szalona, zajuszona, tęsknicę rozbija.
Utraciłem w Polszcze Sieniawskiego!
Wojsk obronę, dzieł koronę, hetmana wielkiego!
Wieczna strato! płacz Sarmato, straciłeś Hektora,
Fabiusza, Decyusza, Polski protektora!
W tym Adamie, polskie znamie, Aleksandra miałeś,
Sieniawskiego, godniejszego Alcyda uznałeś.
Płacz Polaku, jedynaku! straciłeś zwycięstwa!
Mówię śmiele w tym popiele pochowałeś męstwa,
W tym tu grobie duma sobie Mars polski zgrzebiony,
Że już wszędzie mieć nie będzie z Sieniawskich obrony".
(Ostatni Splendor herbownego Leliwy... Lwów 1726).

Dla urozmaicenia chyba oczekiwania zbyt długiego trudzono się wymysłami podobnymi, bo i czem wytłumaczyćby niedorzeczności, tyle zresztą charakterystyczne dla czasów owych!

„Otomańskiemu płanecie tak rogów przytarł,
Że mu nie zaraz urosły,
Lwa szwedzkiego tak ogniem Bellony przeraził,
Że dotąd przejrzyć nie może" —

ale niemniej pożegnać się musiał z życiem hetman potężny „pobożnością Numa, radami Fabius, dobrocią Nerwa, Emiliusz tryumfami". „Obaliły kolumnę Parki, całego królestwa podporę, węgielny senatu kamień, rad fundament, praw ojczystych twierdzę z gruntu wzruszyły". „Przebóg! niezbyte śmierci procedery wzięły Sieniawskich ozdobę, hetmana z senatu pana".

„Trwoga! w Sarmackiej Koronie!
Już Ojczyzna we łzach tonie
Po kasztelanie,
Wielkim hetmanie,
Sieniawskim!!!

Uciążliwa była droga, pnąca się wciąż pod górę. Najbardziej męczącym okazał się pochód tuż za rogatkami miasta, w stronę ku Winnikom. Trakt gliniański, nadwerężony pierwszymi roztopami wiosennymi, nie łatwym był do przebycia aż po same Przemyślany niemal. Odtąd dopiero gładko wcale spieszono ku Brzeżanom, przerywając kondukt pogrzebowy gdzieniegdzie tylko dla odpoczynku, albo też dla odprawienia modłów z procesyami, co w miejscach kilku naprzeciw wyruszyły. Prędko mimo wszystko stanęli goście żałobni w grodzie Sieniawskich, bo już trzeciego dnia nad wieczorem otwarto im bramy zamkowe, przepuszczając przez opuszczony most zwodzony. Odezwały się na murach trąby i rogi, zawarczał głucho bęben, a wnet za tem rozkołysane dzwony u fary, kościoła ormiańskiego i cerkwi ruskiej. Kilkutysięczna ludność z całą załogą zamkową runęła tłumnie przed dziedziniec, skąd zmierzał pochód żałobny ku świątyni miejskiej, zatrzymując się krótko dla odprawienia modłów, przed kaplicą zamkową. Na twarzach wszystkich nie tyle przebijało się skupienie żałobne, ile zainteresowanie niezwykłością ceremonii, tyle już tygodni niecierpliwie wyczekiwanej. Ciekawość tę podsyciły jeszcze ładunki tajemnicze, zwożone ze Lwowa, a nawet Warszawy, składane następnie w podwórzu zamkowem, do którego nie każdemu wstęp był dozwolony. Z zamku przenosiła je służba dworska do fary, a także do kaplicy zamkowej.

Coraz to nowe wychodziły dyspozycye. Ostrożnie przenieść

polecono sztabowi pachołków całą galeryę portretów rodzinnych z sal zamkowych do kościoła miejskiego i tam pozawieszać je w miejsce zdjętych obrazów kościelnych. Przedtem jeszcze obwieszono ściany fary kirem ponsowym, a z wysokiego rusztowania, umyślnie wzniesionego, zawieszono u sklepienia samego ogromną płytę srebrną z portretem hetmana na koniu, w wielkości naturalnej, wspierając ją na barkach księżyca i gwiazd złocistych, mających prezentować klejnot herbowy ostatniego z Sieniawskich. Z górą dwadzieścia tysięcy świec woskowych zestawiono w świątyni całej tak, że kiedy zaświecić je miano, zabłysnąć miały morzem ogni, splatających się w najkunsztowniejsze postaci allegoryczne z życia i działalności zmarłego; poprzez to wszystko przebijać miały niezliczone wyobrażenia herbu Leliwy, zbratane z klejnotami rodów spokrewnionych. Kiedy zaś nad urzeczywistnieniem konceptów pani kasztelanowej, pani hetmanowej litewskiej i męża jej, p. Denhoffa, pracowały dziesiątki rzemieślników, ze Lwowa sprowadzonych, równocześnie moc cieśli i stolarzy dniami całymi trudziło się nad wzniesieniem pośrodku kościoła istnej budowli kilkupiętrowej. Na stopniach ustawiono po rogach czworoboku kolumny cztery, przy których widniały figury olbrzymie Marsa, Herkulesa, Centaura i Atlasa, z atrybutami Marsa i Bellony. Na tem dopiero wspierała się dalsza kondygnacya tej prawdziwej budowli architektonicznej, na którą z którejkolwiek patrzyłbyś strony, wszędzie widziałbyś herbowy księżyc z gwiazdą. Na rogach półksiężycy wspierała się też trumna, wprawdzie z desek gładkich, ale cudnym obita złotogłowiem. Z obu jej stron spoglądały na wiernych w kościele dwie srebrne figury, przedstawiające prawdziwą podobiznę nieboszczyka hetmana. Na postumencie pod trumną, niejako pod baldachimem grobowym, złożono u stóp ogromnego krucyfiksu złotego insygnia hetmańskie, buławę z buńczukiem, szablą i orderem królewskim. Katafalk zaś cały ozdobiono draperyami z aksamitu karmazynowego, bramowanego obficie galonami szczerozłotymi; całość spinały podobizny księżyców i gwiazd herbowych.

Przygotowania te tyle zabrały czasu i tak długo czekać trzeba było na przyjazd gości zapowiedzianych, iż ledwie w cztery

miesiące po przywiezieniu zwłok ze Lwowa pomyśleć można było o ostatecznem ich pochowaniu. Uroczystość tę podjęto zatem dopiero 28 lipca solennem nabożeństwem żałobnem, celebrowanem przez samego ks. arcybiskupa lwowskiego, w assystencyi sufragana, biskupa chełmskiego, kijowskiego, kamienieckiego, łuckiego, tudzież biskupów unickich, lwowskiego i przemyskiego. Wszystkim im zaś towarzyszyli ich prałaci i kanonicy, otoczeni razem z górą półtora tysiącem księży i zakonników wszystkich reguł i obrządków. Straż honorową pełnili dniem i nocą towarzysze husarscy i pancerni w pełnej zbroi, zmieniając się co czas pewien. Tak samo bez przerwy odśpiewywali zakonnicy różnych konwentów exekwie żałobne, a jedną po drugiej odprawiano msze święte u ołtarzy wszystkich.

Podobnie, jak we Lwowie, tak i tu powstrzymała się wdowa z córką od osobistego udziału w ceremoniach, wymawiając się tym razem żalem wielkim, a odprawiając modły przy mszach bezustannych pod namiotem na folwarku pod Brzeżanami, gdzie na czas ów przeniosły się z zamku. Troskę o wszystko zdały na pana Denhoffa, który gorliwie, ku zadowoleniu wszystkich, pełnił niestrudzenie obowiązki gospodarza, goszcząc przyjezdnych na zamku, kierując przebiegiem ceremonii zawiłych, nie zapominając o niczem. Energię zaś rozwinąć należało nielada, nie chcąc zamieszania wnieść w tysiączne tłumy duchowieństwa, szlachty, wojska, służby i pospólstwa. Godnie przyjąć należało wybór pierwszych senatorów Rzeczypospolitej, pierwszych dam i panien, dygnitarzy koronnych, urzędników ziemskich, przedstawicieli szlachty, generałów, pułkowników i oficerów, żegnających swego wodza naczelnego.

Trzy dni trwały uroczystości kościelne, trzy dni z kolei wypełniła się fara obszerna ludem mnogim, który mimo gorąca lipcowego tłoczył się, by naocznie cuda wszystkie zapowiedziane oglądać. Szczególny zaś widok przedstawiało wnętrze kościoła, zaciemnionego kirem ciężkim, a oświetlonego świec tysiącem. Wchodziło się doń, jak do grobowca podziemnego, ożywionego cieniami tajemniczymi, snującymi się wśród szeptów modlitwy, śpiewów żałobnych i odgłosów muzyki wojskowej. Jak przez mgłę

ciężką połyskiwały światła tysiączne, albowiem od gorąca ogromnego topniejące świece wydawały z oddechem tłumów atmosferę tak gęstą, iż i tchu niejednemu brakło w piersiach. Wszystko to jednak znoszono przez pamięć na zmarłego, a jeszcze więcej może ze względu na widowisko, które uwieńczyć miało wystawność ceremonii, jedynej w swoim rodzaju. Zwłaszcza dnia trzeciego zapanował ruch ogromny na zamku, w mieście i okolicy. Wiadomem było ogólnie, iż zmarły hetman ostatnim był z rodu Sieniawskich, skazanego na wymarcie w linii po mieczu, a zatem wiedziano też, iż zejście to z areny dziejów kraju rodu tyle sławnego i zasłużonego święcone będzie żałobnie ceremoniałem rzadko praktykowanym. I jeśli już nadzwyczajnością było chowanie ostatniego z rodu byle szlachcica, czegóż spodziewać się miano po pogrzebie najmożniejszego w Rzeczypospolitej pana, najwyższego dygnitarza cywilnego i wojskowego!

Uroczystości dnia 29 lipca kulminacyjnym punktem być miały ceremoniału żałobnego, ciągnącego się sześć prawie miesięcy od chwili zgonu hetmana. Sumę żałobną celebrował w dniu tym ks. arcybiskup Skarbek, w assystencyi siedmiu biskupów obu obrządków, w otoczeniu duchowieństwa licznego. Kazanie wygłosił starannie opracowane ks. Jezuita Wolski, sławiąc w niem dostojność rodu i herbu Sieniawskich. Po modłach procesyonalnych, przy śpiewach i muzyce wojskowej w samej świątyni, nadeszła wreszcie tyle oczekiwana chwila, napełniająca drżeniem uczuć niezwykłych wszystkich przytomnych. Na dziedzińcu kościelnym czekały już uformowane oddziały wojskowe, w towarzystwie kapeli swoich. Przed szpalerem wojskowym niecierpliwie grzebały ziemię kopytami rumaki najprzedniejsze w rynsztunku bojowym, powstrzymywane w zapałach przez giermków strojnych. Za łańcuchem wojsk kołysało się morze istne głów ludzkich, chwiejących się w takt trąb, surm i kotłów, tudzież alarmów dzwonowych, sekundujących przeciągłym śpiewom żałobnym duchowieństwa.

Naraz zaległa taka cisza, iż rżenie rumaków hałasem donośnym się zdało — umilkły dzwony, zamarły pieśni, spoczęły surmy i kotły wojenne, a oddech wszystkim jakby zaparło. Od drzwi kościelnych aż ku katafalkowi wyniosłemu rozstąpiły się

tłumy, jak fale spiętrzone, czyniąc bojaźliwie miejsce gościom, w murach świętych niezwykłym. Rozległ się huk straszny, chrzęst i łomot okrutny — z drżeniem bojaźliwem, opanowywanem ciekawością, pobiegły oczy zgromadzonych za zakutym w żelazo rycerzem, co w biegu zapędził się na koniu do świątyni samej, spiął dzielnie rumaka tuż przed trumną samą i skruszył przed nią buławę hetmańską, uderzając nią z siły całej o posadzkę kamienną. Wszyscy poznali odrazu kasztelana kamienieckiego, p. Kalinowskiego, pułkownika husarskiego, jeźdźca znakomitego, o postawie prawdziwie rycerskiej. Siedział na koniu wschodnim, jak wryty, a kierował nim według woli swojej. Kiedy przed katafalkiem samym ściągnął nagle cugle tak, że rumak na nogach zadnich się spiętrzył, przestraszony grzmotem buławy, ciśniętej o ziemię, zwalił się też równocześnie niemal na posadzkę, wyścieloną umyślnie deskami, by tem groźniej spotęgować grom trzasku i łomotu okrutnego. Ciarki przeszły po obecnych, mimowoli cofnięto się o krok w tył, jakby dla uniknięcia uderzenia jakiegoś, a tymczasem pan pułkownik cofał się już truchtem ku wyjściu, dumny z sprawności rumaka swojego, nie przestraszonego ani mnóstwem światła, ani otoczeniem niezwykłem, ani też wreszcie dobrze udanem zwaleniem się z nóg, na znak żalu głębokiego za zmarłym hetmanem. Znanym był wszystkim ze słychu zwyczaj ten starodawny, spodziewano się go z pewnością całą, a nawet dla zobaczenia go, umyślnie się o miejsce w świątyni ubiegano — niemniej jednak sercem przyspieszonem w biciu, oddechem szybszym, wrażliwością całą przyjęto widowisko owe szczególne. Jak widzowie, tak i rycerstwo ubiegało się o zaszczyt spełnienia tej funkcyi żałobnej, odkomenderowywane przez przełożeństwo już naprzód w porządku oznaczonym.

Ledwie czas miał wyjechać z kościoła p. Kalinowski, a już tuż za nim zachrzęściły żelaza p. Gumowskiego, chorążego sanockiego, który z kopią pochyloną dotarł, także na koniu, trumny hetmana, krusząc przed nią swój znak husarski i waląc się też z „srogim i ogromnym trzaskiem“ na ziemię. Przed katafalkiem piętrzyć się począł istny stos broni wszelkiego rodzaju, bo coraz to inny jeździec kruszył z kolei buławę, kopię, chorągiew, buńczuk,

szablę, dzidę, strzały, szpady, sztandar, pikę i t. p. Obowiązek ten żałobny spełnili ponadto: chorąży pancerny, Humnicki, buńczuczny hetmański, Kraiński, towarzysz pancerny, Kumanowski, porucznik pancerny, Borejko, młodszy towarzysz pancerny tegoż nazwiska, tudzież od wojsk cudzoziemskiego autoramentu; generał Granowski, obersztlejtnant Bertrand, obersztlejtnant Krupiński, oraz pułkownik, komendant lwowski, Julian.

Wszyscy oni wyrażali w ten sposób żal wojsk za wodzem swym najwyższym, a w programie było jeszcze skruszenie tarczy herbowej, jako nie mającej już istnieć po zgonie ostatniego przedstawiciela Leliwitów Sieniawskich. Czynność tę symboliczną spełniał zazwyczaj ktoś z krewnych, a więc tym razem wojewoda krakowski, książę Janusz Wiśniowiecki, kolligat zmarłego. Echo poszło po sklepieniach świątyni od gromu, spowodowanego przez ciśnięcie ręką rycerską metalowej tarczy o kamienie posadzki. Herbowny Leliwa przestał istnieć, ś. p. Adam Mikołaj Sieniawski przeniósł się do wieczności. Przy dźwiękach marsza żałobnego kapeli wojskowej wjechał ostatni generał Granowski powoli na koniu przed katafalk, łamiąc imieniem wojsk szpadę. Sprawiło to na obecnych większe jeszcze wrażenie, niż huk i łomot wpadających do kościoła jeźdźców zbrojnych; — wszyscy spoglądali wysoko ku trumnie, czy czasem p. hetman nie przebudzi się, widząc tyle żalu po sobie, słysząc owe grzmoty i chrzęsty, od których szkła w oknach dźwięczały. Spoczywał jednak nieboszczyk spokojnie, bo dość mu już było trudów życia znojnego, a należał mu się wreszcie spoczynek niczem nie zakłócony. To, na co patrzał z wysokości łoża swego śmiertelnego, ostatnim być miało punktem programu żałobnego. Jeszcze dnia tego samego spocząć miał w cichych podziemiach kaplicy, strzeżonej murami zamku obronnego.

Doniosły huk armat rozdarł powietrze, wstrząśnięte zgodną salwą z rusznic dragonii, piechoty i janczarów hetmańskich, kiedy towarzysze husarscy z pancernymi, pełniący straż honorową przy katafalku, przejęli na swe barki trumnę, zdjętą z podwyższenia. Powoli uniesiono ją ku karawanowi wspaniałemu, na który gdy ją złożono, druga odezwała się salwa armatnia. Nim rydwan ruszył, otoczyło go czterdziestu ośmiu dworzan w aksamitnych kapach

ponsowych, lamowanych złotem, dzierżąc w ręku świece jarzące. Przed ostatecznem opuszczeniem kościoła wystąpił jeszcze z mową „polski Hortenzyusz, Jan Jabłonowski, JW. wojewoda ruski, wywodząc „zacne najpierwszych familii z Sieniawskimi kolligacye". (Rękopis Bibl. Narodn. Domu we Lwowie, Nr. 102). Według oznaczonego porządku uformował się pochód olbrzymi, złożony, podobnie jak we Lwowie, z zakonników konwentów wszystkich, duchownych, kroczących dwunastkami, cechów miejskich, oddziałów wojskowych, tudzież włościan z dóbr rozległych zmarłego. Tuż za trumną postępowali krewni, oraz wybór senatorów, panów, urzędników i szlachty. Kondukt cały zamykała piechota wojskowa.

Nie wielką była odległość od fary do kaplicy zamkowej i wnet też znalazł się pochód przed bramą wałową, co oznajmiły znowu armaty zamkowe. Ledwie puszkarze czas mieli nabić po raz czwarty działa i lonty do wystrzału zapalić, już rydwan stanął przed pierwszą bramą. Oddziały wojskowe sformowały się tu w czworobok, a towarzysze husarscy z pancernymi zdjęli z karawanu trumnę i unieśli ją na barkach przez drugą bramę, co znów uświetniła piąta salwa armatnia. Jeźdźcy zeskoczyli z koni, udając się pieszo za trumną do kaplicy, kryjącej w podziemiach groby Sieniawskich. Zanim wniesiono w jej mury zwłoki hetmana, zabrał głos następca jego na kasztelanii krakowskiej, książę Janusz Wiśniowiecki, dzięki składając obecnym za oddanie posługi ostatniej jego poprzednikowi dostojnemu. Wśród śpiewów duchowieństwa, a po odprawieniu przez obecnych modlitwy za umarłych nad ciemną czeluścią rozwartego podziemia w prawej kaplicy bocznej, spuszczono trumnę do grobu, obitego aksamitem czarnym. Na *ultimum vale* rozległa się ostatnia, najpotężniejsza salwa z dział zamkowych, na czem skończyła się ceremonia dnia tego.

Dostojniejsi goście udali się na przyjęcie wspaniałe, zgotowane przez p. St. Denhoffa w salach zamkowych, a resztę wojsk i tłumów raczono obficie na dziedzińcu i w komnatach służebnych. Na dzień następny czekało ich jeszcze spełnienie obowiązku ostatecznego, a stawić się należało ludnie, bo OO. Jezuici, jak we Lwowie ceremonię zainicyowali, tak w Brzeżanach konkludować ją mieli. W kościele farnym odprawił dnia 30 lipca ostatnią sumę

żałobną ks. biskup chełmski, Felix Szaniawski, a do słuchaczy odezwał się kazaniem wspaniałem słynny mowca lwowski, ks. Jezuita Jan Legucki, który następnie kazanie to drukiem ogłosił p. t. „Jaśnie Oświeconego Sieniawskich Leliwy na Sarmackim niebie splendor wieczny... pogrzebowym w Brzeżanach kazaniem... pokazany Roku Pańskiego 1726, dnia 30 lipca". (W drukarni Collegium Lwowskiego Soc. Jesu folio, kart ulb. 14 — przedruk w zbior. wydaniu X. J. Leguckiego: „Kazania na solennych pogrzebach...". Lwów 1750, str. 250—311).

Po rzewnem odezwaniu się do małżonki-wdowy i córki osieroconej „kochania niegdy ojcowskiego jedynaczki", wyraził wymowny kaznodzieja żal za ostatnim Leliwitą. „W pierwszych dotychczas na Sarmackiem niebie i ledwie od najjaśniejszego słońca rozeznanych splendorach... Jaśnie Oświecony Leliwo już wiecznie zapadasz. I jużże... prześwietna Cynthia Twoja, zapalone publicznej... usłudze, na zawsze gasi promienie? I jużże skolligacona z Xiężycem twoim na horyzoncie naszym primae magnitudinis gwiazda, ów publicznego szczęścia Phosphorus, ciemną złoty Wotr na wieki przykrywa żałobą?... Jakoż, nie dobry to dla ciebie prognostyk, wiecznym tak zacnego luminarza zaćmieniem, nie na krótką żałobę przyćmiona Ojczyzno!... Dopieroż a fortiori, kiedy wielkiego hetmana naszego, zasłużonych, wnuka, syna, wodzów popioły, a w nich całego tryumfalnego Sieniawskich Domu patrzemy ruiny, czy wieszczym duchem agnosco infelicitatem Poloniae nie wróżyć, czy nie formować imminentis (uchowaj Boże!) fati praesagia. Jakoż nie wiem, jakich się dni, jakich wieków, po fatalnym na niebie swoim Sieniawskich Leliwy zachodzie, spodziewasz Polsko, jakie ci czasy ostatnie zaćmiony jego obiecuje xiężyc?

„...Za Bolesława Chrobrego wraz i słońce Majestatu pańskiego i ojczysty Leliwitów na niebie polskiem zajaśniał xiężyc... ...na sarmackim niebie pierwej jeszcze xiężyc, niż ukoronowane adorowano słońce... tak się w senatorskie przybierali paludamenta, że im nie ciężko było pro exigentia temporis w żelazne je przemienić kirysie... Żadnej nie znalazłbym expedycyi, w którejby Sieniawskich Leliwy ojczysta luna nie była... commilitans. Wszak na samej wołoskiej expedycyi Mikołaj Sieniawski, Hetman W. K.

dwóch braci swoich, Alexandra, podkomorzego na ten czas halickiego, którego murum et antemurale ruskich krajów zwano i Prokopa, marszałka po tym W. Kor., nadto czterech synów, Hieronyma, Mikołaja, Rafała i Jana, z których dwaj pierwsi buławy potym koronne piastowali, to jest cały na ten czas dom Sieniawskich z licznemi pocztami... wyprowadził. ...W domu Sieniawskich synowie po ojcach buławy jak dziedzictwem brali... piątą JO. Pan ten w sukcesyi brał buławę... Nie zapadnie z tym Panem mało co nie najjaśniejszy Leliwa jego, nie zgaśnie z nim JO. Sieniawskich imię, lubo się w ostatnim domu tego śmierć usadziła... Dla JO. Imści pana Adama Sieniawskiego... zasług nigdy na sarmackim niebie prześwietny Leliwa gasnąć i zapadać nie może. Póki Polska trwać będzie, póty Sieniawskich imię dla wielkich ostatniego domu tego kasztelana krak., Hetmana W. K. zasług wiekować powinno".

Spełniły się słowa znakomitego mowcy, ale w części jeno. — Nie zapomniano imienia z Sieniawskich ostatniego dziś po 250-ciu latach od urodzenia jego, a 190-ciu od śmierci, ale nikt nie potrafiłby wskazać miejsca, gdzie z takim przepychem pochowane resztki dziś się przechowują. Najpewniej zrzucono je na kupę razem z innemi, dobytemi kiedyś z zrujnowanych podziemi mausoleum rodzinnego. Sławy jednak imienia nikt zniszczyć nie potrafił.

B. Janusz.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa polskiego.

Socyologia wojny. Mieczysław Szerer. Kraków, 1916. Nakładem księgarni S. A. Krzyżanowskiego, str. 79.

Temat nadzwyczaj ponętny i ważny. — O jakiej atoli wojnie chce autor mówić? O obecnej? Wszak jeszcze nie stoimy u jej kresu, jakżeż więc można prawdziwie ocenić jej społeczne wpływy? — Autor uprzedza we wstępie tę trudność. Przyznaje, że wskutek dalszego trwania wojny, pojawią się jeszcze nowe jej społeczne problemy; przypuszcza, że kiedyś krytyka „skontroluje" rezultaty jego badań i może niejedno odrzuci, jako sąd zanadto podmiotowy, przyczem kierować się będzie też tylko subjektywizmem, bo, jak autor zaznacza, „zupełnej przedmiotowości nie można się spodziewać po nikim" (2).

Do pracy skłoniło autora przekonanie, że wojna najlepiej sprzyja badaniom społecznym, gdyż tego rodzaju przewroty są tem dla socyologa, czem eksperyment dla przyrodnika.

Jakżeż więc wojna wpływa na społeczeństwo? Kwestyą jedną z pierwszych w socyologii jest stosunek społeczeństwa do jednostki i na odwrót. Utrzymanie tego stosunku w równowadze stanowi o rozwoju danego społeczeństwa i szczęściu jednostek. W obecnej wojnie, wskutek tego, że walczą w niej dosłownie całości społeczne przeciw całościom społecznym, „napięcie żądań społeczności wobec jednostek dochodzi do maximum" (33). Z tego faktu mógłby ktoś wnosić, że wojna pozostawia wpływ ujemny. Dzieje się jednak przeciwnie. Właśnie „wskutek rzucenia przez wstrząśnienia wojenne na kartę także ściśle osobistych interesów jednostki... jednostka może zachować świadomość, że walczy o s w o j ą sprawę życiową... I tą świadomością może ratować swój indywidualizm przed zalewem masowości" (35).

Wobec tego wszystkie żale, jakoby wojna stała w sprzeczności z tendencyami indywidualistycznemi, są nieuzasadnione, bo wojna, równie jak cała dzisiejsza kultura, prowadzi jednostki do szczęścia „drogą okólną" przez dobrobyt społeczny. Choćby zresztą ktoś utrzymywał, że dziś jednostka za dużo łoży na rzecz społeczności, musi zarazem przyznać, że „nie brak czynników, które działają wyprostowująco na jednostkę, przygarbioną ciężarem zakresu społecznego" (39). Dowodem tego są względy dla żołnierzy, idących w pole, dla rannych, dbałość o pocztę polową i t. d.

Nadto wojna daje każdej jednostce sposobność do „eksfoliacyi" swych właściwości. Każdy na wojnie urasta, każdy czuje się, że „nie może być zastąpiony, że ubytek k a ż d e g o wyrywa lukę w szeregach" (40), każdy zyskuje misyę obrony dziedzictwa i znajduje sposobność do najdoskonalszego „wyżycia się" przez tworzenie czynów dla społeczności.

Są przytem jeszcze inne korzyści wojny. Oto entuzyazm, ogarniający z początkiem wojny wszystkich, nawet jej przeciwników, naprowadził autora do odkrycia, że przyczyną tego entuzyazmu jest przedmiotowe „nabrzmienie wspólnoty społecznej" i, co ważniejsze, wzbogacenie świadomości tej wspólnoty, która jest cechą istotną, odróżniającą człowieka od Boga i zwierzęcia.

Wprawdzie w dalszym biegu wojny przygasa często ten entuzyazm, zdławiony czasem, „zjadającym własne płody", mimo to wojna skutecznie zespala jednostki do pracy narodowej, a to przecież jest warunkiem bytu i rozwoju narodu.

Wskutek zaś tego zwarcia się jednostek i zamknięcia się społeczeństwa, szybciej i doskonalej odbywa się jego indywidualizacya. Wojna następnie, przez swój rygor i siłę jest wychowawczynią warstw, skądinąd najmniej skłonnych do uległości.

Twierdzi dalej autor, w przeciwieństwie do Kanta i wielu dzisiejszych polityków, że obecna wojna nie wprowadzi jeszcze ludzkości na drogę wieczystego pokoju, zato widocznie wywiera dodatni wpływ na społeczeństwa, podniecając i rozwijając ich siły zbiorowe. — Tej kwestyi poświęca autor osobny rozdział.

Właśnie dlatego, że wojna dosięga wszystkich warstw, wszystkie pobudza do pracy w danej chwili, przytem „poddaje zbiorowości egzaminowi", jak wyzyskały miniony czas, — atoli przegrana jakiegoś społeczeństwa jeszcze nie świadczy o niezdolności tegoż do życia — nadaje wreszcie rozpęd do twórczej i trwałej pracy na przyszłość. Wi-

dzimy to poniekąd i na naszym narodzie i to dodaje znowu otuchy, „że nie tylko fuimus Troes, ale że i wrota przyszłości są przed nami otwarte“ (72).

Każdy z czytelników przyzna, że momenty, uchwycone przez autora, są niepośledniej wartości. Podkreślenie zwłaszcza zespołu, jaki wytwarza wojna, zaznaczenie doniosłości ofiar jednostki na rzecz ogółu, z częstemi przytem alluzyami do naszego narodu, jest ze strony autora przysługą obywatelską, mając na względzie „hyperindywidualizm“, który podobno i dziś nami powoduje. — Szkoda, że autor swych bystrych i oryginalnych spostrzeżeń nie ujął w równie jasną i przystępną formę, że ulega skłonności budowania długich, przyciężkich okresów. Przykłady podaliśmy w streszczeniu. Również ze szkodą dla języka posługuje się autor takiemi wyrażeniami, jak: „komponenta“, „perpetuować“, „adekwatność“, „ferować wyrok“ i t. p. Przecież dzięki Bogu, nie brak nam równie dobrych polskich słów na odnośne pojęcia.

Trzeba jeszcze podnieść, że autor bardzo głęboko stara się uzasadnić każde swoje twierdzenie. Mimo to można się o niejedno spierać. I tak, wątpimy, czy dzisiejszą wojnę w stosunku do nas można choćby zdaleka przyrównać do naukowego doświadczenia. Przecież eksperyment, jeśli ma być pożyteczny dla nauki, suponuje przedewszystkiem znajomość warunków i przyczyn, w których się odbywa, nam zaś, stojącym w wirze wojny, zdala od głównych jej sprężyn, najbardziej chyba tego brak.

Może też nie każdy zechce się pisać na twierdzenia i dowody autora, tyczące korzyści, jakie odnosi indywiduum z obecnej wojny, mimo odpowiedzi, jaką autor daje na wątpliwości pod tym względem, że „wojna, a długa wojna, to nieraz dwa w swych objawach dość odległe zjawiska“ (74).

Mógłby też ktoś zarzucić autorowi, że zanadto różowo przedstawia skutki wojny. Lecz na to odpowiada słusznie, „że ujemne są tak wyraźnie widoczne...., że nauka nie może nic dodać do tego, co człowiek sam stwierdza“ (77). Mniej zato słusznie pozostawia sąd, czego więcej, szkód, czy korzyści, samym tylko filozofom. Naszem zdaniem i socyolog ma w tej kwestyi słowo.

Również za dużo przypisuje autor społecznej skłonności człowieka, uważając ją niejako za istotę, nie zaś za właściwość natury ludzkiej.

Trudno się też zgodzić na subjektywizm, którym autor chce

usprawiedliwić ewentualne pomyłki w ocenie faktów. Ale takie stanowisko wynika z systemu Kanta, którym się autor przejął.

Ale to drobnostka. Fatalniej zato odbiło się owo hołdownictwo Kantowi na pierwszym rozdziale pod tytułem: „Zagadnienia etyczne wojny". W streszczeniu pominęliśmy ten rozdział całkowicie dlatego, że bez niego można doskonale ocenić socyologię wojny tak, jak ją autor przedstawia powtóre i dlatego, iż autor w cytowanym rozdziale zajmuje stanowisko zupełnie błędne, niezgodne z pojęciami katolickiemi, owszem z samą filozofią moralną.

Na okaz wystarczy przytoczyć parę poglądów. „Wiadomo, twierdzi autor na str. 5., że nie rozstrzygnięto dotąd bezapelacyjnie sporu, czem jest etyka". Natomiast nieco niżej głosi autor, „że życie społeczne jest w świecie ludzkim b e z w z g l ę d n ą w a r t o ś c i ą; w nim tylko i przez nie rozwija się królestwo człowieka na ziemi". Ale autor daje definicyę moralności ze stanowiska socyologa: „...nacisk czysto wewnętrzny, oparty o świadomość powinności, której nie można rozdedukować bez reszty, a którą można pojąć tylko jako atawistycznie przekazany i umocniony wytwór, którym trwałe wymogi życia społecznego odciskają się na naturze ludzkiej... — to moralność..." (6—7). Racyą życia moralnego jest, według autora, jakowyś wewnętrzny „gniot", nie ustający nigdy ani na chwilę (str. 12), zatem nic innego, jak kategoryczny imperatyw Kanta. Moralność indywidualna a moralność publiczna (państwa), to „dwie różne płaszczyzny działań, na których tak zewnętrzne zachowanie się człowieka, jak i jego wewnętrzny habitus, podlegają różnym normom" (11).

Błędy rażące, wykazywane i zbijane po tylekroć przez katolickich moralistów. Wystarczy tedy z naszej strony zwrócić na nie uwagę, przyczem żądnych prawdy odsyłamy do katolickich podręczników filozofii moralnej. Dodajemy wszelakoż raz jeszcze, że błędy te w żaden sposób nie ujawniają się w dalszych częściach rozprawki.

Romuald Moskała T. J.

Dr. F e l i k s K o n e c z n y. **Tadeusz Kościuszko.** Na setną rocznicę zgonu naczelnika. Życie — czyny — duch. Wielkopolska księgarnia nakładowa Karola Rzepeckiego w Poznaniu 1917, str. 388, 4°.

W stuletnią rocznicę szlachetnego bohatera i obrońcy honoru polskiego daje nam Dr. Koneczny popularną syntezę badań nad ży-

ciem T. Kościuszki, głównie na podstawie biografii Korzona i najnowszej literatury o Kościuszce. Autor, wybitny znawca dziejów polskich, któremu najlepsze podręczniki do historyi polskiej zawdzięczamy, potrafi, jak mało kto, pisać temata historyczne popularnie. — Podaje nie tylko konterfekt swego bohatera możliwie dokładnie i żywo, ale uwypukla go na tle stosunków współczesnych i najważniejszych zagadnień z dziejów polskich. — Dlatego praca niniejsza zajmie zarówno specyalistów, jak szeroką publiczność, która z niej nie tylko się wiele dowie z życia, czynów i zasług Kościuszki, ale zaznajomi się z najważniejszemi zagadnieniami dziejów polskich, nauczy się oceniać należycie najdonioślejsze wypadki z życia dawnej Polski i jej agonii politycznej.

Niesłychanie interesującym jest np. proces polszczenia się szlachty litewsko-ruskiej, genetycznie przedstawiony na rodzie Kościuszków. Nie mniej ciekawy jest proces ubożenia społeczeństwa polskiego w XVII. i XVIII. wieku, spowodowany chronicznemi przesileniami ekonomicznemi wskutek zamieszek wojennych.

Szczególnie dla dorastającej młodzieży życiorys Kościuszki ma nieocenioną wartość, o ile autor chce i umie wyzyskać szlachetne rysy z życia bohatera dla poruszenia uczuć i zachęcenia woli czytelnika (zob. str. 50, 65, 102, 142; 145, 148, 202, 334 i t. d.). Pedagogicum fabula docet na każdej niemal stronicy rozbrzmiewa, jak echo gry Wojskiego i wychowawczo i uszlachetniająco działać musi na młodocianych zwłaszcza czytelników. — Nie tylko młodzież znajdzie w życiorysie obrok duchowny. Rozstrój polskiego państwa, a i społeczeństwa w XVIII. wieku traci u Dra Konecznego na tle analogicznych stosunków w reszcie Europy na swej grozie. Nie było w Polsce gorzej, niż gdzieindziej w Europie (str. 100). Myśmy starali się zaraz poprawić, skorośmy dostrzegli oznakę upadku państwa. W samem pokoleniu sejmu niemego w r. 1717 zaczęły się prace około reformy. Tylko na naprawę wrogów naszych czekamy napróżno (str. 36). Twierdzenie autora, że odrodzenie narodu między 1774 a 1791 było zupełnem i że tylko Katarzyna je wstrzymała, jest stanowczo zbyt hazardowe i optymistyczne. A skąd tyle głupców znalazła i pozyskała Targowica i Katarzyna?, można się zapytać — mimo to jednak słusznie autor odpowiedzialność za zbrodnię rozbiorów składa na mocarstwa rozbiorowe, na zachłanność Katarzyny, dwulicową grę Prus i ciasnotę polityczną Austryi.

Historya jest mistrzynią życia. I dziś jeszcze racyę przyznać trzeba francuskim politykom z czasów rozbiorów Polski, którzy Polakom mówili: „Francya za was nikomu wojny wydawać nie będzie

i tylko wspólny interes z jedną potencyą z 3 dzielących zbawić Polskę może". (List Kniaziewicza do Kościuszki z 14 sierpnia 1799). Jak wielce zaś aktualne są dziś np. targi o legiony (str. 364—5 i 367) i ta z trzech stron wskrzeszana Polska (str. 374) w czasie wojen napoleońskich! Jak trafne są i dla dzisiejszej naszej polityki słowa autora, że każda sprawa, nawet zła, stoi ludźmi dobrej woli, że nieszczęścia publiczne nie tyle pochodzą ze zdrady, przekupstwa, egoizmu, lecz ile z tego, że ludzie poważni działają źle, swoim przykładem coraz to innych uczestników zła pociągając? Któż, na dzisiejsze stosunki galicyjsko-polskie patrząc, nie przyzna racyi autorowi, że „źródłem nieszczęść publicznych była i jest nieznajomość spraw publicznych, że pozbyć się z życia publicznego ludzi nieuczciwych nie trudna rzecz, trudniej natomiast pozbyć się dobrych, ale... głupich". Nieszczęściem dla nas, zarówno w czasach Kościuszki, jak i w obecnych, są ludzie, k t ó r z y w e d l e w ł a s n e g o m n i e m a n i a n a w s z y s t k i e m s i ę z n a j ą. Lekceważenie zdania fachowców, to największa klątwa polskiego życia w przeszłości, jak i teraźniejszości.

Książka Dr. Konecznego, która te kwestye porusza, a żywot Kościuszki, jako zwierciadło poczciwego żywota, narodowi w chwili właśnie obecnej przedstawia, jest nie tylko dziełem dobrem, ale dobrym, patryotycznym czynem.

Dr. K. Krotoski.

Kazimierz Brodziński; życie i dzieła. Część pierwsza (1791—1821), napisał B r o n i s ł a w G u b r y n o w i c z. Lwów 1917. Nakładem Gubrynowicza i syna. 8-ka duża; kt. nlb. 2, str. VII., 397, kt. nlb. 1, z 5 rycinami i 4 facsimiliami.

W porównaniu z ożywionym ruchem z lat ostatnich w dziedzinie historyczno-literackiej, badania naukowe nad życiem i dziełami autora „Wiesława" posuwały się stosunkowo bardzo powoli. Istniało wprawdzie kilka prac poważnych i sumiennych, ale one nie wyczerpywały bynajmniej materyału, ani też nie dawały takich wyników, na podstawie których można było przystąpić do syntezy. Brakiem podstawowym, utrudniającym niezmiernie studya, było to, iż do chwili obecnej nie istnieje wydanie krytyczne pism Brodzińskiego i szereg dzieł kryje się dotychczas w rękopisach. Jedyna monografia o Brodzińskim, obejmująca całokształt twórczości, pióra K. Arabażyna, była nie tylko oparta przeważnie na znanych materyałach, lecz niedostępna dla szer-

szego koła historyków literatury z powodu nieznajomości języka rosyjskiego, w jakim została ogłoszona.

Lukę w tej mierze postanowił wypełnić prof. Gubrynowicz, który od szeregu lat drukował w pismach peryodycznych drobne przyczynki do biografii Brodzińskiego. Szereg nie drukowanych nigdzie do tej pory materyałów dopomógł mu do znakomitego uzupełnienia dotychczasowych braków w życiorysie, a zarazem spowodował, że opowieść o życiu Brodzińskiego traktowana jest w omawianem dziele nieco szerzej, niżby nią była, gdyby nie miała przynosić nowych szczegółów. Oprócz tego długi poczet nieznanych lub nie wydanych wierszy, znalezionych przez prof. Gubrynowicza w bibliotekach warszawskich, przyczynił się do skreślenia pełniejszej charakterystyki poety. Wobec tego zaś, że wśród tej nieznanej spuścizny znalazły się utwory o większej wartości literackiej, zasługujące nawet na ogłoszenie w całości, podał je prof. Gubrynowicz na kartach swego dzieła w streszczeniach lub wyjątkach. Trzecią zaletę pracy omawianej stanowi to, że uwzględnione w niej zostało obszerniej tło historyczne i literackie, traktowane dość pobieżnie przez poprzednich biografów.

Na podstawie tak sumiennych i pracowitych studyów powstało dzieło, którego tom pierwszy ukazał się właśnie ze znacznem opóźnieniem, spowodowanem przez wypadki wojenne. W barwnej opowieści rozsnuwa przed czytelnikiem biograf uczony dzieje dni dziecięcych Brodzińskiego pod strzechą ojcowską, lat szkolnych w Tarnowie, służby żołnierskiej 1809—1813 r., tułaczki bezdomnej, zajęć i twórczości na bruku warszawskim. Osobny rozdział poświęcony został wolnomularstwu Brodzińskiego, w osobnym omówiono działalność poety w teatrze, w dziennikarstwie i w szkole i dopiero rozdział ósmy rozpatruje wyczerpująco plon literacki i naukowy Brodzińskiego z lat 1814—1821.

Właśnie w r. 1821 wyszedł był w Warszawie wybór pism Brodzińskiego tylko, jakkolwiek poeta posiadał w swojej tece bogaty materyał, którym mógłby był wypełnić o wiele więcej, niż dwa tomiki. Wystarczy wspomnieć, iż wśród utworów drukowanych nie ukazały się w tem wydaniu bajki, pieśni do mszy św. i drobne anakreontyki, rozrzucone po czasopismach, że nie weszły do niego wiersze, z których urywki były zamieszczone w rozprawie Elsnera „O metryczności i rytmiczności", że zostały wreszcie pominięte artykuły literackie. Wydanie to bowiem miało przynieść wybór rzeczy najlepszych, starannie poprawionych. Było to bowiem zwyczajem poety jak najskrupulatniej

swoje utwory korygować, a nawet przerabiać kilka razy. Po porównaniu edycyi pierwszej z pierwodrukami, doszedł prof. Gubrynowicz do tego rezultatu, że w tomie pierwszym niema waryantów, tylko w sześciu wierszach. Przeważna część tych poprawek miała swoje źródło w niezwykłej dbałości o czystość języka polskiego. Brodziński tępił starannie gallicyzmy i germanizmy, z których pierwsze zachwaszczały podówczas literaturę polską. Autografy Brodzińskiego świadczą, iż musiał zwalczać wiele trudności, zanim wiersz napisał. Dobór stosownego epitetu nie zawsze łatwo mu przychodził, również obrazy i porównania nie odrazu stawały na pierwsze wezwanie. Drogę, którą musiała przebiedz myśl poety, zanim przyoblekła się w godowe szaty słowne, porównać można do faz przy przeobrażaniu się gąsienicy w motyla barwnego.

Z pośród utworów Brodzińskiego najsilniej przemawiają poezye, w których drga żywe i porywające uczucie patryotyczne. „Legionista“ lub „Pole Raszyńskie“ odznaczają się pięknością pomysłu i stanowią łącznik między tem, co dźwięczało w „Mazurku Dąbrowskiego“ i co później znów przyniosły „Pieśni Janusza“. Na czoło swoich poezyi wysunął Brodziński „Legionistę“, zakończył zaś tytułem „Do Boga“. Była w tym układzie pewna myśl głębsza: po przedstawieniu miłości ojczyzny następowało wynurzenie uczuć dla Stwórcy wszechświata. Brodziński kornie chyli przed Nim głowę, uznaje w Nim ojca, lecz nie śmie zapuszczać wzroku w tajemnice jego potęgi. Tom pierwszy dzieła prof. Gubrynowicza kończy się rozbiorem „Wiesława“, który jest najpełniejszym wyrazem w rozwoju twórczości poetyckiej Brodzińskiego.

Nareszcie prekursor romantyzmu polskiego otrzymał biografię, na jaką zasługiwał. Z dzieła omówionego wychyla się ku nam postać Brodzińskiego, jak żywa, a tak naturalna, że większej wierności w jej odtworzeniu niepodobna wymagać od biografa, ożywiającego własnem tchnieniem wiadomości, zaczerpnięte z pożółkłych od starości rękopisów. Szkoda tylko, że na tom drugi, którego druk jest już w toku, będziemy musieli nieco dłużej poczekać. Tem większa zasługa prof. Gubrynowicza, że pomimo trudności, spowodowanych erą wojenną, potrafił je zwyciężyć, a nadto wyposażył dzieło swoje nie tylko w facsimilia autografów Brodzińskiego z rozmaitych czasów, ale też w ryciny, których dobór jest równie staranny, jak ich wykonanie.

Dr. Stan. Zdziarski.

Bystroń Jan Stanisław. **Zwyczaje żniwiarskie w Polsce.** Kraków 1916. Nakładem Akademii Umiejętności. Skład główny w księgarni G. Gebethnera i Sp. 8-ka; str. XV., 293, kt. nlb. 1. — **Słowiańskie obrzędy rodzinne; obrzędy związane z narodzeniem dziecka.** Kraków 1916. Akad. Umiejętn. Nakładem funduszu Wł. Spasowicza. 8-ka; kt. nlb. 2, str. 148.

Równocześnie z p. Malinowskim, który wstępnym bojem, pierwszą książką, zdobył sobie miejsce poważne w szeregu szczupłym badaczy folkloru, otrzymała etnografia nasza drugą, nadzwyczaj cenną siłę, o rezultatach prac której godzi się pomówić obszerniej, zarówno ze względu na ich znaczenie w naszym dorobku narodowym, jak nie mniej ze względu na młodego autora, rokującego świetne nadzieje na przyszłość.

Sumienność bowiem jego w zgromadzeniu materyału została posunięta tak daleko, że nie zadowolił się możliwie najstaranniejszem wyzyskaniem prac drukowanych i rękopiśmiennych ze spuścizny po ś. p. Karłowiczu i Łopacińskim, lecz uzyskał nadto wiele materyału, zupełnie nowego, osobiście wśród znajomych, lub za ich pośrednictwem. Na przesłany im rodzaj dość szczegółowego kwestyonaryusza, o kilkunastu pytaniach, otrzymał autor 55, przeważnie bardzo dokładnych, opisów zwyczajów żniwiarskich z różnych stron historycznego terytoryum Polski, które przedstawiają materyał bardzo cenny i bogaty.

Zaczyna autor rzecz swoją demonami zbożowymi, które lud zwie południcami. Są one przedstawiane: 1) w postaci człowieczej, czasami pół człowieczej, pół zwierzęcej; 2) przedstawiane są konkretnie, t. j. na miejscu nieokreślonego najzupełniej „demona zbożowego", noszącego nazwę zwierzęcą, występują tu postacie, dokładnie określone; 3) nie są przywiązane do zboża, lecz widuje się je w różnych miejscach; 4) wreszcie występują w okolicznościach, określonych w miejscu i czasie. Podczas gdy np. wilka zbożowego nikt nie widział, nimfa taka *okazuje się o takiej a takiej porze, w tem lub innem miejscu.* Wilkiem zbożowym straszy się dzieci, ale nikt nie mówi, że wilk taki rzeczywiście dziecko kiedy porwał. Żytnie baby i południce, wraz z całym orszakiem analogicznych postaci w demonologii całej Europy nie są straszakiem dla dzieci, ale są rzeczywistym postrachem ludności.

Z drugiej strony nimfy te nie są czemś jednostkowo określonem. Każde pole, każdy las ma swoją nimfę; mogą one występować w kilku miejscach naraz, a jeśli w jednem miejscu przypisują południcy kilka szkód, czy złośliwości, to nie stosuje się to do jednej i tej samej, okre-

słonej południcy, gdyż wogóle w ten sposób nie określa się ich. Wyobrażenia te są jeszcze bardzo bliskie fenomenów przyrody, które uzmysławiają; powstają one i znikają, jak szum drzewa, powiew wiatru lub falowanie zboża. Mamy tu demonologię, ale nie mamy jeszcze mitologii.

Typów zasadniczych takich demonów, — jak okazuje się ze skrupulatnych badań p. Bystronia — istnieje cztery: 1) wegetacyjny, 2) atmosferyczny, 3) daemon meridianus, 4) demon wymieniający dzieci. Każdy demon powstaje mniej więcej drogą kombinacyi kilku typów ze sobą. I co najważniejsze? Autorowi udało się w zupełności zaprzeczyć dotychczas rozpowszechnianym poglądom Mannhardta i Frazera i stwierdzić, że nie można mówić o istnieniu specyalnych demonów zbożowych, które byłyby wyłącznie do zboża przywiązane i które byłyby przedmiotem kultów żniwiarskich.

Podkreśliwszy wyraźnie, iż obrzędy żniwiarskie nie są bynajmniej spowodowane kultem późniejszych personifikacyi demonów zbożowych, rozpatruje autor szereg praktyk, mających na celu pomyślne dokończenie sprzętu, wywody zaś swoje opiera na nader pracowicie przeprowadzonym materyale porównawczym.

Potrzeba konkretnego wyobrażenia i przedstawienia sobie „ducha zboża", który ma liczne nazwy, ale któremu nie mniej brak absolutnie cech specyficznych, oprócz tej, że żyje w zbożu, że jest właściwie zbożem i że w czasie żniw jest w ostatnich kłosach, czyli nawet ściślej jest tymi właśnie ostatnimi kłosami, powoduje potrzebę upostaciowania go w sposób wyraźny. Oczywiście, internacya ta zboża musi być żywa, w istocie ludzkiej lub zwierzęcej.

Mówi się przecież i śpiewa w pieśniach o zbożu, jako o czemś żywem, wykonującem pewne czynności. Punktów etycznych dostarczają w tym wypadku nazwy ostatnich kłosów, czyli ostatniego snopa, najczęściej zwierzęce lub ludzkie. Autor bierze zrazu pod rozwagę inkarnacyę zwierzęcą. Od nazw, używanych na oznaczenie ostatnich kłosów, jak np. wilka, kozy, zająca, przepiórki, koguta, niedaleko do wyobrażenia, że zwierzęta te żyją rzeczywiście w zbożu, że mają z niem pewien, bliżej zresztą nieokreślony związek i stąd też mówi się często, że wilk biega w zbożu. Jeżeli przytem przy ścinaniu ostatnich kłosów rzeczywiście wybiegnie z ostatniego swego schronienia np. przepiórka, towarzyszy jej wielki wrzask żniwiarzy. Dalszym rozwojem tych pojęć będzie, jeśli żniwiarze przynoszą z sobą wprost jakie zwierzę, aby je następnie zabić w polu, w ostatnich kłosach, usprawiedliwiając w ten sposób nazwę. Oczywiście, ofiary takie musiały ograniczać się tylko

do pewnego rodzaju zwierząt: zwierząt dzikich nie można było oczywiście mieć pod ręką, zwierząt domowych większych było szkoda, rolę więc tę spełniało ptactwo domowe, a przedewszystkiem odwieczny ofiarnik wszystkich obrzędów — kogut.

Podobnie, jak oprócz ścięcia ostatnich kłosów, czyli ich zabicia, jest jeszcze właściwa ceremonia dożynek, t. j. niesienia kłosów do gospodarza, tak oprócz zabijania i spożywania zwierzęcych inkarnacyi, niesie się oprócz wianka zwierzęta.

Ludzką inkarnacyą zboża będzie znowu zwyczaj ozdabiania wieńców dożynkowych w lalki, wyobrażające postacie ludzkie.

Z kolei przechodzimy z autorem do dożynek, które zostały rozpatrzone bardzo drobiazgowo, oraz do wieńca dożynkowego, co to jest „niebywałym gościem", który raz tylko na rok przychodzi w gościnę. Są to rzeczy zbyt specyalne, z tego też powodu poprzestajemy na zaznaczeniu ich samem tylko w naszem sprawozdaniu.

W rozdziale ostatnim zajmuje się autor szczegółowem rozpatrzeniem pieśni dożynkowych polskich, mało- i białoruskich, poczem daje szereg długi dodatków, mających za przedmiot: podwójny kłos, zwyczaj wiązania obcych w polu, tańczenie na urodzaj, przenoszenie symbolu żniw do sąsiadów, zwyczaj obsypywania się owsem w dzień św. Szczepana, wyzwalania kosiarza, sprowadzania deszczu, zawiązywania kilku kłosów w polu, celem zaszkodzenia właścicielowi pola, co zdarza się powszechnie na Rusi, rzucania sierpem, bójek obrzędowych, których celem, żeby siano dobrze urosło, wreszcie tłoki, żeby nie wymieniać rzeczy podrzędnych.

Z tego pobieżnego przeglądu treści okazuje się już, iż autor objął bardzo rozległe horyzonty i wyświetlił sporo kwestyi, które dotąd były nierozwiązane. To też prawdziwie przykro podpisanemu, że wobec ogromnych zalet książki omówionej, musi wytknąć szereg błędów w transkrypcyi wyrazów małoruskich, żeby dla przykładu tylko przytoczyć ze str. 50: „pele", „stele", „opele", „roztele" (aż dwa błędy w jednem słowie, bo powinno być: „rozstele"!), lub na str. 211: „podpiraty" (winno być: „podpyraty"), „wikupy" (winno być: „wykupy"), wreszcie błędy w nomenklaturze miejscowości na str. VI., gdzie figuruje: „Fałstaług", a winno być „Foustoług", „Głęboczek wielki", ma być „Hłuboczek wielki", „Płatycz" winno być „Płotycz", „Iwaszów górny" zamiast „Iwaczów górny". Nie są to — niestety! — błędy korektorskie, a już wcale nie na miejscu są one w wydawnictwie akademickiem. Jeśli je wytykamy, czynimy to bynajmniej nie z chęci zrzę-

dzenia, lecz jedynie powodowani tem, iż te błędy podkreślą nasi „bracia“ Rusini i wydmą do rozmiarów nowej „krzywdy“, jaka ich spotkała ze strony „Lachów“.

Oryentacyę w książce p. Bystronia ułatwia znakomicie obszerny i pracowicie ułożony indeks rzeczowy, jak nie mniej wykaz miejscowości oraz literatury przedmiotu.

Z nie do uwierzenia wielką przykrością musimy wyznać, iż niepodobna z równemi pochwałami wyrazić się o drugiej książce p. Bystronia. Zarzutem głównym, jaki musi ją spotkać, — jest nadzwyczajna pobieżność w traktowaniu obrzędów, związanych z narodzeniem dziecka. W porównaniu z poprzednią pracą — wyznaje sam autor w przedmowie — nierównie słabiej przedstawia się materyał polski. Zdecydowałem się zaś wykończyć obecną pracę, nie czekając powrotu normalnych stosunków, względnie nastania normalniejszych, gdyż planem moim jest szybkie przestudyowanie polskich zwyczajów i obrzędów i stworzenie pewnej całości, na której dopiero będzie można budować trwale. Stosunki wojenne uniemożliwiły również obfitsze uwzględnienie literatury, zwłaszcza obcej“ (str. 5—6). Otóż właśnie pośpiech, niczem nie usprawiedliwiony, zaszkodził ogromnie książce p. Bystronia, którą raczej należałoby uważać za częściowy zbiór materyałów, daleki od kompletności. Toć przecież nie uwzględniono tutaj kapitalnej pracy Sartori'ego „Totenglauben“, w której znalazłby się niejeden szczegół, przydatny w opracowaniu tego właśnie tematu, oraz małoruskiej pracy dra Zenona Kuzieli, wydanej przed laty kilkunastu przez lwowskie Tow. im. Szewczenki, bez której badacz słowiański nie może wogóle przystąpić do pisania o obrzędach, związanych z narodzeniem dziecka. Niekonsekwencyą jest wreszcie — co się tyczy źródeł — powoływanie się na Plessa, skoro się go w przedmowie do książki odsądziło od wszelkiej wartości.

Gdyby też bodaj ten fragmentaryczny materyał został był wyzyskany należycie! Cóż? — kiedy autor, „ograniczając się wyłącznie do badań socyologicznych, usunął ze swojej pracy dziedzinę przesądów, wierzeń i praktyk lekarskich, o ile rozróżnienie to dało się przeprowadzić“ (str. 4). Cała sztuka właśnie w przeprowadzeniu rzeczowego rozróżnienia, co nie należy bynajmniej do łatwych zadań. Otóż sprawa z tem rozróżnieniem nie powiodła się, a skutkiem tego zostało odsunięte i wyłączone z badań to właśnie, co należy do „przesądów, wierzeń i praktyk lekarskich“.

Braki tej pracy czuł najlepiej zresztą sam autor, wyznając pod koniec przedmowy, iż „nie bez pewnej obawy przedstawia niniejszą rozprawę“ (str. 6). To też żałować wypada, iż nie było nikogo, ktoby był chciał go „przed przedwczesnem wydaniem pracy ostrzedz“. Po p. Bystroniu bowiem mamy już prawo żądać, iżby dawał *„non multum, sed multa!“*

Dla ścisłości informacyjnej dodamy, że „Słowiańskie obrzędy rodzinne“ dzielą się na dwie części. W pierwszej jest mowa o izolacyi kobiety w czasie menstruacyi, ciąży i połogu, w drugiej o przyjęciu dziecka do związku społecznego.

W dodatkach do książki poruszył autor fragmentarycznie cały szereg kwestyi, stojących w związku mniej lub więcej ścisłym z tematem pracy właściwej, a zatem między innemi: wiarę w szczęśliwe i nieszczęśliwe dni wodzenia, proszenie w kumy pierwszych spotkanych po drodze, przesądy co do imion, trzymanie do chrztu dzieci nieprawych, podawanie dziecka przez okno, przesądy, związane z karmieniem dziecka, zakaz patrzenia w zwierciadło, znaczenie koloru czerwonego, celem obrony od uroków dziecka i położnicy, obsypywanie ziarnem matki i dziecięcia.

Dr. Stan. Zdziarski.

Gołębiowski Jan. **Nauka rysunków w najnowszej dobie; podręcznik dla nauczycieli.** Lwów 1917. Nakładem Księgarni nauczycielskiej. 8-ka mn., str. 47 i 1 nlb.

Nowy sposób w rysunku zdobywa sobie już i w naszej szkole ludowej zwolna coraz szersze pole. Idzie to zwolną i nierówno, bo różne składają się na to przyczyny. Brak jeszcze u nas normy co do zakresu i sposobu udzielania nauki rysunków, a stąd też brak odpowiednio przysposobionych sił nauczycielskich. Niema też podręczników ani publikacyi fachowych, te zaś, jakie są, nie docierają jeszcze do dalszych zakątków naszego kraju. Nawet jedyny u nas, fachowo redagowany kwartalnik p. n. „Kształt i barwa“, bogaty w treść i formę, nie wszędzie znany jest w naszych szkołach i to nie tylko wiejskich.

Nowy kierunek rysunku w naszych szkołach ludowych przedziera się tak zwolna dlatego, bo jest niesłychanie wielka różnica pomiędzy dawnym a dzisiejszym sposobem, i to zarówno co do istoty, jak formy, metody, a nawet samego znaczenia i ogólnego celu tego przedmiotu. Istotą rysunku było dotąd jednakowe dla wszystkich na-

śladowanie (wzory). Dziś stanowi ją twórczość myśli dziecięcej, myśli samodzielnej, nieskrępowanej.

Dawny rysunek, jako cel dla siebie — był zawsze odświętny, wymuskany. Dziś jest on drogą do celów ogólnych, ma szatę codzienną, skromną, ze śladami rzetelnej i celowej pracy. Tak bardzo odmienny kierunek spotkał się z niedowierzaniem, przebierającem nieraz zwyczajną miarę. Wobec tego okazała się potrzeba teoryi, któraby stanowiła mniej strome przejście z dotychczasowego kierunku w nowy.

Punkt zasadniczy wyjścia autora jest następujący: Już najmniejsze dzieci utrwalają chętnie ruchy ręki jakimkolwiek przyborem piszącym, kreśląc niezrozumiałe węzły poplątanych linii. W miarę rozwoju dziecka zaczynają z tych splotów wyzierać postaci, przypominające otoczenie dziecka. Dzieci bowiem rysują, co czują lub widzą i tak, jak czują lub widzą. Małym dzieciom rysowanie to sprawia przyjemność, której przyczyną jest naturalny popęd do wypowiedzenia się. Rysunek jest mową dziecka — i to mową prawdy. Wyszedłszy z takiego założenia, przedstawia autor, jak rysunki rozwijają ogólnie i jak wielkie jest ich znaczenie w życiu praktycznem. Wykazawszy, iż nauka rysunków wychowuje dziecko w dwojakim kierunku: idealnie, kształcąc najcenniejsze władze duchowe — i realnie, rozwijając wszelaką pożyteczną zręczność, w dalszem zaś życiu człowieka stanowią przedmiot powszechnego zapotrzebowania i nie mogą być nikomu obce, — przechodzi autor do rysunku z wyobrażenia, a dalej do rysunku z natury i rysunku z własnej fantazyi, wreszcie do modelowania i kończy rzecz swoją wzmianką drobną o rysunku geometrycznym przy pomocy narzędzi.

Ubolewać należy, iż obecne wyjątkowe warunki nie pozwoliły autorowi na umieszczenie w jego książeczce liczniejszych ilustracyj, pochodzących od dzieci w wieku od lat 5 do 12. Ale i tych parę, jakie zamieszczono dla przykładu, mówi wiele.

Zet.

Po naszemu. Pamiętnik liturgisty. Wydał ks. Piotr Mańkowski. Kraków. Gebethner i Sp., 1917, str. 280.

Piśmiennictwo polskie posiada gruntowne dzieła z zakresu liturgiki. Dość wspomnieć wielotomową, jeszcze nie ukończoną, pracę ks. biskupa Nowowiejskiego „Wykład liturgii Kościoła katolickiego“, tegoż autora „Ceremoniał parafialny“ i szereg drobniejszych dziełek.

Podczas gdy te i im podobne prace innych autorów omawiają swój przedmiot pozytywnie, ucząc, jak według litery prawa i w myśl Kościoła ma być sprawowaną służba Boża, autor świeżo wydanej książki zabiera się do przedmiotu raczej z drugiej strony, negatywnej, podpatrując i wytykając różne nieprawidłowości w funkcyach liturgicznych, urządzeniach kościołów i t. d., jakie się przekradały w naszych polskich dyecezyach i jakie dadzą się streścić w tem charakterystycznem „Po naszemu", w którem wielu widzi usprawiedliwienie swych uchyleń od norm prawno-liturgicznych.

Żeby katalog błędów i naleciałości w liturgii, urządzeniu kościołów etc. nie był zbyt nużącym, autor wybrał lżejszą formę dyalogu, który toczy się między profesorem liturgiki, a paru kapłanami i paru świeckiemi osobami; dzięki temu książka, choć przepełniona mnóstwem drobnych szczegółów, nie nudzi, owszem, zajmuje znającego choć trochę liturgii czytelnika. Dobór osób w dyalogu jest zupełnie naturalny i odpowiadający faktycznemu stanowi rzeczy. Przedstawicielem konserwatyzmu w rzeczach liturgicznych, a raczej obrońcą *status quo* jest starszy wiejski proboszcz; w imieniu prawa liturgicznego przemawia, jak się spodziewać należało, profesor liturgiki, młodszy wiekiem, bo zwykle młodsi kapłani tego przedmiotu uczą. Nie ubliża to chyba proboszczowi, że fachowiec, choć młodszy, więcej od niego w tej dziedzinie umie.

Przeczytanie atoli tej książki pozostawia uczucie pewnego niesmaku. Ale nie autor temu winien. Rodzi się ono na widok nagromadzonych tylu braków i niedoskonałości, jakiemi szpeci się piękność naszych obrzędów kościelnych. — Gdyby autor traktował swój przedmiot pozytywnie, albo opisywał c a ł k o w i c i e obrzędy takie, jakiemi one są u nas, obraz ten nie byłby tak czarny, boć przeważna część szczegółów, z jakich całość służby Bożej się składa, nawet u nas nie dałby powodu do krytyki. Autor jednak, stosownie do swego celu, omawia tylko te detale, którym ma coś do zarzucenia, wskutek czego otrzymuje się to właśnie nieprzyjemne wrażenie. Ten szczególny cel autora trzeba mieć na oku, by nie uledz złudzeniu, że autor w s z y s t k o gani, zwłaszcza wszystko, co nasze, polskie. Że tak nie jest, widać dowodnie ze str. 266—267, gdzie profesor liturgiki tak mówi: „Nie jestem owym wandalem, co barbarzyńską ręką pragnie roztrącać, burzyć, niszczyć wszystko, na co składały się wieki, deptać, co swojskie, piękne, ukochane. Wszak rozumiem doskonale, że mogą istnieć i istnieją zwyczaje chwalebne, uświęcone, żadnemu prawu nie przeciwne —

pocóż je usuwać? Czy podobna — że sięgnę po przykłady z dziedziny śpiewów kościelnych — zarzucić coś naszym suplikacyom, tak pięknym co do treści i co do melodyi? Cóż piękniejszego nad nasze kolendy, gdy śpiewane są zgodnie i we właściwej porze? Jakże miłe i rzewne nasze „Gorzkie Żale", gdy je lud śpiewa z życiem, nie przeciągając zbytnio i nie przekręcając melodyi? Cóż bardziej raduje serca, jak nasze pieśni tryumfu i wesela, kiedy na procesyi Bożego Ciała zagrzmią z tysiąca piersi słowa „Twoja cześć, chwała"; lub podczas resurekcyi tysiąc głosów zawoła i wszem dokoła obwieści, iż „Wesoły nam dziś dzień nastał"!

Za przedmiot krytyki autor wziął przeważnie szczegóły, na jakie sam patrzał po naszych kościołach, lub o jakich słyszał z ust wiarygodnych. Jego wyrobiony liturgiczny i estetyczny smak przy gorącej miłości ku Kościołowi i jego prawom i przepisom zniewoliły go do zabrania głosu i wytknięcia świadomie czy nieświadomie popełnianych błędów. Czytając książkę, niekiedy trudno się oprzeć wrażeniu, że w dziedzinie liturgicznej jakbyśmy stanęli w cichej, ale wytrwałej opozycyi względem wielu przepisów Stolicy świętej, posuwając tę opozycyę aż do zamykania oczu i uszu, by ich nie czytać i o nich nie słyszeć. Może to wrażenie przesadne, — a jeśli tak, jeśli winą jest przeważnie nieświadomość, to książka autora, zwracająca uwagę na te niedopatrzenia, winna liczyć na tem większą wdzięczność czytających. Niekiedy autorowi wyrywają się z pod pióra gorzkie, ale trafne uwagi. Omawiając kwestyę śpiewu podczas Mszy św., autor zauważa: „jest w tem doprawdy coś znamiennego: niech sobie ludzie śpiewają w kościele, co tylko ślina na język przyniesie, niech nie śpiewają wcale, niech sobie nawet gramofon zamiast śpiewu nakręcają — wszystko raczej ujdzie, na wszystko pozwolić można, byle nie na odśpiewanie Mszy według woli i przepisów Kościoła" (str. 89). Ta uwaga, jak autorowi samemu zapewne dobrze wiadomo, nie odnosi się bynajmniej do całej Polski, tylko przedewszystkiem do dyecezyj galicyjskich. Szkoda, że autor nie zaznaczył tego postępu, który w ostatnich latach pod względem śpiewu kościelnego dokonał się w wielu naszych dyecezyach, np. w Królestwie i na Litwie. Takie uznanie tego, co już zrobiono na tem polu, osłabiłoby zarzut i może służyłoby za zachętę do dalszej akcyi w tym kierunku.

Wiele nadużyć liturgicznych zwykło się osłaniać powagą zwyczaju, albo Rytuału piotrkowskiego. Autor więc przypomina, jakich to warunków potrzeba, by zwyczaj jakiś, samowolnie zaprowadzony,

mógł uzyskać powagę prawną; w wielu razach brak jej zupełny, zwłaszcza, jeżeli Stolica święta dany zwyczaj piętnuje, jako nadużycie i nakazuje go usunąć. Co do synodu piotrkowskiego, to zwykle ukrywają się zań, jak za parawan, nawet w rzeczach, o których żadnemu synodowi się nie śniło. Gdzie na przykład w dekretach synodów piotrkowskich lub w rytuale piotrkowskim jest upoważnienie do śpiewów w języku ludowym podczas uroczystej Mszy św.?

Trafia się, że jakiś zwyczaj liturgiczny uzyskał sankcyę prawną, nawet aprobatę (raczej tolerancyę) Stolicy świętej, mimo to mniej odpowiada duchowi liturgii kościelnej. Autor dobrze te rzeczy rozróżnia, np. z okazyi omawiania „Grobów" wielkopiątkowych i resurekcyi, albo celebrowania Mszy z wystawieniem Najśw. Sakramentu. W tych i tym podobnych razach trudno już atakować istniejące praktyki ze stanowiska prawa, można jednak wyrazić swój sąd ze stanowiska... logiki. Co za logika w dalszej adoracyi Najśw. Sakramentu w grobie po Mszy wielkanocnej, odprawionej rano w Wielką Sobotę? Te uwagi zapewne już nie usuną rzeczy, które są przez Kościół tolerowane, może atoli będą pewną przestrogą, by w twórczości liturgicznej na przyszłość więcej liczono się z duchem obrzędów, z logiką i sensem i nie wprowadzano sprzeczności i rozdźwięków w tem, co powinno stanowić harmonijną całość.

Rozróżniając tak kwestyę prawną od względów czysto liturgicznych, czy estetycznych, autor dość się zabezpiecza przed zarzutem, jakoby wszystko, co niezgodne z praktyką rzymską, musiało być u nas natychmiast usunięte. „Krytyka wreszcie niektórych zwyczajów z punktu widzenia nie prawa, lecz liturgiki, poza ramy zwykłych, akademickich wywodów nie sięga, jeśli może być mowa o praktycznych wnioskach i ich zastosowaniu, to może w dalekiej przyszłości, lecz prawdopodobnie nie na razie" (str. 267). Ostatnie słowa są zarazem komentarzem do zachęty, byśmy sami, poznawszy błędy liturgiczne, z błędnej drogi zawrócili, nie czekając, aż nas za kark wezmą i przemocą poprowadzą (str. 266). Z zestawienia tych dwóch ustępów wynika, że autor sam spostrzega, iż reforma niektórych nieprawidłowości liturgicznych przechodzi możność poszczególnych księży i musi czekać na inicyatywę z góry. Nikt znowu, z drugiej strony, nie zaprzeczy, że istnieje wiele błędów w zakresie zwłaszcza drobniejszych rubryk, które każdy może sam usunąć, jak sam je wprowadził. To zresztą zaleca się czynić na każdych rekolekcyach kapłańskich, przypominając rubryki Mszy św. i innych obrzędów. Dobrze autor zrobił, że zacytował konstytucyę

Apostolską z r. 1908, w sprawie promulgacyi praw kościelnych, bo na tym punkcie najczęściej słyszeć się dają fałszywe zapatrywania, upozorowane dbałością o powagę biskupów.

Pozwolę sobie odstąpić nieco od autora w pewnych kwestyach. Weźmy nasze „Nieszpory". Zgadzam się, że takie, jak je najczęściej po parafiach naszych odprawiamy, trudno nazwać liturgicznymi nieszporami. Chętnie również przyznaję, że to mieszanie okruchów prawdziwych nieszporów z rozmaitymi „quodlibetami", jakie lud naprzemian śpiewa, ani liturgicznej, ani estetycznej całości nie stanowi. Przekonany wreszcie jestem z autorem, że przy dobrej woli dałoby się przeprowadzić prawdziwe nieszpory. W wielu naszych dyecezyach innych nieszporów, jak łacińskie, niema wcale; mimo to lud z kościołów nie ucieka, jak to zwykle się tak powtarza w obronie „nieszporów polskich". Jednak nie sądzę, by takie nieszpory, jakie mamy np. w Galicyi, musiały być potępione z punktu widzenia p r a w n e g o, z konsekwencyą zupełnego ich ugrupowania. Poprostu tam, gdzie niema obowiązku odprawiania nieszporów, można, prawnie rzecz biorąc, urządzić coś do nich podobnego, więc śpiewanie tych, czy innych pieśni, a więc i psalmów, po polsku, z dodatkiem jakiejś liturgicznej modlitwy. I sądzę, wbrew autorowi (str. 111), że i kapłan może w nich przewodniczyć w szatach liturgicznych, jak właśnie przewodniczy „Gorzkim Żalom" i innym nie ściśle liturgicznym nabożeństwom.

Co się tyczy wygłaszania mów pogrzebowych przez osoby świeckie, czy koniecznie duchowieństwo ma przed takiemi mowami odejść z cmentarza (str. 133) ? Dość chyba, że taka mowa wygłoszoną będzie po ukończeniu kościelnego ceremoniału pogrzebowego; żadne prawo nie zabrania księżom słuchać przemów świeckich ludzi.

Nie podoba mi się rada autora (str. 177), by „Tantum ergo" dla uratowania prawa organista śpiewał po łacinie, podczas gdy lud śpiewa po polsku. Raczej byłbym za tem, aby w tym wypadku, jak i w analogicznych innych, postarano się, dla usunięcia wszelkich prawnych trudności, o należne potwierdzenie śpiewu ludowego, oczywiście w dobrym przekładzie. (Autorowi można właśnie powinszować, że jego próbki przekładu odznaczają się prostotą, powagą i wiernością).

Możnaby jeszcze w kilku drobiazgach przeciw zacytowanym przez autora dekretom przytoczyć przeciwne orzeczenia, można w tym lub innym szczególe nie zgodzić się z jego „akademickimi" wywodami. Nie obniża to jednak ogólnej wartości książki. Życząc jej tedy jak najlepszego przyjęcia w tych sferach, dla których jest przeznaczoną,

wyrażamy zarazem nadzieję, iż przyczyni się ona do usunięcie niejednego liturgicznego nadużycia, że niejednemu czytelnikowi z pośród kapłanów udzieli tego zmysłu liturgicznego i tej miłości obrzędów świętych, jakiemi sam autor jest natchniony. Reszty, da Pan Bóg, dokona może kiedyś jakaś zbiorowa akcya władz dyecezyalnych naszego kraju. Oby to stało się na jakimś nowym „synodzie piotrkowskim“ i oby stało się jak najprędzej!

Ks. Jan Urban.

Przysięga antymodernistyczna. Ks. Dr. Czesław Sokołowski. Warszawa 1916. Stron 210 + XXX.

Przepisana przez Piusa X. papieża przysięga przeciw błędom modernistów wywołała, jak wiadomo, w kołach protestanckich, liberalnych i modernistycznych burzę zarzutów i napaści. Po raz niewiadomo który oskarżano Kościół z okazyi owej przysięgi, że krępuje wszelką swobodę myśli, chciano nawet wyzyskać wrzawę z powodu aktu Piusa X. do politycznych celów. Obok tego w samym obozie katolickim przysięga antymodernistyczna wywołała literaturę całą: określać poczęto jej dogmatyczną powagę i stosunek do poprzednio wydanych w sprawie modernizmu orzeczeń Stolicy świętej.

Syntezą wszystkiego, co w tej kwestyi za granicą i u nas napisano, jest praca ks. Dra Sokołowskiego, prof. w seminaryum warszawskiem. Oparte na rozległej literaturze, której spis, podany w dodatku, studyum niniejsze w części pierwszej broni tezy, że przysięga, przepisana przez Piusa X., ma wszystkie znamiona orzeczenia nieomylnego, ex cathedra, czem autor zbija zdanie Benedyktyna O. Bauxa, który takiego znamienia przysiędze odmawia, jak również zarzuty modernistów i modernizujących pisarzy. Walnym dowodem dla autora służy analogia przysięgi antymodernistycznej do wielu znanych z historyi, a przepisywanych przez Kościół wyznań wiary, o których dogmatycznej powadze nikt nie wątpi.

W części drugiej omówiona została powaga naukowa przysięgi, w formie przeważnie polemiki przeciwko zarzutom, napaściom i wykrętom modernistów. W drugim i ostatnim paragrafie tej części pracy autor rozwinął pozytywnie zasady Kościoła, dotyczące stosunku wiary do wolnego badania, przyczem uwypukla zasługi Kościoła dla rozumu i badań naukowych. Śmiem wątpić tylko, czy na str. 161 udało się autorowi przekonać czytelnika, że katolicy w badaniach na-

ukowych „mają o wiele większą swobodę ruchów“, niż protestanccy uczeni; w każdym razie dobrem jest polemiczne wyzyskanie przez autora tych przyrzeczeń, jakie profesorowie protestanckich fakultetów teologicznych składają na prawowierność protestancką i w których pono nie upatrują pogwałcenia zasady wolności badania.

Zgadzając się z autorem co do treści, wolałbym w formie znaleźć mniej polemicznego zacięcia. Niepotrzebnie też, mojem zdaniem, autor szafuje wielkiemi literami i pewną napuszystością w tytułowaniu różnych autorów. Poza tem studyum ks. Dra Sokołowskiego jest ważnym nabytkiem w naszej literaturze teologicznej ostatnich czasów, tem bardziej godnem podkreślenia, że autor dokonał tej żmudnej pracy w chwili, kiedy pod Warszawą, gdzie pisał ją, grały armaty.

Ks. Jan Urban T. J.

Ks. Józef Winkowski. **Egzorty do uczniów szkół średnich. Kraków**, Gebethner i Sp. 1917. 8°. Str. IV. + 331.

O tym tomie egzort dla młodzieży szkół średnich można bez przesady powiedzieć, że prawdziwie, a nie liczbowo tylko, wzbogacił ubogą dosyć literaturę naszą w odnośnej dziedzinie. Tak pod względem treści, jak i wzniosłej formy odznacza się dzieło Ks. Winkowskiego wysokiemi zaletami. Wszystkie niemal egzorty tchną ideą przewodnią, której czcigodny autor poświęcił pierwszą z rzędu egzortę: „Dla Boga i Ojczyzny“. Te zaś ideały religijno-narodowego wychowania młodzieży zlewają się w tych egzortach w jedną, nierozerwalną całość, ucząc praktycznej miłości Boga przez pracę nad sobą i bliźnimi, oraz rozumnej i ofiarnej miłości Ojczyzny, opartej na jedynie trwałej i niewzruszonej podstawie religijnego obowiązku. Co autor podaje tu młodzieży, to nie morały, oblane „sosem patryotycznym“, lecz zdrowe i jędrne zasady życiowe, płynące z oświeconego wiedzą i wiarą serca, a tchnące twórczem ciepłem, jakie tylko szczera miłość młodzieży i narodu dać może. Te egzorty — zdaje nam się — od serca muszą trafić do serca, muszą przekonywać zarazem i zagrzewać do czynu. Naturalne i nadnaturalne środki kształcenia charakteru zespalają się w nich harmonijnie i w roztropnem umiarkowaniu, tak, że nie można tu dopatrzyć się najmniejszego lekceważenia pierwszych lub przeceniania drugich. Zdrowa to asceza, którą posługuje się czcigodny autor w urabianiu młodocianych serc, aby je zachęcić i zaprawić do pracy nad sobą, do kształcenia woli, sumienia i uczuć na modłę najwznioślejszego wzoru,

jakim jest Chrystus. Kładąc nacisk na wyrobienie osobiste, nie traci nigdy z oczu tak ważnych cnót społecznych, czy to odnoszą się one do społeczeństwa religijnego, jakiem jest Kościół św., czy do społeczeństwa wogóle i własnego narodu w szczególności. Spotykamy więc tematy praktyczne: „o egoiźmie, o względzie ludzkim, o zazdrości, o poszanowaniu godności ludzkiej, o darowaniu uraz, o gorliwości o zbawienie bliźnich, o miłości Kościoła św., o miłości Ojczyzny, o czci Świętych polskich“ i t. p.

W egzortach przejawia się wszędzie, obok wielkiego oczytania się autora i poczucia estetyki mowy, szczera pobożność i serdeczność, znajomość psychiki młodzieńczej i praktyczne doświadczenie. Zamykające książkę „Rady na wakacye“, skupiają w sobie wzmiankowane zalety całej książki. Nie potrzeba chyba dodawać, że „mutatis mutandis“ znajdzie się w egzortach Ks. Winkowskiego także dużo znakomitego materyału do egzort dla młodzieży szkół ludowych i wogóle do kazań dla wiernych. Zdaje mi się, że autor byłby powołany do ułożenia znakomitego „Vade mecum“ dla młodzieży na drogę życia.

Ks. Ernest Matzel T. J.

Cuda i łaski Matki Boskiej Tuchowskiej w XVII. i XVIII. wieku. Zebrał O. Władysław Szołdrski C. SS. R. Kraków 1917, in 8°, str. 171, z 18 rycinami.

Miasteczko Tuchów, o dwie mile na południowy wschód od Tarnowa leżące, choć żadnem ważniejszem zdarzeniem nie zapisało się w historyi Polski, jednak jest ono dość znane, a dawniej było znanem o wiele więcej, nie tylko w bliższej i dalszej okolicy, lecz i w bardziej odległych częściach naszego kraju. W końcu bowiem XVI. wieku obraz Najśw. Panny, znajdujący się w kościele, zbudowanym pod wezwaniem Matki Boskiej, na Suchowskiem przedmieściu, poza rzeką Białą, zasłynął cudami. Liczne tysiące pielgrzymów poczęły się garnąć do Tuchowa, należącego niegdyś do krakowskiej dyecezyi, szczególniej od czasu, kiedy ks. biskup Tomasz Oborski, sufragan krakowski, dnia 27 czerwca 1642 wspomniany obraz za cudowny uznał.

Już w ciągu XVII. i XVIII. wieku liczne przy tym obrazie pobożni wierni odbierali łaski, jak świadczy o tem szereg cudów i łask, spisanych przez OO. Benedyktynów tynieckich i wydanych w Krakowie. Pisali o tym obrazie: O. Marcin Melaniusz 1648. po polsku; O. Stanisław Szczygielski 1661. i 1695. i O. Benigny Buchowski 1718. po

łacinie. Te jednak książki, nie każdemu przystępne, dziś już do rzadkości bibliograficznych należą. Dobrze więc przysłużył się literaturze ascetycznej O. Władysław Szołdrski ze Zgromadzenia OO. Redemptorystów, pod których opieką obraz Matki Boskiej pozostaje w Tuchowie, zebraniem i zestawieniem cudów i łask z ubiegłych wieków. O poczytności tej książki świadczy wymownie fakt, że z pomiędzy 5.000 wydanych egzemplarzy, w ciągu dwóch tygodni 4 tysiące egzemplarzy w Tuchowie zakupili pobożni pielgrzymi. Cyfra zanotowanych cudów i łask w książce O. Szołdrskiego, jakie w ciągu XVII. i XVIII. wieku otrzymały osoby z różnych stanów w Polsce, dochodzi do 320, ale wymienieni powyżej pisarze benedyktyńscy podają ich nierównie więcej.

Co się zaś tyczy samychże cudów i łask, w pracy tej podanych, to stosownie do dekretów Stolicy św. słusznie zaznaczył autor, iż nie są one potwierdzone nieomylnym wyrokiem Kościoła. Ich historyczna wartość jest taka, jaką była wiarogodność tych, którzy je podawali i zapisywali.

Najprzewielebniejszy Ks. Biskup Leon Wałęga dnia 2 października 1904. ukoronował uroczyście cudowny obraz w Tuchowie.

Ks. Jan Sygański T. J.

O. Władysław Szołdrski C. SS. R. **Święty Władysław, Król Węgierski.** Kraków 1917. in 8°, str. 132, z 13 rycinami.

Lat 822 dobiega od zgonu św. Władysława, a choć za życia ścisłe węzły łączyły go z Polską, choć krew Piastów miał w żyłach swoich i tysiące Polaków i Polek ma go za swego świętego patrona, życie jego prawie wcale nie jest u nas znanem. Dobrze się więc stało, że O. Szołdrski ze Zgromadzenia OO. Redemptorystów zabrał się do napisania jego. Na 9 rozdziałów podzielił autor całą swą pracę, której główna treść tak się przedstawia. Po śmierci św. Stefana († 1038) Bela I. w czasie zamieszek wewnętrznych, panujących na Węgrzech, musiał uciekać z ojczystego kraju i znalazł gościnny przytułek na dworze polskim Kazimierza Odnowiciela, razem z braćmi swoimi, Andrzejem i Lewentą w r. 1043. Książęta tułacze, pomni na obowiązek wdzięczności za udzielone sobie schronienie, wspierali Kazimierza Odnowiciela w wojnach, jakie ten toczył z wrogami. Szczególniej Bela I. zaskarbił sobie osobliwsze względy u władcy polskiego, w nagrodę zaś za okazaną waleczność podczas wojny polsko-pomorskiej otrzymał rękę siostry Kazimierza, a córki Mieczysława II. Imienia jej właściwego nie

znamy, imię bowiem Ryksy, jak chcą niektórzy, nie ma podstawy w historycznych źródłach.

Pierwszemi dziećmi z tego małżeństwa, które w Polsce światło dzienne ujrzały, byli Gejza i Władysław, urodzony około r. 1046. Młody książę, wychowany przez matkę Polkę i ojca, przychylnie usposobionego dla Polski, przywiązał się gorąco do naszego kraju i stał się, jakby rodowitym Polakiem z życia swego i obyczajów. Skoro się na Węgrzech uciszyło nieco i stosunki miejscowe wzięły pomyślniejszy obrót, wezwano Andrzeja na tron Arpadów. Zaprosił on brata Belę I. do siebie wraz z żoną i maleńkimi synami: Gejzą i Władysławem w r. 1048. A pragnąc go jeszcze bardziej, jako dzielnego wojownika, dla swej sprawy pozyskać, oddał mu tytułem lenna niektóre komitaty, graniczące z Czechami, Rusią i Polską. Niedługo jednak Bela I. utrzymał się na Węgrzech, widząc bowiem, iż z powodu podejrzliwości królewskiej brata Andrzeja nie małe niebezpieczeństwo zagraża jemu i jego rodzinie, wysłał do Polski żonę wraz z dziećmi w r. 1059. Tak więc św. Władysław ponownie stanął na ziemi polskiej, tym razem już nie na dworze Kazimierza Odnowiciela, lecz jego syna, Bolesława Śmiałego. Nie na tem koniec. Gdy w sierpniu 1063. panowie niemieccy, zebrani w Moguncyi, postanowili uderzyć na Węgry i osadzić Salomona na węgierskim tronie, wtedy Gejza, opuszczony od swoich, uciekł wraz z bratem Władysławem znowu do Polski.

Nie myślę wspominać szczegółowo o dalszych wypadkach na Węgrzech. Krótko więc rzecz załatwię. Gejza, odniósłszy zwycięstwo nad Salomonem, ogłosił się królem. Ukoronowany w Białogrodzie 1074, niedługo jednak panował, już bowiem 25 kwietnia 1077 życia dokonał. Nadeszła chwila, w której św. Władysław miał stanąć na świeczniku Węgier i blaskiem swojej cnoty i swych zdolności przyrodzonych kraj ten opromienić. Ile zaś zdziałał dla dobra Kościoła i Węgier, jak tam gorliwie rozkrzewiał chrześcijaństwo, jak zakładał stolice biskupie i opactwa benedyktyńskie, jak mądre nadawał prawa, jak walczył z Kumanami i Pieczyngami, jak wreszcie 29 lipca 1095 świątobliwie życie zakończył, o tem z opowiadania O. Szołdrskiego, skreślonego źródłowo [1]), stylem jasnym i potoczystym, więcej dowiedzieć się można.

Kult św. Władysława istnieje nie tylko na Węgrzech, w Wa-

[1]) Głównem źródłem jest znakomite dzieło Juliusza Paulera: „A magyar nemzet története az Arpádházi királyok alatt. Budapest 1899. Prócz tego przytoczone są rozmaite inne źródła w języku węgierskim, niemieckim, łacińskim i polskim na właściwych miejscach.

radynie, gdzie jego święte spoczywają zwłoki, lecz także po innych krajach. Wyrazem tej czci jest katedra wileńska pod wezwaniem św. Stanisława biskupa i św. Władysława; wspaniała kaplica św. Stefana, Emeryka i Władysława przy katedrze w Akwisgranie; kościoły św. Władysława w Bohusławiu, Kargowie, Kunowie, Subotnikach, w Szydłowie i Iłży; przepiękne relikwiarze w kościołach katedralnych w Raab, Zagrzebiu, Ostrzychomiu i Wielkim Waradynie; prócz tego obraz Świętego w królewskim stroju na Jasnej Górze w Częstochowie, obraz większych rozmiarów w kaplicy kościoła na Bielanach pod Krakowem, przedstawia kanonizacyę św. Władysława i jest dziełem malarza Tomasza Dolabelli, którego Zygmunt III. sprowadził z Wenecyi do Polski; jego pomnik w Wielkim Waradynie, a wreszcie postać świętego w zbroi rycerskiej na koniu, według sztychu w dziele Pawła z Krosna: Panegyrici ad divum Ladislaum w Wiedniu 1509. Wszystkie te wizerunki są ładnie wykonane, zajmują umysł i wabią do czytania. Takie wrażenie odniosłem przy czytaniu tej niewielkiej rozmiarem, ale bardzo cennej pod względem treści i formy książki. Ważny to przyczynek do naszej hagiograficznej literatury. Dobra strawa dla umysłu i serca.

Ks. Jan Sygański T. J.

Z piśmiennictw obcych.

Dr A. Sanda, **Synopsis theologiae dogmaticae specialis,** vol. I., Friburgi Brisgoviae 1916. Str. XVIII — 384, in 8°.

Jest to I. tom podręcznika dogmatyki szczegółowej. Obejmuje traktaty: De Deo uno, de Deo trino, de Deo creante, de gratia habituali, de virtutibus infusis, de gratia actuali. Autor już w tym tomie mówi o łasce i cnotach wlanych, bo jak pisze w przedmowie: „Jasne pojęcie łaski koniecznem jest dla początkujących, by mogli zrozumieć to, co będzie w II. tomie powiedziane o grzechu pierworodnym i o Słowie wcielonem". Odstępuje tedy autor od układu w innych dogmatach spotykanego, w których de Verbo incarnato idzie przed traktatem de Gratia, a de peccato originali bywa traktowane przy de Deo Creante. Ale mniej-

rza o to, gdzie poszczególne traktaty bywają umieszczane, byle tylko były dobrze napisane.

Sądzimy, iż nowy podręcznik ma wiele zalet. Przedewszystkiem jest w nim obfitość materyałów. Nie tylko kwestye główne, ale i drugo i trzeciorzędne są poruszone i jak na podręcznik wcale wyczerpująco i grutownie. Autor każdą poruszoną kwestyę rozwiązuje w krótkich słowach, ale dobrze ujmujących istotę rzeczy. Ze względu na tę obfitość materyału i gruntowne wniknięcie w sedno rzeczy podręcznik może nie małe usługi oddać wykładającym ten przedmiot profesorom. Dalszą zaletą podręcznika jest objaśnienie tekstów Pisma św. i wskazanie w nich na siłę dowodową. Tego często w podręcznikach brakuje, dlatego teksty nawet dobrze dobrane nie wywołują wrażenia dowodowego, zwłaszcza u początkujących alumnów. Także, zdaniem naszem, należy autorowi za zasługę poczytać zestawienie chronologiczne przy kwestyach główniejszych cytatów Ojców Kościoła, bardzo umiejętnie dobranych. Oczywiście trudno od alumnów wymagać, by się uczyli Ojców na pamięć lub choćby tylko streszczali, ale wielce się utwierdza ich wiarę i przekonanie, gdy mogą sami stwierdzić, iż dany dogmat od najdawniejszych czasów w Kościele był znany i nieraz w tych samych słowach, co dziś, wiernym podawany. Także historyczny pogląd, choć króciutki na niektóre sprawy, stosowany tu i ówdzie przez autora, ułatwia oryentacyę. Dodajmy do tego, iż książka napisana jest językiem łacińskim dobrym, jędrnym, z doborem słów trafnym i obfitym a wyczerpiemy, zdaje nam się, cenne zalety podręcznika.

Podręcznik, jak już zaznaczyliśmy, może obytym z teologią, zwłaszcza dla wykładających dogmatykę, duże usługi przynieść. Ale dla alumnów bodaj czy nie będzie za trudny do zrozumienia, a także i do przyswojenia sobie podanego materyału. Autor główny nacisk kładzie na scholastyczne wyjaśnienie i udowodnienie tematu. Trzeba przyznać, argumentacya jego jest wszędzie ścisła, ale zanadto po scholastycznemu podaną. Mało nasz autor uwzględnia zwyczajne, jakie mają alumni, wiadomości filozoficzne, a mówi językiem ściśle filozoficznym, bez objaśnienia i omówienia, jakby miał przed sobą kutych na wszystkie strony scholastyków. Porusza często kwestye subtelne już z natury rzeczy trudne, a które możnaby bez szkody dla alumnów pominąć, a w każdym razie istotne tylko cechy w nich poruszyć, o innych zamilczeć. Dla uzyskania gruntowności autor mnóstwo nieraz przytacza argumentów, często samych filozoficznych, z których jeden trudniejszy od drugiego. Takie rozkawałkowanie rzeczy prowadzi oczywiście do głębszego wni-

knięcia w rzecz samą, ale u początkujących, zwłaszcza, którzy nie mają czasu rzeczy przemedytować, a tak jest, niestety, w rozkładzie nauk teologicznych w uniwersytetach i seminaryach w Austryi — powstaje konfuzya i zatracenie pamięci o istotnych rzeczach, a gubienie się w drobnostkach. Brakuje też nieraz n. p. przy traktacie de gratia wstępnych wiadomości o darze nadprzyrodzonym i o łasce w ogólności. Autor od razu przystępuje do udowodnienia istnienia łaski poświęcającej, nie powiedziawszy wprzód, co to jest łaska. Już rozpoczynanie od łaski poświęcającej, zamiast od uczynkowej, utrudnia zdaniem mojem, całą rzecz, ale ostatecznie można i tak, byle jakoś wprzód alumnów wprowadzić w traktat, bądź co bądź, jeden z najtrudniejszych.

A jeszcze jedno. Autor skrupulatnie zaznacza, które tezy są de fide. I to bardzo dobrze robi. Ale nie cytuje słów żadnego kanonu, żadnego dekretu, ani nawet nie mówi, na którym soborze zapadła definicya. A to zdaniem mojem, mniej dobrze. W dzisiejszych czasach ogólnego niedowierzania, zbytnim krytycyzmem wytworzonego i alumnom trzeba podać tekst definicyi, by się o niej naocznie przekonali, bo i oni przynoszą tego ducha niedowierzania.

Zgromadziło się trochę zarzutów. Dotyczą one atoli, jak Szan. Czytelnik widzi, przeważnie strony dydaktycznej podręcznika, bo jeśli się ma wzgląd na treść, obrobienie materyału, jest on wartościowy, oryginalny, gruntowny, może być dla niejednego wielce przydatny.

X. Dr. M. Sieniatycki.

Kurland und Litauen, von Johannes Wronka. Freiburg in Br. Herdersche Verlagshandlung. 1917. Str. 176, 12 rycin i mapka.

Autor, katolicki duchowny, który, wedle objaśnienia w przedmowie, pracował lata całe jako duszpasterz w Prusiech wschodnich na pograniczu Litwy, starał się przedstawić w swej pracy treściwie i dość bezstronnie, dzieje oraz stan obecny Kurlandyi i Litwy. Wprawdzie i Kurlandya pozostawała niegdyś w bezpośredniej zależności od Rzeczypospolitej polskiej, jako Inflanty, ale rzecz prosta, że Litwa, jako integralna część tej Rzeczypospolitej, więcej nas interesuje i dlatego przechodzimy odrazu do drugiej części pracy ks. Wronki.

Co do streszczenia dziejów Litwy, a także co do obrazu tamtejszych stosunków w chwili obecnej, niewiele można autorowi zarzucić. Pisze on jednak o Litwie doby obecnej tak, jak gdyby żywioł polski nie odgrywał tam żadnej roli, tak, jak gdyby tam Polaków wcale nie było.

Nawet wówczas, gdy przytacza dane statystyczne, unika wzmianek o Polakach i Białorusinach, którzy przecież tworzą, razem z Litwinami ludność, zamieszkującą obszar historycznej Litwy.

Że tu i ówdzie autor nie powstrzymał się od ukłóć, skierowanych pod adresem Polaków, to rzecz naturalna z racyi jego narodowości.

Takie n. p. niczem niepoparte twierdzenie, że Litwinom nie wyszła na dobre unia z Polakami (str. 148), w poważnem studyum znajdować się nie powinno. A już wypominanie Polakom maryawityzmu i skandalu w klasztorze na Jasnej Górze (str. 154) jest wprost niesmacznem.

Natomiast na zupełne uznanie zasługuje ciepło skreślona sylweta ks. Biskupa Roppa, oraz ocena jego działalności, a także wiernie, choć krótko podany opis prześladowań, jakim Kościół katolicki podlegał na Litwie aż do ostatnich czasów. Ale i w ustępie, poświęconym ks. Biskupowi Roppowi znalazła się wcale niepotrzebnie uwaga o jego stanowisku politycznem, gdyż uważał się on jedynie za pasterza swych dyecezyan, bez względu na narodowość, lub polityczne zapatrywania.

O ile Litwini cieszą się wielką sympatyą autora, o tyle Łotysze i Estoni kurlandzcy mniej łaski znajdują w jego oczach. Pomimo tego, pisząc o stosunkach kurlandzkich, stara się ks. Wronka być bezstronnym, choć widocznie serce jego skłania się ku Niemcom, mieszkającym w tej prowincyi, mimo, że to przeważnie protestanci.

O stosunku Kurlandyi do Polski pisze autor tak mało, jak gdyby ten stosunek był mu wcale nieznanym.

Na ogół jednak biorąc, autor, choć nie jest przyjacielem Polaków, przynajmniej nie okazuje się ich wrogiem.

J. Trepka.

Sprawozdanie z ruchu
religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Katolicyzm a pokój. — Nota papieska w sprawie pokoju. — Syonizm i katolicka misya żydowska.

Katolicyzm a pokój. Jest jasnem, że czynnik, który z obecnego krwawego potopu wyniesie różdżkę oliwną pokoju, zyska sobie powszechną wdzięczność i mir. Kto tym czynnikiem będzie? Ostatnie miesiące zdawały się wskazywać, że tym, co pokój przyniesie światu, będzie socyalizm. Na pierwszy plan wysunęło się hasło pokojowe rosyjskiej rady robotniczo-żołnierskiej, ku któremu pomknęły zaraz bratnie socyalistyczne żywioły prawie wszystkich walczących narodów. Gdyby z tej strony przyszedł pokój, zapewniłby sobie socyalizm panowanie nad światem na długie lata. Oczywiście, że przypuszczenie to tak długo ma wartość, jak długo Rosya przedstawia jakąś siłę. Gdyby Rosya popadła w całkowity bezrząd, z radą robotniczo-żołnierską nikt się liczyć nie będzie.

Powstaje pytanie, czemu katolicyzm, którego istota polega na tem, że ma pokój przynosić, nie zabiera się do tego dzieła? Głowa katolicyzmu, papież, uczynił wszystko, co mógł uczynić w tej sprawie. Listy, przemowy, zaklęcia, prośby, wprawienie w ruch dyplomatycznego aparatu, wszystkich tych środków papież próbował, niejednokrotnie z wielkiem narażeniem się stronom walczącym. Ale papież występował sam jeden. Nie poszli za nim katolicy narodów walczących.

Oczywiście, że należałoby rzucić ze strony katolickiej hasło słuszne,

które mogłoby być przez obie strony przyjęte. Mogłoby być ono zbliżone do amerykańskiego hasła rosyjskiej rady, a więc: „pokój bez anneksyj i bez odszkodowań", z jak najdalej idącem zapewnieniem prawa narodów. Hasło takie jest godziwem, i o ile o prawo narodów chodzi, należy do podstawowych zasad katolickiej etyki. Czy wojna jest, czy jej niema, katolicy głosić to hasło winni i winni dokoła niego się zrzeszać, tembardziej zaś teraz powinni poczuć się do tego obowiązku, gdy chodzi o usunięcie takiego nieszczęścia, jakiem jest obecna wojna, lub przynajmniej tej nienawiści i tych skutków, jakie płyną z obecnej wojny.

Tym zaś sceptykom, którzy po dobrej woli ludzkiej i idei pokojowej nie wiele się spodziewają, wszystkiego natomiast oczekują od rozstrzygnięcia miecza, przypomnieć należy naukę historyi, że miecz ludzkość wypędził z raju, ale sam nigdy wrót raju nie otworzył. Wielkie zapowiedzi powojenne to wielki bluff. Marzyć, że po tej wojnie ustaną na ziemi wojny, że ziemia zamieni się w kwitnący ogród wolności, w którym wielkie zwierzęta zostawią pełną swobodę ruchów zwierzętom mniejszym, znaczy to, zabawiać się bańkami mydlanemi. Zresztą, jeżeli ten sam skutek, który ma być osiągnięty wojną, da się pewniej osiągnąć na drodze stosowania zasad chrześcijańskich, a da się osiągnąć niewątpliwie, to, czyż dążność do tego celu nie jest obowiązkiem katolików? Wojna do pewnego czasu była biczem potrzebnym, zmuszającym ludzi do wejścia w siebie i do ustępstw — po tym czasie jest bezpotrzebnym rozlewem krwi.

Chodziłoby oczywiście nie o akcyę połowiczną, zadowalającą się półśrodkami. Musiałaby to być ta sama akcya, co akcya papieża, z tąsamą gorliwością i bezwzględnością podjęta, wzmożona wszystkimi siłami, jakie katolicyzm posiada, grupująca dokoła siebie wszystkich katolików całego świata. Trzebaby, przedewszystkiem, ze wszelkim względem ludzkim zerwać. Ta sama siła, z jaką obecnie rzuca swoje hasła socyalizm, winna być właściwą także katolikom.

Czy coś z tego widzi się dzisiaj wśród katolików świata?

Z początkiem tego roku odbył się w Zurychu zjazd z hasłem międzynarodowego zrzeszenia katolików w celach pokojowych. Pisaliśmy o tem w swoim czasie. Może być, że zjazd ten wydał skutki, które jeszcze się przejawią, nie wydał jednak skutków, któreby już się przejawiły.

Znamienną jest akcya katolików austryackich. W czasie Zielonych Świąt odbył się w Gracu wielki wiec katolicki w celach przyspieszenia pokoju. Rezolucya, jaka na tym wiecu zapadła, brzmi: „Wielki wiec katolicki w Gracu oznajmia w pełnej jednomyślności uczciwą wolę

katolików austryackich do zawarcia honorowego pokoju na podstawie bezwzględnej sprawiedliwości dla każdego z państw, prowadzących wojnę. Wiec daje wyraz przekonaniu, że tylko wychowanie ludzkości w życiowo-praktycznem chrześcijaństwie, szczególniej zaś uznanie zasad prawdy i uczciwości, sprawiedliwości i miłości bliźniego, w prywatnem i publicznem życiu, może być jedynie rękojmią trwałego pokoju w Europie. Wiec przyjmuje program Białego Krzyża i zaprasza katolików wszystkich krajów do współpracy na podstawie podobnych programów, by w ten sposób w rychłym pokoju spełniło się rzucone przez Ojca świętego hasło: by miłość Chrystusa zapanowała znowu między ludźmi".

Program zaś pokojowy, na który powołuje się powyższa uchwała, opiewa:

1. Żądamy, by skończył się bezkorzystny rozlew krwi, żądamy jednak zarazem, by skończyła się polityka, która środkami przemocy obyczajowe zagadnienia współżycia narodów zamąca i w ten sposób jest ciągłem zarzewiem wojen.

2. Żądamy trwałego pokoju świata, w który wierzymy w imię cywilizacyi, kultury, etyki i religii.

3. Żądamy jako początku pokoju, by odwróciła się uwaga wszystkich narodów od rzekomego zewnętrznego nieprzyjaciela, by natomiast skupiły się wszystkie siły przeciw rzeczywistemu wewnętrznemu nieprzyjacielowi, który jest wszystkim narodom wspólny, jakim jest: alkoholizm, nieobyczajność, degeneracya, lichwa, pauperyzm i t. d.

4. Żądamy, by położono kres bezmyślnemu zbrojeniu się narodów na lądzie i na morzu, by natomiast skierowano wszystkie wysiłki na pozytywne zadania kulturalne.

5. Żądamy, ażeby miłujące pokój stronnictwa wszystkich krajów wciągnęły w swój program postulat, że kredyty na zbrojenia o tyle tylko pozwolone będą, o ile to potrzebnem jest do zapewnienia porządku we własnym kraju i to w procencie równym dla wszystkich krajów, odpowiednio do normy kredytów na cele kulturalne tychże krajów.

6. Żądamy, by rządy i parlamenty podały sobie ręce, celem honorowego pokojowego porozumienia się w sprawie wzajemnych sprawiedliwych żądań, a zarazem żądamy bezwarunkowej woli rządów i parlamentów, by u drugiego narodu uznać to za prawo, co uznaje się za prawo dla siebie.

7. Żądamy od naszych rządów i parlamentów, by uczciwie popierały wszystkie dążności, które kierują się ku stworzeniu trwałego

pokoju świata, i to nietylko w drobnych zewnętrznych środkach prawno-narodowego porozumienia, ale przedewszystkiem w przełamywaniu ducha egoizmu i niesprawiedliwości, który powoduje wojnę.

8. Żądamy, by ustała walka rasowa i wszystkie metody gwałcące jeden naród przez drugi; żądamy, by uznanem było prawo naturalne każdego narodu, mocą którego może on w obrębie całości państwowej swobodnie rozwijać własny język, własną kulturę i religię.

9. Żądamy, ażeby walka klasowa, która wprowadziła politykę siły w życie narodów, ustąpiła przed duchem społecznego wyrównania, chęci społecznej sprawiedliwości i jednoczącej miłości bliźniego.

10. Żądamy nowego kierunku w wychowaniu dorastającej młodzieży, z wykluczeniem wszelkiego szowinizmu, z wykluczeniem wszystkiego, co podsyca wojennego ducha, z wprowadzeniem natomiast wszystkiego, co budzi społeczne poczucie obowiązku, sprawiedliwość, miłość bliźniego, ochoczość do przyjścia innym z pomocą społeczną odpowiedzialność.

11. Żądamy, by ustał machiawelizm w polityce i by miejsce jego zajęły zasady chrystyanizmu w publicznem życiu.

12. Żądamy, by wszystkie narody i państwa powróciły do praktycznego chrystyanizmu, by bezwarunkowo uznały i wprowadziły w życie boże prawo obyczajowe i jego następstwa pod względem sprawiedliwości i miłości bliźniego i upatrujemy gwarancyę powodzenia wszystkich dążności pokojowych w zjednoczeniu wszystkich ludów z królem pokoju: Chrystus wczoraj i dziś i po wszystkie wieki.

Oto zasady wzmiankowanego programu.

Hasło rzucone na wiecu w Gracu miało już ten skutek, że jedno ze stronnictw katolickich wniosło w parlamencie wiedeńskim postulat honorowego dla wszystkich pokoju. Niezależnie od tego podobne w słowach hasło głosi dyplomacya austryacka.

Decydującym czynnikiem byliby w tej sprawie katolicy niemieccy, a więc przedewszystkiem centrum w parlamencie berlińskim. Zdawało się przez chwilę, że centrum pod przewodem swego członka Erzbergera postawiło znaczący krok na tej drodze — cała jednak sprawa utknęła. A wielka szkoda! W drodze ku tak wielkiemu celowi nie wolno przed żadnym względem ludzkim się cofać.

Kwestya rychłego i trwałego pokoju jest splotem tylu i tak ważnych spraw, tak sięga w daleką przyszłość i w głębię zasad, że powinna skupić dokoła siebie wszystkich ludzi. Najwięcej zaś powodów do gor-

liwego zajęcia się tą sprawą mają katolicy państw centralnych, najbardziej katolicy niemieccy. Katolicyzm w Austryi winien być ostrogą dla swoich braci niemieckich.

Nota papieska w sprawie pokoju.

Powyższe nasze uwagi o roli katolicyzmu w sprawie pokoju były już napisane i złożone w druku, gdy pojawiła się głośna nota papieska, która po dziś dzień nie schodzi z widowni. Papież, wskazawszy na główne pobudki, które go zmuszają do zabrania głosu w tej sprawie, przedstawia szczegółowe warunki trwałego pokoju. Naczelna zasada jest ta, że w nowym układzie stosunków siła moralna prawa ma zająć miejsce siły materyalnej. Z tem łączy się równoczesne we wszystkich państwach zmniejszenie zbrojeń aż do tej miary, która jest konieczną i wystarczającą dla utrzymania porządku publicznego w każdem państwie. Dalszym środkiem pomocnym temu celowi jest sądownictwo rozjemcze, zagrażające karami temu państwu, któreby nie chciało przedkładać międzynarodowych spraw spornych do rozstrzygnięcia sądowi rozjemczemu, albo nie chciało się poddać jego wyrokom. Jako bliższe zasady pokoju stawia Papież prawdziwą wolność i wspólność mórz, zrzeczenie się wzajemne odszkodowań wojennych i wzajemny zwrot obszarów zajętych.

Przechodząc do szczegółowych spraw, stawia Papież jako warunek pokoju zupełną niezawisłość Belgii wobec jakiegokolwiek mocarstwa i opróżnienie obszaru francuskiego, z drugiej zaś strony zwrot kolonij niemieckich. Co się tyczy spraw spornych między Francyą, a Niemcami i Włochami a Austryą, twierdzi Papież, że jest nadzieja, iż sprawy te, przy obustronnym duchu pojednawczym, dadzą się w ramach sprawiedliwości i możliwości zgodnie załatwić.

Załatwiwszy się ze sprawami Zachodu, przechodzi Papież do spraw Wschodu. Ustęp o Wschodzie zbudowany jest tak, że cały odnosi się do Polski, z mimochodnem dorzuceniem dwu imion: Armenii i państw bałkańskich. Ustęp ten brzmi: „Ten sam duch słuszności i sprawiedliwości będzie musiał kierować badaniem innych kwestyj terytoryalnych i politycznych, w szczególności tych, które odnoszą się... do tych obszarów, jakie tworzyły części składowe dawniejszego Królestwa Polskiego, którego dostojna tradycya historyczna i cierpienia, doznane w czasie wojny obecnej, muszą słusznie budzić sympatye narodów“. Wypuściliśmy w tym ustępie tylko dwa wyrazy: „do Armenii, do państw bałkańskich“. W tem zestawieniu okazuje się,

jak czczym jest zarzut pewnych pism polskich, że Papież o Polsce na ostatniem dopiero miejscu mówi. Najpierw nota dyplomatyczna nie jest biesiadnym stołem, przy którym miejsce pierwsze, średnie i ostatnie mają swoje ustalone znaczenie. Miejsce ostatnie w dyplomatycznej nocie może mieć właśnie najdonioślejsze znaczenie. W tym wypadku, budowa tego ustępu jest taka, że położonym jest przez nią pewien nacisk na sprawie polskiej. Że zaś temi, a nie innemi słowami Papież sprawę polską określa, jest to rzecz pewnej oględności dyplomatycznej, jaka w całej nocie jest widoczną, bynajmniej zaś rzecz zasadnicza. Zasadniczo biorąc, powiedziane jest w słowach papieskich wszystko, co o sprawie polskiej powiedzieć trzeba.

Wrażenie noty było w pierwszej chwili dość duże. W prasie jednego i drugiego obozu nie brakło słów uwielbienia i oburzenia, ważniejszem jednak od stanowiska prasy było poprawne stanowisko rządów. Jest jasne, że w tak trudnej i ważnej sprawie jedna strona walcząca czeka na drugą lub przynajmniej nie śpieszy się z odpowiedzią. Tem się tłumaczy, że do tej chwili jest tylko odpowiedź Ameryki na notę, odpowiedź, która wcale nie wyklucza dalszego toku sprawy. Żądanie Wilsona, stanowiące istotę odpowiedzi, by Niemcy zmieniły dzisiejszą formę swego rządu na system parlamentarno-demokratyczny, żądanie to zostało poważnie wzięte przez pewną część społeczeństwa niemieckiego i to przez taką część, która w tym duchu już zaczęła iść i która ma większość w parlamencie.

Ważnym także objawem jest to, że w różnych kołach katolickich powstaje ruch, by Papieżowi w jego akcyi pokojowej dopomódz. Pomijając głosy katolików austryackich, zapiszmy depeszę katolików szwajcarskich do Papieża w tym duchu pojętą i ruch wśród duchowieństwa Holandyi, dążący do tego, by pobudzić katolików krajów neutralnych do współdziałania z Papieżem.

Syonizm i katolicka misya żydowska.

W szeregu zagadnień, stworzonych przez ostatnią chwilę, jednem z najciekawszych jest kwestya żydowska. Syonizm zaczyna tryumfować. Telegramy donoszą, że prezydent Wilson wyznaczył specyalną komisyę dla przeprowadzenia badań nad problematem Palestyny oraz podjęcia kroków przygotowawczych celem urzeczywistnienia niepodległego państwa żydowskiego. Decyzya w tej sprawie ma zapaść na konferencyi pokojowej. Mnożą się w tym

kierunku głosy w prasie i w opinii politycznej Francyi, Anglii i Ameryki; do tej idei przyłączyła się teraz także finansyera żydowska.

Stosunki palestyńskie ludnościowe przedstawiają się w tej chwili tak, że Palestynę obok 500 tysięcy Arabów zamieszkuje 120.000 Żydów. Główną zasługą syonizmu jest założenie, kosztem 120 milionów, 40 kolonij żydowskich, na których osadzono 12.000 żydów. Kolonie te obejmują razem obszar ziemi o rozległości 50.000 hektarów, której znaczna część już jest dobrze uprawna i przynosi bogate plony. Pewna więc część żydów zamieniła się w pilnych wieśniaków i gospodarzy. Żydzi osiedleni w miastach zajmują się przemysłem i handlem; ich Technikum i szkoły przemysłowe uchodzą za wzorowe.

Jakby wyglądała Ziemia święta, zamieniona w niezawisłe żydowskie państwo, nie mamy potrzeby dociekać. „Journal de Genève" donosi, że papież żywo zajmuje się tą sprawą, że sfery watykańskie wolałyby widzieć Palestynę, jako wspólną posiadłość wszystkich państw chrześcijańskich. Wszystko to są wymysły dziennikarskie, jak wymysłem jest doniesienie innego szwajcarskiego pisma, że duchowieństwo katolickie lęka się możliwości odrodzenia żydowskiego państwa. Jak bujną jest oryentalna wyobraźnia na ten temat, dowodzi inna opowieść, podług której papież, w rozmowie z p. Sokołowem, redaktorem warszawskiego żydowskiego pisma „Hacefiry", mówiąc o tej sprawie, miał się wyrazić: „będziemy dobrymi sąsiadami".

Czas jeszcze o tem myśleć! Jeżeli poruszamy tę sprawę, to z innych względów. W związku z tą sprawą zaczyna pojawiać się w katolickiej prasie idea katolickiej misyi żydowskiej. Wywołali tę ideę sami syoniści. Jeden z nich naprzykład, Henryk Rosenbaum, rok temu pisał następujące słowa: „Żydowscy katolicy! Bolesne słowo! Wszyscy oni są niepowetowaną narodową stratą. Prawie niemożliwą dziś rzeczą jest działać między nimi w duchu żydowsko-narodowej idei. Mojem zdaniem dlatego, bo brak łącznika, jaką jest misya żydowska".

Misya żydowska w idei Rosenbauma nie jest misyą religijną. Jest to akcya, mająca tylko za cel uświadomienie narodowe. Idea ta jednak wywołała w prasie katolickiej ideę katolickiej misyi żydowskiej. Misya ta miałaby przy nawracaniu na katolicyzm uwzględniać i kultywować właściwości żydowskie, rasowe i narodowe — w czem szłaby na rękę syonistom. Racya za ideą takiej misyi katolickiej jest ta, że wogóle praca misyjna katolicka liczy się z właściwościami każdego narodu i je uwzględnia i kultywuje. Jest w takiem postępowaniu i zadatek powodzenia pracy misyjnej i przestrzegania słusznych praw każdego narodu.

W ten sposób nawróceni żydzi pozostawaliby w bliższym związku ze swoim narodem, co po ewentualnem przełamaniu trudności, jakie dotąd towarzyszą nawróceniom żydowskim, mogłoby mieć doniosłe znaczenie. Miałoby to szczególniejsze znaczenie w miejscach takiego zrzeszenia, jakie przedstawia Palestyna, nie mniej jednak racyonalnem mogłoby się okazać w każdym poszczególnym wypadku. K. Hoffman z Limburga, postawiwszy postulat takiej misyi katolickiej, dodaje:

„Nawet tam, gdzie niema takiej misyi katolickiej zorganizowanej, kapłan, zajmujący się nawracaniem żydów, winienby w kandydatach do chrztu podnosić wysoko interes dla ich narodowości, już choćby z tego względu, iż jest to narodowość Jezusa".

Ks. J. Pawelski.

Wśród duchowieństwa unickiego.

Znamienna apatya ogarnęła duchowieństwo unickie w Galicyi w obecnej „ciężkiej chwili". Tem więcej należy dziwić się jej, ile że wszędzie rozwinął obecnie kler żywą działalność, zmierzającą ku leczeniu i gojeniu ran społecznych, zadanych przez wojnę. „Toć nasi sąsiedzi — pisze niepodpisany ksiądz w „Dile" (nr. 21 i 22 z 27 i 28 stycznia) — zwołali zaraz po ustąpieniu wojsk rosyjskich kilkakrotnie konferencye biskupów i delegatów kleru i ułożyli stosownie do nowych potrzeb bardzo dokładny program swojej pracy na polu kościelnem i społecznem. Następnie rozpoczęła się wszędzie praca planowa, która, popierana przez administracyę i społeczeństwo, przynosi również znaczne sukcesy.

„A my znowu siedzieliśmy cicho, chociaż wojna zadała naszemu właśnie narodowi największe spustoszenia. Po utracie dwu światłych arcypasterzy, którzy przodowali nam w pracach, staliśmy jakby bezradni. Na naszem czele pojawili się ludzie, którzy nie odznaczyli się szerszym poglądem i nie nadawali się do pracy organizacyjnej. Nie byli w stanie nawet odpowiedzieć potrzebom cerkiewnym, a nie dopiero licznym potrzebom społecznym, jakie zaczęły się teraz wyłaniać. Wspomnę tylko, że całe masy naszych rodaków znalazły się skutkiem ewakuacyi albo wyjazdu w Galicyi zachodniej, na Węgrzech, Morawach i t. d. i wszyscy oni płaczą tam za opieką duchowną. Wszelako nasze władze cerkiewne nie wiedzą nic o tych biedakach. Tylko niekiedy odezwie się rozpaczliwy głos, że w tej a tej stronie znajduje się

tyle tysięcy naszych. Wówczas zajmują się ich losem przedewszystkiem koła świeckie, a już najmniej duchowieństwo. I wielka masa ludu naszego pozostaje na obczyźnie bez pociechy religijnej.

„Nie lepiej miały się rzeczy z naszem duchowieństwem. Po większej części zostało ono zastraszone i przygnębione masowemi uwięzieniami i cierpkiem traktowaniem przez obcych, a równocześnie wobec surowych przepisów wojennych nie miało możności zebrania się, wzajemnego dodania sobie otuchy i ułożenia jakiegoś programu wspólnej pracy. Skutkiem tego brały się tylko żywsze jednostki do pracy wydatniejszej. Praca ich jednakowoż była bezplanowa i odosobniona i dlatego nie miała większego powodzenia. W ten sposób niwa nasza leżała w tym ciężkim czasie odłogiem, a lud nie znajdował u nas w swojem trudnem położeniu pomocy, jakiej potrzebował tak bardzo.

„Tak nie powinno być nadal. Chociażbyśmy nie znajdowali nigdzie przychylności i choćby nas nie wiem jaka niedola przygniatała, przecież jesteśmy obowiązani wziąć się do pracy i spełnić swój obowiązek. Zważywszy, że inteligencyi świeckiej pozostało u nas w kraju bardzo mało, my, duchowni, będziemy teraz prawie jedynymi działaczami wśród ludu. I gdybyśmy zaniedbali spełnienia tego obowiązku, bylibyśmy ciężko odpowiedzialni przed Bogiem za upadek moralny i ruinę społeczną, jakie nastąpiły w narodzie.

„Ale jak brać się do pracy? Niechaj nie gniewa się nikt za to, że wypowiem pewne spostrzeżenia i myśli.

„Powinniśmy pamiętać, że jesteśmy uczniami Chrystusowymi i następcami apostołów i że mamy wzięte od Boga obowiązki spełniać nie tylko z rozkazu wyższego, ale z poczucia własnego. Za przykład poniekąd mogą posłużyć nam nasi poprzednicy, którzy wydawali takich Kaczałów, Taniaczkiewiczów i wielu podobnych, którzy w ważnych sprawach zjeżdżali się na narady albo na synod, wypowiadali tam przed arcypasterzami swoje myśli samodzielne i przekonania, oraz dawali tam piękne świadectwo swojego charakteru i dojrzałości duchowej. *(Luka cenzuralna).*

„Świadczą o tem chociażby takie objawy z naszego życia: Kiedy we wszystkich innych stanach potworzyły się silne organizacye, celem popierania ich żądań i strzeżenia ich interesów stanowych, kler nasz stał rozdrobniony i chociaż tworzył w kraju wielką falangę sił inteligentnych, nie miał faktycznie znaczenia i doprowadził do tego, że nikt nie liczył się z nami. Albo to: Zaznawszy w wojnie obecnej bardzo przykrych ciosów na polu stanowem i kościelnem, nie upomnieliśmy

się o siebie i nie reagowaliśmy, lecz znosiliśmy w milczeniu wszystkie znęcania się i krzywdy. Albo i to: Chociaż mamy w naszych kołach mężów zdolnych i utalentowanych, nie widzieliśmy ani w naszych czasopismach cerkiewnych, ani w innych pismach prawie żadnych rozpraw o obecnych, bardzo ważnych zadaniach duchowieństwa i o nowych potrzebach narodu, nie słyszeliśmy nawoływań ani dyrektyw, które zagrzewałyby konfratrów do nowej pracy.

„Jakaś dziwna martwota zapanowała u nas od dłuższego czasu. Każdy żył dla siebie, ciągnął z dnia na dzień i czekał tylko, co mu sam los przyniesie. Wszelako taki stan bierny jest osobliwie w obecnym czasie nader fatalny. Religijno-moralna i społeczna ruina będzie bardzo wielka w narodzie i dlatego musimy dobrze zrozumieć nasze zadanie obecne, obmyśleć zasadniczo plan pracy i brać się z całą energią do jej spełnienia. Tak tedy leży w interesie narodu i Kościoła katolickiego, abyśmy postawili w chwili obecnej duchowieństwo uświadomione i mające charakter, które nie czekałoby aż na wskazówki z góry, lecz zespoliło się solidarnie i z własnego poczucia rwało się i spełniało dzieło Boże. Wtedy wstąpi w nas nowy duch i nasza praca będzie owocna i znajdziemy szacunek nawet u przeciwników.

„Drugim naszym błędem było to, że duchowieństwo prowincyonalne, popadłszy w jakąś dziwną bierność, zaczęło spuszczać się na kler stołeczny, lwowski czy przemyski, i zwalać na niego całe przewództwo i pracę. Tymczasem kler ten stał zdala od życia duszpasterskiego, nie wchodził bliżej w potrzeby narodu, żył w innym świecie, skutkiem tego zajmował się, poza obowiązkami swojego stanu, wszelkiemi innemi sprawami w różnych instytucyach, a, zdaje się, najmniej sprawami cerkiewnemi. Przykładem tego chociażby to, że wydział Towarzystwa św. Pawła we Lwowie, składający się z duchownych lwowskich, „pomimo (jak sam mówi w odezwie) bardzo trudnych stosunków, jakie przeżywa obecnie nasze życie cerkiewne i naród“ i „mimo wielkiej powagi chwili i naszych teraźniejszych zadań cerkiewnych“, milczał przez tak długi czas i nie skłonił ani konsystorzów do jakiejś poważnej akcyi, ani nie zgromadzał duchowieństwa celem omówienia i utworzenia planu pracy bieżącej. Widocznie ludzie ci żyją w innych stosunkach, nie odczuwają głębiej niedoli wieśniaczej i dlatego nie zajęli się sprawą żwawiej.

„Nie można trwać dalej w bezduszności, iść w pojedynkę, po omacku i czekać, co nam ślepy los przyniesie! Musimy postawić przed sobą jasny obraz: jakie spustoszenia, moralne i materyalne, zaszły obe-

cnie w narodzie naszym, i określić sobie całkiem szczegółowo, jakie prace powinniśmy obecnie wykonać, jako pasterze swoich trzód.

„Po tem, co powiedziano, będzie jasne, jak powinniśmy od teraz postępować. Przedewszystkiem duchowieństwo prowincyonalne musi przestać spuszczać się jedynie na swoje szczyty i stolice, oraz oczekiwać stamtąd zbawienia, a brać się do pracy. Żyje wśród ludu, rozumie najlepiej wszystkie obecne jego niedole i potrzeby, to też ono będzie w pierwszym rzędzie prowadzić całą pracę w kraju; skutkiem tego może najlepiej ułożyć cały program pracy, jako też sposób przeprowadzenia jej. Przecież powinni u nas znaleźć się następcy Kaczałów i Taniaczkiewiczów, którzy wskazywali całej swojej współbraci kierunek i drogę. Jedni powinni przyświecać czynami, drudzy zaś imać się pióra i rozmaitych publikacyi, ażeby odsłaniać prawdę przed swoimi i obcymi. Dalej powinni znaleźć się po wszystkich powiatach mężowie, którzy organizowaliby tam formalne kółka duchowne, zagrzewaliby i naglili do solidarnego wykonywania ułożonej, planowej pracy. A tych zadań będzie takie mnóstwo! Upadek religijności i moralności chrześcijańskiej, zdziczenie ludzi, pozostawienie tak licznej młodzieży bez ojcowskiej opieki i wychowania, rozpaczliwy stan tak wielu sierót, zagrożenie obdłużonych ziem sierocińskich, spodziewane ukazanie się po wsiach naszych tak licznych, nieszczęsnych kalek i inwalidów i t. d. I nie wystarczy nam powiedzieć, że do nas należy tylko nabożeństwo w cerkwi, a więcej nic. Bo kiedy podjęliśmy się być pasterzami naszych trzód, musimy spełniać dla nich te dzieła miłosierdzia, jakie są dla nich teraz konieczne. Inaczej bylibyśmy ciężko odpowiedzialni wobec Boga za ginięcie ludu i musielibyśmy kiedyś usłyszeć surowy sąd: „Idźcie odemnie, przeklęci! Czego nie uczyniliście dla tych maluczkich, tego i mnie nie uczyniliście". Prawda, że tych zadań będzie teraz bardzo wiele i będą one trudne; gdybyśmy wszelako mieli jasny program pracy i wzięli się do niej wszyscy solidarnie, wówczas praca szłaby nam łatwiej i przyjemniej, a gdyby też zaczęła niebawem przynosić jeszcze ładne owoce, wówczas dałaby nam szczyt zadowolenia. Ale nie dosyć jeszcze tej pracy. *(Łuka cenzuralna.* Przyp. tłóm.).

„Otóż zadaniem naszych zdolniejszych konfratrów brać za pióro i w rozmaitych memoryałach i przygodnych publikacyach zbierać gruntownie te oczernienia i domagać się natarczywiej praw, jakie należą się naszemu obrządkowi. Nie mogę pominąć jeszcze tego, że jest bardzo przykro, iż u nas nie znalazł się dotąd nikt, kto na złośliwy pamflet dra Smolki na cały nasz kler dałby przed obcą publicznością godną

odpowiedź. A przecież pióro inteligentnego wiejskiego duchownego nadawałoby się jak najlepiej do tego przedmiotu!

„Oto na prędce zebrane zadania — choć daleko do ich kompletu — do których powołany jest cały ogół naszego wiejskiego duchowieństwa.

„Wszelako ważnymi współpracownikami we wszystkich tych pracach powinni stać się również stołeczni, a mianowicie lwowscy kapłani. Między nimi są zdolni ludzie, którzy mogliby w tej pracy oddać dobre usługi. I pragnęlibyśmy, iżby ze względu na obecne poważne położenie i ruinę naszej cerkwi oraz ludu skierowali teraz swoją działalność na wskazane tu pole. Obecnie stoi wszędzie na pierwszym planie o d b u d o w a kraju, rozumie się nie tylko ekonomiczna, ale jeszcze więcej moralna. Wszyscy rozsądni ludzie świeccy są jednomyślni, że przedewszystkiem musi nastąpić r e l i g i j n o - m o r a l n e odrodzenie mas ludowych, a już razem z niem ekonomiczne. Religijno-moralna strona — to podstawa dalszego życia narodu. Kiedy podstawa stanie się silną, wówczas też całe życie narodu pójdzie pewnym krokiem i przyszłość jego będzie zapewnioną. Kiedy to się nie stanie, wówczas cała inna praca poszłaby na marne, a następstwa odbijałyby się fatalnie na naszych dalszych losach. Jakżeż różnorodne i wdzięczne pole odsłania się tutaj do działalności duchowieństwa lwowskiego: religijno-literackie, humanitarne, wychowawcze i inne. Zwłaszcza należałoby do nich: utrzymywać łączność z kółkami prowincyonalnemi, przychodzić z pomocą ich potrzebom, dawać pewne rady, tworzyć przytułki sieroce i szkoły przemysłowe, wyjednywać dla nich subwencye, ogłaszać nadsyłane rozprawy i broszury, wnosić memoryały i t. p. To byłoby dobrem uzupełnieniem pracy klerú parafialnego i kółek i mogłoby sprawę całą pchnąć naprzód".

Nie wszystkie braki zebrał autor przytoczonego artykułu. W „Ukraińskiem Słowie" (nr. 1 z 14 stycznia b. r.) bowiem, w rozważaniach na temat: „Czy ukraińskie grecko-katolickie duchowieństwo powoduje naprawdę latynizacyę i polszczenie się swego ludu?" — czytamy, co następuje:

„Inna już sprawa z katechizacyami. Do nich są bezwarunkowo obowiązani nasi duchowni z tytułu swego powołania, stanu i urzędu. Przecież oni są duchowymi ojcami, nauczycielami i duchownymi przodownikami ludu. Tutaj mało powiedzieć: powinni i obowiązani. Zaniedbanie szkoły, katechizacyi, znaczy tylko tyle, co występek przeciwko przykazaniu Chrystusowemu: „Idźcie i nauczajcie wszystkie narody!"

„Nam, duchownym ukraińskim, ciągle służy za wzór duchowieństwo łacińskie. Czy jest mowa o pracy społecznej, czy o metrykach, czy o ekspansyi narodowej, czy o katechizacyi w szkołach. Oto patrzcie, mówią, — tam — to księża: i patryoci i duszpasterze i katecheci i przyjaciele ludu, a u nas? E... szkoda mówić! Jedynie umieją doskwierać i ciskać się na stany świeckie i przezywać wszystkich radykałami, niedowiarkami, socyalistami i najrozmaitszymi „istami". Ładnie!... Prawdy nie ukryjesz!

„Kto z uwagą przeczyta powyższe wiersze i jeszcze uważniej zastanowi się nad nimi, wielu, bardzo wielu rzeczy domyśli się sam. Bo proszę: duchowieństwu łacińskiemu dopomaga w pracy rzeczywiście, naprawdę i szczerze całe społeczeństwo polskie. Nie bierze się ono tak ochoczo do krytyki swego duchowieństwa, lecz z większą ochotą do pracy wspólnej z niem i z tego już widzimy, jak ułatwiona jest praca księdza łacińskiego, względnie polskiego, w porównaniu z naszym. Jemu idzie na rękę polskie wychowanie domowe, polskie nauczycielstwo w szkole, jakiegobykolwiek typu szkoła była, polskie urzędy i wszystko. Po miastach i miasteczkach systemizuje się stałe posady katechetów łacińskich, skoro tylko okaże się potrzeba tego, około dzieci proletaryatu pracują „mateczki" (cudzysłów „Ukr. słowa", przyp. Red.), a nasz duchowny nie wie, czego się jąć po objęciu posady, od czego zaczynać: czy od szkoły, czy od cerkwi, czy od młodzieży, czy od starszych, bo zazwyczaj wszystko leży odłogiem. *(Luka cenzuralna).*

„Czyliż nie zazdrościć duchowieństwu łacińskiemu tego, że wchodząc do szkoły, zastaje taki ksiądz dzieci pod każdym względem uświadomione i przygotowane, bo nauczyciel lub nauczycielka wyuczyli je pieśni patryotycznych i religijnych, a nasze dzieci-niebożęta. I znowu okazuje się, że jest to zasługą duchowieństwa łacińskiego. Dlaczego np. w Jaworowie, w czteroklasowej szkole im. T. Szewczenki, do dzisiaj niema grecko-katolickiego katechety, jakkolwiek liczba dzieci grecko-katolickich przewyższa 400 dusz? Na odwrót, dlaczego w takiem miasteczku, jak Krakowiec, jest łaciński katecheta dla szkół ludowych? A stąd właśnie wynikają te liczne kolizye dla naszego grecko-katolickiego duchowieństwa. Zazwyczaj u nas, przeważnie w miastach, tak rzeczy się składają, że wikary ma dać radę wszystkiemu. Tymczasem jest niemożliwością fizyczną dla jednego człowieka służyć równocześnie dwom bogom. No, a proboszcz? — zapyta kto. Również proboszcz nie ma stu rąk. Pewnie, że proboszcz, któryby zwalał całą pracę na

barki wikarego, a sam wypoczywał podług dewizy: „Swoje już zrobiłem", minąłby się ze swojem powołaniem i takich już teraz chyba niema. Każdy robi wedle sił swoich i boryka się z trudnościami, jak może, a że tych przeszkód nagromadzi się nieraz tak wiele, że tych kolizyi nagromadzi się tyle, że nasz duszpasterz nie może dać im rady, bo jest bezsilny, za to on nie jest odpowiedzialny i nie można stawić go przed sąd społeczeństwa.

„Oprócz tego, co już podniesiono, podkreślam na tem miejscu jeszcze raz: Trzeba, byśmy mniej krytykowali, a więcej zabrali się do pracy realnej. Trzeba wpajać w lud, jak to czynią nasi sąsiedzi, że Kościół i naród, to dwa nierozerwalne pojęcia, trzeba wychowywać, zaczynając od korzenia, w duchu patryotycznym i obrządkowo-religijnym. Nie należy czekać aż na szkołę, ale w domu, w rodzinie, w gnieździe rozpoczynać pracę, podobnie jak pisklęta w gnieździe próbują swoich skrzydeł".

Surowa to krytyka. Słowa ks. St. Biłyńskiego nie wymagają chyba od nas komentarza?...

Dr. St. Zdziarski.

Antoni Mazanowski.

(1858—1916).

Kolebką mu była dwóch wyznań i dwóch plemion słowiańskich sporna ziemia chełmska. Na chłopięcych lat wrażliwość rzuciła czar jednostajna i nieco smętna poezya ziemi podlaskiej. Burza prześladowań unickich wygnała za kordon, do Galicyi. Na pograniczu walki między Zachodem i Wschodem słowiańskim Dom jego opowiedział się przy tradycyach polskich i katolickich.

Chował się w atmosferze prostej a głębokiej wiary religijnej, sumiennie spełnianych praktyk religijnych i dobrych uczynków chrześcijańskich. Weszło mu w krew, że dogmat Kościoła nie może być nawet draśniony krytyką rozumu. Doświadczenie religijne urobiło charakter. Oszczędność, rządność i skrzętność rodziców, przy skromnych — chwilowo ciężkich — materyalnych warunkach, wykształciły w nim praktyczny zmysł życia. Natura obdarzyła umysłem otwartym, zaciętą wolą i złotem sercem.

Urodził się dnia 10 sierpnia 1858 r., w Horostycie. Ojcem jego był ksiądz Jan Mazanowski, podówczas administrator grecko-katolickiej parafii horostyckiej; matką Anna z Szymańskich. Rodzeństwa

miał trzech braci i siostrę. W jakiś czas ojciec otrzymał pod Białą Radziwiłłowską leżącą parafię Witoroż, oraz kupił pod Witorożem majątteczek ziemski, Burwin. Z tej cichej wsi, z sielskiego spokoju, poszedł Antoni Mazanowski do pierwszych klas gimnazyalnych do Białej Radziwiłłowskiej.

Zanim przesunął się do klas wyższych, zaszła przełomowa zmiana w warunkach materyalnych i moralnych rodziny.

Na cyrkularz administratora dyecezyi podlaskiej, z zapytaniem do unickich księży, czy gotowi są przyjąć prawosławie, ks. Jan Mazanowski odpowiedział odmownie. Odebrano mu probostwo; internowano w Siedlcach; potem polecono przenieść się do Radomia. I synowie w studyach naśladowali tę tułaczkę; chodzili kolejno do gimnazyum siedleckiego, potem radomskiego. Trzeba było sprzedać Burwin, zdać się na niepewną łaskę losu. W Radomiu ks. Jan odprawiał kryjomo mszę w domu... W tych ciężkich chwilach Anna Mazanowska, kobieta pobożna bez bigoteryi, gruntownie oczytana, a niepospolicie mocnego charakteru, dodawała mężowi otuchy i zachęcała do wytrwania. Widząc, że przyszłość synów niepewna, jeżeli nie przejdą na prawosławie, i gdy na katolicyzm przejść nie było wolno, rodzice postanowili uciekać do Galicyi.

Ks. Jan Mazanowski w ubraniu cywilnem, niby na wakacye, z rodziną przemknął się pod granicę austryacką. Przeprawiono się przez nią pod grozą strzałów rosyjskiej straży. Na galicyjskim brzegu, na łące, matka kazała klęknąć dzieciom i sama padła na kolana, dziękując Bogu za ocalenie. Ta ofiara, z narażeniem życia dopełniona, ta modlitwa za uratowanie — we własnem rozumieniu — nie tylko życia, ale i dusz, to niewątpliwie wzniosłe poświęcenie dla utrzymania godności ludzkiej i polskiej, ostatecznie przywiązało dzieci siłą niepospolitego wrażenia do sztandarów, przy których stanęli rodzice.

Ks. Jan Mazanowski zrazu we Lwowie zarabiał diurnum, potem przyjął obywatelstwo austryackie i otrzymał parafię w Borszowie, następnie w Rudzie. Synowie zapisani zostali do gimnazyum Franciszka Józefa we Lwowie. Polskiego języka w wyższych klasach uczył Próchnicki. W tem gimnazyum Antoni Mazanowski zdał egzamin dojrzałości 18 czerwca 1879 r.

Zwyczajnym słuchaczem uniwersytetu lwowskiego był lat cztery, od zimowego półrocza 1879 do letniego 1883. Chodził przedewszystkiem na wykłady z historyi literatury Pilata, z filologii klasycznej Węclewskiego i Ćwiklińskiego, z filozofii Czerkawskiego i Ochorowicza. Po

wzięciu absolutoryum, na rok piąty (1883/84), zapisał się jeszcze jako nadzwyczajny słuchacz dla seminaryum Liskego i Pilata. Ci dwaj profesorowie najwięcej wpłynęli na niego: w ich pracowniach brał żywy udział przez prawie cały ciąg studyów. W seminaryum Pilata czytał swoje rozprawy: „Żywot Elżbiety Drużbackiej", „O Psałterzu Mikołaja Reja", „Balladomania po wystąpieniu A. Mickiewicza", „O sonetach krymskich A. Mickiewicza", „A. Mickiewicz w podróży po Europie". Końcowe świadectwo Pilata, datowane z dnia 12 lipca 1883, mówiło: „Rozprawy p. Mazanowskiego odznaczały się sumiennością i gruntownością i świadczyły o niezwykłem jego uzdolnieniu".

W życiu akademickiem brał żywy udział. Z kolegów, z którymi stykał się wówczas na tej platformie, wymieniam: Finkla, Zakrzewskiego, Balcera, Majchrowicza, Bostla.

Na utrzymanie musiał zarabiać. Był stypendystą Ossolineum od maja 1881 r. W rok potem został aplikantem przy krajowem archiwum akt grodzkich i ziemskich. W ostatnim roku studyów otrzymał stypendyum Spadwińskiego.

Po ukończeniu uniwersytetu przerobił i uzupełnił ostatnią pracę seminaryjną i p. t. „Adam Mickiewicz, życie, rozwój umysłowy, geneza dzieł od 1829—1832", przedłożył w 1884 r. wydziałowi filozoficznemu, który uznał ją jako zadawalniającą pro gradu. Ale rygorozów nie składał, natomiast za stypendyum Sapieżyńskiem wyjechał za granicę. Na rok szkolny 1884/85 zapisał się do uniwersytetu monachijskiego, w którym słuchał wykładów historyczno-literackich Bernaijsa i Carriere'a. Otrzymawszy przedłużenie stypendyum na rok 1885/86, pojechał do Bazylei, gdzie w półroczu zimowem słuchał wykładów historyczno-literackich Borna'a, Mähly'ego i Hagenbacha.

W niedługi czas po powrocie do kraju, dnia 22 lipca 1886 r. ożenił się z p. Anielą Pstrokońską i zamieszkał w Krakowie. Prośbę o posadę zastępcy nauczyciela w jednem z gimnazyów we Lwowie lub Krakowie Rada szkolna pismem z dnia 7 października tegoż roku odrzuciła. Na skutek tego pojechał do Warszawy, gdzie cały rok 1887 i początek 1888 pracował jako dziennikarz, wśród ciężkich warunków materyalnych. Następnie, gdy teść jego odziedziczył po bracie Badowe Mściska pod Mszczonowem, przeniósł się tam i przez dwa lata pomagał teściowi w gospodarstwie.

Dopiero w r. 1891 otrzymał posadę zastępcy nauczyciela w gimnazyum IV. we Lwowie. Spędził tam dwa lata szkolne: 1891/92 i 1892/93. Dnia 12 maja 1893 złożył egzamin nauczycielski w Krakowie. W r.

1893 otrzymał posadę nauczyciela w gimnazyum w Stryju, skąd po roku przeniesiono go na własną prośbę do Podgórza. Tam był profesorem w latach 1894/95 do 1901/2. W tym ostatnim roku przeniesiono go ostatecznie do gimnazyum Sobieskiego w Krakowie.

Utrzymanie licznej rodziny (pięcioro dzieci) zmuszało go, poza obowiązkowemi, do lekcyi prywatnych. W r. 1895/6 uczył języka i literatury polskiej na kursie dla nauczycieli szkół ludowych do egzaminu wydziałowego; od 1895 do końca życia w szkole księży Misyonarzy; przez jakiś czas w liceum H. Kaplińskiej, potem w gimnazyum II. Strażyńskiej, gdzie też był dyrektorem do r. 1914; w liceum i gimnazyum SS. Urszulanek; wykładał kilkakrotnie na letnich kursach uniwersyteckich dla kobiet i nauczycieli zakordonowych; przez lat kilka na kursach imienia Baranieckiego; nadto miewał przygodnie wykłady w Uniwersytecie Ludowym i Powszechnym.

Umarł dnia 24 listopada 1916 r. Pochowany został w grobie rodzinnym na cmentarzu podgórskim.

Był to nauczyciel — co się nazywa — z Bożej łaski. Przedewszystkiem posiadał wrodzony talent pedagogiczny, którym odgadywał drogi i środki, wiodące do celu. O wielu jego lekcyach można powiedzieć, że były natchnione: jego uczniowie nie spostrzegali, jak upłynęła godzina, nie uczuwali zmęczenia, nie uświadamiali sobie wysiłku, dzięki któremu rozszerzał się ich horyzont duchowy od stopnia do stopnia, od pojęcia do pojęcia, od analizy do syntezy. Ale on sam doskonale uświadamiał sobie własne metody i czego raz użył pod wpływem natchnienia, to drugi raz stosował w odpowiedniej chwili, z zamiarem z góry powziętym. Czytywał nadto dużo z dziedziny pedagogii i dydaktyki i rozumnie, a często oryginalnie posługiwał się obcemi metodami. Do lekcyi przygotowywał się przez wiele lat nadzwyczaj starannie, a gdy zdobył już wszechstronną rutynę, to jeszcze nieraz na nowo opracowywał pewne szczegóły, aby nie zaskorupieć i nie stracić dydaktycznej giętkości. Niektóre z tych lekcyi to były skończone arcydzieła: ani minuta stracona na darmo, szczegóły wszystkie ustawione w należytej perspektywie, zależnie od swego znaczenia, a całość nalana jednym kolorytem, spięta jedną myślą naczelną i panującą, całość zajmująca, technicznie wyborna, treściowa ważna i ważka, jednem słowem — piękna. Dopiero z latami rozwijające się przytępienie słuchu odebrało jego lekcyom doskonałość.

A następnie posiadał zapał do przedmiotu, jakiego uczył, święty zapał kapłana, który wie, że w literaturze polskiej mieszka bóstwo mądrości, piękna i najszlachetniejszych uczuć, zapał, którym czarował uczniów i którym uczniów rozpłomieniał. Zdając sobie sprawę z celu nauki tego przedmiotu, największy nacisk kładł na walory etyczne i estetyczne. Chciał i umiał osiągnąć, aby słowo i myśl pisarza wywołały to głębokie falowanie w duszy, które mimo pozorów trwa ogromnie długo i odnawia się, gdy życie stawia nas przed problemami czynów doniosłych.

Wymowę miał gładką i płynną, z domieszką kresów wschodnich: akcentem lekkośpiewnym, przedłużaniem samogłosek pod akcentem. Posiadał cechy bardzo dobrego mowcy: materyału głosowego używał roztropnie, dobywał z niego całej skali tonów, budował sploty okresów i zdań różnolitych, treść zaprawiał mocno barwą.

Zajmował się wszechstronnie uczniami i uczenicami swemi, aby rozmiłowali się w języku i w literaturze polskiej i aby jak najdzielniej pierwszym władali, drugą zaś jak najlepiej poznali. Wszelako na tem nie ograniczał się jego stosunek do szkoły. W gimnazyum swojem zbierał kółka literackie, organizował popisy deklamacyjno-wokalne, założył czytelnię dla uczniów (jedną z pierwszych w Galicyi), bratnią pomoc, i był inicyatorem, oraz przez wiele lat kuratorem *Znicza*, pisemka przez uczniów wydawanego dla uczniów. A nadto radą i pomocą służył chłopcom w wielu kłopotach, sporach i biedach, pomocą zarówno moralną, jak materyalną, a gdy własny grosz nie starczał, pukał skutecznie o pomoc cudzą. Niejeden z uczniów, gdy opuścił szkolne mury, pozostawał z nim w stosunkach osobistych lub w korespondencyi. Ten wpływ, poza szkołę przeciągnięty, zasadzał się na inspiracyi do pracy literackiej, naukowej lub pedagogicznej, wpływ zawsze krzepiący i do prawdziwie górnego zachęcający lotu.

Jeżeli do tych przymiotów dodamy, że poczucie sprawiedliwości, wyrozumiałość, takt, intuicya w odgadywaniu charakterów były w nim godne podziwu, otrzymamy portret jednego z najlepszych nauczycieli, jakich miała nasza szkoła średnia kiedykolwiek.

Jakoż kolejni dyrektorowie jego, Kozioł ze Lwowa, Petelenz ze Stryja, Bednarski z Podgórza, w osobnych pismach dziękowali mu za to, jak kształcił i wychowywał młodzież, a ostatni, Sołtysik, był jego gorącym admiratorem i przyjacielem. Inspektorowie i Rada szkolna krajowa wyrażali mu wielokrotnie pochwały. Nadano mu tytuł radcy szkolnego już w r. 1909, zasięgano jego opinii w sprawach dydaktycz-

nych i metodycznych, wzywano do ankiet w sprawie nauki języka i literatury polskiej. Jemu to w r. 1902 poruczono, aby wraz z J. Czubkiem i R. Zawilińskim przedstawił wnioski co do zmian w „Wypisach" Tarnowskiego; jego też opinie zaważyły w wynikach ankiety z r. 1910. On wkońcu wprowadzał przez długie lata na kursach praktykantów w III. gimnazyum młodych polonistów do zawodu.

Napisał wiele. Polem głównem zainteresowań jego była literatura polska, w szczególności okres romantyzmu i czasy współczesne, dalej literatura rosyjska, na co nie bez wpływu był kilkoletni pobyt w gimnazyach Królestwa, dwukrotna podróż do Rosyi i późniejsze stosunki z rodziną, żyjącą pod zaborem rosyjskim i w cesarstwie, oraz malarstwo, do czego znów przyczynił się pobyt w Monachium. Stosunek jego do dzieł sztuki uwarunkowany był przedewszystkiem walorami estetycznymi, w drugim rzędzie walorami etycznymi, chociaż z pism jego możnaby wnosić, że kolejność była odwrotna, gdyż nie tylko jako wychowawca i nauczyciel, ale także jako gorący katolik, patryota i nad dobrem ludzkości rozmyślający człowiek, ilekroć publicznie zabierał głos, tylekroć ostateczny wyrok ferował na podstawie wartości etycznych. Ponieważ niema większego dzieła literackiego, któregoby działanie ograniczało się do wrażeń estetycznych i ponieważ dzieła sztuk plastycznych w mnóstwie wypadków przekraczają tychże wrażeń granice, przeto zwalczał teoryę sztuki dla sztuki i z pewnością uznawał skalę Ruskina. Wszelako aż nadto dobrze wiedział, że o sztuce rozstrzyga forma, i na tę formę był wrażliwy nawet w dziełach, które godziły w gmach jego pozaestetycznych przekonań i wierzeń. Jego kryterya etyczne to kryterya etyki chrześcijańskiej. Jego kryteryów estetycznych nie umiem streścić: nadmieniam tylko, że odczuwał piękno różnych stylów i że miał to, co nazywają dobrym smakiem. Nie posiadając głębszego wykształcenia filozoficznego, mniej się interesował dziełami myśli filozoficznej i nieraz nie ustrzegł się nieporozumień tym brakiem wywołanych, oraz analogii i kontrastów bezprzedmiotowych.

Płody jego pióra można podzielić na cztery grupy; na uboczu stoją tłómaczenia z rosyjskiego przekładu Dickensa.

Pierwsza to artykuły krytyczne i artystyczno-literackie, artykuły, urastające czasem do rozmiarów studyów, wszystkie o zjawiskach chwili bieżącej.

Największa ich część, przeznaczona dla informacyi czytelników czasopism, spełniała zadanie swoje zawsze dobrze; zabarwienie krytyczne tych informacyi było stale dość rozległe, a podobało się szczególnie czytelnikom „Przeglądu Powszechnego“, którego sprawozdawcą literackim był Mazanowski przez lat blisko dwadzieścia. Do rozmiarów książki urosło studyum o *Młodej Polsce w powieści, liryce i dramacie* (1902), oraz studyum o młodej Rosyi: *Gorkij, Czechow, Wieresajew, Andrejew* (1907). Pierwsze nie wnika tak głęboko, jak *Idee* i *Legenda* Brzozowskiego, w teorye nowego kierunku, do którego odnosi się bardzo krytycznie, i nie zawiera tyle materyału informacyjnego, co książki Feldmana i Potockiego, ani tak rozległe nie jest skreślone; dlatego — mimo wielu bystrych spostrzeżeń — jest już tylko dokumentem. Drugie spotkało się z obojętnością, szczególnie dziwną wobec faktu, że czytające społeczeństwo w Galicyi o nowszej literaturze rosyjskiej ma prawie tak samo ubogie pojęcie, jak o dawniejszej, choć rosyjska literatura powieściowa i nowelistyczna jest jedną z najznakomitszych w Europie.

Drugą grupę stanowią rozprawy i artykuły historyczno-literackie. *Adam Mickiewicz od r. 1829—1832* (1885), to w swoim czasie było pożyteczne studyum, nie przynoszące wprawdzie rzeczy nowych, ale zbierające starannie i dokładnie szczegóły życia, ujmujące szkicowo psychiczny rozwój poety i wyświetlające genezę dzieł z tego okresu. Tarnowski, jako zaletę studyum, wymieniał nadto, że autor „usiłuje traktować przedmiot trzeźwo i z rozwagą, a unika idealizowania i panegiryzmu, które panują dotąd we wszystkiem prawie, co się o Mickiewiczu pisze“.

Stosunki i wzajemne sądy Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego (1890) zyskały taką współczesną opinię Tarnowskiego: autor kwestyę „traktuje naprzód bardzo starannie i gruntownie, z użyciem wszystkich świadectw, jakie dziś można mieć pod ręką. Powtóre traktuje ją bystro i zręcznie, ze znajomością i głębszem zrozumieniem natury każdego z tych poetów i usposobienia, w jakiem się w różnych czasach znajdował. Stosunek ich wzajemny i zmiany, jakie w tym stosunku zachodzą, i powody zmian oznaczone są bardzo trafnie, tak, że kwestyę tę można uważać za rozwiązaną“.

Dziś obie te książki są naturalnie przestarzałe. Mnogość nowo odkrytych i udostępnionych źródeł, tudzież opracowań różnych kwestyi, z tymi tematami związanych, pogłębiły naszą znajomość przedmiotu. Jednakowoż dopóki nie posiadamy nowego opracowania w ca-

łokształcie drugiego z tych zagadnień, dopóty trzeba będzie posługiwać się jeszcze książką Mazanowskiego, pamiętając, że należy ją uzupełniać i poprawiać.

Klucz do symboliki Anhellego (1909) jest fałszywy w rozumieniu naczelnej idei poematu, który — rozgrywając się we współczesności autora i do niej się odnosząc — nie zawiera wcale zapowiedzi, że zjawi się kiedyś człowiek, co *świadomą* ofiarą zmaże winy narodu; ale klucz ten do symbolicznych szczegółów poematu zawiera wiele cennych objaśnień.

Zaliczam tu także szereg drobniejszych przyczynków: *Nieznana satyra Krasickiego* (1884), *Przyczynek do życiorysu A. Malczewskiego* (1885), *Ojciec zadżumionych* i *Treny* (1892), *Topografia w Panu Tadeuszu* (1898), *Jedna z dramatycznych kronik Słowackiego* (1909) i jubileuszowa broszura o *Skardze* (1912).

Trzecią grupę stanowią podręczniki do nauki historyi literatury polskiej.

Należą tu najpierw „Charakterystyki literackie“ najwybitniejszych pisarzy, wydawane od r. 1896, nakładem złoczowskiego księgarza Zuckerkandla. Pierwsze charakterystyki wyszły bądź z pod pióra Antoniego Mazanowskiego, bądź brata jego Mikołaja; później przyłączyli się: Chmielowski, Janik, Zdziarski, Stodor. Ogółem Antoni Mazanowski napisał ich siedm: o *Mickiewiczu, Ujejskim, Kochanowskim, Krasickim, Wyspiańskim, Tetmajerze, Konopnickiej.* Każda z nich zawiera życiorys danego pisarza (z ewentualnym podziałem na okresy), genezę dzieł, ich streszczenie, (ewentualnie charakterystykę osób), ocenę i znaczenie w historyi literatury, wkońcu ogólną charakterystykę pisarza i określenie jego stanowiska w literaturze polskiej. Zamyka książeczkę bibliografia. Stopień oryginalności jest różny: większy w charakterystykach pisarzy współczesnych autorowi, mniejszy w innych, ale żadna nie jest kompilacyą bez reszty; autor bowiem bądź opracował oryginalnie niektóre partye, czy szczegóły, bądź położył silne piętno indywidualne gdzieindziej przez selekcyę opinii i opinię o opiniach. Celem charakterystyk było dostarczenie młodzieży szkolnej t. zw. prywatnej (względnie samoukom na stopniu średnim pożytecznej) lektury. Uczeń lekturą tą pogłębia i rozszerza wiadomości, nabyte w szkole, czy z treściwych „Wypisów“. Większość charakterystyk osiąga ten cel, dzięki przystępnemu a bogatemu w treść wykładowi, robocie bardzo starannej i sumiennej. Stanowią one także lekturę przyjemną i dla wyrobienia wrażliwości estetycznej korzystną, dzięki niezaprzeczonym

zaletom stylu. Mniej popularne są charakterystyki pisarzy nowszych, które stworzyć było oczywiście bez porównania trudniej i które — zdaje mi się — wypadły gorzej. Wszystkie były i są czytywane szeroko, do czego przyczynia się też taniość edycyi. Najwięcej rozeszły się: o Mickiewiczu (trzy wydania), o Ujejskim, Kochanowskim i Krasickim (każda po dwa wydania).

Następnie należy tu *Podręcznik do dziejów literatury polskiej*. Antoni Mazanowski jest autorem części pierwszej, do Mickiewicza włącznie, i głównych partyi z najnowszych czasów (Sienkiewicz, Modernizm, Teoretycy modernizmu); reszta jest pióra Mikołaja Mazanowskiego. Jak bardzo podręcznik taki jest u nas potrzebny, dowodzi fakt, że od r. 1902 rozeszły się trzy edycye (II. z 1910, III. z 1916) i obecnie drukuje się już czwarta. Przeznaczony na pomocnicze kompendium do nauki na stopniu średnim, może z korzyścią być używany przez uczniów i mniej fachowo wykształconych nauczycieli. Jestto tego typu obecnie najzasobniejsza w treść książka.

Wkońcu należą tu *Wypisy polskie na VII. klasę gimnazyalną* i *Wypisy polskie na VIII. klasę gimnazyalną* (1914). Powstały dlatego, że znakomite na swój czas, epokę w nauce historyi literatury stanowiące „Wypisy" Tarnowskiego, przestały wystarczać, nawet po przeróbkach i uzupełnieniach. Pierwszy tom „Wypisów" Tarnowskiego zaczęła wypierać doskonała *Historya literatury niepodległej Polski*, Chrzanowskiego, w oryginale lub przeróbce Wojciechowskiego. Aby zastąpić drugi tom, Mazanowski stworzył swoje „Wypisy". Główną ich zaletą jest dobór utworów i wyjątków, ciągłość obrazu historyi literatury, doprowadzenie do czasów najnowszych, styl, skrócenie biografii do minimum, podanie bibliografii i kwestyonaryusze (tu niektóre pytania za trudne). Stanowią też one w stosunku do „Wypisów" Tarnowskiego pewien postęp.

Czwartą grupę tworzą artykuły z dziedziny wychowania i dydaktyki historyi literatury polskiej. Są to: *Znaczenie lektury A. Mickiewicza w wychowaniu naszej młodzieży* (1893), *Lektura Mickiewicza w szkole średniej* (1895), *Kilka słów o metodzie nauki języka polskiego* (1895), *Rozbiór metodyczny koncertu Jankiela* (1898), *Balladyna w szkole średniej* (1903), *Wpływ wychowawczy nowej literatury* (1909), *Zepsucie dzisiejszej młodzieży gimnazyalnej i środki zaradcze* (1911), *Środowisko a wychowanie* (1913). Żaden z tych artykułów nie stracił aktualności: każdy przeczytać warto.

Taki jest plon jego pracy: obfity. A zdolności wrodzone i pracowitość jeszczeby ten plon zwiększyły i więcejby w nim zawarły ziarna, gdyby nie ciągła, od młodych lat, wyczerpująca potrzeba zarobku. Ona sprawiała, że miewał więcej lekcyi, niż bez nadmiernego wysiłku mieć ich można, i ona zmuszała go do pośpiechu w pracy literackiej, a pośpiech zwykł pociągać za sobą też pobieżność i rzeczowe usterki, od których nie jest wolny *Podręcznik* i nie wolne są *Wypisy*.

Dla rodziny swej był szczęściem, dla dzieci cnoty wzorem, dla przyjaciół portem. Najpiękniejszą cechą jego charakteru było, że żył zgodnie z głoszonemi zasadami. Zapobiegliwy, przezorny, oszczędny, wytrwały, skrzętny, dla innych wyrozumiały, dla siebie surowy, — uczniom, przyjaciołom, organizacyom społecznym z pomocą skwapliwie spieszył.

Pozostaje po nim pamięć militis christiani, co piórem i słowem wiernie tradycyom katolickim służył; pamięć pisarza, co polską literaturę podręcznikarską w swoim czasie bogacił; a nadewszystko pamięć nauczyciela, co zasłużył sobie na tytuł najpiękniejszy, jaki nauczyciel zdobyć może: studiosorum amor et deliciae.

Stanisław Turowski.

Z wystawy Towarzystwa Sztuk pięknych w Krakowie.

Oddawna nie czyniła żadna z wystaw krakowskiego Towarzystwa Sztuk pięknych tak dodatniego wrażenia, jak ta, którą otwarto w początkach sierpnia b. r. Nie imponuje ona ilością eksponatów — nie wystarczyło ich bowiem na wypełnienie wszystkich sal wystawowych — ale zato nosi na sobie piętno wysoce artystyczne. Z prac na niej zgromadzonych promienieje urok, jaki wywierają talenty młode, wiele zapowiadające lub będące już w pełni rozwoju, promienieje czar młodości, co działa niby „ver sacrum", na widza. Oglądając tę wystawę, zbywamy się troski o przyszłość naszego malarstwa, która to troska — powiedzmy otwarcie — musiała nachodzić miłośników sztuki ojczystej w ciągu ostatnich kilku lat na widok wielu wystaw, tak beznadziejnie banalnych.

To, że obecna wystawa nie ma żadnego związku z toczącą się wojną, świadczy dobrze o sprężystości naszego ducha, skoro artyści zdołali, pomimo przygnębienia, które wojna wywiera, oderwać się od rzeczywistości, nieraz więcej brutalnej, niż tragicznej.

Ze wszystkiego, co dotąd wyprodukowano w naszem malarstwie,

opierając się na tematach wojny światowej, pokazuje się, że za blisko jeszcze stoimy od wypadków wielkiej katastrofy dziejowej, rozgrywających się przed naszemi oczyma, aby mogły pobudzić twórczość naprawdę artystyczną. Podobnie ma się rzecz i z literaturą, w której wojna światowa nie zdołała dotąd wprządz do swego rydwanu żadnego talentu. Faktem jest natomiast, że tocząca się wojna stała się wdzięcznem polem dla operatorów kinematograficznych, wierszorobów i wszelkiego rodzaju grafomanów, nie tylko u nas, ale i na całym świecie.

* * *

Wielki i wielostronny talent Sichulskiego podziwiać można po rzeczach, które obecnie wystawił. Niedawno temu pisałem na tem miejscu o jego znakomitych krajobrazach zimowych — teraz przyszła kolej na podziwianie wiosennych krajobrazów tegoż artysty. Jego „Pejzaż III." — to wspaniała symfonia słońca, barw, ciepła, taka prawdziwa, taka bogata, taka porywająca, że trudno sobie wyobrazić piękniej przeniesioną na płótno naszą polską, okwieconą wiosnę. Ten sam kościółek wiejski posłużył artyście za temat do drugiego krajobrazu, stanowiącego „pendant" do pierwszego — a mało co ustępującego mu w efekcie.

Swoista Sichulskiemu technika, którą można na wymienionych krajobrazach najlepiej poznać, zbliżona jest bardzo do techniki „pointillistów" francuskich, różni się jednak od niej tem, że uważa on ją nie za cel, lecz za środek. Dlatego też, patrząc z pewnej odległości na owe krajobrazy, nie zwraca się uwagi na to, jak artysta malował, lecz co namalował.

Zupełnie znowu innej techniki używa artysta przy malowaniu kwiatów, co widać na jego prześlicznych „Irysach", zbliżających się do kwiatów Wyczółkowskiego, który wśród naszych artystów doprowadził ten rodzaj malowania na najwyższy stopień doskonałości.

Najznakomitszemu nawet skrzypkowi zdarzyć się może, iż weźmie jakiś ton fałszywie, a najtęższemu malarzowi, że chybi w koncepcyi swego obrazu. „Madonna" Sichulskiego należy właśnie do takich koncepcyj chybionych. Postać Madonny pomyślał artysta w poważnym i szlachetnym stylu, natomiast Dzieciątko nie udało mu się zupełnie. Niewiasta jest stylizowana w duchu późnego renesansu włoskiego, dziecko zaś ma brzydki słowiański typ twarzy, a figurkę niezgrabną i źle narysowaną. Niewątpliwie jednak malarz tej miary, co Sichulski, ta-

kiem jednorazowem niepowodzeniem nie zrazi się, nie porzuci kompozycyj o charakterze religijnym, tem więcej, że sporo jego prac dawniejszych wykazuje wielkie uzdolnienie w tym kierunku.

Gdy swego czasu Jacek Malczewski przystał na Secesyę wiedeńską, którą już dawniej obsyłał H o f m a n n, znaczniejszą ilość swych dzieł, jeden z członków „jury“ miał zawołać uradowany: „Wir haben doch den Vater von Hofmann gefunden!“ Jak w każdej anegdocie, jest i w tej ziarnko prawdy. Talent Hofmanna ma, nieszczęśliwym dlań zbiegiem okoliczności, dużo pokrewieństwa z wielkim talentem Malczewskiego. Z tego pokrewieństwa, czy powinowactwa, wynika, że Hofmann tworzy, w c a l e b e z m y ś l i k o p i o w a n i a M a l c z e w s k i e g o, w sposób nader podobny. Niekiedy podobieństwo to bywa nawet rażącem, jak np. w obecnie wystawionym tryptyku p. t. „Ustronie“, w którym nie brakuje nawet „zagadkowego“ Satyra, tak żywo przywodzącego na pamięć tyle „zagadkowych“ postaci na płótnach Malczewskiego. Wiele bardzo osób, zwiedzających obecnie wystawę, bierze ów tryptyk w pierwszej chwili za dzieło tego ostatniego.

Znacznie wyżej, niż tryptyk, stoją: „Mateusz Ewangelista“, „Sonata wiosenna“ i „Posłaniec z nad rzeki Lety“, a to dlatego, że Hofmann jest w nich samym sobą, z właściwym sobie sentymentem, ze swoją własną oryginalnością pomysłu i faktury, czasem wprawdzie kulejącej, ale, bądź co bądź, nie pożyczonej od nikogo.

Dwa autoportrety, z dużem zacięciem malowane w „plein air'ze“, czyniłyby o wiele jeszcze korzystniejsze wrażenie, gdyby artysta był obniżył skalę patosu, zupełnie zbytecznego w portrecie i gdyby się starał o kładzenie barw więcej czystych i przejrzystych. Trzeba jednak podnieść, że wystawione obecnie prace różnią się od dawniejszych prac tego artysty kolorytem, na ogół znacznie przyjemniejszym dla oka, bo więcej do natury zbliżonym.

Widokami tatrzańskimi wyrobił sobie już od dość dawna markę S k o c z y l a s. Wystawione teraz przezeń akwarelowe pejzaże, z motywami przeważnie zakopiańskimi, powiększyć jeszcze muszą dobre mniemanie ogółu o tym miłośniku gór naszych. Zajmuje on już teraz przednie miejsce, obok Witkiewicza i Wyczółkowskiego, wśród licznej gromady malarzy polskich, którzy czerpią z nich natchnienia i tematy. Czy weźmiemy doskonały widok „Z Żakopanego“, czy „Leśniczówkę“, czy „Las“, czy też „Drogę“ — wszędzie widzi się tę samą bystrą obserwacyę natury, tę samą energiczną technikę, tę samą świeżość koloru. Krótko mówiąc, są to rzeczy, budzące w widzu chęć ich posiadania.

Z natury rzeczy wynika, że kraj nasz, gdzie ostra, ponura zima, mglista, błotna jesień i często dżdżysta wiosna, zajmują więcej, niż połowę roku, nie może być ojczyzną malarzy pory słonecznej. Obfitujemy też w malarzy jesieni i zimy. Do ich rzędu przybywa wiele zapowiadający malarz, P i e n i ą ż e k. Z pomiędzy kilku prac, z jakiemi wystąpił obecnie, wyróżniają się szczególniej: „Cerkiew busowiecka" i „Zimowy widok z Topolnicy". Obydwa te widoki malowane są znakomicie, a uderza w nich przedewszystkiem niepospolita wrażliwość oka artysty na różnicę w lokalnych barwach śniegu, stosownie do oświetlenia. Na pierwszy rzut oka wydaje się np. „Cerkiew busowiecka" monotonnie szarą. Skoro jednak wpatrzymy się dłużej w ten krajobraz, spostrzegamy w nim całą gamę dyskretnych barw na niebie i na śniegu, miejscami lekko zaróżowionym przez promienie zachodzącego słońca, lub ciemno-niebieskim w cieniach.

Kilka wnętrz tegoż artysty stoi o wiele niżej. Talent jego potrzebuje najwidoczniej dużo powietrza i światła.

Dwa widoki na Wawel, względnie Kraków, oraz kilka pejzaży U z i e m b ł y, akwarelowe pejzaże zimowe C z a j k o w s k i e j, „Zakątek między kościołem Maryackim a kościołem św. Barbary" T u r k a i N o w o t n e j „Z katedry ormiańskiej", dostrajają się do całości wystawy ujęciem tematów i świeżością faktury.

Józefa C z a j k o w s k i e g o mało efektowna „Grupa chałup", nie należy zapewne do najudatniejszych prac artysty. Ale i z tego widoczku wieje poetyczno-melancholijny nastrój, stanowiący wybitną cechę wszystkich jego krajobrazów.

Aczkolwiek tak dawno i tak gruntownie zostaliśmy odcięci od morza, to i tak mieliśmy i mamy wielu dzielnych marynistów, dość wspomnieć nazwiska Siemiradzkiego, Popiela, Nałęcza, Austena, Małachowskiego. Krajobrazy jednak polskich malarzy z tematami morskimi spotyka się stosunkowo częściej za granicą, niż w kraju. To też urozmaicają obecną wystawę w sposób interesujący trzy sporych rozmiarów „Widoki morskie" P o t o c k i e g o. Znać w nich malarza, co przeszedł dobrą szkołę, a który, choć nie jest jeszcze panem wszystkich środków technicznych z tego zakresu malarstwa, kroczy po drodze, prowadzącej do ich osiągnięcia. I tak, morze i niebo z tych widoków, wzięte każde z osobna, jest prawie bez zarzutu malowane, lecz w całość się nie wiążą. Jeżeli na lądzie już atmosfera sprawia, że z pewnej odległości największe nawet kontrasty łączą się w całość, mającą ton ogólny, to na wielkich, wolnych przestrzeniach morza spostrzegamy ten sam ob-

jaw, ale jeszcze w wyższym stopniu. Na widokach Potockiego niema tego zlewania się barw, szczególniej na horyzoncie, gdzie żółtawe obłoki odrzynają się ostro od stalowo-modrej wody morskiej. Na pierwszych zaś planach woda ma tępą barwę atramentową, nie jest dostatecznie przeźroczystą, mianowicie na brzegach fal, gdzie się rozbryzguje.

Natomiast za zaletę pomienionych widoków poczytać należy, że artysta przedstawił na nich morze lekko wzburzone przez „leichte Brise" i gdy z powodu licznych mniejszych fal przedstawia największe trudności do malowania.

Każdemu, zajmującemu się sztuką, nic chyba nie może sprawiać większego zadowolenia, jak obserwowanie rozwijającego się szybko talentu malarskiego. Takim talentem, i to niepośledniej miary, obdarzona jest Stryjeńska. Cztery, czy pięć lat temu piszący niniejsze sprawozdania zwrócił w druku uwagę na pierwsze jej prace, wystawione w „Związku powszechnym artystów polskich", dopatrując się w nich zadatków niepospolitych zdolności, i nie pomylił się wcale. W jednej z sal wystawowych wszystkie ściany zawieszone są jej pracami. Wśród nich, tuż na prawo od wejścia, wisi rysowany portrecik P. W., znanej krakowskiej osobistości. Gdyby artystka nie wystawiła nic więcej nad ten portrecik, to już należałoby ją sklasyfikować, jako wcale nie kobiecy, silny, pierwszorzędny talent. Jest to bowiem rysunek tak świetnie rzucony na papier i z tak dosadną charakterystyką, a przytem z taką pewnością siebie i elegancyą, że najlepszy, o wyrobionej sławie rysownik mógłby pod nim się podpisać. Cykl, przedstawiający kilkanaście postaci bóstw ze słowiańskiego Olimpu, dalej karty do gry, z motywami słowiańskimi, a wreszcie szereg teatralnych szkiców kostyumowych, dają świadectwo bujnej wyobraźni artystki, a zarazem pozwalają stwierdzić, że pomimo szukanej groteskowości, a czasem nawet karykaturalności, przeszła z korzyścią poważne studya rysunkowe z żywego modelu. Widzimy tam, między innymi, wielce zabawne zestawienie dwóch wybornie naszkicowanych typów, w identycznie tej samej pozie — bosego parobczaka wiejskiego i młodzieńca, ubranego wedle ostatniej mody (poetę, muzyka czy malarza) naszych czasów. Zestawienie to, na pozór zabawka, pobudza jednak do głębszych refleksyj.

Rola mentora niewdzięczną jest w ogóle, a specyalnie wobec tęgich artystów (artystek) malarzy, lub takich, którzy nimi niebawem zostaną. A przecież trudno oprzeć się pokusie i nie ostrzedz Stryjeńskiej, że na to pilnie baczyć powinna, by co dopiero wspomniana gro-

teskowość nie stała się jej drugą naturą; sztuka bowiem malarska posiada oprócz niej inne, poważniejsze i lepsze środki wyrażania się; dobrą jest ona, jako przyprawa, ale za potrawę służyć nie może.

* * *

Publiczność, zwiedzająca obecną wystawę, jest nie mało zadziwiona tem, że prace czterech malarzy żydów, (urodzonych w Polsce), znalazły osobne pomieszczenie, w salce na prawo od wejścia. Miałbyż to być nowy objaw separatyzmu żydowskiego, który tak bujnie się rozwija ostatnimi czasy?... Myśl podobna przyszła do głowy także i sprawozdawcy. Zasięgnąwszy jednak informacyi, gdzie należy, dowiedział się, że pomysł zgrupowania płócien malarzy-żydów wyszedł nie od nich, lecz od zarządu Towarzystwa. Czy pomysł taki był, ze względu na obecne fermentowanie naszego stosunku do żydów, na czasie, niechaj sam czytelnik osądzi.

Wśród wystawionych w tej salce rzeczy wysuwa się na pierwszy plan Kramsztyka „Portret damy", dobry pod względem rysunku postaci i koloru, a wyrazisty w typie. Jedynie możnaby zarzucić temu portretowi, że dama, w podobny sposób wystrojona, mogłaby „flanować" po bulwarach paryskich, po warszawskim Nowym Świecie, albo też po krakowskiej Linii A—B, lecz nie wyszłaby na przechadzkę po tak dzikiej, lesistej okolicy, jaka w tle, zresztą śmiało namalowanem, jest oddaną.

Lewkowicza dwie doskonałe, naprawdę artystyczne „Martwe natury" i szlachetnie pojęty, nieco stylizowany „Portret kobiecy", a także bardzo charakterystyczny „Szkic żyda", wystawiają jak najlepsze świadectwo jego talentowi i znajomości techniki malarskiej.

Przy swej wytrwałej pracowitości i pewnym, choć niezbyt dużo ogarniającym talencie, byłby zaszedł dalej Markowicz, gdyby już raz chciał się wyzbyć zawsze jednakowej — bez względu na oświetlenie i warunki lokalne — brudnawo-niebieskawo-fioletowej barwy, stanowiącej zasadniczy ton jego wszystkich malowideł. I „Modlitwa poranna żydów", którą obecnie wystawił, jest także przepojona ową nieprzyjemną dla oka i niczem nie usprawiedliwioną barwą.

Kilka kompozycyj na tematy biblijne i fantastyczne Wachtla, słabo wykonanych i pretensyonalnych, ustępuje co do wyrazu i pomysłu dwom jego scenom, z których jedna przedstawia tłum żydów, pędzonych przez żołdaków rosyjskich, a druga, przypuszczalnie, grupę wygnańców, czy emigrantów żydowskich.

Tenże Wachtel wymalował na niewielkim obrazku „rozebraną“, ale w ażurowych pończochach i trzewikach, kobietę, rozciągniętą w lubieżnej pozie na otomanie. Co się tyczy nagości w sztuce, to sprawa ta jest dawno przesądzoną: nie razi ona nikogo rozsądnego, o ile trzymaną jest w granicach artyzmu. Ale taka „rozebrana“ ladacznica, w dodatku marnie narysowana i namalowana, nie powinna znajdować się na wystawie sztuk pięknych — miejsce dla takiego płótna jest na ścianach domu rozpusty.

Jest to jedyny, ale — niemiły dysonans na bardzo artystycznej wystawie, o której była mowa w powyższem sprawozdaniu.

ka.

Kronika ekonomiczna.

Finansowe podstawy bytu ekonomicznego w niepodległej Polsce. — Przemysł hutniczo-górniczy w Zagłębiu Dąbrowskiem. — Straty Galicyi w cyfrach. — Stowarzyszenie kupców polskich. — Budżet dobroczynności publicznej warszawskiej. — Konkurs.

Finansowe podstawy bytu ekonomicznego w niepodległej Polsce.

Pod powyższym tytułem ukazała się na pułkach księgarskich broszurka, napisana przez p. Zygmunta Herynga, wydana świeżo nakładem Towarzystwa Wydawniczego w Warszawie. Zawodowy znawca, p. Roziecki, ocenia ją w „Nowej Reformie“ następująco:

We wstępie autor, opierając się na akcie z dnia 5-go listopada 1916 roku, dowodzi, iż z powodu, że zostały założone podwaliny naszego niezależnego bytu politycznego, już obecnie możemy i musimy własnemi rękami, własną uporczywą pracą gmach ten wznieść, utrwalić i rozszerzyć.

Dalej autor zaznacza, że poza polityczną kryje się jeszcze strona ekonomiczna, niemniej doniosła, a najeżona jeszcze większemi trudnościami.

Mając na widoku przeciętnego czytelnika i chcąc dać mu możliwie najjaśniejsze wyobrażenie o opłakanym bycie ekonomicznym naszego kraju, bardzo dobrze czyni autor, ilustrując na podstawie danych, które udało mu się zebrać, fatalny stan naszego przemysłu, rolnictwa i rzemiosł.

Zwięźle i przystępnie poucza p. Heryng, że dla podniesienia bytu

ekonomicznego naszego kraju potrzeba przedewszystkiem gotówki, potrzeba kapitału w pieniężnej jego postaci.

Dużo uwagi poświęca obecnej formie kredytu, sposobowi zdobywania w przyszłości gotówki, oraz sprawie waluty, jako finansowej podstawy bytu ekonomicznego w niepodległej Polsce i w rezultacie dochodzi do wniosku, że dla odbudowy naszego rolnictwa, przemysłu i rzemiosł koniecznem jest powołanie do życia Polskiego Banku Emisyjnego, którego projekt ustawy zamieszcza w końcu broszurki.

Szczegółowo nad każdym paragrafem projektowanej ustawy zastanawiać się nie będziemy, tem więcej, że sam autor, przewidując, iż jego projekt może się spotkać z licznymi zarzutami, na niektóre z nich z góry dał odpowiedź w końcowym ustępie swojej pracy.

Pomówimy przeto tylko o artykułach, mających zasadnicze znaczenie dla naszego narodowego bytu ekonomicznego w niepodległej Polsce. A więc § 3 projektowanej ustawy wyjaśnia, że pierwiastkowy kapitał zakładowy Polskiego Banku Emisyjnego określa się na 20 milionów marek polskich, podzielonych na 200.000 akcyj po 100 marek każda; dalej, że na razie akcyonaryuszami mogą być wyłącznie instytucye finansowe, właściciele i dzierżawcy gospodarstw rolnych, przedsiębiorstw przemysłowych i rzemieślniczych, którzy zapragną z kredytu w tych instytucyach korzystać. Jak widzimy, paragraf ten pomija walutę polską, o tradycye narodowe opartą, pomija Radę Stanu, która w organizacyi Banku bezwarunkowo udział przyjąć winna, a całą akcyę odbudowy ekonomicznego życia naszego kraju oddaje prawie wyłącznie w ręce instytucyj finansowych, które, mówiąc nawiasem, nie tylko dziś nie są w możności nabywania akcyi, ale nawet często odmawiają udzielania skromnej pożyczki pod zastaw pierwszorzędnych obligów publicznych.

Dalej § 7 projektu zaznacza, że wypuszczone bilety kasowe podlegają stopniowemu umorzeniu w ciągu lat 10-ciu przez wylosowanie w pierwszym dniu każdego miesiąca jednej 120-tej ich części, przyczem mówi się, że wylosowane banknoty polskie wymienione zostaną w Niemczech na banknoty niemieckie lub ewentualnie na złoto. Sumy w markach niemieckich, potrzebne dla uskutecznienia cząstkowej wymiany, zdobywa się w ten sposób, że każdy z dłużników Polskiego Banku Emisyjnego obowiązuje się do spłacenia połowy, zaś po zlikwidowaniu Polskiej Krajowej Kasy Pożyczkowej co najmniej jednej dziesiątej części zaciągniętej pożyczki w walucie niemieckiej.

Przy omawianiu tego paragrafu, mimowoli nasuwa się pytanie,

diaczego wylosowana moneta polska ma być wymienioną tylko na banknoty niemieckie, a nie np. na korony austryackie.

Autor, który zapytanie takie przewidział, wyjaśnia, iż z powodu, że najprawdopodobniej kurs polskiej niewymienialnej waluty, podobnie jak kurs niewymienialnego rubla, ustalać się będzie wyłącznie niemal na giełdzie berlińskiej.

Dyskutować o tem, czy faktycznie tak się stanie, jak autor przewiduje, jest rzeczą przedwczesną; natomiast jest faktem stwierdzonym, że smutny jest los tej waluty, o kursie której za granicą stanowi giełda wyłącznie tylko jednego państwa.

Wreszcie § 9 projektu ustawy P. B. E. objaśnia, że rolnicy, przemysłowcy, rzemieślnicy mogą korzystać w tym Banku z kredytu kilkoletniego, nie dłuższego jednak, nad lat pięć.

Jeżeli przyjmiemy pod uwagę, że rolnictwo nasze w czasach normalnych korzystało w Towarzystwie Kredytowem Ziemskiem z kredytu przeszło trzydziestoletniego amortyzacyjnego, a Bank Polski już w 1834 roku, t. j. w tym właśnie czasie, kiedy przemysł nasz był dopiero w zarodzie, udzielał fabrykantom pożyczek długoterminowych do umorzenia w przeciągu dwunastu lat i od 1834 do 1859 roku wydał takich pożyczek przemysłowcom rubli 92,000.000, to projekt pięcioletniego kredytu w warunkach, w jakich się obecnie znajdujemy, ani rolników, ani też przemysłowców zadowolnić nie może.

Pomimo, że projekt omawianej ustawy w dalszym ciągu może spotkać się z zarzutami, jednak wychodząc z założenia, że treścią polityki narodowej nie jest negacya, alę twórcza praca obywatelska, pracę p. Herynga, jako nowy dorobek naszej literatury specyalnej, powitać należy.

Przemysł hutniczo-górniczy w Zagłębiu Dąbrowskiem.

W Zagłębiu Dąbrowskiem interesują się obecnie sfery górniczo-przemysłowe rozporządzeniem, dotyczącem likwidacyi przedsiębiorstw francuskich. Jeżeli rozporządzenie to przyczyniłoby się do przymusowej sprzedaży owych przedsiębiorstw, to dotyczyłaby ona przedewszystkiem kopalni „Czeladź“ Towarzystw Franko-Ruskiego, Hr. Renard Tow. Francusko-Włoskiego, kopalni „Flora“, Tow. Sosnowickiego, zakładów metalurgicznych Huta Bankowa, Huldschinski i Tow. Nowo-Radomskiego. Oprócz tych przedsiębiorstw, również i w innych jest zaangażowany kapitał francuski.

Prawie wszystkie te przedsiębiorstwa posiadają również polskie kapitały, nieraz nawet w wysokich udziałach, jak np. Huta Bankowa, której najpoważniejszym akcyonaryuszem jest Polak, p. Riesenkampf, prezes katolickiego Tow. dobroczynności w Petersburgu, bliski krewny Kozieł-Poklewskich i Wielopolskich. Tenże Riesenkampf jest jedynym istotnym właścicielem koncesyi Tow. francusko-włoskiego. W Tow. Noworadomskiem akcyonaryusze Huty Bankowej posiadają prawie całość akcyi, a Tow. Renard więcej niż w trzech czwartych częściach należy do Huty Bankowej. W Tow. Flora zarząd składa się wyłącznie z Polaków.

Z wymienionemi przedsiębiorstwami połączone jest posiadanie bogatych terenów rudonośnych. Huta Bankowa posiada bogate pokłady rudy żelaznej. Tow. Sosnowickie i Franko-Ruskie są jedynymi właścicielami terenów cynkowych w Królestwie.

Rozporządzenie, dotyczące likwidacyi, przypomina rozporządzenie podobnej treści, ogłoszone dla terytoryum Rzeszy niemieckiej, jako odwet za analogiczne rozporządzenia koalicyi.

Nasze sfery przemysłowe, a przedewszystkiem Tow. Przemysłowców Królestwa Polskiego, zainteresowane żywo tą sprawą, poczyniły odpowiednie starania, aby władze zechciały uwzględnić potrzeby przemysłu polskiego i czysto polskich interesów przed wykonaniem wymienionego rozporządzenia, zwłaszcza, że w Rosyi obecnie znajduje się znaczna część polskich kapitałów i cały szereg przedsiębiorstw przemysłowych. Likwidacya przedsiębiorstw przemysłowych w Polsce mogłaby się spotkać z odpowiednim odwetem w Rosyi względem przedsiębiorstw i obywateli państwa polskiego, zaangażowanych finansowo w Rosyi.

Francuzi, zaangażowani w przedsiębiorstwach Zagłębia Dąbrowskiego, prowadzili u nas na ogół gospodarkę rabunkową, możliwą w dawnych warunkach przy protekcyi władz rosyjskich. Zapewne nie zechcieliby się przystosować do nowych warunków, jakie wytworzą rządy polskie i jako typowi giełdziarze, chętnie zapewne sprzedadzą swe przedsiębiorstwa lub akcye, skoro tylko otrzymają za nie dobrą zapłatę w czasach niepewnych wojennych konjunktur.

Że jednak przemysł polski na takim obrocie sprawy wyszedłby gorzej, niż ci Francuzi — to pewna. Jedynie nabycie tych przedsiębiorstw przez przyszły Skarb polski nie osłabiłoby, a nawet wzmocniło bogactwo narodowe. Tem bardziej byłoby to wskazanem, skoro się zważy, że np. Tow. Franko-Ruskie nie jest właścicielem, lecz dzierżawcą

przedsiębiorstwa na pewien przeciąg czasu, istotnym zaś właścicielem jest Rząd krajowy, od którego przedsiębiorstwo było wydzierżawione przez dawny Bank polski. Również Tow. Franko-Włoskie nie uregulowało swego stosunku do dawnego Rządu, wobec czego przyszły Skarb polski jest zainteresowany co do przyszłości tego Towarzystwa.

Nasze sfery przemysłowe żywią nadzieję, że władze miejscowe w interesie kraju poczynią odpowiednie modyfikacye w tekście rozporządzenia.

Straty Galicyi w cyfrach.

Przed kilku tygodniami ukazała się bardzo ciekawa publikacya Wydziału krajowego, przedstawiająca cyfrowo zniszczenie, jakie wskutek wojny dokonane zostało w gospodarstwie krajowem. Statystyka, gruntownie opracowana przez dr. Marcina Nadobnika, wykazuje na podstawie spisu, dokonanego w r. 1916, ogromny ubytek, jaki rolnicy galicyjscy ponieśli w koniach, bydle rogatem i nierogaciźnie. Cyfry idą w miliony, a wartość wskutek wojny utraconego inwentarza w miliardy. Za podstawę porównawczą przyjęty został spis inwentarza, dokonany w r. 1910. Ze względu na wielką doniosłość powyższej publikacyi, podajemy z niej kilka wyjątków.

Tabela ogólnych strat na obszarze Galicyi, który w styczniu r. 1916, w chwili spisu, wolny był od nieprzyjaciela, a więc z wyłączeniem części powiatu zaleszczyckiego i siedmiu powiatów wschodnich: Tarnopol, Trembowla, Czortków, Borszczów, Husiatyn, Skałat i Zbaraż, daje nam następujący obraz ubytku: koni ubyło 314.186, bydła rogatego 728.057, świń 1,028.373. W porównaniu z r. 1910 procentowo straty te wynosiły: koni 40.6 proc., bydła 31.3 proc., świń 63.2 proc. Obszary dworskie poniosły przy tem znacznie większe procentowo straty, niż gospodarstwa wiejskie. Ubyło im bowiem koni 65.6 proc., bydła 79.2 proc., zaś świń 79.9 proc.

Rozkład zniszczenia na poszczególne powiaty i gminy dostosowany jest ściśle do przebiegu operacyi wojennych. Powiaty bardziej na wschód położone ucierpiały znacznie więcej, jak również powiaty północno-wschodnie Galicyi środkowej. W koniach w środkowej Galicyi największe straty poniósł powiat Niski (48 proc.), oraz powiaty z nim sąsiadujące. W Galicyi wschodniej najwięcej ucierpiały powiaty Buczacki (68 proc. strat), Podhajecki (66 proc.), oraz Zaleszczycki (64 proc.). W bydle rogatem wykazują w środkowej Galicyi największe

straty powiaty Nisko (52 proc.), Tarnobrzeg (38 proc.), Tarnów (34 proc.), Gorlice (41 proc.) i Jasło (34 proc.). Na wschód od Sanu 13 powiatów ma straty ponad 50 proc. Ubytek trzody chlewnej jest stosunkowo największy. W Galicyi zachodniej nie dochodzi on jeszcze do 50 proc., natomiast w Galicyi środkowej już 9 powiatów wykazuje ubytek ponad 50 proc., zaś w Galicyi wschodniej niektóre powiaty potraciły prawie wszystko i tak Turka (90 proc.), Podhajce (90 proc.), Przemyśl (88 proc.), Stary Sambor (83.5 proc.) i t. d.

Z powyższego przeglądu wynika, że największe szkody poniosły te okolice, gdzie toczyły się długie i ciężkie boje, a więc powiaty, leżące na linii Dunajca, Sanu, Wereszyny, Bugu, Złotej Lipy i Strypy, oraz powiaty karpackie. Specyalna karta należy się Przemyślowi i jego okolicy, gdzie w pasie ziemi, obejmującym gminy i obszary dworskie, nie dalej, jak 10 km. od Przemyśla położone, ubytek stanowił przeciętnie 70 proc., a odnośnie do świń nawet 93 proc.

Na jedno jeszcze zwrócić trzeba uwagę. Straty poniesione stają się tem dotkliwsze, że ofiarą padły niektóre gałęzie gospodarstwa, które mają doniosłe znaczenie dla przyszłego jego rozwoju. I tak zniszczony w znacznej mierze został chów ogierów rozpłodowych i klaczy odstawionych i ze źrebiętami ssącemi. Oba te rodzaje koni cofnęły się najwięcej ilościowo. W 11 powiatach, najbardziej zniszczonych wojną, ubyło w tych kategoryach klaczy 71 proc., zaś ogierów 62 proc.

Również zupełnie zniszczoną została w Galicyi hodowla wołów, z których eksportu niegdyś kraj nasz słynął. W roku 1910 było ich jeszcze 113.000, obecnie zaś pozostało ich zaledwie 24.600. Wojna dobiła zupełnie ten dział hodowli.

Na zakończenie podaje publikacya porównanie strat w Galicyi i w Prusiech Wschodnich. Ogółem ubyło w Galicyi koni 3 razy, bydła 4 razy, zaś trzody chlewnej prawie 2 i pół razy tyle, co w Prusach.

Wprost katastrofalnie przedstawia się sytuacya dla obszarów dworskich. Podczas gdy przed wojną na obszar dworski przypadało przeciętnie koni 30, bydła 69, a trzody 23 sztuk, obecnie pozostało przeciętnie koni 10, bydła 14, zaś nierogacizny niespełna 5 sztuk. Potrzeba więc będzie bardzo znacznych środków i długiego czasu, aby przywrócić stan przedwojenny.

Jeśli teraz te ogromne cyfry przeliczymy na wartość pieniężną, to otrzymamy wprost miliardy. Trzeba zaś wziąć jeszcze i to pod uwagę, że wschodnia część Galicyi ciągle jest widownią walk, a tem samem straty coraz bardziej się zwiększają.

Stowarzyszenie kupców polskich.

Stosunki ekonomiczne Królestwa Polskiego oświetla artykuł „Gazety Porannej", napisany z okazyi walnego zebrania Stowarzyszenia Kupców Polskich. Ze względu na doniosłość omawianej materyi, powtarzamy go poniżej, jako zajmujący przyczynek.

„Wydatne zmiany, jakie dokonały się w sferze handlu zewnętrznego oraz wewnętrznego Królestwa Polskiego w trzecim roku wojny, wpłynęły znacznie na stan naszego kupiectwa. Liczba ogólna przedsiębiorstw handlowych, oraz obroty pozostałych uległy poważnemu zmniejszeniu. Na tle zaś anormalnych warunków handlu wyrosła rzesza spekulantów, nie mających nic wspólnego z zawodem kupieckim.

Pomimo tego Stowarzyszenie kupców polskich rozwijało w roku ubiegłym w dalszym ciągu swą pożyteczną działalność zawodową. Poza dążeniem do spotęgowania pracy organizacyjnej nad umocnieniem handlu polskiego wewnętrznego, troszczono się również o sprawy handlu zewnętrznego, czyniąc starania informacyjne i przygotowując się do nowych stosunków handlowych w dobie powojennej.

Stowarzyszenie współdziałało również z organizacyami społecznemi w sprawach, dotyczących bezpośrednio handlu. Opracowano więc cennik normalny do użytku wydziału rejestracyi strat wojennych. W dziedzinie prawodawstwa handlowego rozpatrzono projekt rejestru firmowego, opracowanego przez Radę Główną Opiekuńczą. Przyjęto udział w pracach komisyi do studyów prawodawstwa handlowego w Towarzystwie Prawniczem. Wobec ściągania przez administracye przymusowe przedsiębiorstw, należących do obywateli państw koalicyjnych i rosyjskich, należności przedwojennych od kupców odbiorców wspomnianych firm, wystąpiło Stowarzyszenie z odpowiednim memoryałem do władz. Uzyskano przyrzeczenie, że firmy kupieckie, przedstawione przez Stowarzyszenie, będą korzystały z ulg lub odroczeń przy spłacie należności, które powstały z tytułu kredytu towarowego.

W sprawach, związanych z podniesieniem podatków, Stowarzyszenie interweniowało kilkakrotnie, szczególnie zaś co do podwyższenia opłat patentowych. W odpowiednim memoryale podkreślono opłakany stan handlu, oraz nierównomierne obciążenie drugiej kategoryi płatników w porównaniu z innemi kategoryami patentów, wnosząc o redukcyę odpowiednich stawek i o powołanie komisyi z łona kupiectwa, której zadaniem byłoby udzielanie ulg oraz odroczeń. W odpowiedzi władze stwierdziły, że będzie uwzględniane położenie materyalne poszcze-

gólnych płatników, oraz że każdorazowo zostaną wysłuchane opinie deputatów handlowych, przyczem mogą być stosowane odroczenia lub rozłożenie na raty.

Stojąc na gruncie podniesienia ogólnego poziomu wykształcenia zawodowego pracowników handlowych, przystąpiono do przygotowań, celem wprowadzenia przymusowego posyłania praktykantów handlowych do szkół zawodowych. W tym celu wyłoniono specyalną komisyę, przy współudziale wydziału statystycznego magistratu st. m. Warszawy, urzędu starszych zgromadzenia kupców m. Warszawy i zrzeszeń pracowniczych, która opracowała projekt ankiety, mającej na widoku wyświetlenie stanu oświaty zawodowej i ogólnej wśród pracowników, oraz ustalenie niezbędnej liczby szkół zawodowych.

Powołany do życia samorząd miejski w Warszawie, wywołał ze strony Stowarzyszenia energiczną akcyę w kierunku stworzenia w organach samorządowych odpowiedniej reprezentacyi kupieckiej. W wyborach do Rady miejskiej wzięto udział żywy. Do Rady miejskiej weszło 8 członków Stowarzyszenia. Za pośrednictwem reprezentacyi kupieckiej w tej Radzie interweniowano kilkakrotnie w sprawach zawodowych.

Istniejąca trzeci rok w Stowarzyszeniu tania kuchnia dla inteligencyi, której przeznaczeniem jest niesienie pomocy żywnościowej podupadłym kupcom, pracownikom handlowym, oraz ich rodzinom, wydała w roku 1916 136.404 obiadów.

W Stowarzyszeniu wygłoszono 18 aktualnych referatów z dziedziny ekonomiczno-handlowej. Posiada ono 3 komisye, 17 kół zawodowych, oddziały w Częstochowie, Radomiu i Włocławku, wydział rekomendacyi pracy, oraz bibliotekę, złożoną z dzieł fachowych. Członków jest 941. Majątek Stowarzyszenia wynosi 12.276 rubli, bilans zamknięto stratą za rok ubiegły w sumie 2.137 rubli.

Niedawno odbyło się ogólne zebranie Stowarzyszenia, pod przewodnictwem dyr. Stanisława Karpińskiego. Obecnych było osób 134. Po odczytaniu i zatwierdzeniu za czas ubiegły sprawozdań, rachunków i bilansów, przyjęto preliminarz budżetu na rok 1917 w sumie 29.592 marek, oraz zatwierdzono regulamin nowej organizacyi wewnętrznej, t. j. komisyi pojednawczo-informacyjnej, która powstała celem rozpoznawania i załatwiania zatargów między wierzycielami a dłużnikami. Następnie uchwalono obowiązkowość należenia wszystkich członków do utworzonej i zatwierdzonej przez ogólne zebranie kasy wzajemnej pomocy dla członków Stowarzyszenia, oraz podwyższono składkę o 10

marek. Aby zmusić wszystkich kupców do posyłania swoich praktykantów do szkół handlowych, wybrano specyalną komisyę do opracowania odpowiednich przepisów. Następnie uchwalono, aby prace komisyi regulaminowej zostały możliwie spiesznie podjęte i wyniki przedstawione władzom, odrzucając tem samem wniosek przeciwny kilku delegatów kół zawodowych.

W końcu dokonano wyborów do władz Stowarzyszenia.

Wybrani zostali do rady pp.: Brun W., Dmochowski J., Jędrzejewski F., Langner E., Węgierski S.

Do komisyi arbitrów pp.: Barylski H., Borkowski M., Breitkopf J., Daab A., Drege S., Gardowski J., Geisler K., Herman J., Jacobson W., Kaden H., Lubomirski ks. S., Rotwand B., Serkowski J., Wegner J., Wolffin F.

Do komisyi balotującej pp.: Bełdowski J., Brusendorff J., Fukier H., Głębicki St., Gostyński Wł., Grabowski L., Jankowski M., Karasiński L., Kwieciński J., Mitraszewski St., Qcetkiewicz St., Paszkowski Cz., Piekarski A., Podkoliński T., Pruszkowski St., Rago W., Rochowicz J., Rokicki J., Roszkowski Wł., Szymański L., Tarnowski J., Tchorzewski T., Wernik Wład., Zieliński W.

Do komisyi rewizyjnej pp.: Jabłkowski J., Makowski J., Rogaczewski St., Sorokiewicz S., Suchodolski Wł.

Do zarządu kasy wzajemnej pomocy pp.: Barabasz R., Głębicki S., Grabowski L., Jabłkowski J., Mitraszewski St., Raszewski K.

Do komisyi rewizyjnej kasy pp.: Czajkowski E., Karasiński L., Kremky W., Mertens G. i Borkowski E.

Budżet dobroczynności publicznej warszawskiej.

Budżety poszczególnych wydziałów magistratu wymagają specyalnego omówienia.

Zaczniemy od dobroczynności publicznej.

W dochodach tego wydziału widzimy, jako pozycyę bilansową 464.986 marek dochodu z listów, wywiezionych do Rosyi, oraz 132.435 marek dochodów bieżących, ponadto figurują tylko takie pozycye budżetowe, jak wpływ z totalizatora, kar, wygranych loteryjnych i dochody nieprzewidziane w ogólnej sumie 50 marek. Dochodu więc ten dział gospodarki w danym momencie nie daje, jak nie dawał i w r. 1916.

W wydatkach, jak już wiemy, mamy 25,489.494 marek, czyli 30 proc. budżetu na r. b.

Z sumy tej na utrzymanie biura idzie 382.100 czyli 1,1 proc. ogólnej sumy wydatków, na opiekę zamkniętą 2,758.618, czyli 10,8 proc., na opiekę otwartą 11,195.300 marek, czyli 40 proc. wszystkich wydatków na zapomogi dla instytucyi 467.760 marek, czyli 1,8 proc., na zapomogi i pożyczki osobiste 7,751.450, czyli 30,4 proc., na opiekę nad dziećmi 1,969.640 marek, czyli 8,7 proc., na koszta ewakuacyi 136.080 marek, na instytucye tymczasowe 338.040 marek, na różne wydatki 590.506 marek.

Widzimy zatem z tego, że największą sumę stanowi tak zw. opieka otwarta, dalej idą zapomogi i pożyczki osobiste, następnie dopiero zakłady dobroczynne i opieka nad dziećmi.

Pod opieką otwartą rozumie się pomoc, udzielana przez opiekunów okręgowych; wynosi ona 7,541.130 marek, w tem na rozdawnictwo 6,543.190 marek, zapomogi gotówką 129.600 marek, pomoc doraźną rezerwistkom 129.600 marek, komorne rezerwistek 12.960 marek, na odzież, obuwie i mydło 349.080 marek, pozostałe 376.768 marek idą na personal i inne wydatki, stanowi to 5 proc. sumy, na ten cel przeznaczonej, pozostałe 95 proc. idzie na rozdawnictwo w tej lub innej formie.

Poza tem pomoc otwarta obejmuje komisyę przedmieść, z 1,366.400 marek wydatków, w czem są wydatki na pomoc i personal, nie wymienione dokładnie w budżecie, komisyę niesienia pomocy żydom 791.440 marek, pomoc dla inteligencyi 285.120 marek, surowica przeciwbłonicza 3.240 marek i kuchnie robotnicze 1,007.970 marek, które tym sposobem kosztują miasto około 10 proc. budżetu na opiekę otwartą.

Drugi dział obszerny stanowią zapomogi i pożyczki osobiste (30 proc. wydatków), lwią część tego działu stanowi pomoc dla rezerwistek 6,664.000 marek, pomoc dla emerytów 1,056.600 marek, poza tem wydatki na ubogich z fundacyi 25.660 i sekcya pożyczkowa 5.190 marek.

W dziale opieki nad dziećmi 1,818.440 marek przeznaczono na żywienie dzieci i 151.200 marek na mydło dla dzieci.

Przechodząc do zakładów miejskich dobroczynnych, widzimy, iż na ten cel przeznaczono 2,758.618 marek, t. j. 10,8 proc. budżetu dobroczynności.

W szczegółach na dom wychowawczy 604.000 marek, na schronisko w Górze Kalwaryi 541.730 marek, na schroniska dla żydów 339.850 marek, na schroniska dla chrześcijan 290.950 marek, schronisko w Marymoncie 271.660 marek, schronisko dla żebraków na Woli

155.810 marek, dożywotni dom opieki dla starców i sierót 118.920 marek, instytut św. Kazimierza 115.880 marek, 66.250 na schronisko dla starych sług, 69.310 na dom św. Ducha i Panny Maryi, 63.450 na utrzymanie wyleczonych prostytutek, 51.570 marek na instytut w Mokotowie, 37.330 na warsztaty Staszyca i 32.400 marek na utrzymanie żebraków.

Widzimy z tego, że ten dział dobroczynności publicznej wydatkuje 10,8 proc. budżetu dobroczynności.

Stawiano ze stron żydowskich zarzuty, iż magistrat zbyt mało wydatkuje na instytucye żydowskie. Zdaje nam się, że jest to zwykły manewr nacyonalistów żydowskich, z budżetu bowiem widać, że gdy na schronisko dla chrześcijan przeznaczono 290.950 marek, na takież schronisko dla żydów 339.850 marek, niezależnie od stałego wydatku na żydowski dom opieki, oraz żydowski dom opieki nad dziećmi, co stanowi 112.150 marek. Jeżeli wziąć pod uwagę, że żydzi korzystać mogą i z innych zakładów dobroczynnych, jest to uprzywilejowanie ich raczej, aniżeli pokrzywdzenie.

Następny dział stanowią zapomogi dla instytucyi, na co magistrat przeznacza 467.760 marek, czyli 1,8 proc. swych wydatków na dobroczynność, w tem lwią część stanowi zapomoga dla Tow. dobroczynności, bo 189.150 marek; w porównaniu z rokiem zeszłym zapomogi wogóle uległy zmniejszeniu, czemu, wobec stanu kasy miejskiej, dziwić się nie można.

Ostatnią rubrykę stanowią instytucye tymczasowe, t. j. te instytucye, które muszą w ciągu roku bieżącego stać się samodzielnemi. Do nich należą: komisye pracy kobiet (103.680 marek), oddział praski (129.600 marek), pomoc mieszkaniowa (78.840 marek) i urząd pojednawczy (25.920 marek). Nie podano w aneksach szczegółowego budżetu tych instytucyi, trudno więc coś powiedzieć o ich systemie gospodarczym i potrzebie.

W roku zeszłym komisya finansowo-budżetowa wyłoniła komisyę, pod przewodnictwem radnego Fabianiego, do opracowania projektu reformy wydziału pomocy dla ludności. Komisya ta ukończyła swe prace, oparte na dwóch referatach zasadniczych: dr. J. Zawadzkiego i p. K. Koralewskiego, oraz na naradach, w których obok radnych i ławników brali udział przedstawiciele tutejszych instytucyi dobroczynnych. Sprawie tej poświęcimy oddzielnie uwagę, tu zaznaczymy tylko, że budżet wydziału dobroczynności jest już oparty na nowych zasadach, opracowanych przez komisyę i tym sposobem sprawa dobroczynności zbliża się do uregulowania.

Konkurs.

Aby pobudzić przedsiębiorczość do dalszego rozwoju istniejącego w Królestwie Polskiem przemysłu, lub do tworzenia nowych jego gałęzi, aby wskazać, w jakich dziedzinach przemysłu i w jakiej postaci kapitały znaleźć mogą korzystną dla kraju i pewną dla siebie lokatę, oraz aby wykazać dotychczasowe braki i niedomagania przemysłu w Królestwie Polskiem i wskazać środki zaradcze, z inicyatywy Banku związku spółek zarobkowych w Poznaniu, przy współudziale Towarzystwa Przemysłowców Królestwa Polskiego i Biura pracy społecznej w Warszawie, ogłoszono konkurs na prace z zakresu naszych zagadnień przemysłowych, z nagrodami na łączną sumę 30.000 marek.

Ogólnym warunkiem, obowiązującym autorów wszystkich prac konkursowych, jest, aby dotyczyły one Królestwa Polskiego.

Poza tem tematy podzielono na dwie kategorye: A) Rozprawy o określonych działach produkcyi przemysłowej w Królestwie Polskiem i B) Omówienie ogólnych warunków przemysłu w Królestwie Polskiem.

W kategoryi A) autorowie winni uwzględniać jedną wybraną przez siebie gałąź produkcyi przemysłowej. Poszczególne fabrykacye ujęte są w ośmiu zasadniczych grupach, jak: 1) Górnictwo i hutnictwo. 2) Przemysł metalowy. 3) Przemysł włókienniczy. 4) Przemysł drzewny. 5) Przemysł zwierzęcy. 6) Przemysł chemiczny. 7) Przemysł konfekcyjny. 8) Przemysł spożywczy.

A każda z tych wymienionych grup zasadniczych obejmuje szereg poszczególnych fabrykacyi, które stanowić powinny temat prac konkursowych w kategoryi A).

W kategoryi B) przewidziane są następujące tematy: 1) „Pracownicy i wykształcenie zawodowe". 2) „Przemysł a kredyt". 3) „Organizacya zakupu i zbytu". 4) „Organizacya pracy w fabrykach". 5) „Drogi podźwignięcia i rozwoju przemysłu w Królestwie Polskiem".

Prace z kategoryi A) powinny: uwzględnić krótką historyę danej fabrykacyi, statystykę przedsiębiorstw, robotników i produkcyi danego działu przemysłu; stan finansowy fabryk, ich zyskowność; źródła zakupu surowców i materyałów pomocniczych, rynki zbytu; warunki kredytowe, celne, komunikacyjne; zagadnienia syndykatów i karteli w danej fabrykacyi i t. d. Powinny one następnie zobrazować stan techniczny danej fabrykacyi; wskazać źródła zakupu potrzebnych dla niej maszyn i urządzeń technicznych, określić najwięcej wskazane typy fabryk dla danej fabrykacyi pod względem wielkości rocznej pro-

dukcyi; zestawić prowizoryczny ogólny kosztorys urządzenia fabryki danych typów; podać szkic organizacyi danej fabryki i określić widoki i warunki jej rozwoju.

Myślą przewodnią prac powinno być wskazanie możliwości ekspansyi przemysłowej dla kapitałów wolnych, rozwój istniejących fabrykacyi, lub rozwój nowych, a nie wyzyskanych dotychczas działów produkcyi przemysłowej.

Wobec tego nie powinny one być zbyt obszerne i winny mieć charakter praktyczny.

Prace z kategoryi B) wskazać mają dotychczasowe wady i braki naszego przemysłu w zakresie bądź warunków ogólnych, bądź w dziedzinie ustrojowo-organizacyjnej i wskazać drogi ku usunięciu tych braków.

Zarówno w pracach grupy A), jak i B) powinny być uwzględnione warunki gospodarcze, które zapanują po ukończeniu wojny.

Prace nagrodzone stają się własnością Banku związku spółek zarobkowych w Poznaniu i Tow. przemysłowców Królestwa Polskiego. Co do prac nienagrodzonych zastrzega się prawo zatrzymania kopii, bez prawa publikacyi.

Termin nadsyłania prac na konkurs upływa po sześciu miesiącach od daty zawarcia pokoju.

W dziale A) każdej z 8 grup wymienionych przeznaczono po 3 nagrody, a mianowicie: 1.500 marek, 800 marek i 500 marek.

W dziale B) przewidziana jest jedna nagroda: 1.500 marek w każdej z 5 grup pomienionych.

Oceniając prace z punktu widzenia ich objektywnej wartości, sąd może w danym dziale nie przyznać wszystkich lub pewnych nagród; w takim razie sąd zastrzega sobie prawo rozporządzenia się nieprzyznanemi nagrodami w innych działach.

Sąd konkursowy składa się z 10 osób, wydelegowanych przez instytucye, ogłaszające konkurs, a mianowicie tworzą go pp. ks. Stanisław Adamski — patron spółek w Poznaniu, Zygmunt Chrzanowski — członek komitetu Tow. popierania pracy społecznej, dr. Englich — dyrektor banku Związku spółek zarobkowych w Poznaniu, Stanisław Karpiński — dyrektor Banku Towarzystw współdzielczych, Kazimierz Kasperski — ekonomista, profesor wyższej szkoły handlowej w Warszawie, ks. Stanisław Lubomirski — przemysłowiec, prezes rady Tow. Przemysłowców Królestwa Polskiego, Mieczysław Pfeiffer — przemysłowiec, prezes rady Banku Towarzystw współdzielczych, Tadeusz Po-

powski — przemysłowiec, członek rady Towarzystwa przemysłowców Królestwa Polskiego, Seweryn Samulski — dyrektor Tow. akc. H. Cegielski w Głównie pod Poznaniem, Andrzej Wierzbicki — dyrektor Towarzystwa przemysłowców Królestwa Polskiego.

Sąd ma prawo powoływać rzeczoznawców dla przedwstępnej oceny prac.

Bliższych informacyi zasięgnąć można w Tow. przemysłowców Królestwa Polskiego (Chmielna 2).

PRZEGLĄD

POWSZECHNY

BŁOGOSŁAWIONY LUD, KTÓREGO PANEM BÓG JEGO
Ps. 143.

ROK TRZYDZIESTY CZWARTY. — ~~TOM CXXXVII.~~

T. 135-36

LIPIEC, SIERPIEŃ—WRZESIEŃ.

1917.

KRAKÓW.
DRUK EUGENIUSZA i Dra KAZIMIERZA KOZIAŃSKICH.
1917.

SPIS RZECZY.

Artykuły naukowe i literackie.

Strona

Historyczność polskich praw do księstwa cieszyńskiego. Przez *Dr. F. Konecznego* . . . 1

Ze sztuki spółczesnej w krakowskiem muzeum narodowem. Przez *Józefa Trepkę* 13, 218

„Filar i utwierdzenie prawdy“. Przez *Ks. Jana Urbana T. J.* 21

Jeruzalem chrystusowe. Przez *Ks. Wład. Szczepańskiego T. J.* 41

Najnowsza polska powieść historyczna. Przez *A. Mazanowskiego.* 65

Upiór w poezyi Adama Mickiewicza. Przez *Maryana Szyjkowskiego* 77

„Dzień trzeci“ Skargi. Przez *Ks. J. St. Adamskiego.* 133

O nowe drogi dla naszej powieści. Przez *A. Mazanowskiego i N. Cieszyńskiego* 152

Leonardo da Vinci. Przez *Leonarda Lepszego* . . 161

Trwałość kościoła, a prawo rozwoju. Przez *Ks. Jana Urbana T. J.* 197

Czas pisania Pana Tadeusza. Przez *S. Windakiewicza* 227

Jam jest! Przez *Maryę Czeską* 240

Jerycho w świetle dziejów i wykopalisk. Przez *Ks. Wład. Szczepańskiego T. J.* 257

Strona

Apokalipsa w listach Z. Krasińskiego do A. Cieszkowskiego. Przez *J. A, Teslara* 299

Ostatni rycerz rodu Leliwitów. Przez *B. Janusza* 312

Przegląd piśmiennictwa.

Z piśmiennictwa polskiego.

Z literatury ekonomicznej. *(A. Krzyżanowski)*. 102

Socyologia wojny. Mieczysław Szerer. *(Romuald Moskała T. J.)*. . 339

Tadeusz Kościuszko. Dr. Feliks Koneczny. *(Dr. K. Krotoski)*. . . . 342

Kazimierz Brodziński, życie i dzieła. Bronisław Gubrynowicz. *(Dr. Stanisław Zdziarski)*. 344

Zwyczaje żniwiarskie w Polsce. Bystroń Jan Stanisław. *(Dr. St. Zdziarski)* 347

Nauka rysunków w najnowszej dobie; podręcznik dla nauczycieli. Gołębiowski Jan. *(Zęt)* 351

Po naszemu. Ks. Piotr Mańkowski. *(Ks. Jan Urban T. J.)* 352

Przysięga antymodernistyczna. Ks. Dr. Czesław Sokołowski. *(Ks. Jan Urban T. J.)* 357

Egzorty do uczniów szkół średnich. Ks. Józef Winkowski. *(Ks. Ernest Matzel T. J.)* 358

Cuda i łaski Matki Boskiej Tuchowskiej w XVII. i XVIII. wieku. O. Władysław Szołdrski C. SS. R. *(Ks. Jan Sygański T. J.)* . . 359

Święty Władysław, Król Węgierski. O. Władysław Szołdrski C. SS. R. *(Ks. Jan Sygański T. J.)* 360

Z piśmiennictw obcych.

Das selbständige Polen als Nationalitätenstaat. Georg Gotheim M. d. R. *(J. Trepka)*. 108

Das Land der Wirklichkeit. Osk. A. H. Schmitz. *(J. Trepka)*. . . . 111

Synopsis theologiae dogmaticae specialis. Dr. A. Sanda. *(X. Dr. M. Sieniatycki)*. 362

Kurland und Litauen. Johannes Wronka. *(J. Trepka)* 364

Sprawozdanie z ruchu

religijnego, naukowego i społecznego.

LIPIEC.

Strona

Sprawy Kościoła: Ksiądz Świeykowski. — Encyklika o kaznodziejstwie. — O dogmat Wniebowzięcia. — Stan Kościoła obecny we Francyi. (*Ks. J. Pawelski T. J.*) 114

Ze spraw warszawskich: W sprawie wielkiej Warszawy. — Budżet miasta stoł. Warszawy. 121

Bankructwo finansowe Rosyi. 124

„Odbudowa kraju". 130

SIERPIEŃ—WRZESIEŃ.

Sprawy Kościoła: Katolicyzm a pokój. — Nota papieska w sprawie pokoju. — Syonizm i katolicka misya żydowska. (*Ks. J. Pawelski T. J.*) 366

Wśród duchowieństwa unickiego. (*Dr. St. Zdziarski*) 371

Antoni Mazanowski. (*Stanisław Turowski*) 379

Z wystawy Towarzystwa Sztuk pięknych w Krakowie. (*ka*) . . 388

Kronika ekonomiczna. Finansowe podstawy bytu ekonomicznego w niepodległej Polsce. — Przemysł hutniczo-górniczy w Zagłębiu Dąbrowskiem. — Straty Galicyi w cyfrach. — Stowarzyszenie kupców polskich. — Budżet dobroczynności publicznej warszawskiej. — Konkurs. 394